

Z dala od zgiełku

Blake Jennifer



calibre 0.9.43

Blake Jennifer

Z dala od zgiełku

Per son joy malautz sanar,

E per a ira sa morir.

S woją radością miłość zło uleczyć zdolna,

A swoim gniewem załłijnć.

GUILHEM IX, KSIĄŻĘ AKWITANII

Pragnę wyrazić głęboką wdzięczność Shirley i Nelsonowi Faucheux z Grand Point w Luizjanie za ich szczodrość i gościnność okazane mi podczas prac przygotowawczych do napisania tej książki; dzięki tej

gościnności mogłam rozkoszować się najlepszą w całym stanie jambalają i zupą z langusty. Pragnę im

serdecznie podziękować za udzielanie mi niezliczonych informacji na temat obyczajów Cajunów z Wybrzeża

Akadyjskiego w okolicach Nowego Orleanu, a także za zaznajomienie mnie z pełnym radości życiem tych ludzi.

Nelsonowi dziękuję za pełnienie roli przewodnika na wijącej się zakolami Blind River, za dzielenie się ze mną

tradycyjną ludową wiedzą o tej rzece i mokradłach oraz za opowiedzenie mi zasłyszanej w dzieciństwie historii

o przewróconej pirodze.

Słowa podziękowania kieruję również do Tony'ego Bacali z Biura Szeryfa Parafii Wniebowstąpienia za

wyjaśnienie problemu handlu narkotykami w stanie Luizjana oraz do Julie Champagne z Biblioteki Parafii

Świętego Jakuba w Lutcher w Luizjanie za pomoc w wyszukiwaniu niezbyt ważnych informacji i rozwiązywaniu bardzo ważnych problemów.

Bagna nie wyglądały zachęcająco, zwłaszcza gdy wieczór przemienił się w noc. W przejmującej, wilgotnej ciemności, czającej się pod nawisami starych cyprysów o powyginanych korzeniach, wśród gnijących

kłód, ciemnozielonych palm i mangrowców porastających gęsto brzeg kryło się coś pierwotnego. Nieokielzanie

bujne pnącza i splątane paprocie uczeplone pni drzew, śpiewające i kąsające owady, a także nocne stworzenia

obserwujące ich w blasku latarni czerwono świecącymi oczami sprawiały, że Julie odbierała otaczający ich świat

jako niewiarygodnie dziki, ogromnie daleki od cywilizacji. Z rzeki podnosiła się mgła, a bezgłośnie prześlizgująca się przez nią piroga zdawała się odbywać podróż w inny czas.

Świetnie. Tak, doskonale.

Julie Bullard uśmiechnęła się do siebie. Wyobraźnia nie jest czymś złym, zwłaszcza u reżysera filmowego. A Julie wyobrażała sobie już sceny, które miały się znaleźć w jej filmie. Plenery, których potrzebowała - przeważnie za dnia, ale także w nocy były osiągalne za następnym zakrętem, wiedziała o tym. Ta

wycieczka staromodną drewnianą łodzią na pewno okaże się przydatna, ten wieczór z pewnością przyniesie

wiele wrażeń.

Wąska piroga zakołysała się i przechyliła w prawo, posuwając się naprzód i opływając podobny do pnia

kształt tkwiący w wodzie w pobliżu brzegu. Julie uchwyciła się ławki, zacisnęła mocno palce, oglądając się na

swego przewodnika. przewodnik stał z tyłu i odpychał się drągiem od dna, powodując powstawanie błotnistych

wirów i sprawiając, że płytka łódź posuwała się naprzód pełną zakrętów rzeką. Był to krzywonogi Cajun o

twarzy pokrytej siateczką zmarszczek tak pogmatwaną jak siatka rzek i strumieni pokrywająca

podmokłe

okolice Luizjany. Jego oczy błyszczały w słabym świetle obozowej latarni zawieszanej na dziobie. Wskazał

głową podłużny kształt wynurzający się z wody.

- Ten stary aligator chce tylko zobaczyć, co my tu robimy. Julie popatrzyła na aligatora, udając, że jest

przestraszona. - Jest pan pewien, że aligatory nie pożerają ludzi? Przewodnik posłał jej łagodny uśmiech.

- Mogę to zagwarantować! W każdym razie nie pożerają żywych ludzi. Ale on mógłby przewrócić łódź, tak z

ciekawości. Lepiej będzie go okrążyć.

- Dobrze, zrobmy to - powiedziała Julie chłodno, wracając do obserwowania rzeki.

Jej przewodnik zaśmiał się po cichu.

Julie nie bała się nocy ani tego, co się mogło czaić w ciemności.

Uwierzyła staremu Cajunowi, kiedy ten powiedział jej, że aligatory rzadko zabijają stworzenia większe

niż zabłąkane szopy lub oposy i że jadowite węże wodne, które noszą działające na wyobraźnię nazwy, takie jak

"miedziany mokasyn", i pozostawiają za sobą w wodzie ślady w kształcie strzał, boją się jej bardziej niż ona ich.

Mimo że dobrze skrywała swoje uczucia, była do głębi poruszona pierwotną magią, jaka emanowała z

otaczających ją bagnisk. A doznawanie takich uczuć dowodziło, że z pewnością będzie umiała przekazać je

widzom.

Miała rację decydując się na plener Y i rezygnując z kręcenia w dekoracjach zrobionych z plastiku i

papier miiche. Wiedziała, że bardzo istotną rzeczą jest oszczędne gospodarowanie pieniędzmi, zdawała sobie z

tego sprawę i bez uwag drogiego Allena, który zwykł je wypowiadać spacerując tam i z powrotem w

jedwabnej

piżamie i przybierając pozę producenta - ważniaka. Była też świadoma, że chcąc udowodnić, iż jest jedną z

liczących się reżyserek filmowych w Los Angeles, musi ukończyć film w terminie. A poza tym wiedziała, że

sprawą równi-.. Nażną jak te poprzednie jest jakość filmu, który właśnie kręci.

Zadbała o nią sama, tworząc scenariusz na podstawie książki młodego pisarza z Luizjany, zakupiwszy od

niego prawa za własne pieniądze. Królestwo bagien było opowieścią o dorastaniu młodej dziewczyny,

opowieścią, w której tradycja i wartości kulturowe triumfowały nad bogactwem i przywilejami kasowymi.

Przedstawiona w niej walka o prawo do opieki nad dorastającą córką, tocząca się między pewnym Cajunem i

jego brylującą w wyższych sferach żoną, była pełna dramatyzmu. Akcja toczyła się wartko:

Cajun porwał córkę z nowego, miejskiego mieszkania żony i zabierał ją ze sobą na bagna, a potem musiał walczyć z opryszkami nasłanymi przez żonę i mającymi sprowadzić dziewczynkę z powrotem do miasta.

W opowieści tej był humor, i był seks, i patos - było w niej wszystko, nie wyłączając dobrej, choć nie

składającej się z najpopularniejszych gwiazd obsady. Na zaangażowanie wielkich gwiazd Julie nie mogła sobie

pozwolić. Mimo to nie wyobrażała sobie, że film może nie być sukcesem kasowym - jeżeli oczywiście

przetransponuje tę historię na ekran zgodnie z własnym wyobrażeniem.

Chociaż ojciec powiedział jej, że postępuje głupio, próbując to zrobić. Tak, wielki William Bullard, dwukrotny laureat Nagrody Akademii dla Najlepszego Reżysera przyznanej za nowatorskie podejście do filmu,

radził jej nie ryzykować. Radził jej pozostać przy nisko budżetowych filmach opowiadających o surfing i przy

filmach kobiecych, dzięki którym wyrobiła sobie już markę.

Zabolało ją to. Zabolało ją, że ojciec w nią nie wierzy. Czowała się zraniona tym, że nie potrafił dostrzec,

jak wiele nauczyła się obserwując go przez te wszystkie lata, że nie chciał przyznać, iż córka potrafi przełożyć

na język filmu dłuższe historie i bardziej ważne tematy. Nie brakowało jej przecież doświadczenia. Swoją

pierwszy krótki film fabularny zrobiła na ziarnistej szesnastomilimetrowej taśmie ponad piętnaście lat temu,

kiedy była jeszcze studentką UCLA. W tamtych czasach szalała na punkcie surfing, była jedną z tych wysokich, opalonych, jasnowłosych i młodych mieszkanek Kalifornii, od których roi się na plażach i które

mówią żargonem surfingowców jak drugim językiem. Ten pierwszy film wyrósł z miłości do oceanu i z

zafascynowania młodymi ludźmi rzucającymi wyzwanie falom. I w związku z nim spotkało ją szczęście

sprzyjające twórcom, którzy podchodzą do tematu z szacunkiem i ufnością - w filmie tym udało jej się

powiedzieć coś istotnego o sporcie surfingowym i o nomadach, których ten sport zrodził. Film został powiększony i już na taśmierzydziestopięciomilimetrowej wybrany jako ten, który ma być pokazany w Cannes

na przedfestiwalowym przeglądzie filmowym. Od tego czasu Julie wciąż realizowała kolejne filmy.

Ojciec jednak wątpił w jej możliwości. Istniał po temu tylko jeden powód. Był nim fakt, że Julie była kobietą. Nie powinno jej to dziwić. Ojciec zawsze dawał jasno do zrozumienia, że spodziewa się, iż jego córka

będzie pełniła wobec niego rolę elementu dekoracyjnego i że będzie go darzyła należnym mu podziwem aż do

czasu, kiedy wyjdzie za mąż i przeleje swoje uczucia na męża. Ojciec był bowiem swego rodzaju niepoprawnym

męskim szowinistą, uważającym, że miejsce kobiety jest na przemian w kuchni i w łóżku. Dziwne

było tylko to,

że choć matka Julie odpowiadała dokładnie temu obrazowi, ojciec mimo wszystko nie był usatysfakcjonowany.

Potrzebował podniet płynących od innych kobiet albo też z przebywania w towarzystwie innych mężczyzn, z

żeglowania, łowienia ryb, polowania, walki z bykami czy udziału w wyścigach samochodowych - słowem z tych

spraw, przy których ryzykował życie lub utratę jakiejś części ciała i był daleko od domu. Pragnął wolności albo

złudzenia, że jest wolny. Po pewnym czasie matka Julie dała mu pełną swobodę. Ale Bun - jak nazywali go

przyjaciele, a nawet i sama Julie - i w tych warunkach nie był szczęśliwy.

Po rozwodzie matka przeniosła się do rodzinnego miasta w Luizjanie. Zabrała córkę ze sobą i nie chciała

mieć więcej do czynienia z fałszywym przepychem Los Angeles.

Julie także nie lubiła fałszu. Dlatego właśnie tak jej zależało na sfilmowaniu rzeczy autentycznych,

prawdziwych: prawdziwego Nowego Orleanu, prawdziwego jazzu, prawdziwych bagien. Zadowolona była z

tego, że realizuje film w tej części kraju, z której pochodziła matka, dawało jej to bowiem możliwość

przebywania tam, gdzie mieszkała od czasu, gdy była nastolatką, do momentu śmierci matki; fakt tej śmierci

miał dla niej teraz znaczenie drugorzędne.

Przez większą część ostatniego miesiąca Julie kręciła w Nowym Orleanie. Teraz miała przed sobą co

najmniej cztery tygodnie pracy na bagnach położonych na północny zachód od miasta. Po upływie tego okresu

film miał być ukończony. Uważała, że zrealizuje go w terminie i za mniejsze pieniądze, niż przewidywano,

mimo że na planie zdarzały się drobne wypadki, a także zaistniały pewne problemy związane z nieobecnością

ludzi w pracy i z kradzieżami artykułów żywnościowych. Wiedziała, że po zakończeniu zdjęć będzie równocześnie zadowolona i zmartwiona. Zadowolona, bo przeżyła niespodziewane emocje związane z próbami wiernego przedstawienia życia Cajunów oraz piękna bagien, a zmartwiona, bo skończy się praca przynosząca jej niezwykłą satysfakcję.

Tworzyła tu, wraz z całą ekipą, dzieło wielkiej wagi. Powtarzała to sobie ciągle - musiała to robić, wbrew temu, co sądzili lub mówili inni. Czasami wierząc w to święcie nie rozstawała się ze swoimi myślami przez kilka godzin bez przerwy.

Piroga przesuwiała się wzdłuż brzegu. Rzeka nazywała się Blind. Jej koryto, będące w dawnych czasach -

zanim dokonała się jedna z wielu zmian biegu Missisipi - kanałem, którym płynęła wielka rzeka, tworzyło pętle,

lecz było dobrze wykształcone. Było bardzo stare i nie miało obecnie żadnego połączenia z Missisipi. Nie było

widać w nim dostrzegalnego prądu, mimo że wiło się meandrami zmierzając na południowy wschód. Julie

dowiedziała się, że nazywano je kiedyś Bayou Acadian. Nosiło tę nazwę do lat trzydziestych, czyli do czasu,

gdy na bagna przybyli mówiący po angielsku drwale, którzy wycinali dziewicze cyprysy. W tym czasie nadano

mu nową nazwę, gdyż drwale mieli trudności z wymawianiem starej, a także dlatego, że ciemna woda,

zabarwiona kwasem zawartym w soku bezustannie kapiącym z drzew, była tak nieprzezroczysta, że trudno było

w niej cokolwiek dostrzec.

Tej nocy na niebieskoczarnym sklepieniu nieba nie było księżyca. Białe gwiazdy Drogi Mlecznej wyglądały jak zaplątane w ogromny welon z gazy, sięgający po obu stronach rzeki niemal do poziomu

wierzchołków drzew. Łagodny, jesienny powiew, wilgotny i niosący zapach ryb i słonej świeżości znad odległej

Zatoki poruszył sięgające ramion włosy Julie. Jakiś liść, jeden z tych nielicznych, które zaczynały dopiero

zółknąć, mimo że był już początek października, opadł na wodę i zawirował na fali pozostawionej przez pirogę.

Słysząc było jedynie plusk zanurzanego drąga, chór żab, rzadkie zawroźnienie komara, zawołania polującej sowy

albo ryk aligatora.

Julie nabrała głęboko powietrza i wypuściła je powoli z płuc. Naokoło panował błogi spokój, a oni żeglowali poprzez noc w nikłym świetle latarni. Jej przewodnik, Joseph, zabrał ją na tę przejażdżkę swoim

skifem z doczepionym silnikiem, a ona zgodziła się pokonać pierwsze dziesięć mil tą łodzią ze względu na jej

szybkość. Później jednak zażądała, żeby się przesiedli na pirogę, którą holowali za sobą. Chciała się przekonać,

jak zachowuje się taka płytka łódź, a poza tym wolała płynąć powoli i w ciszy, by móc się skupić.

Był to właściwy wybór. Bo skoro już minęli duże kanały, obozowiska wędkarzy i myśliwych oraz źródła

wody pitnej, a także małą drewnianą kaplicę w górnym biegu, przyszedł czas na to, żeby naprawdę zobaczyć

rzekę. Czas na to, by się przyjrzeć drzewom, roślinom i zwierzętom, kanałom, trzęsawiskom i wąskim, prawie

ukrytym strumykom wpadającym do rzeki, które pokazywał jej przewodnik, kiedy światło dzienne było jeszcze

wystarczająco jasne. W tradycyjnym sposobie życia, które upływało powoli, z dala od zgiełku miasta, było coś

dobrego; cennego, w przeciwieństwie do nerwowego pośpiechu. A ona ostatnio zbyt angażowała się w sprawy

filmu, była nim za bardzo przejęta.

Powinna spróbować zwolnić tempo. Tak, na pewno to zrobi, kiedy Królestwo bagien zostanie ukończone. Jeżeli Allen nie będzie zbyt zajęty, namówi go, żeby poleciełi razem na wyspy albo do Belize; może

wynajmą domek na plaży i przez parę tygodni będą bawili się w rozbitków. Było to mało prawdopodobne, ale

postanowiła spróbować.

Koryto poszerzyło się przed nimi. Pojawił się otwarty fragment rzeki wielkości boiska do piłki nożnej.

Jego brzegi porośnięte były rogożą i wysokimi trawami wodnymi o szorstkich krawędziach, od czasu do czasu

widać też na nich było grupki cyprysów unoszących ku nocnemu niebu gałęzie obwieszane splotami liści

podobnymi do koronki i draperie z szarego, tworzącego girlandy mchu. Julie pochyliła się do przodu, chcąc

lepiej widzieć; zebrała równocześnie marszczoną spódnicę białej bawełnianej sukienki i otuliła nią sobie kolana;

chciała w ten sposób uchronić spódnicę przed zamoczeniem, gdyż dno pirogi było wilgotne. Miejsce to

nadawało się do jej filmu, było tak rozległe, że można było na nim wykonywać różne manewry łodziami. W

zasięgu wzroku nie było żadnych domów; obozowisk, przycumowanych barek mieszkalnych ani linii wysokiego

napięcia odwracających uwagę widza; nie było też żadnego mola dla łodzi, była jedynie naturalna,

przypominająca lagunę przestrzeń na rzece. Ta przestrzeń była niewiarygodnie cudowna, prawie doskonała.

Uwagę Julie przykuł niski dźwięk przypominający buczenie ogromnego owada. Pulsował w ciemności,

na przemian nasilając się i słabnąc. Dźwięk stawał się coraz głośniejszy. Tuż przed pirogą rozległ się plusk - jak

gdyby jakieś zwierzę, przestraszone buczeniem czy też może odgłosem zbliżania się pirogi, skoczyło z brzegu

do wody.

- Co to? - spytała Julie.

Równocześnie na skraju kręgu światła padającego z latarni zauważyła małą falę, a potem głowę oraz górną część ciała zwierzęcia futerkowego. Wydało jej się, że rozpoznaje nutrie.

Joseph roześmiał się cicho.

- Mnie się zdaje, że to Szczur Bagienny!

Julie odwróciła się, spoglądając na niego przez ramię.

- Uważa pan, że to taki duży szczur?

- Mais non, chere - odpowiedział starzec, wznosząc ramionami na widok nutrii i nasłuchując z przymkniętymi na wpół oczami i głową przechyloną na bok. - Ja mówię o człowieku w ślizgaczu.

Albo przewodnik nie rozumiał jej, albo ona nie rozumiała jego .

Tak, pomyślała Julie i zanim zdecydowała się na którąś z tych wersji, jej uwagę przykuły dwa snopy światła padające zza drzew rosnących po przeciwległej stronie otwartego obszaru wody. Żółte promienie

przesuwały się w jedną i drugą stronę, zawracając nagłym ruchem, przedzierając się przez gałęzie i zwisające

pnącza i ozłacając swym światłem zarysy kołyszącego się mchu. Równocześnie buczący ryk, któremu towarzyszyło syczenie, stał się głośniejszy.

Nagle Julia zrozumiała: to był ślizgacz wodny z napędem śmigłowym. Widziała kiedyś taki ślizgacz na

obrazku - był to pojazd, w którym silnik znajdował się wysoko z tyłu; miał wachlarzowato umieszczone łopaty i

poruszał się z dużą prędkością na poduszce z powietrza. Skonstruowany po to, żeby podróżować po takich

zbiornikach wodnych, które na bardzo małej przestrzeni zmieniały się z głębokich na czterdzieści stóp w płytkie

na cztery cale - był w stanie przesuwać się po czymś, co było niewiele głębsze niż obfita rosa. Ten, który Julie

miała w tej chwili przed oczami, poruszał się rzeczywiście szybko, w zawrotnym tempie brał zakręty na

wijącym się odcinku rzeki po drugiej stronie otwartej przestrzeni.

Ku swemu zdziwieniu Julie zauważyła, że słyszy coś w rodzaju echa cichego silnika ślizgacza. W chwilę

później uświadomiła sobie, że to domniemane echo dochodzi z góry. Zbliżał się samolot, a raczej hydroplan.

Julie zobaczyła jego niezdarną sylwetkę z dużymi pływakami. Zbliżywszy się, zaczął opuszczać się niżej, jak

gdyby pilot miał zamiar lądować, chociaż Julie wiedziała, że najbliższy port lotniczy to międzynarodowy port w

Nowym Orleanie, oddalony od tego miejsca o ponad czterdzieści mil.

Zastanowiła się, czy hydroplan nie znalazł się w jakichś tarapatach, chociaż nic na to nie wskazywało.

Kiedy tak mu się przyglądała, zapaliły się w nim światła główne oświetlając wierzchołki drzew. Silnik pracował

wolniej, wydawało się, że prawie zgasł i że samolot ma zamiar schodzić w dół.

Za plecami Julie stary przewodnik mruknął coś we francuskiej gwarze Cajunów. Stał ze zmarszczonymi

brwiami, trzymając drąg, z którego kapąła woda, ponad powierzchnią rzeki, a piroga tymczasem dryfując

przedostawała się z wąskiego, obrzeżonego drzewami kanału rzecznego na otwartą przestrzeń.

Ślizgacz wziął zakręt na oddalonym odcinku rzeki, wpłynął w obrośnięty drzewami przesmyk podobny

do tego, który Julie i jej przewodnik właśnie opuścili, i szybko zbliżył się do nich, ciągnąc za sobą pasmo

burzącej się piany przypominające ogon komety.

Wyskoczył z łoskotem spomiędzy drzew na otwarty obszar wodny. Spoza oślepiającego światła

głównych reflektorów Julie dostrzegła niewyraźną jak cień postać człowieka przy sterach. Człowiek ten miał

szerokie ramiona i kierował ślizgaczem wprawną ręką. Falujące włosy rozwiewane przez podmuch zasłaniały

mu twarz. Głowę miał przechyloną do tyłu i bacznie, w napięciu obserwował hydroplan. Nie zmniejszył

prędkości.

Hydroplan zbliżał się, schodząc niżej i ocierając się niemal o wierzchołki drzew. A potem wydostał się

na otwartą przestrzeń, pozostawiając za sobą kołyszące się gałęzie. Jego białe światła przesuwają się po wodzie,

która lśniła w ich blasku, i mieszały się z żółtymi światłami ślizgacza. Trasy warczącego hydroplanu i ryczącego

ślizgacza zbliżyły się do siebie, a potem skrzyżowały.

Po chwili ich drogi się rozeszły i hydroplan odleciał. Człowiek w ślizgaczu odwrócił głowę, śledząc światła hydroplanu. Nie zmienił przy tym kursu.

Przewodnik Julie zamamrotał coś głośniej. A potem wydał ostrzegawczy okrzyk, podnosząc drąg i machając nim nad głową Julie. Ślizgacz zmierzał prosto na pirogę, posuwał się szybko tunelem utworzonym z

drzew, takim, jaki drewniana łódź przed chwilą opuściła. Pilot ślizgacza nie zauważył pirogi, nie patrzył nawet

w jej stronę. Wszystko wskazywało na to, że za sekundę na nich wpadnie. Nie było sposobu, żeby go zatrzymać

ani żadnej możliwości uniknięcia zderzenia. Julie uchwyciła się burty, gotowa natychmiast wyskoczyć.

W tej samej chwili pilot ślizgacza odwrócił głowę i wreszcie ich spostrzegł. Pociągnął mocno za drążki

steru, przechylając całą sylwetkę. Silnik głośno zawodził, kiedy ślizgacz przemknął obok nich na jednym

pontonie, wzbijając huraganowy podmuch i potężną falę.

Julie cofnęła się przed przelatującym obok z łoskotem i rykiem ogromnym kształtem i oślepiającym

światłem. Niestabilna drewniana łódź przechyliła się w bruździe pozostawionej przez ślizgacz. Julie usłyszała

krzyk przewodnika i zobaczyła, że staruszek rzuca się na przeciwległą burtę, chcąc zrównoważyć przechył. Było

jednak za późno. Julie wypadła za burtę.

Mroczna woda podniosła się, pochłaniając ją, zamykając się nad jej głową, wciągając ją w głąb. Była

czarna, zimna i gęsta, napierała na nią. Julie poczuła, że przy każdej próbie oddechu pali ją w piersiach.

Odwróciła się w zwolnionym tempie. Spódnica owinęła się jej wokół górnej części ciała, krępując ramiona. Coś

dotknęło jej nogi, coś szorstkiego i oślizgłego - jakiś pływający pod wodą pień cyprysa. Obrzydzenie dodało jej

energii - poruszyła gwałtownie nogami gubiąc sandały i posunęła się szybko w górę. Odwinęła spódnicę z piersi,

rozgarniając wodę szerokimi ruchami. Wynurzyła się na powierzchnię, chwytając powietrze tak gwałtownie, że

poczuła ból w gardle.

Tuż za nią, niemal nad jej głową, rozlegał się pomruk pracującego na zwolnionych obrotach silnika.

Odezwał się głęboki, męski głos:

- Tutaj, moja ręka. Proszę się złapać. Już myślałem, że będę musiał skakać po panią do wody.

Julie, bijąc rękami o wodę, podniosła wzrok i zobaczyła ślizgacz i klęczącego na nim mężczyznę.

Przechylał się ponad powleczone gumą pontonami i wyciągał do niej rękę. Jego ciemne brwi były zmarszczone, a zdecydowanie zarysowane usta zaciśnięte w złości.

Julie poczuła, że ogarnia ją fala gniewu. Rozejrzała się za przewodnikiem i pirogą. Zobaczyła małą łódź

o kilka stóp od siebie i starego przewodnika płynącego szybko w stronę łodzi. Odwróciła głowę i spojrzała na

pilota ślizgacza.

- Dziękuję - powiedziała ostrym tonem - nie chciałam sprawić panu kłopotów.

Mężczyzna cofnął się i oparł dłoń na zgiętym kolanie. Z jego twarzy znikło napięcie, a pojawiło się coś,

co przypominało rozbawienie.

- Chodzi pani o to, że to ja sprawiłem pani mnóstwo kłopotów?

- Chodzi mi o to, że wpadł pan na nas, bo nie patrzył pan, gdzie pan płynie!

- Byłem zajęty czym innym. A poza tym stary Joseph był tysiące razy upominany, by trzymać latarnię na

widoku, a nie na wół schowaną na przednim siedzeniu.

- No tak, i na dodatek piroga płynęła za szybko - zgodziła się Julie z ironiczną skwapliwością. - Właściwie to

jest wyłącznie wina Josepha, a nie pana.

Twarz mężczyzny zmarszczyła się w powoli napływającym uśmiechu, który zabłysnął również w jego oczach.

- Tego nie powiedziałem. A jeżeli przyznam, że nie patrzyłem, gdzie płynę, to wejdzie pani na pokład ślizgacza?

Julie nie odpowiedziała, jeszcze raz popatrzyła w stronę swojego przewodnika. Joseph odwrócił już pirogę dnem do dołu i wchodził właśnie na jej pokład. Julie popłynęła do niego szybkim crawlmem, którego

nauczyła się wśród przybrzeżnych fal Pacyfiku.

Silnik ślizgacza wydał jakiś pomruk, a potem zaczął terkotać nieco szybciej. Po chwili ślizgacz znalazł

się między Julie a celem, do którego zmierzała.

Julie zmieniła kierunek.

Ślizgacz dotrzymywał jej tempa, płynąc obok. Julie ponownie zmieniła kierunek, rzucając pilotowi przez

ramię wściekłe spojrzenie. Motor zawarczał głośniejsz, a potem znowu zmniejszył obroty. Julie płynąc odwróciła

głowę i znowu zobaczyła pilota przechylonego w jej stronę. Był tuż w ślad nią.

Chciała mu się wymknąć, ale jego silna dłoń chwyciła jej ramię, unieruchamiając ją. Zanim Julie zdążyła

zareagować albo zaakceptować to, co się dzieje, znalazła się w silnym uchwycie jego ramienia. Chwilę później

była już na pokładzie ślizgacza. Potknęła się o wykonaną z gumy i włókna szklanego burtę i wylądowała na

dnie. Pilot krzyknął coś do jej przewodnika. Nie zrozumiała jego słów, gdyż mówił francuską gwara Cajunów.

Przewodnik odpowiedział śmiechem i machnięciem ręki. Równocześnie jej porywacz opadł na lewe siedzenie z

przodu łodzi. Ślizgacz ryknął głucho, a potem uniósł się i ruszył naprzód.

Julie przez chwilę pozostała tam, gdzie była, nie wierząc własnym zmysłom i usiłując odzyskać

równowagę, a potem przeczołgała się na przód ślizgacza. Ociekająca wodą, oblepiona mokrą sukienką,

niezdarnie stanęła na nogi i zatoczyła się mi siedzenie obok pilota. Kiedy wyciągnęła rękę, chcąc złapać go za

koszulę, wrzała w niej wściekłość, której towarzyszył strach. Szarpnęła go raz i drugi. Wiatr właczał jej słowa z

powrotem do gardła, a ryk silnika zagłuszał je. Udało jej się jednak krzyknąć:

- Dokąd mnie pan wiezie?

A on - mężczyzna potężnej budowy, o twardych mięśniach, który nawet nie drgnął, kiedy go szarpała -

odwrócił głowę, popatrzył na nią z czającym się w oczach śmiechem i powiedział:

- Do domu.

Odpowiedź, której towarzyszyła wyzywająca mina, w równym stopniu co chłodny podmuch wiatru przyczyniła się do tego, że Julie zabrakło tchu.

- To pan tak myśli - powiedziała, obrzucając go stanowczym spojrzeniem.

Po czym odwróciła się i unosząc się nieco, zerknęła w bok. A on wyciągnął ramię i objął Julie w pasie,

ściągając ją w dół.

Odwrocił wzrok od ciemnego, obrzeżonego gęsto rosnącymi drzewami przesmyku, w który właśnie wpłynęli, i spojrzął na nią. - Proszę mi pozwolić wyjaśnić. Nie miałem na myśli mojego domu. Miałem na myśli

teren należący do was, filmowców, chyba że woli pani popłynąć gdzie indziej.

- Nie wolę - odrzekła przez zaciśnięte zęby. A on podniósł rękę, uśmiechając się blado. - Bałem się, że tak

będzie - powiedział.

Julie opadła na siedzenie, nie mając pewności, czy ma mu wierzyć, czy nie. Chwył jego ręki był mocny,

ale nie sprawiał bólu. Między jej oczami trzepotało pasmo mokrych włosów. Podnosząc z roztargnieniem wolną

rękę, odgarnęła je, a potem przesunęła palcami po ociekających wodą splątanych lokach, odlepiając je od głowy.

W końcu zapytała podniesionym głosem:

- Wie pan, kim jestem?

- Nietrudno zgadnąć - odpowiedział, cofając ramię, którym ją obejmował. - Nie jest pani miejscowa, bo albo

bym panią znał, albo bym słyszał o pani już dawno. Ma pani dość pieniędzy i jest pani dostatecznie czarująca, by

przekonać starego Josepha, żeby zabrał panią na nocną przejażdżkę łodzią, co nie jest takie łatwe. Ta cienka

biała sukienka zdradza styl Kalifornii, bo turyści z innych okolic wolą na przejażdżkę łodzią ubrać się w dzinsy

albo jakieś inne spodnie. Stąd wniosek, że musi pani należeć do ekipy filmowej. Jest pani zbyt młoda na to, by

grać w tym filmie żonę, a zbyt dorosła na córkę. Domyślam się więc, że jest pani reżyserką.

- Świetnie - pochwaliła go Julie kwaśno.

Spojrzał na nią z uśmiechem, ale nic nie powiedział.

- Czy pan traktuje tak wszystkie kobiety, czy też może ja powiedziałam coś takiego, że zaczął pan przypuszczać, że chcę zostać porwana?

Zmniejszył nieco prędkość i ryk silnika nieco ucichł.

- Tutaj jest teraz jesień. Mówię to na wypadek, gdyby pani tego nie zauważyła. Znajdujemy się co prawda w

południowej Luizjanie i może się wydawać, że nie jest zimno. Mimo to jednak można się przeziębic.

- Tak?

Na jego twarzy pojawił się wyraz zniecierpliwienia, który zaraz zniknął.

- Może wyraziłem się dziwnie, więc muszę wyjaśnić, że w tych stronach jest to niebezpieczne. Cajunowie

doznają także ataków serca i chorują na raka, nie mówiąc o grypie.

- Ja się z pana nie śmiałam.

- Jestem więc przewrażliwiony. Według pani oczywiście. To też jest niebezpieczne. Znajduje się pani jednak

na moich bagnach i będzie się pani musiała do tego przyzwyczaić.

- Na pańskich bagnach?

Julie starała się zadać to pytanie tonem jedynie neutralnej ciekawości.

On tymczasem spojrzał na nią w jaskrawym świetle, mrużąc oczy i chroniąc je w ten sposób przed wiejącym w twarz wiatrem, i powtórzył głosem, w którym brzmiała spokojna stanowczość:

- Tak, na moich.

- Dlaczego pan tak mówi?

- Ponieważ je znam, ponieważ wiem, gdzie są stojące wody, w których składają ikrę ryby, a aligatory łączą

się w pary, i gdzie są mokradła; na które zimą zlatują się gęsi i kaczki; ponieważ znam chenieres, czyli

porośnięte dębami wzgórza z muszli pozostawionych w dawnych czasach przez Indian, i kanały, którymi

splawia się pnie, i kręte strumienie, i bagniste odgałęzienia rzek prowadzące do jeziora Maurepas przez kanał

Manchac do jeziora Pontchartrain i w końcu do Zatoki. Znam to wszystko od dziesiątego roku życia, kiedy to po

raz pierwszy i ostatni zarazem zabłądziłem. Bagna są moje, bo uczyniłem je swoimi.

- Szczur Bagienny - mruknęła Julie, przypominając sobie nagle słowa starego przewodnika.

- Niektórzy tak mnie nazywają. Ja sobie tego przydomka nie nadałem.

Był mężczyzną przystojnym, urodziwym, o ciemnych włosach i śniadej cerze. Był przypuszczalnie w jej

wieku, może o cztery lub pięć lat od niej starszy. Miał gęste brwi, a jego nos, wysoko sklepiony i prosty, tkwił

między wystającymi kośćmi policzkowymi; głęboko osadzone oczy, otoczone promykami zmarszczek

mimicznych i obrzeżone rzęsami tak długimi, że aż dziw, że się ze sobą nie splątywały, miały kolor kawy. Jego

ręce spoczywające na drążkach sterowniczych były silne i kształtne, pokryte gdzieniegdzie bliznami bielejącymi

pod ciemną opalenizną. Ramiona okryte spraną koszulą w kolorze khaki były muskularne. Siedział wygodnie,

jak człowiek znajdujący się w doskonałej formie fizycznej i zrelaksowany. Podobnie jak obszar bagien, który

uważał za swoje terytorium, on także nie był całkowicie oswojony.

Na przodzie koszuli i na dzinsach, w miejscach, w których przyciskał do siebie Julie, widniały plamy

wilgoci. Przypominając sobie chwilę, w której ten człowiek schwycił ją w ramiona i wciągnął na pokład

ślizgacza, Julie poczuła skurcz mięśni brzucha i drżenie karku. Nie podobało jej się to, o nie - wcale jej się to nie

podobało.

- Czym się pan zajmuje? - zapytała.

Był to nieszkodliwy manewr, pytanie rodem z jakiegoś przyjęcia, mające na celu ustanowienie uprzejmych podstaw konwersacji. Równocześnie jednak Julie ciekawa była odpowiedzi, gdyż przyszedł jej do

głowy pewien pomysł.

- Czym się zajmuję? Robię właściwie niewiele.

Ta odpowiedź niczego nie wyjaśniała. Julie miała wrażenie, że została tak sformułowana celowo. Nie

dawała jednak za wygraną.

- Pracuje pan może w jednej z tutejszych fabryk chemicznych? A może w rafinerii cukru? A może na platformie wiertniczej na morzu? Czy też zajmuje się pan rybołówstwem?

- Nic z tych rzeczy. Można powiedzieć, że jestem na emeryturze.

- To wygodne. Ale czy nie jest pan na to trochę za młody? Ze wzrokiem utkwionym w rzekę odpowiedział:

- Nie.

Wyglądało na to, że miał rację mówiąc o jesiennej pogodzie. Zaczynała się dawać Julie w znaki, zwłaszcza w połączeniu z mokrą sukienką i podmuchem towarzyszącym ruchowi ślizgacza. Na ramionach i

nogach pojawiła się gęsia skórka, a dolna szczęka Julie drżała. Zaczęła rozcierać sobie ramiona.

- Czy mógłby pan ... czy mógłby pan zmniejszyć trochę prędkość? Strasznie mi zimno.

- Powiniennem ją raczej zwiększyć - odpowiedział. Silnik zawył głośniejszym głosem i ślizgacz ruszył jeszcze raz ostro do

przodu.

Julie zacisnęła zęby; wstrząsały nią dreszcze - atakowały w rytmie zgodnym z wibracjami ślizgacza.

Podmuch wiatru rozwał jej włosy, osuszając je. Lzy, które zebrały się w oczach, pod wpływem podmuchu

splęły po skroniach. Schyliła głowę, próbując to wytrzymać.

- Jesteśmy prawie na miejscu - krzyknął pilot.

Była to prawda. Julie zobaczyła różowawe światło dodatkowych lamp rtęciowych osadzonych na słupach, które obsługa techniczna rozmieściła tak, by oświetlały teren w nocy. Za drzewami z trudem można

było dostrzec metaliczny połysk przyczep, w których mieściły się biura, i karawaningów ustawionych wzdłuż

zygzakowatej linii. Za drzewami majaczył też masywny kształt metalowego budynku, w którym mieścił się Klub

Jachtowy Parafii Świętego Jakuba. Klub ten pozwolił Excel Films korzystać ze swego parkingu i dostępu do

rzeki. Za chwilę Julie zmieni ubranie na suche i napije się czegoś gorącego. I będzie musiała podziękować

Szczurowi Bagiennemu za to, że przywiózł ją do domu:

- Właśnie sobie uświadomiłam - powiedziała, gdy on wyłączył silnik i ślizgacz podryfował w stronę mola -

że nie wiem, jak się pan nazywa.

Kąciki jego ust uniosły się.

- Myślałem, że zna pani moje imię.

- To, które znam, na nic się nie zda. Nie znajdę go na przykład w książce telefonicznej.

- Nazywam się Rey - odpowiedział. - Rey Tabary.

- Jest pan Cajunem, jak się domyślam?

- Jestem francusko - hiszpańskim Kreolem z domieszką krwi Cajunów, jeśli pani wie, co to znaczy.

- To oznacza osobę mającą w żyłach krew francuską i hiszpańską, lecz urodzoną na obcej ziemi, w tym

wypadku w Ameryce, i spokrewnioną z rodziną francuską wypędzoną przez Brytyjczyków z Nowej Szkocji

ponad dwieście lat temu.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Studiowała pani historię tego stanu.

- Urodziłam się tutaj, chociaż moi przodkowie byli po prostu Anglikami, Irlandczykami i Walijczykami.

- To raczej skomplikowane.

Robiąc tę uwagę uśmiechnął się tak szelmowsko, że nie było wiadomo, czy chciał jej w ten sposób powiedzieć komplement, czy też nie. Zresztą wcale jej to nie obchodziło.

Zbliżając się do terenu filmowców Tabary przyspieszył. Ślizgacz okrążył drewniane moło, do którego

były przycumowane dwie łodzie z kabinami mieszkalnymi, i podpłynął do brzegu. Na brzegu kręcili się ludzie;

niektórzy z nich budowali drewnianą platformę potrzebną do jutrzejszych zdjęć, inni rozmawiali przyciszonymi

głosami, jeszcze inni gotowali coś w ogromnym aluminiowym garnku nad palnikiem gazowym. Popatrzyli w

stronę śliz" gacza z dużym zainteresowaniem. Zanosilo się na to, że Julie nie uda się dotrzeć do własnego

karawaningu bez udzielenia odpowiedzi na ich pytania.

Ślizgacz przedarł się przez kępę wodnej trawy i zatrzymał się na błotnistym brzegu.

- Jeżeli ma pan ochotę spotkać się ze wszystkimi, zapraszam pana na drinka - powiedziała Julie, zdecydowana okazać gościnność.

- Dziękuję, ale może innym razem. Teraz muszę już jechać. Wychodząc ze ślizgacza nie wyłączył silnika.

Owinąwszy sobie linę dookoła dłoni i utrzymując ślizgacz w równowadze, podał Julie drugą rękę, pomagając jej wysiąść.

Zeskoczyła, opryskując mu buty wodą kapiącą ze spódnicy.

Podziękowała krótko i rzeczowo i chciała odejść, ale on nie puszczał jej ręki.

Spojrzała na niego, niepewna, co to znaczy. Przyglądał się jej uważnie w świetle rtęciowych lamp

osadzonych na słupach. Jego dłoń była ciepła, trzymał Julie nie brutalnie, ale stanowczo.

- O co chodzi? - spytała, unosząc lekko brwi.

Nie odpowiedział. Z namysłem puścił linę, wyciągnął rękę, wziął drugą dłoń Julie i rozpostarł jej ramiona na całą szerokość. Przyjrzał się nagim rękom, nie okrytym przez krótkie rękawy sukienki, najpierw od

wewnątrz, a potem z zewnątrz. Kiedy próbowała się wyrwać, przesunął po nich szybko dłońmi w górę ku

ramionom, a potem wsunął palce pod włosy, przesunawszy je po gładkiej skórze szyi.

- Co pan robi? - spytała zdenerwowana, tym bardziej że jej głos nieco drżał.

A on ponownie przesunął dłońmi po jej na rękach, tym razem w dół i chwycił ją za przeguby.

- Niech pani podniesie spódnicę - powiedział cicho.

- Pan chyba zwariował.

- Niezupełnie - odrzekł prawie z błyskiem złości w oczach. - Chcę tylko zobaczyć, czy nie przyczepiły

się do pani pijawki.

- Pijawki?!

- To bardzo możliwe.

- Chyba pan żartuje.

- Oczywiście, jeżeli chce pani, żeby wyssały z pani krew, byle tylko nie pokazać mi nóg - to pani sprawa. Ale

ostrzegam panią: one się nie odczepią, dopóki nie staną się dziesięć razy większe, a ślady, które pozostawiają,

mogą zamienić się w blizny.

- Proszę mnie puścić. Sama się obejrzę - odburknęła.

- Sama nie zauważy pani wszystkiego, co trzeba zauważyć.

Brzmiało to podejrzanie, ale istotnie Julie czuła, że jej skóra jest mokra i zimna i że coś się do niej przyczepiło. Tabary tymczasem stanął pomiędzy nią a audytorium złożonym z członków ekipy

filmowej i klubu

jachtowego. Zasłaniał ją przed spojrzeniami tych ludzi. Patrzył uważnie i zuchwale, trudno więc było przewidzieć, co zrobi, jeżeli on odmówi. Nie ścisnął jej za rękę, ale czuła, że gdyby chciał, nie pozwoliłby jej się wyrwać.

- Och, na litość boską! - krzyknęła rozdrażniona.

Wyrwała mu rękę, a potem zebrała ociekającą wodą spódnicę, podnosząc ją do wysokości pół uda.

Spojrzał w dół, a potem obrócił ją wkoło; jego dotknięcie było pospieszne, bezosobowe. Przez chwilę

oceniał to, co zobaczył, a Julie wydawało się, że ta chwila nigdy się nie skończy.

- W porządku - powiedział wreszcie. - Jest pani czysta.

- Dziękuję - odpowiedziała, czując, że ma ściśnięte gardło.

Odwróciła się szybko, stając z nim twarzą w twarz.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Zawahał się, patrząc na nią z góry. Z jego twarzy zniknął stopniowo wyraz rozbawienia. Potem kiwnął powoli głową i cofnął się.

- I proszę mi wybaczyć.

Wybaczyć? Co? Czy to, że przez niego wpadła do rzeki? Czy też to, że poświęcił swój czas i sprawdził,

czy nie oblażyły jej pijawki? Julie nie dana była szansa, żeby o to zapytać.

Przeskakując lekko przez burtę, wrócił na swój ślizgacz, który cofnął się od brzegu z rykiem silnika.

A

potem oddalił się, wracając tą samą drogą, którą tu przybył, robiąc wiele hałasu i zostawiając za sobą głęboką

bruzdę piany.

Julie patrzyła za nim do chwili, gdy schował się za jakimś zakrętem, a potem spojrzała na siebie, na poplamioną i przemoczoną sukienkę, na błoto między palcami nóg. Włosy miała w nieładzie, a

makijaż, jeżeli

coś jeszcze z niego pozostało, najprawdopodobniej był rozmazany. Mało tego, rozmawiała przed chwilą z

człowiekiem, który wyciągnął ją z wody, jak jakaś wiedźma albo wstydliva dziewczyna. Nie miała pojęcia, jak to

się stało, że zachowywała się w sposób tak nieopanowany i prostacki.

W chwilę później potrząsnęła głową śmiejąc się nerwowo. Co ją obchodzi, jak wyglądała, co pomyślał o

niej człowiek noszący przydomek Szczur Bagienny?

Rey Tabary był w istocie typem mężczyzny najmniej przez nią akceptowanym i takim, do którego miała

najmniej zaufania. Był typem władczyego macho, który najprawdopodobniej uważał, że każdy konflikt należy

rozwiązywać siłą i że kobiety są zabawkami stworzonymi do rozrywki. Z pewnością na wszystko miał

przemądrzałą odpowiedź. Był więc pod każdym względem przeciwieństwem Allena Gravesenda, narzeczonego

Julie i producenta jej filmu, któremu Rey nigdy nie mógłby dorównać.

A na dodatek gotowa była przysiąc, że ten Cajun coś ukrywa.

Odpowiadając na pytania umyślnie stosował uniki i była pewna, że za tymi idiotycznie długimi rzesami

skrywają się jakieś ciemne myśli.

Znowu działała jej wyobraźnia. Tajemnica - jeżeli istniała jakakolwiek tajemnica - polegała

prawdopodobnie na tym, że on jest żonaty. Ten człowiek to tylko arogancki mędrak. Podobnie jak jej ojciec.

Był też kimś, kogo potrzebowała.

Potrzebowała go do filmu. Tylko. do filmu, do niczego innego.

Tak, tylko do filmu.

Ten pomysł przyszedł jej do głowy w chwili, gdy on mówił o swoich bagnach i o tym, że jest Cajunem.

Julie tak bardzo chciała przekazać prawdę o tych okolicach, przekazać ducha i smak życia tych ludzi, w niczym

jednocześnie nie przesadzając. Zarówno ten duch, jak i smak życia miały ogromne znaczenie dla jej filmu, dla

realizmu przekazu, jego mechanizmów i samej istoty. Julie od początku martwiła się o tę część filmu, której

akcja miała się rozgrywać na bagnach, martwiła się o rozłożenie akcentów przy prezentowaniu życia Cajunów, o

to, czy uda jej się przedstawić ich obyczaje i światopogląd, w którym główną rolę grała męska dominacja;

martwiła się o sceny przedstawiające łowienie ryb i szybkie jazdy motorówkami po krętych rzekach i strumieniach. Bardzo potrzebny był jej ktoś, kto mógłby udzielić wskazówek na temat szczegółów.

Rey Tabary był takim człowiekiem. Należało go tylko o tym przekonać.

Zaangażowanie się w produkcję filmu było ostatnią rzeczą, na jaką Rey Tabary miałby ochotę. Nie chciał

dać się przekonać i postawił sprawę jasno, w momencie gdy się zorientował, czego Julie od niego chce.

Powiedział "nie" i powtarzał to wiele razy, podczas gdy ona wyjaśniała mu, w jaki sposób chce przedstawić

bagna - jego bagna i jego lud Cajunów. Odmawiał, kiedy usiłowała mu zaoferować stanowisko konsultanta i

placę równą półrocznym poborom przeciętnego pracownika oraz premię, w wypadku gdyby udało się ukończyć

film przed terminem. Odmówił z podziękowaniem, choć Julie przekonywała, że bez niego film z pewnością

straci na wartości.

Pamiętał, jakiej należy udzielić odpowiedzi; to nie sprawiało mu trudności. Z trudem natomiast

uświadamiał sobie, że ona w chwili gdy przyjmie w końcu do wiadomości jego odpowiedź odejdzie i nigdy się

już do niego nie odezwie.

Poprzedniej nocy Rey zastanawiał się, jakiego dokładnie koloru są jej oczy. Teraz już wiedział. Były

zielone, zielone łagodną, czystą zielonością zimowej trawy, rosnącej w tej szerokości geograficznej. Były też

jasne i szczerze, inteligentne i pozbawione śladu kokieterii. Rey nie był pewien, czy ta powściągliwość i brak

uciekania się do tradycyjnych metod kobiecej perswazji ułatwiają mu całą rzecz, czy też utrudniają.

Julie nie tak prędko rezygnowała, co nie czyniło sprawy prostą.

Kiedyś osoba taka jak ona, długonoga kobieta ze słońcem we włosach, kobieta, która wie, czego

oczekuje, mogłaby od niego uzyskać wszystko. Zresztą nawet i teraz Rey łapał się na tym, że patrzy uważnie na

jej delikatne wargi, obserwuje, jak światło błyszczy na złoto zakończonych rzęsach, i przygląda się

kościom

policzkowym, pod którymi w zagłębieniach kładą się cienie. Kiedy tak stali obok siebie, Julie sięgała mu do

podbródka. Sukienka, którą miała na sobie, uszyta z bawełny w dziwnym, przydymionym odcieniu zieleni, była

ściągnięta szerokim zamszowym paskiem w kolorze piasku. Talia tej dziewczyny była tak wąska, że miał ochotę

objąć ją dłońmi.

Julie Bullard nie była osobą powierzchowną, nie zachowywała się też nieszczerze, nie ukrywała swoich

prawdziwych zamiarów. Była bezpośrednia i rzeczowa. A jednak miała w sobie jakąś delikatność, podatność na

zranienie, jakąś nadmierną .wrażliwość i nadmierną powagę. Rey zastanawiał się, czy ktoś kiedyś się z nią

drażnił, rozśmieszał ją, zachęcał do tego, żeby straciła panowanie nad sobą i zrobiła lub powiedziała coś

śmiesznego, .kapryśnego, co właśnie wpadło jej do głowy. Raczej w to wątpił.

Ona tymczasem czekała, aż on się znowu odezwie.

- Są inni ludzie, którzy mogą pani pomóc, panno Bullard powiedział uprzejmie. - Na przykład stary Joseph.

Niech pani spróbuje z nim porozmawiać.

- Rozmawiałam z nim, ale on mnie zapewnił, że pan jest najlepszy. A poza tym, w połowie nie jestem pewna,

co Joseph mówi, i mam ogromne wątpliwości, czy on mnie rozumie.

- On rozumie to, co chce rozumieć - odpowiedział Rey chłodno. Julie popatrzyła na niego z zakłopotaniem,

marszcząc brwi.

Nonszalancja tego człowieka i absolutny brak zainteresowania z jego strony tym, co mu proponowała,

wyprowadzały ją z równowagi. Mógł przynajmniej wysłuchać ją do końca. Ale on nie chciał. Stojąc na galerii i opierając się o kolumnę podpierającą ąach starego drewnianego domu, obserwował ją tylko i czekał, aż skończy rozmowę i sobie pójdzie. Julie odwróciła wzrok, szukając w myśli jakichś przekonujących argumentów.

Dom stał przy Great River Road, która była szeroką ulicą biegnącą równolegle do wijącej się Missisipi.

Stał w cieniu starych dębów, których. grube gałęzie opadały aż na ziemię, a zbudowany był z drewna cyprysowego, nie malowanego i srebrnoszarego ze starości. Nie był zbyt duży, miał sześć pokoi i sypialnię na mansardzie. Nie sprawiał jednak wrażenia małego, gdyż pokoje były przestronne. Stał na ceglanych filarach mających siedem lub osiem stóp wysokości i zapewniających dobrą cyrkulację powietrza oraz zabezpieczających przed powodzią. W ciągu ostatnich trzydziestu czy czterdziestu lat w przestrzenie między filarami wbudowano ceglane ściany, dzięki czemu powstała suterena służąca jako skład i garaż. Wzdłuż frontowej i tylnej ściany domu biegły długie werandy, zwane w tych stronach galeriami. Na galeriach były barierki z prostymi słupkami, przytwierdzone do kanciastych kolumn, które z kolei podtrzymywały dach z zardzewiałej blachy.

Rey i Julie stali na galerii z tyłu domu. Za domem znajdowało się patio, wyłożone ręcznie ceglami, którego prowadziły wysokie stopnie. Tuż obok rogu domu rósł krzew jaśminu, wysoki na dziesięć stóp i rozrośnięty wszereż na sześć. Na trawniku natomiast rosły gdzieniegdzie krzewy mirtu z pniami powykręcanyimi i srebrnymi ze starości. W pewnej odległości znajdował się ogródek, w którym uprawiano dynie i fasolę

szparagową, cebulę, rzepę i kapustę ogrodową i w którym były grządki różnych ziół. Dalej, na podwórku dla

kur, za płotem, grupka leghornów skrobała pazurami gołą ziemię. Po trawniku spacerował dumny władca tego

królestwa - paw o piórach lśniących w słońcu odcieniami błękitu i zieleni. Towarzyszyło mu stadko składające

się z kilku samiczek

- Dlaczego? - spytała w końcu Julie. - Dlaczego nawet nie zastanowi się pan nad moją propozycją? Sam pan

mówił, że nie ma pan stałej pracy i nie ma pan co robić.

- Powiedziałem, że jestem na emeryturze, a to niezupełnie to samo.

- Jakie to ważne zajęcia powstrzymują Pilna od popracowania ze mną przez kilka tygodni? Myślę, że to coś,

cokolwiek by to było, może zostać odłożone na później, a pan tymczasem może nieźle zarobić. Dzięki temu

będzie mógł pan coś kupić albo dokonać modernizacji domu.

- Uważa pani, że ten dom wymaga modernizacji? - Rey rozejrzał się.

- Tego nie powiedziałam - odrzekła pospiesznie Julie, dostrzegając w jego głosie nutę ironii. - Ale wielu ludzi

w ten sposób wykorzystuje niespodziewanie otrzymane pieniądze.

- Ten dom należy do mojej ciotki, a ona woli jego naturalny wygląd. Cyprys jest praktycznie niezniszczalny,

niezależnie od tego, czy się go pomaluje, czy nie. Farba pleśnieje pod wpływem wilgoci, więc skoro raz się taki

dom pomaluje, trzeba go ciągle na nowo malować. Taki wygląd to nie zawsze sprawa pieniędzy czy braku

dbałości.

Julie popatrzyła na niego, a potem uśmiechnęła się nerwowo.

- Rozumiem. Rzeczywistość nie zawsze jest taka, na jaką wygląda.

- Ja też nie jestem taki, na jakiego wyglądam.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- A co daje pani taką pewność, że jestem odpowiednim człowiekiem do roli, którą chce mi pani narzucić? Nic

przecież pani o mnie nie wie.

- Wiem to, co chciałabym wiedzieć.

- Hm - mruknął - miło jest spotkać kobietę tak pewną siebie. Ale skąd pani może wiedzieć, skoro pani jeszcze

ze mną niczego nie próbowała?

Na jej policzki wypłynął rumieniec.

- Miałam na myśli tylko interesy - powiedziała nerwowo. Uśmiech, który powoli pojawił się na jego twarzy,

wskazywał w równym stopniu na rozbawienie, jak na skruchę.

- Sprowokowała mnie pani, tak że nie mogłem się powstrzymać. przepraszam.

- W każdym razie ma pan doskonałe kwalifikacje - kontynuowała pospiesznie Julie, próbując zignorować

zarówno jego niestosowną uwagę, jak i przeprosiny. - Wyrósł pan na bagnach, pański dziadek i ojciec słynęli ze

znajomości tej okolicy, a swoją wiedzę przekazali panu. Co więcej, studiował pan historię Luizjany na

Southwestern i ma pan stopień naukowy w tej dziedzinie, nie mówiąc już o tym, że skończył pan studia w

zakresie zarządzania.

- Widzę, że Joseph się rozgadał.

- Nie, to ja zadawałam pytania. Nie mam zamiaru brnąć w to na oślep. Nie przyszedłabym tu, gdybym nie

uważała, że pana wkład w nasz film może być bezcenny.

Rey przez dłuższą chwilę patrzył jej w oczy. Jego spojrzenie było ponure.

- Czy pani wie, że byłem kiedyś agentem DEA?

- Joseph mówił coś o agencji antynarkotykowej.

- Rozstałem się z nimi - powiedział spokojnie - gdyż padł na mnie cień. W związku ze sprawą brakujących narkotyków.

- Był pan winien?

Patrzyła na niego nieustępliwym spojrzeniem. Jego pierś wstrząsnął krótki śmiech.

- A cóż to za pytanie. Przecież gdybym był winien, to bym pani i tak nie powiedział. A jeżeli powiem, że nie,

to kto mi uwierzy?

- Ja bym uwierzyła.

Na jego twarzy na chwilę pojawił się dziwny wyraz, jak gdyby wypowiedziane przez nią słowa obudziły

w nim myśli i uczucia, z którymi nie mógł sobie poradzić; jakby przywdziany pancerz został nagle przedziurawiony.

Równocześnie Julie uderzył jego spokój. Nie usiłował się tłumaczyć ani bronić, nie sięgnął dłonią, by

poprawić włosy, nie dotknął ubrania, nie zmienił ani na chwilę swej postawy. W odróżnieniu od większości

atrakcyjnych mężczyzn, których znała, przeważnie aktorów, chyba nie zdawał sobie sprawy, jak wygląda. Nie

obchodziło go też, jakie robi na niej wrażenie.

- Mnie się wydaje - powiedział ze spokojnym namysłem - że pani, chcąc osiągnąć cel, gotowa jest powiedzieć

wszystko.

Julie odwróciła na chwilę wzrok, popatrzyła gdzieś ponad jego ramieniem. Kiedy spojrzała na niego znowu, jej wargi wygięły się w pełnym skruchy uśmiechu.

- Rzeczywiście - przyznała spokojnie.

- W takim razie - odezwał się - powiem pani, że jestem całkowicie niewinny. Wierzy pani w to?

- Dlaczego miałabym nie wierzyć?

- Rzeczywiście, dlaczego nie. Ale i tak nie mogę być konsultantem w pani ekipie.

Julie zrozumiała, że Rey mówi. całkiem poważnie i żadne jej słowa nie wpłyną na zmianę decyzji.

Żywienie urazy z tego powodu byłoby czymś nieracjonalnym. A jednak Julie czuła urazę.

- To znaczy, że pan nie chce nim być.

- Tego bym nie powiedział.

- N a pewno tylko przez grzeczność - odrzekła.

Przerwał im głuchy odgłos kroków. Drobną kobietą, która została Julie przedstawiona na początku tej

wizyty jako ciotka Tine, wyszła na galerię. Niosła tacę zastawioną szklankami mrożonej herbaty; na ich

krawędziach perliły się kropelki wilgoci. Obok szklanek, na paterze z nóżką leżały kawałki żółtego ciasta. Julie

aż zamrugnęła, kiedy zauważyła, że szklanki i patera są wykonane z pięknego kryształu, do złudzenia

przypominającego Wyroby z Baccarat, a ukrochmalone na sztywno serwetki obszyte ręcznie robioną koronką są

z prawdziwego lnu.

- O co się sprzeczacie? - spytała starsza pani śpiewnym akcentem, który podkreślał jeszcze ironię, z jaką

patrzyła na bratanka. - Za moich czasów, num cher; przystojny mężczyzna i ładna kobieta potrafili znaleźć sobie

lepsze zajęcie niż sprzeczka.

- Oczywiście, oczywiście - odpowiedział Rey, na którego twarz powoli wypłynął uśmiech. Ruszył w stronę

ciotki, żeby wziąć z jej rąk ciężką tacę.

- O nie, nie, nic z tych rzeczy! Oni by tylko rozmawiali o swoich rodzinach i przyjaciółach, o tym, czy lubią

tańczyć i o innych takich ważnych sprawach.

- Panna Bullard chce mnie zatrudnić u siebie przy filmie. Rey szedł do przeciwległego końca galerii, gdzie

między dwoma bujanymi fotelami i obok huśtawki, na której leżała sterta obciążniętych perkalem poduszek, stał

nakryty stół. Ciotka Tine pomknęła za nim, by rozstawić wszystko na stole.

Julie wydawało się, że tych dwoje wymieniło między sobą szybkie jak błyskawica spojrzenie. Zanim zdążyła się zastanowić nad tym, co oznaczało, starsza pani mówiła już do bratanka:

- Pracowałbyś więc razem z Paulem. Co w tym złego?

- Z Paulem? - spytała Julie.

- To mój przyjaciel - odpowiedział Rey. - Został zatrudniony jako kaskader przez jakąś kobietę z pani ekipy.

Twierdził, że to pani asystentka.

- To na pewno była Ofelia. Mówiła mi, że zatrudniła większość potrzebnych ludzi, kaskaderów i statystów. A

ja jeszcze wszystkich nie poznałam, bo przyjechałam z Nowego Orleanu dopiero wczoraj rano.

Asystentka Julie, Ofelia Selby, była w pracy bardzo sprawna i energiczna. Musiała być taka, gdyż ze względu na ograniczony budżet filmu wykonywała podwójne obowiązki: kierownika produkcji i asystentki

reżysera. Ofelia już od pewnego czasu przebywała na bagnach, wykonując prace przygotowawcze do drugiej,

bardzo ważnej fazy realizacji filmu, mającej nastąpić właśnie teraz. Zajmie ona dwa najbliższe tygodnie. Julie

była w tym czasie w Nowym Orleanie i przeglądała z montażystą materiał nakręcony w tym mieście. Załatwiała

też wszystkie sprawy związane z licencjami i zezwoleniami potrzebnymi do kręcenia na bagnach. Przyjechała na

miejsce tak szybko jak mogła. Aktorzy mieli przybyć tego popołudnia i na drugi dzień.

- Donna, to znaczy żona Paula, jest tym tak podniecona, że nie może się już doczekać - mówiła ciotka -Tine. -

Paul obiecał, że za część zarobionych wielkich pieniędzy kupi pierścionek z brylantem dla niej i nadmuchiwany

basen dla ich dwóch synów. Za resztę chce kupić sobie łódź do połowu krewetek Zawsze marzył o tym, żeby

rzucić pracę i zacząć zarabiać na życie łowieniem.

Julie usadowiła się w fotelu bujanym obok Reya i sięgnęła po herbatę i ciasto, które podała jej starsza

kobieta.

- Przekonywałam pani bratanka - zwróciła się do niej - że konsultant też jest dobrze wynagradzany. Zarobki

są co najmniej takie jak pensja kaskadera. A kaskader może zarobić dziesięć tysięcy dolarów netto za wykonany

numer, nawet narażając się na stosunkowo niewielkie niebezpieczeństwo.

- Tak? Ale Reyowi nie zależy na pieniądzach. Dlaczego miałoby mu na nich zależeć?

Julie aż zamrugnęła, słysząc to pytanie. Równocześnie odniosła nieprzyjemne wrażenie, że wykazała pewną tępotę. Uśmiech, który przemknął przez twarz Reya Tabary'ego na widok jej zmieszania, potwierdzał to.

- Mało jest ludzi, którym od czasu do czasu nie przydadzą się dodatkowe pieniądze - powiedziała Julie

obronnym tonem.

- Miałem właśnie powiedzieć panie Bullard - odezwał się Rey, naśladując Julie i zwracając się do ciotki - że

nie chcę mieć do czynienia z filmem, który przedstawia mieszkańców Luizjany jako zacofanych, niemoralnych i

prymitywnych. Albo z takim, który mówi, że bagna są ściekiem pełnym ludzkich i zwierzęcych potworów.

- Ja nie robię takiego filmu! - zaprotestowała Julie.

- Być może nie ma pani takiego zamiaru.

- Ale pan myśli, że film mimo wszystko będzie taki z powodu mojej ignorancji? Czy tak?

- Tak się zwykle dzieje.

- Przesadza pan. Było. trochę dobrych filmów nakręconych w tym stanie. Filmów, które zdobyły nagrody.

- Jeżeli mówiąc o dobrych filmach ma pani na myśli obsadę złożoną z samych gwiazd i pasjonującą fabułę, to

zgadzam się. W jednym z nich pokazano jednak wesele, podczas którego para z północy stanu, ubrana uroczyście, wykonuje szaleńczy taniec chodaków do muzyki w stylu Cajunów. I na dodatek jest to wesele

jakichś robotników rolnych, członków Kościoła episkopalnego. Wszystko w tej scenie było fałszywe. A ponadto

w scenie pogrzebu, po nabożeństwie, matka zostaje sama nad grobem córki. Nic takiego nie mogłoby się

zdarzyć w rzeczywistości, matka byłaby ze wszystkich stron otoczona przez krewnych, mężczyzn i kobiety.

- Tak - wtrąciła się ciotka Tine. - A poza tym pokazali, że azalie i mirty kwitną równocześnie. Czegoś takiego

w życiu nie widziałam. I nie uwierzy pani: kwiaty w trawie kwitnące na Wielkanoc były z jedwabiu. Toż to

wierutne kłamstwo! I dlaczego tak zrobili? - pytam. A te dekoracje na weselu, w Boże Narodzenie i w wigilię

Wszystkich Świętych! Boże! Czy ci ludzie z Hollywood nie mają za grosz gustu? Czy może myślą, że my go nie

mamy?

- Wiem, który film mają państwo na myśli - powiedziała Julie z wymuszonym uśmiechem. - Oni pewnie

mieli nadzieję, że nikt nie zauważy tych kwiatów. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że większość kobiet na

Południu to zawołane ogrodniczki. A co do tego nadmiaru ozdób - to prawdopodobnie zrobiono tak dla śmiechu.

Ciotka Tine pokręciła głową.

-Jeżeli tak, to był to niewczesny żart.

- Problem w tym - powiedział Rey - że ten film był jednym z lepszych.

- Mógłby pan zapobiec takim rzeczom. Bo to jest właśnie zadanie konsultanta.

W spojrzeniu Julie było wyzwanie.

- Oglądanie błędów przy równoczesnej niemożności naprawy —nia ich może spowodować wrzód żołądka.

Miał rację.

- Założmy - odrzekła Julie po chwili - że obiecuję panu, że do pana będzie należało ostatnie słowo tam, gdzie

będziemy pokazywać bagna i mieszkańców tych okolic. Przypuśćmy, że dam panu szansę udziału w planowaniu

scen, które przedstawiają tubylców w jak najlepszym świetle, Co pan na to?

Rey pokręcił głową.

- Nie sądzę, by się to udało. A poza tym ja naprawdę mam inne sprawy na głowie.

Rozmowa została zakłócona przez dzwonek znajdującego się gdzieś daleko telefonu. Rey przeprosił i

wszedł do domu. Skwapliwość, z jaką to zrobił, nasunęła Julie przypuszczenie, że jest zadowolony z możliwości

przerwania tej rozmowy.

- A ten taniec chodaków! Nie było w nim żadnego dostojenstwa - powiedziała ciotka Tine, wracając do

poprzedniego tematu. - Walc Cajunów, kiedy go się tańczy dobrze, jest piękny. Pełen gracji. Rękę trzyma się na

biodrze albo z tyłu, spódnica tancerki wiruje. Dlaczego nie pokazali takiego walca? Ja lubię filmy. Kiedy byłam

dziewczynką, nauczyłam się z nich angielskiego, bo oglądając starałam się rozumieć słowa. Ale takimi rzeczami

oni doprowadzają mnie do białej gorączki!

- Mnie też - powiedziała Julie szczerze. - I dlatego właśnie zależy mi tak bardzo na tym, żeby pani

bratanek

ze mną pracował. Nie mogłaby go pani przekonać, by zmienił zdanie?

Stara kobieta pokręciła głową.

- Rey nie zmienia łatwo zdania. Chciałabym pani pomóc, ale nie jestem w stanie.

- Gdybym mogła go namówić, żeby przyszedł na plan, popatrzył, co się tam dzieje ... Może wtedy ...

Ciotka Reya zamyśliła się.

- To można by zrobić - powiedziała powoli. - Tak, myślę, że Rey będzie musiał zawieźć mnie na plan, żebym

zobaczyła, faktycznie jak się kręci film, jak grają aktorzy....

Julie zaczęła mieć nadzieję, jej policzki zarumieniły się. Pochyliła się w stronę starszej kobiety.

- Naprawdę mógłby panią zawieźć na plan? - spytała. Ciotka Tine kiwnęła głową; minę miała chytrą.

- Myślę, że będę chciała zdobyć autografy gwiazd. Tego Vance'a Stuarta i tej Madelyn de Wells, o których

czytałam we wszystkich gazetach. Od długiego czasu jestem wielbicieleką Vance'a Stuarta. Od wielu lat

codziennie oglądam go w serialach. Możemy tak zrobić? Może jutro?

- Świetnie - zgodziła się skwapliwie Julie.

- Jest jeszcze jedna sprawa.

Julie popatrzyła na ciotkę Tine z uwagą, gdyż zastanowił ją chytry wyraz jej ładnych oczu.

- Tak? Jaka?

- Czytałam, że tym, którzy wypożyczają swoje domy do filmu, płaci się dużo pieniędzy. No wie pani, takim,

którzy pozwalają, żeby aktorzy udawali, że mieszkają w ich domach. Mój dom nie jest ładny, ale jest stary, ma

prawie sto pięćdziesiąt lat. To prawdziwy dom Cajunów. Wykorzystałabym te pieniądze na na —
prawę dachu

nad dodatkową sypialnią, ponieważ przecieka. Nie naprawiano go od wieków. Ostatni raz wtedy, gdy żył jeszcze

mój mąż, Etienne. Blaszane dachy są dzisiaj takie drogie, że wielu funduje je sobie w luksusowych domach.

Przyda się pani mój dom, prawda?

- Obawiam się, że nie - powiedziała Julie z żalem w głosie. A poza tym te duże pieniądze płaci się ze względu

na to, że dom może zostać zniszczony, bo czasami burzy się ściany, żeby ustawić kamery pod odpowiednim

kątem, a czasem niszczy się podłogi, przesuając po nich ciężki sprzęt. Jeżeli pani dom jest zabytkowy, to na

pewno nie chciałyby pani tego.

Na twarzy ciotki Tine pojawił się wyraz rozczarowania. Mimo to uśmiechnęła się z odrobiną dumy.

- Jest na liście zabytków narodowych.

- To piękny, stary dom - powiedziała Julie, rozglądając się i patrząc na słońce oświetlające wschodni koniec

galerii i na flagowiec, który mimo późnej pory roku zachował aksamitne, zielone liście. Rosły na nim duże żółte

flagi.

Gdakanie kury oznajmiającej, że zniosła jajko, potęgowało tylko wrażenie spokoju. Julie przyszedł do

głowy pewien pomysł. Wydał jej się tak doskonały, że zaczęła mówić bez zastanowienia.

- Wie pani co? Ludziom płaci się takie za wynajęcie pokoi aktorom albo innym członkom ekipy. Myślę, że

komorne pokryłoby wydatki związane z naprawą dachu.

- Będziecie tutaj tak długo?

- Nie, ale moglibyśmy zapłacić pani dodatkowo za niewygodę.

- Ale potrzebowalibyście całego domu, prawda? Czy musiałabym się wyprowadzić?

- Wówczas nie przeszkadzalibyśmy pani wchodząc i wracając o różnych porach. Oczywiście gdyby pani

wynajęła dom do kręcenia filmu, też musiałaby się pani wyprowadzić.

Starsza kobieta pokręciła głową.

- Chyba lepiej tego. nie robić. Ja zaproponowałam to zbyt pośpiesznie, bo zjawiała się pani tutaj i zdawało mi

się, że to dla mnie znak. Ale Rey nie będzie chciał się wyprowadzić, a mieszka teraz ze mną. Zjawiała się pani nie

w porę. Ale to nic. A może mogłabym wynająć tylko jeden pokój, dodatkową sypialnię? Przysięgam na różaniec

pobłogosławiony przez papieża, że ten przeciek w suficie jest bardzo mały.

Julie przez dłuższą chwilę patrzyła na starszą kobietę, na jej wyraziste rysy, w sposób tak klasyczny i

nieokreślony francuskie, na delikatną cerę, która z wiekiem upodobniła się do bibułki, i na zmarszczki wokół

Oczu będące śladami uczuć. Podjąwszy nagłą decyzję, powiedziała:

- Jeżeli naprawdę chce pani ten pokój wynająć, to nie ma problemu. Ja go wezmę.

Wkrótce potem, przed powrotem Reya na galerię, Julie pożegnała się, nie dając mu możliwości

powstrzymania ciotki od decyzji wynajęcia pokoju. W zasadzie nie wiedziała, czy będzie się starał odwieść ją od

tego zamiaru, ale wolała nie ryzykować. Umówiła się z ciotką Tine, że przyśle rzeczy na drugi dzień po

południu. Wprowadzić się miała wtedy, gdy będzie mogła, a zależało to od postępu w przygotowaniach do

zdjęć. Ekipa przygotowywała się właśnie do dynamicznej sceny mającej się rozegrać na otwartej przestrzeni na

wodzie, którą ona odkryła poprzedniej nocy, sceny, w której przyjaciel Reya miał brać udział jako kaskader i

którą zamierzano kręcić nazajutrz lub najpóźniej za dwa dni. Przygotowania były zadaniem skomplikowanym i

mogły zająć sporo czasu.

Julie postanowiła wynająć pokój z kilku powodów. Po pierwsze, myślała, nie zaszkodzi, jeżeli

będzie

mieszkała w tym samym domu co Rey Tabary. Im więcej czasu z nim spędzi, tym większe będzie miała szanse

przekonania go, by rozważył ponownie propozycję. Jeżeli uprze się, to ona będzie na miejscu i wycisnie z niego

potrzebne wiadomości za darmo. Poza tym wielu spraw na temat obyczajów i poglądów Cajunów będzie się

mogła dowiedzieć od ciotki. Dopilnuje oczywiście, żeby starsza kobieta otrzymała za swoją pomoc odpowiednią

gratyfikację; ciotka Tine nie zarzekała się przecież, że nie chce dla niej pracować.

Ostatni powód był związany z jej asystentką. Kiedyś Julie i Ofelia często mieszkały razem w

motelowych pokojach, dla oszczędności. Miało to swoje dobre strony, gdyż pozwalało im na ścisłą współpracę,

a często na wspólne zajęcia do późnej nocy. Jednak wtedy działały jako niezależne producentki. Królestwo

bagien natomiast było pierwszym filmem, który Julie robiła dla wielkiego studia. Dostała do dyspozycji

dwanaście milionów. Był to budżet skromny, lecz nie w porównaniu z poprzednimi, które wynosiły zaledwie

paręset tysięcy. Ona i Ofelia mogły więc sobie pozwolić na mieszkanie oddzielnie ..

Przyjaźniły się od lat, od czasu studiów. Ofelia była doskonała w sprawach związanych i robotą

papierkową, z werbunkiem statystów, wyżywieniem ekipy, sprowadzaniem rekwizytów. Dzięki niej Julie nie

musiała się martwić o tysiące szczegółów. Ofelia była kobietą wysoką, o ciężkiej budowie ciała i rubasznym

poczuciu humoru. Kiedy obie były młodsze, Julie potrafiła tolerować sześciocalowe papierosy Ofelii, jej

zwyczaj zapełniania swojej części lodówki wyłącznie czymś tak niezdrowym jak piwo i chipsy, jej swobodny

stosunek do mężczyzn, jak również to, że Ofelia chodziła zawsze spać późno, a wstawała w ostatniej

chwili.

Teraz jednak Julie nie była już tak bardzo tolerancyjna. Przekonała się o tym podczas realizacji zdjęć w Nowym

Orleanie.

Wiedziała, że pod rubasnością Ofelii i jej swobodą kryje się nadwrażliwość kobiety cierpiącej z powodu

potężnej budowy ciała i puciołowatej twarzy oraz braku mężczyzny. Bała się powiedzieć swej asystentce, że

zamieszka oddzielnie, wiedziała, że będzie to nie lada próba. Przydałby się jakiś powód, który Ofelia będzie

mogła zaakceptować. Julie postanowiła umieścić ją w apartamencie motelu w Gonzales, położonym w odległości

około dwudziestu mil. Mimo to miały ściśle współpracować, dzieląc reżyserski karawaning. We dwie zawsze

dużo robiły w czasie przerw spędzanych tam z dala od reszty ekipy.

Julie chciała w odpowiednim momencie powiedzieć Ofelii o tym, że ma zamiar zamieszkać u ciotki

Tine. Moment ten nadszedł wcześniej, niż się spodziewała.

Późnym popołudniem, po zakończeniu prac, udała się do karawaningu, żeby coś zjeść. Czekając, aż

zagotuje się woda na zupę, oglądała rozłożone na stole szkice męskich kostiumów. Podniosła znad nich wzrok,

kiedy do środka wpadła z hukiem Ofelia, kierując się prosto do małej łazienki. Ofelia pozdrowiła ją wesoło.

Powiedziała, że zaraz wychodzi; musi się tylko trochę ogarnąć, a potem idzie na piwo z operatorem obrazu i

kilkoma operatorami kamery.

Julie wstała, podeszła bliżej, oparła się o framugę drzwi od łazienki i powiedziała o swojej decyzji

wprost, podając powody. - Nie przejmuj się - odrzekła Ofelia, schylając się i szczotkując długie kasztanowate

włosy.

Potem wyprostowała się ostrożnie, gdyż pomieszczenie było małe.

- Akceptuję wszystko, co robisz dla dobra tego filmu. Dla mnie możesz nawet złożyć ofiarę z siebie na

ołtarzu doskonałości. Mam na myśli to, że możesz nawet uwieść tego zabójczego Cajuna. Widziałam go parę

razy i muszę ci powiedzieć, że sama nie miałabym nic przeciwko złożeniu...siebie w ofierze za sprawę.

- Jestem pewna, że to nie będzie potrzebne - powiedziała chłodno Julie.

- To szkoda.

Ofelia posłała jej lubieżny uśmiech, skręcając swoje grube, lśniące włosy - jedyny powód do dumy - w

węzeł na karku i przekłuwając ten węzeł czymś w rodzaju spinek, które nazywała tokijskimi pałeczkami do

jedzenia. Te drewniane pałeczki były pomalowane na kolor krwistoczerwony, który kontrastował z żółtozielonym kolorem jej koszulowej bluzki wypuszczonej na obcisłe dzinsy.

- Na pewno nie masz nic przeciwko temu? -Julie obróciła się i oparła plecami o drzwi. - Nie chcę, żebyś

myślała, że od ciebie uciekam.

Ofelia przeciągnęła serdecznym palcem, umoczonego w wiśniowym błyszczyku, po swoich szerokich ustach.

- Nie bądź niemądra. Od lat śpię sama, kiedy wszystko inne zawodzi. A poza tym odkryłam rozkosze bouree,

przy którym błędna wszelkie inne rozrywki.

- Prawie się boję zapytać, co to takiego.

- Ależ ty masz kosmate myśli! To pod moim wpływem, mam nadzieję. No więc jest to taka gra w karty, przy

której blackjack w Las Vegas to dziecinna zabawa. Odkryłam ją w pewnej tutejszej speluncie. Cajunowie grają w

nią - i to ostro - od czasu gdy Bóg był w pieluchach. Stawki nie są małe. A ponieważ jak dotąd dawałam się

oskubywać, faceci pozwalali mi grać. Dziś wieczorem chcę się odegrać.

- A co to była za spelunka? - spytała podejrzliwie Julie.

- No, nie był to żaden miejscowy klub Rycerzy Kolumba. Słyszałam, jak ktoś na to mówił "mordownia", i

bardzo mi się ta nazwa spodobała. Mówiąc elegancko - to przydrożny zajazd. Ale nie próbuj mi matkować.

Musisz wiedzieć, że do pokonania mnie potrzeba pięciu facetów i traktora, a nawet i taki zespół powinien

uważać w starciu ze mną.

- To możliwe, ale musisz pamiętać, że znajdujesz się w okolicy, w której przeważnie mieszkają

fundamentaliści religijni i w której mężczyźni są mężczyznami, a kobiety kobietami. Wiedz o tym, że tu naj

lepiej działa sugestia może być uznana za zachętę.

- O Jezu! Będę musiała się nauczyć trzepotać rzesami, tak? Ofelia odwróciła się, rozpościerając szeroko

ramiona. - Ale spójrz. Nie jestem ubrana w koronkową spódniczkę, pod którą nic nie ma. Jestem tak bezpieczna

jak Sears Tower. Nic mi nie grozi, niestety.

- Wyglądasz jak fajna dziewczyna z marzeń kierowcy ciężarówki - powiedziała Julie szczerze.

- Jak taka dziewczyna do towarzystwa w drodze - zakpiła Ofelia, a jej twarz pokryła się różowymi cętkami. -

Która, może być zmienniczką za kółkiem i z którą można zmieniać opony? To mnie przeraża. Bo w' mojej

spelunce bywają rybacy i myśliwi, a nie kierowcy ciężarówek. Grozi mi więc to, że po okradzeniu mnie z

wygranej utopią mnie w bagnie.

- W takim razie mam nadzieję, że przegrasz.

W głosie Julie była zarówno troska, jak i irytacja.

- Odpieprz się - odcięła się Ofelia spokojnym tonem.

Julie puściła jej odpowiedź mimo uszu, bo przyszło jej do głowy kolejne pytanie.

- Jesteś tu już od kilku dni i zadajesz się z miejscowymi. Nie słyszałaś przypadkiem o jakimś prywatnym

lotnisku znajdującym się w pobliżu?

- Nie, chociaż przydałoby się. Moglibyśmy dzięki niemu łatwiej się zaopatrywać. A dlaczego pytasz?

Julie opowiedziała jej o samolocie, który widziała poprzedniej nocy, i o tym, jak dziwnie się zachowywał.

Ofelia uśmiechnęła się do niej, patrząc w lustro i malując sobie powieki zjadliwie błękitnym cieniem.

- No to miałaś naprawdę bombowy wieczór, nie? Zostałaś wyłowiona z bagna przez tego Galahada, a na

dodatek o mało nie spadły ci na głowę narkotyki.

- Nic nie spadło. O czym ty mówisz?

- Coś gdzieś musiało spaść. To ich ulubiona zabawa, tak przynajmniej słyszałam. Samolot przylatuje z

Ameryki Południowej albo Środkowej w nocy, leci nisko, czasami nawet wyłącza silniki. Czeka na niego statek

rybacki. Ze statku dają znak światłami i narkotyki w wodoszczelnym opakowaniu zostają zrzucone do rzeki.

Dzięki styropianowi nie toną. Ludzie ze statku rybackiego wyławiają je, a potem płyną do takiego miejsca, w

którym rzeka czy kanał krzyżuje się z autostradą. Tam podjeżdża ciężarówka i zabiera ładunek. I

voilà, już go

nie ma. Sprytne, co?
- To są współcześni piraci - powiedziała Julie, marszcząc brwi. Przypomniała sobie Reya, który zeszłej nocy

z taką uwagą śledził samolot. Przypomniła też sobie, jaki był zły z tego powodu, że wypadek z pirogą

spowodował zwłokę i jak szybko się później z nią pożegnał. Jeżeli jednak czekał na zrzut, to popełnił błąd, bo

nie dał znaku światłem i rozminął się z samolotem. Być może dlatego tak się spieszył, bo chciał go dogonić w

innym miejscu na krętej rzece. Chociaż z drugiej strony, jeżeli by tak było, to z pewnością nie zadałby sobie

trudu; by wyłowić ją z wody i odwieźć na teren filmowców. No tak, ale jednak była też ta historia ze zwolnieniem go z DEA.

- Nie zaprzataj sobie tym głowy - odezwała się Ofelia. - Słyszałam też, że w tej okolicy zbrodniarze pozbywają się zwłok w tajemniczych okolicznościach w Nowym Orleanie. Od śródmieścia dzieli tę okolicę

tylko godzina drogi, a będąc tu człowiek ma wrażenie, że znajduje się w Bóg wie jak zapadłym zakątku. No i są

tu bagna, które mogą pochłonąć dowód zbrodni. Ale co to ma wspólnego z nami? My będziemy tu tylko przez

parę tygodni, a potem się stąd zabierzemy. To nie nasz problem.

- Chyba masz rację.

- Oczywiście, że mam - powiedziała Ofelia, mrużąc oko.

W chwilę później wyszła, podzwaniając kluczykami od służbowej ciężarówki.

Zaraz potem Julie również opuściła karawaning. Zmierzch zapadał już za drzewami, spowijając rzekę w

łagodne kolory. Julie lubiła tę porę dnia - czas, kiedy ustały już zgiełk i praca, kiedy większość ekipy przebywała na kwaterach w pobliskich motelach albo w barach i restauracjach.

Kiedy właśnie o tej porze włóczyła się po planie, patrząc na wszystko od różnych stron, ustawiając w

wyobraźni aktorów w różnych miejscach i konfiguracjach, przychodziły jej do głowy najlepsze pomysły. Mimo

że w okresie przygotowawczym wypierała ze świadomości sceny z filmu, sam film jako całość pozostawał

jednak w jej podświadomości i wciąż podlegał pewnym zmianom, które rzucały światło na nowe treści

emocjonalne w nim zawarte, bądź na nowe motywacje, jakimi kierować się mieli bohaterowie. Tak naprawdę to

przez cały okres realizacji zdjęć od początku aż do chwili, gdy został nakręcony ostatni milimetr taśmy, Julie nie

przestawała myśleć o swoim dziele.

Ważne było dla niej uświadomienie sobie, jaki efekt miały przynosić poszczególne obrazy, gdyż tylko

dzięki temu była w stanie panować nad całym procesem. A było to niezbędne. Tak jak dyrygent kierujący

orkiestrą, który chce osiągnąć harmonijną współpracę z członkami zespołu, tak jej zależało na tym, by cała ekipa

działała razem dla osiągnięcia jednolitego efektu.

Jej zadaniem było też zatroszczyć się, by wszyscy znajdowali przyjemność w tej pracy. Niektórzy

reżyserzy uważali, że ostry konflikt, zderzenie temperamentów i działanie powodujące cierpienia psychiczne

wyciskają z aktorów najwyższe osiągnięcia zawodowe. Julie jednak nigdy nie była zwolenniczką tego poglądu.

Uważała, że aktorzy, podobnie jak inni profesjonaliści, powinni móc osiągać najwyższy poziom pracując w

atmosferze odprężenia i porozumienia. Nie miała ambicji artystycznych. Zajmowała się rozrywką i chciała robić

to w miarę swoich możliwości jak najlepiej.

Jednak największym jej pragnieniem było osiągnięcie satysfakcji z pracy. Każdy film oznaczał rok w jej

życiu, bo tyle - nawet w najlepszym wypadku - trwały wszystkie fazy, od okresu przygotowawczego przez

realizację zdjęć i prace wykończeniowe do ewentualnych tarapatów związanych z rozpoczęciem

dystrybucji.

Uważała, że gdyby nie czuła satysfakcji z pracy pochłaniającej taki kawał życia, musiałaby dojść do wniosku, że

to jest praca nie dla niej.

Julie poszła w stronę rzeki. Lampy rtęciowe zapaliły się i odbijały w ciemnej wodzie jak plamy słoneczne w mrocznym, stalowym lustrze. Różowoczerwone światło blednącego zachodu przesunęło się w

poprzek po powierzchni rzeki, podczas gdy cień ogromnego cyprysa rosnącego na brzegu, tuż obok miejsca, w

którym stała Julie, padał aż na przeciwległy brzeg. Po lewej stronie widziała niski most oparty na przysadzistych

palach; stał w miejscu, gdzie autostrada krzyżowała się z rzeką i gdzie był dostęp do klubu jachtowego oraz

terenu filmowców. Równoległe do autostrady biegł kanał wykopany przed dziesiątkami lat przez drwali i

służący wtedy jako droga transportu ściętych drzew, a teraz będący częścią systemu wodnego w tej okolicy.

Blind River łączyła się z tym kanałem tuż przed mostem. Te dwie drogi wodne tworzyły rodzaj trójkątnej fosy

wokół terenu zajmowanego przez filmowców, przy czym trzeci bok trójkąta tworzyło bagno podchodzące aż na

tyły klubu jachtowego. Dzięki temu teren można było z łatwością zabezpieczyć przed niepożądanymi gośćmi i

drobnymi złodziejaskami, stawiając jedną wartownię w miejscu, gdzie most nad kanałem łączył się z

podjazdem prowadzącym na parking.

Blżej, tuż pod ogromnym cyprysem, znajdowało się drewniane molo, do którego przycumowane były

dwie łodzie z kabinami mieszkalnymi na pokładzie. Obok nich była jeszcze jedna łódź smukła, srebrzysta,

szybka motorówka, którą dostarczono tego ranka. Julie podobała się jej sylwetka. Motorówka była

nowoczesna i

kontrastowała z brudnym aluminiowym skifem o okrągłym dnie i z motorem przyczepionym na zewnątrz; skif -

również dostarczony tego dnia - był czymś w rodzaju zmodernizowanej pirogi, jaka spoczywała w pobliżu na

brzegu. Dwie lżejsze łodzie, razem z jedną z tych, na których były kabiny mieszkalne, miały :zostać użyte w

pełnej dynamiki scenie, którą planowano filmować nazajutrz po południu. Kaskader zastępujący Vance'a Stuarta

miał się znajdować w skifie, aktorzy grający opryszków wynajętych przez rozwścieczoną żonę bohatera mieli

wziąć szybką motorówkę, a kamera miała być ustawiona w większej łodzi.

Z rana zamierzano kręcić wstępne sceny z Vance'em. Nie chciał wprawdzie, żeby go zastępował

kaskader, ale Julie nie mogła na to pozwolić, nawet gdyby firma ubezpieczeniowa wyraziła zgodę. Nie było

czasu na leczenie zadrapań i siniaków, których mógłby się nabawić Vance, czy też, Boże broń, na leżenie w

szpitalu, jeżeli zdarzyłoby się coś poważniejszego. W przeciwieństwie do scen bardziej statycznych, sceny

wymagające umiejętności kaskaderskich zawsze były ryzykowne.

- Przymierzasz się do pozmieniania wszystkiego, Julie? Odwróciła się, gdy Stan McNeilly, koordynator

efektów kaskaderskich, który czuwał też nad efektami specjalnymi, utykając nieco podszedł do niej z tyłu. To

utykanie było pamiątką po jego karierze kaskaderskiej, efektem wypadku, który miał miejsce podczas kręcenia

jakiegoś westernu w późnych latach pięćdziesiątych. W wyniku wypadku Stan stracił jeden zawód, ale zyskał

drugi, gdyż został reżyserem scen z udziałem kaskaderów. Wykonywał go dobrze, sumiennie pilnował sprzętu,

był dokładny w przygotowaniach i bardzo ostrożny.

Julie pokręciła głową.

- Nie, nie. Myślę tylko o wszystkim, przygotowuję się do jutrzejszego dnia. Czy się mylę, czy po południu

widziałam cię, jak próbujesz z nowym kaskaderem scenę na wodzie?

Stan kiwnął głową. Światło padające z tyłu zabłysło na jego rzednących, siwiejących blond włosach, pozostawiając jego twarz w cieniu.

- On się nazywa Paul Lislet. Wygląda na to, że dobrze sobie będzie radził. Przez całe życie miał do czynienia

z łodziami.

- Mnie martwi to, że nigdy nie pracował jako kaskader. Nie uważasz, że powinniśmy byli przywieźć z Los

Angeles profesjonalistę? Zwłaszcza ten pierwszy numer nie jest łatwy.

- Ten facet należy do Stowarzyszenia Aktorów Filmowych. A to oznacza, że jest profesjonalistą. Jego zadanie

nie jest takie trudne. To po prostu scena pogoni, Lislet naprawdę szybko załapał, o co chodzi. Poza tym

potrzebny tu jest ktoś, kto zna rzekę, kto wie, gdzie są zatopione pniaki, którędy płynie kanał i tak dalej. On

będzie płynął pierwszy, przeprowadzi pozostałe łodzie przez niebezpieczne miejsca.

Dyskutowali nad tą sceną, omawiali ruchy, przyglądali się scenie od strony fachowej; mówili o specjalnych

zdjęciach bruzd pozostawianych na wodzie i linii wierzchołków drzew. Nie tylko Julie zależało na tych

zdjęciach, wykonanie ich zalecał też chudy jak tyka, rudy operator, Andy Russell.

Stan zapalił papierosa. W świetle zapalniczki wyłoniły się z ciemności plamy i piegi na jego twarzy,

pozostawione przez słońce, na którego działanie był wystawiony podczas kręcenia licznych filmów. Schował za

siebie rękę z papierosem, gdyż nie chciał, żeby dym dotarł do Julie, po czym zmienił temat.

- Ofelia powiedziała mi, że nie mogłaś namówić tego Cajuna, który tu z tobą przyjechał wczoraj wieczorem,

żeby dla ciebie pracował.

- Jeszcze go nie namówiłam. Ma się tu pokazać jutro i rozejrzeć. Wtedy zobaczymy.

- To nie ma znaczenia. Ty przecież dość się naczytałaś, dużo rozmawiałaś z ludźmi, i sama jesteś ekspertem.

A czego nie będziemy pewni, to jakoś zakłajstrujemy.

- Ja nie lubię klajstrowania.

- Wiem, ale klajstruje się bez przerwy. Ważne jest ogólne wrażenie, ta iluzja, jaką stwarza film. To, co

zapamiętają widzowie, a nie jakieś szczegóły.

- Licz na to, a będzie jak z tymi jedwabnymi kwiatami w trawie w Stalowych magnoliach. Są ludzie, którzy

takie szczegóły zauważają.

- Ale jest ich tak mało, że to się nie liczy. Julie pokręciła głową.

- Dla mnie to się liczy. Janie mogę się pogodzić z faktem, że coś jest nie tak.

- Mówisz jak twój staruszek.

- On ma parę dobrych cech.

- No tak.

Stan zaciągnął się i wydmuchnął dym nosem. Gorycz pobrzmiewająca w jego głosie przypominała o tym, że raczej nie lubił Billa Bullarda. Ojciec Julie, który w późnych latach pięćdziesiątych zaczynał karierę,

reżyserował ten film, podczas kręcenia którego Stan został kaleką. Julie nie miała pewności, co wtedy zaszło, ale

wiedziała, że Stan obwinia w pewnym stopniu Bulla za poniesioną szkodę.

Znała Stana od dziecka. Przed wypadkiem regularnie odwiedzał dom jej rodziców. Po wypadku i po

rozwodzie przez pewien czas wpadał na karty do Julie i jej matki. Pamiętała, że zabierał je na pikniki, że

rozmawiał z matką łagodnym głosem, pamiętała też, jak pewnego dnia w lecie, kiedy było gorąco, kupił jej lody

w rozku i zabrał na przejażdżkę swoim Chevroletem ze składanym dachem. Po pewnym czasie zaczął odwiedzać

je coraz rzadziej, aż wkrótce jego wizyty zupełnie ustały.

Po przeprowadzce do Los Angeles Julie odszukała Stana. Spotykali się od czasu do czasu na przyjęciach

i w studiach filmowych. Stan zrobił parę nieprzeciętnych filmów, jednak w ostatnich latach nie pracował zbyt

wiele. Kiedy Julie dowiedziała się, że będzie jej potrzebny koordynator efektów kaskaderskich do Królestwa

bagien, zadzwoniła do niego. I przekonała się, że ma szczęście, gdy zechciał z nią pracować.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Stan palił, a Julie, której zrobiło się chłodno, rozcierała sobie ramiona.

Zapadła noc. Cienie pod ogromnym starym drzewem zgęstniały. Stan rzucił zarzący się niedopałek na ziemię i

rozgniół go podeszwą tenisówki.

- Słuchaj, mała - powiedział niskim głosem - nie przejmuj się tak. To tylko film. Filmów zrobiono już tysiące.

Niektóre były świetne, inne marne, a większość nijaka. Zrób, co w twojej mocy, a potem o tym zapomnij. I już.

Julie odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego Ciepło.

- Przykro mi, że ci to mówię, Stan, ale mędrcom to ty nie jesteś.

- A jednak moja rada jest niezła. Dobranoc.

Dotknął palcami wyimaginowanego randa kapelusza, a potem odszedł kuśtykając.

Prawdopodobnie jego rada była dobra. Tylko Julie żałowała, że nie może się do niej zastosować.

Naprawdę szczerze tego żałowała.

Czy Rey Tabary się pokaże?

Pytanie to męczyło Julie od chwili, gdy nazajutrz wstała przed świtem. Znikało i na powrót pojawiała się

w świadomości, odwracając uwagę od tysięcy istotnych szczegółów. Denerwowało ją to, że tak uparcie powraca.

Julie pracowała przez pewien czas w swoim biurze, które mieściło się w metalowym baraku ustawionym na

płaskiej platformie- przyczepie z dobudowanymi betonowymi stopniami prowadzącymi do drzwi. Ofelia

przebywała w tym samym budynku, gotowa jej pomagać. Pierwszą godzinę spędziła jednak na opowiadaniu, ile

przegrała zeszłej nocy. Trzymała się przy tym za głowę. Bolała ją od dużej ilości piwa mieszanego z koktajlem z

rumu, soku cytrynowego, cukru i lodu.

Wczesnym rankiem Julie zjadła śniadanie w towarzystwie Andy'ego Russella i Stana McNeilly'ego.

Zamiast jeść w klubie jachtowym, gdzie na podstawie specjalnego zezwolenia prowadzono kantynę, zjedli w jej

biurze. Podczas śniadania udało im się omówić kilka problemów. A potem obaj mężczyźni wyszli, żeby

przygotować wszystko do zdjęć, które planowano na ten dzień. Julie przejrzała fotografie statystów mających

grać rybaków i traperów. Wybrała tych, którzy wyglądali najbardziej obiecująco. Ofelia miała umówić ich na

bezpośrednie rozmowy. Za pół godziny słońce powinno stać wysoko na niebie i wtedy praca ruszy pełną parą.

Pojawiła się sekretarka Julie. Była to miejscowa dziewczyna zatrudniona na czas zdjęć. Wykonywała swą pracę sprawnie, ale niezwykle fascynowały ją gwiazdy filmowe. Julie słyszała, jak dziewczyna wstrzymuje

oddech, a później wzdycha głęboko i niewyraźnie pozdrawia kogoś, kto otworzył drzwi biura.

Odpowiedział jej

miękki głos Vance'a Stuarta, który znalazł się w sekretariacie. Vance zapukał do drzwi i wszedł nie czekając na

zaproszenie. Podeszedł bliżej i opadł na fotel stojący przed biurkiem.

Julie skończyła oznaczać sterty fotografii. Odsunawszy je na bok, siadła głębiej w krześle i oparła się wygodnie. Mężczyzna siedzący przed nią był średniego wzrostu, miał starannie przycięte ciemne włosy i jasne,

niebieskie oczy, których barwę podkreślały soczewki kontaktowe noszone przez niego całkiem niepotrzebnie.

Gdyby nie jego niezbyt symetryczny uśmiech, byłby typem ckliwego przystojniaka. Mimo niedbałej pozy, którą

przybrał opadając na fotel, i mimo swobody, z jaką nosił elegancki kostium składający się z jasnobrażowej

bawełnianej koszuli i płóciennych spodni, było w nim jakieś napięcie.

- Charakteryzacja jest dobra - powiedziała Julie przyjrzawszy mu się uważnie - ale nie podoba mi się wynik

pracy garderobianych..

- Właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać - odrzekł aktor gderliwym tonem. - Usiłowali wcisnąć mi parę

znoszonych dżinsów i koszulkę trykotową z napisem "Dalej naprzód!"

- No i?

- Myślałem, że ten Jean- Pierre, którego gram, to ma być Cajun, który wrócił do korzeni.

- I uważasz, że dlatego ma nosić coś innego?

Vance przeciągnął dłonią po skroni, przyglądając włosy. Spojrzał na nią spod rzęs.

- Chciałem się ubrać w taką piracką koszulę z rękawami marszczonymi na ramionach i rozpiętą pod szyją. -

Żeby się pochwalić swoją męską piersią?

Julie nie wysilała się nawet, żeby ukryć rozbawienie.

- Tak. To znaczy nie. No wiesz, Julie!

- Przykro mi, że muszę ci to zakomunikować, ale takich strojów Cajunowie nie noszą od czasu, kiedy przestali sami szyć ubrania pod koniec ubiegłego wieku. Teraz noszą dżinsy i koszulki trykotowe, jak wszyscy.

- Ale Julie, nie moglibyśmy tego trochę podbarwić? Wyglądałbym w tym stroju jak Errol Flynn. Mógłbym

zapoczątkować nowy trend w modzie.

- Nie ma na to szans, to by się nie zgadzało z rzeczywistością. Wracaj do garderoby, przyjacielu.

- Ty musisz zepsuć każdą zabawę.

Julie uśmiechnęła się do niego promiennie.

- To przykry obowiązek, ale ...

- ... ale ktoś go musi wykonywać - skończył za nią Vance z przesadnym oburzeniem.

- Właśnie. A skoro już tu jesteś, muszę cię poprosić, żebyś coś dla mnie zrobił.

Julie powiedziała mu o tym, że ciotka Tine ma ich odwiedzić na planie wraz z Reyem Tabarym i że prosiła o autograf Vance'a.

- Chcesz, żebym ja powdzięczył się do tej staruszki po to, byś ty mogła tymczasem przygadać sobie konsultanta. - Vance patrzył na nią urażony.

- Niezupełnie. Chcę po prostu, żebyś był tylko taki czarujący jak zwykle, tak żeby ciotka Tine nie czuła się

rozczarowana.

- A wtedy ten Tabary pomyśli, że wspaniale byłoby z nami pracować.

- Nie byłoby w tym nic złego.

Julie mówiła tonem osoby, która się broni.

- Mam się wysilać dla jakiegoś prowincjusza z zapadłej dziury?

- Nie, Vance - powiedziała Julie nie spuszczać z niego oka, a w jej z pozoru łagodnym głosie zabrzmiała

stalowa nuta.

- Masz to zrobić dla mnie.

Wytrzymał jej spojrzenie przez dłuższą chwilę, a potem nagle się uśmiechnął.

- No dobrze, skoro tak to ujmujesz.

Narzekał jeszcze przez parę minut, ale bez emocji. Nie zdradzał też zamiaru odejścia.

- Powinnaś była wczoraj wieczorem pojechać z Madelyn i ze mną do Nowego Orleanu - powiedział pochylając się w jej stronę. - Spotkaliśmy w barze pewnego faceta. Zaczęliśmy rozmawiać, a potem on zabrał

nas do siebie na kolację. Wiesz, ci ludzie naprawdę są nadzwyczaj gościnni.

- A gdzie jest teraz Madelyn?

- O ile wiem, w mieście. Mówiła coś o zakupach. Miała iść z Summer i jej matką. Przyjadą pewnie niedługo.

Ale zacząłem ci mówić o tej kolacji. Była zupa z okry, w której pływały kawałki kurczaka, i wędzony indyk, i

fantastyczna kiełbasa wieprzowa, taka podwędzona, miała nieopisany smak. Żona tego faceta podała to z ryżem,

dobrze ugotowanym. Do tego była francuska bułka, a ja przyniosłem przyzwoite Chardonnay. Objadłem się jak

prosię. Myślałem, że od tego jedzenia wyskoczył mi pryszcz, ale to był tylko znak po ukąszeniu komara.

Jedzenie było głównym tematem rozmów Vance'a, podobnie jak większości ludzi ze świata filmu. Julie

czasami zastanawiała się, czy ci ludzie uważają rozmowy na ten temat za dowód wyrafinowania, czy też

jedzenie zajmuje ich tak dlatego, że muszą uważać, by nie utyć.

- Przykro mi, że mnie to ominęło - powiedziała starając się okazać cierpliwość. - To znaczy zupa, nie pryszcz.

Vance posłał jej swój czarujący uśmiech.

- Oczywiście, możesz się śmiać. Ale moja twarz to przecież fortuna.

Julie wstała i obeszła biurko. Wschody słońca, podobnie jak zachody, na tej szerokości geograficznej były nad wyraz piękne. Światło świtu docierało teraz do pokoju, przefiltrowane przez mgiełkę wiszącą nad

bagnami i przez poplątane gałęzie drzew. Światła przybywało stopniowo. Powoli zalewało parking. Przez długi

czas wszystko za oknem biura było szare i słabo widoczne, teraz natomiast Julie nagle zobaczyła poruszających

się . ludzi, błyski światła słonecznego na przednich szybach samochodów i w mokrej od rosy trawie. Zwróciła

się do drzwi, spiesząc do rozpoczęcia pracy nad filmem.

- Tak mówi człowiek, który chciał zaryzykować swój profil i grać w scenie pogoni? .

- To było głupie, przyznaję. Ale mimo to zagrałbym w tej scenie, gdybyś mi dała szansę. Czuję się taki

bezzadny, kiedy siedzę bezczynnie, podczas gdy ktoś inny ryzykuje. A poza tym pomyśl, jak wiele by pisała o

tym prasa, gdyby na zbliżeniu było wyraźnie widać, że to ja.

Skoczył na równe nogi i podążył za nią ..

- Przykro mi, ale na takim świecie żyjemy, takie są zasady.

Dogonił ją u podnóża betonowych schodków i próbował dorównać jej kroku.

- Słuchaj, Julie, ja naprawdę chciałbym się z tobą gdzieś wybrać, razem z Madelyn albo bez niej. Chciałbym

cię poznać przed skończeniem tego filmu.

Julie zerknęła na niego z boku. Vance Stuart był dobry w swoim zawodzie, rozsądny, nigdy się nie spóźniał i zawsze czekał na wskazówki reżysera dotyczące granej przez niego postaci. Miał ambicję i sporo

energii, chociaż czasami był nieco przesadny w sposobie mówienia i egoistyczny. Zanim zdobył sławę, grając

zbyt dużo pijącego playboya w jednym z lepszych popołudniowych seriali, wykonał- swoją porcję roboty w przedstawieniach letnich i off - Broadwayowych. Dzięki serialowi pozyskał oddanych wielbicieli, a dzięki nim od trzech lat jego nazwisko na afiszu zapewniało sukces kasowy filmom, w których grał. Zawsze kręciła się koło niego jakaś piękna młoda osóbka; z kobietami szło mu łatwo i cenił sobie te kontakty. Z przyjemnością też brał udział w życiu towarzyskim Los Angeles, brylował wśród tłumu tych, którzy kupowali szampana w ogromnych dwudziestokwartowych butlach i serwowali kokainę w srebrnych wazach. To właśnie w takim towarzystwie poznał go Allen, który doszedł do wniosku, że Vance nadaje się do roli Jean - Pierre'a. Julie z biegiem lat rozwinęła w sobie szósty zmysł, pozwalający jej rozpoznawać mężczyzn uganiających się za kobietami, którzy usiłowali zrobić na niej wrażenie swoim wyglądem i osobowością. Niektórzy robili to dla sportu, inni by schlebiać własnemu ego, a niektórzy po to, żeby coś od niej uzyskać. Nic nie wskazywało na to, że Vance jest mężczyzną należącym do jednej z tych grup, ale Julie była ostrożna.

- Pracujemy razem codziennie - powiedziała niefrasobliwie.
- Nie miałem na myśli pracy.
- A ja mam na myśli wyłącznie ją. Zdaje mi się, że garderobiana cię woła.

.

Vance spojrział przez ramię w stronę przyczepy, w której mieściła się garderoba. Przed przyczepą stała przysadzista kobieta o siwiejących włosach; w swoim codziennym mundurku składającym się z dżersejowych spodni i koszulowej bluzki.

Przyjmując tę odprawę z grymasem na twarzy, Vance powiedział:

- Porozmawiamy o tym później.

- Być może - odrzekła Julie i oddaliła się machając ręką.

Ten temat zapewne jeszcze wróci, pomyślała zdając sobie sprawę, że wcale za tym nie tęskni. I bez tego

miała dosyć na głowie. Wcale jej się nie uśmiechało zastanawiać się, w jaki sposób hamować zapędy Vance'a

nie pogarszając atmosfery pracy. Oczywiście, gdyby sytuacja stała się zbyt niebezpieczna, mogła zacząć mówić

o Allenie, a żaden prawie aktor nie chce podejmować ryzyka narażenia się producentowi.

Dzień był ciepły i jasny, a słońce świeciło lekko przyćmione przez jesienną mgiełkę. Dzięki temu światło

było doskonale do zdjęć, bez ostrych kontrastów. Praca zaczęła się dobrze i posuwała się naprzód w przyjemnym, spokojnym rytmie, prawie bez żadnych przeszkód.

Przed południem Julie zrobiła sobie przerwę, chcąc porozmawiać z redaktorem działu rozrywki jednego

z dużych dzienników. Było to poważne odstępstwo od jej zasad, uważała jednak, że to, co napisze ten dziennikarz, przyczyni się do wzbudzenia zainteresowania filmem i skłoni miejscową społeczność do

współpracy. A poza tym wierzyła święcie w to, co mówiło krążące po Hollywood porzekadło: że każda reklama

jest dobrą reklamą.

Wczesnym popołudniem mieli całe kilometry taśmy ze zdjęciami łodzi ścigających inne łodzie, mieli też

zbliżenia Vance'a w pędzącym skifie. Byli więc gotowi do nakręcenia końcowej, bardzo dynamicznej sekwencji

z udziałem kaskadera.

Przez cały niemal dzień Julie czekała na Reya i ciotkę Tine. Spodziewała się, że przybędą drogą wodną,

być może dlatego, że tamtego wieczoru Rey przywiózł ją i odjechał tą właśnie drogą.

Nie zwracała uwagi na samochody i ciężarówki jadące nieprzerwanym strumieniem. Była więc zdumiona, kiedy kończąc dyskusję z operatorem zobaczyła wysokiego Cajuna i jego starą ciotkę wysiadających

z dżipa Cherokee.

Rey i ciotka Tine nie byli sami. Towarzyszyła im brunetka o ładnych rysach twarzy, szczupłej sylwetce i

łagodnym sposobie poruszania się, podobna do tancerki Degasa. Julie skończyła rozmowę z Andym Russellem i

ruszyła na spotkanie nowo przybyłej trójki.

Ciotka Tine przedstawiła kobietę, mówiąc, że to Donna Lislet, żona kaskadera znajdującego się właśnie

na kanale i przygotowującego się do wykonania numeru.

- Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, że ją tu przywieźliśmy. Umiera z ciekawości, chce

zobaczyć męża w akcji. Kiedy usłyszała, że ja się tu wybieram, zmusiła Reya, żeby ją zabrał.

- To świetnie - powiedziała Julie, a potem spojrzawszy szybko na starszą kobietę i wymieniwszy z nią

uśmiech, zwróciła się do Donny: - Z przyjemnością tu panią witam. Mam nadzieję, że nie rozczaruje się pani.

Przeważnie filmowanie nie jest ciekawe. Jest przy tym tylko dużo pośpiechu i czekania.

- Jestem pewna, że to fascynujące.

Głos młodej żony był przyjemny, ale mówiła z pewnym chłodem. Najwyraźniej postanowiła nie pokazać

tego, pod jakim jest wrażeniem. Mimo to jej oczy, brązowe i błyszczące, schowane za ogromnymi okularami

słonecznymi z fioletowymi szklami, przyglądały się bacznie temu, co działo się dookoła.

Ciotka Tine interesowała się wszystkim. Julie starała się uprzejmie odpowiadać na jej pytania;

równocześnie nie tracąc z oczu ekipy. Stan i Ofelia wraz z sześcioma innymi osobami przygotowywali łódzie. W

tej scenie Cajun Jean - Pierre, manewrując swoim zdezelowanym, aluminiowym skifem o okrągłym dnie,

wyposażonym w silnik o mocy stu pięćdziesięciu koni mechanicznych, miał się wymknąć nasłanym przez żonę

opryskom, którzy płynęli szybką motorówką.

Większa część tej długiej sceny została już sfilmowana; łódzie pędziły wzdłuż kanałów poniżej klubu

jachtowego albo w dół rzeki na złamanie karku, biorąc ostre zakręty. Teraz miały się przenieść w to miejsce, w

którym rzeka była szersza i gdzie dwie noce wcześniej omal nie została roztrzaskana piroga Julie. Aluminiowy

skif i szybka motorówka miały się zabawić w "gonionego" wśród cyprysów i martwych kłód. Pod koniec tej

zabawy Paul Lislet, zajmujący miejsce Vance'a w skifie, miał się posłużyć ogromnym martwym cyprysem -

który zwałił się do wody, ale wciąż był połączony z korzeniami - i użyć go jako prowizorycznej rampy. Zgodnie

ze scenariuszem skif powinien uderzyć w tę rampę i wylecieć w powietrze nad korzeniami cyprysa, między

którymi miała ugrzęznąć szybka motorówka, by potem wypłynąć z powrotem na rzekę.

Pospiesznie zbudowana pływająca platforma została przyholowana w pobliże miejsca kręcenia sceny w

celu stworzenia dogodnego punktu obserwacyjnego dla kamery, reżyserki i jeszcze paru osób. Za kilka minut

Julie wraz z tymi osobami miała się udać na tę platformę.

Vance Stuart, zgodnie z umową, wyszedł ze swojego karawaningu i niedbałym krokiem zbliżył się do

grupy. Ciotce Tine okazywał niejaki szacunek i wdzięczność za pochwały, których mu nie szczędziła, mówiąc z

podziwem o jego talencie. Złożył nawet autograf na egzemplarzu scenariusza i ofiarował jej ten

egzemplarz, a

potem, być może poruszony tym, że sprawił jej taką przyjemność - starsza pani aż się zarumieniła - przeszedł się

z nią objaśniając, co robił tego dnia na planie.

Rey Tabary stał nieco z boku. zachowywał się swobodnie. Jeżeli nawet został zmuszony do przybycia

tutaj, nie robił z tego problemu. A jednak kiedy patrzył na Julie, a potem przenosił wzrok na ciotkę i aktora, w

jego oczach pojawiał się wyraz ironii; był najwyraźniej rozbawiony. Julie zauważyła to i zaczęła podejrzewać,

że Rey domyśla się jej spisku z ciotką. Nie przejęła się tym - ważne, że plan się powiódł. Musiała teraz tylko

wykorzystać okazję.

Rozległ się przeraźliwy dźwięk klaksonu. Czarny, długi samochód marki Lincoln, w którym pasażer był

oddzielony od kierowcy oszkloną ścianką, prowadzony przez szofera w liberii, przejechał szybko przez most i

wjechał na klubowy parking.

Kiedy się zatrzymał wzbijając tuman kurzu, wysiadła z niego.

Madelyn de Wells z torebką z firmy sióstr Fendi pod pachą. Podeszła wolnym krokiem do Julie i

pozostałych, a idąc trzymała wysoko głowę ze starannie ufryzowanymi ciemnymi lokami, tak że padające pod

odpowiednim kątem promienie słońca w korzystny sposób oświetlały jej twarz w kształcie serca. Uśmiech

igrający na czerwonych wargach był uśmiechem, który pewien recenzent nazwał nie bez racji drapieżnym.

Obcisły żółto -czarny kostium od YSL był nieco rażący wśród dzikiej przyrody, chociaż odpowiednio dobrany

do postaci, którą Madelyn grała.

Za Madelyn pojawiła się Summer Davett, odtwórczyni roli jej dorastającej córki imieniem Alice, oraz jej

matka, Annette Davett. Obie szły za wyrafinowaną aktorką, jak gdyby nie bardzo wiedząc, gdzie jest ich

miejsce.

- Nie dziw się tak bardzo - powiedziała Madelyn do Julie z dźwięcznym śmiechem wyćwiczonym podczas

grania licznych ról, a właściwie wciąż jednej i tej samej roli kobiety bez serca, romansującej z cudzym mężem. -

Ja wiem, że dzisiaj nie gram, ale dowiedziałam się pocztą pantoflową, że będą tu się działy interesujące rzeczy.

Dlatego wszystkie trzy nie pojechałyśmy do motelu, tylko zjawiłyśmy się tutaj.

Julie pomyślała, że chodzi o scenę z udziałem kaskadera. Madelyn lubiła bowiem sceny niebezpieczne i

zwykle je oglądała. Nie była w tym odosobniona. Liczba widzów na planie zawsze rosła wprost proporcjonalnie

do stopnia ryzyka kręconych zdjęć. Julie zdenerwowała się trochę tym, że w opinii plotkarzy te dzisiejsze są

interesujące ponad przeciętną miarę.

To, że Madelyn i inni słyszeli różne pogłoski w Nowym Orleanie, nie było zbyt zaskakujące. W świecie

filmu plotkarstwo jest bardzo, rozpowszechnione. Szeptane opowieści błyskawicznie przedostają się z planu do

prasy. Po części wynika to z charakteru pracy filmowców - ich izolacji od miejscowej społeczności i wysokiego

stopnia koncentracji na wykonywaniu swoich zadań. Ponadto w tym świecie istnieje widoczna współzależność

między rozgłosem, sukcesem i niepewnością egzystencji. Każda informacja może zaważyć na tym, że coś się

uda lub nie, że odniesie się sukces bądź poniesie porażkę.

Nowo przybyłe zostały przedstawione zebranemu towarzystwu.

Madelyn stanęła obok Reya, od którego nie odrywała oczu od chwili gdy wysiadła z samochodu. Biorąc

go pod ramię, owinęła się wokół niego jak wistaria wokół kraty altany.

- Więc to pan jest tym Szczurem Bagiennym? Słyszałam o patiu. Czy naprawdę będzie pan z nami pracował?

Julie mówiła o Reyu Ofelii i Stanowi, ale nikomu więcej.

Sprawność poczty pantoflowej jest czasami denerwująca.

- To jeszcze nie jest pewne - odezwała się szybko. - Może ty byś nam pomogła przekonać pana, żeby się

zgodził.

Madelyn obrzuciła Julie zaledwie przelotnym spojrzeniem. Jej przymilny wzrok przylgnął natomiast do

Reya. Uśmiechając się powiedziała:

- Bardzo bym chciała spróbować. Może wstąpiłby pan do mnie na drinka i opowiedział mi o wszystkim?

Donna Lislet wydała cichy dźwięk świadczący o tym, że przyjmuje to z niesmakiem. Julie spojrzała na

nią i zobaczyła, że obserwuje aktorkę zmrużonymi oczami Madelyn, nie interesująca się zupełnie odczuciami

innych, często budziła antypatię wśród kobiet Nigdy się jednak tym nie przejmowała.

Hipokryzja nie była jedną z wad Madelyn, chociaż tych jej nie brakowało. Była wielką egocentryczką.

Ceniła bardzo pieniądze, a w każdym razie biżuterię, stroje, samochody i inne luksusy, które można było za nie

dostać. Najbardziej jednak uwielbiała mężczyzn. Każdy nie zwykły okaz męskiej urody był dla niej jak

smakołyk dla żarłoka. Należało się spodziewać, że obecność Madelyn podziiała na Reya Tabary'ego zachęcająco

i że teraz zgodzi się na propozycję Julie, wyglądało bowiem na to, że aktorkę trudno będzie od niego oddzielić.

Rey jednak zachowywał niezależność i nie potrzebował pomocy.

- Doceniam pani zaproszenie - powiedział do Madelyn, rzucając jej pospieszny uśmiech - ale powinienem

raczej pilnować cioci i nie dopuścić do tego, by zaczęła prześladować głównego aktora.

- Nie dopuścić do czego? - spytała ciotka Tine oburzona, podchodząc wraz z Vance'em do pozostałych.

Bratanek uśmiechnął się do niej wesoło. Równocześnie stanowczym ruchem uwolnił rękę z uścisku

Madelyn i odwrócił się do dziewczynki i jej matki, chcąc się z nimi wreszcie przywitać.

Dziewczynka, przedwcześnie rozwinięta jak na swój wiek wskutek ciągłego przebywania na planach filmowych, obserwowała zabiegi aktorki. Kiedy Rey uścisnął jej dłoń, posłała mu wymowny uśmiech.

Odpowiedział na to spojrzeniem uprzejmym i niewzruszenie spokojnym. Uśmiech zniknął z twarzy nastolatki,

która stała się znowu opryskliwa jak zwykle.

Dwunastoletnia, drobna dziewczynka o prostych blond włosach i nieregularnych rysach, obdarzona była

jedną z tych ruchliwych twarzy, które ukazane przez kamerę okazują się fascynujące. Grywała postaci w wieku

od lat siedmiu do ponad czternastu i potrafiła się wcielić w każdą z nich, od wrzeszczącego bachora po

pragmatycznego małego aniołka. W Królestwie bagien miała się przekształcić z zarozumiałej małej bogaczki w

sukience z falbankami, z osóбки będącej kosztownie ubraną zabawką matki, którą nauczono bać się wszystkiego,

w samodzielną odważną chłopczycę. Jak dotąd była doskonałą aktorką, mimo że czasami miewała ataki złości i

trudno było sobie z nią poradzić.

- Mam nadzieję, że będą się państwo dobrze u nas bawili - powiedziała Annette Davett do Reya i jego ciotki

swoim piskliwym, zdyszczanym głosem. - Jestem pewna, że tak będzie. My, aktorzy, mamy swoje dziwactwa, ale

kiedy się nas pozna, okazuje się, że jesteśmy całkiem nieszkodliwi.

Matka Summer przerwała, spodziewając się entuzjastycznej reakcji. Kiedy słuchacze zareagowali tylko

uprzejmie i zdawkowo, na jej twarzy pojawił się wyraz rozczarowania. Annette była w dzieciństwie gwiazdką

Podobną do Summer i nigdy nie przestała się spodziewać, że ludzie będą ją poznawali. Wyglądem różniła się

znacznie od córki; była drobną blondynką o nieprzeciętnej urodzie, z lokami jak świderki i z dołeczkami w

policzkach. Jednak jej kariera trwała zaledwie parę lat, gdyż wkrótce jej rysy przestały nadawać się do filmu.

Wyrosła na bladą kobietę, wiecznie utyskującą i wspominającą czasy, w których była sławna. Była raczej

żałosna w swym uporze, w pragnieniu ponownego przeżycia tamtych lat za pośrednictwem córki i w chęci

zrobienia z Summer wielkiej gwiazdy. Grała tradycyjną rolę matki małej aktorki, wymuszając natręctwem i

intrygami lepsze ujęcia i większą reklamę dla swego dziecka. Wskutek tego członkowie ekipy unikali jej, a

aktorzy traktowali z góry. Julie było jej żal, ale także starała się jak najmniej mieć z nią do czynienia.

Donna Lislet oddaliła się od całego towarzystwa. Stała teraz i patrzyła na wodę, osłaniając oczy dłonią

przed jaskrawym światłem słońca. Zaczęła machać ręką. Szczupły mężczyzna na aluminiowym skifie

unoszącym się na kanale - najwyraźniej jej mąż - wstał na ten widok. Jego opaloną twarz rozjaśnił szeroki

uśmiech. Pomachał do niej wesoło. Zobaczywszy Reya, podniósł w górę kciuk.

Stan McNeilly, który kierował pracą kaskadera, coś do niego właśnie krzyczał. Głos wydobywał się z

łodzi z kabiną znajdującą się w pobliżu. Stan odwrócił się na chwilę i powiedział coś do człowieka trzymającego ster. Łódź zawróciła i popłynęła w stronę mola.

- Czas zaczynać - powiedziała Julie do Reya i pozostałych.

- Zaczynamy?

Summer przyglądała się łodziom przygryzając dolną wargę.

Rzuciła okiem na Reya z wyrazem zastanowienia, który dziwnie wyglądał na jej ładnej buzi, a potem spojrzała w kierunku Julie. Jej brązowe oczy patrzyły poważnie, kiedy powiedziała:

- Ja też chciałabym popatrzeć. Czy możemy pójść tam z mamą? Zanim Julie zdążyła odpowiedzieć, odezwała

się Annette Davett:

- Nie bądź niemądra, Summer. Wiesz, że będziesz tylko przeszkadzała. A poza tym musisz się uczyć tekstu

na jutro, do sceny łowienia ryb.

- Oj, mamó - odrzekła dziewczynka.

- Dobrze wiesz, że to ważniejsze.

Annette Davett mówiła piskliwym karcącym tonem. Julie słysząc ją chciała się sprzeciwić i zabrać

dziewczynkę ze sobą. Ale tylko się uśmiechnęła i odwróciła w stronę łodzi z kabiną, ściskając Summer lekko za

ramię.

Wsiedli na pokład dużej, mocnej łodzi z silnikiem na jałowym biegu. Odpłynęła od mola, następnie

rozwinęła większą prędkość i kołysząc się płynęła naprzód krętą rzeką; pozostawiała za sobą głęboką bruzdę na

wodzie i tworzyła fale, które obmywały oba brzegi. Słońce odbijające się w wodzie oślepiało. Duży biały żuraw

zatrzepotał skrzydłami, posuwając się z wdziękiem w zwolnionym tempie, a jego sylwetka odcinała się od

migoczącej jak brylant wody. Drzewa rosnące na brzegu tworzyły cień kontrastujący swoim chłodem i ciemną

barwą z jasną wodą.

Julie stanęła twarzą do wiatru, z przyjemnością poddając się łagodnemu kołysaniu. Przypomniała jej się

przejażdżka z Reyem Tabarym. Odwróciła głowę. Rey obserwował ją, jego spojrzenie było poważne, choć z

lekka roztargnione. Kiedy ich oczy się spotkały, na jego ustach na chwilę pojawił się uśmiech.

- To miło z pana strony, że przywiózł pan tutaj ciotkę - odezwała się Julie.

- To ja ją przywiozłem? - zapytał spokojnie. - Mnie się zdawało, że to ona przywiozła mnie.

- Jakkolwiek było, wierzę, że nie będzie pan tego żałował .. Objął spojrzeniem całą jej postać, a potem

jeszcze raz zatrzymał wzrok na jej twarzy o ładnie zarysowanych kościach policzkowych, na których słońce

zamieniło opaleniznę w brzoskwiniowożółtą przezroczystą mgiełkę.

- Prawdopodobnie będę tego żałował, ale jakie to ma znaczenie?

- Julie - pewnie po tych słowach - przypomniał się Allen. Próbowwała wyobrazić sobie człowieka, z którym

żyje od lat, mówiącego podobne słowa, ale bez skutku. Allen za wszelką cenę usiłował postępować tak, by

niczego nie żałować. Uważał, że ktoś, kto zachowuje się w sposób, którego potem żałuje, jest mało inteligentny,

ponieważ nie potrafi przewidywać. U producenta umiejętność przewidywania to dobra cecha, która zapewnia

rozsądne postępowanie.

Platforma z kamerami, osadzona na pontonach o dużej nośności znajdujących się przy brzegu, była nieco

zatłoczona. Oprócz sprzętu znalazły się na niej nadprogramowe osoby, nie było w tym jednak nic niezwykłego.

Julie zostawiła Reya, ciotkę Tine i resztę towarzystwa po jednej stronie platformy, a sama przeszła na drugą,

żeby się skonsultować z operatorem. Potem włożyła słuchawki, by usłyszeć ostatnie polecenia, które Stan,

przebywający wciąż na łodzi z kabiną, dawał Paulowi Lisletowi i aktorom grającym opryszków. Skif i szybka

motorówka kręciły się z pozoru bez celu albo kołysały się na wodzie, a tymczasem członkowie ekipy sprawdzali

kamerę główną osadzoną na kranie, a także pozostałe kamery i sprzęt dźwiękowców, znajdujące się na

platformie i na łodzi z kabiną. Ponieważ czekanie przedłużało się, Ofelia otworzyła dla zgromadzonych zimne

napoje.

W końcu wszystko było gotowe. Julie dała komendę do rozpoczęcia zdjęć. Komenda została powtórzona

przez Ofelię stojącą obok kamery głównej i Stana znajdującego się na łodzi z kabiną.

Podczas kręcenia bardzo dynamicznych scen Julie odczuwała zawsze silne napięcie. Zdjęcia rzadko wtedy przebiegały zgodnie z planem, a niespodzianki zdarzające się podczas filmowania nie zawsze były

przyjemne, pociągały też za sobą dodatkowe koszty, często dość wysokie. Coś, co było doskonałe na papierze,

nie zawsze dawało się realistycznie przetransponować na obraz filmu; na taśmie okazywało się bezsensowne.

Członkowie ekipy, dokładnie wykonujący polecenia Julie w scenach dramatycznych czy romantycznych, zwykle

w scenach o dynamicznej akcji wpadali na szalone pomysły. Julie denerwowało to, że w takich momentach nie

panuje nad sytuacją, zwłaszcza że była przecież odpowiedzialna za cały film.

Tym razem wydawało się, że wszystko idzie dobrze. Skif wypłynął szybko z tunelu między drzewami, ciągnąc za sobą spienioną, rozdzielającą się brudę, która przypominała zamek błyskawiczny.

Przeleciał

zygzakiem przez otwartą przestrzeń wodną, omijając kikuty drzew i na wpół zatopione pniaki. Paul Lislet kuczał

z tyłu przy sterze i oglądał się przez ramię na pędzącą za nim szybką motorówkę. Jeden z ubranych na czarno

mężczyzn znajdujących się w motorówce wychylił się, strzelając z pistoletu maszynowego typu AK47. Seria

strzałów poszła w wodę z zawodzącym wizgiem. Skif zachybotał się i zawrócił, przecinając bruzdę wodną

pozostawioną przez motorówkę, a potem śmignął pomiędzy cyprysami rosnącymi gęsto przy brzegu położonym

naprzeciwko platformy. Był to brawurowy pokaz zręczności i silnych nerwów. Kaskader przeprowadził skifa

błyskawicznie między drzewami, bawiąc się w chowanego z plamami słońca i gęstego cienia, ginąc i wynurzając się na przemian, co na filmie miało dać znakomity efekt.

W ślad za dwiema ścigającymi się łodziami wyskoczyła z bocznego kanału łódź z kabiną, podążając za

szybką motorówką. Za kamerą widać było Stana, który wciąż wykrzykiwał polecenia przez walkie-talkie, a

równocześnie pochylał się i krzyczał coś do kamerzysty. Trudno było osądzić, czy jego ludzie go słyszą, gdyż

ryk silników niósł się po wodzie i odbijał echem od linii drzew.

Kątem oka Julie zobaczyła, że Rey przechodzi na skraj platformy i chwyta się jedną ręką pionowego słupa, obserwując akcję zmrużonymi oczami. Uświadomiła sobie z satysfakcją, że scena, którą

wraz z ekipą, musi być ekscytująca, skoro przykuwa jego uwagę.

W tym momencie skif robił jeszcze jedno koło. Mknął z maksymalną szybkością, zataczał szeroki łuk, igrając z motorówką, z której znowu padały strzały. Zawrócił i popłynął za łodzią z kabiną, żeby operator,

odwróciwszy kamerę, mógł zrobić zdjęcia z przodu. Następnie Paul Lislet zrobił zwrot, oddalił się od łodzi z

kabiną i wziął szeroki zakręt, wabiąc i pociągając za sobą motorówkę, prowadząc ją znowu w stronę gęsto

rosnących, tworzących przeszkodę cyprysów i prowizorycznej rampy oraz czarno brązowych, wystających nad

wodę korzeni.

Rey nagle odepchnął się od pionowego słupa, oparł ręce na biodrach i obserwował łodzie. Rozejrzył się

szybko, szukając wzrokiem Julie. Kiedy ją odnalazł, krzyknął:

- Przerwać to! Przerwać natychmiast!

Julie, skupiona na tym, co dzieje się na wodzie, odwróciła się w jego stronę zdejmując słuchawki, niepewna, czy z powodu hałasu dobrze usłyszała.

- Co takiego? - spytała.

- Coś jest nie tak! Skif nie idzie tak jak trzeba - odpowiedział Rey twardo. - Niech pani spojrzy!

Julie nic nie widziała. Mniejsza łódź nie zwolniła. Wydawało się, że jest posłuszna człowiekowi przy

sterze. Ale czy na pewno? Czy przypadkiem nie reagowała z opóźnieniem na ruchy kaskadera? Czy nie zmieniła

kierunku, lecąc z zawrotną szybkością w stronę cyprysów?

- Stop! - krzyknęła Julie. - Stop! Stop!

Usłyszała, że jej okrzyk odbija się echem od wody, i powtarzają go Ofelia i Stan; usłyszała go w miniaturze we własnych słuchawkach. Operatorzy zaczęli kląć i kamery przestały pracować.

Ale było za późno. Skif wpadł między cyprysy, a motorówka podążyła za nim. Obie łodzie ogarnął mrok,

a chwilę później rozległ się trzask Skif zakręcił się w fontannie wody. Rąbnął w wysoki cyprys. Rozległ się

głuchy huk i piskliwy odgłos towarzyszący rozcinaniu metalu. A potem skif wylądował tuż przed

nadlatującą

motorówką, która nie mogąc się zatrzymać, uderzyła prosto w niego unosząc w górę dziób. Szklane włókno

wyleciało w powietrze, rozpadając się z trzaskiem, kiedy druga łódź przewaliła się nad pierwszą, lecąc łukiem

przy ostrym ryku silnika pracującego na najwyższych obrotach. Motorówka spadła, waląc z hukiem o powierzchnię wody, a jej silnik zakrztusił się i umilkł.

Donna Lislet zaczęła krzyczeć. Jej przerażający krzyk wydobywał się prosto z gardła. Rey Tabary, zrobiwszy kilka kroków w jej kierunku, objął ją, a ona ukryła twarz na jego szerokim ramieniu. Rey obejmował

ją mocno, zasłaniając czerwoną plamę rozszerzającą się na powierzchni brązowej wody.

- Jeżeli nie potrafi pani tego zrobić, panno Bullard, mówiąc wprost - jeżeli nie potrafi pani nakręcić tutaj

filmu, nie poświęcając przy tym dwóch rąk i nogi - to będziemy musieli przekazać film komuś innemu.

- Przekazać komuś innemu? - powtórzyła Julie stłumionym głosem, patrząc na mężczyznę, który zarekwirował jej biurko i siedział na jej krześle.

- Zaangażujemy innego reżysera, kogoś, kto będzie lepiej wiedział, na co wydawać pieniądze.

- Nie może pan tego zrobić! - powiedziała Julie pochylając się nad biurkiem i opierając się o nie obiema

dłońmi.

- Mogę, i pani dobrze o tym wie - odrzekł mężczyzna uśmiechając się nerwowo. - Wystarczy, że wydam takie

polecenie.

Julie nie oczekiwała, że spotkanie z księgowym firmy ubezpieczeniowej będzie przyjemne, ale nie

przypuszczała też, że człowiek ten doprowadzi ją do pasji. Nerwy miała maksymalnie napięte również dlatego,

że przez ostatnie cztery dni nie mogła kręcić, gdyż Biuro Szeryfa Parafii Świętego Jakuba badało okoliczności

wypadku. Udzielanie odpowiedzi na pytania policjantów i innych urzędników państwowych oraz odpieranie

ataków, które media kierowały do niej w sposób bardziej czy mniej uprzejmy, nie ułatwiało jej życia. Jednak

tym, kto przede wszystkim doprowadzał ją do szału, był niejaki Davies, księgowy z firmy ubezpieczeniowej.

To, że spędził ostatnie kilka dni ryjąc w jej papierach, korzystając z jej zaopatrzenia, siedząc przy jej

biurku i na jej krześle, używając jej bibuły i dzwoniąc z jej telefonu, było wprost nie do wytrzymania. Julie nie

znosiła, kiedy ktoś dokonywał inwazji na teren jej pracy, przerzucał jej papiery i przeglądał pocztę.

A najgorsze

było to, że Davies traktował ją protekcyjnie. Był człowiekiem otyłym, łysiejącym, miał brzydką cerę i

nieprzyjemnie pachniał. Starał się pokryć te defekty natury, demonstrując swoją władzę i znajdując w tym

przyjemność.

- Niech pani ma odwagę to przyznać - mówił dalej. - Ten wypadek zrujnował pani budżet. Trzeba będzie

kupić nowe łodzie, pokryć koszty pogrzebu Lisiety i rachunki za pobyt w szpitalu dwóch pozostałych kaskaderów. Na dodatek trzeba będzie płacić ekipie za czas przestoju, żywić ją i płacić za jej pokoje w motelu.

Wszystko to będzie kosztowało majątek. Wątpię, czy będziemy czekać dwa tygodnie, aż wyda pani pieniądze.

Myślę, że mamy prawo sprowadzić zespół księgowych już jutro. Przyjrzą się temu, co pani robi, ograniczą

wydatki, pozbędą się wszelkich koronek i kokardek, wszelkich ozdóbek.

Julie spojrzała na niego ostro.

- Tu nie ma żadnych koronek i kokardek, jak je pan określa. Każda scena, kwestia i każde zdjęcie ma swój cel

i znaczenie.

- Niech się pani nie złości. Nie mówię, że tu się wszystko rozłazi dlatego, że jest pani kobietą...

- Czyżby - powiedziała Julie tonem bynajmniej nie pytającym.

- Ta praca wymaga twardych decyzji, no i... siły woli pozwalającej je zrealizować.

- Ma pan częściowo rację.

- Tak. No i nie ma co gadać o spójności i ciągłości dzieła.

- Słyszałem to wszystko nie raz. To nie ma żadnego znaczenia. Nie przy tych pieniądzach, które trzeba w

dzisiejszych czasach wydać na film. Potrzebujemy kogoś, kto zrobi co trzeba, i koniec. To proste.

Albo zrobi to

pani, albo ktoś inny.

- Najlepiej jakiś księgowy.

Jej głos brzmiał stanowczo i był pełen urazy.

- Jeżeli trzeba, to niech i tak będzie. Jestem pewien, że się zrozumieliśmy, ale na ,Wszelki wypadek pogadam

z Gravesendem. - Wątpię, czy będzie pan mógł przekazać mojemu .narzeczonemu jakieś nowe informacje na

temat naszej sytuacji.

Julie nieczęsto chwaliła się swoim związkiem z Allenem, ale głos Daviesa zabrzmiał tak chytrze, że tym

razem nie mogła się powstrzymać.

- Mimo to porozumiem się z nim.

- Jeżeli to ma poprawić pańskie samopoczucie, to proszę bardzo - powiedziała Julie zdenerwowana.

- I będziemy mieli oko na wszystko, co się tu dzieje. Możemy panią skontrolować bez uprzedzenia.

- Rozumiem. Ale tymczasem mam pracę do wykonania. Przykro mi, że muszę pana wyrzucić z biura, ale jest

to miejsce, w którym pracuję. Z pewnością chciałby pan widzieć, że wzięłam się znowu do roboty.

Błada twarz Daviesa poczerwieniała. Zaczął jednak zbierać swoje papiery.

Julie z wielką satysfakcją zamknęła za nim drzwi. Mimo to nie mogła wrócić do pracy zaraz po jego wyjściu. Po pierwsze, żadna ilość dezodorantu nie była w stanie zlikwidować przykrego zapachu, a ponadto -

trudno jej było zebrać myśli.

Była odpowiedzialna za śmierć Paula Lisiety. Oczywiście nie miała nic wspólnego z tym, że linka sterownicza na jego łodzi była przeżarta przez kwas z generatora, ale to ona wydała ostateczną zgodę na

wykonanie numeru, podczas którego Lislet stracił życie.

Powinna być mniej lekkomyślna rozpatrując propozycje Stana, a nawet samego Paula Lisieta, należało

wybrać ostrożniejszą wersję tej sceny. Trzeba było dopilnować, żeby ludzie z ekipy dokładnie obejrzeni skif, a

nie polegać na opinii dostawców, którzy zapewniali, że łódź jest w idealnym stanie.

Z drugiej jednak strony żadna z tych rzeczy by nie zapobiegła wypadkowi. W tym, że kaskaderowi nie udało się numer, nie ma nic niezwykłego. Nawet najlepsi łamią sobie kości przynajmniej raz w życiu. Taki jest

charakter tej gry. To, co w kinie wydaje się niebezpieczne, często robi takie wrażenie właśnie dlatego, że

naprawdę jest niebezpieczne. Z tego powodu kaskaderom płaci się tak dobrze. Tak, płaci im się tak dobrze

dlatego, że ich praca jest niebezpieczna. Nawet śmierć jest tu niczym szczególnym.

Do tej pory jednak nikt nie zginął podczas kręcenia żadnego z jej filmów.

Julie nie mogła zapomnieć chwili, kiedy obie łodzie się zderzyły. Obraz ten ciągle powracał w jej myślach; oglądała go, jak wciąż na nowo wyświetlany fragment filmu; słyszała ciche przekleństwo Reya,

słyszała, jak ciotka Tine wstrzymuje z przerażenia oddech, z czego wtedy nie zdawała sobie sprawy. W uszach

Julie brzmiały krzyki Donny Lislet.

Kilka razy przyszło jej do głowy, że być może powinna dać sobie spokój z tym filmem, chwilami

dochodziła do wniosku, że straciła do niego serce. Myślała o tym, by wyjechać z Luizjany i wrócić do Los

Angeles, położyć się na plaży, by wchłaniać słońce i wiatr, i zapominając o Królestwie bagien oczekiwać

pomysłu na nowy film. Myśl o tym była tak pociągająca, że Julie z trudem powstrzymała się od pakowania

swoich rzeczy.

Jednak było to niemożliwe. Zbyt wielu ludzi było od niej zależnych, zbyt wiele pieniędzy

zainwestowano

w tel) film. Nie można było tego tak po prostu rzucić. A poza tym musiała przecież udowodnić, że jest w stanie

zrobić ten film. Pragnęła tego bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Pogrzeb Paula Lisiety miał się odbyć tego popołudnia. Odwłókł się, gdyż Paul nie zmarł śmiercią naturalną i trzeba było przeprowadzić sekcję zwłok. Julie posłała kwiaty - we własnym imieniu i w imieniu

Excel Films. Usiłowała przekonać samą siebie, że to wystarczy i że nikt nie będzie oczekiwał od niej nic innego.

Była to prawda i ona o tym wiedziała. A jednak czuła przerażenie na myśl, że mogłaby się pojawić na pogrzebie

i stanąć twarzą w twarz z rodziną i przyjaciółmi Paula. Nie lubiła chodzić na pogrzeby nawet wtedy, gdy była w

dobrej formie. Zastanawiała się, czy na tym pogrzebie miałaby odwagę się pokazać.

Doszła wreszcie do wniosku, że rozmyślanie o tym jest bardziej bolesne niż podjęcie jakiejś akcji.

Ponieważ zbliżała się pora lunchu, a ona wciąż nie była w stanie nic zrobić, rzuciła długopis na biurko, wyszła i

udała się do motelu.

Jedynym ubraniem Julie nadającym się na 'pogrzeb była sukienka z granatowego woalu, do której można

było włożyć kapelusz z szerokim rondem. Stojąc niedaleko kościelnych drzwi podczas mszy, Julie czuła, że jest

ubrana zbyt elegancko, stanowczo zbyt elegancko jak na to skromne, wzruszające nabożeństwo w starej,

wiktoriańskiej kaplicy. Dobrze przynajmniej, że nie musiała wejść do niej sama. Przyszedł z nią Stan, który w

ostatniej chwili zaproponował, że będzie jej towarzyszył. Była mu za to wdzięczna.

Na cmentarzu oboje stali tyłu, daleko od zielonego baldachimu, pod którym umieszczone były rzędy krzeseł i gdzie unosił się zapach goździków i wędnących z gorąca chryzantem.

Kiedy została odmówiona ostatnia modlitwa i żałobnicy zaczęli się rozchodzić, Stan chciał się wycofać,

ale Julie postanowiła zrobić to, co uważała za stosowne. Poczekala, aż tłum zgromadzony wokół Donny Lislet

przerzedzi się, a potem zaszła wdowie drogę.

- Chciałam pani powiedzieć, że boleję bardzo nad tym, co się stało - powiedziała robiąc pospieszny gest

współczucia i dotykając ramienia kobiety.

-Nie spojrzała prawie na człowieka, który podtrzymywał Donnę obejmując ją w pasie, chociaż przez cały

czas zdawała sobie sprawę, że Rey Tabary znajduje się gdzieś w pobliżu. Robiła też co mogła, by ominąć

wzrokiem dwóch chłopców o blond włosach, z których jeden był tak mały, że trzymał go na rękach Rey, a drugi

opierał się o matkę.

- Wiem, że to niczego nie zmieni, ale mówię naprawdę szczerze.

- Rzeczywiście - powiedziała Donna i skrzywiła się; po twarzy spływały jej łzy rozmywając makijaż - to

niczego nie zmieni.

Oczy Reya spotkały się z oczami Julie. Na jego twarzy malował się smutek, skórę wokół oczu miał napiętą. Mimo to odezwał się łagodnym tonem.

- Panna Bullard nie jest temu winna. Paul wiedział o niebezpieczeństwie i się na nie godził.

Donna podniosła na niego oskarżycielski wzrok, jej ciemne oczy były pełne łez. Patrzyli na siebie przez

dłuższą chwilę, a później wdowa westchnęła i odwróciła się do Julie.

- Tak, przypuszczam, że tak. Dziękuję pani.

Julie odsunęła się, pozwalając im przejść. Czuła na sercu ciężar, z którym oswoiła się w ciągu ostatnich

dwóch dni, ciężar, który najprawdopodobniej przestałby ją przygniatać, gdyby się rozpląkała.

Patrzyła na tę parę

idącą wraz z dziećmi w stronę dżipa Reya i zastanowiło ją, że idą tak blisko siebie. Zastanowił ją sposób, w jaki

wdowa opiera się na silnym ramieniu przyjaciela męża. Zastanowiło ją wreszcie to, że istnieje między nimi tak

bliska więź wynikająca ze wspólnego cierpienia.

Patrzenie na nich stało się nagle jakąś formą podglądactwa. Julie odwróciła wzrok, spojrzała na cmentarz

z wystającymi nad ziemię nagrobkami z marmuru i granitu, tak charakterystycznymi dla tej części dolnej

Luizjany, spojrzała na kamienne krzyże i wazy, na porośnięte mchem inskrypcje nawiązujące do dawnych

tragedii i nieszczęść. Czas stępił ból, uczynił te tragedie możliwymi do zniesienia. Bez wątpienia śmierć Paula

Lisileta też z czasem przestanie wywoływać tak wielkie cierpienie.

- Witam panią, chere - odezwała się zza pleców Julie ciotka Tine. - Gdzie się pani podziewała? Myślę, że

wprowadzi się pani lada dzień.

Julie odwróciła się, uśmiechając się z wysiłkiem.

- Naprawdę? Nie byłam pewna, czy po tym, co się stało, nasza umowa jest aktualna. Nie wiedziałam, czy

pani bratanek będzie chciał, bym mieszkała w pobliżu.

- Rey? A co on ma do powiedzenia? Zresztą on oczywiście nie będzie miał nic przeciwko temu. Wprowadzi

się pani dziś wieczorem, dobrze? Wywietrzyłam pani pokój cztery dni temu, dałam też świeżą pościel pachnącą

palczatką, tak jak to zwykła robić moja grandmere. Rey sprawdził klimatyzację i powiedział, że działa dobrze.

Spodziewam się pani na kolację, nie później. Dziś rano sąsiadka przyniosła mi doskonałe krewetki,

przygotuję

etouffee. Zrobię go tyle, żeby można było dać trochę Donnie.

Julie zgodziła się. Spotkawszy się z taką gościnnością nie mogła odmówić. Była wdzięczna ciotce Tine.

Spokój, jakim emanowała ta kobieta w obliczu wypadku, jej zaproszenie świadczące o tym, że dla niej życie

płynie dalej i polega na zapewnianiu wygody innym - wszystko to działało kojąco. Julie zastanawiała się, czy

ciotka Tine robi to celowo, bo zauważyła, że ona, Julie, potrzebuje ukojenia, czy też z jej charakteru albo

tradycji rodzinnej wynika to, że jest praktyczna i życzliwa.

Kiedy Julie tuż po zachodzie słońca przyjechała z rzeczami, Reya nie było w domu. Ciotka Tine pomogła

jej wnieść walizki i laptopa, a także pudła, w których mieściło się jej przenośne biuro i trochę niezbędnych

drobiazgów - Julie wozila je ze sobą, by upodabniać swoje kwatery do domu. Obiecując kieliszek wina na

galerii, starsza kobieta zostawiła ją tymczasem, żeby się rozgościła w swym nowym pokoju.

Pokój był duży, miał dobrą wentylację, wąskie oszklone drzwi prowadziły na tylną galerię. Miał też dwa

okna i drzwi wewnętrzne prowadzące do jadalni. W tym typowym wiejskim domu, zbudowanym w stylu

francuskim, nie było korytarzy gdyż każdy pokój łączył się z innym lub nawet kilkoma. Rolę korytarzy pełniły

częściowo tylne galerie. Wszystkie pokoje, z których trzy znajdowały się we frontowej, a trzy w tylnej części

domu, łączyły się ze sobą, dzięki czemu w domu panowała atmosfera bliskości i przytulności. Pewnym

mankamentem było to, że mieszkańcom mogło trochę brakować poczucia prywatności. Sypialnia Julie znajdowała się w tylnej części domu, wraz z jadalnią i jeszcze jednym pomieszczeniem, służącym

kiedyś jako

sypialnia, które zostało przerobione na nowoczesną kuchnię. Sypialnia ciotki Tine była we frontowej części

domu, w prawym jego rogu, tak że Julie dzieliła z ciotką jedną z dwóch małych łazienek znajdujących się

między pokojami. W środku frontowej części domu był główny salon, a sypialnia Reya w rogu przeciwległym

do sypialni ciotki. Wąskie schody prowadziły z końca frontowej galerii do sypialni na mansardzie.

Umeblowanie pokoju Julie było proste. Łóżko z czterema słupkami do podtrzymywania baldachimu

zrobione było z gładkiego palisandru pokrytego miękką patyną starości. W drzwi palisandrowej szafy

wmontowano lustro o ściętych ukośnie krawędziach. Narzuta, pokrycie zagłówka i kapa były uszyte ze sztywno

wykrochmalonego białego płótna, ozdobionego ręcznie robioną mereżką. Nad łóżkiem znajdował się krucyfiks z

kości słoniowej, a po obu stronach oszklonych drzwi prowadzących na galerię wisiały dwa sztychy w owalnych

ramkach, przedstawiające amorki. Na podłodze, ułożonej z różnej szerokości cyprysowych desek, leżały

wypłowiałe ze starości, uprane dywaniki w łagodnie harmonizujących odcieniach błękitu, różu i zieleni.

Łazienka była równie staromodna. Wanna wspierała się na łapach z pazurami, komoda miała drewniany

blat, a umywalka osadzona była na starej podstawce z porcelanowymi gałkami przy szufladach. Lustro

zawieszono ukośnie. Ręczniki były porządne, grube, a gorącej wody nie brakowało. Julie wzięła zaraz kąpiel, po

czym przebrała się w dzinsy i koszulową bluzkę. Rozłożyła wszystkie swoje rzeczy, nawet przenośne biuro

umieściła na jednym z zapasowych stołów stojących w kącie sypialni. Gdyby pozostawiono ją samej sobie, nie

opuszczałyby pokój, popracowałyby trochę i unikała spotkania z kimkolwiek. Jednak nie mogła zlekceważyć

zaproszenia ciotki Tine. Wyszła więc z pokoju i udała się na poszukiwanie gospodyni.

- Widzi pani teraz, co miałam na myśli mówiąc, że Rey nie będzie się wtrącał do żadnej z nas? - powiedziała

ciotka Tine, kiedy obie siedziały już na tylnej werandzie, kołysząc się powoli w bujanych fotelach i sącząc wino.

- Kiedy mu oznajmiłam, że pani się dziś wprowadza, powiedział tylko, że to dobrze.

- Miło mi słyszeć, że nie wyszedł z domu z mojego powodu. Zauważyłam, że nie ma jego dzipa.

- Przypuszczam, że Rey jest ciągle u Lisletów. On im bardzo współczuje, nie tylko Donnie i chłopcom, ale

także matce Paula, jego ojcu, braciom i siostrom. Zostanie tak długo, jak będzie potrzebny.

- Mam nadzieję, że ja nie przeszkadzam ani pani, ani jemu. Jeżeli będę przeszkadzała, proszę mi natychmiast

powiedzieć.

- Ależ nie. Miło mi będzie spędzić czas w pani towarzystwie. Zwłaszcza dzisiaj. Nie mam ochoty jeść sama.

Ciotka zrobiła minę osoby uzalającej się nad sobą.

- Nie spodziewa się pani, że Rey będzie na kolacji?

- Raczej nie. Zresztą nigdy się tego nie spodziewam. On wychodzi i wraca kiedy chce, o różnych dziwnych

porach. Jeżeli w lodówce jest coś do jedzenia, to zjada, a jeżeli nie, to gotuje sobie sam. Pomaga mi w pracach

wokół domu, jeśli może. A ja nie żądam więcej. Kiedy zjawia się w domu, cieszę się z tego. A kiedy odjeżdża,

nie smucę się, bo wiem, że wróci.

Julie patrzyła na ciotkę Tine z większym niż przedtem zainteresowaniem.

- Czy to znaczy, że pani bratanek nie mieszka z panią stale?

- Ależ nie, chere. Dlaczego pani tak myślała? On przeważnie mieszka w Nowym Orleanie.

- Chyba nabrałam takiego przekonania słuchając, jak mówi o sobie i bagnach. Mógł mi powiedzieć ...

- On lubi żartować - stwierdziła ciotka Reya z pobłażliwym uśmiechem.

- Jeżeli chciał, żebym się poczuła głupio, to z pewnością mu się to udało.

- Nie, nie, to były żarty. On czasami lubi się zgrywać. Podobnie jak wtedy, gdy mówił o tych prymitywnych ludziach zamieszkujących nasz stan. Lubi obserwować, jak długo ktoś będzie w takie rzeczy wierzył.

- Czy to nie jest trochę młodzieńczy rodzaj poczucia humoru?

- Być może. Ale on zajmuje się tyłoma poważnymi rzeczami, że ... Zresztą mniejsza z tym. Tak naprawdę wychował się na rzece i na kanałach. Wyrósł tu, w okolicy. Podobnie jak Paul. Przynosili mi codziennie coś do ugotowania, a to jakiegoś skorupiaka, a to ogon aligatora, a to kosy, a to znów trochę sacque-au-lait, to znaczy ryb u was znanych jako okonie.

- Musieli tworzyć niezłą parę - powiedziała Julie. Nie była pewna, czy chce rozmawiać o Paulu, ale wiadomości na temat Reya mogły jej się przydać. Oczywiście ze względu na film.

- Ależ tak. Pewnego razu, w lecie, kiedy obaj mieli po trzynaście albo czternaście lat, znaleźli po powodzi starą pirogę. Udawali się nią na Missisipi, gdzie łowili ryby i pływali. Często widząc, że zbliża się jacht jakiegoś bogacza; wywracali ją - co, jak pani wie, nie jest takie trudne - i udawali, że to ten jacht spowodował wypadek. Wpływali pod pirogę i chowali się tam, oddychając powietrzem zebrany pod spodem. Ludzie z jachtu szukali ich godzinami. W końcu chłopcy pozwalali się odnaleźć i wyratować i dostawali jeszcze za to sowitą nagrodę, czasami pieniężną. Ale pewnego dnia przyjaciel ojca Reya, który łowił na rzece ryby, przyłapał ich na tym. W

dziesięć minut po powrocie chłopców do domu piroga została spalona!

Julie roześmiała się, wtórując spokojnemu śmiechowi ciotki, a potem pociągnęła łyk wina.

- Mówiła pani, że on zajmuje się czymś poważnym... ?

- Proszę nie zwracać uwagi na staruszkę, która ma krótką pamięć i zbyt długi język - odrzekła ciotka Tine,

machając niedbale ręką. - Zapomniałam, że Rey nie pracuje już w agencji antynarkotykowej. Ależ ten czas

płynie...

Gdyby Julie upierała się przy tym pytaniu, zbiłaby tylko ciotkę z tropu. Zdając sobie z tego sprawę,

zamilkła. Powietrze na zewnątrz było duszne. Jakaś kura czy samiczka pawia zagdakała idąc do kurnika.

Świerszcze i żaby śpiewały swoją monotonną, ale spokojną pieśń żałobną. Od czasu do czasu odzywała się też

żaba drzewna, wydając dźwięk, o którym Julie od dzieciństwa wiedziała, że zapowiada deszcz. Chwilowo

jednak nie było śladu wilgoci. Julie siedziała na galerii, nasłuchując i patrząc, a tymczasem nadciągała noc.

- A co z rodzicami Reya? - odezwała się po chwili. - Czy oni wciąż mieszkają w pobliżu?

- Mój brat i jego żona zginęli w wypadku drogowym, kiedy Rey był na studiach.

- Przykro mi z tego powodu - powiedziała Julie miękko. - A czy Rey ma rodzeństwo?

- Ma młodszą siostrę, która jest mężatką i ma troje dzieci. Mieszkają w Atlancie. Żyje też babka, matka jego

matki, w Nowym Orleanie. Teraz, po śmierci Paula, to już wszyscy, którzy mu zostali, poza mną oczywiście.

Rey i Paul byli prawie jak bracia.

- Nie miałam pojęcia, że byli sobie tak bliscy.

- Tak, bardzo bliscy. - Ciotka Tine skinęła powoli głową. - Włóczyli się razem po bagnach, razem chorowali

na świnkę i odrę, razem grali w piłkę, wszystko robili razem. Przez krótki czas, w szkole średniej, obaj kochali

się w Donnie, a później Reyowi przeszło. On bardzo przeżywa śmierć Paula. Jemu się chyba zdaje, że powinien

był to przewidzieć lub coś zrobić; żeby temu zapobiec.

- Nikt tu nie mógł nic zrobić - powiedziała Julie stanowczo. Ale czuła, że przynajmniej w tym wypadku

potrafi zrozumieć, co przeżywa Rey.

Ciotka Tine westchnęła.

- Wiem, ale tak to już jest.

Rozmawiały jeszcze o różnych innych rzeczach, między innymi o tym, że szeryf zamknął śledztwo, i o

tym, z jaką ulgą przyjęły orzeczenie stwierdzające, że była to śmierć poniesiona w wypadku. Julie dowiedziała

się, że szeryf jest krewnym ciotki Tine. Nie zdziwiło jej to, gdyż zaczynała się orientować, że miejscowa

społeczność jest bardzo spójna. Po wypiciu wina nie siedziały długo na galerii, tylko weszły do środka, żeby

zjeść kolację.

Etouffee było wspaniałe. Tak dobre jak to, którego Julie spróbowała w restauracji w Nowym Orleanie

podczas niedawnego wypadu do miasta. Miękką jesienną fasolka szparagowa i dynia prosto z ogrodu ciotki

Tine, podane wraz z tą potrawą, były też wyśmienite, podobnie jak pudding z sosem rodzynkowo - ananasowym.

Kiedy ciotka Tine nie chciała przyjąć do wiadomości wylewnych pochwał, Julie opisała jej swoje powszednie

tekturowoplastikowe posiłki, które musiałyby jeść, gdyby się do niej nie przeniosła. Ciotka Tine nie mogła

uwierzyć, że różnica jest taka wielka. W doskonałej harmonii sprzątnęły ze stołu i razem pozmywały. Kiedy

skończyły, ciotka zaproponowała oglądanie telewizji w swojej sypialni, ale Julie podziękowała. Mówiąc, że

musi opracować nowy plan zdjęć, wycofała się do siebie.

Przez blisko godzinę słyszała pomruk telewizora włączonego w pokoju, od którego jej sypialnię oddzielała łazienka. Julie tymczasem przygotowała plan zdjęć uwzględniając sceny z Summer i Vance'em i

starannie unikając dynamicznej sceny na rzece. Miała zamiar wrócić do niej później, gdyż trzeba było ją jednak

nakręcić. Ale teraz nie była w stanie o tym myśleć.

Jej uwagę zwróciły błyskawice za oknem. Wstała i podeszła do oszklonych drzwi, żeby je otworzyć. Do

środka wpadł podmuch wiatru, chłodny i odświeżający, niosąc zapach deszczu. Ten świeży podmuch

uświadomił jej, że powietrze w pokoju jest stęchłe i zbyt oziębione przez klimatyzator. Podeszła więc do okna i

wyłączyła urządzenie.

A potem wyszła przez oszklone drzwi na galerię i usłyszała grzmot. Nie była to prawdziwa burza -

błyskawice świeciły blado, od czasu do czasu, a ich światło z ledwością przebijało się przez ciemności nocy;

grzmot był tylko pomrukiem. Deszcz, kiedy już zaczął padać, lekko stukał o klepisko podwórka za galerią, a

jego niezbyt gęste krople spadały na blaszany dach.

Deszcz w Luizjanie. Julie zawsze wydawało się, że deszcz w tym stanie jest bardziej mokry niż gdzie

indziej, że przenika wszystko łatwiej, że jest bardziej naturalny. W Kalifornii woda spadająca z zachmurzonego

nieba była jakby obrazą dla nie kończącego się ciągu słonecznych dni. W innych miejscach, na wyspach i w

górach, deszcz padał w określonych porach roku i rzadko pojawiał się kiedy indziej. Ale w Luizjanie zawsze

należało się z nim liczyć. Spadająca z nieba woda była tu przeklinana i błogosławiona, ale nigdy

lekceważona,

gdyż było bardzo prawdopodobne, że popłynie rwącymi potokami w kanałach albo stanie się dusicielką żab", jak

to określali wieśniacy, że spowoduje powódź albo przyniesie tornado czy huragan.

Deszcz za barierką galerii rozpadał się na dobre, jego szum stał się ciągły, nieustępliwy. Krople dzwoniły

o blaszany dach. Był to dobry, kołyszący do snu deszcz. Julie ogarnęło zmęczenie, czuła je w barkach. Czas

spać, pomyślała. Wkrótce potem wyszła z łazienki w krótkiej tunice z białego jedwabiu i ze szczotką do włosów

w ręce. Przechyliła głowę na bok, rozczesując włosy. Nagle znieruchomiała.

Nie była sama. Wysoki mężczyzna leżał rozciągnięty w nogach jej łóżka, podpierając głowę na dłoni.

Był to Rey Tabary. Przyglądał jej się ze zmarszczonymi brwiami.

- Zostawiła pani drzwi szeroko otwarte - powiedział. - To nie najlepszy sposób postępowania.

- Rozkoszowałam się chłodem. Poza tym myślałam ...

- Myślała pani, że znajduje się pani na wsi, gdzie nie grożą pani... żadni intruzi.

- Coś w tym rodzaju.

Podniosła brodę, dalej szczotkując włosy.

- Widzi pani teraz, jak bardzo się pani myliła?

- Chyba tak - odrzekła nerwowo, przestając udawać, że nic jej to nie obchodzi. - A teraz, jeżeli zechce pan

wyjsc, położę się spać.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem pokręcił głową.

- Sprowokowała mnie pani znowu, co? Czy naprawdę jest pani taka nieostrożna? A może chce pani usłyszeć,

co mam do powiedzenia?

- Ja nie uprawiam gier - odpowiedziała, starając się zignorować fakt, że puls ma przyspieszony. -

Powiedziałam już panu wyraźnie, po angielsku, co ma pan zrobić.

- Chce pani, żebym wyszedł, czy tak? I nic więcej ... Nie nie, proszę zapamiętać, że to powiedziałem. Nie lubi

pani gier. Zapamiętam to sobie, gdyż będziemy razem pracować.

To ostatnie zdanie wypowiedział z taką nonszalancją, że Julie nie zauważyłaby jej, gdyby nie wyczekujące spojrzenie kawowobrazowych oczu Reya. Wepchnęła szczotkę do włosów w kieszeń tuniki i odrzuciła w tył głowę.

- Będziemy razem pracować?

- Tak - odpowiedział - jeżeli ustalimy parę szczegółów. Podniósł się, a przyszło mu to łatwo, jak komuś, kto

ma bardzo sprawne mięśnie. Usiadł na skraju łóżka z jedną nogą podkurczoną, a drugą wyciągniętą na podłodze.

- Jakich szczegółów?

- Po pierwsze, chcę wykonać zadania kaskaderskie Paula, łącznie z tym, którego nie dokończył.

Julie patrzyła na jego zdecydowane rysy, nie odwracając wzroku od nieustępliwego spojrzenia, ale twarz

Reya była nieprzenikniona.

- Dlaczego?

- Z powodu pieniędzy, oczywiście.

- Nie wiem dlaczego - odpowiedziała powoli - ale nie mogę uwierzyć, że jest to powód, dla którego zmienił

pan zdanie.

- Więc co? Może to kaprys? Albo dowód szacunku? Lub rodzaj odszkodowania? Albo też chcę dowieść, że

Cajun może wykonać to zadanie? Proszę wybierać spośród tych możliwości.

Po twarzy Julie przemknął skurecz świadczący o tym, że ma ona wątpliwości i że jest jej przykro; zlekceważyła jednak wyzwanie zawarte w jego słowach.

- Dobrze, skoro jest pan pewien, że tego pan chce. Czy to wszystko?

- Chcę mieć ostatnie słowo w sprawie miejscowych obyczajów i przedstawiania życia na bagnach, czyli chcę

robić to, co mi pani przedtem zaproponowała.

- Nie mam nic przeciwko temu. Co dalej?

- A dlaczego pani sądzi, że jest coś jeszcze? - zapytał, a w jego oczach pojawił się wyraz rozbawienia. -

Doświadczenie i intuicja. Więc?

Wahał się przez chwilę, a potem kiwnął głową.

- Chciałbym, żeby pani zatrudniła Donnę, żeby dała jej pani jakąś małą rolę, coś, co pozwoli jej zarobić kilka

dolarów i nie myśleć o wypadku.

- Trudno mi zrozumieć, by praca w miejscu, w którym zginął jej mąż, mogła pozwolić jej nie myśleć o

wypadku - powiedziała Julie szczerze.

- Nie twierdzę, że ona teraz jasno myśli, ale tego właśnie chce. Donna jest nauczycielką, chociaż od kilku lat

nie uczy. Ma zamiar wrócić do szkoły w drugim półroczu. Obiecano jej posadę. Ona w każdym razie uważa, że

to jej pomoże, więc obiecałem, że panią poproszę.

Julie pomyślała, że Donna prawdopodobnie marzy o tym, żeby być aktorką. Widziała to setki razy:

młode kobiety, uważające się za ładne, żywiły nadzieję, że zmienią swoje życie dzięki krótkim kontaktom z

filmowcami. A może Donna Lislet chciała być blisko Reya, który miał zamiar pracować przy filmie? Chwilę

później, zauważywszy kpinę w jego oczach, Julie poczuła wstyd, że przyszła jej do głowy taka cyniczna myśl.

Kiwnęła głową.

- W ciągu następnych kilku tygodni będziemy kręcić parę scen ulicznych, może jakąś w sklepie. Będziemy je

kręcić w jednym z pobliskich miast, w Litcher albo Gramercy. Donna może zostać statystką i zagrać w nich,

jeżeli zechce skontaktować się z Ofelią, wypełnić formularz i pozwolić zrobić sobie zdjęcie z polaroida. Czy

możemy się tak umówić?

- Jestem pewien, że Donna będzie zachwycona.

- Dobrze - powiedziała Julie, podnosząc rękę niedbałym ruchem i sprawdzając, czy nie rozchyliła jej się pod

szyją tunika. A teraz, jeżeli to wszystko ...

Rey zignorował te słowa, zachowując się tak, jakby Julie nic nie powiedziała.

- Czy to przeze mnie czuje się pani zdenerwowana?

Julie spojrzała na niego spokojnie, a on odpowiedział spojrzeniem łagodnym, ale pełnym ciekawości.

Wyglądało na to, że naprawdę przestał grać.

- Jeżeli mam być szczerą - powiedziała Julie powoli - to nie lubię być zaskakiwana. Nie lubię też, kiedy ktoś

wdziera się na moje terytorium bez pozwolenia.

- Na pani terytorium?

- Do mojego pokoju, biura, w moją przestrzeń życiową - powiedziała, zataczając krąg ręką.

- Słyszałem o tej fobii - stwierdził Rey lakonicznie. - A czy jest pani pewna, że zdenerwowanie pani nie

pochodzi stąd, że ja jestem ubrany, a pani ma na sobie tylko szlafrok? Czy nie denerwuje się pani właśnie tym,

mimo że jest pani wyzwoloną Kalifornijką?

Julie zarumieniła się i zaraz zezłościła się na siebie. Była zła, że, się rumieni, bo zwykle była dumna z

tego, że nie traktuje własnego ciała pruderyjnie. Od czasu gdy skończyła kilkanaście lat, chodziła po plażach w

bikini o powierzchni mniejszej niż damska chusteczka do nosa i od lat spała nago. Zdenerwowanie z powodu

nagości było ostatnią rzeczą, która jej groziła - tak myślała. A jednak Rey nie bardzo się mylił.

- Moja nagość, jeżeli to jest określenie, którego pan szuka, nie ma z tym nic wspólnego - powiedziała. - Jest

pan obcym, który pojawił się w moim pokoju w środku nocy. Czego się ,pan spodziewa?

- Myślę, że lepiej byłoby zapytać, czego pani się spodziewa?

- Niczego! Dosłownie niczego.

- To dobrze. Bo nic się tu nie będzie działo. Obiecuję. A teraz dlaczego nie mielibyśmy usiąść i omówić tych

scen, które mają być filmowane w poniedziałek rano? Dlaczego nie miałyby mi pani powiedzieć, w jaki sposób

mogę pani przy nich pomóc?

- Teraz?

- A kiedy? Czy znajdziemy lepszy moment? Teraz nikt nam nie przeszkodzi, nie będzie żadnych problemów

technicznych, którym musiałaby pani poświęcać uwagę, nie będzie świateł, kamer, ekipy. Jesteśmy tylko my

dwoje i mamy mnóstwo czasu.

Jego ostatnie słowa zabrzmiały szorstko, oczy mu pociemniały.

Nagle Julie przyszło do głowy, że być może Rey potrzebuje czegoś, co oderwie go od myśli o Paulu. Nie

była już senna i stwierdziła, że przyda się coś, co zajmie jej myśli. Spuszczając oczy powiedziała pospiesznie:

- No dobrze, skoro tak.

Podeszła do łóżka, odsunęła kołdrę i spiętrzyła poduszki na zagłówek. A potem oparła się o nie. Obok

stołu, przy którym poprzednio pracowała, stało proste krzesło. Mogła je przyciągnąć i usiąść na nim, ale nie

chciała dawać mężczyźnie leżącemu w nogach jej łóżka okazji do dalszych komentarzy.

Na ustach tego mężczyzny pojawił się cień uśmiechu. Rey obserwował ją, jego spojrzenie zatrzymało się

na wilgotnych, miękkich włosach, na czystej cerze bez odrobiny makijażu. Umościł się wygodniej twarzą do

Julie i oparł się plecami o jeden ze słupków łóżka.

Julie trudno było się skupić na interesujących ją problemach, dopóki nie zaczęła zadawać pytań, nękających ją od pewnego czasu. Wtedy dopiero skoncentrowała się na treści filmu i zapomniała o wszystkim.

Rey zdumiewająco szybko chwycił, o co chodzi w poszczególnych scenach, i był w stanie błyskawicznie

zrozumieć jej wizję. Wyrażał się jasno i zdecydowanie, przytaczając fakty i cyfry na poparcie swego zdania. Nie

był jednak dogmatyczny - dla celów artystycznych czy ekonomicznych gotów był dostosować się do niej. Julie

zaimponowało to, że jest zupełnie spokojny. Wiedziała bowiem z doświadczenia, że niewielu mężczyzn potrafi

dyskutować przez dłuższy czas z kobietą, nie próbując jej zdominować, zwłaszcza że w ich dyskusji chodzi o

rzecz tak nieokreśloną jak obyczajowość.

Julie wyciągnęła egzemplarz scenariusza i pokazała mu fragmenty, które wymagały jego uwagi.

Pokazała też plan zdjęć. Rey udzielił jej kilku ważnych wskazówek, jednakże takim tonem, jakby nie miały one

większego znaczenia.

- Proszę spojrzeć na tę scenę, w której Jean - Pierre ściga opryszków wynajętych przez żonę po tej części

bagien - powiedział, wskazując w scenariuszu scenę, która miała być kręcona za tydzień. - Według scenariusza

on ma ich ścigać pieszo, okrążyć ich idąc pod osłoną drzew i przeciąć im drogę. Ale tego się nie da zrobić.

- Jak to "się nie da"?

Julie położyła się na brzuchu, żeby spojrzeć na tę część tekstu, którą pokazywał. On natomiast pochylił

się w jej stronę, chcąc pokazać jej tekst.

- Na bagnach jest pełno palm niskopiennych, tych, które pani widziała. Kiedy się między nimi idzie, wydają

taki grzechotliwy dźwięk. Jean-Pierre będzie musiał się prawie czołgać. Jeżeli pobiegnie, tak jak tu jest

powiedziane, narobi hałasu jak stado słoni. Będzie go słyszeć w odległości kilku mil.

Julie uśmiechnęła się.

- Vance nie będzie chciał się czołgać w błocie. Nie spodoba mu się ten pomysł.

- Ale nic na to nie można poradzić, będzie musiał. No, a znowu ta scena, w której Jean-Pierre okrąża opryszków płynących szybką łodzią, a potem pędzi w dół rzeki i skręca w odnogę ... on nie może tak po prostu

skręcić i uciec, bo na to potrzebny jest czas. Rzeka to nie autostrada. Piana tworząca się za łodzią pozostanie na

wodzie przez jakieś piętnaście minut i zdradzi, którędy płynął. Lepiej by było, gdyby dla zmylenia pogoni zaszył

się w jakąś odnogę, nawet ślepa. Mógłby wyłączyć silnik i wrócić na rzekę wiosłując. Potem, nadal wiosłując,

mógłby się dostać do tej odnogi, do której zmierzał. Po przebyciu paruset stóp włączyłby silnik. W ten sposób nie

zostawiłby za sobą na wodzie bruzdy ani piany. I mógłby się spokojnie wymknąć.

Mówił o końcowej fazie sceny, nad którą pracował Paul.

- Tak, rozumiem, o co chodzi - powiedziała Julie nerwowo. - Ale nad tym nie musimy się jeszcze zastanawiać.

- Dlaczego? Przecież trzeba to nakręcić.

- Wolałabym ... o tym nie myśleć.

- To nie pomoże. I tak nie da się tego uniknąć. Niech pani to zrobi, żeby mieć to za sobą.

W słowach tych brzmiało echo wszystkich męskich filmów przygodowych, jakie widziała - pogódź się z

tym, staw temu czoło, skacz do wody, wsiadaj na konia po upadku. Takie rzeczy chętnie powtarzał jej ojciec,

Bull Bullard.

- Kiedy przyjdzie czas, zdecyduję - powiedziała chłodno.

A on odwrócił głowę i spojrzał na nią. Rysy mu stężały.

- W porządku ... szefowo - powiedział łagodnie.

Był tak blisko, że ocierał się o nią ramieniem. Julie czuła nikły zapach jego płynu po goleniu, widziała

ciemną, nieprzeniknioną głębię jego oczu i rzęsy, bardzo długie, wywinięte w dół tak, że dotykały pomarszczonej skóry pod oczami. Wyczuwała jego siłę, dostrzegała szerokie, obciśnięte trykotową koszulką

ramiona i silne mięśnie ud, tworzące wypukłości pod obcisłymi dzinsami.

Na dworze deszcz ciągle padał, dzwoniąc o blaszany dach.

Wpływające przez otwarte drzwi powietrze było ciężkie, wilgotne. Zdawało się, że ich otula, zamyka w

niepożądaną pułapkę bliskości. Gdzieś w głębi ciała Julie pojawiał się z wolna narastający ból, który podnosił

się w górę, tamując jej oddech.

- Ja ... nie miałam zamiaru pokazywać swojej władzy - powiedziała odsuwając się od niego ze spuszczonej

oczami. - Miałam ciężki dzień ... i czuję się nieswojo, mówiąc o tej scenie. Może już teraz na tym skończymy,

dobrze?

Patrzył na nią przez chwilę, a potem wstał, prostując się gwałtownie. Wziął scenariusz i zwinął go, odwracając się twarzą do oszklonych drzwi.

- Dobrze - powiedział.

Julie poczuła, że w momencie kiedy się odsunął, napięcie opadło. Przyszło jej do głowy, że może była

zbyt szorstka, może zbyt ostro zareagowała na jego bliskość. Zwilżyła wargi.

- Chciałabym, żeby pan wiedział, że jestem wdzięczna za to, że chce pan ze mną współpracować. Jestem

pewna, że dzięki temu Królestwo bagien będzie lepszym filmem, niż byłoby bez pańskiej pomocy, zwłaszcza po

tym, co zrobiliśmy dzisiaj.

- Zobaczymy - odrzekł. - A teraz proszę zamknąć za mną drzwi na klucz.

Julie zsunęła się z łóżka, ale nie podeszła bliżej do niego.

- Dobrze, zamknę.

Rey spojrział na nią uważnie.

- A tak przy okazji - powiedział - na galerii stoi wiadro. Ciotka je przysłała - na wypadek, gdyby dach zaczął

przeciekać.

- To miło z jej strony.

Więc to był powód, dla którego przyszedł. Może tak, a może nie. Trudno było orzec.

- Mógłbym pani pokazać, gdzie je postawić w razie potrzeby.

- Nie trzeba. Poradzę sobie - odpowiedziała pośpiesznie. Kącik jego ust uniósł się, jakby w uśmiechu.

- Tak myślałem.

Przyglądał się jej jeszcze przez chwilę, a potem, kręcąc głową, wyszedł z pokoju i zamknął cicho drzwi.

- Dobranoc - wyszeptała Julie do siebie i odczekawszy, aż jego kroki ucichną na galerii, ruszyła do drzwi,

żeby je zamknąć na klucz.

Do stołu Julie siedzącej właśnie w klubie jachtowym podeszła Ofelia, niosąc pół tuzina pączków w jednej ręce i ogromną filiżankę kawy w drugiej. Opadła na krzesło i postawiła śniadanie na stole. Zaczęła

rozdziierać torebki ze słodzikiem i wsypywać go do kawy.

- No to powiedz mi - zwróciła się do Julie - co musiałaś zrobić, żeby ten aligator Tabary się zgodził.

- Jaki aligator?

- No ten Galahad z bagien, pamiętasz go? Nie może być Krokodylem Dundee, bo w tej części świata nie ma

krokodyli, ale jeżeli mi powiesz, że nie walczy z aligatorami, rozwiejesz moje dziewczęce marzenia.

- Przykro mi.

- O, do diabła, miałaś mi o tym nie mówić! Ale mimo to chcę znać pieprzne szczegóły.

- Jeszcze raz muszę ci powiedzieć: przykro mi.

- Oj, nie psuj zabawy!

- Ale on podjął decyzję sam. Ja nie miałam z tym nic wspólnego.

- No dobrze, wierzę ci. W każdym razie on już się tu zdomowił: To muszę przyznać.

Julie wyjechała z domu ciotki Tine o świcie. Zachowywała się bardzo cicho, nie chcąc nikogo obudzić.

Nie przyszło jej do głowy, by sprawdzić, czy dżip Reya stoi przed domem. Przełknęła kawałek krakersa o smaku

jajeczniczy na boczku i zapytała:

- To on już tu jest?

- Już dawno. Wszystkiemu się przygląda, o wszystko wypytuje. W tej chwili Madelyn zaprasza go do siebie

na pyszną kawę i omlet przygotowany jej białymi jak lilie rączkami. Ciekawe, czy przyjmie zaproszenie?

- O Boże.

- Tak, tak. Nie myśl, że Madelyn tak bez celu uczy się gotować. Ona ma wizję przyszłości. Po zakończeniu

wspaniałej kariery aktorskiej zacznie grać rolę uroczej żony jakiegoś arystokraty z Nowego Orleanu.

- A co ...

- O co chodzi? - spytała Ofelia, pochłaniając pączka.

- Co to ma wspólnego z Reym Tabarym?

Ofelia otworzyła szeroko oczy, udając zdziwienie.

- To ty nic nie wiesz? Prywatni detektywi Madelyn donieśli jej, że nasz Szczur Bagienny jest ni mniej, ni

więcej, tylko wielkim playboyem. Pieniądze są w jego rodzinie od pokoleń. Jest członkiem różnych klubów,

wiesz, takich jak Pickwick Club, jak Krewe of Comus, a poza tym ma apartament w One River Place, Maserati,

prywatny samolot... fabrykę ...

- Och, daj spokój - powiedziała Julie, uśmiechając się szeroko, w przekonaniu że Ofelia żartuje.

Ofelia popiła kawą następnego pączka.

- Nie nabierałabym cię. Madelyn przysięga; że też prawda. I zastawia sidła.

- To absurd - powiedziała Julie stanowczo. - On przecież pracował dla DEA.

- Zrezygnował z tej pracy parę lat temu, kiedy jego bogata babka-Kreolka miała zawał i przestała zajmować

się interesami rodzinnymi.

Julie zmarszczyła brwi. Było to prawdopodobne, a równocześnie tak nierealne, że pozostawało chyba w

zgodzie z oryginalnym poczuciem humoru Reya.

- Dlaczego więc teraz nie zajmuje się tymi interesami, tylko kręci się po bagnach ... albo koło nas?

- Kto to może wiedzieć - powiedziała Ofelia, wpychając sobie do ust ostatniego pączka i oblizując palce. -

Myślę, że będziesz musiała o to spytać jego.

- Ty go spytaj. Ja mam ważniejsze sprawy na głowie - odrzekła Julie stanowczo.

- Tak długo, jak działa na korzyść mojego filmu, nie obchodzi mnie, co robi.

- Oczywiście, mnie też - powiedziała Ofelia żartobliwie, sięgając po papierosy i tanią, plastikową zapalniczkę.

Julie zignorowała tę uwagę, odsunęła krzesło i oddaliła się, wracając do pracy.

To, co powiedziała, było szczere. Za dużo już czasu poświęciła na myślenie o Reyu Tabarym. Teraz musiała skoncentrować się na pracy, zabrać się ostro za film i go skończyć. Snucie domysłów na temat spraw

rodzinnych Reya nie pomoże jej w wykonaniu tego zadania.

Mimo to jednak Julie nie widziała powodu, dla którego nie miałyby sprawdzić, czy opowieść Ofelii jest

prawdziwa. Przechodząc obok karawaningu Madelyn zobaczyła, że aktorka stoi w drzwiach oparta o framugę;

miała na sobie elegancki negligé w stylu lat trzydziestych - piżamę z białego atłasu o szerokich nogawkach,

opływającą jej zmysłowe okrągłości - oraz biały turban. Była jaskrawo umalowana. Z niezadowoloną miną

obserwowała Reya znajdującego się nad rzeką. Nowy konsultant stał na molo i wprowadzał Vance'a i Summer w

arkana Rybołówstwa. I najwyraźniej nie dał się zaprosić na smakowite śniadanie.

- Ofelia jest albo idiotką, albo intrygantką - powiedziała Madelyn krzywiąc się, kiedy Julie powtórzyła jej

swoje rewelacje usłyszane od asystentki. - W jakim celu opowiadałaby ci to, czego ja się dowiedziałam, jeżeli

nie po to, byś się głupio poczuła? Kochana Ofelia zawsze ci zazdrościła.

- Zazdrościła mi? Ofelia? - zapytała Julie unosząc brwi i uśmiechając się. - To niemożliwe.

- No, no. Wiesz przecież, że masz wszystko, czego ona pragnie urodę, inteligencję, wcięcie w pasie ... nie

mówiąc już o poparciu Allena na gruncie zawodowym i o tym, że zaczynasz zdobywać pozycję w świecie filmu.

Dlaczego nie miałyby ci zazdrościć?

- Ona zbyt lubi pracę i własne rozrywki.

- Myśl, co chcesz, ale to fakt, że poszła i zaczęła ci gadać o Reyu, nie?

Madelyn często wyrażała się kąśliwie o ludziach, zwłaszcza o kobietach. Po wielu latach walki o dobre

role, o to, by być blisko szczytu, patrzyła na nie jak na potencjalne przeciwniczki. Julie wiedziała, że to, co

mówi aktorka, należy przyjąć z przymrużeniem oka.

Nawiązując do ostatnich słów Madelyn i chcąc zgłębić temat, zapytała:

- To znaczy, że to, co Ofelia o nim mówiła, to prawda? Madelyn przyglądała sobie włosy na skroni pod

turbanem.

- Naturalnie, że to prawda, kochanie. Gdy idzie o mężczyzn, ja nigdy się nie mylę. Wiedziałam, kim jest, od

chwili kiedy się tu pojawił. Już parę tygodni temu ktoś mi go pokazał w Nowym Orleanie. Towarzyszył swojej

babce w cudownej restauracji zwanej Versailles.

- Nie mówiłaś mi o tym.

- A skąd mogłam wiedzieć, że cię to interesuje? W końcu masz przecież Allena.

Te słowa były delikatną aluzją. Julie omal się nie uśmiechnęła.

- Ta jego podwójna tożsamość to coś dziwnego.

- O nie, tu nie o to chodzi. On naprawdę nie lubi o sobie mówić. Możesz to sobie wyobrazić? Mnie się to

bardzo podoba. W końcu tyle lat żyję wśród aktorów, gdzie wszyscy znają najdrobniejsze szczegóły życia

innych. A tobie się to podoba?

- Nie jestem pewna - odrzekła Julie. - Ja raczej nie lubię sekretów.

Madelyn otworzyła usta, chcąc coś odpowiedzieć, ale jej słowa zagłuszył krzyk. Krzyczała Summer. Jej

dochodzący z nad wody krzyk był głośny i przeraźliwy i brzmiała w nim nuta prawdziwie histerycznej złości.

Nic nie wskazywało jednak na to, by Summer wrzeszczała z bólu. Julie odwróciła się i zobaczyła, jak

dziewczynka rzuca wędkę i zaczyna podskakiwać, szarpiąc się za włosy.

Vance cofnął się, klnąc i kręcąc głową. Rey był tak zdumiony, że stał bez ruchu, patrząc na Summer.

Dziewczynka zaczęła krzyczeć głośniej, a potem rzuciła się naprzód i zaczęła deptać wędkę.

Rey wyciągnął szybko ręce, chwycił Summer za ramiona i przytrzymał ją, mówiąc coś do niej

rzeczowym tonem. Julie nie słyszała słów, zorientowała się jednak, że poskutkowały, gdyż dziewczynka

przestała nagle krzyczeć. Wyrwała się z uścisku Reya. Odwróciła się na pięcie i pobiegła do karawaningu, który

zajmowała z matką.

Julie ruszyła w stronę Summer, zabiegła jej drogę i zatrzymała ją chwytając za ramię.

- Co się stało? - spytała z niepokojem. - Co ci jest?

Summer rzuciła jej spojrzenie pełne złości, jej twarz wykrzywiał grymas wściekłości i urażonej dumy.

- Powiedział, że jestem dzieckiem, rozwyrzonym bachorem! A ja nie jestem dzieckiem ani nie jestem

rozwydrzona. Ja mu pokażę. Wszystko mi jedno, czy nauczę się łapać ryby, czy nie. Wszystko mi jedno, czy

zagram w tej scenie, czy nie. Nie zagram. Nigdy w niej nie zagram.

Dziewczynka wyrwała się Julie i pobiegła pędem w stronę swego karawaningu. Wpadła do środka i

zatrzasnęła drzwi. Julie pokręciła głową i postanowiła poczekać, by zobaczyć, co będzie dalej. Nie czekała

długo.

Po chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich Annette Davett.

Tlenione włosy fruwały wokół jej głowy jak strzępki bawełny, a usta wykrzywiła ponury grymas.

Annette podeszła do Julie i spytała:

- Co ten człowiek zrobił mojemu dziecku? Jak on śmiał ją tknąć? Ona nigdy w życiu nie była tak przerażona.

Żądam, żeby ją przeprosił. Inaczej zawiadomię policję!

- Nie sądzę, żeby to było potrzebne - powiedziała Julie uspokajająco. - Jestem pewna, że to nieporozumienie.

- Nieporozumienie! To przypadek molestowania dziecka. Tak, on ją molestował!

- Nie, na pewno nie - zaczęła Julie stanowczo.

- Nic jej nie zrobiłem - odezwał się Rey, zbliżając się do nich - Chociaż miałem ochotę, naprawdę. Pani córka

to rozwydrzona dziewczucha. Zniszczyła wędkę z kołowrotkiem wartą kilkaset dolarów tylko dlatego, że nie udało

jej się prawidłowo. nią posłużyć za pierwszym i drugim razem, i dlatego, że ja powiedziałem, że źle ją trzyma.

- Moja córka to nadwrażliwa artystka żyjąca emocjami - odpowiedziała Annette, prostując się i przybierając

wyniosłą minę. - Nie można jej oceniać tak, jak się ocenia inne dzieci. I nie miał pan prawa jej dotykać, bez

względu na to, co zrobiła!

- Dotykać jej? Miała szczęście, że jej nie dałem w tyłek. Ta wędka była moja.

Oczy Annette Davett zabłyśły.

- Zwrócimy panu koszty, ale to nie ma znaczenia. Żądam, żeby pan przeprosił Summer.

- Przeproszę Summer, kiedy ona przeprosi mnie, nie wcześniej. Jeżeli chce, może wyglądać w tej scenie jak

idiotka. Ja nie będę tracił czasu na uczenie dziewczynki, która jest tak nadwrażliwa, że nie może się

opanować.

Annette uśmiechnęła się smętnie.

- Summer mówi, że nie będzie grała w tej scenie.

- Mnie to nie sprawia różnicy.

- Ale mnie sprawia - wtrąciła się Julie stanowczym tonem.

Usłyszawszy, o co poszło, nie miała ochoty uspokajać Summer ani jej matki.

- Na twoim miejscu, Annette, spojrziałabym na umowę twojej córki, zanim bym się zdecydowała popierać ją

w tym, co powiedziała w gniewie. Scena łowienia ryb będzie nakręcona, tak czy inaczej. I to dzisiaj.

Matka Summer spojrzała na Julie, a potem na Reya, ściągając wargi.

- Zobaczymy - zaczęła ..

- Poczekaj. Poczekaj, mamó - odezwała się Summer, która -stała w drzwiach karawaningu.

Annette Davett odwróciła się z wściekłością i zdumieniem w oczach. Dziewczynka, pociągając nogami,

zeszła po schodkach i zbliżyła się do kłócącej się trójki. Zatrzymała się, patrząc na Reya.

- Nie wiedziałam, że wędka jest pana. Myślałam, że to rekwizyt - powiedziała. - Kupię panu nową.

Rey nie zmienił wyrazu twarzy.

- Wolę sam sobie kupić.

- Ale ja chcę panu odkupić wędkę. Naprawdę. - Dziewczynka odetchnęła głęboko, jej blada twarz zarumieniła się. - A potem ... potem niech mnie pan nauczysz, jak się nią posługiwać.

- A dlaczego miałbym to zrobić? - spytał Rey.

- Nie widzi pan, że ona chce panu powiedzieć, że przeprasza? - wtrąciła się Annette Davett, załamując ręce w

geście współczucia dla Summer.

- Naprawdę? - spytał Rey spokojnie. - Nie słyszałem słowa "przepraszam" .

Na wyrazistej twarzy Summer pojawiła się cała gama uczuć, od buntowniczości i dumy po wstyd i

poczucie winy. W końcu, odchrząknąwszy, Summer powiedziała:

- Przepraszam. Naprawdę pana przepraszam.

Twarz Reya zmieniła się pod wpływem powoli pojawiającego się, zdumiewająco ciepłego i serdecznego

uśmiechu.

- Ja też przepraszam, jeżeli sprawiłem ci przykrość.

- Nie sprawił pan. Ja po prostu ... byłam wściekła.

- Nie ma w tym nic złego. Człowiek często się wścieka. Liczy się jednak to, jak sobie z tym radzi.

- Naucz mnie pan łapać ryby? Ja ... ja myślę, że ta scena będzie dobra. Nie chcę w niej wyglądać jak idiotka.

Nie chcę też źle grać.

Rey kiwnął głową. Jego poważne spojrzenie spotkało się ze wzrokiem dziewczynki.

- Kołowrotek uda mi się naprawić, ale wędka jest już do niczego. Może pojedziemy do mojej ciotki i weźmiemy inną, tanią. Co ty na to?

- Teraz? - zapytała Summer, a na jej twarzy pojawił się uśmiech. Złapała go za rękę. - Dobrze. Jedźmy!

Rey nie ruszył się.

- Wydaje mi się, że o czymś zapomniałaś.

- O czym?

Uśmiech Summer zamienił się w grymas.

- Nie zapytałaś mamy, czy możesz iść z człowiekiem, który molestuje dzieci.

Dziewczynka spojrzała przez ramię na Annette.

- Mamo, my niedługo wrócimy.

Rey nadal nie ruszał się z miejsca i milczał. Summer pociągnęła go za rękę. Zmarszczka między jej brwiami pogłębiła się.

- Powiedziałaś jej - oświadczyła. - Czego pan jeszcze chce ode mnie?

- Chcę, żebyś dostała pozwolenie.

Dziewczynka szarpnęła jego rękę, którą trzymała obiema dłońmi.

- Pan mnie denerwuje.

- To bardzo źle.

- No dobrze! Mamo, mogę iść?

Annette Davett wyglądała na niezadowoloną z tego, że jej córka okazała uległość.

Odpowiedziała jednak opryskliwie:

- Tylko nie bądź tam za długo. Rey zwrócił się do Julie:

- Powinienem był spytać, czy to nie zakłóci dzisiejszego planu.

- Jeżeli to nie potrwa długo, zajmiemy się tymczasem filmowaniem scen bez Summer - odrzekła Julie.

Rey kiwnął głową i odszedł, zabierając ze sobą dziewczynkę. Annette Davett obróciła się na pięcie i poszła sztywnym krokiem do karawaningu. Drzwi zatrzasnęły się za nią.

- No, no - powiedziała Madelyn podchodząc do Julie.

- Rzeczywiście - zgodziła się z nią sarkastycznie Julie.

- Co w nią wstąpiło, jak myślisz?

- To po prostu ,taki wiek.

- Biedna mała. Wygląda na to, że się zaczyna podkochiwać w naszym konsultancie. No tak, to pierwszy silny

mężczyzna, jaki pojawił się w jej życiu. I wzięło ją! Jakie to smutne.

Julie raczej nie mogła się zgodzić z jej zdaniem, chociaż zmarszczyła brwi, odprowadzając wzrokiem odchodzącą parę.

- Annette ma trochę racji. Summer jest nadwrażliwa. Potrzebny jej ojciec, ale nie będzie dobrze, jeżeli

przywiąże się mocno do kogoś, kogo za tydzień może tu nie być.

- Nie sądzę, by stała się jej jakaś krzywda z tego powodu. Nieważne, dlaczego współpracuje z nami, byleby

robiła to dobrze.

Julie nie odpowiedziała, a aktorka mówiła dalej:

- Ten Cajun to chłop co się zowie. Trudno się dziwić, że tak podziałał na Summer.

- Co ty mówisz, Madelyn? - zaprotestowała Julie.

- No, no. Przecież on działa i na ciebie, Nie zaprzeczysz chyba.

- Ja nie mam dwunastu lat - powiedziała Julie. - Wolę więcej subtelności.

- Jestem pewna, że Tabary potrafi być czarujący.

- Być może. Ale ja, jak zauważyłaś, mam Allena.

- Mężczyznę subtelnego, jeżeli tacy w ogóle istnieją.

Uśmiech Madelyn był kpiący.

- Właśnie - powiedziała Julie spokojnie, po czym odwróciła się i odeszła.

Nie była zdziwiona, kiedy przed południem zadzwonił do niej Allen. Po pierwsze, Allen potrafił wyczuć,

kiedy ona o nim myśli, a po drugie, od dnia śmierci Paula Lisiety spodziewała się, że Allen się z nią skontaktuje.

Czekała na to. Rozmawiała z jego sekretarką, zostawiła mu prośbę, by się jak najszybciej odezwał. Sekretarka

tłumaczyła jej, że Allen poleciał służbowo do Europy. Kiedy wyjeżdżał, trasa jego podróży nie była ustalona w

szczegółach i sekretarka nie miała pojęcia, kiedy wróci.

Julie obruszyła się, ale zaraz sobie przypomniała, że była tak bardzo zajęta filmem, że nie zapytała

Allena o jego plany na ostatnie tygodnie zdjęć. Myślała, że będzie w Los Angeles i zajmie się sprawami

związanymi z dystrybucją filmu.

Tymczasem pojechał do Paryża i Szwajcarii i wrócił dopiero poprzedniego wieczoru. Miał tam

przeprowadzić negocjacje dotyczące filmu, którego budżet sięgał ,pięćdziesięciu milionów i który miał być

sfinansowany głównie przez biznesmenów arabskich i południowoamerykańskich. Julie wiedziała, że nie będzie

reżyserowała tego filmu, mimo że Allen, postępujący zawsze bardzo dyplomatycznie, nie powiedział jej tego

przez telefon. Miała mu to za złe i okazała to, ignorując prawie jego wyjaśnienia i zmieniając temat rozmowy.

- Biedactwo - powiedział Allen głosem spokojnym i pełnym troski. - Zwaliło ci się na głowę takie nieszczęście. Lecę do ciebie natychmiast.

Julie oczami wyobraźni widziała Allena w przytulnym gabinecie, rozpartego wygodnie w czarnym skórzanym fotelu. O biurko opierały się jego buty z cholewkami, a na biurku, koło jego łokcia, stała taca z

herbatą earl gray, brioszkami i owocami. Zrelaksowany, kulturalny, szczupły, ciemnowłosy Allen z oczami w

kolorze zimowego nieba i akcentem rodem z prywatnej szkoły z internatem, jakich sporo na Północnym

Zachodzie, był doskonałą mieszanką Kalifornijczyka i mieszkańca Massachusetts.

Julie uśmiechnęła się.

- Nie ma potrzeby, żebyś przyjeżdżał, zwłaszcza że jesteś zajęty tamtą sprawą. Naprawdę wydaje mi się, że

panuję nad wszystkim. Jedyne to ten facet z firmy ubezpieczeniowej. Wolałabym, żeby mnie nie niepokoił.

- Firma ubezpieczeniowa ma prawo się tym interesować.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odpowiedziała Julie rozsądnym i spokojnym tonem - ale ten facet nie musiał być

taki niemiły. - Porozmawiam z nim, dobrze?

- Dzięki.

- A ty jak się masz? - pytał dalej, ściszej głos. - Tęsknisz za mną?

- Oczywiście, od czasu do czasu, w wolnych chwilach. Przeprowadziłam się do interioru, wiesz?

- Słyszałem o tym i o twoim nowym konsultancie.. Opowiedz mi coś o nim.

- Słyszałeś? Od kogo?

- Nie pamiętam. Chyba coś wspomiano na ten temat w jednej z tysięcy notatek, jakie znalazłem na biurku po

powrocie. Więc jak ten facet się sprawuje?

Julie opowiedziała mu o Reyu dość szczegółowo, pomijając jednak ostatnie rewelacje Madelyn. Nie miały one związku z jego pracą przy filmie i nie mogły zainteresować Allena.

- Jeżeli Tabary będzie też kaskaderem, to wygląda na to, że dobrze zapracuje na swoje honorarium.

- Nie myślałam o tym w ten sposób, ale sądzę, że masz rację.

- Tak. No wiesz, powinnaś na takie rzeczy zwracać uwagę. Ten facet z firmy ubezpieczeniowej miał słuszość mówiąc o budżecie. Uda nam się go zredukować. Wiesz co? Za parę dni skończę załatwianie spraw

związanych z nowym filmem. Przylecę wtedy i zobaczę, jak ci idzie. Może uda nam się spędzić trochę czasu

razem. Nie rozmawialiśmy ze sobą od wieków.

- Będę na ciebie czekała - powiedziała Julie.

Porozmawiali jeszcze przez parę minut, apotem rozłączyli się.

Julie przez dłuższą chwilę siedziała z ręką na słuchawce leżącej na widelkach. Miło będzie zobaczyć się

z Allenem, miło będzie mieć go na planie, czuć jego poparcie i widzieć, że się interesuje jej pracą. Tak myślała,

równocześnie jednak niepokoiło ją nieokreślone przeczucie, że Allen chce przyjechać, by ją sprawdzić. Allen

zawsze popierał jej talent, utrzymując, że odziedziczyła go po Bullu, reżyserze, którego darzył najwyższym

podziwem. Nigdy nie wtrącał się do żadnego z jej filmów, których był producentem. Może tylko czasami

miewał uwagi natury estetycznej albo niekiedy zbyt ostro krytykował montaż. Tym razem jednak

rzeczy miały

się inaczej. Julie co prawda nie dostała pięćdziesięciu milionów na Królestwo bagien, jednak budżet był spory.

Te pieniądze zmieniały sytuację. Przy takich pieniądzach ludzie, nie wyłączając Allena, stawali się nerwowi.

Trzeba było też uwzględnić to, że Allen ma w planie ten nowy film. Przygotowując się do zrealizowania

projektu na taką skalę, nie chciał mieć żadnych problemów finansowych z przedsięwzięciem bieżącym. Cień

podejrzenia, że coś może być nie w porządku, wystarczył, by go skłonić do dokładnego sprawdzenia pracy Julie.

Julie nie podobało się to, że jest zmuszona tak myśleć. Ona i Allen byli razem tak długo, prawie siedem lat. Było

im dobrze ze sobą. Mieszkali razem, kiedy pozwalała im na to praca, i stosunki między nimi były, harmonijne i

serdeczne. On był jej mentorem, powiernikiem, człowiekiem, który nauczył ją wierzyć w siebie i we własny

talent. Nigdy nie powstrzymywał jej od zrobienia tego, co chciała zrobić. Ich spotkaniom po dłuższej rozłące nie

towarzyszyła wielka namiętność, nie było jednak również wzajemnych wymówek dotyczących czasu

spędzonego oddzielnie. Allen pomógł Julie ukształtować własny gust w zakresie sztuki i muzyki, a także gusty

kulinarne, nie próbując narzucić jej swoich. Zapewniał jej poczucie bezpieczeństwa, akceptacji i poczucie, że ma

rodzinę. Julie była jego protegowaną i źródłem jego dumy.

Jednak z chwilą gdy zaczęła pracować nad Królestwem bagien, w Allenie zaszła zmiana. Julie nie była

pewna, dlaczego tak się stało, nie wiedziała, czy było to związane z pieniędzmi, jakie wchodziły w grę, czy

może miało związek ze wzrostem jej ambicji. Allen stał się bardziej powściągliwy, zaaferowany

tym, co robiła,

ale równocześnie mniej tym przejęty. Przyjechał na plan parę razy podczas kręcenia zdjęć w Nowym Orleanie,

ale za każdym razem wracał do Los Angeles, spędziwszy na planie zaledwie dzień czy dwa. Słuchał, co Julie ma

do powiedzenia na temat swoich pomysłów, i w nieokreślony sposób dodawał jej odwagi, ale nie zadawał wielu

pytań. Julie pomyślała, że jego niechęć do omawiania filmu bierze się z przekonania, że osiągnęła już poziom,

przy którym niepotrzebna jej pomoc. Teraz jednak nie była tego pewna.

Tego dnia podczas robienia zdjęć nie było żadnych incydentów i popełniono bardzo mało błędów. W

końcowej scenie - niezwykle wzruszającej - Jean-Pierre i jego córka poznają się bliżej i Alice zaczyna doceniać

wolność, którą może się cieszyć na bagnach. Scena ta okazała się najlepszą z dotychczas nakręconych. Wkład

Reya w jej realizację był bardzo duży. Jego uwagi na temat techniki łowienia ryb i bagien, wplecione w dialog,

okazały się bardzo cenne. Obserwując Vance'a przed kamerami Julie pomyślała, że aktor przyswoił sobie trochę

akcent Reya, podobnie jak jego sposób poruszania się i stanowczy, choć nacechowany wrażliwością sposób

postępowania z Summer. Julie była zadowolona, a nawet zachwycona.

W następnej scenie Jean-Pierre i dwaj nastąpi przez jego żonę mężczyźni mieli ganiać się po bagnach,

wymieniając się rolami ściganych i ścigających. Julie zarezerwowała na tę scenę dwa dni. Później mieli

próbować kręcić scenę, w której żona imieniem Dorothea - grała ją Madelyn - odnajduje męża i grozi mu bronią,

a potem zostaje podstępem zmuszona do odbycia długiej drogi przez bagna, w wyniku czego dociera do jego

obożu brudna, rozczochrana i z poczuciem, że dostała porządną nauczkę. Julie planowała też parę innych scen

na bagnach z udziałem Alice i Jean-Pierre'a, których wzajemny związek pogłębiał się. W scenach tych należało

pokazać zdumienie i rosnące uznanie, z jakimi dziewczynka odnosi się do świata ojca. Wszystko to miało trwać

aż do najbliższego weekendu, jeżeli nie dłużej.

W poniedziałek planowali zająć się scenami rozgrywającymi się w obozowisku, w chacie, którą wynalazła Ofelia, a zwłaszcza sceną, w której Madelyn grająca Dorotheę stara się zwabić Jean-Pierre'a do

Nowego Orleanu i jest bliska poddania się czarowi dawnej miłości i księżycowej nocy na bagnach. Ta ostatnia

scena miała być sceną centralną, gdyż oboje, mąż i żona, mieli się przekonać, że pożądanie, które ich kiedyś

złączyło, wciąż istnieje. Równocześnie jednak mieli zdać sobie sprawę, że to, co ich dzieli, jest nie do

pokonania. W sumie nakręcenie wszystkich tych scen zajmie jeszcze dwa tygodnie, pomyślała Julie. Później

trzeba będzie się zająć scenami dynamicznymi, w których Rey ma brać udział jako kaskader w zastępstwie

Paula. Jedna z nich miała wyjątkowe znaczenie, gdyż brała w niej udział Summer i miał w niej nastąpić wybuch,

będący punktem kulminacyjnym całej historii. Na to wystarczą dwa, może trzy dni, a potem Julie przeniesie się

z kamerami i całą ekipą do małego miasteczka wybranego przez Ofelię jako tło dla scen ulicznych i rozgrywających się w sklepie. Kręcenie ich nie zajmie dużo czasu, jeżeli Julie nie wymyśli czegoś dodatkowego.

Bo Julie chciała, naprawdę chciała pokazać trochę dokładniej życie Cajunów.

Zasiedziała się tego wieczoru nad rozkładem zajęć, a kiedy było już bardzo późno, usłyszała pukanie i w

drzwiach zobaczyła głowę Reya.

- Gotowa? - spytał. - Ciotka na pewno czeka już z kolacją.

- Jeszcze chwilę. Niech pan jedzie pierwszy.

Podniosła wzrok tylko na moment, a potem znowu pochyliła się nad papierami.

- Jakiś problem?

- Nie, nic specjalnego.

- Techniczny?

- Właściwie nie - odrzekła, a potem podniosła głowę, uświadamiając sobie, że może on proponuje jej w ten

sposób swoją pomoc. - A może i tak.

Podszedł do biurka i usiadł na jego rogu.

- Więc?

- Dorothea i Jean-Pierre mieli pływać w rzece przy księżycu. Miała to być taka scena jak ze snu, pokazująca,

jak bardzo pociągający byli kiedyś dla siebie, a także sugerująca istnienie podskórnego napięcia seksualnego,

które wciąż nimi kieruje, nawet wtedy gdy walczą o córkę. W miarę rozwoju tej sceny wzajemne przyciąganie

znika. Znika też wszelka nadzieja na to, że mogliby do siebie wrócić. J a chciałam, żeby to była scena pełna

nico rubasznego romantyzmu, mglista, a równocześnie pełna seksu. Takie miałam plany, dopóki sama nie

wpadłam do wody tamtej nocy. Teraz chcę zrobić coś innego. Musi to jednak mieć ten sam efekt.

Rey uniósł jedną brew.

- Nie wiem, co się pani nie podoba w tej scenie.

- Niech pan da spokój - powiedziała Julie ze śmiechem. - Woda jest zimna, no i te pijawki.

- Nie jest taka zimna, kiedy człowiek pływa. A jeżeli chodzi o pijawki, to nie znalazłem ani jednej, prawda?

- Nie, ale mógł pan znaleźć.

Nagle coś jej zaświtało.

- Czy naprawdę mógł pan je znaleźć? - spytała. - Była pewna szansa na to, że tak będzie -
odpowiedział z

uśmiechem, który wcale nie był pełen skruchy. Julie ukryła twarz w dłoniach.

- Nie wierzę - oświadczyła.

- Właściwie - powiedział zamyślony, a potem widząc, że Julie podnosi głowę, dodał pośpiesznie:

- Jest ich

więcej w lecie, kiedy woda jest cieplejsza.

- No tak, jestem tego pewna - stwierdziła Julie ponuro, odzyskując równowagę. - W każdym razie
tam w

wodzie jest za ciemno, poza tym zbyt dużo tam pniaków, korzeni cyprysów i pływających śmieci,
nie mówiąc

już o węzłach i aligatorach. Nie. Będę musiała wymyślić coś innego.

- Myślałem, że tym zajmują się scenarzyści.

- W tym filmie ja sama jestem scenarzystką. I nic mi tu nie pasuje.

Rey wstał i pochylił się nad nią.

- Łamanie sobie głowy niewiele da. Chodźmy coś zjeść. Kto wie, może przy jambalai przyjdzie pani
coś do

głowy.

Nic jej jednak nie przyszło do głowy. Zresztą Julie nie spodziewała się tego. Rey rozproszył jej
uwagę

zupełnie. Usiłowała wyobrazić go sobie jako miejskiego dandysa asystującego babce arystokratce.
Nie było to

łatwe. Problem nie polegał na tym, że Rey zachowywał się swobodnie, ani na tym, że był swobodnie
ubrany,

tylko na tym, że w sposób naturalny pasował do bagien, do swojego nieluksusowego dżipa, do
wiejskiego

otoczenia, do dość odrapanego domu swojej ciotki. Tutaj był u siebie. Nie udawał, że jest u siebie, tylko

rzeczywiście był. Jak to więc było możliwe, że "u siebie" był także gdzie indziej - w klubie dla bogaczy i w One

River Place na przykład?

Julie powiedziała sobie, że to nie ma znaczenia. I rzeczywiście nie miało. Naprawdę. A jednak nie mogła

się powstrzymać od porównań, nie mogła przestać się temu dziwić.

Ciotka Tine ugotowała zupę na mięsie z mnóstwem jarzyn prosto z ogrodu. Nie było jej jednak w domu.

Zostawiła im liścik, w którym pisała, że pojechała zagrać w bingo w La Place. Julie i Rey zjedli kolację, a potem

posprzątała i pozmywała dyskutując wciąż o tej scenie, w której Dorothea i Jean-Pierre mieli pływać.

W końcu Rey powiedział:

- Proszę wziąć kostium kąpielowy i pójść ze mną.

- Chce pan, żebym ... o nie, dziękuję. Miałam już zaszczyt pływać w Blind River i raczej nie mam ochoty

robić tego jeszcze raz. - To nie będzie to samo. A poza tym gdzie pani gotowość do poświęceń dla dobra dzieła?

Co się stało z pani zamiłowaniem do autentyzmu? I z pani pragnieniem, żeby film był realistyczny? - Zniknęły -

powiedziała stanowczo. - Nie będę się narażać na niebezpieczeństwo. Jeszcze nie zwariowałam.

- Jest pani tchórzem. No dobrze, więc nie będzie pani pływała. Ale niech się pani ze mną przejedzie łodzią.

Pokażę pani miejsce odpowiednie do tej sceny.

Julie nie miała najmniejszej wątpliwości, że będzie tego żałować. A jednak poszła. Miejsce, które chciał

jej pokazać, musiało być niezwykle - inaczej nie upierałby się w taki sposób. A poza tym dał już tyle dowodów

swojej pomysłowości, że bała się, by odmówiwszy mu, nie stracić czegoś ważnego dla filmu.

I rzeczywiście, to miejsce było warte obejrzenia. Znajdowało się w odnodze tak wąskiej, że z ledwością

mieścił się w niej ponton, którym posłużył się Rey. Wąskie koryto wiło się jak wąż. Płynęli nim długo, tak

długo, że Julie wydało się, iż upłynęli kilka mil. Potem koryto rozszerzało się, tworząc okrągłe jezioro będące

całkowicie ślepy m zaułkiem. Jezioro otaczały czarne, wysokie cyprysy, a jego brzegi porastała trawa o

szorstkich krawędziach. Na powierzchni unosiły się lilie wodne o majaczących jak widma białych kwiatach.

Woda parowała w świetle księżyca. Delikatna mgiełka wisiała świecąc nad jej spokojną, ciemną głębią,

połyskującą jak kamień księżycowy. Był to wodny raj. Wydawał się tak odosobniony i nierzeczywisty, że Julie

obawiała się, że zniknie z nadejściem świtu.

Rey wyłączył silnik i łódź podryfowała na środek sadzawki.

Julie milczała, rozglądając się wkoło. Czowała zapach lilii wodnych, słodki i natrętny, przypominający

niedużo zapach piżma. Nocne owady wydawały swe ciche, łagodne dźwięki. Proporce z szarego mchu kołysały się

na drzewach w rytm niesłyszalnej muzyki, a spowijająca je srebrna mgła świeciła w słabym blasku księżyca.

Julie nie słyszała, kiedy Rey zsunął się do wody. Zrobił to błyskawicznie, pozostawiwszy ubranie na

ławeczce. Wyplął na powierzchnię dość daleko od niej. Jego głowa wynurzyła się prawie bezgłośnie.

Niesamowite niebieskawe światło księżyca zabłysło odbite w kropelkach, które strząsnął z włosów. Unosił się

na wodzie, rozgarniał ją zdecydowanymi ruchami rąk Jego mokre ramiona rozdzierały jej powierzchnię. A za

nim ciągnęła się bruzda wodna spieniona jak szampan, z tańczącymi bąbelkami.

Był nocnym stworzeniem, mieszkańcem bagien, był wspaniały, nieoswojony, zanurzony w swój żywioł.

Mgła tworzyła wokół jego wydłużonej sylwetki migoczący obłok, chwilami skrywając go, a chwilami

odślaniając. Światło coraz jaśniej świecącego księżyca obrysowywało kształt jego głowy, zaokrąglenie ramienia,

krzywiznę uda, malując je srebrem. Wywoływał malutkie zmarszczki w miejscach, w których nurkował, tworząc

tam opalizujące wiry.

Zniknął. Julie kręciła się niespokojnie czekając, kiedy się znowu wynurzy. Pomyślała o aligatorach, które

chwytają ofiarę i topią ją, trzymając pod wodą. Przez chwilę podejrzewała, że Rey przygotowuje jakiś żart, który

skończy się wrzuceniem jej do sadzawki. Przyglądała się powierzchni wody tuż obok łodzi. Ale nic tam nie

było. Zawołała, ale odpowiedziało jej milczenie. Miotając się między strachem a irytacją, między wściekłością a

paniką, pomyślała, że może zrobić tylko jedno. Zrzuciła szybko spódnicę i bluzkę, które włożyła tego dnia idąc

do pracy, zsunęła z nóg espadryle i dała nurka.

Wypląnęła prosto w ramiona Reya. Obróciwszy się twarzą do niego, rzuciła mu pełne gniewu spojrzenie.

- Zimno pani? - zapytał Rey głosem spokojnym, starając się ją przekonać, że miał rację.

- Nie - burknęła.

- Widziała pani węża albo aligatora?

- Tylko węża w ludzkiej skórze.

- N o więc? - zapytał i odpłynął, zapraszając ją do zabawy.

Co miała do stracenia? Popłynęła za nim, nurkując i baraszkując w świetle księżyca. Tworzyli dobraną

parę - oboje doskonale pływali, oboje przyzwyczajeni byli do zabaw w wodzie. Nastąpiło między nimi

intuicyjne porozumienie - silni i pełni gracji płynęli razem naprzód, skręcali i zawracali równocześnie jak na

komendę. Równocześnie też wynurzyli się obok pontonu i równocześnie go schwycili. Ich ciała unosiły się w

wodzie, a oddech obojga, przyspieszony z powodu wysiłku, stawał się coraz głębszy.

Oczy Julie napotkały ciemne spojrzenie Reya. Nie mogła oderwać wzroku od jego oczu. Wiedziała, że to

szaleństwo, a jednak nie była w stanie spuścić oczu. Jej skóra była gorąca z wysiłku, ale było też jakieś inne

źródło tego gorąca, znajdujące się w jej wnętrzu. Serce biło jej mocno. W gardle czuła ucisk, a ramiona i nogi

były ciężkie, bezwładne. Dotknięcie jego ręki, obejmującej ją delikatnym ruchem, było przyjemne i ciepłe.

Twarz Reya wyrażała bolesne oczekiwanie, a wzrok powędrował w dół, na jej rozchylone wargi. Pochylił się i

jego usta dotknęły ust Julie.

Mogła go powstrzymać - słowem, gestem, jednym ruchem. Ale nie zrobiła tego. Ten pocałunek był czymś nieuniknionym, koniecznym. Pragnęła go, nie mogła go sobie w tym momencie odmówić.

To pewnie za sprawą nocy i wody, i izolacji od świata i ludzi, a także jakiejś pierwotnej, nie podlegającej

rozumowi więzi stworzonej przez światło księżyca. Za sprawą ciekawości i pozostałości strachu i gniewu. A

także za sprawą właśnie odkrytego wzajemnego przyciągania dusz i ciał. I najczystszej, niemal bolesnej

potrzeby miłości.

Jego usta były ciepłe i słodkie. Napierały na usta Julie w czułym ataku powodującym, że na wrażliwej

powierzchni jej warg pojawił się lekki dreszcz. Jego język podniecał, pieścił miękko jej wargi,

dotykał ich

wilgotnych kącików, a potem łagodnie je ogarniał. Spotkał się z jej językiem, rozkoszującym się jego delikatną

gładkością, akceptującym, dającym przyzwolenie. Naparli na siebie, subtelnie badając swoje odczucia, a w

świadomości Julie pojawiły się pierwsze, dzwoniące gdzieś daleko nuty klęski.

Odsunęli się od siebie tak powoli, jak się poprzednio zbliżyli, i z taką samą ostrożnością. Znajdowali się

naprzeciwko siebie w wodzie, ich ramiona splatały się, ich nogi ocierały się o siebie łagodnie. Patrzyli sobie w

oczy. I każde z nich czekało, by przekonać się, kto zrobi następny ruch.

6

- Czy wdzieram się na twoje terytorium? - spytał Rey miękko, pieszcząc oddechem jej policzek.

- Tak - odpowiedziała spokojnie, patrząc na jego obojczyk i zagłębienie poniżej szyi porośnięte ciemnymi

wijącymi się włoskami. - Robisz to celowo?

- Można tak powiedzieć. A co ty masz zamiar teraz zrobić?

- Udawać.

- Udawać?

- Tak, udawać, że mnie obejmujesz, bo chcesz mnie ogrzać.

Rey przechylił głowę w świetle księżyca.

- To dobry pomysł - powiedział. - Może byśmy też zaczęli udawać, że nie istnieje ktoś imieniem Allen.

- Ale on istnieje - odpowiedziała Julie.

Spojrzała mu w oczy, a w jej wzroku pojawił się niepokój i skrucha, chociaż Julie nie zdawała sobie z

tego sprawy.

- W jakiej to nas stawia sytuacji?

Westchnęła. Jej pierś podniosła się i opadła, a koronka skąpego stanika zamigotała pod wodą.

- Chyba w sytuacji, gdy musimy zaplanować scenę, w której bohaterowie pływają o północy.

Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Zgodzisz się, że miałem rację?

- Twój sposób argumentacji jest bardzo ... przekonujący.

- Ale nie do końca.

Na wargach Reya igrał szelmowski uśmiech. Jego ręka objęła ją mocniej w pasie. Była to ostatnia

pieszczota, gdyż zaraz potem odsunął się od niej powoli i ostrożnie. Następnie podciągnął się i wskoczył do

łodzi, a później wciągnął na pokład Julie. Wyjął zza siedzenia ręcznik i podał jej. W tym czasie, gdy ona się

wycierała, włożył na siebie ubranie. Potem wziął pled w niebiesko-czerwoną kratę i owinał nim jej nogi.

Spojrzała na niego ironicznie - był dobrze przygotowany. Odpowiedział jej zuchwałym uśmiechem, a potem

włączył silnik i ruszył pędem tą samą drogą, którą przyłątnęli.

Zanim włosy Julie zdążyły wyschnąć, byli już w domu. Podczas szybkiej jazdy oboje milczeli, nie mówili też nic wchodząc do domu. Od razu ruszyli do kuchni. Julie napełniła mosiężny czajnik wodą, a on

tymczasem wsypywał kawę do maszynki. Dopiero po rozstawieniu filiżanek Julie odwróciła się i zobaczyła, że

Rey przygotowuje śmietankę i cukier. Uświadomiła sobie, jak dziwna jest ich współpraca, jak zaskakujące jest

to, że każde z nich jest pewne, co zamierza zrobić to drugie.

Nie było to nic wielkiego, jednak w zestawieniu z tym, co się wydarzyło tej nocy, mogło niepokoić.

Kuchnię wypełniał przejmujący aromat kawy. Równie przejmująca była cisza, która zapanowała.

Syczenie gazu pod czajnikiem wydawało się donośne. Nagle rozległ się jakiś głos, któremu towarzyszyły trzaski

i zakłócenia. Julie aż podskoczyła i spojrzała na radio stojące na lodówce.

- To taki nałóg ciotki Tine - powiedział Rey. - Radio policyjne. Zmieniają od czasu do czasu częstotliwości,

żeby udaremnić plany różnych oszustów i staruszek żądnych sensacji, ale kuzyn ciotki zawsze jej przestraja

odbiornik.

- Szeryf?

- Trafiłaś.

- Jestem zdumiona - powiedziała Julie. - Najpierw bingo, a teraz policyjne radio.

- Ciotka Tine mówi, że to ją trzyma z daleka od ulicy. Nigdy nie śmiałem zapytać, w jakim sensie.

- Na twoim miejscu nie pytałabym o to.

Napięcie panujące między nimi zniknęło. Julie zastanawiała się, czy Rey celowo tak żartuje.

- Jeżeli naprawdę mamy pracować nad tą sceną - powiedziała - to potrzebne nam będą papier i długopis

przyniosę je.

- Wszystko, czego potrzebujemy, jest tutaj.

Rey otworzył szufladę i wyjął przybory do pisania. Położył je na kuchennym stole, stole do pracy, przykrytym plastikowym obrusem noszącym ślady długotrwałego używania. Po obu stronach stołu stały dwa

proste drewniane krzesła.

Julie wzięła filiżanki i postawiła je na stole. Starając się podtrzymać rozmowę, powiedziała:

- Przynajmniej nie będę musiała zawiadamić Madelyn, że usunęłam ze scenariusza jej ulubioną część.

Dostałaby szau, gdyby się dowiedziała, że nie będzie miała sceny rozbieranej.

- Widziałem ten fragment w scenariuszu - powiedział Rey, nalewając wrzątek do maszynki. - Czy ona naprawdę to zagra?

- Nie może się doczekać. Taka jest teraz moda. Aktorka nie liczy się, jeżeli nie pokaże piersi, a aktor jest

niczym, jeżeli nie zabłyszna na ekranie jego pośladki. Tylko Vance'owi to nie odpowiada. Właściwie nie wiem,

po co się to robi - przecież wszyscy są pod tym względem podobni, nieprawdaż? Chociaż w scenie, w której

bohaterowie pływają, to raczej naturalne. Nie będę jednak pokazywała ich z przodu poniżej pasa.

- Dlaczego? - zapytał, przyciągając dla niej krzesło.

Spojrzała na niego, zanim usiadła. On nie żartował ani nie próbował zbić jej z tropu seksualnymi aluzjami, nie próbował też przedłużać rozmowy mogącej mieć lubieżne podteksty. Wyglądało na to, że

interesują go motywy kierujące nią jako reżyserką.

- Po pierwsze dlatego, że wtedy film trzeba by było zaklasyfikować do kategorii X, a nie wszystkie kina grają

takie filmy. A także dlatego, że odwraca to uwagę od nastroju sceny i od przebiegu wydarzeń i nie wnosi

niczego do charakterystyki postaci.

Rey usiadł wygodnie na krześle i oparł się łokciem o blat stołu.

- A co z tak zwanym Wzbudzaniem lubieżnych myśli?

- Słowa te znaczą w zasadzie tyle, że widok nagich ciał na ekranie wywołuje w widzach pragnienie robienia

tego z aktorem lub aktorką albo z własnym partnerem, odwracając uwagę od samego filmu. Dla mnie to się

równa odwracaniu uwagi od przebiegu wydarzeń.

Rey roześmiał się niskim śmiechem, w którym była zarówno wesołość, jak i uznanie. Pokręcił głową.

- Co? - spytała i spojrzała na niego spod rzęs, biorąc dzbanek i sprawdzając, czy kawa już spłynęła. Nie

spłynęła. Odstawiła więc dzbanek.

- Nie rozumiem dlaczego ten producent, twój przyjaciel, nie ożenił się z tobą. Chyba jest ślepy i głuchy, a na

dodatek straszny musi być z niego idiota.

Julie dotknęła końcem palca mokrego kółka pozostawionego przez dzbanek.

- Rozmawialiśmy o tym parę razy. Ale nasze rozkłady jazdy jakoś się nie zgadzały. Kiedy mnie to interesowało, on uważał, że jestem za młoda, że sama jeszcze nie wiem, czego chcę, albo że powinnam się

najpierw ustabilizować zawodowo. Kiedy on był gotowy, ja zwykle pakowałam się i wyjeżdżałam gdzieś na

plan.

- To wygląda na niezbyt gorący, a raczej na letni romans.

Julie zmarszczyła brwi.

- Allen jest ode mnie prawie czternaście lat starszy. To mądry człowiek, który nie podejmuje pochopnych

decyzji i który mnie nie pogania. To on nauczył mnie prawie wszystkiego o ekonomicznej stronie filmu, bo

znajomość rzeczy od strony artystycznej zdobyłam obserwując ojca. Allen przedstawiał mnie różnym ludziom,

dał mi poczucie stabilności, nauczył mnie cenić samą siebie jako osobę, jako kogoś; kto jest nie tylko córką

Bulla Bullarda.

- To wszystko jest letnie.

- To może tak wyglądać w oczach obserwatora z zewnątrz, ale w rzeczywistości Allen był dla mnie zawsze

kimś więcej niż tylko substytutem ojca - jeżeli już bawisz się w psychiatrę czy psychologa, On mnie rozumie i

pozwała być sobą.

- Nie wdziera się na twoje terytorium - powiedział Rey, patrząc jej uporczywie w twarz.

- Robi to tylko wtedy, gdy go zaproszę - odpowiedziała krótko, a potem podjęła kontratak: - A ty? Jak to się

stało, że ty się nie ożeniłeś?

- Ożeniłem się. Ona umarła, umarło też nasze dziecko. Zaczęła rodzić zbyt wcześnie. Nie była jeszcze w

siódmym miesiącu. Powinienem być wówczas przy niej, ale mnie nie było.

Należało teraz przybrać współczujący wyraz twarzy, jednak jego mina nie zachęcała do tego. Był

zamknięty w sobie. Julie wzięła dzbanek, do którego woda już się przesączyła przez filtr z kawą. Nalewając

gęsty napar zapytała:

- A gdzie byłeś?

- Przez kilka lat pracowałem dla DEA, robiłem to z zapalem fanatyka. Chciałem zbawić świat.

Podejmowałem się zadań, które właściwie mogłem sobie darować. Później mogłem pracować, ile chciałem, ale

nie wydawało mi się to już takie ważne.

Umilkł nagle, jak gdyby powiedział więcej, niż zamierzał.

- Ja też kiedyś bardziej lubiłam kręcić filmy niż teraz - powiedziała Julie, chcąc wypełnić ciszę, która zapadła.

- Wydawało mi się wtedy, że tworzę wymaginowane światy, nadzwyczajne fantazje, które czynią życie bardziej

znośnym, a równocześnie mówią ludziom coś o nich samych. Teraz nie jestem już taka zarozumiała. Usiłuję po

prostu opowiadać pewne historie, w nadziei że mają one jakąś wartość.

Rey słuchał, z jego twarzy zniknęły bruzdy świadczące o wewnętrznym napięciu.

- Chciałabyś to rzucić? - zapytał.

- Chyba nie. Na ogół tego nie chcę. Są jednak dni, kiedy przychodzi mi to do głowy. Zwykle wtedy, gdy

aktorów bardziej interesuje robienie sobie na złość niż to, co usiłuję im przekazać; wtedy gdy wszystko źle idzie.

Czasami jednak zdarza się, że sfilmowana scena przerasta swoim pięknem i realizmem moją wizję, że jest lepsza

niż to, co sobie wymarzyłam. Wtedy nie jestem w stanie wyobrazić sobie, że mogłabym robić coś innego.

- A co twój tata myśli o tym, że poszłaś w jego ślady?

- Sądzę, że jest ze mnie dumny, chociaż przyjmuje to wszystko z lekkim niedowierzaniem. Opowiada zawsze

wszystkim o moich filmach i każe im je oglądać. Ale nie chciał, żebym się zabierała za Królestwo bagien. Bał

się, że porywam się na coś, czemu nie podołam.

- Myślisz, że miał rację?

Rey zapytał spokojnie, ale w jego pytaniu była nie tylko ciekawość, lecz i wyzwanie.

- Kto to wie? - powiedziała Julie, bezradnie wzruszając ramionami. - Wszystko, co mogę zrobić, to pracować

nad tym filmem. A skoro już o tym mowa, to weźmy się za tę scenę ...

Kawy w dzbanku ubywało, w miarę jak rozmawiali, rzucając pomysły, planując ujęcia, kwestionując motywacje i postawy. Julie notowała każdy pomysł, bez względu na to, które z nich było jego autorem. Robiła

to, mimo że połowę z tych pomysłów trzeba było odrzucić, gdyż były przesadne albo niemożliwe do zrealizowania.

- Na podstawie scenariusza ja to widzę tak - powiedział w pewnej chwili Rey. - Jean-Pierre z początku nie jest

w stanie uwierzyć, że jego życie jest zagrożone. Traktuje te pogonie po bagnach, rzece i strumieniach jako

zabawę, prawie jak grę, w trakcie której da się oszukać tych lalusiów z miasta, przybyłych na jego teren i

nieświadomych, co ich tu czeka. Mnie się wydaje, że podczas tej wspólnej kąpieli on utwierdza się w tym

przekonaniu. W tej scenie widać, jak bliscy byli sobie oboje z początku, jak bardzo byli dla siebie pociągający i

czuli. Widać też, że z tego powodu jemu trudno jest uwierzyć, że ona naprawdę chce go zabić.

- Jest w tym coś, chyba masz rację. Chociaż ja myślałam o tym jako o metaforze, metaforycznym

przedstawieniu bólu wiążącego się z uświadomieniem sobie, że ich miłość się skończyła. To może tak

funkcjonować, chociaż twoja koncepcja nadaje temu inny wymiar. Dla moich celów wystarczyłoby, gdyby

kamery przestały pracować po paru pocałunkach i oddechach i po zdjęciu części garderoby. Ale być może trzeba

jednak pójść dalej.

- Myślałem, że ty od początku chciałaś pokazać pełną scenę miłosną, no wiesz, z połączonymi

ciałami i ze

wszystkim.

Julie wzruszyła ramionami.

- Określenie "scena miłosna" może oznaczać wszystko, od spojrzenia, któremu towarzyszy muzyka

skrzypiec, do sceny, w której ciała splatają się pod prześcieradłami, a kamera przesuwa się i pokazuje łamiące

się fale i borykające się z wiatrem palmy.

- Myślę, że powinnaś pokazać splecione ciała - powiedział ze śmiechem - chociaż kochanie się w wodzie nie

jest rzeczą łatwą.

- Tak? - spytała podnosząc brwi i ignorując to, że czuje powolny przyływ ciepła pod skórą.

- Tak. Kamera musiałaby się potem szybko przesunąć na coś innego.

Julie zmrużyła oczy, opierając brodę na dłoni.

- Myślałam o unoszących się na wodzie liliach. One są przecież symbolem płodności? Myślisz chyba o

kwiatkach lotosu. W kwiecie lotosu urodził się Budda, czy ktoś taki.

- Ale lilie w świetle księżyca byłyby piękne, kołysałyby się na wodzie, poruszały się ...

- Inspirowałyby ich - powiedział Rey nieco stłumionym głosem.

Spojrzała mu w oczy i zobaczyła, jakie są jasne.

- Ja mówię poważnie!

- Wiem - odpowiedział, po czym wstał i zaczął zbierać filizanki.

- Szkoda, że ja o tym nie pomyślałem.

- A skoro już mowa o scenach filmowanych dla celów estetycznych i metaforycznych, to zauważyłam

zachody słońca na rzece. Są takie malarskie, tyle w nich koloru.

- Jest to bezpośredni skutek zanieczyszczenia atmosfery przez wyziewy z fabryk chemicznych wznoszących

się nad rzeką - powiedział.

- To możliwe, ale chciałabym trochę ich mieć na taśmie. Może, a początku filmu tłem do napisów byłyby

scena pokazująca starego Josepha płynącego pirogą o zachodzie słońca. Panowałby w tej scenie nastrój spokoju,

nawet nostalgii, a później koło Josepha przeleciałby swoim skifem Jean-Pierre, płynący z zawrotną szybkością

do Nowego Orleanu po córkę. Czy myślisz, że Joseph się na to zgodzi?

- Dlaczego nie - powiedział Rey przez ramię, odkręcając kran i płuczac filiżanki. - On pewnie od dłuższego

czasu podnieca się na myśl, że mógłby zostać aktorem. Chociaż nie wiadomo, ile zażąda za udostępnienie swojej

pirogi, kiedy się dowie, jak bardzo ci na niej zależy.

- Będę to miała na uwadze rozmawiając z nim - powiedziała Julie sarkastycznie.

Wyrwała z notatnika kartki z zapiskami i wetknęła je do kieszeni spódnicy. A potem wstała i pomogła

Reyowi odstawić na miejsce naczynia. Kiedy w kuchni był już porządek, nie ociągając się powiedziała

"dobranoc" i poszła do swojego pokoju.

Nie chciało jej się spać. Była przyzwyczajona do picia w ciągu dnia ogromnych ilości kawy, ale nie do

tak mocnej jak ta, którą przygotował Rey o tak późnej godzinie. Usiadła nad notatkami, chcąc opracować scenę

trochę dokładniej. W końcu, zadowolona z tego, że nie ma nic do dodania, odłożyła papiery. Pomyślała, że

mogłaby przez chwilę poczytać, ale najbardziej chciało się jej wziąć prysznic. Już zapomniała, jak wygląda z

włosami wysuszonymi bez modelowania z przedziałkiem w przypadkowym miejscu. Nie patrząc w lustro zdjęła

bluzkę, spódnicę i bieliznę i poczłapała do łazienki, żeby odkręcić wodę. Wanna z nóżkami w

kształcie łap

zakończonych pazurami wyposażona była w prysznic, a wokół niej zawieszono lekką nylonową zasłonkę

przymocowaną do prostokątnej ramy. Przypominało to namiot Mydło, które zostawiła tu ciotka Tine, pachniało

angielską lawendą i pieniło się obficie. Z powodzeniem posłużyło Julie jako szampon, którym powoli i z

przyjemnością umyła włosy. Następnie spłukała je wodą, która spływała po twarzy i szyi, a potem zmywała

zagłębienia i okrągłości jej ciała, które wciąż miało na sobie wodę z rzeki i niedawne wspomnienia.

Chwilę później usłyszała pukanie. Nie była pewna, czy się nie przesłyszała. Zakręciła wodę. Wycierając

oczy i sięgając po ręcznik wiszący poza zasłonką, krzyknęła:

- Kto tam?

- Poszukiwacz pijawek - odezwał się głos zza drzwi łazienki. Rey. W jego głosie brzmiała nuta rozbawienia i

jeszcze jakaś inna, dodatkowa. Ta druga spowodowała, że przeszedł ją dreszcz. Chwyciła ręcznik i wytarła

twarz. Owinąwszy się nim, wyszła z wanny.

- Jak się dostałeś do mojego pokoju? Jestem pewna, że tym razem zamknęłam drzwi na klucz!

- Mieszkanie w tym samym domu, zwłaszcza starym; ma swoje zalety. Wszystkie zamki i klucze są takie

same.

- Cudownie.

Brakowało jej tchu, opanowywała to z wysiłkiem.

- Dziękuję ci za dobre chęci, ale nie mam pijawek Drzwi łazienki otworzyły się ze skrzypieniem. Rey stał

oparty o framugę. Odepchnął się od niej i powiedział:

- Jesteś pewna? Czasami stwierdzenie tego wymaga dokładnych poszukiwań.

Miał na sobie tylko dzinsy. Jego włosy były kruczoczarne i mokre, gdyż wyszedł spod prysznic. Teraz

wiły się, opadając na czoło. Był wysoki, miał szerokie ramiona. W tym małym pomieszczeniu wydawał się

ogromny, jednak ruchy miał swobodne i harmonijne, nieskrępowane, nie było w nich cienia agresji. Uporczywe

spojrzenie ciemnych oczu coś obiecywało, choć czaił się w nim cień wątpliwości.

Wyciągnął ręce i dotknął zaciśniętych na ręczniku dłoni Julie.

Pogładził je opuszkami kciuków. Jego świeży zapach, zapach zdrowej męskości podziałał na jej zmysły.

Poczuła pierwszy obezwładniający przyptyw pożądania i wielkiej ciekawości. Akceptując to, zarumieniła się.

Pragnęła go i gardziłaby sobą, gdyby udawała, że jest inaczej.

Chciała poznać jego siłę i humor, i troskliwość, a także to, co w nim było inne, obce. Pragnęła, żeby ją

objął i kochał, by pochłonęła ją fala jego namiętności. Chciała zapomnieć o wszystkim, pozwolić się unieść

uczuciom. Pragnęła czuć, czuć mocno aż do granic możliwości, zatracić się w rozkoszy. Pragnęła tego bardzo.

Puściła ręcznik. Dotknęła piersi Reya, rozpostarła palce, przesuwał je koniuszkami przez płataninę miękkich

włosów. Przycisnęła dłonie, czując pod nimi ciepło i tętnienie życia. A potem podniosła głowę, zbliżając usta do

jego ust.

- Czy to jest zaproszenie? - zapytał szeptem, a jej wargi owiał ciepły, słodki oddech.

- Tak - odpowiedziała i spuściła powieki, zamykając pod nimi blask światła.

Rey schylił się, jedną ręką ujął Julie pod kolanami, a drugą objął jej plecy, podnosząc ją. Zaniósł ją do

sypialni i położył na łóżku. Zdjął dżinsy i położył się przy niej. Przyciągnęła go do siebie, przytulając się i

wyczuwając z przyjemnością, jak jędrne i elastyczne jest jego ciało w zetknięciu z jej miękkością.

Zarys ust Reya był stanowczy, wewnątrz jego warg przypominało delikatny, ciepły jedwab. Jego

pieszczoty były pewne i bezbłędne. Odkrywał ciepłe otchłanie zachwytu Julie, pozwalając i jej poznawać i

odkrywać siebie. Podsycając płomień wzajemnego pragnienia, przedłużali rozkosz do granic możliwości, a

potem, kiedy przychodził na to czas, odsuwali się od siebie na chwilę, pomrukując i wzdychając. Podniecenie

płynące ze złączenia nie było niespodzianką, ale raczej źródłem pełnego rozkoszy szoku. Przyszło w momencie

szaleństwa, gdy dyszeli z wysiłku, rozśpiewując swoje dusze, oczyszczając je. Było objawieniem -

długotrwałym, nie kończącym się objawieniem. Kiedy było już po wszystkim, leżeli wsłuchując się ze

z dumieniem w bicie swoich serc.

Rey poruszył się, odgarnął włosy z twarzy Julie, wyciągnął rękę, żeby przykryć siebie i ją

prześcieradłem. Podpierając się na łokciu, szepnął jej do ucha:

- Jak ci się wydaje, dlaczego myślę teraz o liliach wodnych? - Kto to wie? - odpowiedziała, nie otwierając

oczu i zasnęła w jego ramionach z uśmiechem na twarzy.

Kiedy się obudziła, nie było go przy niej. Jego poczucie obowiązku jest nieco przesadne, pomyślała

przeciągając się, wysuwając ręce nad głowę, odpychając się od zagłówka i rozluźniając z rozkoszą mięśnie.

Przewróciła się na bok, gładząc drugą ręką poduszkę, na której pozostało wgłębienie po głowie Reya.

Stopniowo uśmiech zniknął z jej twarzy. Dlaczego wyszedł tak wcześnie, wymknął się bez słowa, jak od

dziewczyny, do której przychodzi się na jedną noc?

Zdradziła Allena. Poszła do łóżka z innym mężczyzną, nie myśląc o konsekwencjach, nie mając najmniejszych skrępułów. Nigdy dotąd nie zrobiła czegoś takiego. Jak to się stało? Jak mogła zrobić to

Allenowi? Była zdumiona. Poszła do łóżka z jakimś człowiekiem z bagien, który w Nowym Orleanie żył zgoła

innym życiem niż na bagnach. Kim on był? Teraz pytanie to nabrało ogromnej wagi.

Julie spojrzała na sufit, popatrzyła na ściany i okna, jakby szukając odpowiedzi.

Jej ciężkie myśli i złe przeczucia rozwiały się nagle. Na zewnątrz nie tylko był dzień, ale świeciło jasne

słońce.

Julie wyskoczyła z łóżka, znalazła bieliznę, złapała dżinsy, wyciągnęła z szafy bawełniany sweter i ruszyła do łazienki. Dzisiaj mieli kręcić scenę, w której grany przez Vance'a Cajun, Jean-Pierre, bawi się na

bagnach w chowanym z zabójcami wynajętymi przez żonę. Wszyscy na pewno już się zgromadzili i dowcipkując zastanawiają się, gdzie jest Julia i kiedy zaczną pracę.

Kiedy przyjechała na plan, prace były już zaawansowane, mimo że nie działała jeszcze żadna kamera.

Ofelia i Stan zorganizowali większość prac, 'posługując się planem zdjęć przygotowanym przez Julie poprzedniego dnia. Scena miała się rozgrywać na bagnach tuż za klubem jachtowym, dzięki czemu nie było

kłopotów z dostarczeniem wyposażenia i zaplanowaniem całości. Przygotowano też efekty specjalne. Miały to

być małe eksplozje, następujące w chwili, gdy wynajęci opryszkowicze strzelają z broni maszynowej. Urządzenia

służące do wywołania tych efektów rozmieszczono poprzedniego dnia, a teraz je ładowano. Rey przeszedł się

już po bagnach z Vance'em, instruując go, jak ma się zachowywać, żeby uniknąć pokaleczenia przez bagiennej

trawę o szorstkich krawędziach, i jak powinien się poruszać nie robiąc hałasu. Objął mu, jak należy się

przedzierać przez wydające grzechoczący dźwięk niskopienne palmy, jak uważać na bagienne grzechotniki, a

nawet - jak wyczuwać je węchem. Dał mu też tuzin innych wskazówek.

Aligatory pojawiły się równocześnie z Julie. Stare i ogromne, ospałe z zimna odczuwanego wczesnym

rankiem i leniwe po pochłonięciu kilku funtów surowego mięsa z kurczaków - leżały w klatkach obserwując

wszystkich nie przyjaznym wzrokiem. Dzięki nim scena miała nabrać kolorytu, a poza tym, zgodnie z planem

Jean-Pierre'a, gady miały w kulminacyjnym momencie zablokować drogę mordercom.

Zajął się nimi Stan, wskazując, gdzie mają być umieszczone.

- Przywiążcie je dobrze! - krzyknął w stronę brodatego, ospałego dozorca i jego dwóch' czarnych pomocników. - Niech nie biegają po planie i nie przeszkadzają w filmowaniu.

- Te zwierzaki nigdzie nie pobiegną - powiedział dozorca przez ramię. - Nie pobiegłyby nawet wtedy, gdyby

je walić kijem!

Ustawiono kamery i rozpoczęto zdjęcia. Początkowe fragmenty sceny trzeba było filmować po kilka razy, gdyż Vance miał skłonność do unikania błota, które pozostawił niedawny deszcz. A biegnąc przez zarośla

podnosił głowę, żeby nie podrapać sobie twarzy, podczas gdy należało biec za spuszczoną głową, patrząc pod

nogi i uważając na ślady. W końcu zrozumiał, o co chodzi, i wszystko poszło szybciej. Vance i jego

prześladowcy, przy wyłączonych kamerach, przebiegli kilka razy teren, na którym były rozmieszczone ładunki.

Wkrótce fragment ten został sfotografowany.

Zrobili przerwę na lunch. A następnie, dając Vance'owi odpocząć, rozpoczęli scenę, w której dwóch opryszków błąka się po bagnach z coraz większym przerażeniem, nawzajem się obwiniając.

- W porządku, wszyscy gotowi? - krzyknął Stan. - Jak tam aligatory? Dobrze? Pamiętajcie, że tu nie

może

być żadnych powtórek. Dobra, zaczynamy.

Aktorom grającym opryszków poprawiono charakterystykę, uwydatniając zadrapania i smugi brudu, a

potem skierowano ich do rekwizytora po karabiny AK-47. Czekali chwilę, bo trzeba było usunąć ślepe naboje

używane przez nich dotychczas, wytrząsnąć z pudełek nowe i załadować broń ponownie. Dwaj mężczyźni wzięli

ostrożnie broń, a potem poszli na swoje miejsca.

- Poczekajcie - odezwał się Rey, stając przed nimi z rękami na biodrach. - Wstrzymajcie się.

Julie, konferująca właśnie z Andym Russellem, rudowłosym operatorem, odwróciła się słysząc głos

Reya. Przez cały dzień była świadoma jego obecności, była świadoma tego, że przesuwa się w tle, słyszała jego

zartobliwe uwagi, a także stanowcze komentarze, gdy wytykał komuś błędy i proponował inne rozwiązania. Od

czasu do czasu wymieniali uśmiechy. Chciała zjeść z nim kanapkę w czasie przerwy na lunch, ale wyniknął jakiś

problem i spędziła tę przerwę w biurze ze słuchawką telefonu przy uchu, nie mogąc się przyłączyć do całej

ekipy jedzącej posiłek w klubie jachtowym.

Podeszła do Reya równocześnie ze Stanem, który przykuśtykał z drugiej strony. Stan odezwał się pierwszy:

- Jakiś problem, Tabary?

- Można tak powiedzieć. Rekwizytor załadował te karabiny ostrymi nabojami. - To prawda.

- Za dużo tu ludzi, żeby strzelać z broni maszynowej, nie mówiąc już o tym, że jesteśmy bardzo blisko autostrady. Po co ta amunicja?

- Ta amunicja jest po to - odpowiedział Stan sarkastycznie — żeby zabić aligatory. Strzelanina będzie krótka, a

poza tym oni będą celowali w ziemię. To nie będzie niebezpieczne. A teraz, jeżeli pan pozwoli,

zabierzemy się

do pracy.

Rey nie poruszył się.

- Nie pozwolę - powiedział ponuro.

- O czym pan, do diabła, mówi?

- Poczekaj, Stan - odezwała się Julie, kładąc mu rękę na ramieniu. - Trzeba go wysłuchać.

- Chcecie zabić dwa aligatory tylko po to, żeby nakręcić parę stóp taśmy? - zapytał Rey. - Chcecie, żeby

krwawiły w technicolorze ku uciesze waszych widzów?

- Na litość boską, to są aligatory! - krzyknął Stan. - To nie jest żaden zagrożony gatunek, już nie!
Ludzie do

nich strzelają, polują na nie bez przerwy.

- Nie bez przerwy. Istnieje sezon łowiecki i niektórzy nawet przestrzegają związanych z nim przepisów. A

poza tym ci, którzy na nie tutaj polują, nie fotografują ich agonii.

Julie widziała, że Stanowi nabrzmiały żyły na twarzy i że jego wargi drżą z gniewu. Zdawała też

sobie sprawę, że naokoło panuje cisza, a cała ekipa stoi i przysłuchuje się kłótni. Nad ich głowami zawisło

milczenie bagien, przerywane tylko zawodzeniem komarów i cichym szeptem wiatru poruszającego pióropuszcami

niskopiennych palm.

Zanim starszy mężczyzna zdobył się na odpowiedź, Julie przemówiła:

- Mordercy mają zabić aligatory ze strachu. Są ludźmi z miasta i bardzo się boją, gdyż znajdują się w

obcym środowisku i na łasce Jean-Pierre'a. Strzelają do wszystkiego, co się nisza, bo nie mogą zaatakować

tego, kogo

ścigają.

Rey popatrzył na nią surowo.

- To świetny pomysł, tylko dlaczego oni nie mogą strzelać ślepyimi nabojami? Dlaczego nie spryskacie ich

nóg sztuczną krwią, tylko poświęćcie żywe aligatory?

- Przecież to nie jest takie ważne ... - zaczęła.

- Owszem, ważne. Aligatory cieszą się słońcem i deszczem, i światłem księżyca, ryczą z rozkoszy kopulując i

śpiewając swoim młodym. Nie rezygnują z życia chętniej niż ty.

- A nie mówiłam? Ten człowiek to jest Aligator Tabary! - rozległ się zza kamer głos Ofelii.

- Cholera - powiedział Stan. - Chodź, Julie. Kręcimy.

Julie nie ruszała się z miejsca i nie odrywała wzroku od opalonej twarzy Reya i kawowobrazowej głębi

jego oczu.

- Rozładujcie broń! - rzuciła w końcu przez ramię.

- Julie ... - zaczął Stan.

- Słyszałeś, co powiedziałam - zwróciła się do niego. - Zrób tak, żeby to wyszło dobrze. Przecież potrafisz.

Zastosuj efekty specjalne, żeby ta scena wyszła. I pamiętaj: aligatorom nie może się nic stać.

Stan zacisnął wargi, ale kiwnął powoli głową.

- Ty tu rządzisz - powiedział.

- Dzięki, Stan.

Dotknęła jego ramienia, a potem odwróciła się do ekipy.

- W porządku! - krzyknęła, a jej głos niósł się daleko. - Teraz pół godziny przerwy. A potem kręcimy.

Ale to nie był koniec.

Kiedy światło dnia już gasło i Julie schodziła z planu, Stan podniósł rękę, dając jej znak, żeby poczekała,

a kiedy się zatrzymała, dogonił ją, utykając. Szli przez chwilę w milczeniu ścieżką wydeptaną tego

dnia podczas

zdjęć. Schylali się pod pióropuszcami niskopiennych palm i przechodzili ponad gnijącymi pniami drzew

pokrytymi porostami i małymi zielonymi paprociami. Słyszeli głosy i od czasu do czasu śmiech tych członków

ekipy, którzy poszli przodem. Pozostałych słyszać było z tyłu. Julie zastanawiała się, gdzie jest Rey. Ostatni raz

widziała go przed godziną. Musiał pojechać do domu przed nakręceniem ostatniej sceny.

Przez chwilę Stan i ona mieli najbliższą okolicę tylko dla siebie, gdyż oprócz wielkiej czapli o niebieskawoszarym upierzeniu, stojącej na straży nad małym skrawkiem mokradeł, i wiewiórki, która przebiegła

im drogę, a później wspięła się na drzewo i rozplaszczyła na gałęzi próbując się schować, w pobliżu nie było

żywej duszy. Stan patrzył przez chwilę na wiewiórkę, a potem rozejrzał się i popatrzył na Julie.

- No dobrze - powiedział - co jest między tobą a Tabarym?

- Od kiedy to kontrolujesz moje życie prywatne? - spytała Julie beztróskim tonem.

- Nie obchodzi mnie twoje życie prywatne - odpowiedział. Obchodzi mnie to, jak posuwa się praca nad

filmem. Wygląda na to, że tracisz kontrolę, pozwalasz, żeby Tabary rządził na planie.

- Wiesz, że to nieprawda.

Julie chwyciła gałązkę woskownicy i obrywała z niej liście, wskutek czego wokół nich przyjemnie zapachniało.

- A właśnie że prawda. Słuchasz wszystkich jego rad. Traktujesz to, co mówi, jak ewangelię. Gimnastykujesz

się, żeby robić wszystko tak, jak on chce. Stajesz po jego stronie w każdym sporze.

- Miał rację w sprawie aligatorów - powiedziała Julie, z wysiłkiem powstrzymując wybuch złości. - To cud,

że nie było tu dzisiaj ludzi z towarzystwa zajmującego się zapobieganiem okrucieństwu wobec

zwierząt.

- Oj, daj spokój! Oni opiekują się psami i końmi, ale nie aligatorami.

- Nigdy nie wiadomo. A taka reklama nie jest nam potrzebna.

- Nie musiałaś stawać po jego stronie. To nie w porządku. Ekipa filmowa jest jak rodzina. Nie powinnaś

dyskredytować rodziny ze względu na jakiegoś miejscowego kmiotka, nawet jeżeli coś cię z nim łączy.

Julie połamała gałązkę woskownicy na małe kawałeczki i upuściła je na ziemię. Nie podobało jej się to,

że ludzie widzą, jak Rey ją pociąga. Stan znał ją dość dobrze - to prawda, ale skoro on zauważył, to wkrótce

zauważą inni. A co do pozostałych jego uwag, to musiała przyznać, że jest w nich odrobina słuszności. Ludzi

współpracujących na planie łączyło jakieś pokrewieństwo, stworzone przez wspólny wysiłek, wspólne trudy i

bezustanne porozumiewanie się żargonem filmowców, niezrozumiałym dla outsiderów. Ona pogwałciła ten

związek, stając przy wszystkich po stronie Reya. Fakt, że Stan doprowadził do konfliktu, nie miał znaczenia.

Powinna była poprosić obu mężczyzn na bok i porozmawiać z nimi na osobności, nie na oczach całej ekipy. No i

podjąć decyzję, która później wyglądałaby na podjętą wspólnie za zgodą ich obu.

- Być może masz rację - powiedziała nagle. - Ale powinieneś pamiętać, że Rey Tabary został zatrudniony w

pewnym celu. Jeżeli nie będziemy brali pod uwagę tego, co mówi, zmarnujemy tylko pieniądze.

- Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to powiem ci, że to właśnie się stało. Zostały zmarnowane pieniądze. Nie

stracimy wiele pozbywając się go.

Julie obrzuciła Stana gniewnym spojrzeniem.

- Rey to autorytet w sprawach bagien. On wie, co i jak, wie, jak to powinno wyglądać. A my nie wiemy -

dodała uszczypliwie. - Żadne z nas tego nie wie.

- Moglibyśmy się nauczyć. Ja mógłbym powiedzieć Vance'owi, jak ma biec przez zarośla. Zrobiłbym to,

gdyby Tabary nie pojawił się pierwszy. Julie, wiesz dobrze, że powinnaś oszczędzać. Oszczędź więc na

Tabarym ... chyba że są inne powody, dla których go trzymasz.

- O co chodzi, Stan? - zapytała, a w jej głosie pojawiła się twarda nuta gniewu. - Co masz przeciwko Reyowi?

Wzrok kaskadera ociekł w bok. Stan spojrzał w stronę przyczep i karawaningów widocznych za drzewami.

- On jest zbyt pewny siebie. A poza tym wydaje mi się, że interesuje go tu coś więcej niż tylko to, żeby być

konsultantem. Wtyka nos tam, gdzie nie powinien, i pojawia się tam, gdzie nie ma żadnego interesu. Nie podoba

mi się to.

- Chyba przesadzasz. On tylko próbuje robić, co do niego należy.

- Może, ale mówię ci jeszcze raz: nie podoba mi się to i on mi się nie podoba.

Doszli już do parkingu klubu jachtowego. Stan, nie czekając na odpowiedź Julie, pokuśtykał w stronę domku klubowego.

Julie przez chwilę nie ruszała się z miejsca, a potem poszła w stronę biura. Czy Stan ma rację? Czy Rey

wtyka nos w nie swoje sprawy? Dlaczego miałby to robić? W jakim celu?

Założmy zresztą, że Stan ma rację. Ale dlaczego był taki zły?

Większość ludzi interesuje świat filmu i chce wiedzieć, jak się robi film. Nie było nic złego w tym, że

ktoś chciał się tego dowiedzieć, pod warunkiem że to nie przeszkadzało w pracy. Stan pieklił się bez

powodu.

A jednak ... jednak i Ofelia mówiła, że Reya jest wszędzie pełno, że gada ze wszystkimi. Możliwe, że za

bardzo się tym wszystkim interesuje.

Trzeba to sprawdzić, pomyślała Julie. Jeżeli okazałoby się, że Stan ma rację, to jedno byłoby pewne: jej

także by się to nie podobało.

W biurze Julie ktoś był. Sekretarka wyszła o zwykłej porze. Jej pokój był pusty i panowała w nim cisza.

Popielniczki były opróżnione, czasopisma ułożone w równe stosy. Drzwi prowadzące do biura Julie po wyjściu

sekretarki powinny być zamknięte na klucz, ale okazało się, że są uchylone. Julie usłyszała szelest papierów i

odgłos zamykania szuflady zawierającej kartotekę.

Weszła energicznie do środka, popychając drzwi tak mocno, że uderzyły o ścianę. Rey, stojący koło

szatki z kartoteką i przeglądający właśnie segregator, podniósł głowę. Ich spojrzenia się spotkały.

Wyraz twarzy

Reya zdradzał, że jest zaskoczony i zdaje sobie sprawę z kłopotliwości sytuacji.

- Czy jest coś, co mogłabym ci pomóc znaleźć? - spytała Julie z fałszywą wesołością, udając uprzejmość.

- Oj, chyba nie - odpowiedział. - Myślę, że twoje biuro też jest częścią twojego terytorium.

Zrobiło jej się gorąco, gdyż przypomniała sobie zeszłą noc, przypomniało jej się też, jakie znaczenie

Rey

nadał temu słowu. Czowała się zmieszana widząc, jak serdecznie na nią patrzy. Mimo to starała się mówić

spokojnie.

- Przede wszystkim to biuro nie jest miejscem publicznym. Czy mógłbyś mi wyjaśnić, co tutaj robisz?

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Nie jestem pewien, czy mam na to ochotę, kiedy mówisz do mnie takim tonem.

- Mój ton jest odpowiedni do sytuacji.

Mówiąc to zastanawiała się, czy to, co mówi, jest prawdą. Być może udzieliła jej się podejrzliwość

Stana, a być może jej własne uczucia wobec tego człowieka były ambiwalentne. Jakkolwiek było, nie lubiła,

kiedy ktoś przeglądał jej rzeczy bez wiedzy i pozwolenia. Nie odpowiadało jej to nawet wówczas, gdy tym kimś

był Rey.

- No więc - powiedział po chwili milczenia. - przepraszam, ale czekałem tu na ciebie i nagle pomyślałem, że

mógłbym dowiedzieć się czegoś, co chcę wiedzieć. Następnym razem zapytam o pozwolenie. Dobrze?

Spokojny ton, jakim ją przeproszał, i mina, z jaką to robił, były tak rozbijające, że Julie niełatwo było

nadal się gniewać.

- A co chciałeś wiedzieć?

- Chciałem się dowiedzieć, jak się nazywa firma, która dostarczyła tę łódź, na której zginął Paul. Donna i ja

mamy wątpliwości co do tego, kto ponosi odpowiedzialność za wypadek.

Julie popatrzyła na niego, czując jakąś dziwną słabość, a potem usiadła przy biurku.

- Chcesz powiedzieć - odezwała się zduszonym głosem - że Donna Lislet ma zamiar wytoczyć proces?

- Tego nie powiedziałem.

- Ale wszystko na to wskazuje. W związku z procesem wymieniona zostanie nazwa nie tylko firmy, która

dostarczyła łódź, ale i studia Excel Films. Firma ubezpieczeniowa zabierze się za nas z całą bezwzględnością.

Davies będzie zachwycony. Dopnie swego, osiągnie to, że odbiorą mi film.

- O czym ty mówisz? - spytał Rey marszcząc brwi. Powiedziała mu pokrótce, co ma na myśli, dodając na

koniec: - Nie rozumiem, dlaczego Donna chce to zrobić. Dostanie odszkodowanie za śmierć w wypadku z

naszego ubezpieczenia.

- To jej nie uspokoi. Ona chce wiedzieć, co dokładnie spowodowało śmierć Paula. A tego może się

dowiedzieć w wyniku śledztwa.

- To był wypadek, nic innego! - krzyknęła Julie. - Widziałeś, jak to się stało, wszyscy widzieliśmy. Linka

sterowa nie wytrzymała, bo była przeżarta kwasem.

Rey pokręcił głową.

- Nie mogę uwierzyć, że Paul wsiadł na skif, nie zrobiwszy przedtem przeglądu. Na pewno zauważyłby, że

linka jest uszkodzona. To musiało być coś innego.

Julie przeczesła palcami włosy.

- Możecie zapytać ludzi z firmy, która dostarczyła łódź. Tylko nie jestem pewna, co oni wam powiedzą. Skif

był stary, miał cztery czy pięć lat i był zużyty, w przeciwieństwie do łodzi z kabiną i szybkiej motorówki, które

są nowe. Skif miał wyglądać na stary, zużyty, jakby Jean-Pierre pływał nim od lat.

- Kto zrobił przegląd po dostarczeniu go?

- Ofelia podpisała fakturę, a Stan i jeden z mechaników obejrzelik szybko skifa i motorówkę. Powiedziano

nam, że skif został niedawno wyposażony w nowy silnik, więc nikt nie oglądał go dokładnie. Większość

kaskaderów lubi sprawdzać własny sprzęt, nie ufając nikomu. Robią tak przynajmniej profesjonaliści. A

członkowie ekipy uważają, że nie trzeba dublować ich wysiłków.

- Więc to było po prostu nieporozumienie. W każdym razie z twojego punktu widzenia.

- Nie wiem, co jeszcze mogłabym ci powiedzieć. Przerwała, odwracając wzrok i zamyślając się ponuro.

- Zawsze mówiłam, że nie wiem, jak John Landis! reżyser Strefy mroku, mógł wystawić na niebezpieczeństwo życie Vica Morrowa i tych dwojga dzieciaków, którzy zginęli podczas zdjęć. Jego postępowanie wydawało mi się takie lekkomyślne, bezduszne. Teraz bardziej to rozumiem. Człowiek

przyzwyczajają się do tego, że ludzie naokoło ryzykują, że wystawia ich na niewielkie niebezpieczeństwo. A

potem, stopniowo, niebezpieczeństwo staje się coraz większe. Kiedy przez pewien czas nic wielkiego się nie

dzieje, zaczyna się wydawać, że nigdy nie stanie się nic złego.

Rey rzucił segregator na szafkę, a potem usiadł obok Julie na rogu biurka.

- Scena, którą zaplanowałaś, nie była znowu taka niebezpieczna. Ten wypadek nie powinien być się zdarzyć. I

nie zdarzyłby się, gdyby coś się nie zepsuło w łodzi. Nie masz powodu, żeby obwiniać siebie.

- Jestem reżyserem. Daję komendę do kręcenia, więc jestem odpowiedzialna za to, co się dzieje na planie.

- Jeżeli dobrze pamiętam, to nawet Landis został zwolniony od odpowiedzialności karnej.

- Ale sprawa cywilna ciągnęła się latami i kosztowało go to miliony dolarów.

- Donna nie mówiła, że skieruje sprawę do sądu. Ona po prostu chce ... musi... poznać prawdę i zapomnieć o

tym wypadku.

- Dobrze by było, gdyby i mnie się to udało.

Rey kiwnął głową, zgadzając się z nią. Przez chwilę na jego twarzy widoczny był niepokojący wyraz, który zaraz zniknął.

- Co myślisz o tym, żeby na kolację zjeść smażone krewetki i suma? - spytał łagodniejszym już tonem.

- Dziś

wieczorem ciotka Tine idzie na przyjęcie na cześć pewnej przyszej matki, której goście mają przynieść

prezenty, a my będziemy musieli radzić sobie sami.

- Dobrze, tylko że mnie smażyć nie idzie - powiedziała Julie, poprawiając się na krześle.

- Nie miałem na myśli tego, że będziemy sami to przyrządzać - odpowiedział Rey. - Miałem na myśli

restaurację Middendorfa. Oni podają najlepsze smażone owoce morza w okolicy, a jako nagrodę specjalną

oferują oglądanie jeziora Maurepas i Pass Manchac - kanału łączącego jezioro Maurepas z jeziorem Pontchartrain.

Julie przypomniała sobie, że jezioro Maurepas znajduje się tam, gdzie kończy się Blind River.

- Pojedziemy łodzią?

- Jeżeli chcesz.

Jego uśmiech był szczery.

- Nie, nie, lepiej samochodem.

- Co? - zapytał i przekręcił jej obrotowe krzesło tak, że siedziała teraz twarzą do niego. - Nie będzie pływania

przy księżycu?

- Dziś nie.

Spuściła oczy i złożyła ręce na kolanach, przyciskając je mocno do siebie.

- Szkoda - powiedział Rey miękko. - Będę musiał pomyśleć o czymś innym.

Pochylił się i dotknął wargami jej chłodnych ust, ogrzewając je, pieszcząc językiem w miejscu, gdzie spotykały się wargi. Po chwili usta Julie zaczęły pulsować rytmem serca. Rozplotła palce i położyła dłonie na

jego ramionach, przyciągając go bliżej i całując mocniej.

-No, no, to dopiero - odezwał się od drzwi śpiewny głos. Rey podniósł głowę, odsuwając się bez pośpiechu.

Julie uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Odetchnęła powoli i głęboko odwracając się. Zobaczyła

Vance'a stojącego z ręką na klamce.

- Chciałeś czegoś? - zapytała.

Oczy aktora pociemniały z zazdrości i urażonej dumy.

- Jestem pewien, że czegoś chciałem, ale zapomniałem czego - odrzekł zgryźliwie. - Przyjdę później. Zgoda?

No i zamknę za sobą drzwi. Nie wiem, czy Allen wie, co się tu dzieje, ale jeżeli nie wie, to pewnie

nie chcesz,

żeby się dowiedział.

Jadąc do restauracji Middendorfa nie byli zbyt ożywieni. Rey prowadził dżipa, poświęcając prowadzeniu

samochodu tylko część swojej uwagi. Pojechał autostradą zwaną Airline Highway albo inaczej US 61 aż do

drogi prowadzącej na autostradę międzystanową nr 10, tam skręcił, dojechał do I-55 i skierował się na północ.

Noc zapadła wczesnie i za szybami niewiele było widać. Rey pokazał Julie kanał wykopany wzdłuż autostrady

międzystanowej, po którym pływały duże barki wożące pale do budowy szerokiej drogi przez bagna. Potem

rozmawiali przez chwilę o oposach i szopach, które - wiedzione impulsem samobójczym - wybiegały nocą na

drogi Luizjany, po czym zostawały z nich tylko żalosne kupki futra, którymi później zajmowały się myszołowy.

Nie poprawiło to jednak ich nastroju.

Rey spoglądał na Julie od czasu do czasu. Ona zamknęła się w sobie, najwyraźniej zatopiona we własnych myślach. Obawiał się, że wie, o czym Julie myśli.

Pospieszył się i ją również zmusił do zbyt pośpiesznego działania - wiedział o tym. Problem polegał na

tym, że było tak mało czasu. Nie usprawiedliwiała go to jednak. przegrał. Taka była prawda. Nie mógł

powstrzymać się od pójścia nocą do jej pokoju, tak jak nie mógł nakazać własnemu sercu, żeby przestało bić.

Julie pociągała go z tak ogromną siłą, że nie potrafił się jej przeciwstawić. To było coś, co musiał sobie jasno

uświadomić i wziąć pod uwagę.

Spojrzał na twarz Julie oświetloną zielonym światłem padającym z tablicy rozdzielczej. Patrzył na jej

wyraziste rysy i pełen determinacji sposób trzymania podbródka, na jej wyraźnie zarysowane, łagodnie wygięte

usta. Julie była tak opanowana, tak bezpieczna w swoim odcięciu się od otoczenia, że Rey przyjął to jak

wyzwanie. Chciał ją rozbroić, przełamać jej postawę obronną, przekonać, że powinna dopuścić go do swoich

myśli, marzeń. Chciał wiedzieć o niej wszystko: jaki kolor najbardziej lubi i na kogo będzie głosowała w

następnych wyborach. Im więcej by wiedział, tym czułby się bezpieczniejszy.

Nie tak dawno, w biurze, miał ochotę dać Vance'owi Stuartowi pięścią w twarz. Zrozumiały pęta z

tego Vance'a. On naprawdę uważał, że mówienie do Julie tak złośliwym tonem ujdzie mu na sucho! Czy między

nim a Julie było kiedyś coś, co by to usprawiedliwiało? Jak bardzo ważny był Vance dla Excel Films i dla Julie?

Rey zmrużonymi oczami obserwował drogę wylaniającą się w blasku jego reflektorów. Nie miał prawa zadawać

takich pytań. To przecież z powodu jego własnej nierozwagi Vance'owi trafiła się taka gratka. Nie powinien był

zbliżać się do Julie tam, w biurze. Oczywiście trzymałby się od niej z daleka, gdyby nie musiał naprawiać tego,

co sam zepsuł, gdyby nie musiał odbudować ich bliskości.

Jeszcze raz rzucił okiem na siedzącą obok kobietę, która znowu odwróciła głowę, patrząc przez okno na

mijane mokradła i na drzewa tworzące parawan oddzielający bagna od drogi. Zastanowiwszy się nad kilkoma z

wielu pytań, jakie chciał jej zadać, zapytał:

- Skoro chodziłaś do szkoły w Luizjanie, to jak to się stało, że wylądowałaś w Los Angeles?

Spojrzała na niego, nie uśmiechając się, i odpowiedziała od razu:

- Po śmierci matki Bull poprosił mnie, żebym z nim zamieszkała. Poprzednio byłam w Kalifornii raz czy dwa

razy, podczas wakacji. Wystarczyło to, żebym polubiła słońce i uciechy Malibu, gdyż Bull właśnie tam

mieszkał. Pojechałam więc do niego.

- I dobrze ci się z nim mieszkało?

- Z początku tak - odpowiedziała, kładąc głowę na oparciu i odwracając się do Reya. Odprężyła się, jak

gdyby to, że ma w końcu o czym mówić, sprawiło jej ulgę. - Bull był hojny. Podarował mi samochód, stworzył

konto bankowe, dawał mi ciągle po dwadzieścia dolarów, tak jakby jego zasoby były niewyczerpane.

- Wszystko, o czym marzą nastolatki.

- Tak. Ale on również chciał wybierać mi przyjaciół i mówić, co mam myśleć. Wcześniej nigdy go nie było, a

teraz nagle zapragnął być najwyższym autorytetem, nie znoszącą sprzeciwu głową domu. Musiałam mu się

spowiadać z każdej chwili życia. Wtedy uważałam, że on ustanawia te głupie zasady i pilnuje, żebym się do nich

stosowała, dlatego że chce zaspokoić wymagania swojego wybuchającego ego. Ale teraz zdaję sobie sprawę z tego,

że on był przerażony. Przerażała go odpowiedzialność związana tym, że ma pod opieką krnąbrne dziecko.

To określenie wydało się Reyowi tak mało przystające do rzeczywistości, że musiał się uśmiechnąć.

- Czy rzeczywiście byłaś krnąbrnym dzieckiem?

- Myślałam, że jestem okropna - przyznała - chociaż prawdopodobnie, jak na swój wiek, byłam normalna. W

każdym razie wyprowadziłam się i mieszkałam przez pewien czas w domku na plaży razem z czterema innymi

dziewczynami i paroma chłopakami, kumplami.

- Przerwałaś studia?

- Na rok.

- A później? - pytał dalej.

- Później mnie to znudziło. Zaczęłam się bawić kamerą szesnastką, którą dał mi Bull. Fotografowałam ludzi

uprawiających surfing, fotografowałam fale, chciałam pokazać atrakcyjność tego stylu życia i to, że prowadzi on

w ślepy zaułek. Pojawiły się problemy techniczne, różne pytania. A kogo miałam prosić o radę i u kogo szukać

odpowiedzi na moje pytania, jak nie u Bulla?

- Najwyraźniej udzielił ci tych odpowiedzi - powiedział Rey, wymijając precyzyjnie wielką ciężarówkę.

- To spowodowało radykalną zmianę. Nauczyliśmy się rozmawiać bez krzyku, słuchać siebie nawzajem, a nie

czyhać na stosowną chwilę, żeby wykrzyczeć swoje racje. Wróciłam na uczelnię, ale nie zrezygnowałam z

własnego mieszkania. Spędzałam czas obserwując Bulla przy pracy i filmując wszystko, co się rusza.

W jej głosie słyhać było jakieś przygnębienie, zapowiedź depresji. Rey ostrożnie badał, jaki jest tego

powód:

- Długo już mieszkasz sama.

- Można tak powiedzieć. Jestem sama z wyjątkiem przerw na mieszkanie z Allenem.

Rey prawie zapomniał o Allenie. Jednak to, że ona o nim nie zapomniała, było wymowne.

Zapadła między nimi cisza, którą przerwała Julie.

- Te bagna są takie wielkie. Zdaje się, że nigdy się nie skończą. - Nie są takie wielkie jak kiedyś. Zbyt wiele

drzew wycięto, zbyt wiele domów i fabryk zbudowano.

- Dlaczego Cajunowie tutaj się osiedlili? W osiemnastym wieku musiały być lepsze miejsca do osiedlenia się.

- Wzięli ziemię, którą dali im Hiszpanie będący wtedy jej właścicielami, a oni byli zadowoleni, że ją dostali.

Właściwie to nie osiedlili się na bagnach, tylko wzdłuż rzek i ich odgałęzień. Bagna jednak zawsze znajdowały

się tuż za ich domami. Badali je chyba z tego samego powodu, dla którego ludzie uprawiają wspinaczkę górską.

- Po prostu dlatego, że istnieją, tak jak istnieją góry - powiedziała Julie domyślnie. - A twoi przodkowie? Czy

oni właśnie tym się zajmowali? Zadając to pytanie, patrzyła na niego uważnie i w napięciu, on jednak nie był w

stanie zorientować się, co to spojrzenie oznacza.

- Mniej więcej - odpowiedział w zadumie. - Była to rodzinna rozrywka, zawsze, aż do czasów obecnych.

Teraz już nie, bo większość moich kuzynów jest zbyt zajęta zarabianiem na życie. Nie żyją już tak jak nasi

przodkowie.

- A twój ojciec co robił ... to znaczy, jak zarabiał na życie?

- Przez pewien czas uprawiał ziemię, a potem poszedł do pracy w pobliskich zakładach chemicznych. Jego

brat, mąż ciotki Tine, pracował w firmie Colo ni al Sugar, w fabryce słodczy. Uwielbiałem patrzeć na niego,

kiedy wracał z pracy. Wyglądał jak kawałek marcepana, zawsze był pokryty kryształkami cukru, które w fabryce

wisiały w powietrzu jak mgła. Ciotka Tine nazywała go najśłodszym na świecie mężczyzną.

- To do niej podobne - powiedziała Julie pogodnym tonem, chociaż wyraz jej oczu wskazywał na to, że coś ją

nęka. Wjechali na wzniesienie i zobaczyli przed sobą jezioro Maurepas. Rey wskazał rozległy, ciemny obszar

wodny leżący po lewej stronie i obrzeżony szeregiem żółtych świateł mrugających w oddali. Na prawo

znajdował się wąski przesmyk prowadzący do jeziora, którego nazwa pochodziła od nazwiska ministra

marynarki z czasów Ludwika XIV, hrabiego de Pontchartrain. Przejechali przez wybrzuszony most przerzucony

nad tym przesmykiem, tak wysoki, że mogły pod nim przepływać barki i większe łodzie rybackie, a potem

wjechali na parking restauracji.

Restauracja była bezpretensjonalna. Mieściła się w długim, niskim budynku ozdobionym markizą w czerwone paski i ogromnym czerwono - żółtym szyldem, mającym przyciągać uwagę Jankesów jadących do

Baton Rouge czy do Nowego Orleanu. Działała od ponad pięćdziesięciu lat, podawano w niej świeże owoce

morza rybakom z jeziora i miejscowym - mieszkańcom Nowego Orleanu będącym amatorami nie wyszukanych

dań, a także kibicom z północnej Luizjany i znad Missisipi, jadącym na mecze futbolowe odbywające się w LSD

i Super Dome. W sezonie przybywali tu również turyści.

W środku panowała domowa atmosfera. Ściany obłożone były drewnianą boazerią, a na stołach leżały

obrussy w kratkę. Rozlegał się gwar ściszonych głosów gości i pachniało mięsem krabów, mąką kukurydzianą i

ciepłym olejem z orzeszków ziemnych. Reya i Julie przywitała uśmiechnięta kelnerka i poprowadziła ich do

stolika w rogu, o który poprosił Rey. Idąc za nią, odpowiedział na pozdrowienia kilku przyjaciół. Oboje z Julie

pomachali też filmowcom z ekipy, którzy dowiedzieli się o tej restauracji i siedzieli teraz przy trzech stolikach.

W spisie potraw był befsztyk i kurczę, a także hamburgery, ale oprócz tego mnóstwo potraw morskich w

rodzaju ostryg na połówkach muszelek, gotowanych langust, pieczonych na rożnie krewetek, pieczonych fląder

z masłem cytrynowym i wszelkich odmian smażonych owoców morza. Do tego była zielona sałata i sałatka z

surowej kapusty, smażone kartofle i ciasteczka kukurydziane bez cukru smażone w tłuszczu. Jedzenie nie było

wyszukane, ale obfite i doskonale przygotowane.

Rey poprosił o butelkę Pouilly - Fuisse z dobrego rocznika, a później wspólnie z Julie zastanawiali się,

czy wino nie jest zbyt dobre do smażonych potraw. Sączyli wino i studiowali kartę. Rey zamówił specjalność

zakładu: cienkie filety z hodowanego w stawie suma, usmażonego na kolor złotobrazowy, Julie natomiast, chcąc

spróbować kilku rzeczy, zamówiła półmisek z krewetkami, ostrygami, z sumem i faszerowanym krabem.

Kiedy kelnerka po przyjęciu zamówienia zabrała karty i oddaliła się, Rey nalał wina do kieliszków i oparł się wygodnie. Zdobył się na odwagę i zapytał spokojnie:

- Chcesz o tym porozmawiać, czy raczej nie?

- Słucham?

Julie upiła trochę wina. Nikły blask świecy osłoniętej szklanym kloszem odbijał się w dnie jej kieliszka;

zamigotał na jej twarzy, podkreślając nienaturalny spokój Julie.

- Coś cię gnębi. Chciałbym wiedzieć, co to takiego.

Przez chwilę wydawało się, że Julie odpowie na to pytanie wymijająco. Jednak kiwnęła głową.

- Rzeczywiście - powiedziała - jest coś takiego. Słyszałam, że masz reputację playboya polującego w pewnych kręgach nowo orleańskiej socjety. Jak to jest możliwe, żeby taką reputację miał Cajun z zapadłej

provincji, znany jako Szczur Bagienny?

Rey był przygotowany na różne ewentualności, ale nie na tę właśnie. Myślał, że to jest sprawa mało istotna. Mówiąc tonem ironicznym i trochę niższym, niż zamierzał, zapytał:

- Madelyn?

- Tak. Ta informacja pochodzi od niej. Powiedziała mi to w sposób okrężny.

- Ona przesadza.

- Ale masz mieszkanie w Nowym Orleanie?

Zabrzmiało to jak oskarżenie.

- Mam.

- Bardzo ładne mieszkanie, jak słyszałam. I jeździsz włoskim samochodem sportowym wartym tyle, ile

wynosi wieloletnie utrzymanie przeciętnej rodziny?

- Widzę, że Madelyn się napracowała ..

- I latasz własnym samolotem?

Westchnął zrezygnowany, potwierdzając.

- Czy Madelyn powiedziała ci, że mam kolekcję bezcennych sztychów i jacht na jeziorze Pontchartrain?

- Nie, ale wspomniała o Krewe of Comus.

- Wiem, że przynależność do klubu Mardi Gras jest czymś, co ci bardzo imponuje.

- Ja pochodzę z Luizjany i wiem, jaką to ma wagę towarzyską, wiem, że oznacza to arystokratyczne

pochodzenie. W samochodzie dałam ci możliwość, żebyś opowiedział mi o swoich nowoorleańskich koneksjach

rodziny, nie tylko o pokrewieństwie z Cajunami. Dlaczego nic o nich nie mówiłeś? Nie boisz się chyba, że

ktos przestanie cię lubić tylko dlatego, że jesteś taki, jaki jesteś, a zaczną cię cenić jedynie za twoją pozycję?

Rey przyjrzał się uważnie jej twarzy, starając się zorientować, czy chłodny ton głosu Julie bierze się z

rozczarowania, czy może spowodowany jest oburzeniem albo powściągliwą ciekawością.

- Czy się tego nie boję? Mówisz tak, bo nigdy nie uganiała się za tobą Madelyn de Wells.

- Ja nie żartuję.

- Ja też nie - powiedział Rey trzeźwo. - Z początku nie powiedziałem ci o tym wszystkim, bo nie sądziłem, że

to ma znaczenie. Nie mam zwyczaju podchodzić do kobiet i mówić: "Cześć, jestem bogaczem o złej reputacji".

- No nie, oczywiście, że nie. Bo przecież to bardzo zabawne zrobić z kogoś idiotkę.

Błysk w jej zielonych oczach, oczach w kolorze absyntu, był zdecydowanie błyskiem gniewu. Rey starał

się uśmierzyć ten gniew.

- To nie tak. Byłaś taka pewna, że potrzebne mi pieniądze, że byłoby niegrzecznie wyprowadzać cię z błędu.

W każdym razie ja nie spodziewałem się, że będę z tobą pracował, ani tym bardziej że będziemy

mieszkali pod

jednym dachem.

- Ale upłynęło ładnych parę minut od chwili, gdy łaskawie zgodziłeś się mi pomóc, do chwili, kiedy o świcie

wysunąłeś się z mojego łóżka i kiedy właściwie mogłeś mi powiedzieć: "Atak przy okazji, to ja nie jestem tym,

za kogo mnie bierzesz".

Rey siedział obserwując ją, podziwiając rumieniec na jej oświetlonej świecą twarzą i sposób, w jaki

bawełniany sweter - pod wpływem szybkiego oddechu spowodowanego gniewem - podnosił się i opadał na jej

miętko zarysowanych piersiach. Po chwili skarcił się w duchu. Bo takie zauroczenie nie było dobre w tej

sytuacji. Znalazł się bowiem w opałach. I wydawało mu się, że zaczyna rozumieć dlaczego.

- Przepraszam - powiedział nagle.

- No nie, nie rób tego ponownie - odpowiedziała, odrzucając stanowczo jego spokojne przeprosiny. - Nie rób

mi łaski. Bo przecież przyjęcie na siebie winy przez mężczyznę jest z jego strony największą łaską.

Pochylił się ku niej i powiedział spokojnie:

- Nie przyjmuję na siebie żadnej winy, z wyjątkiem tego, że nie obudziłem cię dziś rano i nie

powiedziałem

"do widzenia". - Kto powiedział, że to było potrzebne? - odparowała ostro.

- Nikt, ale mam wrażenie, że nie byłabyś na mnie taka zła, gdybym dziś rano cię zapewnił, że odchodzę tak

wcześnie nie dlatego, że chcę. Odszedłem ze względu na ciotkę Tine.

Julie zareagowała szybko: patrzyła na niego przez moment, a potem powiedziała:

- Oo!

- To prawda. Ciotka Tine rozumie potrzeby ciała. Ogląda z przyjemnością seriale telewizyjne pełne romantycznych scen i plotkuje z przyjaciółkami na tematy interesujące każdą starszą panią, ale nie byłaby

zachwycona, gdyby się przekonała, że ostatniej nocy nie spałem w swoim łóżku. To jej dom i uważałem, że

trzeba wziąć pod uwagę jej poglądy na temat moralności.

- Myślę - powiedziała Julie głosem prawie nie dosłyszalnym że o mnie miałyby gorsze zdanie niż o tobie.

Rey został zwolniony z obowiązku odpowiadania na tę uwagę, gdyż przyniesiono zamówione dania.

Jedli przez dłuższy czas w milczeniu. Napięcie między nimi wciąż rosło. Julie miała oczy spuszczone, a między

jej brwiami pojawiała się i znikwała zmarszczka. W końcu odłożyła widelec. Rey, zauważywszy powagę w jej

oczach, poczuł napięcie w mięśniach, brzucha, jak przed spodziewanym ciosem.

- Słuchaj - powiedziała Julie głosem ochryłym i bez tchu, jak gdyby chciała jak najszybciej wyrzucić z

siebie słowa. - Myślę, że zeszłej nocy popełniliśmy błąd. Straciliśmy kontrolę. Wiem, że to nie tylko twoja wina,

ale i moja. Wysyłałam niewłaściwe sygnały, nie wycofałam się wtedy, kiedy powinnam była to zrobić. Źle się

czuję będąc równocześnie z tobą i z Allenem. Ja ... mam okropne poczucie winy.

Rey poczuł nagle, że stracił apetyt. Wypił resztkę wina i siedział przez chwilę z kieliszkiem w ręce, a potem postawił go na stole.

- Czy spowodowały to komentarze Vance'a? - zapytał stanowczym tonem.

- To uczucie narastało od chwili, gdy się obudziłam dziś rano. My z Allenem jesteśmy dość długo razem,

byliśmy ze sobą w chwilach dobrych i złych. Szanujemy się i rozumiemy. On na to nie zasłużył.

Rey wiedział, że mógłby teraz powiedzieć różne rzeczy, ale nie był pewien, czy to, co powie, będzie miało jakiegokolwiek znaczenie. W tej chwili potrzebny był gest dżentelmena. Rey wiedział o tym, chociaż nie

miał ochoty takiego gestu wykonać.

- To, co się stało zeszłej nocy, do niczego cię nie zobowiązuje - powiedział spokojnie.

- Skoro tak, to w porządku - odpowiedziała Julie, nie patrząc na niego.

- Wydaje mi się - odezwał się z lekką ironią - że pierwszy raz zostaję odrzucony z tego powodu, że mam

pieniądze.

- To nie tak - zaprzeczyła szybko Julie. - To nie z powodu pieniędzy. To dlatego, że Jesteśmy tacy różni, że

moje życie jest zupełnie inne niż twoje. Wszystko zaczęło się od nieporozumienia. Ciebie najwyraźniej to bawi,

ale mnie nie. Nawet gdyby nie było Allena, to ...

- Coś tu jest nie w porządku.

- Tak - potwierdziła, a jej głos zdradzał, że jest mu wdzięczna za tę pomoc.

- Po prostu ... zapomnijmy, że to się stało.

Rey zacisnął zęby, żeby nie powiedzieć tego, co mu w pierwszej chwili przyszło do głowy.

- I będziemy dalej pracować nad filmem i mieszkać pod jednym dachem? - zapytał.

- Tak, jeżeli uważasz, że to możliwe.

- Nie jest to niemożliwe. Jeżeli tego chcesz.

- A więc ... dobrze. Nie chciałabym tak szybko wyprowadzać się od ciotki Tine i wyjaśniać jej, dlaczego się

wyprowadzam.

Zdołał posłać jej coś w rodzaju uśmiechu.

- Tego trzeba uniknąć za wszelką cenę. Ona błyskawicznie wydobyłaby z ciebie całą prawdę.

-Nie wątpię.

Wargi Julie wygięły się lekko, chociaż jej oczy wciąż wyrażały niepokój.

- A gdyby to się stało, ja musiałbym się też wynieść.

- O, na pewno nie.

- Nie z powodu moich grzechów, nawet gdyby w twoim opowiadaniu wyglądały na bardzo ciężkie. Tylko

dlatego, że ciotka nie wybaczyłaby mi tego, że wypłoszyłem ciebie.

- Jej bardzo zależy na tym nowym dachu.

Rey nie to miał na myśli. Nie sprostował jednak, gdyż nie był pewien, czy będzie w stanie to zrobić.

Zaproponował deser. Kiedy podziękowała, dał znak kelnerowi, że chce płacić.

Spodziewał się, że Julie będzie obstawała przy tym, żeby za kolację zapłaciło studio Excel Films albo

przynajmniej żeby zapłacili po połowie. To, że tak się nie stało, mogło być spowodowane jej poczuciem taktu,

mogło też oznaczać, że Julie bierze poprawkę na to, że on jest tak bogaty. Jakkolwiek było, Rey ucieszył się, że

może się zająć płaceniem, podczas gdy ona poszła umyć ręce.

Wyjął z portfela banknoty na napiwek i położył je na stole.

Sięgając po rachunek, który miał zanieść do kasjera, zauważył resztkę wina w butelce. Nalał je sobie do

kieliszka. Kiedy obserwował zawartość naczynia, jego wargi wykrzywił ponury uśmiech. Siedział przez dłuższą

chwilę, patrząc, jak z powodu drżenia jego dłoni na powierzchni chłodnego, żółtego płynu pojawiają

się

zmarszczki. Przechyliwszy kieliszek gwałtownym ruchem, wypił wino. Odszedł od stołu, nie oglądając się za

siebie.

Julie nie spała dobrze. Wielokrotnie przeżywała w wyobraźni ten wieczór z Reyem. Powracał jak fragment pierwszej kopii filmu, który trzeba poddać obróbce myślowej, ze względu na jakiś problem. Wydawało

jej się, że musi przyjrzeć się ponownie pewnym wypowiedziom Reya. W jednym miejscu niepokoiła ją barwa

jego głosu, w innym znowu intonacja, a kiedy indziej fragment dialogu nie pasował do towarzyszącego mu

wyrazu twarzy.

Reakcja Reya na jej decyzję dotyczącą zakończenia ich dopiero co rozpoczętego romansu była

wielkoduszna. Julie nie mogła liczyć na postawę bardziej uprzejmą ani na to, że Rey pomoże jej wybrnąć z tak

trudnej sytuacji. Spodziewała się jednak czegoś innego, chociaż nie była pewna czego. Może tego, że zareaguje

niedowierzaniem albo gniewem, albo nawet oskarżeniami. Była mu wdzięczna, że przyjął to z takim spokojem,

a równocześnie czuła, że ten spokój był nie na miejscu.

Oczywiście mogło to oznaczać, że jest mu wszystko jedno, że jest na tyle obojętny, iż nie uważa za

stosowne robić z tego problemu, zwłaszcza że ona zdecydowała się mówić o całej sprawie w zatłoczonej

restauracji. Julie czuła się dziwnie, ale trudno jej było zdecydować, czy to dlatego, że on coś powiedział w jakiś

określony sposób, czy też dlatego, że została zraniona jej miłość własna

Było jej głupio. Jak mogła do tego stopnia nie wiedzieć, czego chce? Jak mogła jednej nocy pragnąć

kochać się z Reyem, a już następnej od niego uciekać? I co w nim jest takiego, co było w tym jego czarującym

dotyku, co wyprowadziło ją z równowagi do tego stopnia, że tak panicznie bała się kontynuowania tego

romansu, a równocześnie cierpiała na myśl, że on przyjął spokojnie fakt odrzucenia. Mówiła o

swoim

przywiązaniu do Allena ... No tak, prawdą było to, że czuła się źle zdradzając człowieka, który tak długo

stanowił stabilne centrum jej życia. Ale czy to tylko to?

Rey był człowiekiem skomplikowanym. Z początku uważała go za zwykłego macho, za samca z

nadmiernie rozbudowanym ego, któremu brakuje delikatności. Jednak to nie było takie proste. W nim było coś

więcej, chociaż trudno powiedzieć co. Tak dobrze ukrywał, kim jest naprawdę, wykręcał się dowcipem i z taką

nonszalancją traktował szczegóły, że - zdawało się - może się za tym kryć wszystko. Może nawet coś niezbyt

dobrego. Julie to przerażało. przerażała ją nie tylko myśl o tym, że nie wie, kim Rey może się okazać, ale także

myśl, że może zrobić coś niesłychanego z jej bezpiecznym, uregulowanym życiem.

Nie miało to jednak znaczenia. Bo Julie rozwiązała problem Reya. I uwolniła się od kłopotu, jaki on stanowił. Była teraz wolna i mogła znowu zająć się filmem: Za parę dni film będzie ukończony, a ona stąd

wyjedzie. Wróci do Los Angeles, do Allena i do następnego filmu. I do wszystkich kolejnych.

Przez następne trzy dni Julie pracowała po czternaście i więcej godzin na dobę, co pozwoliło jej odciąć

się od wszelkich wpływów zewnętrznych i skoncentrować na doraźnym działaniu. Posunęło to też naprzód pracę

nad filmem. Nakręcono kilka scen z Summer i Vance'em, dziejących się w obozowisku na bagnach, scen,

podczas których stosunki między ojcem a córką stają się coraz bardziej serdeczne. A także scenę, w której oboje

znajdują się na skifie, w chwili gdy nadciąga burza. Walcząc wspólnie z falami, Jean-Pierre i jego córka stają się

sobie coraz bliżsi. Widać wyraźnie, jak Summer jako Alice, przebywając z ojcem, staje się coraz odważniejsza.

Dobrze wyszła scena, w której grająca Dorotheę Madelyn, zniecierpliwiona nieudolnością wynajętych zbirów,

zabrawszy broń sama zaczyna ścigać męża. Madelyn okazała się doskonałą wiedźmą, kiedy straciwszy swoją

żurnalową elegancję pod pokładami błota, była zmuszona ustąpić po zmierzeniu się z niepokonanym bagnem i

sposobem obrony męża. Scena, w której oboje pływają nago, sfilmowana nocą, miała w sobie tak absolutne

piękno i była tak przeniknięta podskórnymi emocjami, że Julie była zaskoczona, a Vance i Madelyn, po

obejrzeniu pierwszej jej kopii, wpadli w zachwyty i zaczęli sobie nawzajem gratulować.

Rey był zawsze w pobliżu. Julie często z nim rozmawiała. Wymieniali zwięzłe, bezosobowe pytania i

odpowiedzi, rzadko kiedy patrząc na siebie. Rey był wszędzie, śmiał się, gadał, objaśniał, poprawiał wszystko -

od wymowy aktorów po sposób urządzenia obozowej kuchni. Drażnił się z Summer i to dzięki niemu

dziewczynka posyłała mu kokieteryjne uśmiechy i doskonale współpracowała ze wszystkimi; uspokajał

nadwrażliwą Madelyn i skłaniał Vance'a do większego wysiłku, rzucając mu wyzwania. Wkradł się jakoś w

łaski kamerzystów, przekomarzał się z nimi i przechwalał z takim wdziękiem, że często pozwalali mu stanąć za

kamerą. Został nawet kumplem Ofelii; pili razem piwo i opowiadali sobie dowcipy, które, sądząc po jej

ochryłym śmiechu, były zdecydowanie swawolne, jeżeli nie sprośne. W godzinach wolnych od pracy często

można go było zobaczyć pijącego kawę z leśniczym i miejscowymi policjantami, którzy patrolowali autostrady i

drogi wodne na bagnach i traktowali klub jachtowy jako nieoficjalne miejsce wypoczynku.

Trzeciego dnia, po zapadnięciu zmroku, Vance wszedł do biura Julie najwyraźniej tylko po to, żeby

porozmawiać o konsultancie. Rzucając się na krzesło stojące naprzeciwko niej, powiedział bez wstępów:

- Co się dzieje z tobą i Tabarym? Jesteście dla siebie tacy grzeczni, że aż zęby bolą. A poza tym widziałem

przed chwilą, jak on wchodził do tego burdelu na kółkach, który zajmuje Ofelia. Szedł tam z zapalem.

- Pilnuj swoich spraw, Vance - odpowiedziała Julie chłodno.

- A więc to tak. Nie byłem pewien, czy jest w tym coś ciekawego, ale teraz naprawdę płonę z ciekawości. Co

się stało? Kłótnia kochanków? Czy też doszłaś do wniosku, że nie warto ryzykować, bo ten romans może

doprowadzić do tego, że skończy się twój doskonały układ z Allenem?

Julie spojrzała mu ostro w oczy.

- Co cię to obchodzi? - spytała.

- A dlaczego nie miałoby mnie to obchodzić? - obruszył się. - Ty, taka chłodna, niedotykalna pani reżyser, i

co? Mnie odpychasz, poklepując po ramieniu, a tracisz głowę dla jakiegoś dzikusa z bagien.

- Nie straciłam głowy.

- Takie rzeczy to możesz wmawiać komu innemu, ale nie mnie.

- Bez wątpienia. Ale co ty chciałeś zyskać? Chciałeś zwrócić na siebie uwagę idąc ze mną do łóżka? Chciałeś

mieć satysfakcję widząc nasze nazwiska wydrukowane obok siebie w jakichś brukowcach? Dziękuję ci bardzo.

Mam dla ciebie radę, Vance. Jeżeli chcesz zrobić wrażenie na kobiecie, a zwłaszcza na kobiecie reżyserze, to

musisz okazać trochę szczerego uczucia.

Vance siedział przez chwilę, przyglądając się Julie, a potem sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął z niej

coś brązowego, co wyglądało jak brudna lina. Włożył to coś do ust, odgryzł kawałek i zaczął żuć.

- Ty żujesz tytoń?

Mruknął coś, co wyglądało na "tak", przesuając żuty kawałek językiem.

- Dał mi to jeden z miejscowych. To się nazywa perique. Jest to. czysty tytoń indiański, uprawiany tylko w

tych stronach przez kilka starych rodzin. Jest świetny, ale nie jest narkotykiem.

- Właśnie się zastanawiałam, czy to nie narkotyk.

- Nie. Ale twarde narkotyki też można oczywiście zdobyć.

- Oczywiście - powtórzyła Julie drętwym głosem.

Popatrzył na nią chwilę, a potem powiedział:

- Wiesz, Julie, kiedy ci na tym zależy, robi się z ciebie straszna cholera.

- To nic nowego - odpowiedziała, nie chwytając przynęty.

- Dla mnie to coś nowego. Ja uważałem cię za słodką dziewczynę, za kociątko, mimo że zawsze zbyt

przejmowałaś się pracą. Annette usiłowała mnie przekonać, że wcale taka nie jesteś, ale ja myślałem, że ona

tylko tak gada.

- Kociątkiem na pewno nie jestem - powiedziała Julie gniewnie.

- To prawda. Potrafisz człowiekowi zrujnować karierę bez mrugnięcia okiem. Może powinienem zacząć się

bać.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Ależ masz, masz. Czterema krótkimi słowami odebrałaś Annette Davett szansę na coś wielkiego. Annette

opowiedziała mi, jak to było. Miała próbę głosu, bo chciała grać dużą rolę w jednym z filmów Bulla. Ty się tam

kręciłaś, czekałaś na kochanego tatusia. Chciałaś, żeby się pospieszył, więc kiedy cię zapytał, co myślisz o

Annette, powiedziałaś: "Jej głos jest śmieszny".

Julie szukała w pamięci tego wydarzenia, ale bez skutku. To nie miało wielkiego znaczenia, była tego pewna. Bull często pytał ją o zdanie. Nie doceniał inteligencji kobiet, ale święcie wierzył w ich intuicję.

- To musiało być wiele lat temu - powiedziała wreszcie.

- O tak, rzeczywiście. Byłaś wtedy nastolatką. Nie pamiętasz tego, prawda? Tym gorzej dla ciebie.

- Bo to oznacza, że tak mało mnie to obchodzi, że nawet nie byłam łaskawa tego zapamiętać, tak? Nigdy nie

miałam zamiaru zniszczyć czyjś życie. Jeżeli tak się stało, to przykro mi. Nie zrobiłam tego złośliwie.

Prawda jest taka, że głos Annette stanowił i nadal stanowi problem. Dlaczego nad nim nie pracowała, nie

obniżyła go, nie wzmocniła?

Vance wzruszył ramionami okrytymi luźną bawełnianą koszulą. - Skąd mam to wiedzieć? Pewnie dlatego, że łatwiej było zwalić winę na ciebie.

- Nie rozumiem też, dlaczego Annette pozwoliła córce grać w moim filmie? Skoro mnie tak nie lubi, nie

powinna na to pozwolić.

- To mogę ci wyjaśnić. Uważa, że jesteś jej coś winna. I uważa, że będzie w porządku, jeżeli odbierze, co się

jej należy, za pośrednictwem Summer.

- A wydawało mi się, że ona jest taka dumna.

- Aktorzy nie mają dumy - powiedział, a błękit jego oczu, wzmocniony soczewkami kontaktowymi, pociemniał w błysku pełnej obrzydzenia samowiedzy. - Zamiast dumy mają ego. Pozbawione poczucia

bezpieczeństwa, destrukcyjne ego, które nie toleruje doznanych krzywd.

Dotarł do nich jakiś dźwięk: Ktoś otworzył drzwi przyczepy, w pokoju sekretarki rozległy się kroki. Biurko Julie

stało tak, że nie sięgała wzrokiem do sąsiedniego pomieszczenia, ale Vance, siedzący naprzeciwko,

widział, co

tam się dzieje. Julie rozpoznała kroki. W tej samej chwili Vance skoczył na równe nogi i obszedł biurko

dookoła. Zanim Julie zdążyła się odsunąć, pochylił się nad nią, wziął jej brodę w dłonie i przycisnął wargi do jej

ust.

Pocałunek był krótki, suchy, prawie obojętny. W chwilę później aktor wyprostował się.

- Ostrzegałem cię - powiedział zduszonym głosem.

Potem cofnął się i odwracając się do drzwi posłał stojącemu w nich mężczyźnie triumfalny uśmiech.

Minał go, a następnie przeszedł przez pokój sekretarki i wyszedł z przyczepy.

- Mogę przyjść później - powiedział Rey obojętnym tonem jeżeli przyszedłem nie w porę.

Julie odetchnęła głęboko. Podniosła rękę do ust, jak gdyby chcąc je wytrzeć, a potem opuściła ją i powiedziała zdławionym głosem:

- Przychodzisz w porę. To, co widziałeś, to był akt małodusznej zemsty. Było to przeznaczone dla twoich

oczu i miało mnie zawstydzić. Im mniej się temu poświęci uwagi, tym lepiej.

- Ja miałbym ochotę poświęcić mu sporo uwagi - powiedział ponuro Rey,

- W jakim celu? To by go tylko przekonało, że ci dopiekl.

- Chciałbym mu poświęcić sporo uwagi po to, żeby to się nie powtórzyło.

- Myślę, że mogę to zagwarantować.

- Możesz? A co zrobisz? Zagroźysz, że go zwolnisz z pracy? I ty wiesz, i on wie, że w tej fazie zastąpienie go

kimś innym kosztowałoby zbyt wiele.

- Mogę tak zmontować jego sceny, że film będzie należał do Summer. Ona i tak prawie już mu go odebrała,

więc nie byłoby to takie trudne.

Rey patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem roześmiał się. - Złośliwa z ciebie szefowa.

Przypomnij

mi, żebym ci się nie naraził.

Ta uwaga, w zestawieniu z oskarżeniami Vance'a, dotknęła ją w czułe miejsce.

- Nie omieszkam - powiedziała, prostując się na krześle. - No, a teraz powiedz mi: potrzebujesz ode mnie

czegoś?

W jego oczach zamigotały iskierki rozbawienia. Atmosfera w biurze stała się napięta. Julie poczuła, że

policzki zalewa fala gorąca. Zdała sobie bowiem sprawę, że znowu powiedziała -coś, co mogło wywołać

dwuznaczną uwagę. To, że Rey jej nie zrobił, podkreślało tylko jej omyłkę - Freudowską czy jakąś inną.

Zanim zdążyła to odkręcić, on odchrząknął.

- Tak naprawdę chodzi o coś, czego ty potrzebujesz. - To znaczy?

Julie wkładała dużo wysiłku, by jej głos był spokojny.

- Chodzi o to, żeby skończyć tę scenę z numerem kaskaderskim, którą odłożyłaś na później. Wspomniałem o

niej Ofelii, a ona uważa, że ty jesteś już w stanie się do niej zabrać. Chciałem, żebyś wiedziała, że ja będę gotów

ją zagrać, kiedy ty będziesz gotowa.

Julie dobrze wiedziała, że nigdy nie będzie do tego gotowa. Ale scenę trzeba było sfilmować.

- Dobrze - powiedziała, przestając zaciskać zęby. - Może jutro po południu?

- Świetnie - odrzekł.

- Świetnie - powtórzyła jak echo, unikając jednak jego wzroku.

- Słuchaj, Stan.

Julie stała na pływającej platformie, czekając. Czekając, aż główny operator przygotuje sprzęt, aż łodzie

zostaną sprawdzone i ustawione w odpowiednim miejscu, a słońce znajdzie się we właściwym

położeniu. Nie

mieli zamiaru kręcić całej sceny pogoni od początku. Mieli się posłużyć materiałem już nakręconym z udziałem

Paula - tą częścią sceny, która rozgrywała się na kanale i w niższych partiach Blind River, zanim łodzie znalazły

się na otwartej przestrzeni. Oznaczało to, że pogoda, pora dnia, kąt padania promieni 'słonecznych i zewnętrzny

wygląd łodzi muszą być dokładnie takie same jak w partiach już nakręconych. Wszystko to wymagało czasu i

wysiłku.

Szybka motorówka została zreperowana i odmalowana; wyglądała jak nowa. Skif obejrzano szczególnie

dokładnie, gdyż był to inny skif niż poprzednio, ten poprzedni był bowiem za bardzo zniszczony i nie dało się go

uratować. Dołożono wszelkich starań, by znaleźć nowy - ten sam model i w podobnym stanie. Trzeba było

jednak przemalować pas biegnący wzdłuż jego burty, a potem pobielić go w celu otrzymania tego samego

wypłowień od słońca koloru. Ponadto w pewnych miejscach należało zrobić wgłębienia, a także sporządzić

nowy napis z czarnych .liter i w odpowiednich miejscach je zdrapać.

Usłyszawszy głos Julie Stan, który rozmawiał właśnie z młodą sekretarką planu czuwającą nad realizacją

scenariusza i mającą za zadanie dopilnować, by akcja była płynna i wszystko szło według harmonogramu,

odwrócił się i pokuśtykał do Julie. Zaniepokojony rozłożył szeroko ramiona i zapytał:

- Co takiego?

- Nie panikuj, nie znalazłam żadnej nowej usterki - powiedziała Julie. - Zastanawiałam się tylko. Czy nie

sądzisz, że próbuję przedobrzyć, kręcąc tę scenę? Że chcę, by była zbyt realistyczna? Zbyt dosłowna?

- Denerwujesz się, co?

- Można tak powiedzieć.

- Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

- Przedtem też tak mówiłeś.

Stan odchrząknął.

- No tak, wtedy też wszystko powinno być dobrze. Ale tym razem tam jest Tabary. Może w tej

ciemnobrązowej peruce nie wygląda tak atrakcyjnie jak zwykle, ale jest jedynym człowiekiem

potrafiącym

zapanować nad skifem.

Julie uśmiechnęła się, przypominając sobie, z jakim obrzydzeniem skrzywił się Rey, kiedy mu

wręczono

perukę przypominającą kolorem włosy Vance'a. Jednak jej wesołość nie trwała długo. - Ja pytam

poważnie;

Stan. Czy żądam zbyt wiele?

- Powiem ci coś, dziewczyno. Jeżeli wciąż jesteś w stanie zastanawiać się nad tym, to nie, nie żądasz

zbyt

wiele. Reżyser staje się niebezpieczny dopiero wtedy, gdy przestaje się zastanawiać, a zaczyna

myśleć, że to, co

sobie wykoncypował, musi być zrobione.

Julie kiwnęła powoli głową.

- Dzięki, Stan.

- Nie ma za co - odpowiedział, a potem odwrócił się i zaczął krzyczeć na pomocnika elektryka, który

dopuścił

do tego, że kabel wisiał zanurzony w wodzie.

Julie była zdenerwowana nie tylko z powodu niebezpiecznej sceny. Była też zdenerwowana tym, że

w

pobliżu miejsca, gdzie mieli kręcić, po rzece pływały powoli łodzie rybackie nie mające nic

wspólnego z

filmem. Było ich z tuzin. Łodzie te krążyły bardzo blisko nich. Znajdowali ,się w nich mężczyźni i chłopcy, a

także kilka dziewcząt. Słyszeli, że filmowcy będą kręcili scenę z udziałem kaskadera, i chcieli ją zobaczyć.

Filmowcy mieli prawo kontrolować, kto wchodzi na ich teren, mieli prawo nie wpuszczać nieproszonych gości i

ciekawskich, a także ludzi, którzy mogliby przywłaszczyć sobie na pamiątkę rekwizyty i majstrować przy

urządzeniach. Nie mieli jednak prawa kontrolować rzeki. Pocieszające było to, że w pobliżu, na pontonie,

znajdował się policjant odkomenderowany do pilnowania, żeby gapie nie wchodzili na teren, gdzie miał być

kręcony film. Gapie trzymali się przeważnie z daleka, jednak rozpraszaali uwagę ekipy i mogli stanowić

zagrożenie. Zagrożeniem takim mógł być każdy z nich, każdy, kto po rozpoczęciu zdjęć znalazłby się na drodze

szybko płynącej łodzi.

Drugim czynnikiem rozpraszającym uwagę była obecność na platformie wdowy po Paulu Lislecie.

Donna Lislet ubrana była w szarą sukienkę, włosy miała spięte z tyłu prostą, metalową kłamrą, a twarz bladą.

Oczywiste było, że jest zdenerwowana, ale postanowiła tu zostać aż do chwili, gdy kamery przestaną pracować.

Zjawiała się też Madelyn. Jak zwykle rzucała się w oczy. Miała na sobie kreację od ekskluzywnego krawca -

żółte spodnie i koszulową bluzkę, żółte sandały na trzycalowych obcasach i okulary słoneczne w żółtej oprawce.

Summer i jej matka również się pokazały. Wyglądało na to, że Rey ma własną klakę. Julie miała nadzieję, że

wszystko pójdzie tak, że klakierom nie zabraknie powodów do oklasków i wiwatów.

Ciotki Tine nie było. Powiedziała, że nie mogłaby na to patrzeć po raz drugi. Miała zamiar czekać w

domu na wiadomość, że wszystko poszło dobrze.

Ciotka Tine miała rację, pomyślała Julie. Przyszło jej do głowy, że i ona wolałaby trzymać się z daleka,

aż do chwili kiedy będzie po wszystkim. Musiała jednak być na miejscu, a będąc tu miała ochotę przepędzić

wszystkich tych, którzy nie mieli określonych zadań do wykonania.

Prześladowała ją myśl, że ci ludzie, interesujący się tak bardzo skifem i szybką motorówką, mają w sobie

coś z wampirów. Podobnie jak w widzach oglądających walki gladiatorów w starożytnym Rzymie i jak w tych,

co obecnie oglądają wyścigi samochodowe oraz starty i lądowania wahadłowca kosmicznego, była w nich jakaś

pierwotna potrzeba przyglądania się, jak ludzie podejmują ryzyko utraty zdrowia lub życia. Świadomość, że ona,

filmując takie sceny, zaspokaja tę potrzebę, nie poprawiała bynajmniej jej samopoczucia.

Właściwie wolałaby odwołać te zdjęcia. Ale nie mogła tego zrobić. Wszystko zostało przygotowane,

ekipa i technicy byli na miejscu, a pieniądze zostały wydane. Zresztą pieniądze nadal płynęły w szybkim tempie

kilku tysięcy dolarów na godzinę. Nagłe odłożenie zdjęć na później wywołałoby komentarze, mówiono by, że

Julie kieruje się kobiecym kaprysem albo sentymentami, co zniweczyłoby jej szanse zdobycia renomy

wybitnego reżysera. Z drugiej jednak strony, jakie to miało znaczenie w porównaniu z ludzkim życiem?

Donna Lislet stała sama i z zatroskaną miną obserwowała przygotowania na wodzie. Madelyn i inni nie

zwracali na nią uwagi. Od chwili kiedy Rey zostawił ją na platformie, nikt nie odezwał się do niej słowem. Julie

była zaniepokojona faktem, że młoda wdowa jest tak wyizolowana. Wciąż czuła się odpowiedzialna za śmierć

męża Donny. Podeszła powoli do młodej wdowy.

- Przychodząc tutaj dzisiaj wykazała pani dużą odwagę - powiedziała przywitawszy się z nią.

- To nie odwaga - odrzekła Donna. - To chyba coś w rodzaju egzorcyzmów. Miałam takie koszmarne sny, że

pomyślałam ... nie wiem, czy pani mnie zrozumie, ale wydawało mi się, że ... kiedy zobaczę, jak Rey wykonuje

ten numer bezbłędnie, tamten obraz zostanie

Wdowa szukała odpowiednich słów. Julie próbowała jej pomóc.

- Rozumiem, co pani ma na myśli.- powiedziała. - Każdy z nas radzi sobie z takimi rzeczami na swój sposób.

- Chciałam pani podziękować za to, że dała mi pani możliwość pracy przy filmie. Nie ma pani pojęcia, jak

jestem tym zachwycona. Nie mogę się doczekać ...

Julie odpowiedziała uprzejmie, a potem opisała dokładnie sceny, w których Donna miała grać. Donna

wtrącała swoje komentarze, które dowodziły, że jest kobietą zrównoważoną i dość inteligentną. Cechowała ją

jednak pewna sztywność wskazująca na to, że być może nie ufa Julie do końca i że nie jest w jej obecności sobą.

A może Donna po prostu uważała Julie za osobę winną śmierci męża? Podczas całej rozmowy jej uwaga była

podzielona pomiędzy to, co mówi Julie, a to, co robi Rey w skifie na wodzie. Skupiała się całkowicie na

konwersacji tylko wtedy, kiedy była mowa o tych scenach, w których miała grać. W końcu Julie została

wyzwolona z tej niezręcznej sytuacji przez sygnał oznajmujący, że wszystko gotowe. Uśmiechnąwszy się i

wypowiedziawszy kilka słów pocieszenia, odeszła na swoje stanowisko.

Padła komenda. Uruchomiono kamery. Wzdłuż rzeki przyplłynął skif. Wypadł pędem z ciemnego tunelu

między drzewami na otwartą przestrzeń. Tuż za nim pędziła szybka motorówka, za którą posuwała się

łódź z

kabiną. Na tej ostatniej znajdowali się operator kamery i Stan. Wszystkie trzy łodzie pozostawiły za sobą na

wodzie spienione bruzdy.

Podobnie jak poprzednio, z motorówki padły strzały oddane z pistoletu maszynowego przez jednego z mężczyzn w ciemnych kostiumach. Na lewo od skifu pojawiły się liczne fontanny - były to efekty specjalne,

doskonale zgrane w czasie z ruchem mniejszej łodzi. Ułamek sekundy wcześniej skif zakołysał się biorąc zakręt

i - tańcząc na własnej bruzdzie wodnej i na bruzdzie motorówki - przemknął między motorówką a łodzią z

kabiną. Następnie, z Reyem u steru, przeleciał z łoskotem w stronę cyprysów i błyskawicznie się przez nie

przedarł.

Nie trzeba było wydawać instrukcji, nie było potrzeby wykrzykiwania komend. Zadanie zostało wykonane perfekcyjnie, wszystkie ruchy były doskonale zsynchronizowane. Julie stała oniemiała z zapomnianym walkie - talkie w dłoni i patrzyła na to, co się dzieje.

Kiedy oglądała Paula Lisietę, wydawało jej się, że płynie on bardzo szybko. Teraz jednak okazało się, że

Rey tak błyskawicznie przelatuje po wodzie, iż kamera nie może za nim nadążyć. Jego łódź, posuwająca się

zawrotnej szybkości ślizgiem, znalazła się w trzech czwartych nad wodą. Wydawało się, że lada chwila

poderwie się do lotu. Rey brał zakręty ostrzej niż jego przyjaciel, lepiej też panował nad łodzią. Przelatywał

między cyprysami wśród plam słońca i cienia, tworzących wzór, który poprzednio tak zachwycił Julie.

Tymczasem robiło jej się słabo na myśl, że Rey znajduje się tak blisko sterczących pni i kikutów oraz pełnych

wypukłości, błyszczących korzeni cyprysów.

Kiedy tak stała zapatrzona, usłyszała za sobą jęk i zduszony szept Donny Lislet:

- Boże, o Boże kochany.

Madelyn rozchyliła usta i dyszała podniecona, obserwując Reya z zachwytem. Annette Davett patrzyła

oszołomiona i przerażona. Obejmowała ramionami córkę, która stała przygryzając wargę, z bladą twarzą i

nienaturalnie czerwonymi oczami.

Julie nie była w stanie zajmować się reakcjami tych kobiet.

W gardle ją ścisnęło, nie mogła zaczerpnąć powietrza. Serce tłukło jej się o żebra, a puls dzwijał w

uszach jak następujące po sobie grzmoty. Było jej niedobrze. Czowała, że zalewa ją zimny pot. W jej umyśle

pojawiło się pragnienie przerwania tej męki. Uświadomiła sobie, że chce zatrzymać łodzie, nie dopuścić do tego,

by scena rozwinęła się i osiągnęła przerażający finał. Słowo, które mogło to sprawić, czaiło się w jej myślach -

rozpalone do białości i narzucające się, by go użyć. Słyszała jego dźwięk w głowie, wyczuwała jego ostre tony,

ważyła jego siłę.

I nie mogła go wypowiedzieć. Strach czynił ją niemą. Była niema, gdyż bała się, że najdrobniejszy nawet

dźwięk mógłby spowodować chwilową nieuwagę, pociągając za sobą katastrofę. Jej milczenie spowodowane

było również szacunkiem dla profesjonalizmu i precyzji, których niezwykły pokaz miała przed oczami.

Wiedziała, że Rey studiował tę scenę ze Stanem, że dokładnie omawiali poszczególne ruchy łodzi, nie

miała jednak pojęcia, z jaką precyzją opracowali choreografię tych ruchów, rozplanowali poszczególne

działania, z jaką dokładnością wplekli łodzie i pozostawiane przez nie bruzdy wodne w zawiły, piękny w swojej

dynamice i ekscytujący wzór.

Padły kolejne strzały. Nastąpiło desperackie przyspieszenie.

Łodzie zaczęły zakreślać mniejsze kręgi, a potem popędziły w stronę cyprysów skracając w kierunku na

wpół zatopionego pnia, który miał się stać katapultującą rampą.

Jak drzewce ogromnej strzały podążające za swoim grotem skif popędził naprzód, unosząc się prawie

nad wodą. Ktoś stojący za Julie zaklął z zachwytem. Kran zaskrzypiał, kiedy główna kamera przekręciła się

szybko, podążając za łodzią, błyskawicznie posuwającą się wśród drzew. Serce Julie biło jak oszalałe. Usta

miała rozchylone, ale nie wypowiedziała ani słowa.

Skif leciał coraz szybciej i szybciej, zbliżając się do ogromnego pniaka tkwiącego w wodzie, pokrytego -

ciemnym, opalizującym szlamem, zmurszałego i od lat obmywanego poruszaną przez łodzie wodą. Przepustnica

była szeroko otwarta, silnik pracował na najwyższych obrotach, woda kotłowała się, a Rey trzymał ster żelazną

ręką.

Aluminiowy skif uderzył w pień, rozległ się metaliczny dźwięk, jaki wydaje blacha szarpana przez

tornado. Skif został wyrzucony w górę. Szybował teraz w powietrzu. Jego silnik zawył nagle, pracując na

przyspieszonych obrotach, a śruba napędowa zawirowała. Zakreślając zdecydowaną parabolę, ominął korzenie

cyprysa i ślizgając się, z pluskiem opadł na otwartą przestrzeń wodną. Szybko poruszając rufą na boki jak rybim

ogonem, popłynął naprzód przez wyrzuconą przez siebie spienioną fontannę i pozbywszy się pogoni, udał- się w

górze rzeki.

Kiedy kamery filmowały ścigającą go motorówkę w momencie, gdy ta odbiła się od pnia, oraz reakcję

sfrustrowanych opryszków, na planie panowała cisza. A potem rozległy się wiwaty, krzyki, wrzaski i aprobujące

gwizdy. Niosły się ponad wodą, gdy Rey zwolnił i popłynął do platformy.

Julie klaskała razem z innymi. A jednak kiedy zobaczyła, jak Rey wstaje w wolno płynącej łodzi,

zdejmuje perukę i potrząsa głową, chcąc doprowadzić do porządku swoje włosy, kiedy patrzyła, jak zgrywa się

przed tłumem gapiów znajdujących się na łodziach w pobliżu platformy i przed tymi, którzy stoją na platformie,

pokazując zęby w uśmiechu i machając ręką, poczuła, że wzbiera w niej wściekłość.

Była wściekła na Reya za to, że w taki sposób narażał swoje życie, za to, że opracował scenę ze Stanem,

nie konsultując się z nią, i za to, że tak rozbrajająco niedbale, prawie nieśmiało, uśmiecha się do kobiet, które

zebrały się, by go zobaczyć. Była na niego wściekła za to, że w jego wykonaniu wszystko wydawało się takie

łatwe, podczas gdy ona tak się denerwowała.

A nade wszystko była na niego wściekła za to, że z jego powodu czuła tak wielki strach.

W niedzielę Julie zrobiła przerwę. Wielu reżyserów pracowało w weekendy. Ona też czasami to robiła,

ale ten tydzień był wyjątkowo ciężki dla wszystkich; kilka razy kręcili w nocy, potrzebowali więc czasu na

odpoczynek i odzyskanie sił. A poza tym ciotka Tine robiła aluzje, że powinna pójść z nią na mszę i Julie nie

chciała sprawić jej zawodu.

Poszli we trójkę, razem z Reyem, na mszę przedpołudniową, a potem wrócili na lunch. Jedli gęstą zupę

ze strączkami okry, sałatkę kartoflaną i francuskie pieczywo, jeszcze ciepłe, prosto z piekarni. Po lunchu ciotka

poszła się zdrzemnąć, a Julie i Rey zostali, żeby posprzątać kuchnię. W kilka sekund po odejściu ciotki usłyszeli

człapanie domowych pantofli, które włożyła po zdjęciu niedzielnych butów na obcasach.

- Zapomniałam pani powiedzieć, Julie - powiedziała, wsuwając głowę przez drzwi. - Jest pani zaproszona na

wesele. W piątek moja cioteczna wnuczka, kuzynka Reya, córka trzeciego dziecka najstarszej siostry mego

męża, wychodzi za mąż. Ślub będzie u Świętego Józefa. To będzie ślub i wesele nie lada, bo ona złapała lekarza

i jej matka chce pokazać jego rodzicom, że nie jest od nich gorsza.

Julie uśmiechnęła się, słysząc kpiący ton starszej kobiety. - Wygląda na to, że nie można ominąć takiej

okazji.

- Rzeczywiście. Podadzą jambalayę, a wino będzie tryskało z fontanny. Czegóż chcieć więcej? Będzie też

taniec z pieniędzmi, podczas którego mężczyźni przypinają banknoty do sukni i welonu panny młodej. Kto wie -

zakończyła ciotka mrugając - może nabierze pani ochoty na to, żeby pokazać w filmie wesele

Cajunów. To by

było coś.

Julie roześmiała się i wyraziła przypuszczenie, że może tak będzie, chociaż pomyślała, że słabe są na to

widoki. Kiedy ciotka Tine wyszła, wytarła ostatnią szafkę i wypłukała zlewozmywak. Rey tymczasem zaniósł

resztki jedzenia kurom i pawiom. Julie rozejrzała się po kuchni, chcąc się przekonać, czy wszystko jest już

zrobione, po czym wyszła do jadalni.

Rey, wracając do domu, puścił drzwi z siatki drucianej, które trzasnęły głośno i odezwał się:

- Zastanawiałem się nad zakończeniem tej sceny, którą kręciliśmy wczoraj.

Julie milczała przez chwilę, po czym powiedziała:

- Tak?

- Według scenariusza Jean-Pierre po wyminięciu korzeni cyprysów i zgubieniu pogoni znika w jakiejś

odnodze. Ta ostatnia część, pokazująca jego zniknięcie, nie została jeszcze sfilmowana. Czy mam rację?

Julie dwoma palcami potarła sobie zmarszczkę między brwiami.

- Właściwie to częściowo została. Sfilmowaliśmy ją z udziałem Vance'a tego dnia, kiedy był wypadek. Jean-

Pierre wpływa w odnogę, wyłącza silnik i czeka, aż jego prześladowcy miną odnogę. Ale po tym, co powiedziałeś o bąbelkach w bruździe wodnej za łodzią, bąbelkach, które go zdradzą, nie jestem pewna, czy ta

scena jest dobra.

- Znam wspaniałe miejsce. Gdybyś zechciała je zobaczyć, można by tam sfilmować tę sztuczkę z dwiema

odnogami.

- Chciałbyś, żebym je zobaczyła dzisiaj? - zapytała Julie. Marzyła o popołudniowej drzemce, która

pozwoiłaby jej trochę nadrobić zaległości w śnie.

- To nie zajmie dużo czasu. Jeżeli chcesz, mogę ci to miejsce pokazać z powietrza, a nie z łodzi. - Nie. To

zbyt kłopotliwe.

Julie zapomniała, że Rey podobno ma własny samolot.

- To żaden kłopot. I tak muszę sprawdzić samolot i polatać nim trochę. Już zbyt długo nie był w powietrzu.

- Ale w tym celu musiałbyś pojechać, do Nowego Orleanu, prawda?

- Jazda zajmie tylko czterdzieści pięć minut, a może i mniej, bo jest niedziela. Trudno było walczyć z poczuciem obowiązku, zwłaszcza że z każdym dniem zbliżał się termin zakończenia prac nad filmem. - To, że z

tobą pojedę - odezwała się - nie oznacza, że zgodzę się na twój wybór miejsca.

- Wiem - powiedział z poważną miną i błyskiem wesołości w oku. - To tylko propozycja.

Była pewna, że ta propozycja jest dobra. Rey instynktownie wyczuwał, jakich miejsc Julię szuka do tego

filmu. Było więc bardzo prawdopodobne, że propozycja zostanie przez nią przyjęta. Przypomniały jej się

pretensje Stana, który miał jej za złe, że pozwala Reyowi rządzić na planie, i zastanowiła się, co Stan i inni

powiedzieliby, gdyby się dowiedzieli, że Rey miał wpływ na jej decyzję dotyczącą tej sceny. Oczywiście

potrafiłaby zignorować ich uwagi. Jednak przy odrobinie szczęścia oni się o tym nie dowiedzą.

- Czy mógłbyś poczekać, aż się przebiorę? - zapytała.

Miała na sobie to, w czym była w kościele - prostą szmizjerkę z kremowego jedwabiu z szerokim brązowoszarym paskiem. Ponieważ Rey był wciąż ubrany w spodnie od garnituru i jasnoniebieską, rozpiętą pod

szyją koszulę z zawiniętymi rękawami, Julie spodziewała się, że i on włoży coś mniej eleganckiego.

- Nie zawracaj sobie tym głowy - odparł. - Nigdy nie wiadomo, co będziemy chcieli zrobić potem.

- Ja wiem. Wracam i kładę się spać!

- Szkoda na to takiej pięknej pogody. Ale, oczywiście, będzie, jak zechcesz.

Popołudnie rzeczywiście było piękne. Lagodne babie lato trwało nadal, dni były tak ciepłe, że człowiek

wiedział, iż jest na południu, a równocześnie tak chłodne, że się nie męczył. Wilgotność, która w tych stronach

osiągała czasami przez kilka dni dziewięćdziesiąt procent, oscylowała teraz w okolicy pięćdziesięciu. Liście

sfruwały miękko z drzew, nie ponaglone przez wiatr. Leżały rozrzucone na szosie i podrywały się

brązowożółtym tumanem, kiedy przejeżdżali. dżipem. Rzadko które były pomarańczowe lub czerwone. Poza

liśćmi sumaku, sumaku jadowitego i z rzadka rosnących styrakowców, liście roślin tej subtropikalnej strefy

miały kolory zgaszone. Jesień nie była tutaj ostatnim wybuchem jaskrawości, lecz raczej stopniowo narastającą

sennością poprzedzającą krótką zimową drzemkę.

Chodzą ci po głowie drzemki, pomyślała Julie ironicznie, broniąc się przed sennością przeskakiwaniem z

tematu na temat.

Samolot, Cessna 310, czekał na nich w pełnej gotowości. Rey zatelefonował zawczasu i zawiadomił

mechaników w hangarze, że przyjeżdża. Teraz on i Julie siedzieli w samolocie stojącym jeszcze na ziemi.

Słońce świeciło przez przednią szybę, a temperatura wewnątrz podnosiła się o dziesięć stopni na minutę. Rey

sprawdzał listę kontrolną. W końcu odłożył spis i zwiększył obroty silnika, który pracował z głośnym rykiem.

Zmierzali do pasa startowego. Przejeżdżali bardzo blisko ogromnych samolotów, przy których Cessna wyglądała

jak zabawka. Julie na ich widok ogarniało przerażenie. Wkrótce unosili się w powietrzu.

Przechylając się na bok skręcili i znaleźli się nad jeziorem Pontchartrain, przelecieli nad długą groblą,

która przecinała je na pół, ponad przepustem w Bonne Carre i ponad bagnami graniczącymi z lotniskiem

znajdującym się w pobliżu Nowego Orleanu. Julie widziała szosę 1-10 ciągnącą się pod nimi, a także samochody pełzające nią jak owady. W chwilę później ślizgali się niżej, zakreślając ogromne koło ponad

zakrętami Missisipi, ponad miasteczkami i zakładami chemicznymi, a także starymi domami plantatorów,

nanizanymi na rzekę jak talizmany na bransoletkę. Przelecieli nad Sunshine Bridge - nad pomnikiem

wystawionym byłemu gubernatorowi, Jimmiemu Davisowi, a także chwalebny czasom współczesnej Luizjany,

w których zdawało się, że pieniądze z nafty są wszechmocne, tak wszechmocne, że mogą przemienić bagno w

złoto.

Teren, na którym kręcili film, mignął Julie przed oczami tak szybko, że nie była pewna, czy go naprawdę

widziała. Następnie polecili wzdłuż krętej Blind River, schodząc na wysokość, z jakiej widoczne były

obozowiska i łodzie mieszkalne, których pełno było w górnym biegu rzeki, a także kanały i odnogi do niej

wpadające. Bujali nad tym terenem, ścigając własny cień na bagnach, wypłaszając spomiędzy cyprysów

ogromne, białe ptaki błotne i zmuszając je do szybkiego, pełnego trzepotów, srebrnopiórego lotu. Dolecieli do

końca rzeki i przyłączając się do stad mew poderwali się ostro w górę nad jeziorem Maurepas, którego brzegi

porośnięte były drzewami. A następnie zawrócili, mrużąc oczy, i polecili prosto w słońce.

Julie była zadowolona, że dała się namówić na tę wycieczkę.

Ten lot działał na nią rozweselająco. Przyglądając się uciekającej. spod samolotu ziemi, była w

stanie o

wiele lepiej niż przedtem uświadomić sobie, jak wyglądają bagna i w jakiej relacji pozostaje ta ich część, w

której ona kręci film, do Missisipi i dwóch dużych jezior. Klimatyzacja w samolocie działała dobrze, więc

dokuczało jej tylko jaskrawe światło słońca lśniące na nosie samolotu i przedniej szybie. Wnętrze kabiny pilota

pachniało skórą i olejem, a także tchnącym świeżością płynem po goleniu. Rey uparł się, żeby Julie usiadła w

fotelu drugiego pilota, chociaż w kabinie za nimi były inne miejsca.

- Stąd jest lepszy widok - powiedział. I bez wątpienia miał rację.

Julie w zasadzie nie czuła lęku przed lataniem, ale jej dotychczasowe doświadczenia ograniczały się do

samolotów linii lotniczych, a także, z rzadka, do samolotów należących do różnych wielkich firm. Bała się

trochę lecieć z Reym, gdyż to, że ktoś jest właścicielem samolotu, nie oznacza, że jest dobrym pilotem. Jej

obawy okazały się bezpodstawne. Rey obchodził się z samolotem tak samo sprawnie jak z łodzią. Jego ręce

pewnie trzymały drążki sterownicze; był skupiony i równocześnie odprężony. Pochylając się w przód i

obserwując bagna, jakby nie pamiętał, że obok siedzi Julie.

- Z góry to wygląda jak jakiś starodawny Eden - powiedziała Julie. - Taki, co ciągnie się w nieskończoność,

poza horyzont.

- Jest to jeden z ostatnich nietkniętych ekosystemów w tym kraju. Są tu wydry, a one nie tolerują

zanieczyszczonego środowiska. przez te tereny przelatują ptaki wędrowne. Miliony kaczek i gęsi zbierają się tu

jesienią i zimą. Ale to się zmienia. Zmieniało się stopniowo w ciągu dziesięcioleci. Teraz jest sporo

zanieczyszczeń chemicznych, pochodzących zarówno ze źródeł przemysłowych, jak i z rolnictwa. A poza tym

wkraczają przedsiębiorcy budowlani, którzy z każdym miesiącem posuwają się dalej, osuszając po paręset

akrów. Mokradła znikają, wysychają.

- Ale na pewno ktoś w tej sprawie coś robi.

- Są tacy, którzy próbują. Ruch ochrony przyrody, organizacje obywatelskie, a także wielu stanowych senatorów i kongresmanów. Ale to droga pod górkę.

- Może nasz Jean-Pierre mógłby powiedzieć o tym parę słów z ekranu. Chyba jest to zagadnienie, które

mogłoby go zainteresować.

Uśmiech, z którym się do niej zwrócił po tych słowach, wyrażał ożywienie, zaskoczenie i coś jeszcze, co

kazało mu zatrzymać wzrok na jej twarzy.

- To świetny pomysł. Byłoby wspaniale, naprawdę! - Odwrócił się z wyraźnym ociąganiem. A po chwili

dodał: - Tam jest to miejsce, o którym ci mówiłem.

Zanim skończył mówić, przelecieli nad nim i Julie musiała szybko odwrócić głowę, żeby je zobaczyć. W

tym miejscu Blind River była węższa niż gdzie indziej, a na jej brzegach znajdowało się więcej zmurszałych pni

i więcej ciemnych, niskopiennych palm. Dwie odnogi leżały o kilkaset stóp od siebie. Ujście jednej z nich było

prawie zupełnie zatkanie pniakami i gałęziami. Sprawnemu, myślącemu mężczyźnie łatwo byłoby wprowadzić

łódź do jednej z tych odnóg, a potem spokojnie, powoli wpłynąć do drugiej.

- Ta większa odnoga to ślepy zaułek - zauważyła Julie.

- Będzie się więc wydawało, że twój bohater rozpułnął się w powietrzu.

- To może przypominać drugorzędny western. Spojrzał na nią z szerokim uśmiechem.

- Uważasz, że to zbyt banalne?

- Nie będzie banalne - powiedziała Julie powoli - jeżeli w momencie, gdy zbiry dojdą do wniosku, że Jean-

Pierre zamienił się w ducha, on włączy silnik i oddali się szybko. Oni go będą słyszeli, ale nie będą wiedzieli,

gdzie jest i jak mu się udało wymknąć.

- Będą przeklinali. A to, wraz ze scenami pokazującymi przemoc i nagość, przyczyni się do tego, że twój film

zostanie zaklasyfikowany jako film z ograniczeniem wieku. Nie będzie więc ani filmem bez ograniczeń wieku,

co by się równało kasowemu fiasku, ani filmem typu X, co by nie odpowiadało tobie.

- To nie ja ustalałam tę klasyfikację - powiedziała Julie tonem osoby, która się broni.

- Nie powiedziałem, że ją ustalałaś. Opowiadała mi o niej Summer, która uważa filmy bez ograniczeń wieku

za filmy dla dzieci. Sprawdziałem tylko, czy ona na rację.

- Dość dobrze się w tym orientuje.

- Jest inteligentną dziewczynką. Niewiele traci grając w filmach i nie prowadząc życia normalnego dziecka.

Julie nie odpowiedziała. Jej uwagę przykuła łódź płynąca pod nimi. Była biała i smukła i poruszała się

bardzo szybko; wyglądało to tak, jakby się z nimi ścigała. Na jej pokładzie znajdowała się tylko jedna osoba:

mężczyzna ubrany od stóp do głów na biało. Jego postać ledwie majaczyła w jasnym świetle popołudnia. Potem

samolot wyprzedził łódź i ruszając nagle naprzód, zostawił ją z tyłu.

- Czy to nie była nasza łódź z kabiną? - zapytała Julie, oglądając się i próbując ją dostrzec w oddali.

- Tak ci się wydaje?

- Chyba widziałam na niej kamerę. Tylko nie wiem, po co ktoś miałby wlec ją na wodę.

- To pewnie taka przejażdżka dla przyjemności.

- Poza czasem zdjęć kamera powinna być zamknięta. Takie są warunki umowy najmu.

- Możemy spojrzeć jeszcze raz - powiedział Rey, zawracając. Zeszli niżej, lecieli tuż nad wierzchołkami

drzew. Rey nie zrobił całkowitego nawrotu, nie poleciał wzdłuż rzeki, tylko podszedł do niej pod kątem

prostym, z boku. Zobaczyli łódź przed sobą. Zbliżała się do kanału w miejscu, gdzie było kilka obozowisk i

gdzie znajdowały się małe doki wysunięte na rzekę. Kiedy samolot podleciał bliżej, łódź skręciła w stronę doku

z hangarem. Zwolniła nagle, tak jakby ktoś wyłączył silnik. Zanim samolot znalazł się nad nią, wśliznęła się pod

dach hangaru. Wyglądało to tak, jakby zawinęła do macierzystego portu.

- Pomyliłam się, moja wina - powiedziała Julie, kręcąc głową.

- Przepraszam.

- Nie ma sprawy - powiedział Rey i skierował samolot w górę, nabierając wysokości.

Manewr, który wykonali, przypomniawszy coś Julie.

- Pamiętasz - powiedziała po chwili - tę noc, kiedy się poznaliśmy i ten samolot, który nadleciał na chwilę

przed naszym ... poznaniem?

Rey kiwnął głową.

- Pamiętam - powiedział.

- Słyszałam, że z takich samolotów zrzuca się na bagna narkotyki. Wyławiają je ludzie na łodziach. Ty

pracowałeś kiedyś dla DEA, więc pomyślałam, że mogłabym cię zapytać, czy to prawda.

- To się zdarza - potwierdził Rey. - Kilka lat temu czterosilnikowy DC-4 wylądował na drodze niedaleko stąd,

w pobliżu Grand Point. Ta droga była nieczynna, bo trwały tam roboty. Z samolotu wyładowano jakieś osiem

czy dziesięć ton marihuany, kiedy pojawiła się policja, którą zawiadomił jakiś mieszkaniec Grand Point. Trzech

facetów ścigano potem po całej okolicy.

- To musiało być ekscytujące.

- Ludzie wciąż jeszcze o tym mówią. Ale moim zdaniem teraz większość towaru przywozi się na statkach.

Trasa prowadzi pomiędzy przybrzeżnymi wyspami i przez zatoki wzdłuż wybrzeża; tą samą drogą, którą

przywożono alkohol w czasach prohibicji i zrabowane przez piratów towary w czasach Lafitte'a.

- Ci, co się tym zajmują, muszą dobrze znać wybrzeże i drogi wodne.

- Albo zatrudniają kogoś, kto je zna - zgodził się, odwracając głowę i patrząc na nią spokojnie.

Julie niczego nie sugerowała. A może zresztą tak, może chciała zrobić jakąś aluzję? Z trudem wytrzymując jego spojrzenie, zapytała:

- Czy rzeczywiście przemysł tutaj tak kwitnie, w porównaniu, powiedzmy, z Florydą?

- Nasila się z miesiąca na miesiąc. Im bardziej siły rządowe do zwalczania narkotyków koncentrują się na

miejscach takich jak Nowy Jork i Miami, Houston i Los Angeles, tym gorzej jest tutaj. Dealerzy są partyzantami. Oni nie stoją i nie gapią się, tylko znikają i urządzają sobie nowy przyczółek gdzie indziej, w tym

wypadku w jakichś odnogach. No a Luizjana ma centralne położenie. Jest miejscem, w którym krzyżują się

drogi prowadzące na wschód i zachód.

Gdy tak mówił, w jego twarzy było coś groźnego. Wiedziona impulsem, Julie powiedziała:

- Czy żałujesz, że przestałeś pracować dla DEA?

Poruszył ramieniem opiętym cienkim materiałem koszuli.

- W chwili gdy odchodziłem z tej pracy, byłem już nieco zmęczony tym, że muszę się zgadzać z

poglądem

głoszącym, iż ten problem można rozwiązać angażując ludzi i pieniądze w wojnę z narkotykami. Jeżeli twoim

celem jest zwalczanie narkotyków, musisz najpierw doprowadzić do tego, żeby narkomania przestała być

traktowana jako wypełnienie jakiegoś braku albo ucieczka. Ludzie, którzy nadużywają narkotyków czy

jakiegokolwiek innej substancji, nawet jedzenia, muszą przyjąć na siebie odpowiedzialność za to, co wyrządzają

samym sobie. Jak to powiedział pewien mieszkaniec bagien: "Zmierzyliśmy się z wrogiem, którym jesteśmy my

sami". Nie jestem pewien, czy ten cytat jest dosłowny, ale Pogo miał rację.

- To niezbyt współczująca postawa.

- Nie chciałem urazić delikatnych uczuć liberalnej Kalifornijki - odpowiedział Rey spokojnie. - Ale od

dwudziestu czy ponad dwudziestu lat okazywano narkomanom aż nadto współczucia. Wyniki widać w

wiadomościach praktycznie co wieczór.

- A jakie ty proponujesz rozwiązanie? Zamknięcie wszystkich narkomanów w więzieniach?

- Po pierwsze, musi być wprowadzona przymusowa detoksykacja i pięć lat dla każdego, kto zostanie aresztowany za narkotyki lub urodzi dziecko uzależnione od narkotyków. A po drugie, ko \neg nieczna jest

publiczna edukacja tak intensywna, opisująca nałóg z takim realizmem, że każdy dorosły czy niedorosły,

stykający się z nim, będzie wolał wsadzić sobie nóż między żebra, zanim zacznie używać narkotyków. Jeżeli

zniknie popyt, zniknie też podaż, a także znikną ci, którzy tego towaru dostarczają.

- Naprawdę myślisz, że to jest metoda?

Jego poglądy i postawa interesowały Julie w tym samym stopniu, co wiedza na temat handlu

narkotykami.

- Kto wie? Musi być co najmniej tak samo dobra jak ta, dzięki której przechwytuje się jeden z każdego

tysiąca kilogramów koki i jedną tonę z każdego stu. ton marihuany dostarczanych na ląd.

Julie nie odpowiedziała, chociaż zastanawiała się, czy wielu z tych, którzy pracują dla DEA, myśli tak

samo jak Rey. A jeżeli . tak, to jak mogą wykonywać swoje zadania, mając tyle wątpliwości.

Znowu lecieli na zachód. Słońce, świecące prosto w oczy, zmusiło Julie do zamknięcia ich na chwilę.

otworzyła je dopiero wtedy, gdy samolot zaczął zawracać. Warkot silników i równomierny ruch były relaksujące. Julie stłumiła nagłe ziewnięcie.

- Słuchaj - powiedział Rey spokojnie i z humorem - może byś poszła do tyłu i usiadła na jednym z

dających się rozłożyć? Prześpij się, a ja tymczasem sprawdzę, co tak terkocze, i trochę polatam.

- Co terkocze? - spytała powątpiewającym tonem.

- To nic wielkiego. Nic, czym powinnaś się martwić, chociaż chciałbym poświęcić temu parę minut. Jeżeli

będziemy musieli skakać ze spadochronem, zawiadomię cię wcześniej, obiecuję ci to.

- Dzięki. Ale czy nie mogliby się tym zająć mechanicy z lotniska?

- Mogliby, ale skoro ryzykuję własny kark, nie mówiąc o innych częściach ciała, wolę to zrobić sam.

- Rozumiem - powiedziała śmiejąc się i odpięła pas, żeby się przenieść do tylnej części kabiny.

Kiedy się już wygodnie usadowiła, słuchając syczenia klimatyzacji i oscylując na krawędzi snu i jawy,

uświadomiła sobie, jak dziwnie łatwo przyjęła do wiadomości zapewnienie Reya, że wszystko jest w porządku.

Zwykle nie była taka ufna. Dziwne też było to, że się nie obraziła, kiedy Rey zażartował na temat jej

uczuciu liberalnej Kalifornijki. Możliwe, że była zbyt senna, żeby się złościć, a może nie chciała psuć

tego

popołudnia nie prowadzącą do niczego sprzeczką. A zresztą, nie miała wyrobionego zdania na temat narkotyków. Uważała, że tylko głupiec wprowadza coś tak potencjalnie śmiertelnościowego do jedyne

organizmu, jaki otrzymał w darze od życia, ale nie wrzała świętym oburzeniem, kiedy ktoś robił inaczej niż ona.

Zdawała sobie sprawę, że zarówno jej aktorzy, jak i członkowie ekipy używają narkotyków. Trudno bowiem

było tego nie zauważyć. Uważała jednak, że nie ma prawa wtrącać się do tego, dopóki nie przeszkadzało to w

pracy. Zresztą nie czuła potrzeby takiej ingerencji.

No tak, praca. Czy to możliwe, że ktoś nie wykonał dobrze swojej pracy tego dnia, kiedy stracił życie

Paul Lisiet? Ta myśl była niepokojąca. Odsunęła ją od siebie.

otworzyła oczy. Jej wzrok pobiegł w stronę kabiny pilota, znajdującej się za małym otworem

drzwiowym, w którym wisiała zsunięta na bok zasłonka. Sylwetka siedzącego przy sterach Reya rysowała się

zdecydowanie. Ruchy jego dłoni były pewne, a uwagę miał skupioną na przełącznikach, tarczach i wskaźnikach

cyfrowych. Jego profil, odcinający się na jasnym tle, był wyrazisty, dobrze wymodelowany i budził zaufanie. Z

całą pewnością budził zaufanie. Julie zamknęła oczy. Była naprawdę zmęczona. Nietrudno jej było zasnąć.

Poprzez lekką mgiełkę snu poczuła, że samolot przechyliła się i zakręca. Usłyszała trzaski i jakieś słowa

płynące z radia, a potem spokojną, zdecydowaną odpowiedź Reya. Obróciła głowę opartą o zagłówek,

marszcząc brwi przez sen, ale nie obudziła się.

Otrzeźwiło ją szarpnięcie. Po chwili zdała sobie sprawę, że to turbulencja, gdyż szarpnięciu towarzyszyła

łagodna zmiana ciśnienia. Julie miała sztywną szyję, czuła, że jest ospała i zdezorientowana. Nie spała chyba tak

długo, jak jej się zdawało, a jednak światło w kabinie było teraz przyćmione, tak jakby ktoś zasłonił wszystkie

boczne okna. Okazało się jednak, że tak nie jest. Okna były odsłonięte. Julie pochyliła się i wyjrzała.

Daleko w dole znajdowała się przerwana warstwa rozdętych chmur. Poniżej skrzyła się woda - falująca

zielononiebieska krawędź przechodząca w beż. Barwy te szybko zmieniały się w szarość, gdyż zapadał zmrok.

Lecieli nad plażą.

Julie usiadła tak gwałtownie, że pas napiął jej się na brzuchu, zmuszając do nagłego złapania powietrza.

Odpinając go zobaczyła, że Rey - oświetlony światłem padającym z tablicy rozdzielczej i przypominający cień -

odwraca głowę i spogląda przez ramię. Julie skoczyła na równe nogi i zrobiwszy szybko dwa kroki w przód,

znalazła się w kabinie pilota.

- Go się dzieje? - spytała tonem dokładnie kontrolowanym, opadając na fotel obok niego.

- Lepiej zapnij pas. Może zacząć rzucać, kiedy skręcimy nad ocean.

Jego wzrok spoczął na twarzy Julie, jakby próbował się zorientować, w jakim jest nastroju.

- Nad ocean?! - krzyknęła, zapinając gwałtownie pas. - Jeżeli to żart, to ostrzegam cię: mnie wcale nie jest do

śmiechu.

- Jesteśmy nad wybrzeżem Florydy. Gdybym ci powiedział, że jest problem, wpadłabyś w histerię?

Julie zeszywniała.

- A jest jakiś problem?

- Tak naprawdę - powiedział, patrząc na przyrządy pomiarowe znajdujące się przed nim, a potem znów

przenosząc wzrok na nią - to nie ma.

- Więc o co chodzi?

- Zachciało mi się zjeść homara.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, a potem powiedziała dobitnie:

- Masz dwie minuty na powiedzenie mi, gdzie dokładnie jesteśmy i dokąd lecimy. Potem zacznę się awanturować.

- Tylko to? Ja się obawiałem, że zechcesz mnie zamordować.

- To niezły pomysł, tylko że ja nie jestem samobójczynią.

Nagrodził tę logiczną odpowiedź ironicznym uśmiechem i jednym słowem:

- Nassau.

- Nassau? Nassau na Wyspach Bahama?

- Tak, jeżeli go stamtąd nie przenieśli.

- Lecisz tam, nie zapytawszy mnie o zgodę i nie wspominając o tym ani słowem?

- A poleciałabyś wtedy ze mną? Julie udała, że nie słyszy pytania.

- Cała ta gadka o terkotaniu to była bujda, tak? Jego ciemne oczy były nieprzeniknione. - Poza tym myślę, że

mógłbyś mi pokazać te dwie odnogi dużo szybciej i o wiele dokładniej ze ślizgacza.

- Widok byłby inny i chyba nie lepszy.

Julie usiadła głębiej w fotelu, skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała przed siebie.

- Świetnie. Mam nadzieję, że homar będzie ci smakował, kiedy będziesz jadł go sam.

- A ty nie lubisz homarów? - sondował Rey.

Julie uwielbiała homary, ale nie miała zamiaru się do tego przyznać. Spojrzała na niego, lecz nie odpowiedziała.

- Zanim powiesz coś, czego będziesz żałowała - odezwał się Rey tonem człowieka bardzo rozsądnego -

muszę zwrócić ci uwagę, że do domu wrócimy prawdopodobnie późno, bardzo późno. I będziesz głodna.

Julie otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, i zaraz z tego zrezygnowała. Już była głodna.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała, starając się mówić spokojnie, mimo że jej głos zdradzał wzburzenie. -

Istnieją na pewno kobiety, które byłyby zachwycone, gdyby ktoś je porwał i uprowadził w jakieś egzotyczne

miejsce, ale ja do nich nie należę. Nie wiem, dlaczego uważałeś, że mi się to spodoba. Chyba dałam ci jasno do

zrozumienia, że nie znoszę, kiedy ktoś mnie do czegoś zmusza, że nienawidzę takiej kowbojskiej taktyki,

nienawidzę być zmuszana do czegokolwiek. Że nienawidzę być traktowana jak ktoś, kto nie wie, czego chce i co

jest dla niego dobre!

- A ty wiesz, czego chcesz i co jest dla ciebie dobre? - zapytał Rey głosem niskim i trochę szorstkim.
- Czy

wiesz dokładnie, czego chcesz i co jest dla ciebie najlepsze? Wiesz również, że to, co ci proponuję, nie jest dla

ciebie dobre. Miło musi być mieć zawsze taką pewność. A przecież nawet nie spróbowałaś tego homara.

Julie zauważyła, że ostatnie słowa Rey wymawia z naciskiem.

Odwróciła głowę, nie patrząc na niego. Na jej policzki wypłynął powoli rumieniec. Przyszło jej do głowy, że on być może ma na myśli jej pewność, że jego nie pragnie.

Rey spojrzał na nią, a jego oczy były tak nieprzeniknione i lśniące jak kawa Cajunów. Przez moment wydawały się tak samo jak ta kawa gorące. Ale potem zatrzeszczało radio i popłynął z niego strumień pytań i

poleceń. Rey odwrócił się od Julie, spuszczał oczy i ukrywając ich wyraz. Kiedy odpowiadał, jego głos był

spokojny i autorytatywny.

Nie rozmawiali więcej, aż do chwili gdy wylądowali na lotnisku na wyspie Providence.

Kontrola paszportowa okazała się formalnością załatwianą szybko i niezbyt wnikliwie. Samochód do wynajęcia, który Rey zamówił przez radio, już na nich czekał. Jazda wzdłuż wybrzeża, nad wzdychającym,

lśniącym w świetle księżyca morzem i pod szepczącymi kazuarydami, zajęła niecałą godzinę. A potem siedzieli

w restauracji na wolnym powietrzu, a przed nimi stały parujące porcje homara.

Powietrze było łagodne i ciepłe; pachniało solą i kwiatami; zapach smażonych małży mieszał się z wonią

suszonych sieci i stawał się dzięki temu ostrzejszy. Wiatr wiejący w stronę morza powodował migotanie

plomyka stojącej na środku stołu grubej świecy osłoniętej szklaną kulą; szeleścił palmowymi liśćmi, z których

zrobiony był daszek nad ich głowami, i kołysał światełkami zawieszonymi na krzewach rosnących w donicach

rozstawionych wokół restauracji. Daleko na horyzoncie morze podnosiło się pod księżycem jak porośnięty

błyszczącymi łuskami grzbiet jakiegoś potwora; podczas gdy bliżej jachty ze zwiniętymi żaglami, szkunery

czekające na gości i statki rybackie, zniszczone w różnym stopniu, kołysały się ruchem dziwnie zsynchronizowanym z rytmem muzyki reggae, dobiegającej z tancbudy na plaży.

Rey proponował, żeby pojechali do Graycliffs, restauracji mieszczącej się w starej gospodzie w stylu

kolonialnym z czasów króla Jerzego, jedynej pięciogwiazdkowej restauracji na Wyspach Bahama. Jednak Julie

nie zgodziła się. Powiedziała, że skoro ma jeść kolację na wyspie, to chce czuć, że jest na wyspie, chce czuć

zapach morza i podmuch morskiej bryzy na twarzy.

Homar był doskonały, miał delikatny smak; masło cytrynowe było świeże i gorące, chleb grubo krojony,

chrupiący i posypany ziarnem sezamowym nadającym mu przyjemny orzechowy smak. Chablis, najlepsze, jakie

tutaj mieli, pachniało brzoskwinią i gruszką, i doskonale pasowało do homara.

Trudno było złościć się na kogoś, patrząc równocześnie, jak zajada homara. Sztywność i dąsy w tej sytuacji byłyby tak samo niedorzeczne jak delikatne garniry w stylu nouvelle-cuisine z jadalnych kwiatów i

dekoracyjnej trawy. Jedzenie homara było ciężką pracą, podczas której trzeba było oddzielić kleszcze i

wykonywać szybkie ruchy serwetką, żeby nie dopuścić do skapywania masła. Nie można było nie wydawać

przy tym pomruków rozkoszy i triumfu i nie wymieniać uwag na temat trudności w rozbrajaniu skorupiaka.

Julie zauważyła, że pełny żołądek rodzi uczucie sympatii. Ciągle jeszcze miała do Reya pretensję o to, że

ją tak wymanewrował, ale stała się znacznie mniej bojowa. W każdym razie wściekanie się na człowieka, który

potrafił tak rozkoszować się chwilą, było niemożliwe. Rey Tabary nawet nie usiłował ukrywać, jak wielką

przyjemność sprawia mu ten posiłek, towarzystwo i miejsce, w którym się znalazł. Wydawało się, że nie zwraca

uwagi na jej humor; nie przejmował się też chyba tym, że dotarcie do wyspy i restauracji wiązało się z tak

dużym wysiłkiem. Usługiwał Julie, jak mógł - dolewał wina, pomagał radzić sobie z opornym kleszczem,

pomagał natrzeć palce plasterkiem cytryny w celu usunięcia zapachu. Uważał, żeby nie przekroczyć granicy

między dobrymi manierami a spoufalaniem się, zachowywał dystans, poświęcając jednak całą uwagę Julie.

Odbierało jej to odwagę.

Pili kawę, patrząc na wodę i obserwując turystów - mniej lub bardziej ubranych, pijanych i trzeźwych,

wesołych i ponurych spacerowiczów, którzy defilowali przed nimi wzdłuż plaży. Później sami przyłączyli się do

tego pochodu, oglądali wystawy sklepowe, kupili tanio kapelusz słomkowy dla Julie od jednej z przekupek,

która mimo późnej pory jeszcze sprzedawała swoje towary. W końcu wrócili do miejsca, gdzie zaparkowali

samochód, wsiedli do niego i pojechali w stronę lotniska.

Byli już daleko od miasta, kiedy Rey zwolnił i skręcił na parking położony na przylądku wysuniętym w

ocean. Siedział przez chwilę z rękami na kierownicy, a potem otworzył drzwi i wysiadł.

- Pospacerujmy po plaży - powiedział - tylko przez chwilę. A potem ruszymy w dalszą drogę.

W jego głosie brzmiała jedynie nuta uprzejmości, a jednak Julie niechętnie wysiadała z samochodu.

Wino, morze i światło księżyca tworzyły niebezpieczną kombinację - nikt nie wiedział o tym lepiej od niej.

Spędziła przecież mnóstwo nocy obserwując fale toczące się w stronę brzegu. Tutaj fale nie były wysokie, bo

łamały się na rafie koralowej, były ujarzmione i spokojnie obmywały plażę. Jednak Julie wiedziała, że jest

bardzo podatna na uroki takiej scenerii.

No i ta słabość do Reya. Nie był w jej typie, nie mieli wspólnych zainteresowań i aspiracji, pochodzili z

różnych środowisk, mieszkali daleko od siebie, ich sposoby myślenia różniły się bardzo ... A jednak była

podatna na jego urok.

Rey odszedł od samochodu. A ona mogła zostać w samochodzie jak naburmuszone dziecko, z

poczuciem, że została opuszczona, albo mogła się do niego przyłączyć, iść powoli po mokrym piasku, wiatr

rozwiewałby jej włosy, a pomruk oceanu brzmiał w uszach. Właściwie nie miała wyboru.

Rey czekał na nią na końcu przylądka. Podał jej rękę, pomagając zejść stromą ścieżką prowadzącą po

wapiennych głazach aż na piasek. Puściwszy jej rękę, przeszedł po sproszkowanym koralu nad sam brzeg, gdzie

stał patrząc w morze. Fale tworzyły u jego stóp mokrą koronkę.

Z prawej i z lewej miał ciągnącą się w dal półkolistą plażę. Za nim wznosił się przylądek zasłaniający

drogę i parking. Powietrze było wilgotne. Od rafy koralowej położonej o kilkaset jardów stąd, wokół której

kotłował się ocean, niosła się piana, Powierzchnia oceanu przypominała ciemnoniebieski atlas wyszywany

srebrnymi błyskotkami. Księżyc był niczym cynowy talerz, owinięty brudnym gałganem z chmur. Daleko w

ciemności majaczył kanciasty kształt kontenerowca, który mrugając w powolnym rytmie i ciągnąc za sobą po

niebie smugę czarnego dymu zmierzał w stronę krawędzi światła.

Rey odwrócił głowę, chcąc spojrzeć na Julie, która szła po piasku. Zbliżyła się i stanęła u jego boku, a

potem ruszyła dalej plażą. Rey dostosował swój krok do jej kroków.

Wiatr uniósł lekką, jedwabną spódnicę Julie i owinał ją wokół jego długich nóg. Jedwab przylgął do

materiału, z którego uszyte były jego spodnie, ale on nie odsunął się. Wsunął ręce głęboko w kieszenie, a kiedy

się odezwał, słowa harmonizowały z jego spokojnym, pewnym krokiem.

- Nie miałem zamiaru traktować cię jak kogoś, kto nie wie, czego chce. Pomyślałem tylko ... No, zdawało mi

się, że powinnaś na krótki czas oderwać się od wszystkiego. Pracowałeś praktycznie dzień i noc, byłaś napięta,

nie dosypiałaś, miałaś podkrążone oczy. Gdybym cię zapytał, znalazłabyś tysiące powodów, żeby mi odmówić.

Więc nie zapytałem.

- Dla mojego własnego dobra.

- I dla mojego też. Ja również miałem wszystkiego dosyć.

- I spodziewałaś się, że będę tym zachwycona? Zwłaszcza po tym, jak zawarliśmy ugodę.

- Nie pamiętam żadnej ugody.

- No wiesz? Nie powiedziałaś, że się nie zgadzasz.

- Może się rozmyśliłem. W każdym razie dzisiaj spodziewałem się, że pogodzisz się z faktem
dokonanym i

poddasz się z wdziękiem.

- Albo z wdzięcznością.

- Tak wybujałych marzeń nie miałem.

Oschły ton Reya działał jej na nerwy. Jego zdolność wyprowadzania jej z równowagi była
zadziwiająca.

Julie uważała się za osobę mającą wprawę w seksualnej szermierce słownej, która w Los Angeles
uchodziła za

flirt. Nieczęsto zdarzało się, by ktoś ją zbił z tropu. Być może dlatego, że tam, w Kalifornii, ona i
towarzyszający

jej w tych utarczkach partnerzy rzadko byli zaangażowani emocjonalnie. W Kalifornii były to jedynie
ćwiczenia.

Tak, w Kalifornii ćwiczano intelekt i zdolność zachowywania zimnej krwi. Tutaj natomiast było
inaczej. Stopień

zaangażowania uczuciowego między nią a Reyem Tabarym wciąż się zmieniał. Był zmienny jak ruchy
morza i

jak one niewyjaśnione.

Po szosie wysoko nad nimi przejechał samochód. Światła jego reflektorów omiotły plażę. Za nim
pojawił

się następny, jadący wolniej. Julie odczekała chwilę, a gdy hałas ucichł, odezwała się:

- Nie wiem, o czym marzyłeś, ale muszę ci powiedzieć, że twoje domysły dotyczące powodów, dla
których

postanowiłam przerwać ten związek, były z całą pewnością wzięte z powietrza.

- A co ty wiesz o moich domysłach?

Pytanie to wyrażało coś więcej niż tylko ciekawość.

- Wiem tyle, ile mogę się domyślić z tego, co powiedziałeś.

- A co ja powiedziałem?

Julie żałowała, że zaczęła o tym mówić. Sama nie wiedziała, dlaczego poruszyła ten temat, jednak nie

mogła się już wycofać.

- Wydaje mi się - powiedziała - że uważasz, iż twoje pieszczoty mnie nie zadowolily. A to wcale nie tak.

Powiedziałam ci, dlaczego postanowiłam zakończyć ten romans, tak jasno, jak tylko potrafiłam. I nie mów mi,

proszę, że prowokuję i aż się prosi o jakiś komentarz, bo wiem, że tak jest, ale ostrzegam cię: jeżeli to

wykorzystasz, to nie rę ...

- Nie odważyłbym się - powiedział miękko, przerywając jej. — Odpowiedź mogłaby zagrozić
mojemu

zdrowiu psychicznemu.

Cios był celny. Julie stała z włosami rozwianymi i rozchylonymi wargami; gniew powoli zniknął z jej
oczu. Bystrość umysłu Reya, jego zdolność do wychodzenia jej naprzeciw, do chwytania w lot tego, co miała na

myśli, i do wychodzenia o jeden krok naprzód działały na nią tak uwodzicielsko jak wiatr i morze,
jak noc i jak

fakt, że są tutaj sami. To wszystko dotykało jakiejś głębokiej pustki w jej wnętrzu, wypełniało tę
pustkę i budziło

w Julie osobliwy oddźwięk, jakieś współdrżanie, które narastało jak krzyk.

Mogła go kochać. Tak, z pewnością było to możliwe. Chociaż może niezbyt mądre i niezbyt

prawdopodobne. Wiedziała, że ich związek skazany jest na niepowodzenie, ale czuła, że Rey pociąga
ją z

ogromną siłą. Choć z trudem, musiała jednak przyznać, że jest gotowa, że dojrzała do jego miłości. Tak, kiedy

indziej, w innej sytuacji... mogłaby go kochać.

- Och, Rey - wyszeptała, jakby żałowała, że coś straciła. Popatrzyli na siebie, zachwyceni blaskiem księżyca

w swoich oczach, i po chwili byli już jednością, ich ciała poruszały się razem w doskonałej harmonii.

Jego pocałunek był słony od niesionej wiatrem piany, a równocześnie słodko - mamiący, delikatny i rozkazujący. Julie odpowiedziała mu z takim samym żarem, splatając język z jego językiem, obdarowując go

słodyczą, która również miała słonawy smak. Badała jego spękane lekko wargi i gładką ostrość zębów, badała

też ciepłą miękkość wnętrza jego ust. Przyciskała piersi do torsu Reya, jakby chciała odcisnąć wspomnienie jego

ciała na swoim. Czowała, że jego ramiona obejmują ją coraz mocniej.

W uszach dźwięczał jej bezustanny szum fal towarzyszący głuchemu łomotowi serca. Wiatr dotykający

rozgrzanej skóry delikatnie ją pieścił, co pobudzało jej pożądanie. Otwarte niebo nad głowami dawało im

nieograniczoną wolność, ponadczasowe błogosławieństwo. Noc była miękka osłoną, migoczącą bladym

światłem na wpół ukrytego księżyca.

Zawietrzna strona przylądka znajdowała się w cieniu. Wiedzeni równoczesnym impulsem Julie i Rey

weszli w ten cień. Rey odpiął guziki jej sukienki, a ona zajęła się jego koszulą. Kremowy jedwab szmizjerki

zsunął się na piasek i rozpostarł, tworząc drobne zmarszczki. Uklękli na nim ze złączonymi ustami nie

odrywając się od siebie. Julie zsunęła Reyowi koszulę z pleców, a potem zajęła się rękawami. Jego usta łagodnie

pieściły jej wargi, kiedy bezwolnie czekał na moment, w którym znowu będzie mógł posłużyć się rękami.

Gdy miał już wolne ręce, wziął w dłonie jej piersi, pieszcząc kciukami brodawki przykryte wciąż cienkim jedwabiem i koronką, a potem przesunął palce wzdłuż żeber Julie aż na plecy i odpiął haftkę stanika.

Schylił się, chcąc zaznać smaku tych gładkich półkul z przeświecającymi, lekkimi żyłkami. Wdychał ciepły,

kobiecy zapach. Zamknął oczy, a ona poczuła łaskotanie jego rzes przesuających się po skórze.

Zdjęli pozostałe części ubrania i położyli się. Pod nagą skórą mieli teraz jedwab i piasek. Sproszkowany

korale przesuwał się po nimi, podczas gdy oni, poruszając się zgodnym rytmem, dotykali się, tulili, upajali się

sobą nawzajem w powolnym, pełnym uniesień poszukiwaniu wspólnej rozkoszy i radości.

Znaleźli więcej, niż oczekiwali. Był to poryw zmysłów, ogrom piękna pochłaniającego umysł i serce.

Złączeni i nierozłączni, czuli i wrażliwi, poruszali się tworząc pulsującą jedność, pełną niezwykłego uroku,

jedność zdyszanej żarliwości i delikatnej namiętności.

Później, kiedy włożyli już ubrania i weszli na górę na przylądek, zauważyli, że ktoś ukradł im

akumulator z wynajętego samochodu. Złodziej zabrał akumulator, kiedy oni leżeli tam na piasku, niepomni na

wszystko, co się wokół działo. Spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem. Czekając na autobus, którym mieli

się dostać na lotnisko, żartowali i śmiali się. Śmiali się też i później, kiedy się dowiedzieli, że firma

wypożyczająca samochody została już poinformowana, gdzie znajduje się ich samochód, i jeszcze później, gdy

lecieli długo samolotem.

Ich nastrój zmienił się jednak, kiedy dotarli do domu ciotki Tine, bo kiedy wysiadali z dżipa, z bujanego

fotela stojącego na galerii podniósł się jakiś człowiek. Podszedł do schodów i ponuro przyglądał się ich zmiętym

ubraniom, słomkowemu kapeluszowi, który niosła Julie, i Reyowi opiekuńczo obejmującemu ją w

pasie.

Człowiek ten był szczupły, miał włosy przyprószone siwizną i wyglądał na bardzo kulturalnego.

- Dobry wieczór, Julie, albo raczej dzień dobry. - Allen mówił z akcentem wykształconego mieszkańca

Bostonu, jego ton był jednak zjadliwy i ostry jak dobra angielska stal. - Wybacz mi moją pomyłkę, ale czekam

na ciebie od pewnego czasu. Zapytałbym, gdzie byłaś, jednak w tych okolicznościach pytanie to wydaje się

niedyskretne albo wręcz bezsensowne.

- Przepraszam cię za to, że dziś rano byłem taki zły - powiedział Allen odwracając się od okna biurowej

przyczepy Ofelii, którą oddała mu tymczasowo do dyspozycji. - Byłem zmęczony i niepokoiłem się o ciebie.

Jeżeli powiedziałem coś, co cię zdenerwowało, to szczerze tego żałuję.

Zaczął mówić, jak tylko Julie weszła, tak jakby ćwiczył tę kwestię czekając, aż ona stawi się na jego wezwanie. Julie popatrzyła na człowieka, który był jej narzeczoną i producentem jej filmów. Była zbita z

tropu - Allen najwyraźniej zmienił postawę, w jego głosie pobrzmiwało zmęczenie, ale słowa były bardzo

oficjalne. Był idiotycznie sztywny, zwłaszcza jeżeli się wzięło pod uwagę charakter ich związku. A zresztą może

wcale nie był taki sztywny, może jej się tak wydawało, bo przyzwyczała się do bezpośredniości Reya, do tego,

że Rey celowo zaciera dystans między sobą a otoczeniem. Julie nie wyobrażała sobie sytuacji, w której Rey, po

kilkutygodniowym okresie niewidzenia się z nią, dopuściłby do tego, żeby dzieliła ich taka odległość. Nie mogła

też wyobrazić go sobie mówiącego do niej takim tonem, jakiego używa się w rozmowach o interesach.

Oczywiście, Allen nigdy nie był człowiekiem niedbałym. Ogarnięty pewnego rodzaju manią brytyjskości,

wzorował się, zarówno w życiu prywatnym, jak i na zewnątrz, na manierach dobrze wychowanego angielskiego

dżentelmena. Był poprawny, sprawiedliwy i uprzejmy, ale zachowywał się z rezerwą. Julie nigdy nie widziała w

tym nic niestosownego. Najwidoczniej jej wyobrażenia na temat bliskości - tak w przestrzeni, jak i w związkach

między ludźmi - zmieniły się.

Allen nigdy w życiu nie wyglądał bardziej na arystokratę niż teraz, kiedy tak stał w nieskazitelnych szarych spodniach, w koszuli z firmy Turnbull i Asser, w fularowym szaro-bordowym krawacie, z przysypanymi

srebrem piaskowokasztanowymi włosami zaczesanymi gładko na skroniach i z twarzą zbrązowiałą od słońca,

którego promienie dosięgały go podczas niezliczonych partii tenisa. Julie zastanawiała się, gdzie znalazł stojącą

na biurku porcelanową filiżankę, z której parowała herbata earl grey, i kto rozłożył mu onyksowe przybory

biurowe oraz włączył jego ulubiony czarny telefon o opływowych kształtach. Może zrobiła to afelia. Jej

asystentka drwiła sobie z kaprysów Allena, ale znajdowała perwersyjną przyjemność w zaspokajaniu wszelkich

jego zachcianek.

- Jesteś bardzo wielkoduszny - odezwała się wreszcie spokojnym tonem.

- Wcale nie. Nie miałem prawa wygłaszać takiej tyrady. Na swoje usprawiedliwienie muszę powiedzieć, że

nikt nie miał pojęcia, gdzie jesteś. Ciotka wiedziała tylko, że pojechałaś gdzieś z Tabarym. Muszę przyznać, że

usiłowała mi pomóc, ale równocześnie doprowadzała mnie do szału mętym sposobem mówienia. Nie

wiedziała, co robisz ani jak długo cię nie będzie. Wyobraziłem sobie najróżniejsze nieszczęścia i postanowiłem

zawiadomić policję, gdybyś nie wróciła do rana.

- Zostawiłabym wiadomość, gdybym wiedziała, że się zjawisz i że będziesz się niepokoił. No i gdybym

wiedziała, gdzie będę. Ta wycieczka do Nassau była nie zaplanowana, wynikła spontanicznie.

Poprzedniej nocy Julie dość zdawkowo wytłumaczyła się narzeczonemu. Nie powiedziała, że została

porwana. Nie powiedziała tego i teraz. Bo zdawało jej się, że informując go o tym, musiałaby powiedzieć coś

więcej o tej wycieczce, na którą się zgodziła. Poza gorzkimi słowami, które padły na początku spotkania, Allen

nie robił Julie więcej wymówek. Wtrącił się bowiem Rey, mówiąc, że lepiej będzie zostawić to do rana i

porozmawiać wtedy, gdy Julie już wypocznie, a Allenowi minie złość. Poparł swoją radę czynem, podając Julie

ramię i odprowadzając ją do drzwi jej pokoju. Weszła do środka i z ulgą zamknęła za sobą drzwi. Po chwili

usłyszała głosy obu mężczyzn wymieniających lakoniczne uwagi, wreszcie rozległy się kroki Allena

schodzącego po schodach i zgrzyt kół jego samochodu na podjeździe. Julie spodziewała się, że Rey przyjdzie do

niej, żeby porozmawiać o nagłym pojawieniu się Allena albo żeby przynajmniej powiedzieć dobranoc. Nie

zjawił się jednak Rano Julie też go nie widziała.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to doprawdy wolałbym nie rozmawiać o twojej wycieczce z Tabarym.

Mówiąc to Allen odwrócił się do niej. Jego usta wykrzywił uśmiech, kłóący się z zatroskanym wyrazem

szarych oczu.

- Miałem dość czasu, żeby to rozważyć i żeby przemyśleć moje reakcje. Zdaję sobie sprawę, że jestem

prawdopodobnie w takim samym stopniu winien jak ty. Zaniedbałem cię, zostawiłem cię tutaj samą. Musiałaś

zмагаć się z tym filmem bez mojej pomocy. Uważałem, że to oczywiste, że odpowiada ci nasz układ.

- Odpowiadał mi - odrzekła Julie tonem osoby, która się broni. Nie chciała go zranić i świadomość, że go

jednak zraniła, ciążyła jej bardzo.

- Możliwe. Zgodziliśmy się na początku, że każde z nas ma prawo mieć własny krąg przyjaciół, wchodzić w

związki z innymi ludźmi. Ten temat nigdy nie wrócił w naszych rozmowach i dla tego myślałem, że

nigdy nie

będzie okazji, by go ponownie poruszyć.

- Nie miałam zamiaru wchodzić w żaden związek z Reyem. Tak się po prostu złożyło.

- Zwykle tak bywa. Nie będę udawał, że tego nie rozumiem albo że sam byłem święty, bo to byłaby nieprawda. A poza tym myślę, że ty o tym wiesz. Gardziłem zawsze mężczyznami, którzy sami tak postępują, a

pieklą się, kiedy zdarzy się to kobiecie. Teraz jednak okazuje się, że i ja mam skłonności do przybierania takiej

postawy. I trudno mi tę skłonność pokonać. Ale próbuję.

To dyskredytowanie siebie było wzruszające u człowieka, który zwykle miał tyle godności. Julie, czując

przyływ dawnych uczuć, podeszła bliżej i położyła dłonie na jego ramionach.

- Dlatego właśnie jesteś mężczyzną niezwykłym.

- Wątpię, czy już jestem kandydatem na świętego. Chciałem jednak się z tobą pogodzić. Chciałem, żebyś

wiedziała, że nie pozwolę, by to nas poróżniło. Kiedy wrócimy do Los Angeles, wszystko będzie jak dawniej.

Nie chcę cię stracić.

W tym, co mówił, a może w sposobie, w jaki to mówił, było coś, co ją niepokoiło, chociaż nie była w

stanie tego dokładnie określić. Mimo to Julie była do niego przywiązana, poza tym nie chciała zbyt wielkich

zmian w swoim życiu.

- Próbowałam już wcześniej zerwać z Reyem. Zdaję sobie sprawę z tego, że trudno byłoby utrzymać

związek z kimś, kto ma zainteresowania tak inne od moich. Poza tym on nic nie mówił o przyszłości. Mało

prawdopodobne, że to, co jest między nami, będzie trwało po zakończeniu zdjęć.

- Słyszając to czuję oczywiście ulgę. Ale co tymczasem?

- Nie wiem - odpowiedziała, patrząc na niego poważnie i równocześnie smutno, gdyż poczuła, że ogarnia ją

przygnębienie. Chyba potrzeba mi trochę czasu na przystosowanie się do okoliczności. Ale ty nie musisz się

martwić. Nie będę ci stwarzała kłopotliwych sytuacji. Nie jestem kobietą, która dobrze się czuje lawirując

między dwoma mężczyznami.

- Nie musiałaś mi tego mówić - odpowiedział z lekkim wyrzutem.

- Może musiałam ze względu na siebie. - Westchnęła cicho. W każdym razie przykro mi, jeżeli cię zdenerwowałam. Nie miałam zamiaru tego robić.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem podszedł do biurka i usiadł przy nim.

- Nie wiedziałaś, że przyjadę tak szybko, prawda? Jest pewien powód, dla którego przyjechałem. Uważałem,

że powinienem cię osobiście o czymś poinformować, zanim dotrą do ciebie plotki.

Wyraz jego twarzy był tak poważny, że Julie poczuła, jak ogarniają ją wątpliwości. Podeszła do jednego

z krzeseł stojących przy biurku i opadła na nie.

- Plotki? - zapytała.

- Zrobiłem coś, nad czym zastanawiałem się od pewnego czasu, a właściwie to od chwili, gdy zaczęliśmy

pracę nad tym filmem. Nie myśl, proszę, że decyzja została podjęta pochopnie albo że nie została poprzedzona

dokładną analizą wszystkich aspektów problemu. Miałem też wzgląd na twoje uczucia. Wiesz, że szanuję twój

talent i zdolności. Zawsze byłem dumny z twoich osiągnięć i bardzo zadowolony z zysków, jakie przynosiły

filmy, które robiliśmy razem. Jesteś reżyserką bardzo wrażliwą i o bardzo bystrym spojrzeniu, masz

fenomenalne wyczucie, wiesz, co się będzie podobało publiczności, masz też wyjątkową zdolność tworzenia

narracji.

- Słuchaj, Allen - powiedziała Julie stłumionym głosem. Atmosfera zaczyna się tu robić lodowata. Mógłbyś

zakończyć ten wstęp i powiedzieć mi, co zrobiłeś?

- Dla mnie jest ważne, żebyś знаła moje motywacje. Jestem odpowiedzialny przed sponsorami, muszę pilnować,

żeby Królestwo bagien było filmem wartościowym. Równocześnie film musi być zrealizowany za sumę bliską

tej, którą zamierzano na niego wydać, co zagwarantuje zysk.

- Myślałam, że za to odpowiadam ja.

- Z całą pewnością dzielisz ze mną tę odpowiedzialność - zgodził się, patrząc jej w oczy, a potem szybko

mówił dalej: Jestem pewien, że jako reżyserce i inicjatorce całego przedsięwzięcia zależy ci tak samo jak nam

wszystkim na tym, żeby film był dobrze odebrany przez publiczność, żeby stał się sukcesem kasowym, no i żeby

miał dobre recenzje. Szanse na to zmniejszyły się bardzo z powodu tego śmiertelnego wypadku na planie i z

powodu rozgłosu, jaki nadano temu zdarzeniu. Pogoń za sensacją może zawsze ...

- Jestem pewna, że kiedy ludzie zobaczą ten film ...

- Nie możemy czekać, aż znajdzie się w kinach. To się wiąże z ogromnym ryzykiem. Wolę zrobić wszystko,

co jest konieczne, dla zapewnienia filmowi dobrego odbioru, zanim znajdzie się w kinach. To, co proponuję, nie

tylko wielokrotnie zwiększy jego szanse, ale da także szansę tobie, i to szansę, o jaką wielu młodych reżyserów

się zabija. Plan jest tak doskonały i naturalny, że dziwię się, że ten pomysł nie przyszedł mi do głowy na samym

początku. Tobie też.

- Co, na litość boską ... - zaczęła Julie, ale zaraz przerwała, gdyż właśnie przyszło jej do głowy, co to może

być. Na myśl o tym krew odpłynęła jej z twarzy. Julie siadła głębiej w krześle, zakładając ręce na piersi. W jej

głosie był ton niedowierzania, kiedy powiedziała: - Zaangażowałeś Bulla!

- Pomyśl tylko, co to znaczy: współpraca reżyserska ojca z córką, wspólne dzieło najlepszych ludzi ze starego

i nowego pokolenia reżyserów z Los Angeles. Reklama będzie ogromna, wszyscy prowadzący programy typu

talk - show będą stawać na głowie, żeby zaprosić was oboje. Będzie się o was mówiło tyle, co o Kirku i

Michaelu Douglasach albo o Martinie i Charliem Sheenach.

- My nie jesteśmy aktorami. Zresztą te występy w telewizji nie są ważne. Ważny jest film. A ty nie możesz

tego zrobić ... ani filmowi, ani mnie!

- To, co chcę zrobić, jest tylko próbą zwiększenia szans tego filmu. A poza tym daję ci możliwość wspólnej

pracy z Bullem.

- Wspólnej pracy? - obruszyła się z niedowierzaniem. - Nie znasz mojego ojca. Wiem, że zawsze go

podziwiałeś, że podobały ci się jego filmy. Ale ty nigdy z nim nie mieszkałeś, nie byłeś jego dzieckiem. On

przejmie ten film, film będzie jego. Może wcale tego nie chceć, może nawet nie zdawać sobie sprawy, że to

robi, ale już taki jest, nie potrafi pracować inaczej.

- Będzie aż tak źle? Przecież zrobiłaś już tak dużo, że jego włączenie się do pracy na tym etapie nie może

mieć tak wielkiego znaczenia.

Julie patrzyła na niego i parsknęła śmiechem.

- To nie do Wiary, że tak uważasz. Bull to reżyser preferujący kino akcji. Jego filmy mają cudowne tempo,

jest w nich napięcie, męska przyjaźń i humor, ale delikatności nie ma zbyt wiele, no i nie ma scen, które można

by określić jako subtelne. Zacznie montować, wyrzucać niuanse, wstawiać akcję ... i to, co zrobiłam, będzie nie

do poznania.

- Jego filmy są ... zawsze były kasowe.

- Co oznacza, że Królestwo bagien będzie lepsze, jeżeli on, Bull Bullard, przyłoży do niego rękę?

- Tego nie powiedziałem. Jednak na pewno możliwy jest jakiś kompromis. Jakoś się możecie pogodzić i

pracować razem.

- Jakoś! To "jakoś" oznacza, że ja zrezygnuję ze swojego zdania!

- Nie wierzę, że jesteś aż taka słaba. Tak naprawdę to znam Cię z zupełnie innej strony.

- Nic nie rozumiesz. Bull jest taki, jaki jest. Walka z nim to walka z kamiennym murem. Człowiek albo robi,

jak on chce, albo musi się wycofać. A ja tego nie mogę zrobić. Słyszysz? Nie wycofam się z pracy nad tym

filmem.

- Będiesz chyba musiała, Julie.

Allen powiedział to tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Julie siedziała, patrząc na niego przez dłuższą chwilę, a potem - z rękami założonymi na piersi i ze zmrużonymi oczami - pochyliła się do przodu.

- Dlaczego to robisz? Kiedy podjąłeś taką decyzję? Jesteś pewien, że to nie jest, w jakimś stopniu, zemsta?

- Julie! Mam nadzieję, że nie jestem aż tak małostkowy.

- Ja też mam taką nadzieję - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy - bo nie zniosłabym myśli, że celowo

zadajesz mi cios przy okazji kręcenia tego filmu. I powiem ci coś jeszcze. Nie będę pracowała z Bullem. Ja

znalazłam tę powieść, ja napisałam scenariusz, to jest mój film.

- Można wszystko urządzić tak, że będzie to film Bulla - powiedział Allen z naciskiem.

- Wolalabym to niż figurować jedynie w napisach jako asystent reżysera.

Nie podniosła głosu ani nie dopuściła do tego, żeby jej oczy zabłysły gniewem, chociaż wydawało jej się

przez chwilę, że reżyserzy, tacy jak Spielberg, Friedkin, Robert Benton czy Oliver Stone, są w stanie wyrzucić

producenta. W każdym razie było bardziej prawdopodobne, że oni wyrzucą producenta, niż że producent

wyrzuci ich. Różnica między nią a nimi polegała oczywiście na tym, że ich filmy są bardzo kasowe, i oni dzięki

temu mają władzę.

- Jeżeli zależy ci na figurowaniu w napisach ...

- Dobrze wiesz, że tak nie jest! - krzyknęła, waląc pięścią w oparcie krzesła. - Chcę przerobić ten film na

historię, którą widzę oczami wyobraźni. Chcę zrealizować moją własną wizję tej historii. I pamiętaj: albo zrobię

ten film tak, jak chcę, albo wcale go nie zrobię.

Allen otworzył szeroko oczy.

- Naprawdę grozisz, że rzucisz nie dokończoną robotę?

- Będziesz miał wielkiego Bulla Bullarda. Przed chwilą to ci wystarczało.

Zapadła cisza. Allen badawczo przyglądał się jej twarzy. Z zewnątrz dobiegały różne odgłosy: warkot

silnika, pisk opon ciężarówki wjeżdżającej na parking, gwar ludzkich głosów.

Allen, zirytowany, przeciągnął dłonią po twarzy.

- To nie będzie to samo - przyznał niechętnie.

- To właśnie próbowałam ci powiedzieć.

- Możliwe. Nie mogę jednak zapobiec przyjazdowi Bulla. On już jest w drodze.

Julie uniosła ironicznie brwi, słysząc, z jakim wyprzedzeniem Allen informuje ją o tym.

- Więc będziesz musiał mu powiedzieć, żeby wrócił tam, skąd przyjechał.

- No, nie wiem. Chyba nie mogę tego zrobić. Był tak rozentuzjasmowany, tak cieszyła go myśl, że będzie

pracował z tobą.

Julie nabrała głęboko powietrza i wypuściła je powoli.

- Jak dotąd - powiedziała zduszonym głosem - usiłowałeś schlebiać mi, tyranizować mnie i wzruszać, a teraz

mnie szantażujesz. Pozostaje ci jeszcze tylko obiecać mi wyższe honorarium. - Nie odważyłbym się tak cię

obrazić.

- Gdybyś miał tyle samo szacunku dla mojej inteligencji, co dla mojej uczciwości, doszlibyśmy do czegoś.

Allen usiadł wygodniej i wyciągnął rękę po filiżankę z letnią herbatą. Pociągając łyk, skrzywił się.

Odstawiwszy filiżankę, spojrzał na Julie błagalnie.

- W porządku. Być może powinienem był najpierw naradzić się z tobą, wy badać, co myślisz o pracy z ojcem.

Nie zrobiłem tego i teraz niewiele można w tej sprawie zdziałać. Bull będzie tutaj dziś wieczorem albo jutro. Nie

mogę mu po prostu powiedzieć: "Nasza umowa jest nieaktualna".

- Przypuszczam, że chcesz, żebym ja zrobiła to za ciebie. . Allen uniosł dłoń, jakby chciał zaprotestować. Po

chwili powoli opuścił rękę.

- Boże, Julie, kiedy zrobiłaś się taka cyniczna? - zapytał zdumiony. a potem dodał: - I gdzie ja byłem, dlaczego tego wcześniej nie zauważyłem?

Julie żałowała, że sama nie zna odpowiedzi na to pytanie.

Pomyślała, że zmiana zachodziła w niej stopniowo, od dłuższego czasu. Allen nic nie zauważył, bo, jak

dotąd, rzadko spierali się na temat spraw istotnych.

- Zostawmy sprawy charakterologiczne, dobrze? - zaproponowała.

- Dobrze - powiedział po chwili milczenia. - Chciałem cię poprosić, żebyś porozmawiała z Bullem. Żebyś z

nim porozmawiała i wybadła, czy jest możliwość współpracy. Bo przecież musi być jakiś sposób. W końcu ten

człowiek to twój ojciec!

- I na tym polega problem.

To wyjaśnienie najwyraźniej Allenowi nie wystarczało; po prostu siedział i czekał na odpowiedź.

- Dobrze, porozmawiam z nim. Ale ostrzegam cię: to nic nie da.

Allen zerwał się na równe nogi, obszedł biurko, złapał ją za ręce i przyciągnął do siebie.

- Dzięki, kochanie. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Pocałuj mnie teraz, pokaż, że nie żywisz do mnie

urazy. Wiesz, że nie lubię takiego handryczenia się. A poza tym jeszcze się ze mną nie przywitałaś jak należy.

Julie przechyliła głowę. Ich wargi się spotkały. Było w tym nie tyle pragnienie, ile przyzwyczajenie. Julie, nie

bez poczucia winy, porównała ten pocałunek z pocałunkami Reya. Gdzież był żar, gdzie ta wywołująca dreszcze

bliskość, gdzie porywy zmysłów i cała słodycz? Po chwili odsunęła od siebie wspomnienia i skupiła się na tym,

co mówi Allen.

- W nagrodę za chęć współpracy coś ode mnie usłyszysz. Czy wiesz, że twój ostatni film, Niebezpieczne

CZO\$Y, ma być wyświetlony na otwarciu Festiwalu Filmów Kobięcych?

- Mówisz poważnie?

Odsunęła się trochę, chcąc zobaczyć jego twarz:

- Wiadomość nadeszła w zeszłym tygodniu. Jesteś kandydatką do Kryształowej Nagrody, przyznawanej

najlepszej reżyserce. Jeżeli ją dostaniesz, twoje nazwisko będzie się liczyło tak samo, jak nazwiska Amy

Heckerling i Marthy Coolidge.

- W zeszłym tygodniu? Wiedziałeś o tym już w zeszłym tygodniu, a mówisz mi o tym dopiero dzisiaj?

- Chciałem ci zrobić niespodziankę.

- Festiwal ma się odbyć podczas najbliższego weekendu. Mogłeś zawiadomić mnie wcześniej, żebym mogła

się przygotować.

- Nie masz chyba zamiaru tam jechać, prawda? Myślałem, że będziesz tak zajęta filmem, że zostaniesz tutaj.

Nie pojedziesz tam przecież tylko po to, żeby pozwolić się oklaskiwać przez kilka minut. To miło dostać taką

nagrodę, ale nie jest to nagroda. Stowarzyszenia Reżyserów.

Patrzyła na niego przez chwilę. Zastanawiała się, czy jego lekceważenie dotyczy jej i jej filmu, czy też

wszystkich filmów robionych przez kobiety. Zastanawiała się też, czy ta nuta lekceważenia wymknęła mu się

czy zrobił to celowo, chcąc powstrzymać ją od opuszczenia planu i opóźnienia prac nad Królestwem bagien.

Doszła jednak do wniosku, że jest zbyt zmęczona, żeby robić z tego problem.

- W tym zawodzie - powiedziała chłodno - w ogóle trudno o nagrody. Przyjmę więc każdą.

- To oczywiście zależy od ciebie.

- Tak - zgodziła się zdecydowanie, odsuwając się od niego. - Teraz muszę wracać do pracy. Ciągle jeszcze

kręcę film, przynajmniej chwilowo.

- Julie, poczekaj!

Nie obejrzała się. Wiedziała, że nie będzie mogła się skupić na pracy papierkowej, która czekała na nią w

biurze. Potrzebowała ludzi, kogoś, kto by ją rozerwał i pocieszył. Potrzebne jej były zgiełk i krzątania na

planie. Przeszła przez pokój sekretarki, kierując się prosto do drzwi przyczepy, a potem zeszła po betonowych

schodkach tak szybko, że wyglądało to na ucieczkę. Uświadomiwszy to sobie, zwolniła kroku, a potem się

rozejrzała.

Vance z dworem rozłożył się pod wielkim cyprysem w pobliżu mola. Siedział rozwalony w jednym z

dwóch foteli i mówił coś do wianuszka skupionych wokół niego kobiet w różnym wieku. Spojrzawszy uważniej,

Julie przekonała się, że Vance udziela wywiadu. Jakaś młoda kobieta z szopą włosów na głowie i okularach w

rogowej oprawie bazgroliła coś w notatniku. Siedziała naprzeciwko Vance'a od czasu do czasu sprawdzała, czy

działa mały magnetofon umieszczony na stoliku między nimi.

Przez parking szła Ofelia. Była najwyraźniej w dobrym humorze; miała na sobie bawełniany

jaskrawopomarańczowy kombinezon, a w uszach dyndały jej ogromne kolczyki z turkusów i drewna, z których

zwisały szklane paciorki nanizane) na paski ze skóry. W ręce trzymała plik formularzy z przytwierdzonymi

fotografiami robionymi z polaroida.

- Dzień dobry! - krzyknęła. - W wolnej chwili chcę ci pokazać kandydatów na statystów do scen kręconych w

mieście. Mam też wspaniałą wiadomość. Nauczycielka, opiekunka Summer, opuściła nas. Jej córka zaczęła za

wcześnie rodzic i babcia in spe poleciała wczoraj wieczorem do Los Angeles.

- Cudownie - zgodziła się lakonicznie Julie.

Odetchnęła głęboko, wzdychając przy tym ciężko. Zgodnie z kalifornijskim prawem, dziecku, które gra

w filmie, musi towarzyszyć zatwierdzony przez władze oświatowe nauczyciel-opiekun. Jego zadaniem jest

zapewnienie dziecku edukacji oraz dbanie o jego zdrowie, bezpieczeństwo i moralność. Kobieta, która właśnie

wyjechała, była doskonała w swoim fachu - robiła, co do niej należało, nie przeszkadzając w zdjęciach. Nie

miała też problemów z Summer.

- Mogę zadzwonić do miejscowych władz szkolnych. Zobaczymy, kogo mogą dla nas znaleźć.

- Nie, poczekaj - powiedziała Julie, gdyż przyszedł jej do głowy pewien pomysł. - Kiedy pojawi się Rey,

zapytaj go, czy Donna Lislet nie zechciałaby się tego podjąć. Rey mówił mi, że ona jest nauczycielką. Resztę

chyba będzie można załatwić z Urzędem do spraw Dzieci.

- Rey już gdzieś tu jest - powiedziała Ofelia, robiąc notatkę na marginesie formularza. - W każdym razie jego

dżip tam stoi.

Julie poczuła skurcz mięśni w dole brzucha. Nie miała pojęcia, co Rey czuje w związku z przyjazdem

Allena ani jak się mają sprawy między nimi po tej nocy na plaży. Na myśl o tym, że ma go teraz zobaczyć, w

obecności tak wielu ludzi, napięcie narastające w niej powoli przez cały rano niemal eksplodowało.

Ofelia podniosła głowę znad notatek i zapytała:

- Co to za gadanie, że Buli ma się tu pojawić?

- To ta wieść już się rozeszła?

- Krąży jak cyklon. Połowa ekipy jest zdania, że przyjeżdża po to, żeby odwiedzić swoją ukochaną jedynaczkę, a połowa, że po to, by przejąć film. Masz mi coś do powiedzenia na ten temat?

- Jeszcze nie.

- W porządku. Ale mogłaś mnie ostrzec. Miałabym wtedy okazję się wykazać, - znalazłabym mu pokój, a

może i biuro.

- Zrobiłabym to z przyjemnością - powiedziała Julie ironicznie - gdybym wiedziała, że przyjeżdża.

Dowiedziałam się o tym przed chwilą.

- Ach, mężczyźni! Trudno z nimi wytrzymać.

Ofelia położyła sobie dłoń na obfitym biodrze i kiwnęła głową w stronę Vance'a.

- Spójrz tylko na tego potentata. Zobacz, jak bryluje i jak całe to koło gospodyń wraz z Lois Lane podziwia

wśród ochów i achów perły mądrości padające z jego ust.

- Koło gospodyń?

- Klub gospodyń domowych czy coś takiego. Zadzwończyły parę dni temu i pytały, czy mogą przyjechać na

plan. Vance był wtedy w biurze i usłyszawszy, że te baby oglądają wszystkie odcinki serialu, w którym on

występuje, postanowił zaszczyścić je rozmową. Skąd pochodzi dziennikarka, nie wiem. Mam nadzieję, że jest

naprawdę dziennikarką.

Różni ludzie często udają, że są dziennikarzami, kiedy chcą spędzić kilka minut sam na sam z gwiazdą.

Robi się wszystko, żeby zapobiec takiemu łamaniu zasad bezpieczeństwa, jednak trudno jest ochronić żadnych

rozgłosu aktorów.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała Julie.

- Czy Vance opowiadał ci o tej dziennikarce, która doprowadziła do tego, że ściągnął spodnie? Nie? To było

podczas kręcenia jakiegoś filmu chyba w Nowym Meksyku. Na plan przyjechała jakaś ładna

dziewczyna.

Opowiadała, że pracuje w pewnej gazecie studenckiej, że zakłada klub fanów i chce zdobyć materiał specjalny

dla tej gazety. Tak sobie rozmawiali, atmosfera stała się nieco rozerotyzowana, wiesz, znasz Vance'a. W

pewnym momencie dziewczyna mówi, że wspaniale byłoby, gdyby mogła opowiedzieć fankom, jaką on nosi

bieliznę. On jej mówi, jaką, ona udaje, że nie wierzy, i twierdzi, że bieliznę tej firmy nosi jej dziadek. Koniec

końców on opuszcza spodnie, żeby jej pokazać, mając być może nadzieję na dalszy ciąg. Ona dokładnie

oglądała metkę z tyłu, a także jego pośladki, a potem mówi "dziękuję" i odchodzi. Wkrótce okazało się, że taka

gazeta studencka w ogóle nie istnieje.

Julie uśmiechnęła się, kręcąc głową.

- Biedny Vance. Rozumiem teraz, dlaczego tak chroni swój tyłek.

- Akurat, biedny! Założę się, że na to zasłużył. Założę się też, że gdyby uważał, że zostanie dzięki temu

supergwiazdorem, błyskawicznie ściągnąłby portki przed kamerą. Ja nie mogę się nadziwić, do czego ludzie są

zdolni. Chociażby ty dla swojej sztuki zrobiłabyś wszystko, wszystko!

Głos Ofelii, która nigdy zresztą nie mówiła cicho, zabrzmiał tak donośnie, że Vance spojrzał w ich stronę, a potem zmarszczył brwi. Patrząc na niego i zastanawiając się, czy przypadkiem nie słyszał, co mówią,

Julie omal nie przeoczyła ostatniej uwagi Ofelii. Po chwili jednak odwróciła się i zapytała:

- O czym ty mówisz?

- Czyżbyś nie wiedziała?

Ofelia rozejrzała się i mrugnęła, patrząc ponad prawym ramieniem Julie.

- Cześć, Rey. Jak leci? O, cześć, Summer. Masz już nową nauczycielkę?

- Zjedliśmy z Reyem śniadanie - powiedziała dziewczynka, podnosząc głowę i chwytając Reya za rękę ~k,

jakby się obawiała, że ktoś go zabierze.

- Mama Summer nie czuje się dziś zbyt dobrze - powiedział Rey.

- Boli ją głowa - dodała Summer. - Musiała się położyć. Mówi, że nie ma pojęcia, jak sobie ze mną poradzi

bez kogoś, kto pomoże mi w lekcjach.

- Staramy się o nauczycielkę dla ciebie - powiedziała Ofelia, mrugając do Julie. - Ja muszę już iść.

Porozmawiamy później.

Kiedy Ofelia odeszła w stronę przyczepy mieszczącej biuro, Rey spojrzał na Summer.

- Idź do mamy, sprawdź, czy czegoś nie potrzebuje. I zapytaj, czy możesz popłynąć ze mną w dół rzeki, na

jakąś godzinkę.

Dziewczynka uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

- Dobrze. Zaraz wracam!

Rey popatrzył, jak biegnie do karawangu. Summer szybko przebierała nogami w niebieskich dżinsach,

a jej włosy, przypominające jedwab w kolorze piasku, powiewały za nią. Kiedy znalazła się wystarczająco

daleko, by nie usłyszeć, Rey spojrzał na Julie; jego ciemnobrązowe oczy patrzyły tak samo ciepło jak wtedy, gdy

zwrócone były na Summer.

- Jak się masz? Chce ci się spać?

- Drzemka by mi nie zaszkodziła.

Julie położyła sobie rękę na karku i przeciągnęła się.

- Mnie też nie chciało się wstawać - powiedział Rey.

- Przykro mi z powodu Allena. On zwykle nie jest taki nieznośny.

- Podejrzewam, że ja na jego miejscu byłbym skłonny kogoś zamordować. I tym kimś nie byłabyś ty.

Julie patrzyła na niego przez chwilę, porównując potężne ciało Reya z sylwetką narzeczonego.

- Przemoc fizyczna to nie w stylu Allena. On woli szermierkę słowną.

- Jest to kulturalne, ale raczej nie satysfakcjonujące - powiedział Rey ironicznie, a potem zaczął mówić

szybciej, gdyż z karawaningu, trzaskając drzwiami, wyszła Summer i biegła w ich stronę. - Czy wiesz, że

Annette Davett jest alkoholiczką?

- Nie wiedziałam o tym, ale nie mogę powiedzieć, że to mnie dziwi.

- Dziś rano była pijana ... czy ... w każdym razie zalana ... nie po raz pierwszy zresztą. Summer robi, co może,

żeby ją kryć, ale mówi, że matka ciągle bierze jakieś pigułki, i to garściami.

- Co do tej nauczycielki ... zastanawiałam się, czy Donna nie mogłaby ...

- Julie! Dobrze, że cię złapałem przed wyjazdem. - Allen stał na stopniach przyczepy biurowej, z teczką w

ręku. Zszedł szybko na dół i podszedł do Julie, ignorując Reya. - Przed chwilą miałem telefon z Los Angeles.

Bull wyjechał stamtąd rano i jedzie do Nowego Orleanu. Chce się ze mną spotkać w hotelu, w którym

mieszkam, więc jadę. Uważam, że powinniśmy się spotkać dziś wieczorem i zjeść razem kolację. Powiedziałem

więc Ofelii, żeby zorganizowała limuzyny, które przewiozą wszystkich do miasta. Wypijemy parę drinków,

jemy coś dobrego i pogadamy sobie z dala od planu.

- Przewiozą wszystkich? - zapytała Julie chłodno.

- No wiesz, Vance'a, Madelyn, Summer z matką, wszystkich najważniejszych. Zresztą, kogo chcesz.

- Myślałam, że najpierw porozmawiam z Bullem na osobności.

- Możesz to zrobić później, kiedy już wszyscy wyjdą. Oczywiście zamieszkaś tymczasem ze mną w hotelu

Windsor Court. Nie zapomnij spakować torby i przywieźć jej ze sobą.

Wzrok Allena skierował się gdzieś w bok, a potem spotkał się ze wzrokiem mężczyzny, który stał obok

Julie. Rey odpowiedział mu przeciągłym, chłodnym i stanowczym spojrzeniem, a potem odwrócił się powoli do

Julie. Z uśmiechem na ustach, ale nie w oczach, powiedział:

- Dziękuję, że mnie ostrzegłaś. Pewnie niedługo zostanę trafiony szpadą.

Julie przenosiła wzrok z Allena na Reya i z powrotem, a na jej twarzy wściekłość walczyła ze wstydem.

W końcu, patrząc na Allena, powiedziała dobitnie:

-Jeżeli pojedę teraz z tobą, będę mogła porozmawiać z Bullem, zanim przyjadą pozostali. Później wrócę tutaj

razem z nimi. Nie zostanę w hotelu. Nowy Orlean jest za daleko stąd. Niewygodnie by mi było tam mieszkać.

Allen wyciągnął rękę i wziął ją za ramię.

- Jestem pewien, że coś wymyślimy. Porozmawiamy o tym po drodze.

W tej samej chwili otworzyły się z hałasem drzwi biura. Ukazała się w nich Ofelia. Jej kolczyki pobrzękiwały, twarz była zarumieniona, a oczy szeroko otwarte.

- Allen, poczekaj, nie jedź! Słuchajcie wszyscy!

Jej głos odbijał się echem od drzew rosnących nad rzeką, a ona krzyczała stojąc na najwyższym schodku

z rękami na biodrach i szeroko rozstawionymi stopami. Allen odwrócił się i patrzył na nią unosząc jedną brew.

- Musimy natychmiast opróżnić parking! - krzyczała Ofelia. - Usuńcie samochody, ciężarówki, wszystkie

pojazdy! Mieliśmy przed chwilą telefon z Dallas. Jedzie do nas Bull Bullard, będzie tu za piętnaście minut!

- To dobrze - powiedział Allen - ale dlaczego taki popłoch?

- Nie ma tu lądowiska. Mamy piętnaście minut na to, żeby je stworzyć! On leci helikopterem!

Kurz i piasek wirowały, tworząc chmurę. Wierzchołki drzew kołysały się, a trawa rosnąca na obrzeżu

parkingu drżała przyparta podmuchem do ziemi. Powierzchnia rzeki pokryła się tysiącem zmarszczek, a łódki

przywiązane do mola kołysały się, naciągając liny. Ryk silnika helikoptera i warkot wirnika uniemożliwiały

rozmowę. Mrużąc oczy i odgarniając rozwiane włosy z twarzy, Julie pochyliła się, wchłonięta przez wir.

Aktorzy i członkowie ekipy zebrani wokół niej zrobili to samo.

Helikopter z Bunem na pokładzie pojawił się jak deus ex machina. Zawisł nad parkingiem, opróżnionym

z zawrotną szybkością. Pojazdy, które się tu znajdowały, rozpierzchnęły się po całej okolicy i stały teraz za

przyczepami, za karawaningami i poza terenem klubu jachtowego albo gdzieś wzdłuż autostrady. Schodząc

powoli w dół, helikopter usiadł na przygotowanym miejscu. Silnik cichł stopniowo, a wirnik obracał się coraz

wolniej.

Dziennikarka, która przeprowadzała wywiad z Vance'em, znajdująca się teraz w pobliżu Julie. z

podniecenia nie mogła ustać w miejscu. Pochylając się w stronę aktora, krzyknęła:

- Nie mogę w to uwierzyć! Nie mogę uwierzyć, że to sam Bullard! Jak pan myśli, czy on powie mi kilka

słów?

- Niech pani spróbuje go o tą poprosić - powiedział Vance, uśmiechając się chytrze.

- Myśli pan, że powinnam? Nie wiem, jak panu dziękować za to, że przekonał pan wartownika, by pozwolił

mi tu zostać. Był pan naprawdę cudowny.

- Niech pani napisze o mnie parę miłych słów.

- Oczywiście - krzyknęła dziewczyna - oczywiście, napiszę! — Madelyn, stojąca wraz z Reyem obok Julie,

spojrzała na Vance'a i dziennikarkę z pełnym politowania uśmiejkiem.

- Vance najwyraźniej zapewnił sobie następny kawałek reklamowy. Czy to nie wzbudzające?

- To chyba normalne w życiu gwiazdora?

Uwaga Julie skupiła się na potężnej postaci Bulla, który wstawał właśnie z siedzenia w helikopterze.

Wyglądał dobrze, jego wyrazista twarz była opalona, co nadawało jej zdrowy wygląd, siwe, przerzedzone już

włosy były zaczesane do tyłu, a orzechowe oczy przytomne i czujne.

Madelyn wzruszyła ramionami.

- Co do mnie, to wolę reklamę rozsądnie dawkowaną. Sława to rzecz ważna, ale nie zapewnia emerytury.

- Ty nie powinnaś się martwić o emeryturę.

- Oj, moja droga, żyje się już parę lat na tym świecie. Oczywiście jestem młodsza od twojego ojca, choć to on

udzielał mi pierwszych wskazówek. Kiedyś stanowiliśmy przedmiot plotek. Wiedziałaś o tym?

Julie zerknęła na aktorkę ze zdziwieniem.

- Ty i Bull?

- Nie dziw się tak. Istniało nawet pewne prawdopodobieństwo, że zostanę twoją macochą. Ale nie byłam

właściwie w jego typie.

- On też chyba nie był w twoim.

- O, Bull potrafi być czarujący. Na swój sposób, oczywiście. Jest taki nieskomplikowany. No wiesz, jego

zdaniem miejsca kobiety i mężczyzny są jasno określone. A ja, mimo że lubię płacić za siebie, lubię też czasami

mieć przy sobie mężczyznę, który zatroszczy się o rachunek, nie mówiąc już o otwieraniu drzwi.

Bull wyciągnął właśnie rękę do pilota, który wyładował jego podróżną torbę. Schylając się, żeby nie

zawadzić głową o wciąż kręcący się wirnik, odwrócił się i spojrzął na zgromadzony tłum. Gdy Allen wyszedł

mu naprzeciw, wykrzykując słowa powitania, ruszył w jego stronę. Podali sobie ręce i Bun wyprostował się. Coś

powiedział, a Allen wskazał Julie. Uśmiechając się szeroko, Bull Bullard ruszył do córki.

Zasła mu drogę młoda dziennikarka z magnetofonem w ręce. Długie, kręcone włosy rozwiewały się wokół jej twarzy, oczy miała szeroko otwarte z podniecenia.

- Mam wielki zaszczyt jako pierwsza powitać pana w Luizjanie, panie Bullard. Byłabym wdzięczna, gdyby

zechciał pan powiedzieć kilka słów dla mojej gazety.

- Może później. Nie teraz.

- To zajmie tylko chwilkę. Mógłby mi pan powiedzieć, co pana tutaj sprowadza? Czy to prawda, że przejmie

pan pracę nad Królestwem bagien jako nowy reżyser tego filmu?

Bull ostro popatrzył na dziewczynę.

- Nie mam nic do powiedzenia na ten temat. Po prostu odwiedzam córkę. To wszystko.

Szedł do Julie z otwartymi szeroko ramionami, odsuwając na bok i magnetofon, i trzymającą go młodą

kobietę. Julie z ulgą i uśmiechem na ustach zrobiła krok w jego stronę. Mimo wszystko to był Bull, jej ojciec.

Uściskał ją mocno i serdecznie, a jego uścisk przyniósł odległe, ale wyraźne wspomnienie poczucia bezpieczeństwa.

Julie cofnęła się ze śmiechem, a potem zamrugła szybko, chcąc usunąć łzę, która pojawiła się w oku, i

odwróciła się, przedstawiając Bullowi Reya. Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie mocno dłonie i zmierzyl się

ważnym wzrokiem.

- Miło mi pana poznać - powiedział Rey. Bull wydał lekki pomruk.

- Słyszałem o panu i o pana pracy. Później będę się chciał dowiedzieć o niej więcej.

Rey skłonił głowę. Zanim zdążył się odezwać, podeszła do nich Madelyn.

- Co za widowisko, Bull - powiedziała, przeciągając samogłoski. - Helikopter! Nie jesteśmy w Czarnej

Mryce.

- Madelyn, moja droga, znasz mnie przecież, wiesz, że zawsze się spieszę.

Rozległ się jego niski śmiech płynący prosto z brzucha, a potem Bull schylił się, żeby ją pocałować.

Aktorka przedłużyła ten pocałunek do paru sekund, położywszy na jego karku dłoń z długimi paznokciami

pociągniętymi francuskim krwistoczerwonym lakierem.

W tej samej chwili znajdujący się za nimi helikopter wystartował, wznosząc tumany kurzu i jeszcze raz

zagłuszając wszelkie dźwięki. Julie pochyliła się w stronę Bulla i krzyknęła mu do ucha:

- Musimy porozmawiać. Sam na sam. Jak najszybciej.

- Oczywiście! - odkrzyknął kiwając głową. - Ale najpierw muszę się przywitać ze wszystkimi.

Zaczął chodzić tam i z powrotem, podając rękę operatorom kamery i dźwiękowcom, elektrykom i obsłudze kuchni, a także operatorowi obrazu, montażyście i Ofelii. Julie zauważyła, że Stan trzymał się z tyłu i

przywitał Bulla krótkim kiwnięciem głowy, nie podszedł jednak do niego jak wszyscy inni.

Zanim zdążyła się zorientować, ojciec zebrał wokół siebie sporą gromadkę i zaczął wszystkich zachęcać,

żeby opowiadali mu o pracy nad filmem. Chciał słyszeć o śmiesznych wydarzeniach na planie, o problemach i

sukcesach. Wkrótce potem, zastanawiając się z Ofelią, gdzie urządzić biuro dla Bulla, Julie usłyszała, że ktoś

włącza silnik motorówki. Rozejrzała się i zobaczyła, że Bull i Rey, wraz z siedzącą między nimi Summer, jadą

ślizgaczem w dół rzeki. Położyła ręce na biodrach i zacisnęła usta, obserwując oddalający się

ślizgacz.

Cała trójka wróciła dopiero po południu. Bull i Summer byli opaleni i pełni wrażeń. Dopłynęli aż do kanału Manchac, a potem przycumowali ślizgacz i poszli na lunch do Middendorfa. Bull powiedział, że ten

lunch był ucztą co się zowie. Miał parę pomysłów. Chciał je omówić z Julie i być może porównać z tym, co już

zrobiła. Ale najpierw zamierzał się odświeżyć i przygotować do wyjazdu do Nowego Orleanu, który obiecał im

Allen. Rey zaproponował, żeby wszyscy pojechali do domu jego ciotki, napili się czegoś, wzięli prysznic i dla

odprężenia posiedzieli na galerii. Bull. był gotów przystać na to wszystko, a zwłaszcza na drinka.

Julie, wściekła ale milcząca, wykapała się i ubrała do obiadu.

Jak dotąd Rey spędził z ojcem więcej czasu niż ona. Była pewna, że to nie przypadek. Bull potrafił być

przebiegły. A ona przez chwilę, zaraz po jego przybyciu, żywiła nadzieję, że ojciec nie spiskuje z Allenem.

Nadzieja ta szybko jednak gasła.

Julie wyjęła z szafy drobno plisowaną sukienkę z brzoskwiniowego jedwabiu i znieruchomiła,

nasłuchując. Rey i ojciec wciąż pili na galerii. Jeżeli Bull wypije jeszcze jedno piwo i rozbawi się jeszcze

bardziej, będą musieli zapakować go szybko do samochodu. Siedziała z nimi dość długo, wypła kieliszek wina i

napatrzyła się na wieczorną paradę paw. Wycofała się jednak, bo słyszała opowieści Bulla setki razy i nie miała

ochoty wysłuchiwać ich jeszcze raz z nowymi ozdobnikami.

Gdyby to nie było zbyt nieprawdopodobne, podejrzewałaby Reya, że zachęca ojca do opowiadania o swoich wyczynach. Julie nie miała jednak pojęcia, po co Rey miałby to robić. Tak czy inaczej, sądząc po

salwach śmiechu, obydwaj dobrze się bawili.

Przez chwilę usiłowała sobie wyobrazić ojca i Allena w takiej sytuacji. Nie udało jej się to jednak Po

pierwsze, Allen nie miał zwyczaju mówić o swoich słabościach ani żartować na swój temat. Po drugie, był

wybredny, jeżeli chodziło o trunki. Nie lubił piwa, preferował wina dobrych roczników, a jeżeli pił coś

mocniejszego, musiało to mieć kilkanaście lat i pochodzić z dalekiej Szkocji. Allen znany był z tego, że jadąc

tam, gdzie oferuje się gorsze trunki, zabiera ze sobą własną butelkę Glenfiddich. Zdecydowanie nie pasował do

towarzystwa takich równych chłopów, jakimi byli Bull i Rey.

Stosunki Allena z Bullem cechowała powierzchowna serdeczność. Rzadko jednak rozmawiali o czymś,

co nie było związane z robieniem filmów. Trudno byłoby znaleźć dwóch mężczyzn mających mniej wspólnego.

Po długich latach Julie doszła do wniosku, że nie był to zbieg okoliczności. Wybrała Allena, bo był pod każdym

względem przeciwieństwem ojca.

A poza tym Bull nigdy nie pogodził się z faktem, że córka mieszka z mężczyzną. Początkowo zawzięcie

się o to kłócili. Kiedy Bull przekonał się, że nie zmusi jej, by robiła tak, jak on chce, przestał wygłaszać tyrady i

wściekać się, jednak nigdy się z tym nie pogodził. Po prostu udawał, że ta część jej życia nie istnieje. A udawać

umiał niezłe, gdyż hollywoodzką karierę rozpoczynał jako aktor grający epizody w drugorzędnych filmach.

Ironia losu polegała na tym, że Allen podziwiał go bardzo i pragnął się do niego zbliżyć. Nie był to

bałwochwalczy podziw, jakim w dzisiejszych czasach obdarza się reżyserów kasowych filmów; płynął z faktu,

że Allen doceniał artyzm Bulla. Bull zawsze kładł nacisk na akcję i przygody, jednak tematy, którymi się

zajmował, sięgały korzeniami Biblii i Szekspira, Czechowa i Ibsena. To, według Allena, stawiało go

zdecydowanie ponad tymi reżyserami gówniarzami, którzy czerpali inspirację z telewizyjnych seriali i

kreskówek i oferowali widzowi tanią tandetę. Allen wcale nie żartobliwie mawiał, że nie może się doczekać,

kiedy reżyserzy urodzeni podczas wyżu demograficznego przekonają się, iż świat nie zawsze jest sprawiedliwy,

a .dobrzy nie zawsze zwyciężają i tak dalej. Opinie te zachowywał oczywiście tylko dla Julie, nie wygłaszał ich

publicznie.

Julie podejrzewała, że zorganizował konwój limuzyn specjalnie dla zaspokojenia próżności

Bulla, gdyby nie to, że powiedział jej o tym, zanim Bull przyleciał. Myśląc o tym teraz doszła do wniosku, że

samochody z szoferami są dobrym znakiem - ona, Julie, nie została usunięta na boczny tor, jest wciąż ważna i

zasługuje na specjalne traktowanie. Jeszcze bardziej by się cieszyła, gdyby nie świadomość, że koszty tego

wieczoru zostaną pokryte z budżetu jej filmu, i gdyby nie podejrzewała, że ten gest ma też zaspokoić próżność

Allena, który przez obecność limuzyn chciał podnieść własny prestiż.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że Allen zrobił to, co zrobił. Patrząc na siebie w lustrze i biorąc buteleczkę z

make-upem i malutką gąbkę zastanawiała się, do jakiego stopnia narzeczony nie zdaje sobie sprawy z tego, że

wymaga od niej zbyt dużego poświęcenia. Podczas rozmowy, w zdenerwowaniu, oskarżyła go o to, że

sprowadza jej ojca z zemsty. Jednak teraz, kiedy zdała sobie sprawę, jak dawno musiał to ustalić z Bullem,

wydało jej się to raczej niemożliwe.

Chyba że był na bieżąco informowany o jej posunięciach. Podejrzewała, że wśród jej ludzi może być

kapuś, ktoś, kto zawiadamia Allena o wszystkich szczegółach i problemach. Ta myśl była przygnębiająca. Jak

powiedział Stan, ekipa filmowa jest rodziną. Podczas kręcenia filmu oddanie sprawie, lojalność wobec reżysera i

pozostałych jej członków jest czymś oczywistym. Plotki to co innego, mogą się zdarzać. Ale dostarczanie

producentowi informacji jest poważną zdradą, żalosnym podlizywaniem się. Oczywiście ktoś mógł powiedzieć,

że Allen, jako producent, powinien być informowany. Jednak ten argument tracił moc w chwili, gdy producent

dogaduje się za plecami reżysera z firmą ubezpieczeniową i studiem.

Opuściwszy wreszcie swój pokój, Julie wyszła na galerię i zastała tam tylko ciotkę Tine. Wyglądało na

to, że mężczyźni poszli wreszcie wziąć prysznic. Ciotka Tine nie musiała się przebierać, gdyż z nimi nie jechała.

Julie zaprosiła ją, ale starsza pani odmówiła. Zamierzała zająć się przygotowywaniem jambalaj dla czterystu

osób, na piątkowe przyjęcie weselne. Resztę potraw zamówiono w restauracji, w której miało się odbyć

przyjęcie. Jambalaya miała być jednak prezentem od przyjaciół i sąsiadów panny młodej.

Julie i ciotka Tine gawędziły leniwie o tym i o owym: Starsza pani zdradziła kilka szczegółów

związanych z weselem, opowiadała o ślubie wnuczki pewnej przyjaciółki, który odbył się w małej drewnianej

kapliczce nad rzeką, zwanej kapliczką Matki Boskiej z Blind River. Julie zauważyła tę kapliczkę przejeżdżając

tamtędy, nie zdawała sobie jednak sprawy z jej znaczenia. Jak przystało na Cajunów, wszyscy ci, którzy spędzali

niedziele nad rzeką łowiąc ryby, polując i odpoczywając, czuli potrzebę kontaktu z Bogiem. Zamiast skracać

czas pobytu nad wodą i jeździć do kościoła, zbudowali po prostu kaplicę, w której mogli dziękować Bogu za te

przyjemności. Ciotka Tine opowiadała również o przyjaciółach, którzy mają obozowiska nad rzeką i nad

jeziorami, i o tym, że przywożą jej własnoręcznie złowione ryby i krewetki, oraz o synu pewnej przyjaciółki,

który pracuje na moczarach jako gajowy wyróżniając się w tej pracy.

Julie natomiast opowiedziała o Kalifornii, o czasach, gdy żyła nad brzegiem morza i zaczynała robić filmy. W pewnym momencie przyszło jej do głowy, że ciotka wyciągnęła z niej zadziwiająco dużo informacji o

tym okresie jej życia, kiedy mieszkała z Bullem. Zainteresowanie starszej kobiety jej życiem było rozbijające

szczerze, dzięki czemu przepytanie okazało się bezbolesne. Julie została jednak uratowana od całkowitej

spowiedzi, gdyż na galerię wrócili Bull i Rey.

Bull przebrał się w spodnie i ładną marynarkę, które - wraz z koszulą i krawatem - stanowiły harmonijny

zestaw brązów. Jego ubrania były w dobrym stanie i w dobrym gatunku, ale nic ponad to. Traktował je jak coś

koniecznego i praktycznego, a nie jako oznakę własnego stylu. Wszelkie wysiłki, żeby to zmienić, okazywały

się zawsze bezskuteczne.

Na widok Reya natomiast Julie otworzyła szeroko oczy. Jego lekki garnitur miał płynne linie i staranne

wykończenie, charakterystyczne dla firmy Caraceni z Via Campagna w Rzymie. Koszula była jedwabna, a

spinki u mankietów miały stłumiony połysk osiemnastokaratowego złota.

To, że ją znowu zaskoczył, było irytujące. Julie wiedziała dobrze, że nie jest biedny, jednak z trudem przyjmowała do wiadomości oznaki takiego bogactwa. Winą za to oczywiście obarczała Reya. Bo dlaczego, na

litość boską, człowiek z jego środowiska ugania się w środku nocy po bagnach? To pytanie zaczęło ją

prześladować. Nie była jednak pewna, czy chce poznać odpowiedź.

Wreszcie ukazała się kawalkada limuzyn nadjeżdżająca od strony miasta. Posuwała się powoli i majestatycznie. Wjechała na podjazd i zatrzymała się obok domu.

- Tiens - krzyknęła ciotka Tine myśląca wciąż o weselu - to wygląda jak orszak ślubny ... albo kondukt

pogrzebowy.

Miała rację. Kawalkada składała się z pięciu perłowoszarych limuzyn tak wypucowanych i błyszczących,

że - jak powiedział Bull żartobliwie - mucha nie odważyłaby się na nich usiąść. Patrząc, jak jedna po drugiej

zajeżdżają przed dom, Julie poczuła, że policzki jej płoną. W Los Angeles, Las Vegas czy Nowym Jorku taki

widok byłby czymś naturalnym, ale tutaj, przed skromnym starym domem ciotki Tine, wyglądał na ostentacyjną,

typowo hollywoodzką manifestację braku gustu.

Teoretycznie przeznaczono po jednej limuzynie dla każdego z trojga głównych aktorów - dla Vance'a,

Madelyn i Summer. Czwarta powinna być dla Julie i Allena, a piątą bez wątpienia dodano w Qstatniej chwili dla

Bulla. W rzeczywistości natomiast trzy limuzyny były zatłoczone, podczas gdy Madelyn jechała z Allenem w

czwartej, a piąta była pusta. Kiedy kierowca otworzył drzwiczki, Allen wysiadł i podszedł do schodków

prowadzących na galerię, na której stała Julie z ojcem, ciotką Tine i Reyem. Allen podał rękę starszej pani,

mówiąc kilka stosownych do sytuacji słów, a potem zwrócił się do Julie:

- Wsiadamy? Madelyn zabierze Bulla i Tabary'ego. Dzięki temu będziemy mieli czas porozmawiać.

Jego pewność, że Julie postąpi tak, jak sobie zaplanował, i że wszystko jest między nimi w porządku,

rozzłościła ją. Starając się mówić tonem najbardziej uprzejmym oświadczyła:

- Przykro mi, Allenie, ale podczas jazdy chciałabym porozmawiać z Bullem. Ty i Rey możecie jechać z

Madelyn. Jestem pewna, że ona nie będzie miała nic przeciwko tej zmianie.

Twarz Allena stężała. Jego wzrok pobiegł ponad głową Julie i zatrzymał się na podłodze galerii. Nie zauważywszy tam jej torby podróżnej, której najwyraźniej się spodziewał, spojrzął na narzeczoną z wyrzutem.

- Jak wolisz - powiedział krótko. - Zobaczymy się więc w Nowym Orleanie:

- Chwileczkę - odezwał się Bull serdecznym tonem - Rey opowiadał mi, jak się łowi krewetki na jeziorze

Pontchartrain i obiecał, że może mi załatwić wycieczkę na to jezioro z jednym ze swoich kumpli. Niech jedzie z

nami, opowie mi po drodze trochę więcej.

Julie po raz pierwszy słyszała o wycieczce na połów krewetek.

Już otworzyła usta, żeby się sprzeciwić, ale rozmyśliła się i nic nie powiedziała. Nie chciała, aby Rey

słyszał to, co miała do powiedzenia, ale lepiej było to powiedzieć w jego obecności niż w obecności Allena, On

przynajmniej nie był stroną zainteresowaną.

Po ustaleniu, kto gdzie siedzi, limuzyny ruszyły w drogę. Dzieci machały rękami, a dorośli zatrzymywali

się, żeby popatrzeć na kawalkadę jadącą drogą nad rzeką. Pojazdy posuwały się z dużą szybkością wzdłuż

wijącej się jak wąż grobli i wzdłuż ciągnących się całymi akrami pól trzciny cukrowej, mijały zakłady

chemiczne i skrzynie, w których trzymano ziarno przed załadowaniem na frachtowce, a także porządne uliczki

mieszkalnej części miasteczka Lutch. Następnie skręciły w lewo, w Airline Highway prowadzącą do Nowego

Orleanu.

Julie siedziała, patrząc przez przydymioną szybę, która ją zasłaniała przed spojrznięciami z zewnątrz, i słuchając dudniącego głosu ojca. Interesował go dosłownie każdy szczegół związany z połowem krewetek.

Prawie nie czekał na odpowiedzi Reya, poruszając coraz to nowe problemy.

Robił to celowo. Julie nie wiedziała, co chce zyskać, odkładając ich rozmowę. W końcu miała tego dosyć.

- Słuchaj, Bull - powiedziała stanowczo, korzystając z pierwszej pauzy - chciałabym się dowiedzieć, czy

Allen naprawdę omawiał z tobą możliwość twojej współpracy ze mną przy tym filmie.

Bull odwrócił się powoli twarzą do córki. Jego oczy patrzyły badawczo. Opadł na oparcie i położył swoje

duże dłonie na kolanach.

- Zdaje mi się, że nie jesteś z tego zadowolona - powiedział.

- A ty na moim miejscu byłbyś zadowolony? - zapytała spokojnie, lecz stanowczo. - Janie widzę takiej

potrzeby. O ile wiem, nazwisko reżysera nie przyczynia się do tego, że sprzedaje się więcej biletów.

Bull zacisnął usta.

- Nie sądzę, że Allenowi chodziło głównie o to.

- Czy twoim zdaniem on uważa, że ja nie dam rady skończyć tego filmu? Wiem, że były pewne problemy, ale

inni reżyserzy radzą sobie z takimi sprawami.

- To możliwe, ale Allen będzie się chyba czuł pewniej ... Przerwała mu, starając się bardzo, żeby jej głos był

spokojny. - Nie chcę, żebyś ty miał coś wspólnego z tym filmem, Bull.

- Bardzo mi przykro, że tak reagujesz - westchnął ciężko. - Cieszyłem się, że będę mógł pracować nad tym

filmem.

- Nie cieszyłbyś się, gdybym to ja miała przejąć twoją pracę.

- Nie miałem zamiaru nic przejmować. Chciałem tylko pomóc.

- Ty nie potrafisz pomagać - powiedziała Julie z rozpaczą. - Pamiętasz, jak w ósmej klasie miałam przygotować doświadczenie na kółko fizyczne? Zrobiłam błąd i poprosiłam cię o pomoc, a ty zaangażowałeś w

to kierownika produkcji, plastyka i technika, którzy pracowali nad tym przez cały weekend!

- No i zadanie zostało wykonane, nie?

- O tak, ale nie przeze mnie. Nie miało nic wspólnego z tym, co zaczęłam robić sama.

- Aha - powiedział.

- No właśnie. Dlaczego ty i Allen nie możecie zrozumieć, że ja wiem, co robię, wiem, co chcę osiągnąć?

Dlaczego nie zostawicie mnie w spokoju?

- Może dlatego, że się boimy.

- Boicie się? Czego? Że będę szastała pieniędzmi i w końcu nic z tego nie wyjdzie? Dziękuję wam bardzo.

Bull pokręcił głową.

- Boimy się o ciebie. W sensie uczuciowym. Boimy się, że jeżeli ci się nie uda, nikt ci nie da następnej szansy

albo że krytycy zjadą twój film, a ty nie będziesz miała odwagi podejmować następnych prób.

- Właśnie tego rodzaju rozumowanie, bardziej niż wszelkie zakazy, przyczynia się do tego, by kobiety rezygnowały z działań. Ja nie jestem tak delikatna, zapewniam cię. Niepotrzebny mi ktoś, kto będzie chronił

mnie przed fiaskiem albo dzielił ze mną odpowiedzialność.

- Gdybyśmy pracowali razem, nie byłoby żadnego fiaska.

- Co oznacza, że nie jestem w stanie sama zrobić tego filmu, tak? Boże, Bull, jak mam cię przekonać?

- To nie mnie trzeba przekonywać, tylko Allena.

Spojrzała na niego surowo.

- Wcale nie. On nic nie może zrobić, jeżeli ty się nie zgodzisz.

- Ja nie jestem jedynym reżyserem na świecie. Może włączyć do tej pracy kogoś innego. On po prostu myślał,

że ty najłatwiej zaakceptujesz właśnie mnie.

- Mylił się.

- Więc powiedz to jemu, a nie mnie. No dobrze, gdzie będziemy jedli? Jestem strasznie głodny.

Nie było nic do dodania. Julie, unikając uważnego spojrzenia Reya, odwróciła się znowu do okna.

Rezerwację mieli zrobioną u Brennana na Royal Street, w samym sercu Dzielnicy Francuskiej.

Limuzyny zatrzymały się przed trzypiętrowym budynkiem, którego otynkowana fasada świeciła łagodnym

różem w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. W migoczącym świetle gazowych lamp na stare ściany

padał cień balkonowej balustrady z kutego żelaza, ozdabiając je szarym, skomplikowanym ornamentem po

drugiej stronie ulicy, wokół budynku w stylu wiktoriańskim, w którym niegdyś mieścił się ratusz, rosły

magnolie, smutne i nieruchome o zmierzchu.

Maitre d'hôtel pojawił się, gdy całe towarzystwo, tłocząc się, przechodziło przez ciężkie podwójne drzwi.

Powitał gości ze swobodnym uśmiechem, a następnie zaprowadził ich do specjalnego stołu w końcu galerii na

pierwszym piętrze, z której otwierał się widok na otoczony murem dziedziniec.

Wieczorny wiatr, łagodny i chłodny, poruszał liśćmi bananowców i magnolii, rosnących na wyłożonym

plytami kamiennym dziedzińcu, oraz skrajem różowego, leżącego na długim stole obrusa. W powietrzu unosił

się zapach róż stojących w wazie na środku stołu, lewkonii i paproci rosnących w niskim srebrnym naczyniu.

Zapachy te mieszały się z cudownym aromatem świeżo upieczonego chleba, karmelu i brandy. Kelner był

usłużny, udzielał wyczerpujących informacji, sposób bycia miał elegancki, pełen galanterii wobec dam. Kiedy

przyniesiono pierwsze drinki i kiedy menu zostało uważnie przestudiowane, Julie poczuła odprężenie. Doszła

nawet do wniosku, że może pomysł Allena nie jest w końcu taki zły.

Zamówiła sałatkę Jacksona przyprawioną sosem z cudownym serem z niebieskimi żyłkami, zupę zółwiową, najlepszą w mieście, i polędwicę Stanley z interesującym sosem z chrzanu i bananów. Gdy wszyscy

już wybrali potrawy, dania mięsne albo owoce morza, Allen, po długiej naradzie z kelnerem zajmującym się

winami, zamówił kilka butelek starego bordeaux i dobrego alzackiego rieslinga.

Kiedy napełniono kieliszki, Bull podniósł swój i wstał.

- Chciałbym zaproponować toast - powiedział. - Zdrowie znakomitej reżyserki - mojej córki, której film

Niebezpieczne czasy zakwalifikował się do pokazu podczas Festiwalu Filmów Kobietych. A więc, zdrowie

Julie, która lepiej niż my wszyscy wie, co robi.

Uśmiechnął się do niej znad kieliszka i wypił. Julie nie mogła się powstrzymać i odpowiedziała

uśmiechem. W jego głosie była duma i miłość, pomyślała. Wzruszyła się, poczuła przyływ serdecznych uczuć.

Pozostali wypili jej zdrowie, a potem zaczęli klaskać i gratulować. Julie z uśmiechem dziękowała. Przyszło jej

jednak na myśl, że po tym wielkodusznym goście Bulla wyda się wszystkim niewdzięczna, jeśli nie będzie

chciała z nim współpracować.

Goście łamali bagietki i smarowali je masłem, przyjęcie zaczynało się rozkręcać. Rozmowy o pracy były

czymś nieuniknionym, ale towarzyszyły im żarty i docinki. Panowała radosna atmosfera, dopóki nie podano

sorbetu. Wtedy to właśnie Vance, siedzący na prawo od Julie, zaczął rozmawiać przez stół ze Stanem i Andym

Russellem o wypadkach kaskaderów.

- Jednym z pierwszych, o których słyszałem - powiedział Stan - był pewien biedak kierujący rydwanem

podczas kręcenia niemej wersji Ben Hura. Od rydwanu odpadło koło i facet wyleciał na trzydzieści stóp w górę.

No i zginął.

Andy Russell pokiwał głową.

- A ja słyszałem, że podczas kręcenia Pauline ryzykantki z Pearl White w latach dwudziestych też było

ponuro. Jeden z kaskaderów poniósł wtedy śmierć.

- A kaskader zastępujący Jimmy'ego Stewarta w tym filmie o pustyni... jaki to on miał tytuł... zginął w symulowanym wypadku lotniczym.

- To chyba było w Locie Feniksa - powiedział Stan.

- Na mnie największe wrażenie zrobiła śmierć faceta, który zastępował Clinta Eastwooda w Akcji na Eigerze;

stracił oparcie dla stóp podczas wspinaczki górskiej.

- Ciekawe, czy Stewart i Eastwood czuli się za to odpowiedzialni - zastanawiał się głośno Vance - czy po

prostu im ulżyło, że to nie byli oni.

- I jedno, i drugie, jak sądzę - powiedziała ostro Julie. - Może byście, moje słoneczka, zaczęli mówić o czymś

innym?

- Przepraszam. - Vance posłał jej swój słynny uśmiech. Jego ton jednak nie świadczył o tym, że odczuwa

skruchę.

- Dziś po południu myślałem o Madelyn - powiedział Bull z miną żartobliwie zamyśloną.

- Naprawdę? - zapytała Madelyn śpiwnie, rzucając mu spod rzęs powłóczyste spojrzenie.

- Był taki wypadek z rudą peruką, pamiętasz?

Bull spojrzał na aktorkę, a w jego oczach zaiskrzyła się wesołość.

- Ty świnió - powiedziała Madelyn, prostując się na krześle. Nie opowiesz im tego.

- Oj, chyba opowiem - zapewnił ją, a kiedy wszyscy zamilkli, zaczął mówić. - Było to wiele lat temu.

Kręciliśmy wtedy w Meksyku wspaniały film pod tytułem Świt zła. W takiej zupełnej głuszy.
Najbliższym

osiedlem była indiańska wioska położona w odległości dwudziestu mil. Było gorąco jak w piekle.
Madelyn grała

rudowłosą rozpustnicę, która robi, co może, żeby uwieść księdza. Ksiądz oczywiście po męsku
opiera się,

choć jest przebrany oszustem. Przychodzi czas na nakręcenie wielkiej sceny nad jeziorem o
zmiernych.

Namiętność aż skwierczy, kiedy nagle z krzaków wyskakuje ocelot i zmierza prosto do Madelyn.
Wszyscy

wpadają w panikę. Nikt nie ma broni. Bo nikt się nie spodziewał, że w promieniu stu mil może
znajdować się

ocelot!

- Ta historia nie jest wcale śmieszna - powiedziała Madelyn z oburzeniem.

- No więc ksiądz oszust bierze nogi za pas - kontynuował Bull - a nasza Madelyn daje nurka do
jeziora. Jest

taka dzielna, że pływie, nie mocząc sobie nawet peruki. I wtedy wszyscy przekonujemy się, że oceloty
- jeżeli

chcą - też potrafią pływać. Ten chciał. Trzeba było widzieć Madelyn, która stoi już na brzegu!
Straciła

równowagę i wpadła do wody. Zanurzyła się, a peruka wypłynęła na powierzchnię. I wiecie, co się
stało? Kot

zaatakował perukę, zaczął się z nią szarpać. W końcu uznał, że zabił swą ofiarę i uciekł, niosąc ją w
pysku.

Wtedy właśnie przekonaliśmy się, że Madelyn ma włosy obcięte krótko, jakiś cal przy skórze. Nosiła bez

przerwy perukę, nawet wtedy, kiedy nie kręciła, bo nie chciała, by ktoś zauważył, że jej odrosty nie są czarne .

- Mój drogi Bullu - powiedziała Madelyn ze złowrogim spokojem - drogo mi za to zapłacisz.

- Czy zaprzeczysz, że tak było? Aktorka zignorowała to pytanie.

- Powiem ci, że w mojej rodzinie wszyscy wcześniej siwieją. Nie mogę nic poradzić na to, że publiczność

kojarzy sobie siwiznę z wiekiem. Mężczyźni mogą być srebrnowłosi - na przykład Sam Elliott - i nikt im tego

nie ma za złe, więc dlaczego kobiety traktuje się inaczej?

- Życie nie zawsze nas dobrze traktuje, a w świecie filmu też jest ciężko - powiedział Allen siedzący u

szczytu stołu. - Pamiętam jeden z ostatnich filmów Julie, poświęconych surfingowi. Potrzebni byli ludzie, którzy

by zagrali w siatkówkę na plaży, a statyści, których znaleźliśmy, nie pasowali do tej pełnej ruchu sceny. Julie

kazała więc przynieść kostiumy kąpielowe i wciągnęła w to postronne osoby.

Julie, która zaczęła się orientować, ku czemu zmierza Allen, . chciała przerwać tę opowieść.

- Nie trzeba dodawać, że była to katastrofa. Ta zbieranina była bardzo niemrawa - powiedziała.

- Tak, ale główną rolę odegrała wtedy Ofelia. Dostała kostium w czerwone, białe i niebieskie paski, w którym

wyglądała jak namiot cyrkowy, i przyłączyła się do gry. W pewnym momencie, kiedy się cofała, chcąc odbić

piłkę, potknęła się i wylądowała w wodzie. Woda podcięła jej nogi i zaczęła nią rzucać w różne strony, aż w

końcu zmyła z niej kostium. I Ofelia wyglądała już nie jak namiot, ale jak wielki biały wieloryb.

Ofelia śmiała się ze wszystkimi, chociaż plamy, które wystąpiły na jej twarzy, nie były spowodowane

wyłącznie winem. Głosem nieco nerwowym powiedziała:

- To było takie śmieszne, że Julie wykorzystała parę ujęć.

- To był mój pomysł - przyznał się Allen. - Julie uważała, że jest to zbyt płaskie, zbyt tanie, ale mnie się

zdawało, że ta scena dodaje komizmu.

Julie jeszcze teraz żałowała, że nie wycięła tej sceny, żałowała, że uległa Allenowi. Ale wtedy była młodsza i bardziej skłonna słuchać tego, co mówią inni.

Zobaczyła, że Ofelia podnosi kieliszek i opróżnia go, a potem, nie czekając, aż obsłuży ją kelner, dolewa

sobie wina. Jej oczy podejrzenie błyszcząły. Trzymała je spuszczone, jak gdyby nie chciała napotkać czyjegoś

wzroku. Julie wiedziała, że Ofelię łatwo zranić, łatwiej, niż można było sądzić po jej obcesowym zachowaniu.

Teraz właśnie tak się stało. Ofelii było przykro.

Allen spojrzał na nią zmrużonymi oczami i zapytał spokojnie:

- Czy powiedziałem coś złego? Nie miałem zamiaru cię zdenerwować.

Ofelia energicznie odstawiła kieliszek. Głuche stuknięcie świadczyło o tym, że kryształowa nóżka była

zagrożona.

- O Boże, Allen, czy ja wyglądam na taką przewrażliwioną? Znam się przecież na żartach.

- Ale cię uraziłem. Czasami taki ze mnie gbur.

- To prawda - odpowiedziała obcesowo - ale ja i tak ci wybaczam. Nagle zwróciła się do Vance'a, który wciąż

się uśmiechał. - Nie wiem, co cię tak śmieszy. Przypomina mi się właśnie, jak ciebie przyłapano ze spuszczonej spodniami, a może nawet kalesonami. Nie mówiąc już o tym, że kiedyś, gdy kręciliśmy film o

cyrku, byłeś tak naćpany, że usiłowałeś zrobić salto zeskakując z trapezu, który był namalowany.

Vance zrobił się czerwony i potoczył wzrokiem po obecnych.

Zatrzymał go na Annette, która patrzyła na niego z przerażeniem.

- No, w każdym razie nie byłem tak pijany ani tak żądny forsy, żeby tańczyć nago opleciony przez ogromnego pytona.

Annette zaczerpnęła gwałtownie powietrza. Jej twarz zbladła.

- Pyton to taki wąż? - spytała Summer, patrząc na matkę ze zmarszczonymi brwiami.

- To głupi żart, ot co- powiedziała szorstko Ofelia. - Mam tego dosyć. Co będziemy jedli na deser?

- Mogę polecić specjalność zakładu: Bananas Foster - powiedział Rey, uśmiechając się do Summer.
- Banany

są świeżuteńkie, płonący sos z brandy rozgrzewa serce, a lody są pyszne.

- Dobrze, ja to biorę - zgodziła się Summer uśmiechając się szeroko.

- Z brandy? - spytała Annette.

- Alkohol się spala, a zostaje tylko smak - wyjaśnił Rey.

- To szkoda - odezwała się Ofelia. - Ale ja też to wezmę.

- I słusznie - poparł ją Bull i uniósł jedną brew, patrząc na Reya. - Sądzę, że nie polewają tego czekoladą?

Rey pokręcił głową.

- To by było świętokradztwo. Smak jest najważniejszy, a syrop czekoladowy to by nie było to.

Julie, obserwująca tę akcję poboczną, była wdzięczna Reyowi za interwencję. Czowała, że napięcie znowu

w niej narasta, a towarzyszyła mu potężna fala zmęczenia. Julie była znużona tą grą, charakterystyczną dla ludzi

ze świata filmu, na którą składały się zazdrość i małostkowa mściwość, perfidne sztuczki i granie dla efektu.

Nic nigdy nie jest tak proste, jak się wydaje. Julie podejrzewała, że Vance zaczął rozmowę o

śmiertelnych wypadkach kaskaderów chcąc zepsuć jej wieczór. Bull zorientował się, w czym rzecz, i

opowiedział historyjkę o Madelyn, żeby odwrócić uwagę od Julie, ale chyba również dlatego, że chciał uniknąć

awansów aktorki. Allen przypomniał incydent z Ofelią, chcąc najwyraźniej zasugerować, że w przeszłości nie

wszystko toczyło się tak, jak Julie chciała, a skoro on wywierał na nią kiedyś wpływ, to równie dobrze może to

zrobić i teraz. Pozostałe historyjki zostały opowiedziane dlatego, że czyjeś uczucia zostały urażone, a może

także dlatego, że opowiadający chcieli załatwić stare porachunki. Aktorzy są pamiętliwi.

- Myślę, że po deserze - powiedział Allen, rzucając siedzącym przy stole spojrzenie człowieka

ekspansywnego i zadowolonego z siebie - moglibyśmy przejść się wzdłuż Bourbon Street, posłuchać jazzu i

może trochę zydeco, o którym tyle słyszałem, a potem wpaść do paru klubów i zobaczyć, jak naprawdę wygląda

nocne życie w Nowym Orleanie. Ja oczywiście zapraszam. Co wy na to?

- Uważam, że to wspaniała propozycja - odezwała się stanowczo Madelyn.

- My z Summer pójdziemy posłuchać jazzu, ale później musimy wracać do motelu - powiedziała Annette.

- Oj, mamo!

- Jesteś na to za młoda, kochanie. Zresztą nie ja wymyśliłam tę zasadę.

Pozostali zgodzili się, okazując entuzjazm o różnym stopniu natężenia, z wyjątkiem Reya, który siedział

kręcąc kieliszkiem stojącym na różowym lnianym obrusie.

- A ty, Julie, idziesz z nami? - zapytał Allen. Zaczęła się kręcić na krześle.

- Nie sądzę. Zdaje się, że ktoś mówił, że ma tutaj w mieście samochód. - Zwróciła się do Reya. - Czy mógłbyś ... czy zechciałbyś zawieźć mnie do ciotki Tine?

- Oczywiście - odrzekł Rey, a jego oczy zdradzały zaskoczenie.

- No wiesz, Julie! - krzyknął Allen. - Ja to zaplanowałem z myślą o tobie.

- Naprawdę? - zapytała, nie patrząc na niego, a potem wstała i wzięła ze stołu leżącą obok talerza małą

wieczorową torebkę z jedwabiu.

Rey podniósł się natychmiast i odsunął jej ciężkie krzesło. Allen rzucił serwetkę i też wstał.

- Myślałem, że później ty, twój ojciec i ja pojedziemy do hotelu i porozmawiamy.

- Ty i Bull możecie porozmawiać - odrzekła Julie. - Ja już powiedziałam, co miałam do powiedzenia.

Odwróciła się i odeszła od stołu. Rey spokojnie skinął głową, żegnając się ze wszystkimi, a potem dogonił Julie.

- Chciałabyś się przejść, zanim wsiądziemy do samochodu? Julie zgodziła się na propozycję Reya prawie

odruchowo. To, co się ostatnio działo, tak bardzo wyprowadziło ją z równowagi, że było jej wszystko jedno, co

robi. Zależało jej tylko na tym, żeby być z dala od Allena i pozostałych.

Trudno jej było pogodzić się z tym, że po tylu latach między nią a Allenem wytworzyła się taka bariera

obcości. Wydawało jej się, że patrzy na niego innymi oczami. Wiedziała, że narzeczony ma mnóstwo pozytywnych cech; że potrafi być - i przeważnie jest - troskliwy; że z zapałem działa na rzecz muzeów i galerii

sztuki, a także orkiestry symfonicznej, opery i teatru; że jest wielbicielem niekonwencjonalnych form teatru,

pięknych starych kościołów, wystaw kwiatów, starych monet; że jest odczytany i elokwentny; że w jego

towarzystwie czuje się zrelaksowana. Wiedziała o tym wszystkim, a jednak zdawało jej się, że prawie wcale go

nie zna.

Jak to było możliwe, że z nim mieszkała, gotowała dla niego, oglądała z nim komiksy w niedzielnej

gazecie, kupowała mu bieliznę i razem z nim uśpiła jego ukochanego kudłatego owczarka, kiedy nie było innego

wyjścia, a jednak nie potrafiła dostrzec pewnych ograniczeń w ich związku? Jak to się działo, że do tego stopnia

się nie rozumieli? Dlaczego mogła teraz siedzieć z nim przy jednym stole, patrzeć na jego twarz, która powinna

być jej tak dobrze znana, i mieć uczucie, że patrzy na kogoś obcego? A co więcej, czuć, że tak naprawdę to

wcale nie chce go poznać.

Nie chodziło tu tylko o to, że była zła na Allena za próbę odebrania jej filmu i oddania go w ręce innego

reżysera, ani o to, że czuła się urażona tym, że pieniądze znaczą dla niego więcej niż jej uczucia i potrzeby. Nie,

powód był zupełnie inny - jej uczucie do Allena ulotniło się, uległo procesowi erozji tak powolnemu, że nie

miała pojęcia o jego zanikaniu, aż do chwili, kiedy nic z niego nie zostało.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni się kochali. Musiało to być tej nocy, która poprzedzała jej wyjazd do Luizjany. Nie pamiętała jednak, gdzie ani o której godzinie, ani jak to się działo.

Mogło to być także miesiąc wcześniej albo jeszcze dawniej. Kiedy próbowała przypomnieć sobie szczegóły, w

jej wyobraźni pojawiał się człowiek, który szedł właśnie obok niej. Pojawiał się Rey ze światłem księżycy w

oczach, przypominał jej się głuchy łomot jego serca zmieszany z biciem jej własnego, przypominał jej się lot w

przestworzach i łagodne lądowanie.

Spojrzała na Reya, prawie ukradkiem. Widząc jego szerokie ramiona, Julie przypomniała sobie ich bliskość i przeszedł ją dreszcz. A on, jak zwykle świadom każdej jej reakcji, odwrócił głowę i uśmiechnął się, a

potem, kiedy podchodzili do przejścia przez ulicę, którą płynął strumień samochodów, ujął ją za rękę.

Kiedy znowu zadrżała, zapytał:

- Zimno ci?

- Nie, właściwie nie.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś o tym wyróżnieniu na Festiwalu Filmów Kobięcych?

- Allen zawiadomił mnie o tym dopiero dziś rano - odrzekła.

- Pojedziesz tam?

Julie właściwie nie podjęła jeszcze decyzji. Jednak widząc wyraźne zainteresowanie Reya jej sukcesem,

zaczęła poważnie myśleć o tym, by pojechać na festiwal.

- Możliwe - odpowiedziała spokojnie.

- Jeżeli pojedziesz, to nie będziesz się musiała martwić o Summer. Rozmawiałem z Donną. Bardzo chętnie

zatrudni się jako jej nauczycielka.

- Ale ona wie, że mimo to będzie mogła statystować w scenach kręconych w mieście?

Rey kiwnął głową.

- Zamelduje się w poniedziałek, jeżeli ci to odpowiada.

- Oczywiście, nie mogło być lepszego rozwiązania - odpowiedziała Julie.

Dobrze było mieć przynajmniej jeden problem z głowy.

Ulica rozciągająca się przed nimi była wąska, ale ruchliwa.

Padły na nią cienie licznych balkonów. Przejście na drugą stronę wymagało nie lada zręczności. Rey pociągnął Julie za sobą, żeby przejść przed powozem ciągniętym przez konia i wiozącym turystów - jednym z

wielu w tej dzielnicy. Na rogu wmieszali się na chwilę w grupkę ludzi słuchających młodego gitarzysty; był

prawie nastolatkiem, ale palce miał zwinne i grał jakąś delikatną, słodką melodię. W futerale gitary, który leżał u

jego stóp, było sporo banknotów, a stojący w pobliżu sprzedawca hot dogów ze swoim wózkiem w kształcie

bułki z kiełbaską sprzedawał błyskawicznie duże ilości towaru.

Muzyka ogarniała swym rytmem Julie i Reya i mieszała się z łagodnym zawodzeniem trąbki

dochodzącym z baru przy Bourbon Street. Julie, nie zdając sobie z tego sprawy, zwolniła kroku, dostosowując

się do płynnego, zmysłowego rytmu muzyki. Rey, zauważywszy to, spojrzał na jej twarz. Jeszcze raz wargi

dziewczyny wygięły się powoli, gdy odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech; słyszała szybki rytm własnego

serca i czuła, że ten rytm także się zmienił.

Chcąc ukryć tę reakcję zapytała:

- Co to za zapach?

- Zastanówmy się: hot dogi i musztarda, woda w rzece, kraby z tamtej restauracji, rum i burbon, cebula

smażona na kolację przez jakiegoś lokatora, perfumy z drogerii. Trafiłem już?

- Nie sądzę. Ten zapach jest słodkim zapachem kwiatowym, ale nie przypomina niczego, co do tej pory

znałam. Poczułam go, kiedy kręciliśmy tu poprzednim razem, ale nie mogłam się zorientować, co tak pachnie.

- Ach, to oliwka z ogrodu za katedrą św. Antoniego ... albo może z ogrodu mojej babki.

- Twojej babki?

- Tak. Ona tu mieszka.

Stali właśnie przed ogromnymi drzwiami w otynkowanej ścianie między dwoma sklepami.

Wypowiadając ostatnie słowa, Rey nacisnął dzwonek, a potem cofnął się i czekał.

Julie zwilżyła językiem wargi.

- Jesteś pewien, że dobrze robisz? Ona się przecież nas nie spodziewa.

- Będzie zachwycona, że ma gości. Jeżeli jednak nie chcesz być u niej długo, to zaraz wyjdziemy. Skorzystam

tu z telefonu i każe sprowadzić swój samochód. Moje mieszkanie jest zbyt daleko. Nie doszłabyś tam w tych

wieczorowych pantofelkach.

Zanim Julie zdążyła odpowiedzieć, drzwi się otworzyły. Wysoki czarnoskóry człowiek o

posiwiałych włosach i łagodnym uśmiechu powitał ich radośnie, a potem cofnął się i wpuścił gości do środka. Poszli za nim

długim, wąskim korytarzem o sklepionym suficie, mającym nad głowami w świetle staromodnych lamp

gazowych przerobionych na elektryczne. W końcu korytarza znajdował się mały przedpokój, którego dwie

ściany pokrywał fresk w kolorach złotym, zielonym i niebieskim przedstawiający Wersal. W trzeciej ścianie

były wysokie oszklone drzwi prowadzące na ciemny dziedziniec. Po obu stronach drzwi stały ogromne

ceramiczne wazy, a ponad nimi biegła spiralą w górę mahoniowa klatka schodowa, tworząc wysoką studnię

światła.

Weszli na schody, stąpając po wydeptanych zagłębieniach. Powietrze było chłodne, przesycone wonią

zastarzałego kurzu pomieszaną z cytrynowym zapachem płynu do mebli, co przywodziło na myśl atmosferę

szanujących się antykwariatów. Wrażenie ograniczonej przestrzeni, jakie odnieśli w korytarzu na dole, ustąpiło,

gdy znaleźli się wyżej, w pomieszczeniu obszernym, pięknym i wygodnym. Następne sklepione przejście

wyposażone było w oszklone otwarte na oścież drzwi, w których wisiały portiery z ciężkiego brokatu w kolorze

paryskiego błękitu. Weszli do pokoju, który można było nazwać salonem.

Były tu trzy okna sięgające od podłogi do sufitu i wychodzące na ulicę. Jedno z nich było otwarte i

wpuszczało wieczorne powietrze, pozostałe dwa zamknięto i szczelnie zasłonięto okiennicami. Przez otwarte

okno widać było balkonową balustradę z kutego żelaza, której Julie z dołu nie zauważyła. Podłoga

wypolerowana do połysku zrobiona była z desek średniej szerokości i pokryta cienkim, miękko tkanym

latynoskim dywanem w kolorach niebieskim, kremowym, koralowym i terakoty. Ściany miały łagodny

koralowy odcień, a krzesła, przeważnie w stylu Ludwika XV. albo Dyrektoriatu, obito kremowo-niebieskim

jedwabiem w paski albo wzory kwiatowe. Na bocznym stoliku stał ogromny bukiet z koralowych lili,

chryzantem i dzikiej trawy, a sofa z poduszkami obciążniętymi kremowym lnem stała przed prawdziwym

kominkiem z gzymsem z białego marmuru.

Stara kobieta, tak elegancka jak pokój, w którym się znajdowała, wstała z sofy i wyszła gościom naprzeciw z otwartymi ramionami.

- Rey, rrrwn cher, co za miła niespodzianka.

Rey objął babkę, a potem, odwracając się i wciąż trzymając starszą panią w pasie, przedstawił ją Julie

jako madame Villars. Kobieta przywitała Julie ciepło, chociaż podając rękę, popatrzyła na nią uważnie. Julie

była oczarowana. Mimo że staruszka miała pięknie obcięte włosy - leciutkie jak dym i w kolorze dymu i chociaż

była ubrana w kosztowną, ale prostą suknię z szarego jedwabiu, przypominała jej bardzo ciotkę Tine. Obie

mówiły tak samo ożywionymi głosami i w oczach obu błyszczała równie intensywne ciekawość świata.

- Przypuszczam, że jedliście - powiedziała madame Villars. - Tak? Więc chodźcie i napijcie się ze mną kawy

i armagnacu.

Kawę podano w starej francuskiej porcelanie. Filiżanki były tak cienkie, że wydawały się zbyt delikatne

dla mocnej, gorącej kawy. Babka Reya nie wspomniała o torcie Lane, który podano do kawy. Był to wspaniały

deser zrobiony z czterech warstw ciasta, przełożonych podobnym do karmelu lukrem z dodatkiem masła,

burbona, orzechów laskowych, rodzynek, wiórków kokosowych i kandyzowanych wiśni.

Julie siedziała na jednym końcu sofy, a madame Villars w drugim, Rey stał przed kominkiem, popijając

kawę z kropelką brandy i traktując starą porcelanową filiżankę tak, jakby to był plastikowy kubek. Patrząc na

niego i widząc, jak dobrze pasuje do bogatego, umeblowanego wnętrza, Julie poczuła się oszołomiona

przelotną myślą o tym, że wygląda jak wspaniały dżentelmen sprzed wojny secesyjnej. Wyobraziła go sobie, jak

kłania się damom w salonach i z wdziękiem przyjmuje wyzwanie na pojedynek o świcie. I znowu rozzłościła się

na myśl o tym, że dała mu się zwieść, kiedy udawał prostego człowieka z zaścianka na bagnach.

- Dużo słyszałam o pani i pani filmie, panno Bullard - mówiła madame Villars. - Pani zawód musi być bardzo

interesujący.

Julie udzieliła stosownej odpowiedzi, dodając:

- Pani wnuk bardzo mi pomógł swoimi radami.

- Jestem pewna, że dobrze się przy tym bawi. Bagna są jego pasją od maleńkości. Kiedyś byłam przerażona

tym jego zainteresowaniem. Ale teraz nie robi już ono na mnie takiego wrażenia. Pogodziłam się z tyloma

rzeczami. Świat zmienił się bardzo od czasu, gdy byłam dziewczynką.

- Nie daj się zwieść, Julie - powiedział Rey kpiąco. - Babcia chciałaby, byśmy uwierzyli, że jest filarem starej

kreolskiej arystokracji, ale ja wiem, że żyła swobodnym życiem bohemy, kiedy w latach dwudziestych

mieszkała w Paryżu. Trzeba ją było zmusić, żeby wróciła i wyszła za mojego dziadka.

- W bardzo późnych latach dwudziestych. Nie rób ze mnie starszej, niż jestem. - Starsza pani posłała Reyowi

uśmiech, w którym były i nagana, i rozbawienie. A do Julie powiedziała. - Myślałam, że chcę być artystką.

- Babcia jest artystką, i to jaką!

- Portrety delikatnych dzieci i karmiących matek w stylu Mary Cassatt, bezpieczne tematy kobiece.
Gdybym

została w Paryżu, poszłabym pewnie w jakimś zwariowanym kierunku, jak Dali.

- Wiesz dobrze, że masz swój własny styl.

- Być może - przyznała staruszka. - W każdym razie daje mi to przyjemność i w zasadzie nie narzekam. Więc

może w końcu nie było mi dane być Dalim w spódnicy.

- Małżeństwo babci zaaranżowali rodzice - powiedział Rey do Julie - i było to chyba jedno z ostatnich takich

małżeństw. Mój dziadek zawsze udawał, że jest jej ogromnie wdzięczny za to, iż tak się poświęciła przyjmując

jego oświadczyzny.

- Był czarujący i miał humor, niech dobry Bóg i Matka Najświętsza czuwają nad jego duszą.
Pozwalał mi

malować, jak długo miałam na to ochotę, a sam robił interesy ze swoimi amerykańskimi przyjaciółmi.
Widzi

pani, droga Julie, paranie się handlem to był dyshonor. Można było uprawiać wolny zawód - być lekarzem albo

lepiej prawnikiem - ale nie można było zajmować się handlem.

- A dziewczynie Kreolce nie wolno było wyjść za mąż poza swoją klasą, nie wolno jej było nawet spojrzeć na

Amerykanina czy Cajuna.

Rey, mówiąc to, odstawił filiżankę.

- Czytałam wystarczająco dużo, żeby zrozumieć problem małżeństwa z Amerykaninem, ale co można było

zarzucić Cajunowi? - spytała Julie.

Madame Villars pokręciła głową.

- Słusznie czy niesłusznie uważano ich za ludzi należących do innej klasy, za farmerów raczej niż

arystokratów. Przypuszczam, że było to głupie, gdyż wiele starych rodzin kreolskich pochodzi od stałych

bywalców więzień paryskich. Kobiety wysyłane początkowo do kolonii na żony dla kolonistów były złodziejkami albo prostytutkami. Fiues a eassette, biedne dziewczęta z dobrych rodzin, wychowane przez

zakonnice i przybywające tu z kuferkami albo podarowanymi im przez króla szkatułkami zawierającymi cały ich

dobytek, pojawiły się dopiero później. Ulubionym dowcipem historyków Luizjany jest anegdota mówiąca, że

wskutek jakiegoś dziwnego zrzędzenia losu czy anomalii anatomicznych te pierwsze żony nigdy nie miały

dzieci, podczas gdy te drugie okazały się zadziwiająco płodne!

- Mój dziadek i moja babka - powiedział Rey ze śmiertelną powagą - wywodzili się oczywiście oboje z rodzin

pochodzących bez wątplenia od dziewcząt ze szkatułkami.

- Oczywiście.

Babka rzuciła mu żartobliwie wyniosłe spojrzenie, a potem westchnęła.

- Dzisiaj to brzmi śmiesznie, prawda? Jednak tych zasad przestrzegano przez całe pokolenia, i to z dobrym

skutkiem. Jak więc można je było podważać? No ale moją córkę cechował taki upór, o jakim mnie się nawet nie

śniło, a ojciec Reya był czarujący i niewiarygodnie wytrwały. Teraz żałuję, że oboje z mężem tak długo nie

pozwalaliśmy im się połączyć.

Następnie rozmowa zesłała na filmy, których ogromną liczbę nakręcono w Nowym Orleanie, i na

widoczny renesans tego miasta, które stało się taką samą przystanią i inspiracją dla pisarzy, jaką było w latach

dwudziestych, trzydziestych i czterdziestych, kiedy przebywali tu Sherwood Anderson, William Faulkner, F.

Scott Fitzgerald, Tennessee Williams i Truman Capote. Przez chwilę wszyscy troje gawędzili o zgrabnym

powiedzeniu, z którego wynika, że muza literatury lubi zapach magnolii - stąd Południe do tego stopnia obfituje

w talenty pisarskie. Nie zdołali jednak zbliżyć się ani trochę do ostatecznego wyjaśnienia tego zjawiska.

Wkrótce potem Rey przeprosił panie i poszedł zatelefonować.

Podczas jego nieobecności Julie spytała o drogę do łazienki. Została przeprowadzona przez przylegającą

do salonu jadalnię, a potem na zewnątrz tylną galerią, skąd skierowano ją do sypialni, do której przylegała

łazienka.

Wracając do salonu, Julie zatrzymała się na chwilę na galerii wychodzącej na wewnętrzny ogród

dzielnicy. W ogrodzie panowała ciemność i cisza, docierały do niego jedynie światła z domu. Rabaty, z

kwiatami podobnymi do białego barwinka tworzyły blade wzory w kształcie pętli okalających krawędzie

kamiennej podłogi, a cienie gałęzi drzew kładły się jak koronka na ceglanych ścianach. Ogród miał w sobie coś

tajemniczego, był ukryty za domem, zasłonięty przed spojrzeniami przechodniów. Mówił o życiu w odosobnieniu i o jego przyjemnościach.

Tuż za plecami Julie usłyszała cichy odgłos kroków, któremu towarzyszyło lekkie podzwanie.

Odwróciła się, spodziewając się zobaczyć Reya albo człowieka, który wpuścił ich do domu, Nie było jednak

nikogo, chociaż wydało jej się, że kątem oka dostrzegła przesuwany się cień.

- Rey? - spytała cichym głosem.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, a potem Rey wyłonił się z jadalni, z innej strony, niż Julie się spodziewała.

- Co takiego?

W świetle padającym z salonu wyraźnie rysowała się jego wysoka sylwetka, twarz natomiast pozostawała w cieniu. Nutka rozbawienia, którą Julie usłyszała w jego głosie, była podejrzana. Niemożliwe

było, żeby przeszedł tak szybko z miejsca, z którego przed chwilą dochodziły głosy.

- Tam ktoś był - powiedziała. - Słyszałam jego kroki.

- Skąd wiesz, że to był mężczyzna?

Spojrzała na niego zirytowana.

- Wydawało mi się, że to męskie kroki. Myślałam, że to ty.

- Musiałaś słyszeć le chevalier.

- Kogo?

- Naszego domowego ducha. Niektórzy twierdzą, że go widzieli. Jest to mężczyzna ze szpadą, w surducie i

spodniach, takich jakie noszono w czasach, gdy zbudowano ten dom.

- Aha, rozumiem. - Julie nie wierzyła w ani jedno słowo. - Czy on ma jakieś imię i czy zmarł przedwcześnie

śmiercią?

- Nikt tego nie wie. On po prostu lubi patrzeć na piękne kobiety przechodzące galerią po zapadnięciu zmroku.

- Aha, w porządku, może sobie patrzeć, pod warunkiem że trzyma się z daleka od łazienki.

- Tego nie można zagwarantować.

Za Reym pojawiła się madame Villars.

- Czy mówiłeś, że Julie widziała le chevalier?

- Słyszała go - wyjaśnił Rey.

- To ciekawe, to prawie wróżba.

Staruszka podeszła bliżej, patrząc na Julie z ciepłym zainteresowaniem, a potem rzuciła okiem w

ciemności za galerią.

- Wróżba? - zdziwiła się Julie.

- Nie zwracaj na to uwagi - uspokoił ją Rey - to tylko taki przesąd. Przekonasz się jeszcze, że my tutaj

jesteśmy przesądni.

Julie była bardziej zaniepokojona niż rozbawiona.

- Ale co to wróży? Chyba nie upadek domu Villarsów.

- Nie, nie. Gdybyś zobaczyła Ze chevalier, znaczyłoby to tylko, że tutaj jest twoje miejsce.

- Gdzie? W tym domu?

- Nie - odpowiedział Rey i odwrócił się tak, że w padającym z boku świetle można było zobaczyć przekorę w

jego oczach. - W rodzinie.

Madame Villars zaczęła łajać wnuka za to, że zawraca Julie głowę śmiechu wartymi rodzinnymi

legendami. Łajała go tak przez dłuższą chwilę, a potem ze swadą zaczęła mówić o tym, że w starych domach

dźwięk przenosi się w dziwny sposób; w końcu wciągnęła Reya i Julie z powrotem do salonu, proponując

następną kawę.

Wkrótce potem kamerdyner zameldował, że samochód Reya przyjechał.

Był ciemnoniebieski, miał niskie podwozie i najwyraźniej potężny silnik. Tak, to był ten paskudny

Maserati, o którym mówiła Madelyn. Za kierownicą siedział młody czarny mężczyzna z kozią bródką

o śmiejących się oczach. Mężczyzna ten wysiadł. Miał na sobie niebieski golf i dzinsy. Mimo że był ubrany tak

swobodnie, obszedł samochód i z galanterią stanął przy drzwiczkach od strony pasażera.

- Jak będzie, szefie? - zapytał z uśmiechem. - Mam prowadzić czy pójść pieszo?

- Będziesz prowadził, przynajmniej do mojego mieszkania - odpowiedział Rey, a potem zwrócił się do Julie: -

To jest Greg Leonard. Studiuje prawo w Tulane, wtedy kiedy nie zajmuje się moimi sprawami. Greg, to jest

Julie Bullard, reżyserka Królestwa bagien. - Kiedy Julie i Greg uścisnęli sobie ręce, mówił dalej: - Mam

nadzieję, Julie, że nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy na chwilę wpadli do mojego mieszkania. Chciałbym

sprawdzić, jakie mi zostawiono wiadomości.

- Nie mam nic przeciwko temu - odpowiedziała Julie, zbliżając się do drzwi samochodu, które przytrzymał

Greg.

Rey prosił ją tak uprzejmie. Nie można się było sprzeciwić, zwłaszcza że słuchał ich Greg. A jednak

poczuła napięcie w mięśniach karku. Nie miała nastroju na miłość. Nie przypuszczała, że Rey, który przecież

wiedział, że odmówiła Allenowi, stosuje ten manewr po to, żeby wciągnąć ją znowu do łóżka. Ale, oczywiście,

nie można było mieć co do tego pewności.

Jechali wąskimi jednokierunkowymi ulicami, zatrzymując się prawie przy każdym przejściu i

przepuszczając pieszych ubranych w najrozmaitsze stroje - od jedwabi od renomowanych krawców i kreacji

wieczorowych po byle jakie szorty. Greg prowadził ostrożnie i sprawnie i tylko czasami komentował zjadliwie

wyczyny meandrujących pijaków, nieuważnych dorożkarzy i blokujących drogę autokarów z turystami.

Julie z udawaną swobodą zwróciła się do Reya:

- Powiedz mi... te opowieści o duchu ... nie wierzysz w nie, prawda?

- Czy w nie nie wierzę? - Uśmiechnął się do niej i dotknął ramieniem jej ramienia, gdyż samochód brał

właśnie zakręt. - Wyobrażam sobie, jak to musiało brzmieć w twoich uszach. Jak jakiś wątek z wiktoriańskiej

powieści gotyckiej. Jednak nie śmiałaś się, kiedy grand-mere mówiła o naszej legendzie. Dziękuję ci za to.

- Ale nie możesz przecież uważać, że ...

- Nie, nie. Tylko czasami, nocą, kiedy jest burza.

Spojrzała na niego z udawaną irytacją.

- Powinnam była przewidzieć, że nie odpowiesz poważnie.

- Chcesz, żebym odpowiedział poważnie? No dobrze. Lewa strona mojego mózgu, odpowiedzialna za

logiczne myślenie, mówi: "Nie, to niemożliwe, duchy nie istnieją". Ale prawa, mistyczna, odpowiada: "Tak,

kochanie. A jakie imiona nadamy dzieciom?"

Julie z rezygnacją pokręciła głową, bo widziała, że Rey znowu żartuje. Akceptując jego żartobliwy ton

zapytała:

- Dzieci? W liczbie mnogiej?

- Bo powinno ich być co najmniej czworo. Dwóch chłopców i dwie dziewczynki.

- Co za sielski obrazek! I ty wracałbyś do domu po długim dniu i grał z chłopcami w piłkę, a dziewczynki

kołysał na kolanie, czekając, aż żona ugotuje obiad.

- Albo na odwrót, w zależności od wieku dzieci.

- Cudownie, ale żona, tak czy tak, tkwi w kuchni.

- Ja też umiem gotować i lubię to robić.

- Co za wzór cnót! - powiedziała z udawanym podziwem,

- Nie masz pojęcia .. - odrzekł i zawahał się, jakby chciał coś dodać.

Ale odwrócił zaraz głowę, by poinstruować Grega - zupełnie zresztą niepotrzebnie - żeby skręcił i nie najechał

na barierkę, która była przed nimi.

One River Place był wieżowcem zbudowanym z kamienia i lustrzanego szkła; balkony budynku wychodziły na Missisipi. Położony w pobliżu Riverwalk, gdzie w roku 1984 odbywały się Targi Światowe, przypominał bardziej supernowoczesną wieżę z mieszkaniami niż zwyczajny blok mieszkalny. W tym mieście był jedyny w swoim rodzaju i miał pozostać jedyny, gdyż moda w architekturze zmieniła się.

Apartament Reya był umeblowany eklektycznie. Nadmiernie wypchane meble, obite ciemną, szarobłękitną skórą, sąsiadowały tu z masywnymi francuskimi antykami, a nowoczesne lampy z błyszczącej stali z lichtarzami i rokokowymi kinkietami z pozłacanego brązu. Dywan leżący na wypolerowanej podłodze salonu bardzo przypominał ten, który Julie zauważyła w salonie babki Reya. Być może pochodził ze składziku na poddaszu domu w Dzielnicy Francuskiej.

Zanim się tu znaleźli; Julie zaproponowała, że zostanie w samochodzie, ale jej propozycja została odrzucona. Rey powiedział, że budynek i parking są dobrze strzeżone, dodał jednak, że woli tego nie sprawdzać o tak późnej porze. Zwolnił Grega mówiąc, że sam odwiezie Julie do domu.

Rey rzeczywiście sprawdził wiadomości na sekretarce automatycznej, przeglądając notatki leżące obok telefonu i przerzucając szybko pocztę. Julie stała przy szklanej ścianie, patrząc na rzekę leżącą w dole jak ogromny wąż, który się umościł wśród świetlistych klejnotów. Stała plecami do Reya, nie chcąc mu przeszkadzać.

Po rzece płynął parowiec. Posuwał się powoli, mijając frachtowce przycumowane w dokach, a jego czerwonożłote światła odbijały się w wodzie. Wyglądał jak fantom pochodzący z innych czasów. Poruszał się bardzo cicho, a z jego kominów nie unosił się dym; koło nieznacznie tylko się obracało i posuwał się tak wolno,

że prawie nie pozostawiał za sobą bruzdy na wodzie.

Fantomy, duchy. Julie uznała, że powinna powściągnąć wyobraźnię. Dziś wieczorem ta wyobraźnia spletała jej figła. Zresztą może nie tylko jednego. Tam, na galerii, nie było za nią nikogo. Ten dźwięk to na

pewno było złudzenie - jak sugerowała madame Villars, złudzenie akustyczne powstające w starym domu. A

komentarze Reya były jedynie kolejnym objawem jego dziwnego poczucia humoru.

Jego kroki na starym dywanie tuż za nią były tak ciche, że ich nie usłyszała, i wzdrygnęła się przestraszona, kiedy jej dotknął.

- Odpręż się - powiedział spokojnie, zaczynając gładzić ją ciepłymi dłońmi. - Obiecuję, że się na ciebie nie

rzucę.

Na rękach i wzdłuż kręgosłupa Julie pojawiła się gęsia skórka.

Poddała się łagodnie uściskowi Reya.

- Nigdy nie myślałam, że się na mnie rzucisz.

- To dobrze. Nie poproszę cię też, żebyś została tu ze mną na noc, chociaż bardzo tego pragnę.

Odwróciła głowę, czując jego ciepły oddech na karku.

- Nie poprosisz? Dlaczego?

Rey przysunął się tak, że stała teraz bardzo blisko. Przytulając skroń do jej skroni i dotykając prawie wargami kącika ust Julie, powiedział:

- Jestem wielkim egoistą. Chcę, żeby twoja uwaga była skupiona tylko na mnie.

Westchnęła, odwracając się objęła go w pasie i położyła głowę na jego ramieniu.

- Jesteś też bardzo delikatny, za co ci jestem wdzięczna. Przytulił ją. Julie spuściła oczy. Wyczuwała jego siłę,

czuła delikatny zapach ciepłego jedwabiu i korzenno-cytrynowego płynu po goleniu. Przyszło jej na myśl, że

bardzo łatwo byłoby zapaść się w jego ramiona, zagłębić w ten domowy świat, o którym mówił

żartem, zostać

żoną i matką martwiącą się tylko o listę zakupów, o kłopoty z sąsiadami, o jednorazowe pieluszki, o rozgrywki

baseballowe dla maluchów i o atlasowe baletki w małych rozmiarach. Jak dobrze byłoby leżeć z nim w

ogromnym łóżu i czuwać wspólnie nad śpiącym między nimi niemowlęciem, wychodzić z nim z pokoju

dzieciniego, a potem zasypiać ze zmęczenia w jego ramionach i budzić się do miłości o świcie.

Boże drogi, jakież to podstęp hormonów wpędził ją w te rojenia?

Jaki to figiel natury spowodował, że wydaje jej się, iż małżeństwo i dzieci by jej wystarczyły? Julie była

pewna, że to nieprawda. Na pewno nie potrafiłaby być przykładną żoną, poświęcającą marzenia dla obowiązków

rodzinnych. To by się nie udało. A jeżeliby się udało, to na krótko. A potem zwariowałaby albo doprowadziła do

szaleństwa kogoś innego.

Była jednak bezpieczna. Rey nie zaproponował jej małżeństwa.

Obrócił uwagę o nim w żart, wycofał się z tej propozycji, tak jak wycofał się z propozycji kochania się

tej nocy. Było bardzo możliwe, że wcale nie postrzega jej jako kandydatki na żonę. Był tradycjonalistą i na

pewno chciał mieć żonę postępującą zgodnie z tradycją. Mówił coś o tym, że mógłby jej pomagać gotować, ale

było to tylko gadanie. W rzeczywistości z pewnością chciałby, żeby kobieta, z którą się ożeni, zrezygnowała ze

wszystkiego - tak jak jego babka - poświęcając się jemu i domowi. Donna Lislet była kobietą tego typu. Osoba

taka jak ona mogłaby być matką dzieci Reya, kobieta miękka i uczuciowa, którą łatwo byłoby rządzić i której

marzenia są przyziemne.

Julie uważała, że ona jest dla Reya wyzwaniem, rozrywką, że pociąga go fizycznie raz bardziej, raz mniej, i to wszystko. Była inna, i to go intrygowało; jej umysł, jej duch, jej ciało dawały mu radość, ale nie był

bez reszty w niej zakochany.

A może? Trudno było to wyczuć. Rey był bystrym obserwatorem, wyrażał swoje opinie szybko i dowcipnie, Mimo to był człowiekiem głęboko skrytym. Julie wydało się, że drzemią w nim myśli i uczucia,

które potężną siłą woli i dla celów znanych tylko sobie utrzymuje w stanie uśpienia. Nie był tym, na kogo

wyglądał. Julie dostrzegła w nim warstwy osobowości, które przed nią chował. Nie wiedziała, co jeszcze może

w nim odkryć, i czuła się tym zaniepokojona.

- Jestem też człowiekiem - oświadczył głosem stłumionym, kładąc dłonie na jej rękach i pieszcząc ją delikatnie. - Mam dobre intencje, ale można je zignorować.

- Nie chciałabym tego robić - powiedziała Julie powoli.

- Tego się obawiałem - odrzekł, a potem odwrócił się, podszedł do drzwi i otworzył je, przepuszczając ją

przed sobą.

Wśród filmowców aż wrzało od plotek na temat przyjazdu Bulla i wczorajszych wyczynów całego towarzystwa w klubach i spelunkach Nowego Orleanu. Wciąż snuto domysły, czy Bull rzeczywiście przejmie

film. Julie zauważyła to, gdyż wraz z jej pojawieniem się ludzie przerywali rozmowy w pół zdania. Robota nie

posuwała się zbyt szybko. Julie wcale się temu nie dziwiła, gdyż trudno było się spodziewać, że ekipa będzie

stawała na głowie, by zrobić coś, co być może będzie musiało zostać powtórzone, w wypadku gdy nowy reżyser

wyrazi zastrzeżenia. Trzeba było podjąć jakąś decyzję, obojętnie jaką. Inaczej wszystko mogło się zacząć sypać.

Wyszła z domu wcześniej, zanim ktokolwiek się obudził. Pracowała w swoim biurze do chwili, gdy

poczuła głód. Pomyślała, że można by sprawdzić, czy Ofelia nie ma ochoty pójść z nią do klubu jachtowego na

kawę i pączki. Asystentka była już na miejscu przyjechała pół godziny wcześniej. Po zastanowieniu się Julie

doszła do wniosku, że nie ma ochoty narażać się na chytre spojrzenia i patrzeć, jak inni coś szepczą na jej temat.

Postanowiła pójść do karawaningu i zrobić sobie grzankę i jajka na bekonie w kuchence mikrofalowej. To

będzie lepsze niż cukier i kofeina. Zdenerwowanie, które czuła ostatnio, oraz drinki i ciężkie potrawy zjedzone

poprzedniego wieczoru spowodowały, że jej żołądek miał się nie najlepiej.

Po drodze pomachała ręką Stanowi stojącemu wraz z Reyem i fachowcom od efektów specjalnych.

Wszyscy trzej omawiali prawdopodobnie ostatnie szczegóły kolejnej sceny z udziałem kaskadera, którą

zamierzali kręcić tego ranka. To dobrze, pomyślała, że przynajmniej oni próbują pracować. Samochód Madelyn

stał na parkingu, a więc i ona była gdzieś w pobliżu. Vance z wystudiowaną niedbałością opierał się

o cyprys

nad rzeką i rozmawiał z dziewczyną pilnującą realizacji scenariusza. Zrządzenie Annette Davett dobiegało z

następnego karawaningu, tak więc najwyraźniej Summer też już przybyła na miejsce. Nie było śladu Allena ani

Bulla. Julie przyjęła to z ulgą jako łaskawe zrządzenie losu.

Zamykając za sobą metalowe drzwi, czuła się jak ktoś, kto dobił do bezpiecznej przystani. Westchnęła z

ulgą i przekręciła klucz. Karawaning, zrobiony z metalu i szkła, był bardzo nagrany przez słońce i unosiły się w

nim drażniące zapachy syntetycznych tkanin i kleju do drewna. Idąc do małej łazienki, Julie włączyła klimatyzację.

Myjąc ręce nad umywalką, usłyszała jakieś grzechotanie. Spojrzała w górę, myśląc, że może to powietrze

z takim hałasem wydostaje się przez otwór w klimatyzatorze. Mogło to się zdarzyć, jeżeli klimatyzator źle

działał.

Julie zrobiła pół kroku, sięgając po ręcznik. Grzechot rozległ się ponownie. Dobiegał gdzieś z dołu; był

coraz wyraźniejszy. Julie przeszedł po plecach dreszcz przerażenia. Znieruchomiła. Powoli, stopniowo schyliła

głowę i spojrzała pod nogi.

Wąż był czarny, błyszczący, z szarymi plamami. Leżał zwinięty w kącie utworzonym przez ścianę i stanowisko prysznic, przed komodą. Głowę miał podniesioną, kręcił nią na wszystkie strony, a grzechotka na

wyprężonym ogonie sterczała nad nim.

Bagienny grzechotnik.

Ta myśl przemknęła jej przez głowę jak błyskawica. Julie od razu przypomniała sobie, co czytała o

takich węzłach w książkach i co słyszała od Reya, który radził jej, jak ma się zachowywać na bagnach, chcąc

uniknąć niebezpieczeństw.

Jej gołe nogi pod wąską spódnicą wydawały się bezbronne.

Serce waliło w piersi ze zdwojoną szybkością. Mięśnie zeszywniały; była jak sparaliżowana ..

Przerażenie odebrało jej na chwilę zdolność myślenia.

Gdyby krzyknęła, wzywając pomocy, wąż mógłby zaatakować.

Gdyby nie ruszyła się z miejsca, samo ciepło jej ciała czy ruchy klatki piersiowej przy oddechu mogły

spowodować atak gada.

Na ostrych koniuszkach zębów jadowych błyszczało światło. Język gada wysuwał się i cofał

błyskawicznie, jak gdyby smakując powietrze. Grzechotka na ogonie wydawała ciche dźwięki.

Julie pomyślała, że nie może wiecznie tak stać. Wąż nie miał zamiaru się ruszyć. Zresztą nie miał gdzie

pójść, był zapędzony w róg; obecność Julie powodowała, że znajdował się w pułapce. Oboje - ona i wąż -

przerażeni, tworzyli znieruchomiały żywy obraz.

Możliwe było, że wąż zaatakuje. Ale możliwe też było, że tego nie zrobi. W najgorszym razie istniało coś takiego jak surowica.

Ta ostatnia myśl, pojawiając się w racjonalnej części jej umysłu, spowodowała, że Julie odprężyła się.

Rzuciła się w tył przez drzwi łazienki i uderzyła z hukiem o ścianę przedpokoiku. Odpychając się od niej,

sięgnęła do wąskich drzwi łazienki i zatrasnęła je.

Odsunęła się, wstrząsana konwulsyjnymi dreszczami. Podchodząc do kuchennego stołu skrzyżowała ręce na

piersi, biorąc jak gdyby samą siebie w ramiona i ściskając się mocno. Wiedziała, że ta reakcja nie jest

racjonalna. Była instynktowna, a co za tym idzie, niekontrolowana.

Chwilę później, kiedy spuściwszy głowę zamknęła oczy, próbowała opanować drżenie i zastanowić się,

w jaki sposób wąż dostał się do środka.

Zewnętrzne drzwi były zamknięte - wchodząc otworzyła je swoim kluczem. Zamykano je na noc. W ciągu dnia jednak nie zawsze to robiono. Ale nawet i w takich wypadkach drzwi nigdy nie były uchylone, gdyż

Julie zostawiała włączoną klimatyzację. Jeżeli zdarzyło się, że metalowe drzwi zewnętrzne nie zostały

zamknięte, to zawsze pozostawały jeszcze wewnętrzne drzwi z siatki drucianej, które szczelnie przylegały do

wysokiego metalowego progu.

No tak, a poza tym drzwi to nie wszystko, gdyż wejście znajdowało się kilka stóp nad ziemią. Do wnętrza prowadziły metalowe spuszczone stopnie, które wisiały jakąś stopę nad ziemią.

Karawangi, przyczepy mieszkalne i podobne do nich pojazdy, budowane z myślą o obozowaniu w miejscach oddalonych od cywilizacji i w zupełnej głuszy, były tak skonstruowane że dzicy goście nie mieli

dostępu. Szanse na to, żeby grzechotnik sam się tu dostał, były prawie żadne.

Ale jakiś procent takiej szansy istniał. Węże potrafią bowiem pełznąć w górę, a także przedostawać się

przez małe otwory. Jednak muszą mieć odpowiednią motywację. Zwykle skłania je do tego fakt, że w pomieszczeniu znajduje się coś do zjedzenia. W karawaniu Julie nie było dużo takich rzeczy, nie było też

żadnych ciepłych, poruszających się szybko zwierzątek, tak bardzo lubianych przez węże, chyba że zabłąkała się

jakaś mysz.

Wszystko wskazywało na to, że ktoś go tu wpuścił celowo. Ale kto i z jakiego powodu?

Julie przyszło do głowy, że może miał to być żart. To prawda, że posłużenie się grzechotnikiem jest

żartem nieco drastycznym, jednak ktoś pochodzący z Kalifornii mógł nie zdawać sobie sprawy z

niebezpieczeństwa. Epidemie idiotycznych żartów pojawiały się okresowo w ekipach filmowych, więc ten nie

byłby taki niezwykły. Zaraźliwe żarty czasami wymykają się spod kontroli i stają się niebezpieczne.

Załóżmy więc, że był to głupi żart. Skoro tak, to przeciw komu był skierowany? - myślała Julie. Przeciw

niej, czy przeciw Ofelii? A może ktoś myślał, że teraz Bull korzysta z karawaningu?

Jeżeli natomiast nie był to żart, to co to mogło być?

Na to pytanie Julie nie znajdowała odpowiedzi. Nie przychodził jej do głowy nikt, kto mógłby chcieć

wyrządzić krzywdę Ofelii. Asystentka była w dobrych stosunkach ze wszystkimi. Bull natomiast był tu tak

krótko, że nie mógł wzbudzić niechęci. A co do niej samej, to być może znaleźliby się tacy, którzy niezbyt ją

lubili albo których denerwowała, ale nie było chyba nikogo, kto chciałby umyślnie zrobić jej krzywdę. Jeżeli

jednak ktoś z aktorów czy członków ekipy chciał ją w ten sposób przekonać, że powinna oddać film Bullowi, to

ona, Julie, przekona tego kogoś, że w tym celu trzeba użyć jeszcze bardziej drastycznych metod.

Wszystko to nie miało w tej chwili znaczenia. Problemem był teraz wąż. Pytanie brzmiało: co zrobić?

Mogła udać się po pomoc, ale wtedy wokół sprawy powstałby szum, wszyscy by wiedzieli, że znalazła węża w

swojej łazience, nie mówiąc już o tym, że zmanifestowałyby własne przerażenie i bezradność. A ona nie chciała

nikomu sprawić takiej satysfakcji. Ten ktoś nie powinien wiedzieć, że ją przestraszył. Jeżeli był to głupi żart,

wolała, aby wyglądało na to, że się nie udał. A w takim razie najlepiej załatwić sprawę węża spokojnie i bez

niczyjej pomocy. Tak, powinna to zrobić sama, mimo że myśl o tym wcale jej nie zachwycała. Jeżeli zrobi to

sama, to ten ktoś, kto wpuścił węża do karawaningu, będzie się dziwił, co się z nim stało i dlaczego obyło się

bez krzyków i paniki. I być może zacznie się zastanawiać, gdzie wąż następnie ma się pojawić.

No dobrze, ale jak, na miłość boską, pozbyć się tego węża? Nie chciała go zabijać, bo nie zrobił jej nic

złego, przestraszył ją tylko. Z drugiej strony, ktoś grzechotnika rozdrażnił, więc nie należało się spodziewać, że

gad oddali się w spokoju. No tak, jeżeli nie chcę mieć pełzającego współlokatora, muszę go zabić, nie mam

wyjścia, pomyślała.

Ale jak?

W dzieciństwie widziała kilka razy, jak matka pozbywała się węży, które były tak niemądre, że wpełzły

na jej rabaty z kwiatami. Sama też zresztą zabiła ze dwa. Jej bronią była wtedy motyka. Ponieważ jednak w tej

chwili nie miała motyki pod ręką, doszła do wniosku, że wystarczy cokolwiek, co jest ostre i osadzone na

długim, mocnym trzonku.

Julie wyprostowała się i poszła prosto do małej spizarni znajdującej się obok lodówki. Znalazła tam

szczotkę z dość ciężkim metalowym trzonkiem i plastikowym włosiem tkwiącym w metalowej oprawie. Oprawa

miała rozmiary małej motyki. Julie wzięła szczotkę, zważyła ją w rękach i doszła do wniosku, że się nadaje.

Trzymając ją za koniec trzonka jak maczugę, poszła w stronę drzwi łazienki. Położyła dłoń na klamce,

nacisnęła ją ostrożnie i powoli otworzyła drzwi.

Po chwili było już po wszystkim. Wąż był ogłuszony uderzeniami, ale Julie nie miała pojęcia, czy żyje.

Zacisnęła zęby i posługując się szczotką wepchnęła długie bezwładne ciało do plastikowego kubła na śmiecie.

Potem rzuciła do niego papierowy ręcznik, przykrywając nim węża i zastanowiła się, jak się go pozbyć. W

końcu postanowiła zanieść go na skraj bagna i wrzucić go w zarośla, między palmy niskopienne. Wiedziała, że

ktoś może ją tam zobaczyć, ale doszła do wniosku, że musi podjąć takie ryzyko.

Nikt nie zwrócił na Julie uwagi, nikt nie zawołał, ani nikt za nią nie poszedł. Wyszła spokojnie z karawaningu i przemknęła się między nim a stojącym obok karawanikiem Summer. Stanąwszy na skraju

bagna, tam gdzie poszycie dochodziło do bruku parkingu, zamachnęła się kubłem i wyrzuciła jego zawartość jak

najdalej od siebie. Wąż z ciężkim plaśnięciem upadł na ziemię wśród palm. Julie odwróciła się i odeszła szybko,

nie oglądając się i nie sprawdzając, czy przypadkiem nie ożył.

Przed swoim karawanikiem zastała Allena i Bulla. Postawiła kubek obok schodków i podeszła do nich.

Nie chciało jej się wchodzić do środka. Nagle przestała odczuwać głód.

Bull był w dobrej formie. Przejął fotel Vance'a stojący pod cyprysem i opowiadał właśnie o jakimś filmie

kręconym w Afryce. A ponieważ był nie tylko hollywoodzką znakomitością, lecz także doskonałym gawędziarzem, wokół niego zebrał się spory tłumek Allen siedział w pobliżu w fotelu reżysera i nalewał do

porcelanowej filiżanki herbatę ze srebrnego termosu.

Vance rozwalił się w fotelu, a u jego stóp, oparta plecami o kolano gwiazdora, siedziała na podnóżku

Madelyn. Po jednej stronie Bulla usadowiła się młoda dziennikarka, która przyjechała poprzedniego dnia, a po

drugiej siedziała po turecku Summer, która jak urzeczona wpatrywała się w opowiadającego. Jej matka, Annette,

była nieobecna, ale Donna Lislet zajęła miejsce na stołku niedaleko Summer, tuż obok Reya, który usadowił się

na ziemi i oparł plecami o cyprys. Summer od czasu do czasu krytycznie zerkała na wdowę. Wyglądało więc na

to, że Donna została przedstawiona jako jej nowa nauczycielka.

Julie była ciekawa, co by się stało, gdyby powiadomiła zebranych o swoim niedawnym gościu. Ciekawe

byłoby zobaczyć ich reakcje, przekonać się, czy ktoś nie zachowuje się dziwnie. Nie chciała jednak psuć efektu

opowiadającemu swoją historię Bullowi, nie chciała też, by wszyscy zasypali ją pytaniami, na które nie mogła

odpowiedzieć. Oparła się więc pokusie i milczała.

Ofelia znajdowała się niedaleko i wymieniała właśnie ze Stanem oraz grupą operatorów i dźwiękowców

pospieszne, błazeńskie dygresje, które jej się nasuwały w związku z opowieścią Bulla. Kiedy zobaczyła

zbliżającą się Julie, przerwała i podeszła do niej ze scenopisem i planem zdjęć w ręce. Za nią ruszył Stan.

Asystentka poinformowała Julie, że czekają na to, by ludzie odpowiedzialni za efekty specjalne

przygotowali sprzęt. Kiedy tylko skończą, będzie można przeprowadzić próby nad rzeką, które zaplanowała

Julie. Ale do tego czasu można tylko słuchać Bulla - dosłownie i w przenośni.

Scena kaskaderska, zaplanowana na ten dzień, była jedną z najważniejszych w filmie. Tym razem Rey

miał zastępować nie Vance'a, tylko jednego z aktorów grających opryszków wynajętych przez żonę Jean-

Pierre'a, Dorotheę. Zgodnie ze scenariuszem, Dorothea miała odwrócić uwagę Jean-Pierre'a uwodząc go, a jeden

z wynajętych opryszków miał w tym czasie porwać Alice. Jean-Pierre zorientowawszy się, co się stało, miał się

puścić w pogoń i działając pod wpływem wściekłości spowodowanej kolejną zdradą żony, doprowadzić do

wypadku motorówki i narazić życie córki. Miała nastąpić potężna eksplozja, w czasie której

dziewczynka

wypada z motorówki, a ojciec ratuje jej życie. Zdał sobie sprawę z tego, że przywożąc córkę na bagna naraził ją

na niebezpieczeństwo i nękają go wyrzuty sumienia.

Summer nie brała udziału w zdjęciach. Dla bezpieczeństwa zastąpiono ją kukłą owiniętą w koc z blond

peruką na głowie. Ta scena była zbyt niebezpieczna nawet dla dziecka-kaskadera. Scenę wyratowania Summer

zamierzano nakręcić innego dnia, podobnie jak kilka innych, pokazujących stosunki między dziewczynką a

ojcem i rozgrywających się w nędznym obozowisku nad wodą, w którym sfilmowano też scenę uwodzenia.

Vance chciał koniecznie sam prowadzić łódź w scenie z eksplozją, obywając się bez kaskadera. Miał

dosyć sytuacji, w których ktoś inny zdobywa sławę. A poza tym cała ta scena, w której motorówka ulega

wypadkowi, była bardzo łatwa, przynajmniej dla niego. Tak powiedział i miał częściowo rację. W scenie tej miał

bowiem szybko płynąć i wziąć kilka ostrych zakrętów, ale nie groziło mu żadne poważne niebezpieczeństwo.

Ryzykował nie on, tylko Rey, który miał wyskoczyć z motorówki w momencie zderzenia, na ułamek sekundy

przed wybuchem. Vance natomiast musiał tylko przeprowadzić swoją łódź przez dym i pozostałości po

motorówce. Ponieważ nie mieli kaskadera dorównującego umiejętnościami Reyowi, Julie zgodziła się w końcu,

żeby Vance zrobił, jak chce.

Opowiadanie Bulla dobiegło końca. Donna wstała.

- Czas chyba, żebym zaczęła zarabiać na życie - powiedziała, uśmiechając się serdecznie do Summer i

wyciągając do niej rękę. - Pokaż mi książki, z których się uczysz. Muszę zobaczyć, ile przerobiłyście

z tamtą

nauczycielką.

- Wysłucham jeszcze tylko jednej historii, proszę panią o to, proszę! - Summer patrzyła na wdowę błagalnym

wzrokiem. - A później już pójdę. Obiecuję pani.

- Ale następnej historii może nie być.

- Ależ będzie, na pewno - upierała się dziewczynka, pewna swego.

Bull pokręcił głową.

- Wspomniałem, że może opowiem o swojej pierwszej pracy w Hollywood. Grałem wtedy Billy'ego Kida w

muzycznym westernie.

- Żartuje pan! - powiedziała Donna z niedowierzaniem.

- Niezupełnie!

Bull zaśmiał się niskim śmiechem i zaczął następną opowieść. Julie wycofała się. Poszła do klubu

jachtowego, gdzie poprosiła o grzanekę i filiżankę kawy. Siedziała tam, zastanawiając się nad dzisiejszą sceną i

mieszając czarny płyn o smaku cykorii, do którego wlała śmietankę, kiedy do środka weszła powoli Madelyn.

Aktorka wzięła też filiżankę kawy i podeszła do Julie.

- No więc - powiedziała, kiedy już usiadła i rozłożyła jedwabną sukienkę, tak żeby się nie pogniotła - masz

zamiar pozwolić Bullowi, żeby ci pomógł, czy nie?

Julie spojrzała jej prosto w oczy.

- Czy to on cię tu przysłał, żebyś się tego dowiedziała?

- No wiesz, wstydziłabyś się. Bull wcale o tym ze mną nie rozmawiał. Po prostu jestem ciekawa.

- Nie wiem, dlaczego cię to interesuje. Chyba że wolisz pracować z Bullem.

- Innymi słowy mam pilnować swojego nosa, tak? - Madelyn zaśmiała się niewesoło. - Właściwie to

martwię

się o Bulla.

- Tak? A dlaczego?

- Czy uwierzyłabyś, gdybym ci powiedziała, że ze względu na dawne czasy? Wydaje mi się, że on źle wygląda, jest zmęczony i czymś zmartwiony. Być może martwi się o ciebie i o to, co robisz. - Nic na to nie

mogę poradzić.

- Nie? Widzisz, on nie jest już taki młody jak dawniej. Nikt z nas nie jest. Bull jest potężny i szorstki, i

samowystarczalny, ale mimo to można go zranić.

- Wiem, ale czy z tego powodu mam poświęcić wszystko, całą swoją pracę związaną z tym filmem?

- On tyle samo poświęcił dla ciebie.

- O czym ty mówisz?

Julie przyjrzała się Madelyn, marszcząc brwi...

- Kiedyś, dawno temu, wyrzucił mnie, gdy ty się sprowadziłaś do Los Angeles. Mieszkaliśmy razem od

jakiegoś roku, ale to nie miało żadnego znaczenia. Powiedział mi, że mu przykro, ale musi tak postąpić. Nigdy

mu nie wybaczyłaś tego, że zerwał z twoją matką, i chciał ci to wynagrodzić. Zrezygnował dla ciebie z

wszelkich związków uczuciowych i bliższych więzów.

- Nie miałam o tym pojęcia.

Julie wpatrywała się w zarumienioną twarz Madelyn.

- To nie wszystko. Bull zrezygnował z mnóstwa filmów. Z takich, za które inni reżyserzy daliby sobie uciąć

palec. Zrezygnował z nich tylko dlatego, że robiąc je musiałby wyjechać z kraju i na jakiś czas rozstać się z tobą.

- Nie prosiłam go o to - powiedziała Julie tonem osoby, która się broni.

- Nie musiałaś tego robić. On uważał, że go potrzebujesz, i cię nie opuszczał.

- Lepiej by było, gdyby nie opuścił mojej matki.

- Droga Julie, myślałam, że dość długo tkwisz w tym biznesie, by wiedzieć, że ludzie kina są tylko ludźmi,

nikim więcej. Nie ma wśród nas ani bohaterów, ani czarnych charakterów. Supergwiazdy i legendy kina

krwawią i pocą się jak wszyscy inni i doznają bólów serca. Popołniają błędy, jednak rzadko popołniają je sami.

Dotyczy to nawet Bulla.

- To bardzo głęboka myśl- powiedziała Julie z westchnieniem.

- Myślę, że mówiąc to usiłujesz dać mi coś do zrozumienia?

- Do zrobienia dziecka i przeprowadzenia rozwodu trzeba dwojga ludzi.

Julie odczekała chwilę, a potem zaczęła mówić spokojnym głosem:

- Słuchaj, Madelyn, to, co się tu dzieje, ma mało wspólnego z tym, co czuję do Bulla, i z tym, co on czuje do

mnie. To jest sprawa zawodowa. Nie ma potrzeby, żebyś się za nim wstawiała albo go żałowała.

Czerwone wargi Madelyn wykrzywił ironiczny uśmiech.

- On miał rację, prawda? Nie wybaczyłaś mu.

Aktorka wstała, wzięła filiżankę i odeszła. Julie nie ruszyła się z miejsca. Nie obserwowała odchodzącej

Madelyn, lecz znaczyła swoją filiżanką kółka na plastikowym blacie stołu. Kiedy ktoś przyszedł zawiadomić ją,

że wszystko jest gotowe, wciąż siedziała w tym samym miejscu nad nie zjedzoną grzanką i zimną kawą.

Ailen wyszedł z przydzielonego mu biura i stał z Bullem i Ofelią koło mola, obok łodzi z kabiną. Gdy

Julie podeszła, odwrócił się do niej. Zanim zdążył coś powiedzieć, odezwał się ojciec Julie:

- Pomyśleliśmy z Allenem, że moglibyśmy popłynąć z tobą jako obserwatorzy, jeżeli oczywiście nie masz nic

przeciwko temu.

- Dlaczego miałabym mieć coś przeciwko temu? - spytała Julie uprzejmie. - Dołączę do was za chwilę.

Przechodząc dotknęła ramienia ojca i pokazała mu łódź, którą oboje mieli popłynąć. Przez chwilę rozmawiała ze Stanem, ustalając ostatnie szczegóły. A potem wskoczyła lekko na pokład łodzi z kabiną.

Następnie, bez dalszej zwłoki, popłynęli w dół rzeki.

Rey już wcześniej odpłynął szybką motorówką, która miała być użyta w jego dzisiejszej scenie. Kiedy

Julie, Allen i Bull przybyli na miejsce, gdzie miały być kręcone zdjęcia, on już tam był. Była to ta sama otwarta

przestrzeń na wodzie, na której filmowano poprzednią scenę, przestrzeń tak duża, że można było na niej

manewrować łodziami. Platformę z kamerą przetransportowano na drugi brzeg - rzeka filmowana z tej strony

wyglądała zupełnie inaczej.

Próba tej sceny przebiegła pomyślnie. Podobnie jak poprzednio, kilka małych eksplozji miało symulować

kule idące w wodę. Próba wykazała, gdzie dokładnie te eksplozje następują, dzięki czemu Rey i Vance mogli

potem przepłynąć obok nich z odpowiednią szybkością, tak żeby efekt był jak najlepszy. Nie można było

oczywiście zastosować symulacji dla ukazania większych eksplozji ani pokazać w czasie próby, jak Rey

opuszcza motorówkę, gdyż motorówka miała być zniszczona w trakcie tej sceny. Jednak Rey i Stan ustalili

dokładnie czas każdej czynności.

Julie usiłowała pozbyć się myśli o niebezpieczeństwie, próbowała udawać, że jest to po prostu jedna z

wielu kręconych scen, jeszcze jedna z udziałem kaskadera, któremu się płaci za narażanie życia i

zdrowia. Miała

nadzieję, że ten kaskader zachowa się przytomnie. Nie udawało jej się to jednak. Obserwowała motorówkę, skif

Vance'a i łódź z kamerą, pędzące i okrążające się nawzajem, a potem znowu poruszające się wolno i kołyszące

na bruzdach pozostawianych na wodzie. Jej spojrzenie zza ciemnych okularów wielokrotnie wracało do Reya,

którego ciemna głowa błyszczała w słońcu, a szerokie ramiona wydawały się w ciemnym garniturze jeszcze

szersze. Ruchy Reya były pewne i skuteczne, a równocześnie ostrożne.

Julie chciała być tak samo pewna i ostrożna jak on. A tymczasem robiło jej się słabo. I to powodowało,

że zwracając się do ludzi na wodzie przez walkie-talkie, mówiła głosem, w którym wyczuwało się

zniecierpliwienie. Tak, uważała, że jej głos powracał do niej wraz z zakłóceniami jako cienki i ochrypły,

brzmiący niecierpliwie i zdradzający poirytowanie. A poirytowana była tym, że wskutek przeprowadzenia próby

wszystko się opóźniło. Rzeczywiście miała powód do niezadowolenia - chciała bowiem, żeby ta scena została

już wreszcie nakręcona. A tak naprawdę to dużo by dała, żeby cały ten film był już nakręcony. Uważała, że im

prędzej go skończy, tym lepiej.

Ale czy na pewno?

A może chciała, żeby trwał wiecznie? Sama nie wiedziała.

Naprawdę nie miała pojęcia.

Lodzie znowu krążyły, wracały na pozycje wyjściowe. Kran zaskrzypiał, gdy główna kamera obróciła się

i też zajęła właściwą pozycję. Szmer głosów na platformie cichł, w miarę jak zbliżała się chwila rozpoczęcia

zdjęć.

Nagle dźwiękowiec skrzywił się boleśnie, gdyż rozległo się terkotanie silnika jakiejś obcej motorówki.

Najwyraźniej ktoś z miejscowych płynął do nich z wizytą albo jakiś rybak udawał się tędy w dół rzeki. Przy

końcu ciemnego tunelu prowadzącego w stronę obozowiska pojawiła się stara motorówka.

Potem wypłynęła na słońce. Miała silnik przytwierdzony na zewnątrz, była Poobijana, brudna i niewiarygodnie zniszczona, a u jej steru siedział nie żaden rybak ani nieproszony gość. To była Donna.

Młoda wdowa zamachała ręką i coś krzyknęła, jednak warkot silników motorówek na planie i silnika jej

łodzi zagłuszał słowa. Julie dała znak ręką, żeby podpłynęła bliżej. W momencie gdy Donna wyłączyła silnik i

podpłynęła do platformy, Julie ostatni raz rzuciła okiem na plan, a potem kiwnęła głową w stronę Ofelii.

- Dobra. Zaczynamy - krzyknęła asystentka do megafonu. - Kamera!

- Przepraszam - szepnęła zdyszana. Donna, wspiąwszy się po drabince. - Nie miałam zamiaru przeszkadzać.

Uciszyło ją ze sześć osób. Poczerwieniała, ale zamilkła. Podeszła do Julie.

- Przepraszam - zaczęła znowu po cichu - ale musiałam przyjechać. Nie mogę znaleźć Summer.

- Cisza!

Ofelia spojrzała na wdowę z wściekłością, ruszając w jej stronę, ale Julie podniosła rękę.

- Proszę mówić dalej - powiedziała do Donny.

- Summer mówiła mi, że chce zjeść z matką późne śniadanie, ale kiedy poszłam do nich pół godziny później,

Annette oświadczyła, że jej nie widziała. Szukałam jej wszędzie, ale nie znalazłam. Pomyślałam, że może

uprosiła panią, żeby jej pani pozwoliła przyjechać tutaj. Wszystkie łodzie są tutaj, więc okrążyłam samochodem

kanal, pojechałam do obozowiska znajomych i pożyczyłam od nich łódź. Czy ... czy ona jest tutaj?

W oddali łodzie nabierały szybkości. Krążyły, przygotowując się do długiej, skomplikowanej drogi, u

której końca, oddalona o jakieś dwieście stóp, miała znajdować się stara, częściowo zanurzona pod wodą

estakada, będąca sztucznie zbudowaną kopią estakady znajdującej się w innym miejscu. Julie poczuła się tak,

jakby jej umysł podzielił się na dwie części, mające do czynienia z dwoma problemami, które jej przedstawiono.

Były one niczym dwie oddzielne części jednej całości. Julie marzyła o tym, by je ze sobą połączyć. Troska o

Reya wystąpiła równocześnie z niepokojem o Swnmer.

- Czy ktoś ją widział? - spytała bezgłośnie, odwracając się to w tę stronę, to w inną i błagając wzrokiem

obecnych o zgodę na tę rozmowę. Ale oni wzruszali tylko ramionami i kręcili głowami.

- Od czasu gdy się z nią rozstaliśmy, nikt jej nie widział - szepnął Buli, podchodząc do Julie z tyłu.

Przerwał im ryk silników - to łodzie zaczęły swój wyścig. Potem rozległy się strzały - Rey płynący

pierwszą łodzią wystrzelił w stronę Vance'a, a małe ładunki przygotowane przez człowieka od efektów

specjalnych wybuchły nad wodą dając doskonały efekt. Vance odchylił się, a jego łódź zakołysała się tworząc na

wodzie zygzakowatą bruzdę.

Julie, obserwując łodzie, przypomniała sobie na chwilę Summer siedzącą u stóp Bulla i zasłuchaną w

jego niski głos. Zupełnie jak kiedyś ona, Julie. Przypomniała sobie to samotne dziecko pragnące robić takie

wspaniałe rzeczy jak on, pragnące zrobić na nim wrażenie. Równocześnie nie odrywała oczu od Reya ubranego

w ciemny garnitur, odwracającego się błyskawicznie, strzelającego, kontrolującego motorówkę, która niby to

swobodnie dryfowała; Reya z pozoru nieświadomego faktu, że na wpół zanurzona estakada mający przed nim i

że zbliżający się Vance go na nią spycha. Za nim, na wąskim siedzeniu, leżała kukła. Jasne włosy peruki

falowały na wietrze.

Kukła ruszała się.

Nagle usiadła, odsunęła koc. Działała tak, jakby była oszołomiona. Ukazała się blada twarz z szeroko otwartymi oczami. Mała ręka wysunęła się spod koca i chwyciła górną część burty pędzącej łodzi.

Kierując się instynktem, Julie podniosła walkie-talkie. To niemożliwe, to po prostu niemożliwe! Dla

Julie było to jakieś nierealne deja vu, chociaż równocześnie, przerażona i wściekła, krzyczała do mikrofonu:

- Ta kukła to Summer! Rey, ta kukła to naprawdę ... !

Ostatnie słowo zagłuszył ryk eksplozji. Ciemna sylwetka Reya wyleciała w powietrze jak z katapuły.

Wyleciała z łodzi i uniosła się wraz z falującą ścianą ognia.

- Nie wiem, jak Tabary to zrobił.

Bull powtarzał to już od trzech dni i wypowiadał te słowa po raz chyba setny. Wypowiadał je z ogromnym podziwem, który dzielali wszyscy obecni. Siedział z innymi filmowcami w dawnej klasie szkolnej,

służącej obecnie jako sala recepcyjna w restauracji zwanej "W chacie ", mieszczącej się częściowo w czymś, co

kiedyś było chatką murzyńskich niewolników pracujących na plantacji. Przyjęcie weselne po ślubie ciotecznej

wnuczki ciotki Tine było w toku. Buli, rozparty na krześle, z kieliszkiem szampana w jednej ręce i z miską

jambalai w drugiej, jak zwykle rozprawiał. Wokół niego zebrało się sporo gości weselnych, przyjaciół ciotki

Tine. Wszyscy jeszcze raz wysłuchiwali opowieści o wypadku na rzece.

Julie wiedziała, jak Rey to zrobił.

Wiedziała, co dokładnie się zdarzyło, gdyż obserwowała wypadek z zapartym tchem i sercem podchodzącym do gardła. Wiedziała, bo oglądała go co najmniej pięć razy na filmie.

Siedząc przy stole obok ojca i patrząc na piękną ciemnowłosą pannę młodą w białej sukni z jedwabiu i

koronki naszywanej perłami, pozującą do zdjęć wraz z druhnami, Julie jeszcze raz przeżywała w duchu tę scenę.

W momencie gdy zaczęła krzyczeć, Rey odwrócił się już i zobaczył, że kukła na tylnym siedzeniu się rusza.

Pochylił się nad siedzeniem i zgarnął Summer, podnosząc ją w górę, a potem - jak pomarańczowoczerwona kula

ognista - rzucił się, przesybował ponad burtą i przedarł się z hukiem przez drzewa, wstrząsając nimi do tego

stopnia, że szare mchy na ich gałęziach wykonały szaleńczy taniec. W momencie gdy wraz z Summer wpadał do

wody, jego marynarka płonęła. Zanim oboje zdołali się wynurzyć, łódź stała się ogromnym płonącym stosem.

Mieniący się kolorami tęczy olej wylał się z niej i płonął w promieniu dwudziestu stóp. Dla Julie te kilka sekund

było chwilami najdłuższego w życiu oczekiwania.

Vance, znajdujący się w drugiej łodzi, pierwszy dotarł do Reya i Summer. Wciągnął ich na skifi

przywiózł na platformę. Summer, wciąż owinięta poczerniałym kocem, czuła się dobrze. Miała tylko osmalone

włosy i opiała się wody z Blind River. Marynarka Reya była zwęglona, a jego poparzone ramię i plecy wyglądały

jak przypalona wołowina. Z powodu Summer skoczył dosłownie w ostatniej chwili; jeszcze moment, a byłoby

za późno.

Donna wybuchnęła histerycznym płaczem. Szlochając twierdziła, że to jej wina. Ta histeria była

zrozumiała, choć męcząca. Summer, przerażona i zszokowana, także wybuchnęła płaczem, w momencie gdy

zdała sobie sprawę, że omal nie doprowadziła do śmierci Reya i omal nie zginęła sama. Płakała długo i nie

mogła się uspokoić. Dopiero po pewnym czasie udało jej się wytłumaczyć, że ranny Rey nie potrzebuje jej

pomocy.

Rey potrzebował lekarza. Zresztą i Summer należało zbadać i sprawdzić, czy do jej płuc nie dostała się

woda z olejem. Dopiero kiedy wszyscy znaleźli się na łodzi z kabiną, wiozącej ich na miejsce, z którego mieli

się udać do szpitala, Julie i pozostałym udało się dowiedzieć, dlaczego dziewczynka zakradła się na motorówkę.

Z tego, co Summer nieskładnie opowiadała, zrozumieli wreszcie, że pomysł przyszedł jej do głowy, gdy

przypadkowo usłyszała opowiadanie Bulla o odważnym małym Meksykaninie, który został

gwiazdorem,

ponieważ zakradł się na arenę i stoczył walkę z bykiem, nie pozwalając, żeby zrobił to za niego kaskader-karzeł.

Tego ranka usłyszała też, jak ktoś - nie wiedziała kto - mówił, że to wielka szkoda, że Summer nie może sama

zagrać w scenie z eksplozją. Pomyślała, że to dobry pomysł. Przyszło jej też do głowy, że udział w tej scenie

może jej przynieść sławę. Wiedziała, że Rey nie dopuści do tego, żeby jej się coś stało.

Ale później, kiedy schowała już kukłę i zajęła jej miejsce, ktoś do niej podszedł i poczuła ukłucie w ramię. Zasnęła i obudziła się dopiero wtedy, gdy usłyszała strzały padające w trakcie kręcenia sceny.

Bull klął i złorzeczył sobie za to, że Summer usłyszała jego opowieść o małym Meksykaninie. Nikt jednak nie miał pojęcia, kto mógł zasugerować, żeby dziewczynka zagrała w tej scenie.

- Jesteś pewna, że naprawdę słyszałaś, jak ktoś to mówi? - spytał Bull. - Jesteś najzupełniej pewna, że nie

wymyśliłaś tego sama?

Summer przygryzła wargę i zmarszczyła brwi.

- Chyba to słyszałam. Jestem tego prawie pewna.

- I jesteś pewna, że czułaś ukłucie? Może koc cię drapał? Było przecież gorąco ...

- Myśli pan, że tak po prostu zasnęłam? - powiedziała ze złością Summer. - Ja nigdy tak mocno nie śpię! Na

pewno bym się obudziła, kiedy włączano silnik. .. albo podczas jazdy.

Nic nie było w stanie skłonić jej do zmiany wersji tego wydarzenia, nawet przesłuchiwanie przez szeryfa.

I nie można było wydobyć z niej żadnych innych szczegółów. Na ramieniu miała ślad jakby po ukłuciu, ale

badanie krwi nie wykazało nic niezwykłego. Po przeprowadzeniu dokładnych badań wypuszczono ją ze szpitala.

Z przesłuchania członków ekipy filmowej wynikało, że nikt nie widział, jak Summer zakrada się do

łodzi. Nie było to żadną niespodzianką, podobnie jak to, że nikt nie widział, co się działo później. No bo ktoś,

kto by to widział, powiedziałby najprawdopodobniej dziewczynce, żeby stamtąd odeszła, albo zwrócił na nią

uwagę innych. Kilka osób dawało wyraz podejrzewaniu; że Summer dramatyzuje całą sytuację albo też wymyśla

sobie usprawiedliwienie. Zastępcy szeryfa byli zbyt uprzejmi, żeby się z tą opinią zgodzić. Przy braku dowodów

na to, że ktoś zawinił, dochodzenie przeprowadzono bardzo szybko i równie szybko zamknięto.

Wydawało się, że wypadek nie wywarł na Summer wrażenia.

Tego wieczoru, ubrana na różowo i biało, z mieniącą się różową kokardą we włosach, oglądała ceremonię ślubną w starym kościele przy River Road. Na jej szczupłej twarzy malował się zachwyt:

A teraz, skorzystawszy z pomocy ciotki Tine i nałożywszy sobie dość dużo na talerz, siedziała i

obserwowała gości z wyrazem skupienia w oczach, jak gdyby gromadziła w swojej pamięci młodej aktorki

różne gesty i sposoby mówienia.

Wszyscy bawili się świetnie - jedli, pili, śmiali się i rozmawiali równocześnie. W całej tej uroczystości

nie było nic statecznego, nic formalnego. Przyjęcie było po prostu ciepłym i wesołym wprowadzeniem młodej

pary w dorosłość i w życie społeczności, a rodzina i przyjaciele, sąsiedzi i znajomi cieszyli się szczęściem

młodych ludzi.

Panna młoda uśmiechała się jak osoba wzruszająco szczęśliwa.

Rozpromieniony pan młody w białym smokingu, pasującym do sukni panny młodej, promieniał miłością

i dumą. Oboje byli pełni oczekiwaniami. Dobre wychowanie kazało im jednak powstrzymać niecierpliwość,

która objawiała się w szybkich pocałunkach i długich, pełnych obietnic spojrzeń.

W powietrzu unosiły się zapachy potraw i wina; pachniał słodki lukier na wysokim białym torcie, ukoronowanym orchideami z pianki i udekorowanym amorkami, kolumienkami i girlandami ze słodkiej wstążki.

Druhny kręciły się tu i tam, a za nimi . biegali druzbowie. Matka panny młodej stała oszołomiona.

Goście przechodzili od jednego bufetu do drugiego. Ich śmiechy i rozmowy tworzyły ściszoną kakofonię. Od czasu do czasu ktoś głośno zachwycił się kwiatami, które były w kościele, słowami księdza i

pięcioma białymi limuzynami, które przywiozły orszak weselny z kościoła na przyjęcie. W rogu stał człowiek z

kamerą wideo i uwieczniał wydarzenie dla potomności.

- Dobrze się pani bawi? Ma pani co jeść? - spytała ciotka Tine, zatrzymując się obok Julie z kieliszkiem wina

w jednej ręce i przypieczoną kielbaską na widelcu w drugiej.

- Bardzo dobrze się bawię. I naprawdę mam co jeść - odpowiedziała Julie, kładąc sobie rękę na brzuchu. - Ale

proszę mi powiedzieć: na czym polega wasz sekret? Co powoduje, że Cajunowie mają tyle joie de vivre? Że tak

się świetnie bawią?

Kobieta spojrzała bystro na Julie, uśmiechając się przy tym dziwnie .. Gestykułując widelcem z kielbaską

dla podkreślenia wagi swoich słów, powiedziała:

- Otóż, chere! to jest tak. Kiedy Akadyjczycy zostali zmuszeni do opuszczenia Nowej Szkocji, zostawili tam

wszystko: jedzenie, meble, domy, wszystko z wyjątkiem ubrania, które mieli na sobie. Zapędzono ich na statki,

rozdzielono rodziny, których członkowie mieli się już więcej nie zobaczyć, posłano najpierw w jedno miejsce,

potem przepędzono w drugie. Wiele lat upłynęło, zanim ci, co nie umarli z zimna, głodu i zgrzyoty, dostali się

do Luizjany. Udało się to tylko tym, którzy kochali życie. Po tych strasznych doświadczeniach, straciwszy

wszystko i odbywszy taką podróż, wiedzieli jedno - że życie jest krótkie, a śmierć długa. Wiedzieli, że wszystko,

co nam jest dane, to chwila, którą właśnie przeżywamy. I wiedzieli, że ta chwila może być smutna i okropna

albo wspaniała i radosna. I że radość jest czymś lepszym niż smutek.

Julie popatrzyła na otaczających ją ludzi i powiedziała powoli:

- Myślę, że coś w tym jest.

- Proszę mi wierzyć, chere, na pewno tak. I proszę zjeść kielbaskę. Kielbaski są, takie dobre!

Po pewnym czasie składająca się z czterech osób orkiestra, która stroiła instrumenty i przygotowywała

mikrofony na zewnętrznej galerii, zaczęła grać. Panna młoda i pan młody Aeszli na wybrukowany ceglami

dzielnicy i powoli wirowali w walcu. Później panna młoda tańczyła ze swoim ojcem, a pan młody ze swoją

matką, a obok nich dziewczynka, która niosła kwiaty przed panną młodą, wirowała z jednym z chłopców.

Goście siedzący na galerii przyglądali się tańcom z uśmiechem. W momencie gdy szaroniebieski zmierzch

zamienił się w rozświetloną pochodnię, wszyscy członkowie orszaku ślubnego, wraz z pierwszym

drużbą i pierwszą drużyną oraz pięcioma innymi drużynami i drużbami, kręcili się w rytmie reggae. Kiedy tańce

zostały w ten sposób oficjalnie zapoczątkowane, dzielnica oddano do dyspozycji gościom.

Oprócz Julie i Bulla spośród filmowców zaproszono na wesele Summer i jej matkę. Nie zaproszono

wszystkich, bo w końcu wesele było prywatną uroczystością i budżet na przyjęcie był ograniczony. To Donna

nalegała, by zaprosić Summer, prawdopodobnie chcąc, żeby dziewczynka zapomniała o wypadku. I to właśnie

ona wręczyła Summer kieliszek z kilkoma kroplami szampana.

- Nie zaszkodzi jej to - powiedziała - a zresztą lepiej, żeby skosztowała wina przy wszystkich niż żeby

przyzwyczała się do niego pijąc po kryjomu.

Summer, która z początku była niezadowolona z tego, że ma nową nauczycielkę, stopniowo coraz bardziej akceptowała Donnę.

Rey tańczył z Summer. Przedtem Julie widziała go kilkakrotnie, gdy mówił coś miłego nowożeńcom, gdy podawał coś do jedzenia starej przyjaciółce ciotki, gdy rozmawiał w jakimś cichym kącie z przyjaciółmi.

Nie opierał się o nic - unikał zwłaszcza oparcie krzesel - i nie robił gwałtownych ruchów. Przyjrzawszy się

uważnie, można było zobaczyć, że linię jego marynarki psuje wypukłość spowodowana bandażem. Mimo to

schylał się bez wysiłku, słuchając szczebiotu Summer, i obracał nią w walcu Cajunów, aż wirowały jej

spódniczki; uczył dziewczynkę obrotów z ręką wdzięcznie założoną za plecy. Z daleka wyglądał jak ktoś, kto

traktuje partnerkę z atencją i kto równocześnie nie jest pozbawiony poczucia humoru. Summer śmiała się,

podnosząc na niego oczy i patrząc z zachwytem. W jej oczach błyszczało uwielbienie. Najwyraźniej uważała

Reya za bohatera. Julie, patrząc tak na nich, złapała się na tym, że pragnie, by jego obraz nigdy się nie zmienił, a

jeżeli już miałby się zmienić, to żeby Summer nigdy się o tym nie dowiedziała.

Donna nosiła na biodrze jasnowłosego malucha, ścisnęła pana młodego, który był jakoś z nią

spokrewniony, odpowiadała z wdziękiem i opanowaniem na wyrazy współczucia. Wyglądała na osobę, która w

spokojny sposób dość dobrze się bawi. Nikt nie miał jej za złe, kiedy weszła z Reym w krąg tańczących, mimo

że dzieciak - rozstawszy się z nią - okazywał pewne niezadowolenie. Jego gniewne miny zamieniły się jednak w

śmiech, kiedy panna młoda wręczyła mu tren sukni. Maluch wziął tren w pulchną rączkę, a panna młoda - ku

jego uciechu - zaczęła tańczyć z nim walca na galerii.

Kilka minut później panna młoda była znowu wśród tańczących na wyłożonym ceglami dziedzińcu. I Ym

razem tańczyła ze swoim dziadkiem, który z zadowoleniem szurając nogami w rytm muzyki, przyszpilał

studolarowy banknot do jej welonu. Przyszedł bowiem czas na taniec z pieniędzmi, podczas którego mężczyźni -

przeważnie przyjaciele i sąsiedzi, a także krewni - tańczyli z panną młodą i przyszpilali pieniężne dowody

sympatii do łatwiej dostępnych części ślubnego stroju - czasami do rękawów sukni, ale najczęściej do welonu.

Pieniądze, jak powiedziała ciotka Tine, szły przeważnie na opłacenie wydatków związanych z miodowym

miesiącem.

Młoda para miała na jedną noc pojechać do Tezcucó, do domu kolonialnego, należącego niegdyś do

właścicieli plantacji, teraz zamienionego na gospodę, w której świeżo upieczeni małżonkowie spędzali zwykle

noc i jedli śniadanie. Stamtąd mieli się udać na tydzień na wybrzeże Florydy. Julie wyobrażała sobie, że po

powrocie zaczną pędzić życie typowego małżeństwa, będą mieli dzieci, będą pracowali i w końcu kiedyś umrą,

nie oddalwszy się prawdopodobnie nawet na odległość kilku mil od pięknego wiktoriańskiego kościoła, w

którym brali ślub. Panna młoda zostanie żoną i matką, ciotką i matką chrzestną, cioteczną babką i babką, gdyż

taka jest kolej rzeczy. Nie będzie narzekała i najprawdopodobniej będzie szczęśliwa.

Zastanawiając się nad tą drogą życiową, Julie pokręciła głową.

Jakie to było proste i jak niewiarygodnie idylliczne!

To jednak było życie nie dla niej.

Czworo dzieci, dwóch chłopców i dwie dziewczynki.

Nie, to nie dla niej. Jej marzenia nie dawały się wtłoczyć w takie ramy. Były zbyt wzniosłe. Nie pasowały do takiego przyziemnego życia.

- Zatańczymy?

Rey stał przed nią i wyciągał rękę, gdy tymczasem orkiestra zaczynała grać kolejnego walca Cajunów.

Julie położyła palce na dłoni Reya. Przeszła z nim wzdłuż galerii, a potem ruszyła po drewnianych schodkach na

dzieliniec.

Obserwowała wcześniej, jak tańczą inni, a poza tym miała pojęcie o tym, jak się tańczy na sali balowej,

więc wkrótce wirowała z Reym na dziedzińcu, wysuwała się z jego ramion i wracała w objęcia partnera, kręciła

się w rytm muzyki, podczas gdy męska dłoń spoczywała na Jej plecach. I rosła w niej radość, słodka, nieustraszona radość.

Julie pragnęła, żeby ta radość nie miała końca, a równocześnie wiedziała, że to niemożliwe. Postanowiła

zapamiętać ją, zachować jako najbardziej osobiste wspomnienie, które miało ją podtrzymywać na duchu.

- No więc jak, czy masz zamiar włączyć do filmu scenę z wesela Cajunów? - spytał Rey, posyłając jej

serdeczne spojrzenie, a równocześnie uśmiechając się nieco tajemniczo.

- Myślę, że mogłabym to zrobić. Nie ma chyba lepszego sposobu pokazania pewnych aspektów życia i

poglądów Jean-Pierre'a, a także rozwoju emocjonalnego małej Alice.

- Ciotka Tine bardzo się ucieszy.

- Naprawdę?

- Będzie jej miło pomyśleć, że przyczyniła się w jakiś sposób do powstania filmu.

- Bardzo się do tego przyczyniła - powiedziała Julie. - Dzięki rozmowom z nią dowiedziałam się wielu

ciekawych szczegółów.

Była mu wdzięczna za to, że zaczął rozmowę na neutralny temat.

Zastanawiała się przez chwilę, czy zrobił to przez grzeczność, czy dla własnej wygody, czy też może z

troski o nią. Bez względu na przyczynę Julie była zadowolona z tego, że jej myśli mogą poruszać się na jednym

poziomie, podczas gdy nieokiełznane uczucia szaleją na innym. A uczucia te rzeczywiście szalały - była

przecież w ramionach Reya, mówił do niej delikatnie, a to wytrącało ją z równowagi.

- Jak twoje ramię? - zapytała i przestraszyła się na myśl, że skojarzenia, które doprowadziły do tego pytania,

mogłyby pojawić się także w jego umyśle.

- Boli – odpowiedział - ale nie jest tak zupełnie bezużyteczne. Przycisnął ją do siebie i porwał nagle w wir

obrotów, które zjednoczyły ich ciała od piersi do ud i które sprawiły, że zabrakło jej tchu i całe ciało 19nęło do

jego ciała. A potem delikatnie odsłmął ją na odległość ramienia, wpatrując się przez niego i w jasnymi oczami w

jej oczy.

Rozumiał ją aż zbyt dobrze i był niebezpieczny właśnie dlatego, że nie bał się dać jej tego do

zrozumienia. Gdyby w tej chwili powiedział jej: "Chodź ze mną", poszłaby. Ale on tego nie zrobił. I Julie nie

wątpiła, że ma po temu powody. Mogła oczywiście domyślać się jakie, nie miała jednak pewności, czy chce je

znać.

Będzie go jej brakowało, będzie brakowało jej tego jasnego uśmiechu w oczach Reya i ciepła jego głosu,

którym wypowiadał słowa pełne troski. Będzie jej brakowało jego błyskotliwej inteligencji, która uzupełniała jej

intelekt, a także delikatności i tego, że ją rozumiał, nie oczekując wzajemności. Będzie jej brakowało - już jej

brakuje - jego dotyku i pomysłowych pieszczot, i siły wewnętrznej, nad którą miał pełną kontrolę. Będzie jej

nawet brakowało siły fizycznej i siły woli Reya. Uświadomiwszy sobie ten ostatni fakt, pomyślała, że to dobrze,

że wyjeżdża.

Panna młoda rzuciła bukiet, pan młody rzucił podwiązkę, jakaś młoda kobieta schwyciła jedno, młody

mężczyzna schwycił drugie, a wszystko to przy akompaniamencie przekomarzania się. Młoda para odjechała

przy wtórze życzeń, obsypana siemieniem i potpourri.

Orkiestra schowała instrumenty i wyszła, a goście rozeszli się do samochodów. Bull i Rey opuścili

przyjęcie razem, nie mówiąc nikomu, dokąd się udają, chociaż Rey, całując ciotkę w policzek, powiedział jej,

żeby na niego nie czekała, tylko szła spać. Bull miał zamieszkać w tym samym motelu w Gonzales, co reszta

ekipy firmowej. Przed opuszczeniem towarzystwa powiedział tylko, że spotka się z córką na planie.

Julie została z ciotką Tine i obie zaczęły pomagać w pobieżnym sprzątanju matce panny młodej i jej

przyjaciółkom i krewnym. Sprzątanje dokładne miała zrobić obsługa restauracji. Julie nie miała nic przeciwko

temu zajęciu. Było coś uspokajającego, a nawet satysfakcjonującego w tym, że została wraz z innymi do końca

wieczoru.

Ciotka Tine uparła się, żeby Julie prowadziła samochód, twierdząc, że sama jest wstawiona, bo wypłała za

dużo szampana. Po przyjeździe do domu posiedziały chwilę na galerii, rozmawiając o weselu i o gościach

weselnych, a także zastanawiając się, co też Bull i Rey robią gdzieś w środku nocy. Zresztą nie było jeszcze tak

późno - minęła dopiero jedenasta.

Mimo to Julie zaczęła ziewać. Od czasu wypadku była zbyt zdenerwowana, znękana problemami, żeby

odpocząć. Budziła się często w nocy i nie mogła już zasnąć, leżała patrząc w ciemność i myślała, bez przerwy

myślała. Może dzisiejszej nocy będzie inaczej, pomyślała.

Okazało się jednak, że ta noc wcale nie była inna. Julie spała może z godzinę, a potem obudziła się nagle,

jak gdyby wytrącona ze snu przez jakiś cichy alarm. Westchnęła i położyła się na brzuchu, podpierając się na

łokciach i zatapiając palce we włosy. Sięgnęła po mały podręczny budzik i nacisnęła guzik. Zapaliły się cyfry.

Była pierwsza.

Julie położyła się, obejmując ramionami poduszkę i zagłębiając w niej twarz. Usiłowała odsunąć od siebie dręczące pytania. Jednak na próżno.

Pytanie, które dręczyło ją najbardziej, dotyczyło tego, czy wypadek z Summer miał coś wspólnego ze śmiercią Paula Lisleta. Wydawało jej się to niemożliwe, a jednak fakt, że przy kręceniu dwóch scen kaskaderskich pojawiły się niebezpieczne problemy, był dziwnym zbiegiem okoliczności. Gdyby Rey nie

zauważył pierwszych nieśmiałych ruchów Summer, mieliby dwie śmierci na planie. I tę drugą śmierć, śmierć

bezbronnego dziecka, które nie powinno się znaleźć nawet w pobliżu łodzi, byłoby bardzo trudno wytłumaczyć.

A jeszcze trudniej byłoby żyć ze świadomością, że dziewczynka nie żyje. To właśnie ta myśl budziła Julie co

noc i sprawiała, że z przerażenia oblewała się potem. Mogła się okazać winna śmierci Summer. Była od tego o

krok.

Zresztą to nie wszystko. Julie zadawała sobie pytanie, czy dziewczynka przypadkiem nie była niedoszłą

ofiara jakiegoś dziwnego spisku skierowanego przeciwko niej, Julie, i jej filmowi. Był przecież ten wąż. Czy

miał ją przestraszyć, czy ukąsić? Czy może miał być ostrzeżeniem, znakiem, że ktoś nie chce, by reżyserowała

Królestwo bagien i żeby skończyła ten film?

Ale kogo obchodziło, czy ona, Julie, odniesie sukces, czy poniesie porażkę? Kto jej tak nienawidził, kto

chciał uniemożliwić ukończenie filmu? Kto był na tyle szalony, żeby zabijać dorosłego człowieka i usiłować

zabić dziecko tylko po to, by ona nie zdołała sfilmować jakiejś książki?

A może się myliła? Może cierpiała na paranoję albo była skrajnie egocentryczna i uważała, że wszystko

kręci się wokół niej? Wypadki się przecież zdarzają, zwłaszcza przy okazji kręcenia scen z udziałem

kaskaderów. Węże żyją na bagnach; nie było więc nic dziwnego w tym, że jeden z nich pojawił się w jej

łazience. Kilka węży przecież zabito podczas wprowadzania karawaningów na ich teren i podczas budowania

platformy nad rzeką. Rey mówił jej, że wiosną, kiedy woda stała wysoko, miejscowi wychodzili ze strzelbami,

żeby zmniejszyć ich populację. O tej porze roku węże wszelkiego rodzaju, zwisające z konarów drzew, tworzące

pętle i -węzły, podobne do dekoracyjnych sznurów, nie były w tych stronach niczym dziwnym.

Julie przyszło do głowy, że być może pod wpływem zmartwień, jakich dostarczają jej ludzie

związani z

tym filmem, zaczyna wszystko widzieć czarno. To, że Allen ją tak potraktował, że chciał, by zrezygnowała z

filmu na rzecz Bulla, było przygnębiające. Przygnębiające też było to, że wielu z współpracowników Julie

żywiło do niej zadawnioną, czasami trwającą całe lata, urazę. Była przyzwyczajona do tego, że ze współpracownikami łączy ją dobre stosunki, że nie ma napięć i że ufają sobie wzajemnie. Była przyzwyczajona

do tego, że najważniejszy jest film, a nie zazdrość i dawne urazy.

Czuła się zmęczona wątpliwościami i zwłoką w zdjęciach.

Chciała kontynuować pracę nad filmem, jednak nie pozwalało jej na to poczucie wewnętrznej niemocy

oraz to, że podświadomie obawiała się następnych tragicznych wydarzeń.

Przez pokój przesunęło się żółte światło, jakie rzucają reflektory samochodu. Odwróciło to uwagę Julie

od ciężkich myśli. W chwilę później usłyszała pomruk Maserati Reya, zatrzymującego się przed domem, a zaraz

potem zanikający warkot wyłączanego silnika.

Następnie przez dłuższy czas nic się nie działo. Julie obróciła się na plecy i podparła na łokciach

nasłuchując. Spodziewała się, że usłyszy, jak Rey wchodzi do domu przez frontową galerię. W ciągu ostatnich

tygodni nauczyła się odczytywać znaczenie różnych dźwięków rozlegających się w tym domu, a także

rozpoznawać, kiedy Rey wraca i kiedy wychodzi. Teraz usłyszała jego kroki, ostrożne i powolne - wchodził po

stopniach prowadzących na tylną galerię. Potem rozległ się stłumiony, grzechoczący dźwięk i Julie usłyszała

przekleństwo. Uniosła brwi domyślając się, że Rey potknął się o jeden z bujanych foteli.

Rey szedł dalej galerią, zbliżył się do jej drzwi i zatrzymał się przed nimi. Zapadła cisza.

Po chwili kroki trochę się cofnęły. Julie usłyszała cichy, nieco fałszywy śpiew we francuskiej gwarze

Cajunów. Słowa nie były wyraźne. Julie pokręciła głową z uśmiechem. Słyszała bowiem z lekka zlewające się

sylaby.

Mogła przysiąc, że Rey Tabary jest pijany. Pomyślała, że musi przedstawiać sobą nie lada widok.

Wyszła z łóżka, sięgnęła po cienki jedwabny szlafrok, zawiązała pasek w talii i po omacku szukała kapci.

Nie zapaliła światła, tylko po ciemku ruszyła do drzwi. Przekręciła klucz w starym zamku i uchyliła drzwi.

Wysunęła głowę i rozejrzała się po galerii. Reya nigdzie nie było. Po chwili usłyszała cichy dźwięk, przypominający wciąganie powietrza, który skierował jej uwagę na barierę po prawej stronie w końcu galerii.

Szedł po niej Rey. Ubrany tylko w spodnie i rozpiętą koszulę z rękawami zawiniętymi do łokci, szedł po

barierze jak po linie. Obnażone palce u nóg chwyciły deskę, a ramiona miał rozpostarte dla utrzymania

równowagi. Jego ruchy cechował nieświadomy wdzięk, chociaż szedł nieco chwiejnie. Rey dotarł do miejsca

między kwadratowymi kolumnami, odwrócił się i ruszył z powrotem.

Nigdzie nie było śladu Bulla. Julie przypuszczała, że Rey zawiózł go do motelu. Stała milcząco, dopóki

Rey nie znalazł się prawie naprzeciwko niej, w pobliżu następnej kolumny podpierającej barierę. Wtedy się

odezwała:

- Co ty wyrabiasz?

Drgnął, zachwiał się i sięgnął do kolumny. Tuląc ją do piersi, odwrócił się twarzą do Julie.

- Dlaczego mi przeszkodziłaś? - powiedział tonem oskarżycielskim i pełnym żalu.

- Z ciekawości - odrzekła Julie.

Spojrzał na nią z góry. Widział ją w świetle gwiazd i latarni stojącej gdzieś przed domem. Jeżeli słowa,

które wypowiedziała, miały dla niego jakieś znaczenie, to nie pokazał tego po sobie. Oczy mu błyszczały,

spojrzenie było pełne melancholii i czegoś jeszcze, czegoś, co miało większe znaczenie niż ta melancholia.

Po dłuższej chwili powiedział:

- Nie potrafię pływać na desce surfingowej.

- To ty teraz właśnie pływasz na desce surfingowej? - zapytała Julie, jakby dokonała odkrycia.

- Nie ma oceanu.,- Jego słowa brzmiały uroczyście.

- Masz rację. Gdyby był, to z pewnością umiałbyś pływać na desce surfingowej.

Rey pokręcił głową.

- Nie potrafię też grać.

- Myślę, że się mylisz, ale potraktuję twoje słowa jak ewangelię.

- Potraktuj je tak - odpowiedział.

Julie podeszła bliżej, chcąc zobaczyć jego twarz i zastanawiając się, czy jest tak pijany, na jakiego wygląda.

- Niepotrzebna ci umiejętność grania.

- Ty lubisz aktorów. I takich, którzy pływają na desce.

Julie zamrugała, zdziwiona smutkiem w jego głosie.

- To wada, wiem o tym dobrze - odparła.

- Ach, ci mieszkańcy Los Angeles. Ciemne okulary i opalenizna. Bel Air i Rodeo Drive.

- No tak - zgodziła się, zaintrygowana.

- Producenci. Es-de-te-Ci. .. - Czy ten wtęret w ostatnie słowo był tylko omyłką? Jeżeli tak, to on uznał tę

omyłkę za zabawną, gdyż na chwilę na jego twarzy pojawił się uśmiech. - Janie jestem taki - mówił dalej. - Cała

moja wiedza o filmach sprowadza się do umiejętności ich oglądania.

- Nie doceniasz siebie - zaprotestowała Julie.

Popatrzył na nią poważnie, jak gdyby podejrzewał, że Jej odpowiedź odnosi się nie tylko do jego ostatniej uwagi, że znaczy coś więcej. Głosem łagodniejszym niż poprzednio powiedział:

- Nie jestem też Jeanem.

- To prawda.

- A ty nie jesteś jego Dorotheą.

Wymówił to imię z naciskiem, jak gdyby miało jakieś ukryte znaczenie, które ona powinna rozszyfrować. Nie potrafiła jednak tego zrobić, chociaż chciała spróbować.

- Nie?

- Oni potrafią tylko nienawidzić i uważać, że kochają. A małżeństwo to coś więcej.

Ciągle nie wiedziała, o co mu chodzi, chociaż jedno było dla niej oczywiste: pod siłą Reya kryły się

całe pokłady wrażliwości na ciosy, pokłady, jakich nigdy w nim nie podejrzewała.

- Nie jestem szczurem - powiedział.

- Jesteś Szczurem Bagiennym - odrzekła tonem łagodnym, jak gdyby badając, o co chodzi.

Pokręcił głową.

- Nie.

- Kim więc jesteś?

- Człowiekiem. Po prostu człowiekiem.

Puścił kolumnę i zeskoczył z bariery, lądując z głuchym stuknięciem na zgiętych nogach. Kucnął, skrzywił się i położył sobie jedną rękę na głowie, a drugą na opatrunku na lewym ramieniu. Potem wyprostował

się. Chwiał się przez chwilę, a następnie cofnął się, oparł o barierę i zaczął się wściekać jakby w ataku

nieznośnego bólu.

Julie szybko zrobiła krok naprzód, objęła go i podtrzymała.

- Nie powinieneś tyle pić - powiedziała ostro.

Rey schylił głowę i oparł ją na ramieniu Julie; wstrząsnął nim śmiech.

- Jack Daniel's nie daje się mieszać z percodanem.

- To to jest powód?

Julie doznała ogromnej ulgi. Bo fakt, że dużo pije, byłby dla niej zaskoczeniem. No, ale skoro tak. ..

Mieszanka whisky i środka przeciwbólowego mogła rzeczywiście być zabójcza.

- Powinieneś mieć więcej rozumu.

- Bull uparł się przy tej whisky.

- A co on ma z tym wspólnego?

Rey zaśmiał się znowu. Jego ciepły oddech owionął jej sutek ukryty pod jedwabiem szlafroka, tak że brodawka napięła się.

- Pytał mnie, jakie mam zamiary. To jego własne słowa.

- Żartujesz chyba - powiedziała Julie ze złością. I zaraz, działając wbrew sobie, zapytała: - A co ty mu

powiedziałeś?

- Zapytałem: „O jakie zamiary ci chodzi, o dobre czy złe?”

- Bardzo śmieszne. I to wszystko?

- Powiedziałem mu, że to nie jego sprawa. Jemu się to nie spodobało. Postawił następnego drinka.

- Mam nadzieję, że nie zmieniłeś taktyki.

Podniósł ręce i opuścił je, obejmując ją w pasie i przyciągając do siebie.

- Jakie to przyjemne - powiedział.

Ponieważ nie odpowiedział właściwie na jej pytanie, mogła tylko przypuszczać, że odpowiedź

potwierdziłaby jej przypuszczenie. A co do chwili obecnej, to mogła równie dobrze wykorzystać ją dla własnej

przyjemności.

- Tylko przyjemne?

- Cudowne.

- Miło mi, że ci to sprawia przyjemność - powiedziała rozbawiona i równocześnie wyprowadzona z równowagi. - Czy tylko dlatego mój ojciec wlewał w ciebie alkohol?

- Tylko dwa drinki. Przysięgam. Wypiłem tylko dwa.

- To się chwali.

Jego ciałem wstrząsnął śmiech. - Bull był zdziwiony.

- Wyobrażam sobie. - Julie przypomniała sobie, że Bull znany jest z tego, że potrafi zwykle upić większość

współbiesiadników.

- Powiedziałem mu. Miłością.

Skłoniła głowę, usiłując dostrzec jego twarz.

- Powiedziałeś mu co?

- Miłością. I zrozumieniem. Tak można cię zdobyć.

- On cię pytał, jak mnie można zdobyć? A dlaczego myślał, że ty to wiesz?

- Nie wiem.

Czy to było kłamstwo, czy też jego zdolność rozumienia jej była tak instynktowna, że sam nie zdawał sobie sprawy, jak głęboko sięga?

- Więc myślisz, że przez zrozumienie można dotrzeć do mojego serca?

- To jest sposób dla Bulla. Nie dla mnie.

- A twój sposób jest jaki?

- Żaden - powiedział z westchnieniem.

Żaden. Czy miał na myśli to, że nie ma żadnego na nią sposobu, czy to, że nie ma zamiaru zastosować żadnego ze znanych sobie sposobów?

- Nie jestem Jean-Pierre'em - powiedział, gdy nie doczekał się odpowiedzi.

- Wiem o tym - odrzekła Julie schrypniętym głosem.

- No to w porządku.

Nie mogli zostać tam, gdzie stali. Noc zrobiła się chłodna, z północy wiał zimny wiatr. Julie zmarzły stopy. Pomyślała, że powinna zaprowadzić Reya do jego pokoju. W tym celu trzeba było jednak przeprowadzić

go przez cały dom, nie budząc ciotki Tine. To zadanie wydawało się niemożliwe do wykonania. Julie

zaprowadziła go więc do swojego pokoju i skierowała do łóżka. Upewniwszy się, że uderzy o materac zdrowym

ramieniem, posadziła go, a potem pchnęła na pościel. Wyciągnęła pled i prześcieradło spod Reya i go przykryła,

później zaś podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz. Stała przy nich przez chwilę, zastanawiając się, czy

kieruje nią humanitaryzm, czy po prostu głupota. Nie miało to właściwie znaczenia. Robiła bowiem to, co

chciała. Zsunęła z siebie szlafrok, rzuciła go w nogi łóżka i wsunęła się pod przykrycie obok Reya.

- Masz zimne nogi - powiedział, kiedy otarła się stopą o jego kostkę.

Przysunęła się bliżej i przycisnęła stopy do jego nóg mówiąc:

- Zaslugujesz na to.

Odwrócił się i położył rękę na jej nagiej talii, rozpościerając palce w zachłannej pieszczocie i przyciągając Julie do siebie.

- Wiem - powiedział.

Dlaczego telefony hotelowe zawsze dzwonią tak głośno jak dzwon na pożar? Julie przestraszył ostry dźwięk, w momencie gdy zakładała kolczyk. Upuściła małą grudkę składającą się z kilku szafirów i aż krzyknęła

ze złości. Pomyślała, że może warto byłoby zlekceważyć ten alarm. Zresztą nie miała pojęcia, kto mógłby do

niej dzwonić. O ile jej było wiadomo, jedyną osobą, która wiedziała, gdzie się zatrzymała w Los Angeles, była

jej sekretarka, gdyż to ona właśnie załatwiała rezerwację. Jeżeli to właśnie ona dzwoniła, żeby przekazać

wiadomość o jakimś kolejnym nieszczęściu na planie, to Julie nie miała ochoty jej słuchać.

Jednak dzwonek był nieznośnie natarczywy. Julie podniosła słuchawkę i odezwała się tonem niezbyt serdecznym.

- Panna Bullard? - zapytał głos w telefonie. - Mówi pani kierowca. Pani limuzyna czeka na panią.

- Ale ja nie zamawiałam limuzyny - zaprotestowała Julie.

- Ktoś ją dla pani zamówił. Będzie czekała przed hotelem. Najprawdopodobniej ktoś z komitetu festiwalowego zamówił samochód. Miły gest...

- Zaraz schodzę - powiedziała do słuchawki.

Znalazła kolczyk i zaczepiła go w uchu. Sprawdziła, czy w wieczorowej torebce ma klucz, szminkę, trochę gotówki i - na wszelki wypadek - kartę kredytową, a potem po raz ostatni przejrzała się w dużym lustrze

wiszącym na drzwiach schowka na ubrania. Włosy miała gładko zaczesane i zaplecione w klasyczny francuski

warkocz. Wieczorowa suknia z jedwabiu mieniącego się odcieniami przechodzącymi od złota do kobaltowego

błękitu miała wycięcie w karo i szerokie rękawy. Było w niej coś mrocznie średniowiecznego, co odpowiadało

nastrojowi właścicielki. Spod gładkiego rąbka szerokiej spódnicy nie wystawała halka. Julie

oceniła, że wygląda

znośnie.

Kiedy przeszła przez hall hotelowy, odźwierny otworzył przed nią drzwi z brązu. Julie przeszła pod baldachimem wiszącym nad chodnikiem, który prowadził do hotelu, i podeszła do miejsca, gdzie czekała

limuzyna. Szofer w czarnym uniformie stał w pogotowiu przy tylnych drzwiczkach. Kiedy Julie się zbliżyła,

ruszył naprzód, dotykając wąskiego daszka czapki.

- Panna Bullard? Dobry wieczór. - Otworzył przed nią drzwi.

- Proszę bardzo.

Schyliła głowę, żeby wejść do środka, i zobaczyła, że limuzyna nie jest pusta. Z tyłu siedział Rey, zaskakująco przystojny w swoim wieczorowym ubraniu.

- Witam cię, Julie - powiedział.

Ujęła odruchowo rękę, którą jej podał. Pozwoliła się wciągnąć do środka i posadzić. Zanim zdążyła pozbierać myśli na tyle, żeby coś powiedzieć, kierowca zamknął drzwi i zajął swoje miejsce.

- Nie musiałeś tego robić - odezwała się Julie. W oczach Reya pojawił się wyraz rozbawienia.

- Wiem, ale przetransportowanie tu Maserati tylko na jeden wieczór byłoby zbyt ostentacyjną manifestacją

bogactwa. A poza tym chciałem móc z tobą porozmawiać, nie prowadząc samochodu i nie uważając na ruch.

- Wiesz, co miałam na myśli.

- Tak. Ale widzisz, nie mogłem znieść napięcia.

- Napięcia? - spytała ostrożnie.

- No, nie mogłem się doczekać, kiedy się dowiem, co się działo, zanim zasnąłem w twoim łóżku.

- Nic specjalnego - odpowiedziała krótko.

Rey przyjrzał się badawczo twarzy Julie oświetlonej przesuwającymi się światłami reflektorów

samochodowych i ulicznych latarni.

- Mam wrażenie, że powiedziałem mnóstwo głupstw.

- Wtedy nie wyglądało na to, że uważasz to, co mówisz, za głupstwa.

Rey westchnął głęboko; spuścił głowę.

- No tak, byłem tego pewny. Powtórz mi to najgorsze.

- Stwierdziłeś, że mam zimne stopy.

- Czy było to przed czy po tym, jak chciałem wzlecieć w powietrze, startując z barierki?

Julie zauważyła ze zdziwieniem, że jest zakłopotany i pełen skruchy i że równocześnie potrafi z tego żartować.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - spytała. - Nic złego się nie stało.

- Więc dlaczego wyjechałaś bez pożegnania?

- Spałeś tak głęboko, że żał mi cię było budzić. A poza tym musiałam zdążyć na samolot.

- Zapomniałaś o tym wspomnieć. A ja bym się o tym nie dowiedział, gdyby Bull nie zdołał wycisnąć tego z

twojej sekretarki i przekazać dalej.

Julie przechyliła głowę na bok.

- Nie wiedziałam, że cię to interesuje.

- To jest dla ciebie ważne, prawda?

Być może było to dla niej ważne. A być może nie. W każdym razie Julie była wzruszona, tak bardzo wzruszona zainteresowaniem Reya, że aż ją to przerażało.

On był zbyt przystojny, zbyt bogaty, zbyt silny, zbyt inteligentny, zbyt wrażliwy; zbyt uprzejmy - było w

nim zbyt wiele wszystkiego. Przy takiej dawce doskonałości musiały istnieć również potężne wady. Od zeszłej

nocy Julie miała dość czasu, żeby się nad tym zastanowić, tyle czasu, ile trwa lot nad kontynentem.

Nigdy jej nie mówił, w jaki sposób rozstał się z DEA, nigdy też nie wyjaśnił, co człowiek taki jak on

robił w agencji antynarkotykowej. Powiedział, że jego żona zmarła, ale nikt inny o tym nie wspomniał, nikt nie

poinformował Julie, jak to się stało, chociaż ciotka Tine napomknęła ze dwa razy o tym małżeństwie. Julie

słyszała plotki o romansie z Donna, który miał miejsce może w nie tak dalekiej przeszłości. No i jeszcze to jego

uganianie się po Blind River w nocy, wtedy kiedy w górze pojawił się hydroplan. I buszowanie w jej papierach,

wtedy w biurze.

Mało tego, Rey był wcieleniem doskonałości w oczach wszystkich. Summer uwielbiała go. Donna na nim polegała. Ofelia uważała, że jest wspaniały. Stan podziwiał go. Nawet Buli go lubił. Wszyscy, z wyjątkiem

może Vance'a i Allena, uważali, że jest cudowny. Zadał sobie wiele trudu, żeby wyrobić sobie taką opinię.

Ale dlaczego?

O co mu chodzi? Coś w tym musi być.

Podejrzliwość. Cynizm. Nie trudno o to, kiedy się jest w Los Angeles. W tym mieście te zjawiska są częścią krajobrazu, są tak wszędobylskie jak palmy i smog. Są rodzajem obrony, czymś bardzo praktycznym.

Julie bała się Reya Tabary'ego. Zniszczył jej system obronny, mógł doprowadzić do tego, że zagubi się w jego

świecie, w jego życiu, w jego otumaniających zalotach. Nie chciała tego. Pragnęła, żeby jej życie pozostało

takie, jakie było, żeby był w nim podział na sprawy zawodowe i artystyczne. To prawda, że jej życie z Allenem

było czasami trochę letnie, ale takiego dokonała wyboru. Prawdą było również to, że jej życie zawodowe nie

zawsze dawało jej pełną satysfakcję, ale co na świecie jest doskonałe?

- Czy wolałabyś pojechać tam sama? - zapytał Rey spokojnie.

- Powiedz tylko słowo, a wysiądę natychmiast z samochodu.

No tak, był zbyt wrażliwy.

- Nie bądź śmieszny - powiedziała z subtelnym uśmiechem. - Cudownie będzie mieć towarzystwo. Gdyby

przyszło mi to do głowy wcześniej, zamówiłabym sobie kogoś do towarzystwa.

- Cóż, smoking i ja dobrze prezentujemy się w samochodzie - zauważył ironicznie.

Próbowała go zlekceważyć i nawet jej się to udało, ale nie czuła satysfakcji, była tylko zmieszana.

- Przepraszam - powiedziała, odwracając głowę i patrząc przez okno na nie kończący się rząd starych moteli,

sklepów z alkoholem i pralni samoobsługowych. - Nie rozumiem, dlaczego zadałeś sobie tyle trudu, żeby tu

przyjechać. Dlatego nie wiem, co ci powiedzieć.

- Nie musisz mi nic mówić - odpowiedział tonem człowieka zmęczonego. - Odpręż się po prostu i baw się

dobrze.

Festiwal Filmów Kobięcych nie był może taką okazją jak wręczenie nagród Stowarzyszenia Reżyserów,

była to jednak gala. Impreza ta odbywała się co roku od sześciu czy siedmiu lat i miała na celu uhonorowanie

osiągnięć kobiet-twórczyń filmów z całego świata, nawet z takich krajów, jak Czechosłowacja, ZSRR czy

Maroko. Kobiety przenikały do wyższych warstw tej zdominowanej przez mężczyzn profesji raczej powoli,

mimo że liczba kobiet-producentek, scenarzystek i kierowników studia, podobnie jak kobiet-reżyserów,

wzrastała. A ponieważ nie spieszono się, by docenić ich osiągnięcia, skrzyknęły się, żeby to nadrobić.

Impreza udała się. Były światła i kamery, mowy i brawa. Film Julie Niebezpieczne czasy został przyjęty

entuzjastycznie. Kiedy znalazła się na estradzie, żeby odebrać nagrodę za reżyserię. Julie prawie nie wiedziała,

co mówi, miała tylko cudowne uczucie, że doceniono jej pracę. O wiele bardziej niż nagrodę ceniła sobie to

uczucie, które podnosiło jej wiarę w siebie i we własne metody pracy. Bardzo tego potrzebowała, zwłaszcza

teraz.

Opuszczając estradę w światłach jupiterów i z kryształową nagrodą w rękach, skierowała się tam, gdzie

stał Rey bijąc brawo wraz ze wszystkimi. Poczwała ogromną dumę i równocześnie wdzięczność, że tu jest, że

przeżywa z nią uczucie triumfu. Dołożył przecież wszelkich starań, żeby ją wesprzeć, a ona była tak zajęta

doszukiwaniem się niskich pobudek, że nawet mu nie podziękowała.

Z błyszczącymi oczami, z uroczym uśmiechem, czując, jak zalewa ją fala ciepła, podeszła do Reya i zarzuciła mu ramiona na szyję. Głosem schrypniętym z radości powiedziała:

- Miło mi, że tu jesteś, naprawdę.

- Mnie też jest miło - odparł, uśmiechając się i serdecznie biorąc ją w ramiona.

Kiedy wszystko się skończyło - gdy zrobiono ostatnie zdjęcie, nagrano ostatni komentarz dla telewizji i

padł ostatni komplement - poszli do czekającej na nich limuzyny. Julie z ulgą zapadła się w jej miękkie

siedzenie i za ciemnym szkłem okien samochodu poczuła, że znów jest osobą anonimową. Gdy limuzyna

ruszyła, włączając się w strumień innych samochodów, Julie z przyjemnością pomyślała, że ma ten wieczór -

wraz z jego stresem - za 'sobą. Napięcie ostatnich kilku godzin tętniło w niej z bolesną intensywnością. Była

szczęśliwa, a równocześnie zbyt zmęczona, żeby czuć się dobrze.

- Dokąd chcesz jechać? - zapytał Rey. - Jesteś głodna? Czy jest restauracja, do której chciałabyś pójść?

Julie zagłębiła się w siedzenie.

- Naprawdę nie wiem. Trochę jestem głodna, ale nie bardzo chce mi się iść do Bistra, do Mortona, do La

Scali czy do innego, lokalu, w którym ... spotyka się elita. Rey z uśmiechem zauważył krótki cytat ze

nowoorleańskiego motywu jazzowego, który stał się sławny dzięki wielkiemu Satchmo Armstrongowi.

- Co? - zapytał. - Nie chcesz kalifornijskiej nouvelle cuisine przy stole z telefonem?

- Ja nie jestem taka - powiedziała, odwracając się twarzą do Reya.

- Myślałem, że w tym mieście człowiek musi pokazywać się we właściwych miejscach, żeby wyglądać na

człowieka sukcesu, i że musi na takiego człowieka wyglądać, jeżeli chce osiągnąć prawdziwy sukces.

- Niektórzy to robią, ale ja jestem w lepszej sytuacji, bo jestem córką mojego ojca. Nie muszę tego robić,

ponieważ on to robił. - Dokąd zatem jedziemy?

- W miejsce kameralne, z ogniem na kominku, dzięki któremu nie będzie nam dokuczało wilgotne oceaniczne

powietrze i gdzie będzie doskonałe jedzenie. Co o tym myślisz?

- Brzmi nieźle, chyba że ...

- Chyba że co?

- Nic, nic. O czym myślałaś?

- O Bel Air. O kolacji w moim pokoju.

Kiedy w odpowiedzi rzucił jej poważne spojrzenie, którego znaczenia nie mogła odgadnąć, spytała:

- No to co robimy?

- A nie pojedziemy do Gravesenda? Albo do Bulla?

- A jak myślisz, po co bym wynajmowała apartament? Przecież po to, żeby pozwolić sobie na odrobinę

luksusu.

- Tylko po to?

- No i dlatego, że nie chciało mi się zмагаć z ruchem. A to by mnie czekało, gdybym musiała dojechać z

domu Allena w San Marino. A gdybym się zatrzymała u ojca, musiałabym jechać autostradą nad morzem, co w

nocy niekoniecznie jest bezpieczne.

Julie udało się zapanować nad ostrą nutą w głosie. Miała nadzieję, że Rey jej nie usłyszy, chociaż powinna była wiedzieć, że się łudzi.

- Chcesz więc się znaleźć na neutralnym gruncie? Dlaczego?- zapytał.

- Dlatego, że nie żywię dla żadnego z nich zbyt serdecznych uczuć. Czy to chciałeś wiedzieć?

- Tak.

Spojrzała mu w oczy i serce zaczęło jej mocno bić. Dobry Boże, jak on to robi? W jego twarzy nie drgnął

ani jeden mięsień, nie mówiąc o tym, że nie pojawił się na niej uśmiech, a jej nagle zabrakło tchu. Popęłniłaby

jednak poważny błąd, gdyby pozwoliła mu to zauważyć.

Starając się mówić spokojnie, poinformowała go:

- Mam w hotelu apartament, bardzo przytulny, a to dzięki temu, że posługuję się nazwiskiem mojego ojca.

Jeżeli chcesz, możesz dostąpić zaszczytu zajmowania się ogniem na moim kominku, a ja w tym czasie zamówię

kolację.

- Jestem więc zaproszony? - zapytał ironicznie.

Cały wysiłek, jaki włożyła w to, żeby postępować taktownie, poszedł na marne i Julie sama nie wiedziała, czy ma być tym ubawiona czy zirytowana.

- Jesteś zaproszony, chociaż dziwię się, że tak długo czekałeś z tym pytaniem.

- Robię co mogę, żeby nie stosować ... jak ty to określiłaś podczas wycieczki do Nassau?..
kowbojskiej

taktyki.

Jej wargi drgnęły.

- Tak, rzeczywiście. Dlatego zadzwoniłeś i spytałeś mnie, czy chcę jechać limuzyną!

- Zapomniałem tego zrobić. Ale teraz już koniec, żadnych gier i niespodzianek.

Julie wydawało się, że Rey jest tego wieczoru w dziwnym nastroju. Był jakiś daleki, przygnębiony -
poza

rzadkimi chwilami ożywienia - prawie ponury. Możliwe, że była to jedynie reakcja na jej niepokój,
na brak

zachęty z jej strony.

- To był miły gest i doceniam go - powiedziała - nawet jeżeli nie okazałam ci wdzięczności.

- Niektóre niespodzianki są więc do zaakceptowania?

- Niektóre tak, choć jest ich niewiele - odrzekła poważnie.

- Zapamiętam to sobie.

Wkrótce potem samochód skręcił w ulicę prowadzącą do hotelu. Przejechali obok stawu, w którym

łabędzie - białe plamy wśród ciemności - spały z głowami schowanymi pod skrzydła. Bel Air
zamajaczył przed

nimi. Był to konglomerat wież i skrzydeł. Rey odesłał limuzynę i szofera. Julie otworzyła drzwi i
weszła

pierwsza.

Apartament był rozległy i luksusowy, utrzymany w odcieniach zieleni z akcentami różu i jasnego

drewna. Pewne pomieszanie stylów nadawało mu swobodną atmosferę. Telewizor wbudowany w
szafkę,

sosnowa komoda przy łóżku, stoły z mosiądzu i szkła. LAMPY na nóżkach w kształcie kolumn z
podstawami z

ciężkiego różowego marmuru utrzymane były w stylu włoskim. Nowoczesną i wygodną sofę i krzesła

obito

włoskim materiałem harmonizującym z puszystą narzutą na łóżko i tkaniną pokrywającą poduszki. W jednej ze

ścian znajdował się kominek z prawdziwego kamienia. Balkon, na który wychodziło się z części jadalnej,

wyposażony był w meble z kutego żelaza pokrytego niebieskozieloną patyną. W dużych kamiennych donicach

rosło różowe geranium i bluszcz.

Julie postawiła kryształową nagrodę na stoliku do kawy znajdującym się przed sofą. Odsunęła przy tym

malowaną porcelanową popielniczkę i chińską wazę z półkolistą pokrywą. Poczęstowała Reya drinkiem i

wręczyła mu menu, a sama poszła się przebrać. Kiedy wróciła, Rey stał przed kominkiem, na którym jasne

płomienie ogarniały grube polana. Był bez marynarki. W jednej ręce trzymał butelkę Heinekena, a w drugiej jej

nagrodę.

- Musisz być bardzo dobra w tym, co robisz - powiedział. Julie podeszła do barku i nalała sobie kieliszek

wina.

- Sądysz tak z powodu nagrody?

- Z powodu nagrody i dlatego, że ludzie tak, a nie inaczej mówią o twoim filmie.

- Nie wiem, czy jestem dobra - stwierdziła. - Nie zastanawiam się nad tym zbyt często, chociaż oczywiście

miałam dobrego nauczyciela.

Rey podniósł głowę. Jego wzrok zatrzymał się na chwilę z uznaniem na jedwabnym turkusowym spodniem, do którego Julie włożyła włoskie skórzane sandały w tym samym odcieniu.

- Nie wiesz?

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek, kto zajmuje się sztuką, wiedział, czy to, co robi, jest dobre. To może być

satysfakcjonujące albo nie, i to chyba wszystko.

- Krytycy nie mogą wam tego powiedzieć? A to, że rzecz się sprzedaje, nie świadczy o tym?

- Krytycy to tylko ludzie. Oni patrzą z jednego określonego punktu widzenia, który jest ich własnym spojrzeniem. Byle co sprzedaje się bardzo dobrze, chociaż trwa to krótko. Prawdziwy wyrok wydaje czas. A kto

może pozwolić sobie na czekanie na wyrok czasu?

- Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, co się dzieje w świecie filmu. Dopiero w ciągu ostatnich tygodni...

Postawił nagrodę na szklanym stoliku do kawy, gdzie kryształ zlewał się ze szklanym blatem.

- Film to zawód. Sposób zarabiania na życie - powiedziała Julie bez uśmiechu.

- Czy zastanawiałaś się kiedyś, co byś robiła, gdybyś nie mogła kręcić filmów?

Patrzyła na kieliszek z winem, zastanawiając się nad pytaniem Reya.

- Może zostałamby scenarzystką, chociaż jest to chyba jedno z najbardziej stresujących zajęć. Bo człowiek

musi przeżywać frustrację, kiedy wizja reżysera czy aktora odbiega od jego własnej. Scenarzysta musi mieć

bardzo słabe ego.

- Albo musi bardziej kochać pieniądze niż własne pomysły.

- Nie mam pojęcia. Kto wie, może scenarzyści bardzo lubią patrzeć, jak obrazy, które wymyślili, nabierają

własnego życia.

Przerwała i wskazując menu leżące na stoliku przed sofą spytała:

- Zdecydowałaś już, co chcesz?

Spojrzał na nią, a w jednym kąciку jego ust igrał nikły uśmiešek.

- Już dawno.

Patrzyła mu w oczy przez dłuższą chwilę. Jej spojrzenie przykuła szczerłość i jakaś drażniąca obietnica w

jego wzroku. Patrzyła tak, dopóki nie poczuła, że zalewa ją fala gorąca i że dłużej nie może tego znieść.

Chwyciła menu kurczowo, ale to nic nie pomogło - widać było, że palce jej drżą.

Zamówili łososia w sosie czosnkowo-śmietanowym z dodatkiem estragonu, a na deser tort malinowy z

kremem z białej czekolady. Na ich prośbę potrawy wraz z kalifornijskim winem podano przy kominku.

Godzina była późna, ogień trzaskał spokojnie i emanował łagodnym ciepłem, na srebrach i kryształach

tańczyły odbicia jego płomieni. Wszystko to, wraz z przenikającymi się nawzajem zapachami dymu, wina i

doskonałych potraw, tworzyło atmosferę takiej ściszonej harmonii, że Julie poczuła, jak nagromadzone w niej

napięcie ustępuje. Mówili mało, zresztą słowa wydawały się niepotrzebne. Kiedy skończyli danie główne, Julie

postawiła talerzyki z deserem na stoliku, a potem wystawiła wózek z naczyniami i sztucami na korytarz.

Tymczasem Rey zajął się w kuchni przygotowaniem kawy. Posługiwał się przy tym wysokim niemieckim

dzbankiem. Kiedy kawa była gotowa, przynieśli filiżanki przed kominek, a Julie zrzuciła ze stóp sandały i

zwinęła się w fotelu. Rey usiadł na dywanie, oparł się zdrowym ramieniem o jedno z krzeseł i wyciągnął swoje

długie nogi w stronę kominka. Julie wzięła talerzyk z deserem ze stolika i podała mu, a potem zajęła się swoim.

W końcu ostatnie okruchy tortu były zjedzone, a kawa wypita do dna. Ogień przygasł, pozostawiając tylko czerwony żar. Julie, najedzona i beztroska, odstawiła talerzyk i filiżankę. Usadowiwszy się wygodniej w

fotelu, oparła głowę na łokciu.

- Nie jesteś dzisiaj rozmowny - zauważyła, przyglądając się Reyowi, który nie odrywał wzroku od ognia. -

Dokucza ci ramię?

Przez moment Rey wydawał się zdezorientowany, jak gdyby myśli, w których był pogrążony, dotyczyły

czegoś zupełnie innego i jak gdyby trudno mu było zrozumieć, o co Julie go pyta. Pokręcił głową.

- Nie, ramię jest w porządku.

- Jest więc jakaś inna przyczyna?

Jego twarz powoli rozjaśniła się. Uśmiechnął się.

- Nic ważnego.

Julie nie była pewna, czy to prawda. Nagle poczuła chęć porozmawiania z nim o tym, co działo się na

planie. Chciała się dowiedzieć, co on myśli o tych wszystkich rzeczach, które ją niepokoją. Ale było to

niemożliwe, gdyż myśli, które ją nękały, zbyt ściśle dotyczyły również jego.

- Właściwie - powiedział, uśmiechając się trochę ironicznie to nie zupełnie prawda. Staralem się przypomnieć

sobie swoje dobre intencje ... Co cię tak śmieszy?

- Nic - odpowiedziała, machając lekceważąco dłonią; uśmiechnęła się tak, jakby sobie coś przypomniała.

- Próbowałem też - mówił dalej, mrużąc oczy - nie wiązać zbyt wiele nadziei z twoim zaproszeniem i

powstrzymać się od doszukiwania się ukrytego znaczenia w twoich słowach, na przykład w propozycji, żebym

zajmował się ogniem na twoim kominku.

Julie zamrugała, a potem wyprostowała się w fotelu i spuściła nogi na podłogę. Pomyślała, że powinno ją

to chyba zirytować. Jednak czuła się raczej zaintrygowana.

- Co za skojarzenia! - rzuciła z udawanym oburzeniem.

- Jest to bezładna mowa zdesperowanego. Mam też problemy z tym czymś z jedwabiu, co masz na sobie. Z

tego miejsca wygląda to jak czysta prowokacja, ale mogę się mylić.

- Myślę, że się mylisz.

- Myślisz? Ale nie wiesz tego? - W jego głosie zabrzmiała nuta rozpacz.

- Dlaczego miałabym mieć większą pewność niż ty?

- Dlatego, że to jest twój pokój i twoje piękne ciało - powiedział, patrząc jej w oczy spojrzeniem tak zniewalającym, że nie mogła odwrócić wzroku. - I dlatego, że masz prawo powiedzieć mi, żebym sobie poszedł

albo żebym został.

Dźwięk głosu Reya, jego wielkoduszność, emanująca z niego siła, którą z trudem trzymał w ryzach - wszystko to było bardziej prowokacyjne niż cokolwiek, co mogłaby ona, Julie, zrobić czy powiedzieć,

Pożądanie, od kilku godzin czające się w zakamarkach jej świadomości, zalało ją ciepłą falą, mieszając się z

winem krążącym w jej żyłach i z poczuciem odosobnienia o tej późnej porze nocy. Miała już pewność. Możliwa

była tylko jedna odpowiedź:

- Zostań - powiedziała łagodnie.

Jego twarz zmieniła się. Natychmiast się podniósł, zbliżył się do Julie i przyklęknął.

- Nie miałem zamiaru wymuszać twojej decyzji - powiedział spokojnie.

- A co miałeś zamiar zrobić? - zapytała, kładąc palce na jego silnej opalanej dłoni leżącej na poręczy fotela.

- Zaczekać ... tym razem zaczekać i przekonać się, czego pragniesz, co chcesz robić.

- Teraz już wiesz.

Popatrzyła na swoje szczupłe palce spoczywające na dłoni Reya.

- Wiem?

Uniosła rozpromienione oczy.

- Myślisz, że nie mogłabym powiedzieć "nie"?

- Mogłaś uznać, że "nie" byłoby niesprawiedliwe.

- Dlatego, że cię zwabiłam? Czy też w świetle poprzednich wydarzeń? O nie, nie jestem aż tak szlachetna.

- A więc ...

- A więc ty też nie musisz być taki szlachetny - powiedziała uśmiechając się, po czym schyliła się i przycisnęła usta do jego warg.

On jednak upierał się przy tym, żeby wyrażała zgodę na wszystko; potraktował to jak erotyczną pokutę

nakładaną na nią z wielką przebiegłością i nieskończoną inwencją. Musiała dokładnie określać, na co chce

pozwolić, od odpięcia najdrobniejszego suwaka i haftki aż po najdelikatniejsze pieszczoty warg muskających jej

skórę. Kontynuował to bez litości, ignorując protesty, aż do chwili gdy Julie, przewidując jego ruchy i

pieszczoty, zaczęła szeptem wyrażać nie tylko zgodę, lecz żądanie.

Wtedy, wstrząsany tłumionym śmiechem, pociągnął ją na podłogę i toczyli się razem po dywanie w zamierającym świetle gasnących płomieni.

Własny puls dźwięczał Julie w uszach lekkim jak puch ostrzeżeniem, podczas gdy krew rozgrzewała żyły i niosąc pragnienie, skupiała się w dolnej części ciała. Mięśnie klatki piersiowej Reya, dotykającej jej

napiętych sutek, budziły ogromne podniecenie. Jego uda, twarde i szorstkie, z lekko wijącymi się włoskami, w

zetknięciu z gładkością jej ud podniecały ją do granic wytrzymałości. Julie dotykała jędrnego ciała Reya,

rozkoszując się każdą chwilą.

To, co się między nimi działo, było fizycznym zauroczeniem, zagłębianiem się w siebie bez tchu i bez

poczucia winy. Było to cudowne odkrywanie zagłębień i wypukłości, odkrywanie wyżyn oddania i krańców

wytrzymałości. A później, gdy już dotarli do granic, które trzeba było przekroczyć, on uniósł się nad nią i za-

pytał:

- Czy już mogę?

- Tak - odpowiedziała, chwytając gwałtownie powietrze, i zamykając oczy poszybowała z nim w nieświadomość.

A potem, po walce i po rozkoszy, gdy ogień obok nich zamarł i przemienił się w popiół, szepnęła jeszcze

raz.

- Tak.

Obudziła się naga pod dobrze otulającym ją przykryciem, w ogromnym łóżu. Oszklone drzwi

prowadzące na balkon były szeroko otwarte. Do środka wpadało powietrze pachnące drzewami pieprzowymi i

świeżo skoszoną trawą. Lekka zasłona poruszała się, tworząc jasnoróżową falę. Rey stał w drzwiach. Jego

wspaniała sylwetka - z wypukłymi, jakby wyrzeźbionymi mięśniami rysowała się na tle szaroniebieskiego

porannego nieba. Na biodrach miał ręcznik, który trzepotał powoli na wietrze. Opatrunek na zranionym ramieniu

był mniejszy niż poprzednio.

Patrzyła na niego, chłonąc ten widok z radością. Mimo że stał spokojnie, wydawał się zdecydowany,

czujny, robił wrażenie człowieka mającego się na baczności. Julie zauważyła to już wcześniej. Dziwiło ją to,

gdyż był jednocześnie jednym z najbardziej swobodnie zachowujących się ludzi, jakich w życiu spotkała.

Uśmiechnęła się przypominając sobie, z jaką gorliwością oddawał się rozkoszom chwili. Równocześnie

dręczyły ją pytania. Dlaczego był tu z nią teraz? Po co? Co chciał osiągnąć? Jaka była ewentualna korzyść,

której się spodziewał? Bo coś takiego musiało być. Zawsze coś takiego jest.

Postanowiła pomyśleć o tym później. Za wcześnie było na podejrzenia lub cynizm.

- Co się stało? - spytała sennym głosem. - Dlaczego wstałeś? Odwrócił głowę i uśmiechnął się.

- Patrzyłem na deszcz.

- Deszcz? W Kalifornii?

Usiadła na łóżku. Prześcieradło i narzuta zsunęły się, obnażając Julie do pasa.

- Tak, pada. A nad oceanem jest mgła. Gęsta mgła. Nie jest to dobra pogoda na lot.

- O! To szkoda - powiedziała, wczuwając się w jego nastrój i odgadując jego zamiar.

- Prawda? - zgodził się.

Zdejmując z siebie ręcznik, podszedł zdecydowanym krokiem do łóżka.

- Może jutro - mruknęła, kiedy wśliznął się pod prześcieradło i ją objął. Jego umyte pod prysznicem włosy

były wilgotne, a skóra pachniała rześkim powietrzem, mydłem i męską świeżością. Julie zadrżała lekko, czując

dotyk chłodnych palców; czekała, co nastąpi.

- Może - powiedział łagodnie.

Julie i Rey wrócili do Luizjany późnym popołudniem następnego dnia. Zachodzące słońce zsuwało się w

stronę horyzontu. Było ogromną czerwoną kulą ognia pozostawiającą na niebie pomarańczowe, różowe i złote

smugi. Na tle nieba rysowały się czarne sylwetki drzew. Julie, która przez ostatnie minuty podróży

obserwowała zmieniające się kolory, poczuła żal - straciła ten zachód. Stanowiłby znakomite tło dla

napisów.

Skręcili na parking. Wokół panował spokój, ale Julie nie spodziewała się nic innego. Wiedziała, że nic

się nie będzie działało, chciała jednak zatrzymać się tu w drodze do domu ciotki Tine. Musiała się upewnić, że

podczas jej nieobecności nic się nie stało.

Karawani, biura w przyczepach, autobusy-stołówki w pobliżu klubu jachtowego - wszystko to stało

puste. Pewnie są w motelu albo w Nowym Orleanie - korzystają z krótkiego urlopu spowodowanego jej

nieobecnością i oczekują na wezwanie do pracy. Wartownik, zastępca miejscowego szeryfa, dorabiający sobie

do pensji, zsalutował, kiedy Julie wysiadła z dżipa Reya, który czekał na nich na lotnisku. Julie poczekała, aż

Rey się do niej przyłączy, a potem podeszła do wartownika.

- Co się dzieje? - zawołała.

- Wszystko jak zwykle - powiedział wartownik. Poprawił broń u pasa, wyszedł z małej metalowej budki i

ruszył w ich stronę. - Wszyscy są na rzece, patrzą, jak pracuje wielki Bull Bullard.

Julie zrobiło się zimno. Mimo to starała się mówić spokojnie i uśmiechać się.

- Bull? A co on znowu wymyślił?

- Wziął ekipę i filmuje zachód słońca, o ile wiem.

- Tak? No to chyba powinnam to zobaczyć.

- Julie ... - powiedział Rey.

Odwróciła się do niego gwałtownie.

- Zawieziesz mnie? Musi tu być jakaś łódź.

- Nie uważasz, że powinnaś poczekać? Oni na pewno niedługo wrócą.

Julie zrozumiała, co Rey ma na myśli. Niebo ze smugami światła wkrótce ściemnieje. To, czy ona tam

się zjawi czy nie, nie ma znaczenia.

- Nie - odparła. - Nie sądzę. Jeżeli nie chcesz ze mną jechać ...

- Zawiozę cię - odpowiedział ponuro.

Ślizgacz Reya był w pobliżu, zacumowany w doku. Był tu od czasu, gdy ostatnio kręcili. Kilka minut później pędzili w dół rzeki. Wiatr wiał im w twarze, a we włosach mieli kropelki wody.

Nie musieli płynąć daleko. Bull kręcił w najbliższym otwartym kanale, w miejscu, gdzie dało się umieścić kamery tak, żeby mogły uchwycić nie tylko zachód słońca i linie drzew, ale także wolno płynącą wśród

gęstniejącego mroku drewnianą pirogę ze starym Josephem, stojącym na rufie i odpychającym się drągiem od

dna.

Julie z bólem i niedowierzaniem przypatrywała się temu, co się dzieje. Patrzyła na starannie ustawione

kamery, na filtry, dzięki którym można było uchwycić ukośnie padające promienie słońca, na różowe i złote

refleksy na wodzie, na drżące odbicie człowieka i łodzi i bagiennego krajobrazu. Była to tak dobrze jej znana

wizja i tak doskonała reprodukcja tego, co często widziała oczami wyobraźni, że Julie usiadła oszołomiona.

W tej samej chwili z rzeki dobiegł ryk silnika. Zza zakrętu wyłonił się skif z Vance'em przy sterze.

Pomknął w stronę kamer, mijając drewnianą łódź. Vance machnął ręką do starca w pirodze. Stary Joseph kiwnął

tylko głową, odwracając się i obserwując pędzący skif, gdy tymczasem jego łódź kołysała się na falach. Kamery

też się obróciły, śledząc skif.

Julie odwróciła się powoli do Reya, który zwolnił, a potem wyłączył silnik ślizgacza.

- Powiedziałeś mi. Powiedziałeś Bullowi o zachodzie słońca. - W jej głosie brzmiała rozpacz.

Patrzył na nią, nic nie mówiąc, ale w jego oczach był żal. Bull, znajdujący się na łodzi z kabiną, odwrócił

się i spojrział z wściekłością na ślizgacz dryfujący tak blisko kamer. Zesztywniał, kiedy zobaczył Julie. Podniósł

ręce, zdejmując słuchawki z uszu i krzyknął ochrypłym głosem:

- Kamery stop!

Bull wszedł do biura Julie. Twarz miał purpurową i patrzył wilkiem. Trzasnął drzwiami tak mocno, że

przyczepa zatrzęsała się. Podeszedł do biurka i pochylił się do córki, opierając się pięściami o blat. Przez dziesięć

sekund wpatrywał się w nią sapiąc, a potem powiedział:

- Przepraszam.

To była ostatnia rzecz, jakiej się Julie spodziewała. Jej gniew, nasilający się od chwili gdy opuściła plan

nad rzeką, rosnący podczas ostrego rozstania z Reyem w doku i przez piętnaście minut, które spędziła w swoim

biurze, miał wybuchnąć właśnie teraz, kiedy ojciec się tu pojawił. Ale te przeprosiny stłumiły gniew Julie.

Równocześnie zagotowało się w niej ponownie na myśl, że chciał ją w tak prosty sposób udobruchać.

- Za co? - spytała. - Za to, że cię przyłapałam?

- Nie powinienem bez pozwolenia korzystać z twojej ekipy i sprzętu. To nie było w porządku. Wiem, że

jesteś wściekła, i nie mam o to pretensji. Ja byłbym gotów zabić każdego, kto by sobie na to pozwolił na moim

planie.

- Dlaczego więc to zrobiłeś?

Julie cisnęła na biurko długopis i usiadła wygodnie na krześle, składając ręce na brzuchu.

- To była ostatnia szansa. Później nie można by było tej sceny nakręcić. Babie lato już się kończy. Rey

powiedział mi przed wyjazdem do Los Angeles, że zbliża się zimny front atmosferyczny i że za parę dni będzie

padało. Trzeba to było zrobić natychmiast, bo inaczej straciłoby się okazję.

- Wykombinowaliście zatem we dwóch, że scenę nakręci się podczas mojej nieobecności. A czy Rey

ci

powiedział, że postara się zatrzymać mnie o dzień dłużej, żebyś mógł zrobić to, co zamierzałeś?

Bull cofnął się o krok i usiadł na krześle.

- Ależ nie, Julie, do diabła, nic z tych rzeczy. Nakręcilibyśmy tę scenę wczoraj, tylko że stary Joseph brał

udział w turnieju domina czy w czymś takim.

Julie nie była pewna, czy wierzyć ojcu, jednak poczuła się tak, jakby kamień spadł jej z serca.

- Mogłeś do mnie zadzwonić. Omówić sprawę.

- Myślałem, że każesz mi się trzymać z daleka od kamer i pilnować własnego nosa. A ten pomysł był za

dobry, żeby go zmarnować.

- A ja, według ciebie, tak bym się cieszyła z tego, że mam tę scenę, że nie zauważyłabym, kto ją nakręcił, tak?

Kiedy miałeś zamiar powiedzieć mi o tym? Czy to Rey miał mnie o tym poinformować, oczywiście po

odpowiednim przygotowaniu mnie?

Bull skrzywił się, ale pozostawił słowa córki bez komentarza.

- Nie przypuszczaliśmy, że wrócisz w momencie, gdy będziemy kręcić. No i myślałem, że dobrze będzie ci o

tym powiedzieć, kiedy się zorientujesz, że jest już za późno na nakręcenie tej sceny.

- Czy myślałeś także, że to będzie dobry sposób na to, by się wśliznąć i przejąć moje zadania? - zapytała

cedząc słowa.

- Julie ... - zaczął i przerwał, a na jego twarzy pojawiło się coś, co mogło być oznaką bolesnego skurczu.

Spuścił głowę, wbijając wzrok w podłogę, a potem znowu ją podniósł. - No dobrze, może i myślałem, że z

wdzięczności pozwolisz mi zostać, Ale nie chcę przejmować twoich zadań. Nie zrobiłbym tego

nawet wtedy,

gdyby. Allen mi to zaproponował. Zresztą on by tego chyba nigdy nie zrobił. Ja naprawdę chcę z tobą współpracować. Dlaczego uważasz, że to niemożliwe?

- Wiesz dobrze dlaczego!

- Wiem, co na ten temat mówisz, ale to naprawdę nie musi tak być. Wszyscy reżyserzy mają asystentów. Ja

właśnie byłbym jednym z asystentów.

- Zgodziłbyś się figurować w napisach jako asystent reżysera? Myślisz, że w to uwierzę?

- A dlaczego nie?

- Bardziej prawdopodobne jest, że to ja zostałąbym twoją asystentką. I w napisach, i na planie. - powiedziała

Julie stłumionym głosem.

- Nie zrobiłbym ci tego.

- Allen by to zrobił, gdyby uważał, że film, się dzięki temu lepiej sprzeda.

- Chyba źle go osądzasz. On usiłuje zrobić to, co jest dla ciebie najlepsze. Próbuje uratować ten film.

- Tego filmu nie trzeba ratować! W tym, co robię, nie ma nic złego.

- Ach, więc to cię niepokoi? Myślisz, że sprowadzenie mnie tutaj jest rodzajem komentarza do twojej pracy?

To nieprawda, zapewniam cię. Wszyscy wiedzą, kto tu jest szefem. Przekonałem się o tym w ciągu ostatnich

dwóch dni. Produkcja zaczęła się dawno. Film jest w dwóch trzecich gotowy. Trzeba tylko nakręcić parę

ostatnich rolek i można iść do domu.

- To prawda. I dlatego tym bardziej się dziwię, że chcesz tu zostać.

Jego oczy pod krzaczastymi brwiami zwęziły się.

- Mógłbym powiedzieć, że martwiłem się o ciebie. Z powodu tych wypadków. Mógłbym powiedzieć, że

zdaje mi się, że ktoś nie chce, byś skończyła ten film, i że pragnę być przy tobie, by cię pilnować. I może

zorientować się, o co tu chodzi. Mógłbym to wszystko powiedzieć, ale nie byłaby to cała prawda.

- A co byłoby całą prawdą? - spytała, starając się zlekceważyć ucisk w piersi. .

- No więc to jest tak - Przerwał i odchrząknął, patrząc ponad lewym ramieniem córki. - Potrzebna mi praca.

Udział w jakimś nowym przedsięwzięciu, w czymś świeżym. Powinienem się otrzeć o jakieś twórcze pomysły.

Straciłem weneę, Julie. Moje źródło wyschło. Nie ma już we mnie tego, co potrzebne jest do tej pracy.

- Twój ostatni film był sukcesem kasowym. O czym ty mówisz?

Na czole Julie pojawiła się zmarszczka.

- Ten film jest znośny. Ale nie doskonały.

- Krytykom bardzo się podobał.

- Krytycy nie finansują moich filmów. A faceci od forsy chcą, żeby inwestycja przyniosła zysk, najlepiej

duży. Zresztą to nie jest najgorsze. Julie, mnie się skończyły pomysły. Ja po prostu ... po prostu nie mam

szwungu, nie mam żadnej wizji, nie przychodzą mi do głowy te obrazy, które są konieczne do robienia filmów.

Takie, które przychodziły mi kiedyś. I takie, które przychodzą tobie.

- Nie bądź śmieszny - powiedziała ostro Julie. - Na pewno masz szwung i wszystko inne.

- Już nie. - Pokręcił swoją dużą głową. - Nie powiedziałbym tego nikomu innemu. Ale tobie mówię. Moje

źródło wyschło. Jestem skończony. Chłopaki ze studia wiedzą o tym. Od miesiący do mnie nie oddzwaniają.

Wkrótce zaczną o tym pisać brukowce. To będzie dla nich nie lada gratka.

- Nie mogę w to uwierzyć.

Zawsze myślała o Bullu jako o kimś, kto będzie pracował w nieskończoność, kto będzie robił film po filmie, aż padnie na nos. Inni mogliby wypaść z łask albo nawet przestać pracować, ale nie Bull.

- Ja też mam trudności z uwierzeniem w to - powiedział tak cicho, że Julie nie była pewna, czy go zrozumiała.

Przełknęła ślinę i odchrząknęła, chcąc pozbyć się ucisku w gardle.

- Jeżeli nawet tak jest - odezwała się - to nie wiem, co dobrego mogłaby ci przynieść współpraca ze mną.

Królestwo bagien nie ma zagwarantowanego sukcesu komercyjnego.

- Może nie ma, a może ma. Według mnie ma na niego duże szanse. Dla mnie jest ważne, że obcuję z pomysłami, z tymi wspaniałymi rzeczami, które się tu dzieją. To mnie może odblokować. Ty, dziewczyno, masz

w sobie coś. Nie wiem, skąd to wzięłaś, ale masz wizję i wcielasz ją w życie. Masz wycucie i potrafisz

wycisnąć uczucia z aktorów, tak że ludzie, którzy na nich patrzą, są pod wrażeniem. To jest dar, uwierz mi. Ja

kiedyś też miałem tę zdolność. I chciałbym ją znowu mieć.

Rozumiała tę potrzebę, była wstrząśnięta tym, co mówił ojciec.

Coś jej równocześnie podszeptowało, że taki właśnie miał być zamierzony efekt tych wynurzeń, jednak

odsunęła od siebie tę myśl.

- Widziałeś pierwsze kopie?

- Allen mi je pokazał. On bardzo chwali ten film. Uważa, że będzie się podobał, jeżeli zostanie ukończony.

Usiłuje robić wszystko, żeby tak było.

- Dziwne, że mi tego nie powiedział.

- Może myślał, że to niepotrzebne, albo uważa za oczywiste, że ty o tym wiesz. A może nie dałaś mu czasu

na powiedzenie tego.

Było w tym sporo prawdy. Julie poczuła się nieswojo. Ale równocześnie była zirytowana, bo potraktowała to jako zarzut pod swoim adresem.

- Dałabym mu więcej czasu, gdyby mniej rzeczy uważał za oczywiste.

- No tak, to sprawa między nim a tobą. A mnie teraz interesuje to, co jest między tobą a mną. Co powiesz na

naszą współpracę? Nie moglibyśmy przynajmniej spróbować?

Podniosła rękę i potarła sobie skroń, a potem przeczesła dłonią włosy i położyła sobie dłoń na karku.

- Nie wiem, Bull, po prostu nie wiem. W twoich ustach to brzmi tak łatwo, ale. oboje wiemy, że to by łatwe

nie było.

- Gdyby nie było, to nie z mojej winy. Robiłbym, co bym mógł, żeby się trzymać z boku, dopóki ty byś mi

nie powiedziała, co mam robić.

Mówił to z takim przejęciem, że Julie była poruszona. Nigdy w życiu nie widziała, żeby o coś tak błagał.

Jak tu odmówić? A jednak była przekonana, że wyrażając zgodę, zrobi źle.

Westchnęła.

- Daj mi jeszcze jeden dzień do namysłu, dobrze? Nie chcę być taka twarda, ale to jest poważny krok, który

pociągnie za sobą mnóstwo zmian, mimo że w tej chwili wydaje się taki łatwy.

- Dobrze - powiedział kiwając głową i pocierając dłońmi o nogawki spodni. - W porządku. Porozmawiamy o

tym jutro.

Kiedy wyszedł, Julie usiadła i zapatrzyła się w ścianę naprzeciwko biurka i w brunatne metalowe szafki

na papiery. Kiedyś byłaby zachwycona, mogąc pracować z Bullem, mogąc dyskutować z nim na temat

mechanizmów interakcji między postaciami, na temat teorii wyjaśniających, na czym te mechanizmy polegają i

co powoduje, że film jest dobry. Ta perspektywa była wciąż kusząca. Mimo to Julie nie mogła się pozbyć

wrażenia, że zgadzając się na propozycję Bulla i Allena, straci kontrolę nad swoim filmem i że nie będzie to już

jej film.

Gdyby Bull włączył się do pracy, inne byłyby nie tylko te sceny, które trzeba było jeszcze nakręcić. Bull

wtrącałby się także do montażu. Bo właśnie podczas montażu, podczas sklejania całych mil taśmy, w czasie

przestawiania scen, historia przybierała ostateczny kształt. Podczas montażu bowiem cała treść filmu i jego

wymowa mogłyby być i prawdopodobnie byłyby zmienione. Nie dlatego, że Bun umyślnie dążyłby do

wprowadzenia zmian w tym, co robiła, co próbowała wyrazić, ale dlatego, że reprezentował inną postawę i

inaczej patrzył na świat, a zwłaszcza dlatego, że jego dotychczasowe triumfy i sukcesy miały tak wielką wagę.

Julie nie była pewna, czy będzie w stanie się z tym pogodzić. Bo to przecież ona znalazła tę historię. I

poświęciła jej tyle miesięcy, tyle pracy i myśli. I tak bardzo chciała zobaczyć ją na ekranie w kształcie, który

nadała jej w wyobraźni. Pomyślała, że oddając ją komuś innemu i pozwalając, by została zmieniona nie zgodnie

z jej intencjami, popełni coś w rodzaju świętokradztwa.

Z drugiej strony Królestwo bagien było tylko filmem. Jednym z wielu. A Bun był jej ojcem. Ojcem,

który jej pomagał i dodawał odwagi i który dał jej szansę. I ten ojciec potrzebował teraz jej pomocy. Czy mogła

odmówić?

Czuła, że wszystko wokół się rozpada. Te wypadki na planie, które nie powinny były się zdarzyć...

Ten

jej niespodziewany, i najwyraźniej nie dający się opanować pociąg do człowieka, który był przeciwieństwem

tego, co uważała za wartościowe, człowieka o mrocznej przeszłości. Zdrada Allena polegająca na tym, że

próbował sprowadzić innego reżysera ... Zerwanie z Allenem, zerwanie z mężczyzną, wokół którego

koncentrowało się jej życie przez blisko dziesięć lat... Naciski, żeby zrezygnowała z filmu ...

Uświadomienie

sobie, że niektórzy z jej otoczenia pod uśmiechami skrywają urazę do niej ... Ten wąż, który wywołał

podejrzenie, że niektórzy nie ograniczają się tylko do żywienia urazy ... Odkrycie zмовы między Reyem i

Bullem prowadzącej do wtargnięcia na jej terytorium zawodowe ... Prośba ojca o pomoc, którego pozycję

zawodową uważała za niepodważalną ... Wszystko to potęgowało wrażenie, że rzeczywistość wokół niej wciąż

się zmienia. Nic nie było takie, jak myślała, nawet własne serce i umysł.

- Hej! Bull dał ci wycisk, czy ty jemu?

W drzwiach, które Bull wychodząc zostawił otwarte stała Ofelia. Garbiła się trochę. W prawej dłoni

trzymała cienki palący się papieros, a lewą opierała na biodrze. Julie z wysiłkiem uśmiechnęła się i

odpowiedziała:

- I jedno, i drugie.

- Można się było tego spodziewać. Facet zna się na swojej robocie, ale jest strasznie egocentryczny. Mówię

to, bo tak jest. I nie obchodzi mnie, że to twój stary.

- Chyba masz rację.

- Oczywiście, że mam. - Odepchnęła się od drzwi i weszła w głąb pomieszczenia. Kilkoma szybkimi ruchami

rozgniotła papierosa o popielniczkę stojącą w rogu biurka Julie. - A tymczasem zastanawiałam się

nad planem

dnia na jutro.

Omawiały go przez kilka minut, a potem ustalały szczegóły dotyczące rekwizytów i zezwoleń potrzebnych do kręcenia scen w Lutcher w przyszłym tygodniu. Ofelia wzięła plan i sprawdziwszy szybko, kogo

trzeba będzie wezwać na jutro, powiedziała nie podnosząc wzroku na Julie:

- Allen też tu będzie.

- Naprawdę? Nie było go dziś wieczorem, więc myślałam, że wrócił do Los Angeles.

Ofelia podniosła głowę.

- O Boże, Julie. Nie mogę uwierzyć, że nie wiesz, gdzie on jest i co robi. Nigdy przedtem nie było tak między

wami. Co się dzieje?

- Nie wiem - powiedziała Julie z westchnieniem. - Jedno zdarzenie po prostu pociągnęło za sobą następne. .

- Jeżeli chcesz znać moją opinię, to powiem ci, że to nie jest zbyt rozsądne. Allen wciąż jest producentem

tego filmu, a ty nadal musisz z nim współpracować. Wkrótce skończymy tu robotę i wrócimy na wybrzeże. Co

wtedy?

- Myślę, że to zależy od wielu spraw.

- Od tego, jak ułoży się z Bunem? Czy od tego, co będzie się działo między tobą a twoim Cajunem?

Julie popatrzyła ostro na asystentkę.

- Od wielu rzeczy.

- No a ty i Vance. Co to jest? Jakies współzawodnictwo?

- Co Vance ma z tym wspólnego?

- On się wysila, żeby rozśmieszyć tę głupią dziennikarkę, co, jak przypuszczam, nie jest trudne, tylko po to,

żeby udowodnić coś tobie. A tymczasem ty zadajesz się z Reyem, żeby udowodnić coś komu innemu, może

Allenowi, a może swojemu tatusiowi.

- To nieprawda! - rzuciła Julie ze złością i wstała z krzesła.

- Nie? Słyszałam, jak twoja sekretarka mówi Reyowi, gdzie się zatrzymałaś, i proponuje mu, że zrobi rezerwację. Nie było was razem i nagle razem się pojawiliście. Co to znaczy, możesz mi powiedzieć?

- To znaczy, że jesteś wścibska - powiedziała Julie opryskliwie.

- To prawda - zgodziła się Ofelia z uśmiechem. - I bardzo interesuję się życiem innych ludzi, mając przy tym

kosmate myśli. Jak to się dzieje, że sprawy innych są o wiele bardziej interesujące niż moje rozpustne

jednonocne przygody? Chyba robię coś nie tak.

- Może tak, a może nie - odparła Julie, a jej wściekła mina zamieniała się bardzo powoli w uśmiech.

- Czy

nigdy się nie zastanawiałaś, dlaczego jakiś mężczyzna się z tobą umawia i czego od ciebie chce?

- Do diabła, Julie. Ja wiem, czego oni chcą. To nie jest zbyt skomplikowane.

- Nigdy?

- Nigdy, do cholery.

- A nie uważasz, że mogłoby być skomplikowane, gdybyś podchodziła do tego inaczej?

Ofelia zarumieniła się. Wyglądała na zakłopotaną.

- Nie wiem. Ale o co mogłoby chodzić w takim miejscu jak to tutaj? Za parę dni wyjedziemy stąd, wrócimy

do naszego kochanego luksusu, wrócimy tam, skąd przybyliśmy. Mówię o tobie i o mnie, kotku. Ja jestem

kobietą pracującą, tak jak ty. Niepotrzebne nam komplikacje. W naszym życiu nie ma na nie miejsca. Jest w nim

miejsce tylko dla ludzi naszego pokroju, dla kogoś takiego jak Allen, który rozumie, co chcemy

osiągnąć, i

potrafi nam w tym pomóc.

- Tak myślisz?

- Jeżeli się nad tym zastanowisz, to zobaczysz, że to ma sens. Ale na twoim miejscu byłabym ostrożna. Allen

jest cierpliwy, lecz zmuszać go, żeby czekał, to niezbyt rozsądne. Jest mnóstwo kobiet, które chciałyby dostać

to, co ma do zaoferowania.

- Jeżeli masz na myśli to, czego się domyślam - powiedziała Julie powoli - to muszę ci przypomnieć, że tego,

co mam, nie zawdzięczam wyłącznie Allenowi.

- Ale to, że go znałaś, nie zaszkodziło ci - zauważyła Ofelia, wzruszając ramionami i rzucając głową tak, że

jej gruby koński ogon opadł z ramienia na plecy.

To była prawda, a jednak Julie, wchodząc w związek z Allenem i kontynuując go, nigdy nie była interesowna. Nie wprowadzała się do niego po to, żeby ułatwić sobie karierę. Zastanowiła się teraz, czy on

uważał, że jednak tak było, i czy dlatego właśnie w ich związku było zawsze coś z relacji między mentorem a

protegowaną i czy przybierał postawę wyższości po to, by zachować odpowiedni dystans. Zastanowiła się, czy

zachowywał ten dystans w obawie, że ona, Julie, by go wykorzystywała, gdyby byli sobie zbyt bliscy. Ta myśl

ją zaniepokoiła.

- Pójdę już i zabiorę się za to - powiedziała Ofelia, machając papierami. - W razie gdybyś mnie potrzebowała,

będę przez pewien czas w pobliżu. Jeżeli zaczniesz mnie szukać i nie znajdziesz, to sprawdź u Vance'a. Pozwolił

mi trzymać piwo w swojej lodówce. Bull wyrzucił mnie z twojego karawaningu. Powiedział, że nie

znosi

zapachu moich cholernych papierosów - tak dokładnie się wyraził. I pomyśleć, że powiedział to człowiek, który

bywa systematycznie we wszystkich zadymionych spelunkach Los Angeles.

- Naprawdę cię wyprosił? Ofelia roześmiała się.

- Nie dosłownie. Zrobił tylko przejrzystą aluzję. Łatwiej jest go unikać niż słuchać tego, co mówi. Nigdy nie

wiadomo, kto nagle zacznie dbać o zdrowie, prawda? Kto wie, może wkrótce Bull zacznie pić piwo bezalkoholowe?

Było późno, kiedy Julie wyszła z biura. Nie miała pojęcia, co się dzieje z Reyem. Jego dżipa nigdzie nie

było widać. Nie miała zamiaru na niego czekać. Kluczyki do wynajętego samochodu Julie znajdowały się w jej

karawaningu. Zostawiła je tam wyjeżdżając do Los Angeles - na wypadek gdyby samochód potrzebny był Ofelii

albo komuś innemu.

W karawaningu było ciemno i ,panował spokój. W oknach odbijało się światło rtęciówek Julie sięgnęła

do kontaktu w kuchni. Światło zalało wnętrze, przepędzając ciemności z kątów.

W gardle jej zaschło. Podczas lotu organizm się jej odwodnił, a po przyjeździe wypła tylko filiżankę kawy. Podeszła do lodówki i wyjęła butelkę wody Evian. Sięgnęła też po puszkę soku pomidorowego.

Zauważyła kawałek sera gouda i plastikową torebkę z winogronami bez pestek. Wyłożyła je również na stół, a

potem zaczęła buszować po szafkach w poszukiwaniu paczki krakersów. Czas kolacji dawno już minął i nie

wiedziała, czy u ciotki Tine dostanie coś do jedzenia. Dobrze więc byłoby zjeść lekką kolację - przez ostatnie

kilka dni zbyt się objadała.

Ryjąc wśród pudełek z płatkami śniadaniowymi i paczek z mieszankami na ciasto pieczone w

kuchence mikrofalowej, natknęła się na dziwny pakunek. Wyjęła go. Była to plastikowa torebka, związana sznureczkiem i

do połowy napełniona krystalicznym białym proszkiem.

Wiedziała, co to jest, a jednak jej umysł przez dłuższą chwilę odmawiał przetworzenia tej informacji.

Odwiązała sznureczek i ostrożnie powąchała, a potem gwałtownie odwróciła głowę.

To nie był cukier puder. Nie było to też mleko w proszku ani proszek do pieczenia, ani soda, ani mąka

kukurydziana do robienia budyniu, ani żadna inna substancja znajdująca się zwykle w kuchni.

Kokaina.

Czysta, nie sfalszowana, łatwa do dostania, o piorunującym działaniu na mózg.

Co ona tu robi? Jak długo tu jest? A przede wszystkim: kto ją tu schował?

Szybkimi, gwałtownymi ruchami Julie zamknęła pakiecik i wepchnęła go z powrotem na to miejsce, gdzie go znalazła. Zatrasnęła drzwi szafki, cofnęła się do stołu i usiadła na ławie. Wypiła prawie całą wodę, a

potem wpatrując się w resztkę pozostawioną w butelce, obserwowała, jak bąbelki unoszą się i opadają.

Czy to dlatego Bull potrzebował pomocy? Czy to z powodu nałogu jego siły twórcze zanikły i nie można

mu było powierzyć żadnego przedsięwzięcia? Czy zamienił tradycyjną męską rozrywkę, jaką było picie, na

zażywanie koki, szybciej wywołującej oszołomienie?

Czy to dlatego przepędził Ofelię? Dlatego, że chciał w spokoju i bez świadka ciągnąć swój romans z tym

środkiem? Ale dlaczego miałby troszczyć się o to, żeby nikt o tym nie wiedział? Był przecież wystarczająco

długo członkiem śmietanki hollywoodzkiej, żeby wyzbyć się wstydu z powodu własnych przywar. Chyba że

chciał oszukać córkę.

Te i inne pytania wirowały Julie w głowie jak bąbelki w wodzie. Nie znajdowała na nie odpowiedzi.

Przychodził jej jednak do głowy pewien wniosek, który podsuwały raczej emocje niż logiczne myślenie.

Był oczywisty, nieunikniony.

Jeżeli kokaina rzeczywiście należała do Bulla, jeżeli była przyczyną jego kłopotów, to córka, która odmówiłaby mu wszelkiej pomocy, byłaby córką wyrodną. Nie miała wyboru: musiała pozwolić mu włączyć się

do pracy nad Królestwem bagien. Pozostawało jej tylko znaleźć odpowiedni czas i miejsce na powiedzenie mu o

tym. No i odwagę.

Zachrobotąła gałka w drzwiach. Gałka przekręciła się, Julie zamarła i obserwowała ją w milczeniu.

Ucieszyła się, że zamknęła drzwi na klucz.

Rozległo się pukanie.

- Julie? To ja. Wpuść mnie.

Julie odetchnęła głęboko rozpoznając Vance'a i pokręciła głową. Była zbyt nerwowa, może przydałaby

się jakaś gimnastyka? Nie pomogłaby na wszystkie jej kłopoty, ale źle by jej nie zrobiła. - Co ty tu jeszcze

robisz? - zapytała otwierając drzwi siatkowe, a potem zewnętrzne.

Zwrócona w górę twarz aktora, widoczna w świetle padającym przez drzwi z siatki, była spuchnięta.

Vance mrużył oczy. Miał na sobie coś, co wyglądało jak krótki szlafrok plażowy z aksamitu, i gumowe klapki. Z

krzywym uśmiechem wyciągnął rękę, pchnął drzwi z siatki i wszedł do środka.

- Wziąłem prysznic i położyłem się w karawaniu, bo chciałem się trochę zdrzemnąć. Byłem

wypompowany. Całe popołudnie pracowałem na słońcu, a to naprawdę człowieka wykańcza. Kiedy się

obudziłem, nie było już nikogo oprócz ciebie. Zobaczyłem cię przez okno i pomyślałem, że wejść i dowiem się,

czy Los Angeles jest wciąż tam, gdzie było.

- Jest, i to na dodatek mokre - odpowiedziała Julie i zaproponowała mi, żeby się czegoś napił.

Dał jej znak ręką, żeby wróciła na swoje miejsce, a sam podszedł do lodówki i wyjął z niej puszkę wody

sodowej. Usiadł po drugiej stronie biurka. Zaczęli rozmawiać o festiwalu, a także o wyższości hotelu Bel Air

nad hotelem Beverly Hills.

- Tabary był tam z tobą, prawda? - zagadnął w końcu Vance.

- Najwyraźniej nie jest to tajemnicą - odpowiedziała Julie chłodno.

- Wiesz, że tutaj nie ma tajemnic. Ale chciałbym wiedzieć, dlaczego pojechałaś właśnie z nim. Przecież to

mogłem być ja. Jeżeli potrzebne ci było towarzystwo ...

- Myślałam, że ty jesteś zajęty tą dziennikarką.

- Dla ciebie pozbyłbym się tej dziewczyny.

Julie wypila resztę wody, a potem sięgnęła po puszkę soku pomidorowego i otworzyła ją.

- Bardzo mi to pochlebia, Vance, ale prawda jest taka, że ...

- Nie chcę tego słyszeć! Nienawidzę, kiedy ktoś tak zaczyna zdanie. Takie zdanie jest zawsze policzkiem.

Głos miał ochrypy, więc Julie przyjrzała mu się uważniej.

Vance nie wyglądał dobrze. Źrenice miał zwężone, twarz bladą, ręce mu drżały. Naciągał poły szlafroka,

jak gdyby był za krótki albo jakby coś pod nim ukrywał. Julie zbyt często widywała takie objawy w ciągu

ostatnich paru lat, a także wcześniej wśród przyjaciół uprawiających surfing, zbyt często, żeby się mylić.

- Prawda jest taka - mówiła dalej - że nikogo nie prosiłam, żeby mi towarzyszył. Rey poleciał z

własnej

inicjatywy. I wiesz co? Wróciliśmy dzisiaj i właśnie uświadomiłam sobie, że jestem bardzo zmęczona. Chyba

czas powiedzieć, że dosyć na dziś.

Wstała i ruszyła do drzwi. Vance wypił swoją wodę i też wstał.

Puszka, którą postawił na stole, przewróciła się.

- Mogłabyś dzisiaj spać tutaj - powiedział. - Byłoby mi miło otulić cię kołdrą i tak dalej.

- Dzięki za tę propozycję - odrzekła beztrąsko - ale ciotka Tine będzie się niepokoiła.

- Nie mówiąc o ukochanym. Chyba on naprawia swoje stosunki z tą przebiegłą wdową? Widziałem, jak z nią

rozmawiał, kiedy Summer pojechała do motelu.

- Nie mam pojęcia. Zresztą to nie ma znaczenia. Miałam ciężki dzień i najwyraźniej czuję skutki różnicy

czasu.

Julie rozejrzała się za swoją torbą na ramię.

Vance zastąpił jej drogę. Położył rękę na framudze drzwi ponad jej głową, tak że znalazła się w pułapce

między nim a końcem ławy stojącej przy stole. Wolną ręką Vance przesunął w górę po rękę Julie. Dłoń aktora

zawędrowała na ramię, a potem jego palce znalazły się na piersi pod koszulową bluzką.

- Gdzie się tak spieszysz? - powiedział ochrypłym głosem. - Mamy czas na jeden szybki raz.

- Wybij to sobie z głowy, Vance - odpowiedziała Julie, z wysiłkiem panując nad głosem. - Mam w tej chwili

dość komplikacji. - W tym nie ma nic skomplikowanego - odrzekł Vance. - Ja pragnę ciebie, ty pragniesz mnie.

Zaspokoimy potrzebę. To proste. - Proste, tak, wszystko jest proste z wyjątkiem jednego: nie wiem, dlaczego

uważasz, że mam na ciebie ochotę?

- Mężczyzna wyczuwa takie rzeczy.

Stał zbyt blisko. Czują zapach jego oddechu, czują, że jest rozgorączkowany. Czują też, że sama się dusi.

Musiała zacisnąć pięści, by się powstrzymać i go nie odepchnąć. To mógłby być błąd, pomyślała. Teraz był

jeszcze podatny na racjonalną argumentację, ale gdyby stała się agresywna, mógłby się stać głuchy na wszelkie

argumenty.

- Mężczyzna też może się mylić. Jestem zmęczona, Vance. I ty też. Sam mówiłeś. Chodź, czas, żebyś wrócił

do motelu. A może chciałbyś, żeby ci znalazła kogoś, kto cię zawiezie?

- Wezmę cię, bez względu na zmęczenie. Nie musisz nic robić, połóż się tylko i odczuwaj przyjemność.

Objął Julie za szyję, wsunął dłoń pod włosy, chcąc ją do siebie przyciągnąć. Usta Vance'a zbliżyły się do

jej ust, otwarte, mokre, gumowate.

Julie zatrzęsała się z obrzydzenia. Podniosła dłonie zaciśnięte w pięści. Odepchnęła się, wyzwalając się z

uścisku i zaraz potem zaczęła go bić pięściami w klatkę piersiową, tak że cofnął się, chwiejąc się na nogach.

Zaklął i chwycił się jedną ręką stołu. A potem odepchnął się od niego i ruszył znowu do Julie. Obróciła

się na pięcie, pchnęła drzwi i zbiegła po stopniach. Vance uderzył się o framugę. Odbił się, rzucając się na Julie.

Tracąc równowagę, chwycił ją z tyłu za bluzkę.

Runęli oboje na ziemię. Przez chwilę Julie leżała oszołomiona.

A potem, czując, że zalewa ją fala bólu, zaczęła kopać, drapać i walić. Była tak wściekła, że prawie nie

wiedziała, co robi. Nie zdawała sobie sprawy, że zadaje ból i że sama go odczuwa. Nie obchodziło jej to.

Usłyszała krzyk, poczuła, że Vance podskoczył, ale nie mogła się zorientować w sytuacji.

Nagle okazało się, że jest wolna. Vance został od niej oderwany, podniesiony w powietrze i gdzieś odrzucony. Upadł na ostry biały żwir parkingu. Julie zobaczyła szerokie ramiona o potężnych mięśniach, ciemną

głowę i wykrzywioną z wściekłości twarz. A potem Rey dopadł Vance'a i postawił go na nogi. Julie zobaczyła,

że zamierza się na niego pięścią.

- Nie w twarz! - krzyknęła wstając. - Nie bij go po twarzy! Prawie nie zauważyła Ofelii, która podbiegła, by

jej pomóc wstać.

Rey zerknął na Julie przez ramię. W przyćmionym świetle dostrzegła na jego twarzy gniew i zdziwienie.

Zadał cios nie w twarz, tylko w przeponę; Vance skulił się i upadł jak długi. Wił się, kłął, płakał i wymiotował

na żwir, przyciskając rękę do brzucha.

- Boże - wyszeptała Ofelia. Posłała Reyowi pełne szacunku spojrzenie, a potem zwróciła się do Julie, pytając

z troską w głosie: - Dobrze się czujesz, kotku? Chcesz, żeby ktoś cię zawiózł do domu? A może wezwać policję?

- Nie - powiedziała Julie, pocierając dłonią o dłoń; upadając zraniła je o żwir. - Nic mi nie jest, naprawdę. Nic

mi się nie stało. - No tak. Myślę, że to by się źle odbiło na filmie. Boże, co za bajzel. Chyba jakoś możesz się

temu żartownisiowi odwdzięczyć.

Julie zdołała uśmiechnąć się blado, ale w jej uśmiechu nie było radości. To ona traciła w wyniku tego

zajścia. Miała teraz kolejnego wroga, a to wcale nie było jej potrzebne.

Ofelia puściła ramię Julie i stanęła nad aktorem.

- No, Vance, ty idioto. Co ty, do cholery, chciałeś zrobić? Wstawaj i zabieraj się stąd, zanim cię tu

ktoś

zmasakruje.

Julie niechętnie odwróciła się w stronę Reya, który stał w miejscu, obserwując ją. Brwi miał zmarszczone, a nieruchome dłonie wciąż zaciśnięte w pięści. Patrzył badawczo, jak gdyby się chciał upewnić, że

nic jej się nie stało. Zanim zdążyła się odezwać, kiwnął głową, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Julie otworzyła usta, żeby go zawołać, ale zaraz z tego zrezygnowała. Najwyraźniej nie potrzebował podziękowań i był oburzony, tym, że zabroniła mu bić Vance'a po twarzy. Dobrze, niech sobie idzie. Skoro tak

postanowił, nic się na to nie poradzi. Może to nawet lepiej.

Tak, bez wątpienia, lepiej.

- Z Vance'em nie będziesz już miała problemów - powiedział Allen.

On i Julie stali czekając, aż zakończą się przygotowania do filmowania sceny ulicznej.

-Ofelia opowiedziała mi, co narobił wczoraj wieczorem. Rozmawiałem z nim o tym przed paroma minutami.

Sądzę, że doszliśmy do porozumienia.

Vance stał w pobliżu, ze swoją znajomą dziennikarką. Wyglądał na przygnębionego i zmęczonego.

Ubrany był w dżinsy i koszulkę trykotową, czyli w strój, którego wymagała rola. Za parę minut miał pójść z

Summer ulicą, wymieniając pozdrowienia i uściski dłoni z ludźmi z miasta wającymi jego przyjaciół i sąsiadów.

Julie pomyślała, że na szczęście scenariusz nie wymaga, aby w tej scenie 'był zbyt ożywiony - nie

wskazywało na to, że mógłby to dobrze odegrać. Oczywiście trudno to było orzec z absolutną pewnością,

ponieważ wielu aktorom zdarza się, że są półżywi do chwili włączenia kamer, a potem ożywiają się i są pełni

animuszu.

- To miłe, że się o mnie troszczysz - powiedziała Julie - ale dałabym sobie z tym radę sama.

- Być może, uważam jednak, że moja reprimenda zrobiła na nim większe wrażenie niż twoje odwoływanie

się do rozumu czy pięści Tabary'ego. W każdym razie wydawało mi się, że najlepiej będzie z nim porozmawiać i

zapobiec jego wrogości wobec ciebie, która w tej sytuacji byłaby zrozumiała.

- Zrozumiała?! - Julie patrzyła na Allena z niedowierzaniem. Był sztywny, ubrany ze zwykłą starannością w

brązową jedwabną koszulę, fularowy krawat i rdzawe spodnie. przy nim Julie, w bawełnianych spodniach i

koszulce bez rękawów, wyglądała na niedbałą i źle ubraną.

- Chodzi mi o tę całą awanturę. - Kręcił się pod spojrzeniem Julie, poprawiając krawat. - Nie sugerowałem,

że to naturalne, że żywi do ciebie wrogie uczucia, ponieważ odrzuciłaś jego awanse. - Nie?

- Nie. Chociaż niektórzy mężczyźni mają do tego skłonność,

zwłaszcza jeżeli odrzucenie było publiczne.

Julie przyjrzała się twarzy Allena podejrzewając w jego słowach oskarżenie; nie miała jednak pewności,

czy było zamierzone.

- Powinni się nauczyć - powiedziała powoli - nie robić awansów publicznie.

- To byłoby bez wątpienia rozsądne. Czy możemy przyjąć, że ja dostałem już nauczkę? Czy przestaniesz

okazywać mi, że nie jesteś moją własnością, i zamieszkas z mną w Nowym Orleanie?

- To nie jest takie proste, Allen - odrzekła.

- Tego się obawiałem. O co chodzi? Masz zamiar rzucić się w ramiona tego człowieka z bagien z powodu

jego paru heroiczych gestów? Naprawdę myślisz, że zrezygnujesz z tego wszystkiego dla domowego szczęścia?

Pokazał ręką to, co się wokół działo, cały ten ruch i hałas, kamery, sprzęt do nagrywania dźwięku, generatory, wijące się kable elektryczne, światła i reflektory, techników, którzy byli potrzebni, aby opanować

ten chaos.

Chłodnym tonem Julie powiedziała:

- Nikt mnie nie prosił, żebym z czegoś zrezygnowała.

- To dobrze, bo ty tego nie zrobisz. Nie możesz tego zrobić. Ty masz to we krwi, to jest twoja obsesja, coś,

czego potrzebujesz jak pokarmu i snu.

- To jest moja praca, nic poza tym - odrzekła.

- To jest coś, nad czym pracowałaś od czasu, kiedy byłaś nastolatką, coś, w co włożyłaś mnóstwo wysiłku. To

jesteś sama ty. Nie możesz się z tym rozstać, tak jak tamten budynek nie może rozstać się ze swoimi fundamentami.

- Masz taką nadzieję?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Co takiego?

- Masz nadzieję, że nie mogę się z tym rozstać, bo uważasz, że oznacza to mój powrót do Los Angeles i do

ciebie. Nie chcesz mnie otwarcie prosić, żebym z tobą wróciła, bo to by oznaczało, że jesteś bardziej zaangażowany, niż chcesz przyznać. Czy zdajesz sobie sprawę, że o małżeństwie nie rozmawialiśmy od blisko

dwóch lat?

- Nie sądziłem, że zależy ci na małżeństwie. Zmęczonym gestem Julie przeczesła palcami włosy.

- Może mi nie zależało. Mieliśmy wygodny układ, ale musisz przyznać, że był to tylko układ. Nie ma potrzeby zmieniać go w coś więcej.

- Nie miałem pojęcia, że tak to odbierasz - powiedział skonsternowany i blady.

- Ja też nie. Do niedawna. Czy nie sądzisz, że to smutne?

- Ale ja cię kocham, Julie - szepnął.

Spojrzała mu w oczy ze smutkiem.

- Możliwe, jednak nigdy cię to nie powstrzymywało od przygód ze starletkami.

- Nie rozumiesz - rzekł głośniejszym głosem. - Kocham cię. Tworzyliśmy doskonałą parę. Dopełnialiśmy się, reprezentowaliśmy talent i pieniądze, kontakty i umiejętności organizatorskie, stary Hollywood i nową, starą

rewolucyjną energię. Tak dobrze nam się razem pracowało. Dzięki tobie czułem się młody i pełen siły i ze swej

strony pomagałem ci osiągnąć sukces. Może tak być znowu.

- Nigdy nie byłem z tobą dlatego, że mogłeś coś dla mnie zrobić. Dlaczego miałabym się na to zdecydować

teraz?

- A dlaczego ze mną byłaś?

- Zastanawiałam się nad tym. - Przerwała niepewna, co ma mówić dalej. W końcu powiedziała: - Przed laty

robiły na mnie wrażenie harwardzkie krawaty i cytaty z Ibsena i Arthura Millera. Myślałam, że na tym polega

klasa. Byłam zachwycona tym, że dostrzegasz we mnie możliwości, zachwycona, że jestem Galateą w rękach

takiego jak ty Pigmaliona. Wdzięczność przerodziła się w sympatię, a przywiązanie stało się przyzwyczajeniem.

Nie umiem tego lepiej wyjaśnić.

- Ale, Julie, czy nie mogłabyś mnie znowu polubić? Nie mogłabyś spróbować? Będzie inaczej, obiecuję ci.

Do tej pory bałem się, że kiedy się zorientujesz, co do ciebie czuję, zdobędziesz przewagę, a ja stanę się ód

ciebie zależny.

- Wolaleś, żebym to ja grała rolę zależnej.

- Ze strachu. Obawiałem się, że kiedy stwierdzisz, do czego jesteś zdolna, i gdy zostaniesz doceniona i

uhonorowana nagrodą, jaką dostałaś na kobiecym festiwalu, odejdziesz ode mnie. Bałem się twojego sukcesu. A

teraz chciałbym dać nam obojgu szansę.

- Nie wiem ... - zaczęła.

- Zastanów się nad tym, tylko o to cię proszę. Przez te ostatnie tygodnie tak za tobą tęskniłem. Ciągłe

myślałem, w jaki sposób cię ściągnąć do Los Angeles, zwłaszcza po tym wypadku. Prawie z ulgą przyjąłem

propozycję Bulla, który chciał się do ciebie przyłączyć. Myślałem, że może on przejmie film, a wtedy ty wró-

cisz tam, gdzie jest twoje miejsce.

- O tym nie ma mowy. Mogę cię o tym od razu zapewnić.

- Przyjmuję to do wiadomości.

- Dobrze. Chciałabym też wiedzieć, czy po przejęciu filmu przez Bulla mój wkład w niego miał pozostać nie

zauważony? Czy miałeś zamiar dopilnować, aby w więcej nie została doceniona? - O Boże, Julie, nie mów

takich rzeczy. Doprowadzasz mnie do ostateczności. Bałem się o ciebie i chciałem, żebyś wróciła do Los

Angeles. I nie poza tym.

Tymczasem przecież to ona została doprowadzona do ostateczności, prawie do choroby psychicznej.

Podejrzenie, że to Allen sprowokował oba wypadki - ten, w którym zginął Paul Lisiet, i ten, w którym omal nie

zginęła Summer - pojawiło się przez chwilę w jej głowie z taką wyrazistością, że poczuła mdłości. Tak, to on je

sprowokował, żeby stworzyć powód, dla którego musiałaby zrezygnować z filmu. Prześladowała ją też myśl, że

Allen odebrałby jej natychmiast film, gdyby nie romans z Reyem. Ten romans chronił ją w jakiś sposób - Allen

nie był pewien, czy w wypadku gdyby doprowadził ją do ostateczności, nie opuściłaby go i nie związała się z

Reyem.

Wszystko to było szaleństwem.

Julie widziała wszędzie zagrożenia i spiski. Należało to przerwać. Musi skończyć ten film. Wtedy

większość problemów rozwiąże się sama. I każdy pójdzie w swoją stronę, czy może prawie każdy.

- Słuchaj, Julie - zaczął Allen głosem cichym i głębokim - ja nie mam zamiaru cię błagać, ale nie chcę też

rezygnować. Chcę, żebyś przemyślała to, o czym mówiliśmy. Zastanów się dobrze. A potem znajdziemy czas,

żeby o tym poważnie porozmawiać. Dużo od tego zależy. Więcej, niż sobie wyobrażasz.

Było to pretensjonalne i prowokacyjne, i dosyć wyświechtane.

Ale i wzruszające - Allen starał się, jak mógł. Patrząc za nim, kiedy odchodził, Julie pokręciła głową, a

potem z premedytacją rzuciła się w wir pracy.

W kręconej właśnie scenie zamierzano pokazać Summer świetnie wyglądającą w nowiutkich dżinsach,

koszulce trykotowej i adidasach, a także określić, jakie miejsce w lokalnej społeczności zajmuje Jean-Pierre.

Później, po zniknięciu porannego światła i nadejściu zimnego frontu ze spodziewanym deszczem, mieli nakręcić

scenę zakupów, w której Summer i Vance kupują ubrania, niezbędne do przedstawienia metamorfozy Summer z

miejskiej dziewczynki w chłopczycę z zapadłego kąta.

Summer i jej matka znajdowały się w pobliżu karawaningów, które przyholowano na parking obok

sklepu spożywczego. Annette, robiąc dużo szumu, zajmowała się włosami Summer splecionymi w warkocz

spadający jej na plecy. Rozpylała lakier do włosów, ujarzmiając każdy wymykający się kosmyk, a dziewczynka

wiała się i kaszłała.

Julie rozmawiająca właśnie z Andym Russellem odwróciła się i ruchem ręki przywołała sekretarkę planu.

- Idź i powiedz Annette, żeby zostawiła włosy Summer w spokoju. Mają wyglądać jak uczesane przez ojca, a

nie przez fryzjera.

Dziewczyna poszła wykonać polecenie. Julie kątem oka obserwowała, co się dzieje; zobaczyła, że

dziewczyna podchodzi do Annette, a ta wyrzuca lakier i grzebień. Summer musiała się przy tym

uchylić, żeby

nie dostać w głowę. Annette wyciągnęła rękę, żeby złapać Summer za warkocz. Dziewczynka uchyliła się

ponownie, odepchnęła rękę matki, odwróciła się i ociekła. Annette ruszyła za nią, ale zaraz zatrzymała się,

machając rękami. Krzyczała coś do sekretarki planu, a potem odwróciła się na pięcie i poszła sztywnym krokiem

do karawaningu. Kiedy drzwi zatrzasnęły się za nią z hałasem, sekretarka planu uniosła oczy do nieba i oddaliła

się.

- Pijana - powiedział Andy Russell, kręcąc głową. - To okropne dla Summer, która musi się z tym godzić.

Będziemy mieli szczęście, jeżeli cokolwiek z niej dzisiaj wyciśniemy.

Julie zgodziła się z nim, chociaż, przypomniawszy sobie, w jakim stanie był Vance poprzedniego

wieczoru, pomyślała, że alkohol nie jest chyba jedynym powodem kłopotów Annette. Zmieniła temat rozmowy

z Andym, jednak spomiędzy jej brwi nie znikła głęboka zmarszczka.

Kiedy kamery wreszcie zaczęły działać, Summer nie była chętna do współpracy. Szła niepewnie, była

sztywna i zbyt nieśmiałym ruchem wzięła Vance'a za rękę. Trzeba jej było wciąż powtarzać, żeby patrzyła na

niego, a nie pod nogi. Jej uśmiech był wymuszony i szybko zniknął z twarzy. Uwagi i sugestie, jak ma grać,

niewiele zmieniały, poza tym, że w oczach dziewczynki pojawiły się łzy.

Kolejne powtórki działały na Vance'a irytująco. Zamiast pomagać Summer, stawał się coraz bardziej opryskliwy. Wszystko to wpłynęło również na jego sposób gry. Szedł sztywno ulicą, ciągnąc za sobą dziewczynkę i zgrzytał zębami przy zbliżeniach.

W końcu Julie ogłosiła przerwę. Wzięła dwie puszkę coli i podeszła do Summer, która siedziała na zwoju

kabla, podpierając twarz dłońmi. Dała jedną colę dziewczynce i usiadła obok niej na ziemi. Obie piły napój i

patrzyły na samochody, które musiały nadkładać drogi, gdyż ulica była zamknięta dla ruchu z powodu zdjęć.

- No więc, skarbie, o co chodzi? - spytała w końcu Julie. Summer roztała kciukiem rosę na swojej puszcze.

- Wszyscy się na mnie, gapią.

- Oczywiście. Jesteś przecież jedną z gwiazd.

- Mam na myśli ekipę. Jest im mnie żal. A Vance nienawidzi grać ze mną. Mówi, że dzieci zawsze kradną

sceny.

- Zawodowa aktorka - powiedziała Julie - musi się nauczyć nie przejmować tym, co myślą inni. Co by było,

gdybyś musiała zagrać scenę miłosną z Vance'em, wiedząc, że on cię nie lubi? Aktorki zwykle są w takiej

sytuacji.

- To co innego - mruknęła dziewczynka, rumieniąc się.

- Niezupełnie. Musisz zrobić to, co masz do zrobienia, a inni niech się martwią o własne role. W pewnym

sensie to samo odnosi się do twojej matki. Nie jesteś odpowiedzialna za jej zachowanie, tylko za to, jak sama na

nie reagujesz. Jeżeli nie chcesz, żeby inni cię żalowali, nie lituj się sama nad sobą.

- Ale pani nie wie, jak to jest! Nie mogę przed takim tłumem ludzi udawać, że jestem szczęśliwa i zadowolona, kiedy naprawdę jestem nieszczęśliwa.

- Właśnie że możesz. Musisz sobie po prostu przypomnieć chwile, w których byłaś szczęśliwa. Przypomnieć

sobie, jak się wtedy czułaś i co robiłaś, żeby to okazać, jak się zachowywałaś, poruszałaś i jak patrzyłaś na ludzi.

Pamiętasz ... jak się czułaś, tańcząc z Reyem na weselu? Byłaś wtedy szczęśliwa, prawda?

- No tak.

Po twarzy dziewczynki przemknął słaby uśmiech.

- No widzisz. Więc udawaj, że Vance to Rey. Udawaj, że to Rey kupił ci nowe ubrania i że teraz oboje macie

zamiar popływać łodzią albo pójść na ryby. Potrafisz to zrobić?

Summer uniosła brwi, a potem je opuściła. Zasznurowała usta i wykrzywiła je najpierw w jedną, a potem

w drugą stronę. Podniosła puszkę z colą i pociągnęła długi łyk, jakby nagle zachciało jej się pić. A potem

roześmiała się.

- Mogę spróbować - powiedziała.

- To dobrze - odrzekła Julie z ulgą i też się roześmiała.

- Biegnij i powiedz charakteryzatorce, żeby ci poprawiła charakteryzację, i zaczniemy od początku.

Stojąc i patrząc na odchodzącą dziewczynkę, Julie usłyszała za sobą kroki. Zorientowała się, że to Rey.

Wiedziała, że to on, zanim się odezwał. Rozpoznała te kroki, a także męski zapach jego wody. Odwracała się

właśnie, kiedy powiedział:

- Dobrze sobie z nią radzisz.

- To nie jest trudne. Ona jest dobra, kiedy się skupi.

- Ale ty masz do niej cierpliwość, a to naprawdę coś znaczy.

Ten komplement sprawił Julie większą przyjemność, niż się mogła spodziewać. Odwróciła głowę, chcąc

ukryć rumieniec. Równocześnie poczuła pulsowanie w gardle; uświadomiła sobie, że on nie przyszedł w sprawie

Summer, jak początkowo myślała. Był tu dla niej.

- Słuchaj, chcę ci powiedzieć ... - zaczęła.

- Jeżeli chodzi o ostatnią noc, to ... - powiedział prawie równocześnie.

Oboje przerwali.

- Panie mają pierwszeństwo - rzekł Rey spokojnie.

Spojrzała mu w oczy zakłopotana.

- Nie jestem pewna, czy wiem, co według ciebie działo się wczoraj z Vance'em, ale on ... on nie był sobą.

- Chcesz powiedzieć, że był naćpany po dziurki w nosie.

- Dokładnie. I chcę ci powiedzieć, że cieszę się, że się tam pojawiłeś.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę i napięcie powoli znikło z jego twarzy. Zaczerpnął powietrza, a potem wypuścił je, wzdychając.

- Kiedy zobaczyłem was na ziemi, straciłem na chwilę orientację. No i kiedy potem usłyszałem, jak go

bronisz, też nie wiedziałem, co myśleć. Dopiero później dotarło do mnie, o co ci chodziło. Nie jestem

przyzwyczajony do rozpatrywania wszystkiego z punktu widzenia korzyści dla filmu.

- To przyzwyczajenie. Czasami trochę z tym przesadzam. Uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Zobaczyłem światło i chciałem przyjść i porozmawiać z tobą o tej scenie o zachodzie słońca. Myślałem, że

dasz mi wskazówkę, jak mam się zachowywać wobec kobiety, która jest na mnie tak wściekła, że nie chce ze

mną rozmawiać. Wskazówkę wyłącznie reżyserską oczywiście.

- Oczywiście - powtórzyła. - Prawdopodobnie poradziłabym ci, żebyś spróbował udawać, że ona nie jest taka

wściekła.

Rey spojrzał na nią z góry, przechylając głowę na bok.

- To znaczy?

- To znaczy, że Bun powiedział mi, dlaczego rozmawiałeś z nim o tej scenie. Mogłeś spróbować sam to

wyjaśnić, zamiast odchodzić bez słowa.

- Wtedy ucieczka wydawała mi się lepszym wyjściem. Nie byłem pewien, kto jest w większych opałach, Buli

czy ja, i nie chciałem pogorszyć sprawy, mówiąc coś niepotrzebnego.

- Kiedyś będziesz mi musiał powiedzieć, co by się stało złego, gdybyś powiedział mi prawdę - odrzekła

żartobliwie. - Prawda jest czymś, co bardzo cenię.

Nie odpowiedział, a jego twarz zmieniła się w okamgnieniu, stała się zagadkowa. Julie ogarnęły wątpliwości, a wraz z nimi przyszło przygnębienie; poczuła, że musi zadać sobie pytanie, czy Bull powiedział

jej prawdę.

Musieli się spieszyć. Słońce chowało się za gęstniejące z wolna chmury i wkrótce zabrakłoby odpowiedniego światła. Powietrze stało się ciężkie, przytłaczające. Wiatr, który wiał od rana, nasilał się,

podrywał wirujący kurz, papierki po gumie do żucia, a także suche liście jaworów, podobne do uciekających

żyłtek morskich, pędzące w porywach ulicą. Kamerzyści usiłowali zasłaniać obiektywy. Ofelia wyjęła z torebki

swoje spinki w kształcie pałeczek do jedzenia i upinała za ich pomocą włosy. Annette stała przy drzwiach

karawaningu i patrzyła na niebo, jakby koniecznie chciała zobaczyć pierwsze krople deszczu.

- Do roboty! - krzyknęła Julie. - Jeszcze jedno, ostatnie, dobre ujęcie.

Ludzie rozbiegli się na miejsca. Ktoś ich uciszył. Nastąpił klaps.

Zaczęły z szumem pracować kamery.

Było cudownie.

Słońce znalazło przerwę w zbierających się chmurach, światło unormowało się. Wiatr ustał. Summer szła

w radosnych podskokach, kołysząc ręką Vance'a. Podziwiała nowe ubrania, patrząc na swoje odbicie w

lustrzanych szybach, obok których przechodzili, i szebiotła, jak gdyby nie miała pojęcia, czym jest trema.

Vance uśmiechał się na jej widok, a ona dodawała blasku całej scenie. Była uosobieniem dziecka, które zostało

wyzwolone z obcisłej świątecznej sukienki i śliskich lakierków z paseczkiem zapinanym z boku na klamerkę.

Była uosobieniem kochającej córki i małej femme fatale, uosobieniem szczęścia i radości. Była wspaniała.

Kiedy ona i Vance doszli do końca ulicy, wszyscy zaczęli klaskać, a kilka osób odetchnęło z ulgą. A potem zaczął padać deszcz.

Nie był to mały deszczyk, którego krople padałyby stopniowo, ostrzegawczo. Wszystko zmieniło się w

jednej chwili. Przed sekundą wiał ciepły wiatr i słońce zachodziło za chmurę, a teraz nastąpił istny potop. Krople

były ciepłe i ogromne. Zmoczyły chodnik, spadając z pluskiem w kurz, mieszając się i spływając razem z nim.

Równocześnie zaczęła unosić się para, a stęchły zapach wilgoci wypełnił powietrze.

Summer, odczuwająca naturalną euforię wywołaną dobrze zagraną sceną, wybiegła z piskiem na ulicę i

zaczęła się kręcić jak fryga z rozkrzyżowanymi rękami i głową uniesioną tak, że deszcz padał jej na twarz. Julie

nie mogła się powstrzymać i uśmiechnęła się na widok jej radości, a potem pobiegła i schowała się pod jakąś

markizę. To było zaraźliwe. Sama była gotowa wybiec na deszcz i przyłączyć się do Summer.

W chwili gdy tak pomyślała, rozległ się przeraźliwy, zwierzęcy wrzask:

- Nie! Nie! Ty idiotko! Nie!

To krzyczała Annette, biegnąc od strony karawangu. Machała rękami, a jej stopy rozpryskiwały błoto i

wodę pokrywające już chodnik. Annette miała dziki wyraz oczu i otwarte usta. Włosy przylepiły jej się do

czaszki, a wiotkie bawełniane spodnie, zupełnie przemoczone, zwisały na chudej sylwetce jak pranie na sznurze.

Z twarzy Summer zniknął uśmiech. Dziewczynka zaczęła się cofać. Annette dopadła do niej. Chwyciła ją i

szarpnęła, przyciągając do siebie, a potem uderzyła córkę w twarz.

- Ty idiotko! Ja cię nauczę. Nie będziesz robiła z siebie widowiska! Nie wolno ci chorować, słyszysz? Nie

wolno ci! Bo jak zachorujesz, to kto zarobi na życie?

Annette potrząsała dziewczynką. Summer wyglądała przy niej jak szarpany wiatrem strach na wróble.

Dziewczynka usiłowała się wyrwać. Annette zaczęła ją bić. Przeklinała i wygrażała córce. Summer krzyczała,

blagając matkę, żeby przestała, i ze zręcznością płynącą z doświadczenia unikała ciosów, szarpiąc się na uwięzi i

starając się wyrwać.

Julie, przerażona okrucieństwem tego ataku i szaleństwem w głosie Annette, stała przez kilka chwil bez

ruchu. Potem jednak wybiegła na deszcz i przeskoczyła przez krawężnik na zagrodzoną ulicę. Chwyciła Annette

za ramię i potrząsnęła nią krzycząc, żeby przestała. Równocześnie z drugiej strony nadbiegł Rey, przeskakując

przez sznury, krzesła i skrzynie z narzędziami.

Bardzo szybko znalazł się przy nich. Wyrwał Annette z rąk Julie i przytrzymał jej ręce za plecami.

Summer upadła. Wylądowała na wznak na mokrym bruku. Popatrzyła na matkę, a potem jej twarz - całą

czerwoną, tylko z bladą obwódką wokół ust - zalały łzy. Zerwała się nagle na równe nogi i puściła się pędem,

jakby chciała prześcignąć burzę i wściekłość matki.

Julie spojrzała na Reya. Jego twarz przypominała maskę, na której malował się wyraz obrzydzenia. Czuł

wstręt do kobiety, którą przytrzymał. Jego wzrok pobiegł za Summer. Julie obróciła się na pięcie i puściła się

w pogoń za dziewczynką.

Złapała ją za ostatnim karawanikiem i za ciężarówką z generatorem, na skraju jezdni, którą pędziły samochody, rozpryskując wodę. Bez słowa przyciągnęła dziewczynkę do siebie, mocno ją obejmując. Przez

dłuższą chwilę napięte ciało Summer stawiało opór, a potem dziewczynka rozplakała się. Tuliła się do Julie,

chowając głowę na jej piersi, wstrząsana szlochem. Julie głaskała ją po głowie, mruczając coś uspokajającego,

osłaniając ją własnym ciałem przed ulewą. Tuliła ją tak, dopóki obok nich nie zatrzymał się dżip i dopóki Rey

nie wychylił się z niego, popędzając je, żeby wsiadły.

- Wiesz, co się mówi, prawda? - spytała Madelyn.

Piłowała sobie paznokcie, podczas gdy świeżo nalany szampan musował w kieliszku stojącym obok jej

łokcia. Mówiła dość głośno, bo deszcz bębniący o metalowy dach klubu jachtowego i gwar głosów członków

ekipy, siedzących naokoło jak w klubie studenckim, grających w karty, czytających książki albo po prostu

chwalących się własnymi osiągnięciami, zagłuszały wszystko. Ekipa skończyła pracę nad zdjęciami bagien

podczas deszczu, mającymi się przydać w scenie, w której Madelyn szukająca obozowiska Jean-Pierre'a kąpie

się w błocie.

- Tak, wiem - odpowiedziała Julie.

- Mówi się, że ten film jest pechowy - ciągnęła aktorka, jakby nie słysząc odpowiedzi Julie. - Najpierw

śmierć kaskadera, później ten wypadek z Summer, a teraz znowu Annette w szpitalu na "obserwacji", chociaż

dobrze wiemy, że przekroczyła dawkę kokainy i alkoholu i dlatego wpadła w szał. W każdym razie ta sprawa z

Annette to ostatnia kropla. Wszyscy mówią, że będzie katastrofa, chyba że stanie się coś, co odwróci złą passę.

- A czy ci wszyscy mają jakiś pomysł? - spytała Julie ironicznie.

- Czy potrafia znaleźć jakąś radę?

- Tą radą jest Bull - padła obcesowa odpowiedź. - Wszyscy uważają, że on może wszystko zmienić.

- To wzruszające słyszeć, jakim darzą mnie zaufaniem. Madelyn podciągnęła czarny, narzucony na ramiona

sweter, który zsunął się jej z jedwabnej czarnej bluzki.

- No cóż, taki już jest showbiznes: lojalność do końca, albo do chwili gdy następuje katastrofa. Ale tak

poważnie - czy to nie zostało zaplanowane w górze? No bo po co on by tu przyjeżdżał? - Z wizytą.

- No tak, oczywiście. A ty masz w zanadru jakieś wspaniałe pomysły, które chcesz sprzedać.

- Ja ... myślałam o zasięgnięciu jego opinii w kilku sprawach.

- Wiedziałam! Mnie nie można oszukać, Dość długo żyję w tym środowisku i mam do czynienia z tymi

ludźmi w różnych sytuacjach, nie wyłączając łóżka i stołu konferencyjnego. Wiem, że góra zaczyna się

denerwować, kiedy coś jest nie tak. I zwykle zaczyna od tego, że chce zmienić gwiazdę albo reżysera. Szczerze

mówiąc, kochanie, wolałabym, żebyś to ty odeszła.

Julie uśmiechnęła się w duchu na myśl, że Madelyn uważa, że to ona oczywiście jest tu gwiazdą.

Aktorka na pewno nie byłaby zadowolona, gdyby ktoś jej powiedział, że tylko staż pracy daje jej tytuł do

uzurpowania sobie prawa do tej pozycji.

- Jak się ma Summer? :... pytała dalej Madelyn.

- Dobrze. Świetnie się rozumieją z ciotką Tine. Piekły razem piernik. Mam nadzieję, że jutro rano

siniaki na

jej twarzy zbledną do tego stopnia, że będzie je można przykryć makijażem.

- To miłe ze strony tej staruszki, że wzięła ją do siebie na czas pobytu Annette na odtruwaniu.

- To był pomysł Reya.

- Ale ona nie musiała się na to zgodzić - zauważyła Madelyn.

- Po krótkiej przerwie dodała: - Może nie powinnam o tym mówić, ale nie byłabym zdziwiona, gdyby się

okazało, że to Vance dał Annette to, co ją doprowadziło do takiego stanu. On sam też ostatnio był niewyraźny.

No i między nimi coś było, spotykali się rano przez parę dni, dopóki nie pojawiła się ta dziennikarka. Annette

jest o parę lat starsza od niego, ale jakie to ma znaczenie, prawda? On zaczął oglądać się za inną, a dla niej to był

cios.

Julie kiwnęła głową ze zrozumieniem. Sama miała podobne podejrzenia.

- Czy nie sądzisz, że ona mogła celowo przedawkować? - spytała.

- Trudno to stwierdzić. Możliwe, że brała coraz więcej, bo czuła się zraniona. Ale żeby wydawać

pieniędzy na środek przeciwbólowy? Te miliardy dolarów, które na to idą, na to, żeby ludzie mogli się

oszałamiać ... Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze. Pomyśl, ile za to można by było kupić ubrań i

biżuterii, samochodów i domów! Nic dziwnego, że ludzie handlują narkotykami,

skoro można na tym tak łatwo robić pieniądze...

- Jeżeli zniknie popyt, zniknie też podaż, a także ci, którzy towaru dostarczają - rzekła Julie jak gdyby do

siebie.

- Co takiego?

- Nic. Powtórzyłam tylko to, co ktoś kiedyś powiedział.

Madelyn patrzyła na nią przez chwilę, a potem, wzruszając ramionami, odłożyła pilnik.

- Wiesz, myślałam o starym, drogim Bullu. Może powinnam z nim porozmawiać, przypomnieć mu nasze

dawne czasy. To by mogło mieć dobry wpływ na parę następnych scen filmu. Co ty na to?

- Wątpię, naprawdę wątpię - odparła Julie szczerze.

- Ach, kto nie ryzykuje, ten nic nie ma.

Madelyn wstała z krzesła i ruszyła do drzwi. Jej bransoletki dzwoniły, gdy przyglądała sobie włosy i

obciągała sweter, obcasy stukały na twardej podłodze, a jedwabna czarna spódnica furkotała wokół kolan. Julie

popatrzyła na nią z odrobiną współczucia. Zastanawiała się, czy Madelyn zdaje sobie sprawę, że jej zamiłowanie

do ubiorów, biżuterii i innych pięknych rzeczy jest swego rodzaju uzależnieniem. Pomyślała, co by było, gdyby

ona w wieku lat czterdziestu była uważana za skończoną, gdyby musiała chodzić na paluszkach wokół różnych

szyszek albo przymilać się do mężczyzn takich jak Bull, by dostać rolę. Nie byłaby dobrą aktorką, nie miała

dostatecznego hartu ducha potrzebnego do tego zawodu.

- Myślałem, że nigdy się nie odczepi.

To był Stan, który kuśtykając podszedł i usiadł na krześle zajmowanym przed chwilą przez Madelyn.

Trzymał plastikowy kubek z kawą, wielkości wazonu, a w pożółkłych palcach miał jak zwykle papierosa.

- Madelyn jest w porządku - powiedziała Julie z uśmiechem.

- Oczywiście, ale nie chciałem mówić przy niej. Ani przy nikim innym, jeżeli już o to chodzi.

- Może wyjdziemy na zewnątrz? Tutaj jest jak w palarni. Przeszli przez salę, opuścili ją i stanęli pod metalowym daszkiem osłaniającym wejście. Powietrze, które owionęło im twarze, było świeże i

wilgotne.

Deszcz przypominał grube warstwy szarej draperii falującej na wietrze. Bębnienie kropel o daszek było głośne,

jednak hałas ten nie był aż takim hurgotem, jaki dawał się słyszeć wewnątrz, w zamkniętej przestrzeni. Julie

oparła się o ścianę i czekała.

- Czy ja dobrze słyszałem? Czy Bull rzeczywiście się do nas przyłącza? - spytał Stan, gwałtownie wyrzucając

z siebie słowa. - Chyba tak, chociaż jeszcze o tym nie powiedziałam ani jemu, ani nikomu innemu.

- Więc nie rób tego.

- Co takiego?

- Słyszałaś. Nie rób tego. Jeżeli to zrobisz, ja się stąd zabieram.

- Dlaczego?

- Wiesz dlaczego. Nie lubię Bulla. Nigdy go nie lubiłem. I nie będę z nim pracował. - Jego twarz była ponura.

Stan naprawdę myślał tak, jak mówił. Julie poczuła, że ogarnia ją zmęczenie. Musiała złączyć kolana, żeby się

pod nią nie ugięły.

- Pracujesz już przy tym filmie tak długo - powiedziała spokojnie - i tak mało zostało do zrobienia. Dlaczego

nie zaciśniesz zębów i nie zostaniesz?

- Nie mogę. Moja skóra może nie jest wiele warta, ale ja ją cenię.

Fakt, że postawił takie ultimatum i że nie chciał nawet rozważyć tego, co mu powiedziała, wzbudził w

niej gniew. Tego już było za wiele, miała przecież inne problemy, a ten okazał się kroplą przepełniającą czarę•

- O czym ty mówisz? Czy wolno mi wiedzieć? Bo jeżeli nie, to przyjmij do wiadomości, że nie rozumiem.

- Tu chodzi o coś; co jest między mną a Bullem, o coś z zamierzchłej przeszłości. Jeżeli chcesz wiedzieć, o co

chodzi, to zapytaj jego. Zapytaj go wtedy, kiedy już będzie gdzie indziej, a nie tutaj.

- Ja nie chcę pytać Bulla. Chcę, żebyś ty mi to powiedział, bez owijania w bawełnę. O co chodzi?

Milczał, przygryzając wewnątrz dolnej wargi i patrząc na deszcz.

Oczy, wokół których miał czerwone obwódki, latały mu, jakby szukał drogi ucieczki.

- No więc? - spytała Julie.

Nie powiedział nic, spojrzał tylko na nią, potem odwrócił wzrok, a jego dłonie zwinęły się w pięści.

- No dobrze - odezwała się Julie - nie musisz nic wyjaśniać.

Ale nie możesz się spodziewać, że powiem Bullowi, by się wynosił, bo ty tak kazałeś.

Wydał wargi wzdychając, a potem zwilżył je językiem. Jednak kiedy Julie odepchnęła się od ściany i odwróciła się, żeby wejść do środka, powiedział:

- To dotyczy twojej matki.

Julie nie potrafiła określić, czego się spodziewała, była jednak pewna, że nie tego. Odwróciła się sztywno, jakby była maszyną poruszaną zardzewiałym mechanizmem.

- Co moja matka mogła mieć z tym wspólnego?

- Miała romans. Ze mną.

Julie nic nie powiedziała. Nie mogła wydobyć z siebie słowa.

Usiłowała wyobrazić sobie matkę - tę wrażliwą kobietę kochającą kwiaty, antyki i stare domy, kobietę z

tym subtelnym poczuciem humoru - zaplątaną w romans ze Stanem, spotykającą się z nim potajemnie; usiłowała

wyobrazić ich sobie razem, spoconych, w uścisku. Usiłowała i nie mogła.

- Nie bądź taka zdumiona. Kiedyś byłem inny. Wszyscy byliśmy inni.

- Jak to było? - spytała Julie ledwie wydobywając z siebie głos.

- Bull uganiał się jak zwykle za gwiazdą grającą w jego filmie, pretensjonalną blondyną. Ja byłem

głównym

kaskaderem w tym filmie. Bull posłał mnie, żebym zabrał twoją matkę na jakieś przyjęcie, a sam został na noc z

blondyną. Twoja matka była piękną kobietą, ty jesteś bardzo do niej podobna. Zakochałem się w niej od

pierwszego wejrzenia i później zacząłem ją odwiedzać. Twoja matka dowiedziała się o blondynie i postanowiła

odegrać się na Bullu. Chciała zadać mu jak największy ból. Ja byłem pod ręką. I to wszystko, naprawdę, chociaż

ona wiedziała, co do niej czuję. Uważałem, że i tak miałem szczęście.

- No dobrze, mieliście romans. Ale nie widzę powodu...

- To nie wszystko. Twoja matka nie umiała dochować tajemnicy. Zresztą nie wiem, czy chciała, żeby to było

tajemnicą. Bull się dowiedział. Kilka dni później wyjechał w teren kręcić western. Ja też pojechałem. Bull dał mi

zadanie kaskaderskie. Miałem skoczyć z wozu wiozącego dynamit dla kopalni złota. Wóz miał spaść ze skały i

ekspłodować przy uderzeniu. Powiedziałem mu, że to zbyt niebezpieczne, ale on się upierał, że to będzie świetna

scena. Dynamit eksplodował za wcześnie. Skoczyłem i dlatego jestem teraz kulawy. Ale miałem szczęście, nie

zginąłem.

Julie patrzyła na Stana, nie poruszając się.

- Więc więc twierdzisz, że Bull wiedział o twoim romansie z matką i dlatego celowo naraził cię na to

niebezpieczeństwo?

- Tak to mniej więcej wygląda.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Uwierz w to, bo on to naprawdę zrobił. Muszę jednak przyznać, że był wtedy wyprowadzony z

równowagi.

Bo widzisz, twoja matka nie chciała mu powiedzieć, czy dziecko, które nosi, jest moje czy jego.

- A powiedziała tobie?

Nawet w jej własnych uszach pytanie to zabrzmiało bardzo cicho. Dobrze, że ściana, o którą się opierała,

była mocna, bo Julie poczuła, że same nogi nie są w stanie jej utrzymać.

- Powiedziała mi, że jesteś Bulla. Ale ja mimo to zastanawiałem się, czy to prawda.

- Dlaczego?

- Twoja matka była kobietą niezwykłą. Myślę, że nie chciała, żebym czuł się zobowiązany. Po wypadku z

wozem odeszła od Bulla. Odeszła od niego z powodu tego wypadku i wróciła tutaj, do Luizjany. Mówiła, że nie

mogłaby żyć z człowiekiem, który jest prawie mordercą.

Samochód Julie jechał nocą wzdłuż ciemnej, podwójnej wstęgi autostrady międzystanowej nr 10.

Większość samochodów jadących jeden za drugim autostradą między Nowym Orleanem a stolicą stanu, Baton

Rouge, mijala ją tak, jakby stała w miejscu. Reflektory przedzierały się przez deszcz, a tylne światła zamazywały tworząc czerwone smugi.

Julie nie spieszyło się zbyt do miejsca, do którego zmierzała.

Ogarnęły ją dawno zapomniane myśli samobójcze. Jednostajnie cykające wycieraczki nie były w stanie

oczyścić przedniej szyby. Na wpół zahipnotyzowana ich monotonnym dźwiękiem, Julie patrzyła prosto przed

siebie, starając się zachować przytomność umysłu i równocześnie nie będąc w stanie powstrzymać nieustannego

przepływu myśli.

Nigdy nie była wysokiego mniemania o Bullu jako ojcu. Dlatego między innymi zawsze zwracała się do

niego po imieniu. Uważała, że nie zasługuje na "tatę" czy "tatusia", bo wtedy gdy powinien był na to

zpracować, nie było go przy niej. Wtedy, w dzieciństwie, nie godziła się z tym, że go nie ma, nie godziła się z

tym, że na urodziny i na Boże Narodzenie przysyłał tylko prezent albo liścik z pieniędzmi. Czasami nienawidziła

go za to, że opuścił ją i matkę, i nigdy nie kwestionowała swojego prawa do tej nienawiści. Czytała w gazetach i

magazynach ilustrowanych o jego wspaniałym życiu w Hollywood, Nowym Jorku i Europie, gdzie robił filmy, i

często ciskała te pisma na podłogę z pogardą i wściekłością nastolatki. Kiedy żyła matka, obie były wrogo

nastawione do świata i, w pewnym stopniu, do mężczyzn, zwłaszcza takich jak jej ojciec.

Później, kiedy matka zmarła, zaproszenie Bulla do Los Angeles zaskoczyło Julie. Z drugiej strony

wydawało jej się, że po latach opuszczenia należy jej się to. Uważała za rzecz oczywistą, że ojciec powinien ją

ubierać, dawać pieniądze na naukę i samochód, finansować pierwsze próby filmowe. Równocześnie nie chciała

przyznać, że ma prawo do jakiegokolwiek władzy nad nią, że ma prawo wtrącać się do tego, co robi. Nic więc

dziwnego, że nie było im łatwo mieszkać razem przez te kilka lat i że się w końcu rozstali.

Historia, którą opowiedział Stan, zmieniała wszystko. Jeżeli Bull nie miał pewności, czy jest jego córką,

to cudem było, że kiedykolwiek pamiętał o jej urodzinach albo myślał o niej przy okazji świąt. To, że ją zaprosił,

by z nim mieszkała, było zdumiewające. Cudem też było to, że nigdy, nawet w największym gniewie, nie

wspomniał, że być może Julie nie jest z jego krwi i kości. Teraz ich związek wymagał ponownego przemyślenia.

Postanowiła natychmiast powiedzieć Bullowi, że może z nią pracować. Nie mogła mu tego odmówić.

Z drugiej jednak strony ...

Bull co prawda doznał krzywdy, nie był jednak niewinny. Próbował pozbawić Stana życia, albo co

najmniej naraził go na niebezpieczeństwo, mając nadzieję, że Stan - podobnie jak mąż Batszeby wysłany na

bitwę przez Dawida - nie przeżyje.

Tylko czy Jak było naprawdę? Na potwierdzenie tego Julie miała jedynie słowo Stana, a Stan nie był

obiektywny. Kochał jej matkę, ale został wykorzystany i odrzucony. Mógł się czuć rozgoryczony i gniew

skierował przeciwko Bullowi.

Julie uważała, że musi o tym wszystkim porozmawiać z ojcem.

Nie było wyjścia. Tyle dla niej zrobił. Musiała dać mu szansę wytłumaczenia się.

Ale jeśli on się przyzna, że było tak, jak mówi Stan? W jaki sposób dokona wyboru między Stanem a

Bullem, między dwoma mężczyznami, którzy kochali jej matkę i z których każdy mógł być jej ojcem?

Zamajaczył przed nią zielono-biały drogowskaz, wskazujący zjazd na Gonzales. Julie wyrzuciła kierunkowskaz. Po kilku minutach skręcała już na podjazd motelu i okrążała budynek z czerwonej cegły, u

którego stóp rosły mokre od deszczu jałowce. Zajechała na parking. Siedziała przez chwilę w samochodzie,

robiąc dla uspokojenia kilka wdechów i wydechów, a potem wyłączyła silnik i reflektory i wysiadła.

Musiała przebiec odległość dzielącą ją od rzędu oświetlonych' drzwi, bo nie pomyślała o tym, żeby wziąć

ze sobą parasolkę. Strząsając krople z włosów i ramion, ocierając twarz dłonią, dwa razy sprawdziła numer na

drzwiach, a potem podniosła rękę i zapukała.

Drzwi otworzył Bull z gazetą w ręce. Patrzył przez parę wąskich szkieł w złotych druczianych oprawkach,

które zsunęły mu się na sam czubek nosa. Kiedy zobaczył Julie, zerwał okulary i odrzucił gazetę, a potem

otworzył szeroko drzwi.

- Wchodź, dziewczyno, wchodź, bo się utopisz! Co, do diabła, robisz poza domem w taką noc? Jadłaś

kolację? Zamówię ci pizzę albo coś innego. Nie, nie sprzeczasz się ze mną, do cholery. Dlaczego ty zawsze

dyskutujesz? - Podeszedł do telefonu. Wykręcając numer opadł na ogromne łożo. - Napij się piwa, dobrze ci to

zrobi - powiedział przez ramię. Mam tylko Coors. Było trochę ciemnego niemieckiego w karawaningu, ale

Ofelia je zwędziła, przenosząc się do Vance'a. Nie musiała tego robić. Ja bym się z nią podzielił i piwem, i

karawanikiem.

Kiedy zamówił już to, co chciał, odwrócił się i zobaczył, że Julie nalewa sobie małą szklaneczkę Jacka

Danielsa. Odłożył słuchawkę i powiedział:

- Nie wiedziałem, że pijesz to świństwo.

- Zwykle tego nie robię.

- I dobrze, bo to wyżera człowiekowi wątrobę. A dlaczego teraz to robisz?

Julie nie mogła sobie wymarzyć lepszego zagajenia rozmowy.

Powiedziała dlaczego.

- Boże - jęknął Bull, kiedy skończyła. - Popatrzył na nią z łóżka, na którym wciąż siedział. A potem nagle

wstał i podszedł do tacy z drinkami. Nalał sobie dużego Jacka Daniel'sa. Wychyliwszy sporą jego porcję,

odezwał się znowu: - Boże drogi.

- Ja zareagowałam prawie tak samo - powiedziała Julie.

- Nie mogę uwierzyć, że Stan ci to wszystko powiedział. Po latach milczenia. Nie mogę uwierzyć, że powiedział ci takie rzeczy o twojej matce, bo on ją uwielbiał.

- Miał swój powód. Bał się, że ty zaczniesz pracę przy filmie, że będziesz znów jego szefem.

Bull mruknął coś, a potem roześmiał się tubalnie.

- Idiota. Powinien się być zorientować przed laty, że gdybym chciał go zabić, to wziąłbym pistolet i strzeliłbym mu w łeb. Po co miałbym zawracać sobie głowę i czekać, aż zdarzy się wypadek w trakcie kręcenia

sceny z jego udziałem? To nie dawałoby mi pewności.

- To znaczy, że nie próbowałeś go zabić?

- Do diabła, oczywiście, że nie. Ta myśl przyszła mi do głowy, to prawda. Ale kiedy twoja matka powiedziała

mi, co zrobiła i dlaczego, wiedziałem, kto jest temu, winien.

- Ona?

Bull pokręcił głową i pociągnął kolejny łyk.

- Nie, ja.

- Ale według Stana matka rzuciła cię, bo usiłowałaś go zabić.

- Rozmawialiśmy na ten temat. Powiedziałem jej, tak jak teraz mówię tobie, że tego nie zrobiłem. Może ona

mi nie uwierzyła, nie wiem. Zawsze myślałem, że mnie opuściła, bo miała mnie dosyć. Mnie i tego, co robiłem

w Los Angeles; miała dosyć tego wszystkiego. W Los Angeles czuła się zawsze nie u siebie, tęskniła za

Luizjaną, za rodziną, za wiejskim życiem, za życiem tam, gdzie wszyscy znali ją i gdzie ona знаła wszystkich.

- Tak, to możliwe - zgodziła się Julie, gdyż Bull patrzył na nią tak, jakby się spodziewał, że coś powie.

- Ja tylko jednego nie rozumiem: dlaczego nie wyszła za Stana.

Skoro była taka pewna, że to z jej powodu został kaleką. Zresztą to w jej stylu, uznała widocznie, że zasłużył na taką nagrodę.

- Prawdopodobnie przypuszczała, że on oświadcza się jej z litości, i nie chciała, by Czuł się zobowiązany do

utrzymywania jej i mnie, tak przynajmniej uważa Stan. Pamiętam zresztą, że kiedy byłam małą, sama ją

pytałam, dlaczego nie wyszła ponownie za męża. Odpowiadała zawsze, że jedno małżeństwo jej wystarczy.

- To cała ona.

Julie, patrząc na Bulla ruszającego szklanką w taki sposób, że trunek w niej wirował, pomyślała, że

trudno jest poznać innych ludzi, nawet najbliższych, a może zwłaszcza najbliższych. Nigdy by się nie domyśliła,

że Bull i matka tworzyli wraz z kimś trzecim niebezpieczny trójkąt miłosny. Nie wyglądali na takich. Nie mieli

nie spełnionych marzeń, nie było w nich skrywanych namiętności ani też żadnego tragizmu, jaki zwykle

towarzyszy podobnym sytuacjom.

Jeżeli wierzyć Bullowi, ta zdrada była czymś przyziemnym i raczej smutnym.

Przyniesiono pizzę. Była niezła, ciepła, posypana serem. Jedząc Julie uświadomiła sobie, jaka jest głodna, jaką pustkę i chłód odczuwała od czasu rozmowy ze Stanem. Równocześnie zdała sobie sprawę, że

wierzy Bullowi. Nie była pewna, czy dlatego, że to, co mówił Bull, było bardzo logiczne, czy też dlatego, że ma

wewnętrzną potrzebę uwierzenia mu. W każdym razie miała wielką ochotę uznać cały ten rozegrany dawno

temu epizod za nieporozumienie.

- Pomyślałam - zaczęła, kiedy skończyła drugi kawałek pizzy i sięgnęła po następny - że mogłabym zakończyć zdjęcia o tydzień wcześniej albo nawet jeszcze szybciej. Sceny, które pozostały jeszcze do zrobienia,

miały tworzyć atmosferę, charakteryzować bliżej postacie. Nie są jednak potrzebne do pokazania przebiegu

akcji.

Bull pociągnął piwa z puszki, którą właśnie otworzył.

- Dlaczego chcesz wprowadzić zmianę?

- Powiedziałam ci - odparła, nie patrząc na niego. - Kręcąc te sceny, zwiększę tylko koszty, nie wnosząc nic

konkretnego.

- Co ty mówisz? Zacznieś eliminować sceny i zepsujesz film.

Ten film przestanie być taki, jaki sobie zaplanowałam. A poza tym zbuntują ci się aktorzy. Madelyn już tu

była i obiecywała mi Bóg wie co, jeżeli dodam jej parę kwestii i kilka stóp taśmy. Jeżeli coś wytniesz, będzie się

darła tak głośno, że usłyszą ją na granicy Teksasu z Nowym Meksykiem. Mówię poważnie, ona potrafi być

złośliwa.

- Nie ma na to rady.

- Mylisz się. Musisz trzymać się tego, co zaplanowałaś. Uważałaś, że te sceny są potrzebne, więc dlaczego

teraz chcesz je wyrzucić? A może straciłaś odwagę?

- Odwagę? O czym ty mówisz?

- O dwóch rzeczach. Albo straciłaś wiarę we własną wizję albo ... po prostu się boisz.

- Dobrze, boję się. Zadowolony jesteś? Usiadł wygodniej na krześle.

- Boisz się? Czego? Czy wiesz, czego się boisz?

- Tak, wiem! - krzyknęła. - Boję się, że ktoś jeszcze zginie na planie. Boję się też, że ktoś zostanie ranny albo

okaleczony, albo zwariuje na moich oczach. Boję się, że ktoś mi zabierze ten film. Boję się też, że przekroczę

budżet i potem będę mogła kręcić tylko reklamówki. Obawiam się wreszcie, że ktoś na mnie czyha, usiłuje

doprowadzić do tego, żeby mi się nie udało ...

- Co? - zapytał Bull tak głośno, że zdołał ją przekrzyczeć. Julie odstawiła pizzę i oparła łokieć na stole, a

głowę na dłoni. - Słyszałeś.

- No tak, słyszałem. Ale w to nie wierzę.

- Ja też czasami w to nie wierzę - odparła, prostując się i patrząc na niego z wściekłością - ale rozsądek

powinien ci podpowiedzieć, że dzieje się bardzo źle. Jeżeli to nie są działania kogoś, kto chce się na mnie

zemścić, to zupełnie nie wiem, jak to wszystko wytłumaczyć.

- Powiedziałaś o tym Allenowi?

- Nie mówiłam o tym nikomu.

- Aha.

- Nie chcę się ośmieszyć - mruknęła, unikając wzroku Bulla.

Wziął ją za rękę.

- Ale nie masz nic przeciwko temu, żeby się ośmieszyć przede mną?

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Ty jesteś Bull, ty ...

Nagle przypomniała sobie. Uśmiech zniknął z jej twarzy. Spojrzała w dół, na jego dużą dłoń leżącą na jej

dłoni, przyjrzała się długim palcom, porastającym je włoskom, kształtowi paznokci.

- O co chodzi? I

- Sjan mówił ... mówił, że matka powiedziała mu, że ja jestem twoją córką.

- Oczywiście, że jesteś. A czyja miałabyś być? Jego ton był ciepły, trochę pobłażliwy.

- W każdym razie nie jego.

- Ach, o to chodzi. Zapewniam cię, Julie, twoja matka nie była święta, ale nigdy nie umiała kłamać. Nie

chciała mi powiedzieć, czyje nosi dziecko, ale nie powiedziała też, że to dziecko nie jest moje. Rozważyłem,

jakie było prawdopodobieństwo ... wiesz, tu było zaledwie parę nocy, a tu wszystkie dni i noce wypełnione

młotnością. Nigdy nie miałem poważniejszych wątpliwości.

Julie roześmiała się. Nie mogła się powstrzymać. To był cały Bull- człowiek ogromnie praktyczny i nie

lada egoista. Uświadomiła też sobie, że mówiąc to kierował się życzliwością, W jej oczach zabłyśły łzy. Kiedy

popłynęły po jej policzkach, otarła je wierzchem dłoni.

- No, no, tylko nie to - powiedział Bull zmieszany.

- Nie, nie będę, ale wiesz co? Doceniłam cię o wiele bardziej, kiedy uświadomiłam sobie, że płaciłeś za moją

szkołę i nauczyłeś mnie swojego fachu myśląc, że może jestem dzieckiem innego mężczyzny.

- O, cholera! - Wprostował się na krześle. Julie uśmiechnęła się przez łzy.

- No wiesz, musiałam się nad tym zastanawiać. Stan przecież przyjeżdżał i widywał mnie. A ty nigdy tego nie robiłeś.

Bull popatrzył na puszkę z piwem, którą trzymał w ręce.

- Myślałem o tym często, ale wiedziałem, że twoja matka nie chce, żebym przyjeżdżał i wyprowadzał was z

równowagi. Poza tym łatwiej było nie jechać wcale niż pojechać tam, zobaczyć cię i zaraz się wynosić. Jednak

zawsze posyłałem alimenty.

Julie uświadomiła sobie, że Bull uważa to za powód do dumy i za coś w rodzaju pocieszenia.

- Rzeczywiście, robiłeś to - przytaknęła miękko.

Chciała mu w tym momencie powiedzieć, że dopuści go do współpracy. Jednak powstrzymała się, przypomniawszy sobie o kokainie znalezionej w karawaningu. Uznała, że musi z nim o tym porozmawiać, musi

się dowiedzieć, co to znaczy. Tyle że w tej chwili nie wydawało się to możliwe. Nie mogła się zmusić do

powiedzenia czegoś, co zburzyłoby istniejące między nimi serdeczne porozumienie, czegoś, co zakłóciłoby

atmosferę pełną miłości. Uznała, że trzeba jeszcze jeden dzień poczekać. Jeden dzień to nie tak długo.

Skończyli jeść pizzę i zbierali palcami ostatnie kawałeczki grzybów, kiełbasy i cebuli, kiedy Bull odchrząknął.

- Co zatem zrobisz ze Stanem? - zapytał.

- Nie wiem - odparła, wkładając sobie do ust kawałek kiełbasy z pepperoni i jedząc ją w zamyśleniu. - Chyba

spróbuję z nim porozmawiać. Powiem mu, co ty mi powiedziałaś.

- Pozwól, że ja z nim porozmawiam. Może już przyszedł na to czas.

Spojrzała na Bulla szeroko otwartymi oczami. - Jeżeli chcesz ...

- To nie powinno zaszkodzić. Jeżeli mnie się nie uda, wtedy ty możesz przejąć inicjatywę.

- Kiedy się z nim zobaczysz?

- Może jutro. Dziś już jest za późno. A poza tym muszę się zastanowić, co powiedzieć i jak się do tego

zabrać.

Wkrótce potem Julie wychodziła z motelu. Gdy była już w drzwiach, cofnęła się i objęła Bulla, ściskając

go zdecydowanym ruchem. On odwzajemnił uścisk, przytulił ją do siebie i niechętnie wypuścił z ramion.

Pocałowała go pospiesznie w policzek, uśmiechając się łagodnie, a potem odwróciła się i wybiegła na deszcz.

- Uważaj na siebie! - krzyknął za nią.

Zamknął drzwi dopiero wtedy, gdy była bezpieczna w samochodzie i wyjeżdżała z parkingu.

Następnego dnia wrócili do filmowania scen w mieście. Wczesnym rankiem kręcili sceny w sklepach z

ubraniami i butami, a pozostałą część dnia wykorzystali na scenę wesela. Na drugi dzień mieli kręcić scenę, w

której Madelyn i Vance czuwają nad Summer w szpitalu, po wypadku, do którego o mały włos naprawdę nie

doszło. Mieli też prawdopodobnie wziąć się za tę, w której Summer, grająca Alice, wychodzi z łóżka w szpitalu i

ucieka, a potem chowa się na bagnach, chcąc zmusić rodziców, żeby przestali się o nią kłócić i szukając jej

zaczęli współdziałać.

Julie nie była pewna, czy chce się już brać za tę scenę. Zastanawiała się nad nią jeszcze, zwłaszcza nad

szczęśliwym zakończeniem, będącym wynikiem starań Alice. Obserwując interakcje aktorów grających postacie

i widząc, jak niebezpieczne są bagna, doszła do wniosku, że takie zakończenie jest nierealistyczne.

Nie należała nigdy- do zwolenników poglądu, że szczęśliwe zakończenie jest automatycznie mniej wartościowe i ma mniejszą rangę artystyczną niż nieszczęśliwe. Podobała jej się myśl, że Alice powinna wziąć swój los we własne ręce, że powinna zrobić coś, co wymusi szczęśliwe zakończenie i doprowadzi ją do osiągnięcia upragnionego celu. A jednak Jean-Pierre i Dorothea nie mogli nagle się pogodzić i pokochać na nowo. Byłoby to sprzeczne z ich charakterami.

Julie doszła do wniosku, że może powinna wymyślić coś innego.

Tak, powinna to zrobić, i to szybko.

Po zdjęciach pojechała do swojego biura i tam przez parę godzin siedziała z Ofelią i Stanem nad rozkładem zajęć na następny dzień. Kiedy współpracownicy już sobie poszli, została sama. Siedziała przy biurku

i bazgroliła w żółtym notatniku. Rzuciła na papier różne pomysły, od rozwiązań wyświechtanych i schematycznych po wydumane. Stosowała grę wolnych skojarzeń, usiłując znaleźć coś nowego, co będzie

dobrym zakończeniem. Ale nie szło jej to.

Słyszała, jak parking się opróżnia, jak wyjeżdża samochód za samochodem, jak odjeżdżają ciężarówki.

Słyszała, jak oddaliła się ciężarówka dostarczająca żywność, ale pracowała dalej. Tego wieczoru ciotka Tine

grała w bingo, a Rey rano przy śniadaniu wspomniał coś o jakimś zebraniu dotyczącym interesów w Nowym

Orleanie. Nikt więc na nią w domu nie czekał.

W ostatnich dniach Rey często miewał takie zebrania. Widywała go rzadko. Z powodu deszczu nie mogli

kręcić żadnej z pozostałych dynamicznych scen, więc Rey Julie był potrzebny na planie. Julie wciąż nie mogła

zaakceptować jego drugiego życia, które wiódł w Nowym Orleanie. Dla niej od początku był tak

zdecydowanie

Szczurem Bagiennym, że wciąż na nowo musiała się przyzwyczajać do myśli, że jest nie tylko nim.

Jakieś dwie godziny później przyszedł jej do głowy pomysł na zakończenie filmu. Zapisała go tak

szybko, jak tylko potrafiła, dodała kilka ozdobników, a potem usiadła, uśmiechając się do siebie.

Zakończenie

było dobre, bardzo dobre.

Ależ nie, wcale nie było dobre.

Dorothea w wykonaniu Madelyn nie była typem kobiety, która pozwoliłaby, żeby sentymenty długo

rzędziły jej sercem. Znaleźć córkę na bagnach po jej ucieczce, a potem pozwolić Jean-Pierre'owi uratować

dziewczynkę - nie, to nie było do niej podobne.

Julie wyrwała kartki z notatnika, zwinęła je w kulkę i cisnęła do kosza na śmieci.

Była zmęczona. Oczy ją piekły, bolał kark i zeszywniała tak, że trudno jej było chodzić.

Wstała z krzesła i wzięła torbę. Idąc do drzwi, szukała kluczy.

Zamknęła biuro i przeszła do drzwi zewnętrznych, a potem zamknęła je na klucz. Zeszła powoli po

schodkach przyczepy, patrząc w górę na nocne niebo. Po raz pierwszy od paru dni było czyste. Zrobiło się też

chłodniej. Gwiazdy świeciły nisko, a zachodzący księżyc w pełni był pomarańczowy jak dynia.

Wynajęty Buick Julie stał zaparkowany koło ręcionej latarni na skraju parkingu, w miejscu najbardziej

oddalonym od bramy prowadzącej na drogę. Julie ruszyła w jego stronę; rozglądając się widziała wokół siebie

pustkę i miała coraz większą pewność, że wszędzie jest bardzo cicho. Ucieszyła się, kiedy zobaczyła wartownika

w metalowej budce o szerokich oknach. Siedział na krześle, bujając się na dwóch jego nogach, i czytał książkę

w kieszonkowym wydaniu.

Julie podchodziła do samochodu, kiedy dotarł do niej jakiś znajomy dźwięk. Zatrzymała się,

podnosząc

jeszcze raz głowę, patrząc w ciemne niebo i słuchając jednostajnego warkotu zbliżającego się samolotu. Słyszała

już ten dźwięk, podczas pierwszej nocy spędzonej w tej krainie bagien. Nie był to samolot pasażerski i nie był to

odrzutowiec. Był to samolot prywatny, najprawdopodobniej hydroplan.

Może to handlarze narkotyków?

A może to handlarze narkotyków mający coś wspólnego z jej ekipą?

Ta myśl przyszła jej do głowy już wcześniej, nawet zanim znalazła torebkę z kokainą. A co do tej

kokainy, to przecież nie przypadkiem znalazła się na terenie zajmowanym przez filmowców, nie przypadkiem

też w pobliżu następowały jakieś zrzuty. Takie skupisko filmowców było jak ożywione mrowisko - ciężarówki i

pół ciężarówki różnych rozmiarów przyjeżdżały tu o każdej porze, obracano tu również niemałą gotówką. Takie

skupisko stanowiło nie tylko nie lada kanał dla narkotyków, ale było też miejscem, w którym można pracować brudne

pieniądze.

Julie nie miała oczywiście dowodu na to, że ma rację.

Samolot był czarnym cieniem na oświetlonym księżycem niebie, cieniem z czerwonymi i zielonymi

mrugającymi światełkami. Brał właśnie zakręt daleko nad wierzchołkami drzew, leciał nisko i powoli. Zapaliły

się reflektory do lądowania. Mimo dużej odległości Julie zobaczyła, że zabłysły z przerażającą intensywnością.

Zalała ją fala różnorodnych uczuć: miała wątpliwości i była ciekawa, czuła gniew i strach. Przeważał jednak

gniew.

Nagle ruszyła biegiem do przyczepy, szukając równocześnie kluczy. Wbiegła po schodkach, otworzyła

drzwi i wpadła do biura Ofelii. Drzwi nie były zamknięte na klucz - Ofelia nigdy nie zawracała sobie głowy

takimi rzeczami. W środku, na tablicy, wisały klucze do łodzi i ciężarówek. Julie przejrzała je, zastano

się, czy nie wziąć kluczy do jednej z łodzi z kabinami, ale zrezygnowała z tego, gdyż łódź była zbyt duża i zbyt

głośna. Zauważyła przy tym, że na miejscu był tylko jeden komplet kluczy. Prawdopodobnie Stan miał ten

drugi. Opatrzony niebieską etykietką klucz do firmowej ciężarówki, którą zwykle jeździł, wisiał na haczyku, tak

jakby Stan był wciąż gdzieś w pobliżu. Dla jej celów lepszy był skif. Zerwała klucz z tablicy i wybiegła z

przyczepy, zatrzymując się tylko po to, żeby zamknąć na klucz zewnętrzne drzwi.

W doku była przycumowana jedna łódź z kabiną. Spychając na wodę skif leżący na brzegu, Julie tylko

rzuciła na nią okiem, a potem wskoczyła do skifu. Włączyła silnik i wyprowadziła skif z doku, a następnie

skierowała go dziobem w dół rzeki. Zauważyła, że wartownik nawet nie wyjrzał ze swojej budki. Julie pokręciła

głową, a potem spojrzała w górę, na nocne niebo.

Samolot zniknął, prawdopodobnie wylądował. Julie domyślała się gdzie. W pamięci miała kanał

widziany z powietrza i łódź z kabiną wpływającą do hangaru stojącego tuż obok kanału. Musiała się tam dostać

niepostrzeżenie.

Nagle rozległ się głośny plusk. Coś uderzyło o powierzchnię wody, posyłając fontannę kropel na

dwadzieścia stóp w górę. Julie odwróciła gwałtownie głowę. Serce podskoczyło jej w piersi i zaczęło walić.

A potem go zobaczyła. Aligator zsunął się z brzegu do wody i płynął w odległości jakichś sześciu stóp

od jej łodzi, jak gdyby ścigając się z nią. Julie, drżąc, odetchnęła głęboko, ścisnęła mocniej ster i

popatrzyła w

dół rzeki.

Rey siedział nieruchomo, a tymczasem chmara komarów tak małych, że nie można ich było dojrzeć w ciemności, tańczyła wokół jego głowy i żerowała na twarzy i karku. Powinien był mieć więcej rozumu i nie

wychodzić z domu bez środka przeciw komarom, no i nie zajmować miejsca pod niskim wiszącym konarem.

Niestety, ten konar był jedyną możliwą osłoną. Reyowi przyszło do głowy, że będzie miał szczęście, jeżeli za

koszulę nie wejdzie mu tarantula. Ale pomyślał też, że jeżeli wytrzyma jeszcze parę minut i samolot na kanale

zostanie rozładowany, będzie mógł wrócić do domu.

Deszcz przeszkodził w tej operacji. Wszystko szło wolniej i ciężar był potrójny, wskutek czego nie można było ładunku zrzucić, tylko trzeba było lądować. Takie rzeczy zdarzają się nawet najlepszym. Jednak

operacja była dobrze zaplanowana. Nie było zbędnego gadania, nikt nie hałasował.

Nagle dobiegł go warkot motorówki. Rey odwrócił głowę; znał ten dźwięk. Zaklął pod nosem, a potem,

kiedy silnik zamilkł, zaklął jeszcze bardziej siarczyście. Nieproszeni goście byli czymś niepożądanym, a goście

mało wiedzący o sprawie i działający chyłkiem mogli się stać przyczyną katastrofy, stanowili śmiertelne

zagrożenie.

Rey zrzucił z nóg sportowe buty i związał razem ich sznurowadła. Z butami zawieszonymi na szyi zsunął

się z pożyczonego skifu. Brodząc w wodzie, wyszedł na brzeg. Włożył buty i zniknął wśród pni cyprysów i palm

niskopiennych. Kiedy był już pewien, że go nie widać ani nie słychać, puścił się biegiem w stronę miejsca, z.

którego dobiegł warkot silnika.

Lekka łódź była bliżej, niż się spodziewał. Zamiast tkwić nieruchomo na rzece, skręcała właśnie w kanał.

Poruszała się dzięki małemu silnikowi do trolingu umieszczonemu z przodu. Rey zdumiał się, kiedy zobaczył,

kto nią płynie. Przez dłuższą chwilę stał z rękami na biodrach, wpatrując się w łódź, a potem odrzucił głowę do

tyłu, wznosił oczy ku niebu i wyszeptał:

- O Boże Święty!

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Zresztą nie spodziewał się jej. Pomyślał, że na to zasłużył. Tak czy inaczej była tylko jedna rzecz do zrobienia. Jeszcze raz zanurzył się w wodę.

Wypląnął na powierzchnię obok skifu. Zrobił to bezszelestnie.

Wyciągnął błyskawicznym ruchem obie ręce i położył je na burcie. Podciągał się stopniowo. Kiedy już

był na odpowiedniej wysokości, przerzucił cały ciężar ciała do wnętrza tak szybko, że chybotała łódka nie

zdążyła się zakołysać i przewrócić. Julie odwróciła się, a on w tej samej chwili wstał i schwycił ją od tyłu w

ramiona. Brakło mu tchu, kiedy oboje upadli na dno łodzi. Wydał z siebie krótki pomruk, któremu towarzyszyło

sapnięcie. Poczul, że odrywa mu się największy strup na ramieniu, poczul piekący ból. Mimo to zdołał

przygnieść nogą udo Julie i położyć jej rękę na ustach.

- Bądź cicho - wyszeptał jej do ucha z wściekłością - bo oboje zginiemy.

Julie zamarła w bezruchu. Czul szybkie podnoszenie się i opadanie jej piersi i ciężkie bicie serca. Jej

ciało było miękkie i giętkie, a włosy pachniały słodko. Przez głowę przeszła mu ulotna i mglista myśl, że bardzo

przyjemnie byłoby kochać się z nią na dnie dryfującej łodzi, pod gwiazdami. Jednak nie czas był na to, gdyż

Łódź obracała się, bo silnik pozostawiono samemu sobie.

Rey przesunął się, unosząc się na jednym łokciu. Poczul, że ramię ma mokre i obolałe. Nie mogło to poprawić mu humoru. - Puszczę cię teraz i zawrócimy. Będziemy płynąć tak szybko, jak to tylko możliwe bez

robienia hałasu. Kiwnij głową na znak, że się zgadzasz, bo inaczej ...

Miała tyle odwagi, że leżąc na plecach w unoszącej się na wodzie łodzi, podniosła pytająco brwi. I!"a

widok takiej nieustraszonej zuchwałości Rey omal się nie roześmiał. Żeby ukryć ochotę do śmiechu, powiedział

szorstko:

- Bo inaczej sprawdzę, jaki kawałek twojej bluzki nada się na knebel.

Julie skinęła nieznacznie głową; Rey wygrał.

- Dobrze - powiedział z ulgą.

Puścił ją; sięgając w przód, chwycił drążek steru. Ponieważ silnik i tak chodził przez cały czas, nie wyłączył go. Obrócił łódź i popłynął z powrotem w stronę rzeki. Kątem oka obserwował Julie, która usiadła na

dnie, a potem wycofała się na tylne siedzenie, jak najdalej od niego.

Poczul ukłucie żalu, ale zepchnął to w podświadomość. Zajmie się tym później, jeżeli, oczywiście, będzie to możliwe.

Na jej korzyść świadczyło to, że zaczęła mówić dopiero wtedy, kiedy byli już w pobliżu klubu

jachtowego i że nawet wtedy mówiła cicho, troszcząc się o to, żeby głos nie niósł się po wodzie. - Myślałam, że

jesteś w Nowym Orleanie - powiedziała.

- Nowy Orlean jest niedaleko. Skąd wiesz, że tam nie byłem? Może byłem i zdążyłem wrócić.

Usiłował zrobić na niej wrażenie, mówiąc tonem spokojnym i stanowczym. Nie odniosło to jednak skutku.

- Co robisz tak późno na bagnach?

- Łowię ryby.

- Akurat.

- Szczury bagienne tym się zajmują.

- Oszczędź mi tych kłamstw - rzekła i odwróciła głowę z obrzydzeniem.

Posłuchał jej.

Żadne z nich nie odezwało się aż do chwili, gdy zbliżyli się do doku i zobaczyli świecące nad wodą lampy rtęciowe. Dziwne różowawe światło odbijało się od powierzchni rzeki, oświetlało mchy kołyszące się na

drzewach i ślizgało się po białej farbie i chromowanych powierzchniach łodzi z kabiną, która unosiła się na

wodzie w pobliżu drewnianego chodniczka.

Oświetlało też ciało zwisające z tylnej części łodzi, tak, ciało zwisające twarzą w dół i kołyszące

bezwładnymi rękami, a także czerwoną moką smugę na białej burcie, sięgającą wody. Julie rozpoznała starego

kaskadera.

Wciągnęli ciało na tylny pokład, a Julie uklękła przy nim; starając się wyczuć puls. Rey powiedział jej

już, że to się na nic nie zda, ale musiała sprawdzić, musiała się upewnić. I nawet wtedy, kiedy trzymała

zwiotczającą rękę i patrzyła w woskową, pozbawioną życia twarz, wydawało jej się to niemożliwe.

Stan nie żył. Tak po prostu. Niedawno chodził, mówił, martwił się, miał nadzieję i coś czuł. A teraz nic.

Ten człowiek, o którym przez krótki czas myślała, że mógł być jej ojcem, ten człowiek po prostu nie żył.

Julie poczuła ucisk w gardle. Przełknęła ślinę. Łzy napłynęły jej do oczu i popłynęły po policzkach.

Usiłowała nie zwracać na nie uwagi, próbowała skupić się na czym innym.

Stana najwidoczniej ugodzono czymś ostrym, chociaż w pobliżu nie było śladów narzędzia zbrodni. Jak

dawno się to stało, miał stwierdzić lekarz sądowy. Mimo to Julie nie mogła się powstrzymać i zaczęła się

zastanawiać, czy Stan leżał tam wykrwawiając się, kiedy ona płynęła skifem. Zastanawiała się, czy nie mogłaby

go uratować, gdyby go zauważyła .

- No, no - powiedział Rey, kładąc jej rękę na ramieniu i ściskając je przez moment. - Powinniśmy zadzwonić

do biura szeryfa i skończyć z tym.

- Ty idź - odparła cicho. - Ja zostanę z nim.

- Nie.

Podniosła wzrok i zamrugła, żeby powstrzymać łzy. Była przestraszona bezkompromisowym tonem głosu Reya.

- Dobrze więc. Ja pójdę, a ty zostaniesz.

- Pójdziemy oboje. Na wszelki wypadek. Bo morderca może wciąż być gdzieś w pobliżu.

Julie już otworzyła usta, chcąc zaprotestować, ale zaraz zrezygnowała z tego zamiaru. W oddali, koło karawaningów, pojawiło się światło latarki, migoczące i ruchome. To wartownik pilnujący terenu robił obchód.

Przed chwilą Julie bała się zapytać, gdzie on jest, bała się, że i wartownik może nie żyć. Ale on miał przynajmniej broń.

- Myślę, że problem został rozwiązany - powiedziała.

Rey zadzwonił do biura szeryfa. Ponieważ nie było wątpliwości, że chodzi o zabójstwo, szeryf miał według wszelkiego prawdopodobieństwa zaalarmować policję stanową. Rey powiedział o tym Julie i dodał, iż

może się spodziewać, że śledztwo będzie tym razem o wiele dłuższe i bardziej wnikliwe niż to, które miało

miejsce w związku ze śmiercią Paula.

Dopiero teraz Julie przypomniała sobie o swoich obowiązkach. Zadzwoniła do Allena do Nowego Orleanu. A potem do Bulla.

Bull podniósł słuchawkę po piątym sygnale. Jego głos świadczył o tym, że jest zany i na wpół śpiący.

Obudził się jednak szybko.

- Boże drogi, jak to się stało?

Julie powiedziała mu to, co wiedziała. Kiedy Bull oświadczył, że zaraz do niej jedzie, i odłożył słuchawkę, nie ruszyła się z miejsca. Stała i przypominała sobie jego głos, usiłowała dociec, czy reakcja Bulla

była naturalna czy nie, czy ten głos nie był zbyt spokojny i rzeczowy, a odpowiedź zbyt szybka. Nienawidziła

siebie za te podejrzenia, jednak nic nie mogła poradzić na to, że przychodziły jej do głowy.

Nie wiedziała już, w co wierzyć.

Rey pojawił się na kanale jakby znikąd. Nie była w stanie wyobrazić sobie, jak dostał się do jej łodzi, ale

zbyt dobrze potrafiła sobie wyobrazić, co robił tam, na rzece. Jego brutalność, groźby - wszystko to

świadczyło

o tym, że wiedział o samolocie, który wylądował. Świadczyło też o tym, że jej domysły co do samolotu były

słuszne.

Nasuwało się pytanie: ile powinna ujawnić policji?

Stan nie żył i nie mogła zrobić nic, żeby go wskrzesić. Jeżeli powie władzom, że od lat był skłócony z jej

ojcem, Bull może zostać aresztowany. Jeżeli powie im, że zabójstwo ma coś wspólnego z tym, że ekipa

zamieszana jest w przemyt narkotyków, i z tym, że na bagnach wylądował ten samolot, produkcja filmu zostanie

przerwana na długie tygodnie. A to będzie miało katastrofalne skutki dla filmu i dla jej przyszłości.

Tak czy owak produkcja zostanie przerwana na dość długi czas - to nieuniknione. A ona, Julie, może się

spodziewać kolejnej wizyty Daviesa, księgowego z firmy ubezpieczeniowej, a także kolejnych gróźb, że odbiorą

jej film. Na tę myśl chciało jej się krzyczeć. Albo wyć jak zranionemu dziecku.

Jednak bez sensu było myśleć, że śmierć Stana miała być ciosem wymierzonym w nią. Nikt nie mógł być

przecież tak mściwy, tak pozbawiony litości, żeby zabijać człowieka po to, by jej dopiec.

Może się myliła. Może te wszystkie zdarzenia nie miały nic wspólnego z nią osobiście? Być może

wszystkie - od śmierci Paula Lisiety po śmierć Stana - miały coś wspólnego z narkotykami?

Było tyle możliwości, a równocześnie Julie nie miała pojęcia, która z tych możliwości jest realna. Jak

mogła się zdecydować, co mówić? Czy ma ochraniać ojca i próbować uratować film, nie ujawniając podejrzeń, i'

przyjmując na siebie ryzyko, czy też podać szeryfowi wszystkie szczegóły, które знаła i których się domyślała, i

ludzić się, że sprawy potoczą się pomyślnie? Miała około dziesięciu minut na podjęcie decyzji.

Rey podszedł do okna przyczepy, z której telefonowali, i wyrzwał. Zerknął w stronę mola dla łodzi.
Julie

popatrzyła na niego, zgnębiona ponurym milczeniem i napięciem, które między nimi panowało. Włosy Reya

były wciąż wilgotne, a mokra koszula i dzinsy przylepiały mu się do ciała. Na jego ramieniu widniała poszerzająca się plama czerwieni.

- Ty krwawisz - powiedziała przestraszona Julie.

Odwrócił się twarzą do niej, żeby ukryć czerwoną plamę. Równocześnie wzruszył lekko ramionami.

- To nic, to tylko oparzenie.

- Wejźmy do tamtego pomieszczenia i pozwól mi na to spojrzeć. Ofelia ma chyba apteczkę. - Poszła pierwsza. - Dziwnym trafem wszystko skupia się tutaj.

Rey patrzył, jak Julie wyjmuje foliowe opakowanie zawierające nasyczone alkoholem gaziki, a także kilka

prostokątów z gazy i szpulkę nylonowego plastra.

- Przypuszczam, że pracowałaś dziś wieczorem.

Kiwnęła głową, a potem zrobiła krok w jego stronę, rozdzierając folię. Odwrócił się posłusznie. Siedział

na krawędzi biurka Ofelii, tak żeby Julie mogła łatwiej dostać się do jego ramienia. Skrzywił się, kiedy dotknęła

gazikiem świeżo otwartej rany.

- Przepraszam - powiedziała cicho.

Nie poruszył się ponownie, prawie nie zauważał tego, co robi Julie, i mówił dalej:

- Czy nie zwróciłaś uwagi na nic niezwykłego? Nie widziałaś kogoś obcego?

- Nie. Ale przecież zawsze kręci się tu tylu ludzi. A poza tym, kiedy siedzę przy biurku, zwykle nic nie

zauważam.

- O ile wiesz, wszyscy opuścili to miejsce o mniej więcej normalnej porze?

- Wszyscy z wyjątkiem Stana - powiedziała, ścierając krew z pleców Reya i przypominając sobie krew na

burcie łodzi; wstrząsnął nią konwulsyjny dreszcz.

Wrzuciła gazik do śmietnika i wzięła następny.

- Widziałam jego klucz na tablicy ... kiedy brałam klucz do łodzi.

- Niczyjego więcej klucza nie było?

- Nie sądzę, chociaż nie tak łatwo to stwierdzić. Parę ciężarówek zawsze zostaje tu na noc. To zależy od tego,

co ma się dziać następnego dnia, od tego, kto pracuje do późna i potrzebuje, żeby go podwieźć.

- Ale ty nie rozpoznałaś niczyjego klucza?

Pokręciła głową. Rana była już oczyszczona. Julie wzięła prostokąt gazy, rozpostarła go w miejscu, gdzie

strup był rozerwany, i zaczęła przyklejać plastrem. Przerwała na, chwilę, trzymając palce na jego ramieniu i

przyciskając plaster kciukami, żeby się dobrze przykleił. Wyczuwała pod palcami napięte mięśnie i ciepłą

elastyczność opalonej skóry Reya. Przełknęła ślinę i zapytała:

- O co chodzi? Co chcesz, żebym powiedziała?

- Chciałem wiedzieć, czy masz coś ważnego do powiedzenia szeryfowi i jego ludziom. Jeżeli nie, to nie ma

sensu, żebyś wdawała się z nimi w rozmowę bardziej szczegółową, niż tego wymaga rutynowe przesłuchanie. Ja

mogę im po prostu powiedzieć, że łowiłem ryby, a potem wróciłem i odkryłem zwłoki.

- To znaczy, że mam nie mieć okazji, żeby im powiedzieć, co stało się na kanale, tak? Mam nie mówić

nikomu o samolocie? O tym, co ty tam robiłeś? I o przyczynach, dla których chciałeś, żebym ja stamtąd

zniknęła?

- To nie ma związku ze sprawą.

- Ale skąd ja mam wiedzieć, że to nie ma związku? I skąd ty to wiesz?

- Nie wiem, może istnieje jakiś związek między tą sprawą a samolotem. Ale wiem tyle: to, że ja tam byłem,

nie ma nic wspólnego ze śmiercią Stana, tak jak i twoja obecność na kanale. - Masz zamiar powiedzieć tylko

tyle?

Odwrócił się i patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Jego oczy były nieprzeniknione.

- Zaufaj mi, Julie. Tak będzie najlepiej - poprosił w końcu. Spokojny ton jego głosu przypominał Julie ich

wspólne radości, przelotne, a jednak wspaniałe zjednoczenie ciał i uczuć. Wspomnienie to pojawiło się samo -

nie sądziła, żeby Rey, chcąc ją przekonać, świadomie manipulował wspomnieniami ich dawnej bliskości.

"Zaufaj mi" - powiedział.

Zadawała sobie pytanie, czy ratował z kłopotów ją czy siebie.

Nie знаła na nie odpowiedzi i nie była pewna, czy chce ją znać.

Nie była w stanie ufać mu bezgranicznie, ale mogła zaakceptować pakt o współpracy. A on właśnie taki

pakt proponował. Tak, na to wyglądało.

- Na wypadek gdybyś zapomniał - powiedziała z irytacją biorącą się z niepewności - wciąż jesteś mokry. Jak

masz zamiar to wyjaśnić?

Rey odetchnął głęboko, pierś uniosła mu się, a oczy zabłyśły na chwilę ożywieniem.

- Mogłem nurkować wokół łodzi, szukać narzędzia zbrodni, które mogło wpaść do wody, kiedy Stan upadł na

burtę. Kto wie, może je nawet znalazłem.

- Twoje ramię zaczęłoby krwawić albo zostałoby zainfekowane. Zresztą może i tak się stało. - Julie

zawahała

się. - Jest inna możliwość. Moglibyśmy wziąć klucz do przyczepy, w której mieści się garderoba, i zobaczyć,

czy nie znajdziemy czegoś suchego.

Rey uśmiechnął się nieznacznie, nie ruszając się z miejsca.

- Nie rób takiej miny - rozłościła się Julie. - Nie jesteś jedyną osobą, która ma pomysły.

- Widzę - odparł niskim głosem.

- No dobrze. Więc co z wartownikiem?

- Przyszedł na swoją zmianę o dziesiątej trzydzieści, twierdzi, że podczas tej zmiany nie wchodziła ani nie

wychodziła żadna osoba, której obecność na terenie byłaby czymś niezwykłym. On jest moim przyjacielem,

przyjaźnił się też z Paulem. Myślę, że uda mi się skłonić go do tego, żeby widział rzeczy tak, jak ja mu

podpowiem.

Julie kiwnęła powoli głową.

- To dobrze. A teraz powiedz mi, co według ciebie powinniśmy mówić.

Nie było to skomplikowane. Mieli nie mówić o tym, że Julie była na wodzie. Julie miała natomiast powiedzieć, że usłyszała warkot silnika motorówki Reya i wyszła na jego spotkanie. Potem razem znaleźli Stana

- tu mieli opowiedzieć to, co rzeczywiście się zdarzyło.

Przeglądając szybko garderobę w poszukiwaniu jednego z kostiumów Jean-Pierre'a, Julie robiła co mogła, żeby pozbyć się wątpliwości. Pomogło jej to, że szeryf i jego zastępcy pojawili się w momencie, gdy ona

i Rey wracali do przyczepy mieszczącej biuro i że policja stanowa przybyła wkrótce potem. Kiedy Rey

opowiedział swoją skróconą historię i kiedy ona dodała swoją, potwierdzającą wersję, nie było już odwrotu.

Była to długa noc. Przyjechał Bull, ponury i nie ogolony, z krótkimi, siwiejącymi włosami, sterczącymi

na głowie jak rzysko wskutek ciągłego przeczesywania ich palcami. Przed wyjazdem z motelu Bull zatelefonował do Ofelii, która przyjechała zaraz po nim. Wkrótce w recepcyjnej części przyczepy biurowej

parzyła się dla wszystkich kawa i przyczepa stała się głównym punktem zbornym.

Przyjechał i odjechał lekarz sądowy, zespół medyków pojawił się, zrobił, co do niego należało i odjechał.

O czwartej trzydzieści nad ranem, w jakieś trzy godziny po tym, jak Julie i Rey znaleźli zwłoki, ustalono, że

śmierć nastąpiła nie wcześniej niż o jedenastej poprzedniego wieczorem i nie później niż o pierwszej, na pół

godziny przed znalezieniem zwłok. Oględziny lekarskie, a także szczegółowa analiza czynności, które wykonywał Stan wieczorem, przed północą, mogły doprowadzić do precyzyjnego określenia momentu śmierci,

jednak na razie stwierdzono tylko tyle. Policja, opierając się na tym ustaleniu, miała przesłuchiwać członków

ekipy, którzy byli obecni na terenie w tym czasie; poproszono Ofelię o wezwanie ich.

Julie miała nadzieję, że moment śmierci zostanie określony bardziej precyzyjnie. Przy obecnych ustaleniach nie można było się zorientować, czy Stan już nie żył, kiedy odpływała łódką, czy też został

zamordowany podczas jej nieobecności. Ta niepewność męczyła ją.

W miarę jak noc przemieniała się w blady świt, coraz bardziej nieprzyjemne stawało się dla niej to, że

musi ukrywać pewne fakty, uważać na każde słowo. Kiedy przybył Allen, słońce już stało wysoko, a Julie była

zupełnie wyczerpana.

Allen spojrzał na nią i zażądał, żeby pozwolono jej pojechać do domu i odpocząć. Nikt nie protestował.

Bull i Rey od kilku godzin usiłowali ją do tego nakłonić, jednak odmawiała. Ale teraz zgodziła się, gdyż była

zmęczona stawianiem oporu, a poza tym uznała, że Allen może przejąć jej obowiązki i występować jako

przedstawiciel Excel Films. On jeden spośród trzech obecnych mężczyzn miał do tego prawo.

Ciotka Tine wciąż miała u siebie Summer, chociaż Donna była na miejscu, gotowa przejąć nad nią opiekę. Gotowość tę zgłaszała zresztą codziennie, od czasu gdy hospitalizowano Aimette. Obie kobiety

usłyszały o morderstwie przez policyjne radio ciotki Tine. Odesłały Summer, polecając jej, żeby się pobawiła z

dwoma synami Donny, a same zaczęły zadawać Julie pytania. Ich ciekawość była naturalna - nie były ani zbyt

natrętne, ani nie kierowały się chęcią usłyszenia makabrycznych, sensacyjnych wiadomości. Julie nie miała nic

przeciwko temu, żeby odpowiedzieć na ich pytania. Zrobiła to, powiedziała im też, kto jest na terenie i co robi

policejka. Ciotka Tine tymczasem przygotowała dla niej śniadanie, ale Julie nie miała specjalnej ochoty na

jedzenie. Ciotka zabrała wreszcie talerz, ściskając ją serdecznie za ramię.

- A teraz marsz do łóżka. Wyglądasz pani na wykończoną. Powinna się wstydzić, że panią zatrzymuję.

Potrzeba pani wypoczynku i ja dopilnuję, żeby pani wypoczęła!

Julie wzięła prysznic i włożyła nocną koszulę, zamknęła drzwi na klucz i zaciągnęła zasłony. Weszła do

łóżka i przeciągnęła się z westchnieniem. Nic to nie pomogło. Jej umysł wciąż pracował na pełnych obrotach.

"Zaufaj mi" - powiedział Rey. Nie zgodziła się, dyskutowała, a jednak wyszło na jego. Miała oczywiście

swój powód, dla którego zrobiła to, o co ją prosił, jednak nie mogła uwierzyć, że nie zażądała od niego, by jej

powiedział, co robił na rzece i dlaczego tak bardzo się starał, żeby nie zobaczyła samolotu.

Słyszała dzieci bawiące się na dziedzińcu za domem. Krzyczały i śmiały się od czasu do czasu Donna albo ciotka Tine coś do nich wołały, ale ich ostrzeżenia i krytyczne uwagi nie były agresywne - była w nich

tylko pobłażliwa troskliwość. Te odgłosy kobiet i dzieci - były dziwnie uspokajające, jak marzenie o dzieciństwie.

Nagle od strony galerii rozległo się pukanie. Julie aż podskoczyła. Usiadła z wysiłkiem, a potem wysliznęła się z łóżka, włożyła szlafrok i poszła otworzyć drzwi. Za drzwiami stała Donna. Twarz miała poważną.

Julie zaprosiła ją do środka. Cofnęła się, żeby zrobić przejście, zawiązując przy tym pasek szlafroka.

Siadając na łóżku, wskazała ręką krzesło.

Donna usiadła i złożyła ręce na kolanach, a potem nieśmiało spuściła na nie wzrok.

- Przepraszam, że pani przeszkadzam, ale jest coś, o czym chcę z panią porozmawiać. A na planie nigdy nie

ma na to czasu. Zawsze jest tylu ludzi i pani jest zajęta.

- Trzeba było z tym do mnie przyjść. Czy chodzi o Summer?

- Nie, Chodzi... o Reya.

- Tak?

Julie zdawała sobie sprawę, że to słowo nie posuwa rozmowy naprzód, jednak nie mogła wymyślić nic

innego. Przypomniała sobie, że Donna była ukochaną Reya z czasów, gdy mieli po kilkanaście lat, a być może

również czymś więcej tuż przed śmiercią Paula, i poczuła skurcz w okolicach żołądka.

- Martwię się o niego. Mówił pani pewnie, że jego żona zmarła?

- Coś o tym wspominał.

- Prawdopodobnie nie powiedział pani, że ona była na niego zła, że była wściekła, bo miał taką pracę, że

ciągle nie było go w domu. Właściwie to wtedy od niego odchodziła. Schodziła po stromych schodkach na

tyłach ich starego domu. Lał akurat deszcz i schodki były śliskie, a poza tym straciła równowagę, bo była w

ciąży i na dodatek niosła ciężką walizkę. Upadła, leżała na deszczu i poroniła. Umarła, umarło także dziecko.

Rey zawsze obwinił się o to. Winił się za to, że ją opuścił, że tego dnia nie było go w domu, bo wykonywał

specjalne zadanie.

- Nie opowiadał mi tego ze szczegółami, ale doprawdy nie wiem, co to ma wspólnego ze mną.

- Już do tego dochodzę - powiedziała Donna z uporem. - Jego żona była młoda i uparta. I piękna jak Madonna

Rafaela, chociaż niezbyt dojrzała. Myślałam, że on nigdy nie dojdzie do siebie po jej śmierci, która właściwie

była śmiercią podwójną. Kobiety, z którymi się potem umawiał, były ... nie wiem, jak to dokładnie określić ...

one potrzebowały wsparcia. Były atrakcyjne, ale opuszczone przez rodzinę albo męża, chorowały, ktoś się nad

nimi pastwił, psychicznie albo fizycznie, każda miała takie problemy. Najwyraźniej pociągały go kobiety, które

go potrzebują. Było tak, jakby podstawą ich związków była pomoc, której im udzielał. Rozumie pani, co chcę

powiedzieć?

- Nie jestem pewna, czy rozumiem. Chyba że chce pani zasugerować, że w ten sposób postrzega i mnie.

- Usiłuję pani powiedzieć, że takie uczucie oparte na współczuciu było wszystkim, co potrafił z siebie

wykrzesać. Do chwili kiedy pojawiła się pani.

Julie była ciekawa, czy Donna zdaje sobie sprawę, że sama jest być może ostatnią z tych potrzebujących

wsparcia kobiet w życiu Reya. Jeżeli on rzeczywiście miał takie skłonności, to z pewnością nie mógł się oprzeć

pięknej młodej wdowie z dwojgiem dzieci, potrzebującej środków do życia.

Julie wstała, podeszła do drzwi i położyła rękę na klamce.

- Przykro mi, ale wydaje mi się, że nie ma sensu dyskutować na ten temat. Przepraszam, ale naprawdę jestem

zmęczona.

- To nie moja sprawa, wiem o tym. Wiem też, że Rey nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że z panią

rozmawiałam. Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że znam go od dawna i nie chcę znowu patrzeć,

jak się męczy. Nie chcę widzieć, że szarpie się tak, jak się szarpał przez tę głupią dziewczynę, z którą się ożenił.

- To, że kobieta ucieka, że zrywa złe małżeństwo, nie świadczy o jej głupocie - powiedziała Julie.

- Być może, ale jego żona wychodząc za niego wiedziała, jaką on ma pracę. Wiedziała też, że nie zawsze

będzie siedział w domu.

Julie poczuła nagle, że jej potrzeba prywatności jest mniej paląca niż potrzeba dowiedzenia się czegoś

więcej o Reyu i zweryfikowania własnych lęków. Zdjęła rękę z klamki, odwróciła się i oparła o ścianę.

- Jaką on właściwie miał pracę?

- Był specjalnym tajnym agentem DEA. Był nim przez całe lata.

Był tajnym agentem.

- A tak, pamiętam. Podobno zrezygnował?

- Tak. Kilka lat temu.

- Był jakiś problem, tak?

- Co takiego?

Donna miała zakłopotaną minę.

- Słyszałam coś o narkotykach, których brakowało po jakiejś operacji. Sam mi tak powiedział.

- Aha, o tym pani mówi. Zboczył z drogi z ładunkiem pochodzącym z jakiegoś statku. Wziął go w pobliżu

jednej ze szkół w Nowym Orleanie; w tej szkole miał mieć pogadankę na temat zapobiegania narkomanii. Przez

piętnaście minut była w związku z tym panika, ale potem okazało się, że jest wszystko, co do grama.

Julie stała całkiem nieruchomo.

- Ale ... dlaczego on w takim razie chciał, żeby myślała o nim jak najgorzej?

- Kto to wie. Może dlatego, żeby zobaczyć, co pani na to powie. Z Reyem nigdy nic nie wiadomo.

- Nie rozumiem też, dlaczego w ogóle pracował w DEA. Przecież pochodzi z takiej bogatej rodziny.

- Z tym bogactwem to nie zawsze tak było. Jego dziadkowie z Nowego Orleanu nie' akceptowali małżeństwa

córki z Cajunem. Nie widywali się z nią ani nie rozmawiali do czasu urodzenia się Reya. A i potem przyjeżdżali

tylko raz albo dwa razy na rok. Rey rósł jako Cajun. Tak jak ojciec związany był z bagnami i tak jak ojciec jego

ojca i wszyscy przodkowie aż do siódmego, ósmego pokolenia wstecz. Ta tradycja sięga gdzieś roku 1730 i

ślubu w katedrze Świętego Ludwika, bo Cajunowie, którzy przybyli w latach sześćdziesiątych osiemnastego

wieku, od dawna łączyli się więzami małżeńskimi z Niemcami, którzy pojawili się tu w początkach kolonizacji

francuskiej. Widzi pani, my tutaj, nad rzeką, jesteśmy jedną wielką rodziną i nie przywiązujemy wagi do

dobrego pochodzenia z bogatego rodu.

Julie wiedziała o tym. Docierały do niej fragmentaryczne informacje. Teraz jednak była w stanie

poskładać je w całość. Gdzieś w głębi świadomości miała jeszcze jedną łamigłówkę do rozszyfrowania, nie

wiedziała jednak, jaki ma przedstawiać obraz.

- Po śmierci rodziców w jego życiu zaczęły pewnie zachodzić zmiany? - zapytała.

- O tak. Stał się wtedy spadkobiercą i częściej gościł u dziadków w ich domu w Nowym Orleanie. Nigdy jednak

nie wybaczył im do końca i nie chciał brać od nich niczego prócz pieniędzy na edukację. Miał swoją dumę.

Dopiero kiedy dziadek zmarł, a babka zachorowała, zrezygnował z pracy w DEA i zaczął zarządzać rodzinnym

biznesem i inwestycjami. Przez długi czas nie chciał nic brać za swoją pracę, jednak ostatnio interesy tak się

rozrosły i jego działania do tego stopnia zmieniły swój charakter, że upór stał się bezsensowny.

- Rozrosły się w jakim kierunku?

- Przede wszystkim w kierunku inwestycji zagranicznych. Tak mi się wydaje, chociaż on dużo o tym nie

mówi.

- A jeżeli już mowa o jego zdolności do robienia interesów, to proszę mi powiedzieć, czy to on zasugerował,

że dobrze byłoby pozwać naszą firmę do sądu w związku z wypadkiem pani męża?

- Pozwać do sądu? Nie mam pojęcia, o czym pani mówi

Julie nie była zdziwiona reakcją Donny. Zrobiła lekceważący gest - powiedziała:

- To jest też coś, o czym mówił Rey. Myślę, że źle go zrozumiałam.

Ale tak naprawdę to wcale go źle nie zrozumiała, była pewna, że nie. Rey specjalnie wywołał tego

ducha, specjalnie mówił o sprawie sądowej, bo chciał usprawiedliwić swoje wtargnięcie do biura i buszowanie

w papierach.

- W każdym razie - mówiła dalej Donna - ja bym nigdy tego nie zrobiła, i Rey o tym wie. Mój mąż wiedział,

co robi, podejmując się pracy kaskadera. To była jego praca, i ja, to rozumiałam. - W głosie Donny

był jakiś

smutek, a zarazem duma, które się ze sobą nie zgadzały. A poza tym wyglądało na to, że ona i Julie się nie

rozumieją.

- Nie musiał podejmować tej pracy - powiedziała Julie zmieszana.

- Nie, ale on nie był typem mężczyzny, który odrzuciłby taką propozycję. W każdym razie nie wtedy, kiedy

widział, że ta praca powinna być wykonana. On był takim typem, takim typem policjanta.

- Policjanta? - powtórzyła Julie zakłopotana.

- Tajniaka narkotykowego, jeżeli pani woli. Nie ma nic złego w tym, że to mówię. On sam siebie tak nazywał. Był dumny ze swojej pracy. Co jakiś czas powtarzał, że rzuci ją i zacznie zarabiać na życie łowieniem

kwieków, ale płaca była dobra i czuł się potrzebny, więc nigdy tej pracy nie rzucił.

Tajniak. Tajny agent służby antynarkotykowej.

Julie poczuła, że robi jej się zimno. Otuliła się dokładniej szlafrokiem.

- Rey wiedział o tym, prawda?

- Myślę, że Paul się w to wciągnął, bo Rey robił to samo dla DEA - powiedziała Donna kiwając powoli

głową. - Czy dużo innych osób mogło o tym wiedzieć?

- Niewiele. Wiedziała o tym bliska rodzina, wiedzieli współpracownicy. Czy próbuje pani zasugerować, że on

został zabity, bo wśród filmowców też wykonywał swoje tajne zadania? Ja zawsze byłam pewna, że to mógł nie

być wypadek.

- I mimo to przyszła pani do nas do pracy. Donna odwróciła wzrok.

- To nie było łatwe, ale potrzebowałam pieniędzy. Julie popatrzyła na odwróconą twarz Donny.

- Jest pani osobą wyjątkową. Żałuję, że już wkrótce skończymy kręcić ten film. Miło by mi było lepiej panią

poznać.

- Więc wróci pani do Los Angeles? - spytała Donna.

- Tak, oczywiście.

- Tak - powtórzyła Donna jak echo. - Myślę, że nie posłuchałaby mnie pani, gdybym poprosiła, żeby do czasu

wyjazdu zostawiła pani Reya w spokoju?

- Mam go zostawić w spokoju? Nie wiedziałam, że go niepokoję.

- Wie pani, co mam na myśli. Jeżeli nie traktuje pani Reya poważnie, to niech mu pani o tym powie. I niech

pani wraca do swojego kochanka w Kalifornii. Rey jest silny i przystojny i pewnie podnieca panią swoją

innością, ale on potrzebuje czegoś więcej, nie tylko krótkiego romansu. Pani jest inna ... być może potrzebuje

pani wsparcia, ale nie takiego jak tamte kobiety. Jest pani kobietą, którą mógłby kochać. Tak, mógłby panią

kochać, gdyby mu pani na to pozwoliła. A to oznacza, że może mu też pani zadać ból. On na to nie zasługuje.

- Nie chce pani, żeby cierpiał? Nawet wiedząc, że pani sama będzie w pobliżu i będzie go mogła w razie

czego pocieszyć?

- Ja jestem wdową - powiedziała Donna; twarz miała przy tym spokojną, a brodę wysoko uniesioną.

- Kochałam bardzo męża. Kocham też Reya, ale nie w sposób, o jakim pani myśli. On zawsze był przy mnie i

myślę, że zawsze będzie, ale to wszystko.

- Może na razie.

Donna wstała i ruszyła do drzwi, przy których stała Julie.

- Powinłam była mieć więcej rozumu, nie powinienam próbować z panią rozmawiać. Przepraszam, że straciła,

pani przeze mnie czas.

Julie miała wyrzuty sumienia. Cicho westchnęła.

- Nie - powiedziała spokojnie. - To ja przepraszam. Uważam, że to pani jest kobietą, jakiej potrzebuje Rey.

Proszę się nie martwić. Ja uważam, że nie jestem stworzona do dzieci i pieluch. Nie mogłabym też codziennie

wysyłać mężczyzny do niebezpiecznej pracy. Wkrótce mnie tu nie będzie, i tak się to zakończy.

Donna zatrzymała się we wpółotwartych drzwiach. Brwi miała zmarszczone.

- Na pewno?

Julie wzruszyła ramionami i bez przekonania spróbowała się uśmiechnąć. Ale nic nie odpowiedziała. Nie

wiadomo dlaczego gardło miała tak ściśnięte, że nie mogła wydusić słowa.

Po południu Julie wróciła do pracy. Po kilkugodzinnym odpoczynku czuła się lepiej, mimo że wcale nie

spiała. Była zbyt niespokojna, myślała wciąż o tych samych problemach albo zastanawiała się, jak przebiega

dochodzenie i co wszyscy robią.

Nie mogła przestać myśleć o Stanie. Trzeba było podjąć działania w związku z jego śmiercią. Julie

wiedziała, że gdzieś w Iowa czy Illinois mieszka jego siostra, którą należy zawiadomić i zapytać, gdzie Stan ma

zostać pochowany - czy na cmentarzu w rodzinnej miejscowości na Środkowym Zachodzie, czy w Los Angeles,

czy może w Luizjanie. Trzeba było podjąć decyzję dotyczącą udziału w pogrzebie, bez względu na to, gdzie i

kiedy się odbędzie. Planować coś można jednak było dopiero po sekcji zwłok. Tymczasem Julie musiała się

zorientować, jak długo potrwa przerwa w robieniu zdjęć, a także przekonać się, czy nie można by na małą skalę

kontynuować kręcenia zdjęć w mieście. Jeżeli to się okaże niemożliwe, trzeba będzie rozwiązać tysiące

problemów organizacyjnych - odłożyć na później albo odwołać dostawy i usługi, przedłużyć zezwolenia, i tak

dalej. Byli ludzie, do obowiązków których to należało, ale Julie nie miała pewności, czy w tym bałaganie po

śmierci Stana wszystko zostanie zrobione.

Były to jednak wymówki, żeby nie zostać w domu. Julie nie mogła bowiem znieść odosobnienia, podczas gdy tutaj tyle się działo.

Bull siedział w jej biurze i jadł kurczaka. Kiedy weszła, podniósł na nią wzrok.

- Byłem pewien, że wrócisz - powiedział, biorąc pudełko w czerwone i białe paski, w które zapakowany był

kurczak, i podsunął je Julie. - Chcesz skrzydełko?

Wzięła kawałek kurczaka, głównie po to, żeby dotrzymać mu towarzystwa. Przysiadła na rogu biurka i

spytała:

- Jest coś nowego?

- Znaleźli paru facetów, którzy widzieli Stana koło dwunastej. To pozwala określić czas śmierci nieco

precyzyjniej. I to wszystko.

Zjadła skrzydełko, a potem wrzuciła resztki do śmietnika i sięgnęła po serwetkę.

- Wiesz, zastanawiałam się ... Po śmierci Stana wycięcie tych scen, o których ci mówiłam, staje się koniecznością.

- Oj, nie zaczynaj od początku - powiedział zasmucony, żując kęs kurczaka.

- Słuchaj, mnie się to też nie podoba, ale trzeba ten film jakoś zakończyć. To będzie lepsze niż nic.

- Wiem, Julie, że zwłoka doprowadza cię do szału, ale to oczekiwanie się skończy. Masz jeszcze czas na to,

żeby zrobić ten film tak, jak chcesz.

- Nie sądzę. Wydaje mi się, że im szybciej skończymy, tym lepiej. Dzieją się tu rzeczy, których ty nie rozumiesz.

- Masz na myśli narkotyki - powiedział stanowczym tonem.

- Skąd ... - zaczęła.

- Ja mam oczy, dziewczyno. I uszy. Poza tym, kiedy ciebie nie było, Rey doinformował mnie.

- No dobrze, może i rozumiesz, co tu się dzieje. Jeżeli tak jest, to chyba widzisz, że naszej firmie nie wyjdzie

na dobre, gdy tu dłużej zostaniemy i damy się wykorzystywać.

- To nie ma nic wspólnego z tym, co ty robisz. Twój film, twoja sztuka, jeżeli wolno mi używać takich

wzniosłych słów, wznoszą się ponad to. Powinnaś o tym wiedzieć.

- Nigdy mnie nie skłaniano, żebym to, co robię, postrzegą jako sztukę - odpowiedziała Julie nieco cierpkim

tonem - więc nie mogę ,powiedzieć, że o tym wiem. Jeżeli stąd nie wyjadę i jeżeli ktoś następny zostanie zabity,

wtedy ten fakt wzniesie się ponad moją sztukę. Będę za to odpowiedzialna, a szczerze mówiąc, mam już dosyć

odpowiedzialności za różne rzeczy.

Bull z niesmakiem odsunął reszkę kurczaka, wziął serwetkę i wytarł tłuszcz z palców.

- Już to mówiłem, ale powtórzę jeszcze raz: zarzniesz swój film. Nie jesteś jednym z tych reżyserów, którzy

nakręcają o wiele więcej materiału, niż potrzeba. Obserwowałem cię przy pracy i wiem, że u ciebie każda scena

ma swój cel, wnosi coś istotnego do postaci lub przebiegu akcji, albo do jednego i drugiego. Wyrzucić jakąś scenę,

a zepsujesz efekt. Tak to jest.

- Nie ma na świecie takiego reżysera, który by nie zostawiał po montażu całych zwojów taśmy.

- To co innego. Dobrze o tym wiesz. My tu mówimy o rezygnowaniu z nakręcenia jakichś scen.

Kiedy tak rozmawiali, ktoś otworzył zewnętrzne drzwi, po czym rozległ się niski głos Reya i gardłowy

kontrałt Madelyn de Wells. W chwilę później aktorka wkroczyła do pokoju.

- Będziesz rezygnowała z nakręcania scen? - zapytała, udając przerażenie. - Wiesz dobrze, Bull, że to prowadzi do wojny. Z których więc scen rezygnujemy?

- Z twoich, Madelyn, wyłącznie z twoich - powiedział Bull, a jego ostry ton zdradzał niezadowolenie z tego,

że im przerwano.

Madelyn uśmiechnęła się do niego nerwowo.

- Nie wątpię w to. Ale powiem wam coś: ktoś, kto wytnie chociaż jedną sylabę z mojej sceny w szpitalu,

może się przygotować na śmierć.

Po chwili zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała, i skrzywiła się.

- O Boże. Zważywszy okoliczności, to nie wypadło dobrze, prawda? Ale wy wiecie, co mam na myśli.

- Scena w szpitalu jest potrzebna - powiedziała Julie. - Oczywiście, zostawię ją.

- No, to mi ulżyło. A scena, w której tarzam się w błocie, w tym piekielnym bagnie? Obiecuj mi, że, używając

klasycznego określenia, nie wyląduję ona na podłodze pokoju montażysty.

- Nie przewiduję tego.

- To dobrze. Te dwie sceny muszę mieć. Jeżeli którąś z nich stracę, to naprawdę będę musiała kogoś okaleczyć. Nawet jeżeli tym kimś będzie musiał być mój agent, który nie dopilnował sprawy.

Nastąpiła chwila ciszy. Madelyn nie miała tak wielkiego nazwiska, żeby się aż tak pieklić. Julie czuła się

zażenowana patrząc, jak aktorka odgrywa gwiazdę na oczach ludzi, którzy wiedzą, że gwiazdą nie jest. Już miała

powiedzieć coś niezobowiązującego, ale przerwał jej Rey.

- Wydaje mi się, Julie, że szkoda by było, gdyby to wszystko, o czym myślałaś przez kilka tygodni, nie

zostało sfilmowane - rzekł. - Uśmiechnął się do niej, kiedy spojrzała na niego zaskoczona. - Przepraszam. Nie

mogłem się powstrzymać. Musiałem wtrącić swoje trzy grosze. Właściwie to przyszedłem cię ostrzec. Zdaje się,

że ten facet, który właśnie z dumną miną wysiada z wynajętego samochodu, to księgowy z firmy ubezpieczeniowej.

- To niezły aparat - powiedziała Madelyn, ruszając w stronę drzwi. - Ostatnim razem dałam mu autografy dla

babci, żony, bratanka i trzech siostrzenic, dla wszystkich z wyjątkiem psa. Szkoda, że tu nie ma kuchennego

wyjścia. Nie obrazicie się, jeżeli się stąd wycofam?

Aktorka nie czekała na odpowiedź. Ponieważ Bull też wstał, Julie powiedziała:

- Nie idź. Będzie mi potrzebne wsparcie moralne.

- Nie miałem zamiaru wychodzić - odpowiedział, zgarniając pudełko po kurczaku i inne śmieci. - Chciałem ci

tylko oddać biurko. Nie masz nic przeciwko temu, żeby Rey też został, prawda? Dla niego to może być

interesujące.

Julie posłała Bullowi ostre spojrzenie, ale on był zajęty sprzątaniami okruchów z biurka.

- Nie mam nic przeciwko temu - odparła i zaraz spytała: - A kto zadzwonił do firmy ubezpieczeniowej?

- Ofelia. Być może na polecenie Allena. To okropne, ale wydaje mi się, że trzeba było ich zawiadomić. Nie

ma sensu odkładać tej rozmowy z ich księgowym.

- Nie znasz go - powiedziała Julie cierpko.

Po chwili przedstawiciela firmy ubezpieczeniowej wprowadzono do biura. Nie zmienił się. Wniósł ze

sobą zapach nieświeżego potu i atmosferę wyniosłości. Julie podała mu rękę i przedstawiła go obecnym z taką

uprzejmością, na jaką potrafiła się zdobyć.

- No, no - rzucił Davies, ściskając rękę jej ojcu - sam wielki Bull. Dowiedziałem się, że pan tu jest, i zastanawiałem się, czy będę miał przyjemność pana poznać. Bardzo pana podziwiam, lubię zwłaszcza pana

filmy wojenne. Te wielkie sceny batalistyczne! Są po prostu doskonałe! Ta w Śmierci wśród wydm, gdzie

wszyscy wylatują w powietrze, to moja ulubiona.

Julie zerknęła ironicznie na Reya, a potem opadła na krzesło stojące przy biurku. Zasugerowała, żeby

Davies usiadł naprzeciwko. Bull przyciągnął swoje krzesło do biurka i ustawił je z prawej strony, a

Rey nie

usiadł wcale. Oparł się plecami o ścianę przy drzwiach, po lewej ręce Julie.

- No cóż, panno Bullard, znowu ma pani kłopoty - powiedział Davies uśmiechając się nerwowo, położył dużą

teczkę na biurku i przysunął sobie krzesło.

- Niestety tak - odparła Julie. - Zmarły był nie tylko moim współpracownikiem, ale i przyjacielem.

- Składam pani moje kondolencje. To jednak nie może nam przesłaniać faktów. Rozumiem, że nie była to

śmierć przypadkowa.

- Jest pan dobrze poinformowany.

Jego wargi poruszyły się, a na twarzy pojawił się wyraz satysfakcji.

- Staram się zawsze być dobrze poinformowany. Musi pani zdawać sobie sprawę, panno Bullard, że skoro

rzeczy tak się mają, to sprawa będzie głośna, bardzo głośna.

- Prawdopodobnie ma pan rację..

- Zjadą się tu poszukiwacze sensacji, ludzie z prasy opadną panią jak szarańcza. Właściwie dziwię się, że

jeszcze ich tu nie ma.

- Byli, ale odjechali - wtrącił się Bull.

- No widzi pani. Istnieje prawdopodobieństwo, że kręcenie filmu zostanie na jakiś czas przerwane. Z tego

powodu zostałem upoważniony do zawieszenia produkcji.

- Zawieszenia produkcji?! - powtórzyła Julie z niedowierzaniem.

Rey wyprostował się.

- Chce pan powiedzieć, że się ten majdan zwinie i pośle wszystkich do domu?

- Właśnie - powiedział Davies z nutą satysfakcji w głosie. - Gdyby wszyscy tu siedzieli aż do wyjaśnienia

sprawy, wydałoby się zbyt dużo pieniędzy.

- A czy nie więcej pieniędzy wyda się zwijając wszystko, a potem sprowadzając tu sprzęt i techników jeszcze raz?

Davies nie raczył prawie spojrzeć na Reya.

- Nie ma o tym mowy. Materiał nakręcony dotychczas musi wystarczyć - oświadczył.

- Ale to niemożliwe! - powiedziała Julie. - Musimy tu nakręcić jeszcze kilka scen. Są niezbędne dla zachowania ciągłości.

Człowiek siedzący naprzeciwko niej pokręcił głową.

- Jestem pewien, że w studio da się coś wykombinować. Przeciętny widz nie zauważy różnicy.

- Nie mogę się na to zgodzić. To nie ma sensu. Przecież wystarczy poczekać parę dni i nakręcić te sceny tutaj.

- Owszem, to ma sens, w ten sposób oszczędza się pieniądze.

W tym celu zostałem również upoważniony do odebrania produkcji z pani rąk, panno Bullard, i znalezienia kogoś, kto zrobi ten film taniej.

Julie poczuła, że krew odpływa jej z twarzy, a potem napływa znowu gwałtowną falą.

- Teraz? Kiedy film jest prawie skończony?

- Bo teraz wszystko wymknęło się pani z rąk. Do tego stopnia, że na tym terenie morduje się ludzi. - Ja na to

nic nie mogę poradzić! - Może ktoś inny będzie mógł.

Zapadła cisza. Julie usiłowała się zorientować, czy decyzja jest ostateczna, próbowała zebrać myśli i znaleźć argumenty przeciwko niej.

Bull, który słuchał w milczeniu ze zmarszczonymi brwiami, wychylił się do przodu, odchrząknął i powiedział:

- Ja mogę. Mogę to zrobić za ciebie. Twarz Daviesa oblała się purpurą•

- Pan? Pan chce przejąć ten film?

- Jestem do dyspozycji - oświadczył Bull uprzejmie.

Julie czuła się jak ktoś, kogo kopnięto w żołądek. Oparła się na w krzesło. Zrobiła to powoli, ostrożnie,

nie chcąc powiększać bólu. Zauważyła, że Rey chciał do niej podejść, ale się powstrzymał, nie była jednak w

stanie odwrócić wzroku od uprzejmie uśmiechniętej twarzy ojca.

Bull zajmował jej miejsce! Nie mogła w to uwierzyć.

A jednak czy nie lepiej było, że skończy ten film Bull, a nie ktoś wybrany przez urzędników, jakiś potakiwacz, który potnie film na kawałki i zrobi końcową scenę na bagnie urządzonej za pomocą węża

gumowego albo w lesie z jedwabnych fikusów?

- No tak - odezwał się Davies - będę musiał omówić to ze zwierzchnikami. To rzuca nowe światło na całe

zagadnienie.

- Chciałbym skończyć zdjęcia tutaj - rzekł Bull. - Myślę, że mogę obiecać, iż opóźnienie będzie minimalne, a

jakość pozostanie wysoka. Ponieważ przybyłem tu niedawno i nie mam bezpośredniego związku ze sprawą, tak

jak, powiedzmy, moja córka, sądzę, że nikt się nie sprzeciwi, jeżeli wraz z okrojoną ekipą zabiorę się do pracy

od razu, równocześnie z prowadzonym dochodzeniem. To powinno umożliwić wam kontrolę wydatków.

- Pańska postawa bardzo mi się podoba, jednak muszę zaznaczyć, że honorarium będzie stanowiło pewien

problem.

- Janie jestem zachłanny. Myślę, że dojdziemy do porozumienia, jeżeli pańscy zwierzchnicy zaakceptują

moją propozycję.

Davies uśmiechnął się.

- Jestem pewien, że będzie pan chciał sprowadzić własnego asystenta i tak dalej, a także nowego człowieka

od efektów specjalnych. Jednak nie sądzę, by budżet pozwolił zatrudnić więcej ludzi niż dotychczas.

- Nie ma problemu. Mam nadzieję, że córka będzie moją asystentką. A co do nowego człowieka od efektów

specjalnych, to Tabary już się zgodził przyjąć tę pracę.

- Pozwoli pan, że sobie to zanotuję - powiedział Davies, odpinając zamek błyskawiczny teczki i wyjmując

notatnik i długopis. - Zapiszemy to wszystko i może jeszcze dzisiaj załatwimy sprawę.

Julie otworzyła usta, żeby się odezwać, ale zaraz z tego zrezygnowała. To, co miała do powiedzenia

Bullowi - na temat jego propozycji i bezczelności, z jaką, nie konsultując się z nią, chciał zatrudnić Reya -lepiej

było powiedzieć na osobności. Nie chciała dawać Daviesowi kolejnego powodu do satysfakcji. Przyjemnie jej

było jednak widzieć, że urzędnik z zakłopotaniem przyjmuje fakt, że ona, Julie, w dalszym ciągu będzie

uczestniczyła w produkcji filmu.

Spojrzała na Reya. Obserwował ją z dziwną mieszaniną współczucia i obawy w oczach. Związek oparty

na współczuciu - takiego określenia użyła Donna. Chyba było to dobre określenie. Julie odwróciła wzrok, wzięła

z biurka ołówek i zaczęła obracać go w palcach. Potem nagle rzuciła go i wstała.

- Przepraszam bardzo - odezwała się. - Jestem z kimś umówiona.

Bull, dyktujący coś Daviesowi, zerknął na córkę.

- Nie idź, Julie. Muszę z tobą porozmawiać.

- Później - odpowiedziała, nie patrząc na niego.

Okrążywszy biurko wyszła z pokoju. Nie zatrzymała się w pierwszym pomieszczeniu, tylko poszła dalej

i ruszyła po schodkach. Szła na oślep, nie miała właściwie pojęcia, dokąd zmierza. Przemierzyła otwartą

przestrzeń pomiędzy przyczepą biurową a karawanikiem i skierowała się w stronę bagna. Wysokie drzewa i

ciemnobrązowe palmy niskopienne zasłaniały widok. Nie zatrzymała się, dopóki nie znalazła się tam, skąd nie

było widać przyczep ani karawaników, gdzie nie było ciężarówek, samochodów ani łodzi, dopóki nie znalazła

się w miejscu, gdzie panował głęboki spokój otaczającej ją przyrody, z dala od zgiełku.

Straciła swój film. Królestwo bagien nie należało już do niej.

Jedyny człowiek, którego nie podejrzewała, że może ją zranić, odebrał jej film. Gdyby Bull się nie odezwał, wymogłaby na Daviesie jakiś kompromis, poszłaby na ustępstwa, co by jej pozwoliło zakończyć film

zgodnie z własną wizją. Teraz ta szansa przepadła.

Filmu już nie miała, Stan nie żył, a Rey... właśnie, co z Reym? Oparła się plecami o szorstki, mocny pień ogromnego cyprysu, podniosła głowę i popatrzyła w niebo. Czysty, pogodny błękit powoli przesłoniła

drżąca mgła ciepłych łez. Ból rósł, wstrząsał Julie, ścisnął za gardło, wykrzywił twarz tak, że musiała podnieść

ręce, by ją zakryć.

Straciła wszystko. Ojciec ją zdradził. Nie miała już szansy zostać liczącym się reżyserem; żadne studio

filmowe nie da jej możliwości zrobienia filmu fabularnego. Życie z Allenem okazało się puste. Okazało się, że

była to tylko udawana miłość. A Rey nigdy nie miał jej do zaoferowania nic prócz ostrożnej namiętności. Tak, i

współczucia - o tym nie wolno jej zapominać. Współczucie, troska, żal - ale nigdy miłość - oto, co miał jej do

zaoferowania. Nie miłość.

- Julie?

Odwróciła się gwałtownie, przestraszona. Cofnęła się. Przed nią stał Rey, opierając się jedną ręką o cyprys. Podszedł tak cicho, że nie miała pojęcia, że jest tak blisko. Zdała sobie z tego sprawę, dopiero kiedy się odezwał.

- Odejdź - powiedziała, ocierając obiema rękami łzy, które zebrały się w zagłębieniach pod oczami.
- Odejdź i

zostaw mnie w spokoju!

- Pozwól mi wyjaśnić. To nie jest tak, jak myślisz.

Odepchnął się od drzewa i powoli zrobił w jej stronę parę kroków.

A ona cofała się o krok za każdym razem, kiedy on się o krok zbliżał.

- Nie musisz mi nic mówić. Bull szukał pracy i doszedł do wniosku, że może mieć moją, skoro i tak mają mi

zabrać ten film. W porządku. Cieszę się ze względu na niego. Ty chciałeś zostać na tym terenie ze względu na

swoją tajną misję, więc namówiłeś go, żeby cię zarekomendował na . następcę Stana. On prawdopodobnie miał

ze mną o tym porozmawiać przed pojawieniem się tego Daviesa, ale co to za różnica. I tak dało się to załatwić,

więc wszystko w porządku.

Rey zatrzymał się. Stał jak skamieniały.

- O czym ty mówisz?

- O, przepraszam. Nie powinnam była nic mówić o twojej misji, bo ta twoja praca jest taka tajna. Nie martw

się, nie mówiłam o niej nikomu, tak samo jak nikomu nie powiedziałam, co robiłeś zeszłej nocy. Ale zasugeruj

Donnie, żeby przestała rozpowiadać, że Paul był tajniakiem antynarkotykowym. To może ludziom dać do

myślenia, zwłaszcza jeżeli dowiedzą się o twojej pracy dla DEA. Zajęło mi to trochę czasu, ale w końcu się w

tym zorientowałam. Nie jestem pewna, czy zajmujesz się tym z własnej inicjatywy, czy oficjalnie, ale myślę, że

zaczęło się od Paula. Paul wykonywał jakieś zadanie i dlatego przyjął pracę kaskadera. Ty nie chciałeś pracować

ze mną, dopóki on nie zginął, a kiedy zginął, skończenie jego roboty stało się dla ciebie kwestią ambicji. Tyle że

ty poszedłeś o krok dalej, prawda? Doszedłeś do wniosku, że ja, jako osoba najważniejsza, jestem prawdopodobnie zamieszana w aferę narkotykową. I postanowiłeś mnie śledzić. Tyle że posunąłeś się za daleko,

Rey, naprawdę, o wiele za daleko.

- Przyznaję, początkowo myślałem, że możesz być w to zamieszana, ale to wszystko. To, co było między

nami, nie ma z tym nic wspólnego.

Jego słowa brzmiały tak szczerze. Jednak Julie wiedziała, że Rey potrafi doskonale udawać.

- Ale to było takie wygodne, prawda? Miałeś takie cudowne usprawiedliwienie, mogłeś być w pobliżu o

każdej porze i robić, co chciałeś. Mogłeś na przykład grzebać w papierach w moim biurze, szukać tam śladów.

Złapałam cię wtedy, ale wykręciłeś się kłamstwem. Szukałeś nazwy firmy, która dostarczyła łodzi, żeby biedna

Donna mogła wytoczyć sprawę sądową. Tylko że Donna nawet o tym nie pomyślała. Jeżeli masz zamiar

wykorzystywać ją jako współniczkę, to powinieneś lepiej ją informować.

- Nie mieszaj do tego Donny.

- Z chęcią. Następnym razem ją zabierz na Wyspy Bahama albo na oszałamiającą wycieczkę do Los Angeles.

Tylko dopilnuj, żeby te wycieczki były wyłącznie rozrywkowe, żeby nie miały na celu sprawdzenia, co ona wie

na temat handlu narkotykami ani przyłapania jej w trakcie negocjacji, ani też wydobywania z niej informacji na

temat otaczających ją ludzi. Wykorzystałeś mnie, Rey, ale nie zrobisz tego więcej.

- Podróż do Los Angeles nie miała z tym absolutnie nic wspólnego - powiedział cicho i łagodnie. - Naprawdę.

Nie rozumiem, jak możesz tak myśleć.

- Nie mówisz nic o Nassau. O tak, to było mądre. I myślę, że wtedy, kiedy byliśmy w Los Angeles, zdążyłeś

się już zorientować, że ja jestem w porządku. Wiedziałaś równocześnie, że grozi mi pewne niebezpieczeństwo.

Czułeś się winny, bo groziło mi ono z twojego powodu, i przyjechałeś, żeby mnie pilnować. Z bardzo bliska,

Wzruszałoby mnie to, gdyby nie fakt, że zostało ci to sownie zrekompensowane.

- No tak - powiedział, nie odrywając od niej uważnego spojrzenia. - Muszę się z tobą zgodzić.

- To już coś - odpowiedziała z sarkazmem.

- To z powodu węża. Znalazłem go - powiedział.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Wąż? Jak... ?

- Nie masz pojęcia, jak dobrze cię pilnowałem. Zabiłaś go w karawaningu i wyrzuciłaś gdzieś tutaj razem z

całkiem dobrym ręcznikiem. Od tamtej pory nie daje mi to spokoju.

Julie uniosła jedno ramię.

- Ja pomyślałam, że albo to był przypadek, albo jakiś zwariowany kawał. Jeżeli był to przypadek, to nie miało

sensu robienie alarmu, a jeżeli kawał, to postanowiłam zepsuć zabawę temu komuś, kto mi go zrobił.

- A jeżeli ktoś chciał ci zrobić krzywdę?

- Wolałam o tym nie myśleć.

- A co chciałaś zrobić? Pomyśleć o tym jutro? To nie jest kino, Julie!

- A ja nie jestem Scarlett O'Hara! Miałam do zrobienia robotę i nie chciałam tracić czasu na głupie kawały.

- Nie, nie jesteś Scarlett. Ona by zaczęła wołać Retta i wpadłaby w histerię, jak przystało na damę.

- O tak, ale gdyby Retta nie było w pobliżu, zabiłaby węża sama i wrzuciła w krzaki.

- Więc niepotrzebna ci opieka?

- Nie. I nie chcę, żeby mnie ktoś żałował. To też potrafię zrobić sama! A zwłaszcza nie potrzebuję litości

człowieka, który jest tak okaleczony przez cierpienie z powodu śmierci żony, że potrafi zainteresować się tylko

kobietami, które też są jakoś okaleczone. Co do mnie, to jestem zdrowa. Mam się świetnie. Więc Donna może

się przestać martwić. Może się poczuć szczęśliwa. Wszyscy mogą się czuć szczęśliwi. Problem nie istnieje. A

teraz już idź!

- Z przyjemnością - powiedział zdenerwowany - ale najpierw muszę cię zapytać, co zrobisz z tymi rewelacjami, które odkryłaś?

- A dlaczego miałabym z nimi cokolwiek robić? Mam inne zmartwienia. Na przykład mój film. Ty i Bull

może myślicie, że przejęliście nad nim kontrolę, ale ja mam dla was nowinę: nie pozwolę na to. To jest mój

film! - Uderzyła się dłonią w pierś i prawie nie przerywając mówiła dalej: - I powiem ci coś jeszcze. Do szału

doprowadza mnie to, że ktoś posługuje się moim filmem w celu sprowadzenia narkotyków do kraju i zabija mi

ludzi na planie i na moim terenie. Jeżeli odkryję; kto to robi - a jest to prawdopodobne - to ten ktoś będzie

musiał słono za to zapłacić! Więc idź i zostaw mnie w spokoju, zanim zmienię zdanie i powiem, że

najprawdopodobniej winny jest były agent DEA pracujący na własną rękę, były agent, który ma własny samolot

i który zna bagna. W tej chwili chciałabym nawet, żeby się okazało, że to prawda!

Słuchał jej, a jego twarz nabierała ostrego wyrazu.

- Dobrze, pójdę sobie - powiedział w końcu. - Ale na twoim miejscu dobrze bym się zastanowił, zanim bym

się wdał w ten narkotykowy biznes. Bo następnym razem może się to skończyć śmiercią, i to nie węża.

Odwróciła się od niego z rękami złożonymi na piersi. Słyszała odgłos oddalających się kroków. Potem wszystko

ucichło. Odszedł.

Powiedziała mu dokładnie to, co myślała. Powinna czuć się lepiej. Tymczasem było jej zimno i czuła

przygnębienie, i nieludzkie zmęczenie. Myśl o tym, że ma wrócić i stanąć twarzą w twarz ze wszystkimi, i

spróbować skończyć film zgodnie z własną wizją, a przy tym spierać się z Bullem i zwalczać jego pomysły,

napawała ją obrzydzeniem. Sama nie wiedziała, dlaczego właściwie do tej pory chciała robić filmy, i czuła, że

na pewno nigdy już nie będzie miała ochoty na następny. Ta praca kosztowała ją zbyt wiele. Traciła przy niej

zbyt wiele sił, zbyt wiele zaangażowała się uczuciowo. Nic dziwnego, że reżyserzy tacy jak Buli czy John Huston

zaczęli ostro pić, że stali się cynicznymi sadystami.

Do zacienionego miejsca, w którym stała, dotarło światło słoneczne. Wokół zapanował spokój. Z oddali

dobiegał szum generatorów, silników samochodowych, jakieś głosy. Jednak odgłosy bagien docierały do niej

wyraźniej. Słyszała alarmujący krzyk sójki, zawodzenie komara i delikatny szelest wywołany przez jaszczurkę

kręcącą się u jej stóp wśród zbutwiałych liści. Ogon zwierzątka ocierał się o czubek jej buta. Julie zanurzona w

mgławicę spokoju czuła wewnętrzny niepokój. Westchnąwszy głęboko i wyprostowawszy ramiona,

ruszyła w

drogę powrotną.

W tej samej chwili usłyszała trzask gałęzi. Ktoś przedzierał się przez palmy niskopienne. Szedł od strony

bagien - najwyraźniej znajdował się tam od dłuższego czasu albo zrobił koło i zaszedł Julie od tyłu. Oczywiście

było, że ten ktoś nie miał pojęcia o tym, co Rey mówił na temat cichego poruszania się wśród tego rodzaju

roślinności.

Krzyk sójki stał się ochryplym wrzaskiem, który niósł się w powietrzu. Odgłosy przedzierania się przez

palmy przypominały powolny warkot bębna, po którym dobosz przesuwając metalową szczoteczką. Serce Julie

tłukło się w piersi, a potem zaczęło łomotać. Opuściła ręce i odwróciła głowę nasłuchując. Zrobiła parę kroków.

Hałas przybliżył się. Julie zaczęła biec.

W spokojnym powietrzu rozległ się strzał. Sójka zamachała skrzydłami i odleciała, a kula zagwizdała wśród wysokich cyprysów.

Julie poczuła ukłucie w skroni, pole widzenia przesłoniła jej chmura czerwieni. Upadła w ciemność.

Upadła miękko, wtulając policzek w poduszkę z liści.

- Julie? - Allen mówił cicho, tuż przy jej uchu. Julie ostrożnie otworzyła oczy.

W głowie czuła tępy ból; czyhał na nią, trochę stłumiony. Instynkt podpowiadał jej, że jest stłumiony tylko czasowo. Że może w każdej chwili powrócić, prześwidrować się do środka, aż do mózgu.

Pokój był zaciemniony. Pierwszą rzeczą, jaką Julie zobaczyła wyraźnie, był ogromny bukiet żółtych róż.

Było ich pewnie sto. Stały w wazonie, otoczone liśćmi paproci i niezapominajkami. Widziała też bukiety z frezji

i lilii i doniczki z zielonymi roślinami. Granitowy parapet dużego okna był nimi zastawiony, przez co odnosiło

się wrażenie, że jest się w altanie. Ściany pokryte były tapetą w dyskretne wąskie niebieskie paski na kremowym

tle. Mimo to nie było wątpliwości, że jest to pokój szpitalny - wysoko na ścianie przymocowano telewizor, łóżko

miało poręczce zabezpieczające, a pościel była biała.

Allen stał obok łóżka i trzymał rękę Julie. Sprawiał wrażenie zmęczonego, choć być może to wrażenie

wywoływał szary kolor jego golfa. Za nim, na krześle, siedziała starsza kobieta w białym mundurku, w

wykrochmalonym białym czepku na siwiejących włosach i w narzuconym na ramiona białym swetrze.

Uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła, że Julie na nią patrzy. Wstała i przeszła na drugą stronę łóżka. Wzięła Julie za

nadgarstek i trzymała ją przez chwilę, patrząc na duży zegarek.

- Co się dzieje? - wyszeptała Julie przestraszona. - Co się stało?

- Masz pęknięcie czaszki na linii włosów i lekki wstrząs mózgu - odrzekł Allen uspokajającym tonem. - Ale

się nie martw. Wyzdrowiejesz.

- Ale ... jak to się stało?

- Nie pamiętasz?

Julie poruszyła leciutko głową i zaraz zbladła; ból przeszył jej czaszkę.

- No, no, kochanie - odezwała się pielęgniarka - najlepiej jeszcze przez jakiś czas się nie ruszać. I proszę się

nie niepokoić. Często się zdarza, że ludzie nie pamiętają, co się działo przed czymś takim i po tym.

- Czymś takim? To znaczy czym?

- Zostałaś postrzelona - wytłumaczył Allen. - Zdaje się, że biegłaś, więc nie stanowiłaś dobrego celu. Kula

wyorała płytką bruzdę w twojej czaszce, uszkodziła tyle naczyń krwionośnych, że wyglądało to tak, jakby

połowa płata czołowego... a zresztą mniejsza z tym. W każdym razie masz na skroni wygolony kawałek skóry,

założyli ci sześć czy osiem szwów i jesteś zabandażowana jak Boris Karloff w Mumii.

- Naprawdę? - Oswobodziła rękę i podniosła ją do głowy. Allen chwycił ją za palce.

- Nie, nie, żartuję sobie tylko. To nic wielkiego. Nie widziałaś, jak potem było zabawnie. Powinnaś była

widzieć, jak Bull się rozkleił, kiedy zobaczył, jak Tabary wybiega z lasu umazany twoją krwią i jak tobie krew

kapie z włosów. Wyglądało na to, że Tabary słyszał strzał i wiedział, gdzie cię szukać. Wróciłem właśnie z

lunchu, kiedy ta komedia się zaczęła. Myślałem, że Bull i Tabary pobiją się o to, który z nich ma cię zawieźć do

szpitala. Potem obaj zaczęli równocześnie wrzeszczeć i wzywać policję. Domagali się, żeby jeden oddział szukał

tego, kto strzelał, i żeby reszta wskoczyła do samochodów i eskortowała cię jak najszybciej do szpitala. Biedny

szeryf i jego ludzie zupełnie stracili głowę. Było jak w kinie. Naprawdę to by była doskonała scena. Szkoda, że

jej nie widziałaś.

- Dobrze, że ty ją widziałeś - zauważyła Julie trochę ironicznie.

- Nie myśl, że jestem taki nieczuły. Ale ja naprawdę mogłem się temu tylko przyglądać. Ani Tabary, ani Bull

nie pozwoliliby mi się do ciebie zbliżyć. O opiece nad tobą nawet nie mówię. Nie bardzo mi się to podobało, też

chciałem być bohaterem - wybawcą.

Julie uśmiechnęła się.

- Przynajmniej teraz jesteś przy mnie.

- No tak, pozwolili mi na to. Bo obaj czuwali przy tobie w nocy i rano. Zdaje się, że lekarz wysłał w końcu

Bulla do domu, bo doprowadzał pielęgniarki do białej gorączki. Tabary zabrał się, kiedy usłyszał, że pęknięcie

jest niegroźne i że prawdopodobnie wkrótce się obudzisz.

Julie rozejrzała się po pokoju. Zerknęła na kwiaty i na pielęgniarkę, która przykryła rękę pacjentki prześcieradłem, poklepując ją lekko, i teraz strząsała termometr.

- Jeżeli to pęknięcie to nic poważnego, to po co to wszystko? Allen uśmiechnął się szeroko.

- Nie wiedziałem, że to nic poważnego, i musiałem coś zrobić.

- Jak długo będę musiała tu leżeć? - zapytała.

- Nie bądź taka niecierpliwa. Możemy się bez ciebie obejść przez parę dni, zwłaszcza teraz. - Ja muszę

skończyć film.

- Bull cię zastąpi. Na pewno sobie przypominasz, że zgłosił gotowość dokończenia pracy. W sumie ten

drobny wypadek na coś się przyda. Można nim usprawiedliwić to, że Bull przejmuje film właśnie teraz.

Julie patrzyła na Allena przez chwilę.

- Miło mi, że znalazłeś jakąś zaletę tej sytuacji. Mimo to chcę się stąd wydostać.

- Dobrze - zgodził się, podnosząc ręce w górę. - Mają zamiar zatrzymać cię na obserwacji tylko

przez

czterdzieści osiem godzin. Możesz stąd wyjść jutro. Chyba że byłby jakiś problem, czego lekarze się zresztą nie

spodziewają.

- To dobrze - powiedziała zamykając oczy. - To dobrze.

- Nie wiem, czy to tak dobrze. Policja chce z tobą rozmawiać. Znowu.

Między brwiami Julie pojawiła się zmarszczka. Jej wargi rozchyliły się.

- O czym? - spytała.

- Chcą wiedzieć, kto do ciebie strzelał. Co się tam stało. I dlaczego.

Julie znowu otworzyła oczy. Był w nich wyraz zaskoczenia.

- Ja ... nie pamiętam.

- Jak to nie pamiętasz?

- No tak, mam w głowie pustkę - mówiła coraz bardziej zaniepokojona. - Czarną dziurę.

- Uspokój się. Powiedz mi, co pamiętasz.

- Nic. Po prostu ... nic.

- Jak to jest możliwe? - dopytywał się Allen natarczywym tonem. - Wiesz przecież, kim jesteś? Wiesz, kim

jestem ja?

Rzęsy Julie zatrzepotały, a wyraz twarzy nieco się zmienił, było w niej teraz trochę mniej niepokoju.

Głosem nieco spokojniejszym powiedziała:

- Tak. To wiem. I... i pamiętam, że rozmawiałam z Bullem, Reym i tym facetem z firmy ubezpieczeniowej,

a potem wyszłam z biura. Pamiętam, że poszłam kawałek w głąb bagien. Pamiętam drzewa, liście, ptaki. Ale

potem ... już nic.

- Nie widziałaś, kto strzelał?

Pokręciła głową.

- To nic - uspokoiła ją pielęgniarka. - Przy urazach głowy to się zdarza. To lekka chwilowa amnezja. Niech

się pani nie wysila. - Chwilowa - powiedziała Julie drżącym głosem.

- Tak sędzę. Powiemy o tym lekarzowi i on o tym z panią porozmawia. Ale ja myślę, że pani sobie wszystko

przypomni bez niczyjej pomocy. Może dziś po południu, może jutro albo pojutrze. - Myśli pani, że tak będzie? -

spytała Julie.

Pielęgniarka poklepała ją po ręce.

- Z pomocą bożą. A jeżeli nawet nie, to przecież nie pamięta pani takiego krótkiego okresu. Jakie to ma

znaczenie?

To prawda, to nie ma znaczenia. A jednak ma.

Julie nie była pewna, czy wypowiedziała te słowa głośno, czy tylko je pomyślała. Odpłynęła, zaczęła myśleć o altanach z żółtych róż, które powoli zamieniły się w unoszące się na wodzie lilie. Po chwili poczuła, że

Allen wypuszcza jej rękę ze swojej dłoni.

Dwa dni później Julie siedziała skulona na huśtawce wiszącej w zacienionym końcu tylnej galerii domu

ciotki Tine. Wypuszczono ją ze szpitala przed lunchem. Po lekkim posiłku odpoczywała przez jakiś czas w

swoim pokoju, odzyskując siły. Ból głowy to znikał, to się pojawiał, jednak żeby go stłumić, wystarczała

aspiryna. Bull zawsze mówił, że Julie ma twardą głowę. Najwidoczniej miał rację.

Po południu znudziło jej się być inwalidką. Miała ochotę wyjść . z pokoju. Summer i ciotka Tine

przyniosły jej na huśtawkę dodatkowe poduszki, książki, przenośne radio oraz tacę z ciasteczkami i dzbankiem

lemoniady.

Julie nie dane było jednak rozkoszować się tymi wygodami, gdyż w domu ciotki Tine pojawili się szeryf

i oficer policji stanowej. Ostatnio widziała ich tyle razy, że wizyta ta wyglądała raczej jak wizyta towarzyska i

nie przypominała przesłuchania. Wrażenie to pogłębił jeszcze fakt, że przysiadła się do nich ciotka Tine i

zaczęła obu mężczyzn wypytywać o ich rodziny.

Julie doceniała fachowość i uprzejmość przedstawicieli policji miejscowej i stanowej. O dziwo,

dogadywali się jakoś z członkami ekipy filmowej, którzy przeważnie nie bardzo szanowali władzę i nie byli

skłonni do udzielania jej pomocy. Julie jednak niewiele mogła im pomóc, gdyż wciąż pamiętała bardzo mało. W

każdym razie wszyscy z przyjemnością siedzieli na galerii, popijając lemoniadę.

Kiedy szeryf i policjant poszli, zza drzwi kuchennych wystawiła głowę Summer; po chwili wyszła na galerię i usiadła na poprzeczce do opierania nóg przy huśtawce. Wydymając wargi powiedziała:

- Nudzę się.

- A gdzie jest dzisiaj Donna?

- Poszła do dentysty z jednym z chłopców. Powiedziała, że mogę iść z nimi, ale ja nie lubię gabinetów

dentystycznych.

Patrząc na strapioną twarz dziewczynki, Julie nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Rozumiem cię. Szeryf mówi, że już niedługo będziemy mogli znowu kręcić. Będiesz wtedy miała mnóstwo zajęć.

- Bull mówił, że będziemy kręcić już jutro. Pytałam go, czy w scenie w szpitalu będę mogła mieć głowę

obandażowaną tak jak pani. Powiedział, że zobaczy, czy to możliwe.

- Ach tak - mruknęła Julie.

Summer usiadła w pozycji lotosu, potem oparła łokcie na kolanach, a podbródek na dłoniach i poszła

Julie spojrzenie godne osoby dorosłej.

- Niech się pani nie denerwuje. On miał na myśli, że się dowie, co pani na to.

- Dlaczego ci to przyszło do głowy?

- Bo zapytałam go, kiedy będzie wiedział, a on powiedział, że wtedy, kiedy pani poczuje się lepiej.

Julie poczuła przypływ nadziei, której towarzyszyły jednak wątpliwości. Próbowała się jej wyzbyć.

- Ty masz być w tej scenie poparzona - powiedziała - O wstrząsie mózgu nie ma mowy.

- No tak, ale tam był wybuch i nie rozumiem, dlaczego nie mam mieć takich obrażeń jak pani. Można zabandażować mi całą głowę. Wtedy wyglądałoby na to, że spaliły mi się włosy. To by było fajne.

- Tu masz rację.

- I może mogłabym mieć złamaną nogę? I rękę?

- I co, trzymałabyś je na wyciągach? Nie uważasz, że ta scena będzie lepsza, jeżeli będziesz po prostu leżała

w łóżku blada i malutka, i taka biedna?

- Ale z bandażem na głowie?

- Z bandażem - powiedziała Julie z powagą.

Dziewczynka zmarszczyła brwi, a potem poruszyła nimi w dół i w górę, jak gdyby chciała się przekonać,

czy wszystko z nimi jest w porządku.

- Dobrze. Ale nie będę miała takiej zielonej rurki w nosie. Bo to obrzydliwe.

- Nie będziesz miała zielonej rurki.

Summer rozplotła nogi przypominające w pozycji lotosu zaplątane spaghetti, wstała i poszła nalać sobie

szklankę lemoniady. A. potem wróciła i usiadła na podłodze wyciągając nogi przed siebie. Wypiła połowę

lemoniady, oblizwała usta i odezwała się:

- Wie pani, ja bym chciała, żeby Rey był moim ojcem.

- W tej sprawie twoja mama miałaby coś do powiedzenia - zauważyła Julie.

- Tak. Ona już wyszła ze szpitala.

- Tak?

- Dwa dni temu. Mówi, że jedzenie było tam okropne. Od dwóch dni mieszka w motelu, ale do mnie zadzwoniła dopiero dziś rano. Chce, żebym się do niej przeprowadziła.

- To dobrze.

- Dlaczego dobrze? Ja nie chcę. Bo to się powtórzy. Weźmie za dużo tabletek, wypije za dużo i zacznie mnie

winić za to, że nie jestem tak sławna jak ona i że nie zarabiam tyle pieniędzy. I pewnego dnia skończy się to nie

atakami wściekłości, ale śmiercią. Dziewczynka była taka mała, a mówiła głosem osoby tak wiele wiedzącej. W

jej zachowaniu była też udawana obojętność, maskująca cierpienie. Julie wyciągnęła rękę i dotknęła jej

ramienia. - Może tym razem to się nie powtórzy.

- Nic jej od tego nie powstrzyma - odparła Summer, łącząc palce stóp i obserwując je tak, jakby do niej nie

należały.

- A co z twoim prawdziwym ojcem? Mogłabyś z nim mieszkać?

- Nie ma mowy. On ma nową żonę, która jest okropna. I troje dzieci, które robią siusiu na stojąco. - Ach tak -

powiedziała Julie.

Summer zrobiła się czerwona i spojrzała na nią wilkiem.

- No tak, nie powinnam tego mówić, ale to prawda. On się drugi raz ożenił i ma trzech ukochanych synków.

On mnie nie chce, tak jak nie chciał mamy, kiedy się zorientował, że nie będzie wielką gwiazdą. Rozwiedli się

już dawno.

- Przykro mi. Wiem, co czujesz. Ja też kiedyś myślałam, że mój tata mnie nie chce.

- Bull?

- Jak się później okazało, myślał, że będzie mi lepiej z matką. Tak to mniej więcej wyglądało.

- U mnie to tak nie wygląda - odparła Summer ze smutkiem.

- Ale gdyby Rey był moim tatą, byłoby inaczej. On jest wspaniały. Jest taki jak Jean-Pierre. O wiele bardziej

go przypomina niż Vance. Vance może udawać nie wiem ile, a i tak będzie mniej do niego podobny. A Rey

naprawdę mnie lubi, tak jak Jean-Pierre lubił swoją córkę. Moglibyśmy razem robić mnóstwo rzeczy. Ja' nie

sprawiłabym mu żadnego kłopotu. Mogłabym na zawsze zostać tutaj z ciotką Tine. Sypialnia na poddaszu

byłaby moim mieszkaniem, tylko moim. Robiłabym ludziki z piernika i ciasteczka do herbaty, chodziłabym na

wesela, jadłabym jambalaye, chodziłabym na ryby i...

- I nigdy nie nakręciłabyś już żadnego filmu?

Dziewczynka zamknęła usta, wykrzywiając się ze złości.

- Nie wiem - mruknęła.

- To miło mieć rodzinę, prawda?

- Tak - odpowiedziała półszepcetem Summer.

Zaskrzypiały drzwi z siatki prowadzące do sypialni. Otworzyła je ciotka Tine.

- Summer, chere, przynieś mi szklanki po lemoniadzie, zanim muchy zjedzą Julie. A później będziesz mi

potrzebna. Pokroisz cebulę na roux. Robię gęstą zupę ze strąkami okry.

Summer zerwała się i pobiegła spełnić prośbę ciotki Tine.

Ciotka trzymała drzwi, żeby dziewczynka mogła przejść ze szklankami i dzbankiem ustawionymi na

tacy. Trwało to chwilę, ciotka jednak zdążyła się uśmiechnąć do Julie. Pokręciła przy tym głową. A potem

weszła do domu.

Julie słyszała ich głosy - cichy pomruk dobiegający z kuchni.

Ciotka Tine była kobietą dobrą i mądrą. Wynajdywała Summer zajęcia nie tylko po to, żeby

dziewczynka jej pomogła, ale także po to, żeby odwrócić jej uwagę od życiowych problemów. Dla Summer

właściwie nie można było zrobić nic więcej, gdyż Płatka dziewczynki nie kwalifikowała się do tego, żeby

odebrać jej prawa rodzicielskie. Z własnej woli prawdopodobnie nie zrezygnowałaby z córki, zresztą nikt by jej

pewnie do tego nie namawiał. Epizod na planie budził niesmak, ale Julie pomyślała, że może sprawy nie mają

się tak źle, jak sugerowała Summer. Dzieci czasami mówią w gniewie 'rzeczy, których nie mają na myśli, a

Annette zawsze okazywała, że kocha córkę.

Możliwe było też, że Summer identyfikuje się z postacią, którą gra - z dzieckiem serdecznego i silnego

Cajuna, Jean-Pierre'a, dzieckiem uczącym się życia na bagnach, w którym budzi się silne poczucie więzi

rodzinnej i społecznej, poczucie, które dają więzy krwi. Nie byłoby w tym nic dziwnego. Aktorzy starsi i

bardziej zrównoważeni niż Summer mieli czasami trudności z wyraźnym rozgraniczeniem fikcji i rzeczywistości.

Myśląc o tym, o stosunkach między Summer a Reyem i między Jean-Pierrem a Alice, Julie uświadomiła

sobie, ku własnemu zaskoczeniu, że jej koncepcja tego filmu była całkiem mylna. Uważała bowiem, że jest to

film o dorastaniu, o tym, jak dorastająca dziewczynka uczy się stawać na własnych nogach i myśleć

samodzielnie. To dziecko, któreomal nie straciło życia wskutek tego, że matka i ojciec kochali ją w tak różny

sposób, ma w końcu zmusić oboje rodziców do przewartościowania ich własnego życia.

Było to w pewien sposób słuszne. Ale Julie zorientowała się, że tak naprawdę nie jest to film o

dojrzewaniu. Była to historia mówiąca o wzajemnych stosunkach ojca i córki. Mówiła o miłości, która nie

uzależnia, a uczy niezależności. Mówiła o uczuciu, które stymuluje indywidualny rozwój, a nie żąda powielania

własnego obrazu.

W związku z tym zakończenie, które Julie sobie wymyśliła, było błędne. Alice nie byłaby zdolna do

ucieczki ze szpitala. Julie stwierdziła, że sama nie byłaby zdolna tego zrobić. To oznaczało, że potrzebna była

jakaś decyzja. Lecz tej decyzji nie mogło podjąć dziecko.

To Jean-Pierre powinien podjąć decyzję, to on kochał dziewczynkę najbardziej, więc powinien się poświęcić. Nie było innego rozwiązania.

Oznaczało to, że scena w szpitalu była sceną kluczową. Nie mogła być sentymentalna, nie musiała być

nawet długa. Powinna natomiast być piękna i przesycona miłością (maskowaną co prawda szorstkością w

sposobie bycia), no i być może nie pozbawiona szczypty humoru. Powinna przemówić do serc widzów.

Julie pomyślała, że musi o tym powiedzieć Bullowi. Pomysły przychodziły jej do głowy szybko.

Potrzebny był jej notatnik i długopis. Musiała to wszystko zapisać, by nie zapomnieć. A potem przepisać to

wszystko na komputerze. I trzeba to było robić szybko, bo przecież nazajutrz mieli zacząć kręcić scenę w

szpitalu.

Nagle sobie przypomniała: to nie ona robi film, tylko Bull.

A Bull mógł mieć inny pogląd na tę scenę.

Ale nie, musi się z nią zgodzić. Jest przecież jej ojcem.

A potem, siedząc i patrząc na cienie drzew i wymęczoną słońcem trawę, Julie uświadomiła sobie jeszcze

coś.

Ten film, jej film, nie był filmem o jakiejś tam córce i jej ojcu.

Był filmem o niej i o Bullu.

Nie było w nim oczywiście nic z jej życia, ale było mnóstwo z tego, o czym marzyła w dzieciństwie, na

co miała nadzieję i czego się bała - wtedy i nawet teraz. Kiedy jako mała dziewczynka złościła się na matkę i

pocieszała fantazjowaniem na temat ojca, który w jej wyobraźni kochał ją tak bardzo, że przyjeżdżał i ratował ją,

wykradał matce, pokonując wszelkie przeszkody i robiąc wszystko, żeby mieć ją przy sobie. W tych fantazjach

to właśnie matka zawsze przeszkadzała, to matka zawsze starała się nie dopuścić go do niej. Jednak wtedy Bull

okazał się zdrajcą - albo był nim w jej oczach - bo zademonstrował, że nie kocha córki, czy też nie kocha jej

dostatecznie mocno. Okazał się zdrajcą, gdyż nigdy się nie pojawił.

Ta zdrada łączyła się w jej wyobraźni ze zdradą, jakiej dopuścił się wobec jej matki, zadając się z innymi

kobietami. Julie nigdy mu nie wybaczyła żadnej z tych zdrad, nie wybaczyła mu ich nawet wtedy, kiedy zaczęła

z nim mieszkać. Gdzieś w głębi jej duszy krył się zawsze gniew. Co więcej, nigdy mu nie ufała. Bała się kolejnej

zdrady.

Im więcej o tym myślała, tym wyraźniej uświadamiała sobie, że to właśnie ten lęk powodował, że myśl o

możliwości współpracy z nim przy filmie wyprowadzała ją z równowagi. Nie wierzyła mu, kiedy mówił, że chce

tylko z nią współpracować, a nie zastąpić. I miała rację. Bo przy pierwszej okazji zgłosił gotowość przejęcia

filmu. Była to kolejna zdrada, która jeszcze raz pokazywała, jak niewiele córka go obchodzi.

Ale zaraz, czy rzeczywiście tak było?

Nie dała mu przecież szansy wytłumaczenia się.

- Kochanie, dlaczego siedzi tu pani z taką zasępioną miną? Boli panią głowa? - ciotka Tine jeszcze raz

przyszła sprawdzić, co się z nią dzieje, i dla odpoczynku usiadła na chwilę w bujanym fotelu.

Julie uśmiechnęła się. Była wdzięczna za tę troskę. Odpowiedziała na pytanie kręcąc głową, a potem

powiedziała, o czym myślała. Opowiedziała jej o Bullu i filmie, o tym, jak Bull zabrał jej film; i o tym, że nie

wie, czy jej go odda. Kiedy skończyła, ciotka Tine siedziała przez chwilę milcząc i kołysząc się w fotelu na

biegunach, który przyciągnęła do huśtawki. Na jej pięknej niemłodej twarzy o cerze jak bibułka malowało się

skupienie.

- Więc myśli pani, że pani tata zabrał pani pracę? Mogłoby tak być. Takie rzeczy się zdarzają. Tata aligator z

uśmiechem pożera swoje nowo narodzone młode, jeżeli jest głodny i jeżeli to młode nie jest wystarczająco

szybkie, żeby uciec. Ale ludzie są przeważnie bardziej humanitarni i bardziej troszczą się o swoje dzieci.

Wydaje mi się, że musi pani go przynajmniej zapytać.

Julie kiwnęła głową.

- Byłam bliska tej konkluzji. Myślę, że tak naprawdę to powinnam winić tylko siebie za to, że uciekałam i

zostałam postrzelona. - Nie, chere! Proszę nie mówić głupstw. Skąd mogła pani wiedzieć, że ktoś

chce panią

zabić?

- No, ale przecież przedtem zginął Stan - powiedziała Julie ponuro.

- Tak, to okropne - stwierdziła ciotka smutnym tonem. - Wszystkie te morderstwa i jacyś obcy ludzie na

bagnach. Cały ten handel narkotykami. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że oni wciągają w to młodych ludzi,

a ci młodzi tak łatwo umierają.

- Uważa pani, że to, co się dzieje na naszym terenie, ma związek z handlem narkotykami?

- To nietrudno zgadnąć, chere. Bo co można zabijać na bagnach? Aligatory na skóry poza sezonem? Nie, nie.

- A ja myślałam, że to tajemnica. Nic o tym nie mówiłam, bo bałam się, że to się źle odbije na moim filmie.

Narobiłam okropnego bigosu.

- Policja zawsze wiedziała, że to możliwe. Oni na co dzień prowadzą z nimi walkę, mają specjalne oddziały,

które się tym zajmują. Więc właściwie wątpliwe jest, czy to, co im pani powiedziała, ma jakiegokolwiek

znaczenie.

- Być może. Ale naprawdę wygląda na to, że wszystko mi źle idzie.

- Takie ma pani wrażenie, bo nie czuje się pani dobrze. Jutro się to zmieni.

- Wątpię. - Julie pokręciła głową.

- No, ale to jest coś, co tylko pani sama może zmienić - stwierdziła z prostotą starsza kobieta. - To jest tak jak

z gotowaniem zupy: w garnku życia znajduje się to, co do niego wrzucimy. Można dodać miłości lub nienawiści,

nadziei lub lęku. Jeżeli na powierzchni pływa coś, czego nie lubimy, powinniśmy to wyłowić i wyrzucić.

Szaleństwem byłoby zostawić to w garnku, a potem narzekać, że smak jest nie taki. Należy dążyć do tego, żeby

jeść ze smakiem. Taki jest cel.

- Myślę - zaczęła Julie - że ten garnek przypaliłam. Czy uważa pani, że mogłabym zacząć od początku?

- Zacząć od początku można zawsze. Dobrzy kucharze stosują tę zasadę, dopóki potrawa nie jest taka jak

trzeba. Ale, ale, to mi przypomina, że powinnam zajrzeć do garnka. Summer nad nim czuwa, ale ona nie będzie

wiedziała, kiedy potrawa jest gotowa.

Ciotka Tine weszła do domu, a Julie siedziała przez jakiś czas bez ruchu. Obserwowała pawia

rozpościerającego ogon w ukośnie padających promieniach słońca, wdychała napływające z domu zapachy -

przyrumienionej mąki i cebuli z selerem i czosnkiem, łagodnej papryki i wędzonego mięsa, a także rosółu z kury

- i myślała o tym, co powiedziała ciotka Reya. Myślała też o tym, czego nie powiedziała, a dała jej delikatnie do

zrozumienia: mianowicie o tym, że ludzkie życie jest czymś ważniejszym niż film.

Bull, Rey, Allen, Ofelia - żadne z nich nie mogło być zabójcą.

Dlaczego tak trudno było jej sobie wyobrazić, że ktoś, kogo zna, jest winien? Nie uważała. się za osobę

naiwną, a jednak zupełnie nie potrafiła wyobrazić sobie, że któreś z nich doprowadziło do wypadku, posłużyło

się nożem albo pistoletem. Mimo to ktoś zabił dwie osoby i usiłował zabić dwie inne.

Usiłowano zabić Summer. Może to był klucz do zagadki? Wszystkie pozostałe zdarzenia można było

jakoś racjonalnie uzasadnić, ale nastawanie na życie Summer było bez sensu. Bo co można było osiągnąć, robiąc

krzywdę dziecku?

Istniało prawdopodobieństwo, że Summer coś wiedziała, że widziała albo słyszała coś, czego nie

rozumiała, ale mogła o tym komuś powiedzieć. Zabójca obawiał się właśnie tego: że Summer o tym czymś

komuś powie. Była przecież dzieckiem przedwcześnie rozwiniętym i wścibskim, które mogło zauważyć coś; co

się koło niego działo, zwłaszcza jeżeli to coś nie było przeznaczone dla jego oczu i uszu.

Summer. Jeżeli ona naprawdę coś wie, to prawdopodobnie wciąż grozi jej niebezpieczeństwo. Julie zastanawiała się nad tym w skupieniu, obserwując zapadający zmierzch. Będzie musiała porozmawiać z

dziewczynką.

Było też kilka innych osób, którym chciała zadać parę pytań.

Gdzieś w plątaninie myśli czaiło się coś, co ją niepokoiło, coś, co zostało przez kogoś powiedziane i co

chciała usłyszeć jeszcze raz. A może było to coś, co sama komuś powiedziała i o czym zapomniała. Jakiś drobny

szczegół, ale dręczyło ją to, że nie może go sobie przypomnieć. Wiedziała, że nie zazna spokoju, dopóki nie

będzie wiedziała, co to jest.

W dalszym ciągu nie pamiętała też, co się działo w ciągu kilku minut poprzedzających strzał. Może to właśnie wtedy wypowiedziane zostały te słowa, które chciała usłyszeć jeszcze raz. Wiedziała tylko, że pojawił

się tam Rey. Będzie musiała go zapytać, o czym rozmawiali. Może on pomoże jej sobie przypomnieć.

Tak czy inaczej miała zamiar dowiedzieć się, kto śmiał wykorzystywać ją i jej film do swoich celów. Tak

czy inaczej miała zamiar dopilnować, żeby temu komuś nie uszło to na sucho. Nie była pewna, jak to osiągnie,

ale pomyślała, że może zacząć od zamieszania w tym garnku, w którym gotowała się zupa mająca związek z

produkcją Królestwa bagien.

Tak, zamiesza w nim energicznie i zobaczy, co wypłynie na powierzchnię.

Bull przyjechał na kolację. Podjechał z Reyem dokładnie w chwili, kiedy Julie pomyślała, że trzeba wejść do domu. Bull wyglądał na strapionego, oczy miał podkrążone. Jego ubranie w kolorze khaki było zmięte,

jakby wyciągnął je prosto z walizki, nie mając czasu na zawracanie sobie głowy pilnowaniem, żeby obsługa

motelu je wyprasowała.

Rey, ubrany ze swobodną elegancją w dzinsy i granatową koszulę oraz granatowe buty, wyglądał świeżo.

Był chyba w dobrej formie i tak ożywiony, że Julie aż przykro było na niego patrzeć.

Zapytał ją o samopoczucie, a ona odpowiedziała:

- Dobrze. - A potem spytała: - Jak twoje ramię?

Otrzymała taką samą odpowiedź. Pomyślała, że oboje kłamią.

Reyowi przyszło do głowy dokładnie to samo.

- Myślałam nad ostatnimi scenami filmu - zwróciła się Julie do ojca. - Mam pewne pomysły, które chcę z

tobą omówić.

- Teraz? - Twarz mu poczerwieniała. - Tak się składa, że i ja mam parę pomysłów. Ale czy to nie może

poczekać? Czy nie możemy o tym porozmawiać po kolacji? Jestem głodny jak wilk. Chyba pójdę umyć ręce, a

potem pomogę ciotce Tine nakrywać do stołu.

Kiedy wchodził do domu, Julie popatrzyła na niego ze zmarszczonymi brwiami. Rozpoznała typową metodę Bulla - robienie uników. Stosował ją zawsze wtedy, kiedy nie chciał o czymś mówić.

- Podobno znalazłeś mnie na bagnach i wyniosłeś mnie stamtąd na rękach - powiedziała do Reya. - A potem

zawiozłeś do szpitala. Ja naprawdę ...

- Jeżeli masz zamiar mi dziękować, to nie trzeba - odparł głosem pełnym napięcia; podszedł do barierki i

usiadł bokiem do Julie z jedną stopą opartą o podłogę. - Nie powinienem był cię tam zostawić. Gdybym tego nie

zrobił, nie doszłoby do tego.

- Więc ty tam byłeś! Wiedziałaś o tym, tylko nie mogłam sobie przypomnieć, o czym rozmawialiśmy.

Przypuszczam, że o czymś, co miało związek z Bullem i filmem. Pamiętam, że rozmawiałam z nim i z Daviesem

i że potem pobiegłam do lasu jak szalona.

Odwrócił się twarzą do Julie i przyjrzał jej się uważnie.

- Naprawdę nie pamiętasz naszej rozmowy?

- Mam jakieś przebłyski, ale to wszystko.

- Jakie przebłyski? - zapytał, a oczy mu pojaśniały. Zastanowił ją ton rozbawienia w jego głosie. - Nie

wiem ... coś jakby ...

- Więc gdybym ci powiedział, że poprosiłaś mnie, żebym się z tobą kochał pod gołym niebem, nie wiedziałabyś, czy rzeczywiście się kochaliśmy. Ja musiałbym to potwierdzić albo temu zaprzeczyć, tak?

- To nie jest zabawne! - Serce zabiło jej mocniej.

- A ja myślę, że jest. Nie wierzę, że mogłaś zapomnieć coś tak ważnego.

Julie odwróciła nieco głowę, nie odrywając jednak wzroku od Reya.

- To znaczy co?

- Nie jestem pewien, czy powinienem ci powiedzieć. Mogłoby cię to wprawić w zakłopotanie.

- Na pewno nie będę bardziej zakłopotana niż teraz, kiedy patrzę, jak się ze mnie śmiejesz z powodu czegoś,

o czym nie mam zielonego pojęcia!

- Wiem, ale ja nie mogę się powstrzymać.

Julie nie dowierzała mu. Pomyślała też, że po raz ostatni widziała taki wyraz rozbawienia na jego twarzy

przed kilkoma tygodniami.

- No więc - odezwała się - masz zamiar mi powiedzieć, o co chodzi, czy będziesz tak siedział i śmiał się do

siebie?

- Człowiek nie zawsze jest w stanie uwierzyć, do czego zdolne są kobiety, kiedy poniosą je emocje. No więc

przysięgałaś mi, że mnie uwielbiasz i że chcesz zostać ...

Przerwał, a wyraz rozbawienia zniknął z jego oczu. Spojrzał na własne złączone dłonie i położył je sobie

na udzie.

- Jeżeli to powiedziałam, to miałeś rację uciekając i zostawiając mnie tam samą - odrzekła Julie powoli.

Zerwał się na równe nogi, podszedł do najbliższej kwadratowej kolumny i oparł się o nią, stojąc tyłem do

Julie.

- Nie, nie powiedziałaś tego. To był głupi żart. Przepraszam. Tak naprawdę to powiedziałaś, że myślisz, że

zamordowałem Paula, bo pragnę jego żony, a później zabiłem Stana, bo był jedyną osobą, która mogła się

domyślić, co zrobiłem.

- Nie ... nie powiedziałam tego. Nie mogłam tego powiedzieć.

Julie z wysiłkiem wydobywała słowa ze ściśniętego gardła.

- Może nie. Może tylko dałaś mi to do zrozumienia. Efekt był jednak ten sam.

- Jaki efekt?

- Efekt był taki, że pozwoliłem, by moja kretyńska duma wzięła górę nad rozsądkiem, a ty omal nie straciłaś

życia.

- Brzmi to tak, jakbyś myślał, że to my jesteśmy wszystkiemu winni. Ja jednak nie straciłam życia.
Daj sobie

z tym spokój.

Odwrócił się i stanął z nią twarzą w twarz, opierając się zdrowym ramieniem o kolumnę i trzymając palce w kieszeni dzinsów. Spojrzał na Julie i powiedział, nie uśmiechając się:

- Chciałbym dać sobie spokój, ale nie mogę. Nie mogę dać sobie z tym spokoju, dopóki ty sobie nie przypomnisz wszystkiego, co wtedy zostało powiedziane.

- Czy to takie ważne? - zapytała cicho.

- Myślę, że tak - odpowiedział.

- A co będzie, jeżeli nigdy sobie tego nie przypomnę?

Przez otwarte drzwi jadalni dobiegł odgłos kroków. Prawdopodobnie była to ciotka Tine, która chciała

im powiedzieć, że kolacja gotowa.

- To by było najlepsze, co by się mogło zdarzyć - pospieszył Rey z odpowiedzią, nie chcąc, żeby mu przerwano.

Po kolacji pomagał ciotce zbierać talerze. Śmiał się i przekomarzał z Summer, Wciągnął ją także w sprzątanie. Tymczasem ciotka wypchnęła Julie z jadalni do salonu. Widząc, że Bull zbiera się do odejścia, Julie

złapała go za ramię i przypomniała, że mieli porozmawiać.

Salon był niewielki. Nieczęsto go też używano. Ciotka Tine wolała przyjmować przyjaciół na tylnej galerii albo w kuchni. Wskutek tego salon przypominał hermetyczne wnętrze muzealne. Stała w nim stara

fisharmonia z wydeptanymi, pokrytymi aksamitem pedałami, a do jednej ściany przymocowane były srebrne

lichtarze osadzone na drewnianych, wystających ze ściany ramionach. Ogromne rokokowe lustro wisiało nad

kominkiem - wisiało ukośnie, a jego górna krawędź odchyłona była od ściany pod ryzykownym kątem, ale przez

to odbijał się w nim cały pokój. Na jednej ścianie wisiał sztych w sepii, przedstawiający jakąś scenę ze

starożytnego Rzymu, a na drugiej umieszczony został wyblakły obraz przedstawiający Madonnę z Dzieciątkiem.

Za ramę tego obrazu zatknięte były kruche zasuszone gałązki palmy z poprzedniej Wielkanocy. Przed kominkiem stał komplet składający się z czterech foteli i dwóch podnóżków pokrytych białym niegdyś, a teraz

nieco pożółkłym brokatem. Jediną bardziej współczesną rzeczą w pokoju było staromodne radio z lat trzydziestych. Na radiu stały zdjęcia z tej samej epoki obok fotografii Reya z jego lat szkolnych.

Pokój z tak nobliwym umeblowaniem przypominał plan filmowy czekający na aktorów. Julie wyciągnęła

rękę, dotknęła szklanego klosza, pod którym stały woskowe kwiaty w delikatnych kolorach, i wypowiedziała

swoją długo ćwiczoną kwestię z nadspodziewaną łatwością:

- Chciałam z tobą porozmawiać o zakończeniu Królestwa bagien. Zależy mi na pewnych zmianach.

- Co do zakończenia filmu to myślę, że nie bardzo się trzyma kupy.

Powiedzieli swoje kwestie prawie równocześnie. Spojrzeli na siebie i roześmiali się z niejakim zakłopotaniem.

- Ty mów pierwsza - powiedział Bull.

- Nie, ty pierwszy. Ty jesteś reżyserem.

- Podlizujesz mi się? Ty? No, daj spokój.

Jego bezczelność była do przewidzenia, ale szyderstwo w momencie gdy ona usiłowała być rozsądna -nie.

- Wiesz, że tak nie jest!

- Oczywiście - powiedział. - Oboje jesteśmy reżyserami, nie zapominaj o tym, I mów, co masz mi do

powiedzenia.

Przez chwilę Julie myślała, że się rozplacze. Przełknęła ślinę i zaczęła opisywać swoje pomysły.

Jej pomysły sprawdziły się. Przekonali się o tym na drugi dzień kręcąc scenę w szpitalu. Julie,

wspomagana przez Bulla i Reya, przez całą noc przerabiała zakończenie filmu. Ofelia, zawiadomiona
zawczasu,

przesiedziała kilka godzin przy telefonie, załatwiając zezwolenie na dodatkowy czas kręcenia w
szpitalu i na

ulicy. Kiedy wszystko zostało już załatwione, Madelyn, Vance i Summer musieli przećwiczyć
dodatkowe

kwestie. Okazało się, że warto było podjąć wszystkie te wysiłki.

Alice leżała w łóżku z zabandażowaną głową i wyglądała jak aniołek. Ale z tego, co mówiła, można
się

było zorientować, że jest twarda i dzielna, że nie boi się już niczego i w przyszłości może sprawić
matce nie lada

kłopoty. Kiedy Jean-Pierre oświadczył, że musi iść, gdyż jest oskarżony o porwanie córki i poszukuje
go policja,

napięcie emocjonalne sięgnęło zenitu. W pożegnalnych słowach Alice i Jean-Pierre'a był ogrom
miłości, w ich

oczach błyszczało zrozumienie. Widać było, że oboje pojęli, jak każde z nich się poświęca dla
drugiego,

zachowując przy tym hart ducha; widać też było, że oboje zrozumieli, jak wielką siłę dają im
wspólnie przeżyte

niebezpieczeństwa i wspólne wspomnienia. Sposób, w jaki dziewczynka odprowadzała ojca
wzrokiem, kiedy

wychodził z pokoju, i w jaki potem, wyszedłszy z łóżka i stanąwszy przy oknie, patrzyła za
odjeżdżającym

samochodem, wywarł ogromne wrażenie na całej ekipie, która obserwowала scenę w milczeniu, jak

zaczarowana. A potem, po usłyszeniu magicznych słów "Kamera stop!", wszyscy zaczęli bić brawo i
gratulować

obojgu aktorom.

Julie podeszła do Summer, żeby ją uściskać i pochwalić, usiadła obok niej na łóżku i przycisnęła swoje

obandażowane czoło do czoła dziewczynki. W tym momencie błysnął flesz i Julie odwróciwszy się zobaczyła

dziennikarkę, która jak cień chodziła za Vance'em. Dziewczyna była na tyle bezczelna, że puściła do niej oko i

pomachała ręką.

Julie popatrzyła na nią ze zmarszczonymi brwiami, a potem, poklepując po raz ostatni Summer, oddała

ją pod opiekę Donny i poszła szukać Vance'a,

- No, panowie! - zawołała Ofelia do operatorów i dźwiękowców, kiedy Julie wyszła z pokoju. - Przykro mi,

ale muszę wam powiedzieć, że wasze miejsce jest już gdzie indziej. Teraz musicie się ustawić w korytarzu.

Chodźmy!

Wychodząc z budynku, Julie skręciła za róg i natychmiast zeszła z drogi kobiecie, która biegła z przeciwnej strony. Kobieta złapała gwałtownie powietrze, cofnęła się i roześmiała.

- Ojej, Julie, nie chciałam na ciebie wpaść.

Była to Annette. Julie wyciągnęła rękę, pomagając jej złapać równowagę.

- Myślę, że to ja prawie wpadłam na ciebie. Nic ci się nie stało? Annette energicznie pokręciła głową.

- Czy scena już nakręcona? Powiedziano mi, że gra w niej Summer. Chciałam przy tym być.

- Obawiam się, że już po wszystkim. Możesz pomóc odwijać ją z bandażu ... oczywiście takich na niby.

- Ale mnie przestraszyłaś. Tak się z tego wszystkiego wyłączyłam, że prawie zapomniałam, jak przebiega

akcja filmu.

Annette była blada. Włosy leżały jej na głowie płasko, tak że widoczny był kształt czaszki; były matowe,

bez życia. Twarz bez makijażu pokryta była zmarszczkami, a pod oczami kładły się chorobliwe cienie.

Wyglądała jak pacjentka odwykówki.

- Summer ma się dobrze - uspokoiła ją Julie, a potem, nie mogąc pozbyć się myśli, która męczyła ją od

poprzedniego wieczoru, zapytała: - Słuchaj, Annette, czy ta historia, którą opowiadał Vance, jest prawdziwa? Ty

naprawdę robiłaś ten numer z pytonem?

Annette jęknęła.

- Ach, to. Mam ochotę zamordować Vance'a albo zabić się za to, że się kiedyś upiłam i mu o tym opowiedziałam.

- To nie brzmiało tak źle - powiedziała Julie.

- Ale ja mało nie umarłam, taka byłam upokorzona. Nie chciałam, żeby ludzie wiedzieli, że upadłam tak

nisko. Na szczęście brukowce tego jeszcze nie podchwyciły. Bo kiedy się o tym dowiedzą, będą pisać, że

Summer jest półwężem!

Julie pewnie by się roześmiała, gdyby sama nie podejrzewała, że Annette właściwie ma rację.

- Więc to prawda?

- Tak jakby. To nie był striptease, tylko taki zwykły numer. Zrobiłam to tylko raz, bo nie mogłam wytrzymać,

kiedy ten wąż mnie oplatał... taki obslizgły. - Wzdrygnęła się z obrzydzeniem, które wyglądało na szczere.

- Nie miałam zamiaru przywoływać twoich złych wspomnień - powiedziała Julie. - Ale to wydawało mi się

takie dziwne.

- No tak, oczywiście, człowiek robi różne rzeczy, kiedy musi nakarmić dziecko, a kariera mu się załamala.

Ale ty nie masz o takich rzeczach pojęcia. Chociaż może kiedyś przyjdzie taki dzień, w którym i ty się dowiesz,

co to znaczy. I może wtedy przypomnisz sobie mnie i pytona.

- Myślę, że tak - powiedziała spokojnie Julie.

Annette spojrzała na nią niezyczliwie, jak gdyby ten brak emocji wzbudził jej podejrzenia. A potem weszła do szpitala.

Julie znalazła w końcu Vance'a, który szedł poprawić charakteryzację. Miał za chwilę kręcić scenę w korytarzu, razem z Madelyn. Była to scena krótka, ale ważna. Jean-Pierre miał w niej powiedzieć żonie, że

rezygnuje, że ona wygrała, a on nie będzie już próbował zatrzymywać córki i nie będzie prosił jej, Dorothei,

żeby do niego wróciła. Równocześnie ona miała zacząć zdawać sobie sprawę z tego, że bardzo wiele straciła.

- W tej scenie z Summer byłeś wspaniały - powiedziała Julie do Vance'a, doganiając go.

- Dziękuję - odpowiedział, wzruszając lekko ramionami, jak gdyby uznawał ten komplement za banalny. - Ta

scena należy do małej, ale ja też tam się liczę.

- Zgadza się - przyznała Julie, chociaż w głębi duszy dziwiła się, że ktoś tak cyniczny jak Vance potrafi

wzruszyć widza.

Vance przywołał charakteryzatora i usiadł w płóciennym fotelu. Kiedy charakteryzator założył mu już pelerynkę i pudrował twarz, Julie zaczęła mówić dalej:

- Rozumiesz następną scenę, prawda? Rozumiesz, że trzeba pokazać przepaść dzielącą ciebie i twoją żonę, a

także trzeba dowieść widzowi, że na próżno spodziewa się, że któreś z was się zmieni i pójdzie na rękę

drugiemu?

- Rozumiem - powiedział tonem znudzonym, zamykając oczy i przechylając twarz tak, żeby

charakteryzator

mógł wyczesać mu puder z brwi.

- Co, oczywiście, nie znaczy, że przestałeś ją kochać, ani też że ty jesteś jej całkowicie obojętny.

Vance podniósł na nią wzrok. Jego niebieskie oczy były tak chłodne jak jego ton.

- W porządku, Julie. Czytałem scenariusz. Mówiłem ci już, rozumiem tę scenę.

- To dobrze. Jest jeszcze coś. Powiedz swojej przyjaciółce, żeby odłożyła aparat fotograficzny albo żeby

zabrała się z planu. Vance zerwał z siebie pelerynkę i rzucił nią w charakteryzatora. Wstał.

- Próbowałem być uprzejmy i wysłuchiwałem twoich uwag. Ale chciałbym ci przypomnieć, że już tu nie

rzządzisz. Więc zejdź ze mnie, dobrze?

Julie uśmiechnęła się, a nawet wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka.

- Jesteś dobrym aktorem, Vance, ale niezbyt bystrym facetem. Zniżę się więc do twojego poziomu. Rzeczy

mają się tak: będziesz robił, co każę, albo doniosę na ciebie Bullowi.

Mogła załatwić to bardziej dyplomatycznie, ale Vance ją rozzłościł. A poza tym wcale nie zależało jej na

jego sympatii. Odwróciła się, zanim zdążył odpowiedzieć. Zrobiła parę kroków, po czym obejrzała się.

- Aha, Vance - powiedziała - znasz Allena od dawna, prawda? Czy to z przyjaźni trudniłeś się składaniem mu

donosów, czy może chciałeś, jak mówi Bull, się podlizać?

- Dlaczego, do diabła, wyobrażasz sobie, że możesz mówić do mnie w ten sposób? - krzyknął, idąc w jej

stronę z zaciśniętymi pięściami. - Wiedz, że to ja jestem tu gwiazdorem. Ta gówniara może jest dobra, ale beze

mnie byłaby niczym! Podlizać się, cholera jasna, podlizać się! Ja nie jestem takim wrednym pełzakiem! Nie

muszę robić takich rzeczy! A teraz zabieraj się stąd i pamiętaj, że następnym razem takie gadanie może obrócić

się przeciwko tobie.

- Ho, ho. - Julie uniosła brwi, uśmiechając się i odwracając się od niego po raz drugi. - Dzięki, Vance.

Odeszła, a on gapił się za nią. Wyrażenie, którego użył, kołatało w jej świadomości. Wredny pełzak

Wredny pełzak. Nagle coś jej się przypomniało, przypomniały jej się słowa, które ktoś wymówił i które

wyleciały jej z pamięci. Dzięki nim była w stanie domyślić się, kto krył się za tym wszystkim, kto działał na

szkodę jej filmu, kto uruchomił handel narkotykami, z czyjej winy zginął Paul i Stan i o mało nie poniosły

śmierci ona i Summer, Nie wiedziała jeszcze, dlaczego ten ktoś, to wszystko robił, ale reszta tworzyła spójną,

choć skomplikowaną całość. Wszystko pasowało tak dobrze, że była pewna swojej racji.

Musiała mieć rację.

I miała teraz problem: jak tę sprawę rozegrać?

Zdjęcia trwały. Patrząc na Vance'a i Madelyn grających scenę w korytarzu, tę, która w filmie miała

poprzedzać scenę pożegnania z Summer w pokoju szpitalnym, Julie zastanawiała się, czy przypadkiem metoda

tych reżyserów, którzy obelgami doprowadzają aktorów do wściekłości, nie jest metodą dobrą. Na planie.

panowała cisza. Wszyscy patrzyli na grających, wszyscy, nawet Summer, wciąż ubrana w szpitalny szlafrok i

koszulę w cielistym kolorze.

Vance był wspaniały, mierząc się z prawdą o własnej naturze i naturze kobiety, z którą się ożenił. Mówił

tak, że czuło się, jak tłamsi w sobie cierpienie i gorzki smutek i jak równocześnie, kierowany dobrocią, stara się,

żeby dla tej kobiety - żony i matki jego dziecka - rozstanie było możliwie najłatwiejsze. Z przekonaniem mówił

o tym, że czasami człowiek nie jest w stanie się zmienić; że nie jest do tego zdolny, chociaż byłoby to dla niego

korzystne; że zarówno zadawnione przyzwyczajenia, jak i ambicje są zbyt zakorzenione i nie da się ich

zmienić; że te przyzwyczajenia i wyuczone zachowania dają takie poczucie bezpieczeństwa, że nie można się

ich wyzbyć.

- A co z miłością? - szepnęła Madelyn, patrząc na niego ogromnymi i wilgotnymi, umalowanymi oczami.

- Z miłością czy z namiętnością? - zapytał Vance, a na jego twarzy pojawił się wyraz tęsknoty tak wielkiej, że

przypominała udrękę. - Powiedz mi, jaka jest między nimi różnica, a odpowiem ci na to pytanie.

Odczekał chwilę, a kiedy Madelyn nie potrafiła znaleźć odpowiedzi, posłał jej swój słynny dwuznaczny

uśmieszek, a potem wzruszył z rezygnacją ramionami.

- Cokolwiek było między nami, było niewystarczające.

- Co teraz zrobisz? - zapytała Madelyn.

- Odejdę - powiedział Vance - bo oboje rozszarpujemy Alice i nie może to już dłużej trwać. Odejdę, kiedy

będę mógł. I nie wrócę, bo Alice wie już, czym jest miłość. Ja też wiem. I to wystarczy.

Następnie Vance oddalił się i wszedł do pokoju Summer, żeby się z nią pożegnać, a Bull i Julie dali znak

operatorowi, by dał zbliżenie znikanej twarzy Madelyn.

Nagle z głębi korytarza, zza pleców członków ekipy, dobiegł szloch. Do Julie podbiegła Summer. Poły

szlafroka plątały jej się wokół nóg, a bandaż na głowie rozluźnił się. Dziewczynka chwyciła dłoń Julie, szarpiąc

ją gwałtownie. Po policzkach płynęły jej łzy, a na szczupłej twarzy malował się nieutulony żal.

- Nie wiedziałam, że on nie wróci, że nigdy go już nie zobaczę! Niech pani zrobi tak, żeby wrócił. Wiem, że

pani może to zrobić. Niech pani tak zrobi!

Julie wzięła dziewczynkę w ramiona, przytuliła jej drobne ciało, czując ucisk w gardle.

- Och, Summer - szepnęła bezradnie. - Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro.

W tym samym momencie pojawiły się koło nich Donna i Annette. Vance wyszedł z pokoju szpitalnego i

stał zakłopotany z boku. Pozostali członkowie ekipy zgromadzili się wokół. Rozległy się szepty.

- Biedne, zagubione dziecko.

- Jest nadwrażliwa, jak matka.

- Boże drogi, nie przypuszczałem, że ona może lubić starego Vance'a.

- Jej nie chodzi o Vance'a, idioto.

Potem tłum rozstał się, robiąc przejście Reyowi. Rey przykląkł na jedno kolano obok Summer i dotknął

jej ramienia. Summer odwróciła głowę. Zobaczywszy Reya, wyrwała się Julie i rzuciła się z płacze w jego

ramiona.

- Chcę mieszkać z tobą - wołała, wtulając twarz w jego szyję. - Nie odchodź. Nie opuszczaj mnie.

- Nie odejdę - powiedział Rey miękko. - Zostanę tu na zawsze.

- Jeżeli odejdziesz, to ja będę musiała wrócić z matką. Będę musiała!

- Tylko pod warunkiem, że będzie ci z nią dobrze - powiedział, patrząc przed siebie. - I tylko jeżeli tego

będziesz chciała. Obiecuję ci to.

- Poważnie? - zapytała dziewczynka z ulgą, a równocześnie z napięciem.

- Daję ci na to słowo.

Summer westchnęła i przytuliła się do niego mocniej, pociągając nosem. Ścisnęła go tak mocno, że

koniuszki jej palców miały kolor wosku. Być może Rey czuł ten uścisk, jednak nie dał tego po sobie poznać.

Uspokajał dziewczynkę, gładząc ją po plecach. Annette z twarzą pokrytą czerwonymi cętkami przepchnęła się

do nich. Chwyliła córkę za ramię.

- Dziecko, jestem tutaj. To ja, twoja mama - powiedziała. - Nie płacz, to tylko film. Tylko film, nic więcej.

- Nie! - krzyknęła Summer, wrywając się matce i nie patrząc na nią.

Annette cofnęła się oszołomiona.

- Widzi pan, co pan zrobił?! - krzyknęła do Reya. - Wiedziałam, że to źle, że pan się nią tak zajmuje, że ją pan

zabiera na łódkę. Widzi pan, co się dzieje, kiedy ktoś igra z uczuciami dziecka?!

Rey popatrzył na nią z gniewem.

- Gdyby pani bardziej się nią zajmowała, gdyby pani ją kochała dla niej samej, nie widząc w niej odbicia

siebie, nie potrzebowałyby mnie.

- Ona pana wcale nie potrzebuje. Ona potrzebuje kogoś innego, kogoś nierealnego. Nakładł jej pan do głowy

głupstw, zaczęła myśleć, że jest pan taki jak ten Cajun w filmie. A pan taki nie jest. Nigdy pan taki nie był.

Summer uspokoiła się. Przestała płakać. Patrzyła na nich szeroko otwartymi oczami.

- Niech się pani nie martwi, Annette - powiedział Rey spokojnie. - Summer dobrze wie, że Królestwo bagien

to tylko film .. Wie też lepiej od innych, że filmy się kończą. Nauczyła ją pani przynajmniej tego.

Annette patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, a potem jej twarz wykrzywił okropny grymas.

- Ona jest moim dzieckiem! - krzyknęła. - Ja bez niej jestem niczym. Ona jest wszystkim, co mam. Ona jest

mi potrzebna! Tak, potrzebuję jej!

Kiedy echo tego rozpaczliwego krzyku zamilkło w końcu korytarza, Summer poruszyła się. Podniosła

powoli głowę. Spojrzała na matkę, a potem na Reya. Zaciśnęła na chwilę usta, a potem jej drobne rysy zakrzepły

w takim wyrazie cierpienia, że przestały przypominać rysy dziecka.

Rey, trzymając ją za rękę, odezwał się łagodnie, ale z naciskiem:

- Summer wie, że pani jej potrzebuje. I wie, że pani ją na swój sposób kocha, podobnie jak Jean-Pierre kochał

Alice. Co więcej, ona rozumie, że ja co prawda nie jestem Jean-Pierre'em, ale że tutaj, w sercu bagien i w moim

sercu, będzie zawsze dla niej miejsce.

- Tak, rozumiem, chyba tak - powiedziała Summer cicho.

- I będziesz o tym pamiętała?

- Zawsze. - Zachłysnęła się tym słowem. - My ... my ... dobrze się bawiliśmy, prawda?

- Oczywiście - przyznał cicho Rey.

- Nie zapomnę, jak się tańczy walca Cajunów.

- Nie zapominaj.

- I kiedyś tu wrócę, naprawdę. I pojedziemy znowu na ryby. I popłyniemy łódką tam daleko, tam, gdzie

kończą się bagna, a zaczynają jeziora.

- Będę na ciebie czekał. A tymczasem będę cię oglądał na dużym ekranie, w filmach.

- Tak, bo ja będę grała w filmach. Tak, będę grała - powtórzyła prawie bezgłośnie.

W ciszy, która po tym nastąpiła, rozległy się słowa Bulla.

- To tyle na dziś, moi państwo. Zwijamy się!

Kiedy usuwano sprzęt, Julie podniosła wzrok i zauważyła, że dziennikarka przyjaźniąca się z Vance'em

stoi w pobliżu i kieruje aparat fotograficzny na Summer i Reya. Julie ruszyła szybko naprzód i przeszkodziła

dziewczynnie, która już miała zrobić zdjęcie. Podeszła do niej z ponurą miną.

- Chwileczkę - powiedziała dziennikarka, cofając się. - Ja mam pozwolenie. Vance mówił ...

- Nie obchodzi mnie, co mówił Vance. Już pani nie ma pozwolenia - stwierdziła Julie.

- To, co się tutaj dzieje, jest interesujące. Te zabójstwa, wypadki, ta scena z dziewczynką. Nie może pani

zabronić czytelnikom ... - Nie mogę? - zapytała Julie, po czym wyciągnęła rękę i wyrwała aparat dziennikarce.

Dziewczyna rzuciła się na nią, żeby odebrać swoją własność, ale ona odwróciła się, otworzyła aparat i

wyjęła film, ściągając z rolki prześwietloną część. Potem gwałtownym ruchem oddała pusty aparat właścicielce.

- Proszę to wziąć i się stąd wynosić. Jeżeli jeszcze raz pokaże się pani na planie, każę panią aresztować za

wkroczenie na cudzy teren.

Dziennikarka oddaliła się. Julie zobaczyła, jak Summer i Rey odchodzą korytarzem wraz z Annette. Szli

w stronę pustej poczekalni. Julie usłyszała niski głos Reya i zobaczyła, że Summer podnosi na niego oczy z

nadzieją, ufnością i miłością. Dziewczynka pociągała nogami, ale trzymała za ręce Reya i matkę i już nie

plakała.

Natomiast Julie tak. Julie plakała. Tonęła w tych łzach. Ogarnęła ją potężna fala czułości i to ta czułość

przyniosła łzy. Julie zdała sobie sprawę, że kocha tego człowieka, który potrafi zrozumieć potrzeby dziecka i

zaspokajając je nie szczędzi siebie. Kochała go za wszystko, za jego siłę, dobroć i poczucie humoru. Kochała go

za to, co robił dla innych, i za to, że budził w niej takie, a nie inne uczucia. Kochała go, chociaż wiedziała, że to

nic nie zmieni.

Oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Uświadomiła sobie, że drży. Była słaba i prawdopodobnie za

wcześniej podjęła zbyt duży wysiłek. Ale drżenie to spowodował też szok, jakiego doznała uświadomiwszy sobie

własne uczucia. A także wściekłość - zwykła, trawiąca ją od wewnątrz furia, nakazująca się bronić.

Bo nawet mała Summer, która była taka krucha i tak bardzo potrzebowała poczucia bezpieczeństwa

płynącego z miłości, miała w sobie tyle odwagi. Ktoś, kto by chciał ją zaatakować, musiałby być zdecydowany

nie cofać się przed niczym.

Julie zdała sobie teraz sprawę z czegoś innego. Uświadomiła sobie, jaki jest ten ostatni, mały fragment

łamigłówki, którą układała w wyobraźni. I gdzie kryje się przyczyna wszystkiego.

Wiedziała już, co musi zrobić.

Doszła do wniosku, że skoro tak czy inaczej ma być celem ataków, to powinna się z tym zmierzyć. Być

może nie było to zbyt mądre, jednak była już zmęczona zastanawianiem się, co będzie dalej, oczekiwaniem na to

i świadomością, że nie ma żadnego wpływu na przebieg wypadków. Poza tym była wściekła. Wściekłość leżała

u podłoża wszystkich jej umysłowych wysiłków, wściekłość wywołana tym, że ktoś uważa, że może atakować

to, co do niej należy, posługiwać się tym dla własnych celów i robić to bezkarnie. Była jeszcze rozzalona, ale

nad tym wolała się nie zastanawiać,

Zaraz po powrocie do domu ciotki Tine zadzwoniła do motelu w Gonzales. Potem usiadła i przez dłuższy

czas pisała list, w którym informowała adresata o tym, co robi. Tym adresatem musiał być ktoś, kto nie narobi

alarmu i nie spłoszy jej ofiary. Długo zastanawiała się, do kogo zaadresować ten list, ale właściwie nie miała

wyboru - był tylko jeden człowiek, co do którego Julie nie miała wątpliwości, że zrobi to, co trzeba. Włożyła

więc list do koperty, zakleiła ją i, napisała na niej szybko nazwisko ciotki Tine,

Spódnica i bluzka w kolorze khaki nie były odpowiednim strojem, Ściągnęła je z siebie i rzuciła na

łóżko, a potem zrzuciła z nóg brązowe buty na płaskich obcasach. Wyjęła z szafy džinsy i koszulkę trykotową w

niebieskie i białe paski, ubrała się w nie, a potem wciągnęła skarpetki i adidasy. W ostatniej chwili zawiązała

sobie w pasie biały bawełniany sweter. W powietrzu wisiał wilgotny spokój; Julie wiedziała, że zapowiada to

deszcz.

Summer wróciła do domu z Donna, gdyż Annette, po dyskusji, która nastąpiła po nakręceniu sceny w

szpitalu, zgodziła się dobrowolnie wrócić na oddział odwykowy. Powiedziała, że ze względu na córkę chce

uporządkować swoje życie i że właśnie odwykówka jest miejscem, od którego należy zacząć. Później Donna

pojechała do domu zobaczyć, co się dzieje z dziećmi. Julie słyszała teraz, że w sypialni ciotki Tine gra telewizor.

Pomyślała, że to Summer ogląda jakiś program. Ciotka Tine była jak zwykle w kuchni. Rey nie wrócił jeszcze

do domu po zdjęciach, nie powiedział też nikomu, dokąd jedzie.

Julie nie chciała, żeby po przeczytaniu jej listu ktoś podjął przedwczesne kroki. Przeszła przez jadalnię

do salonu, a stąd do sypialni. Summer leżała na łóżku w piżamie i wyblakłym szlafroku przypominającym

szlafrok ciotki Tine i oglądała jakiś teleturniej. Nos miała wciąż czerwony, a oczy zapuchnięte od płaczu, ale

była spokojna.

Julie, stojąc w drzwiach, przyglądała się jej przez parę chwil.

Zastanawiała się nad przebiegiem wypadków i nad tym, że tak mało można było zrobić, żeby zmienić ich

bieg. W końcu weszła do pokoju.

- Summer?

Dziewczynka podniosła głowę i uśmiechnęła się blado.

- Chcesz coś dla mnie zrobić? - zapytała Julie.

- Tak.

- To poczekaj jakąś godzinę, a potem daj to cioci Tine. Będiesz pamiętała?

- Oczywiście - zapewniła dziewczynka, biorąc kopertę i przyglądając się jej z umiarkowaną ciekawością.

- Oddaj jej to na pewno. To bardzo ważne.

- Dobrze.

Julie zawahała się, zastanowiła się, czy powiedzieć coś jeszcze.

Jednak doszła do wniosku, że przestraszyłoby to dziewczynkę. Odwróciła się i idąc do wyjścia, uśmiechnęła się, patrząc przez ramię.

- Dziękuję ci, kochanie.

- A dokąd pani idzie? - zawołała za nią Summer.

- Polować na węże - powiedziała Julie odruchowo, ale zaraz dodała: - Nie, nie, to głupi żart. Jadę trochę

popracować.

Doszła już do schodków na tylnej galerii, kiedy usłyszała tupot bosych stóp.

- Proszę pani! Niech pani zaczeka!

Julie odwróciła się natychmiast i zapytała cicho:

- Co takiego?

- Jedzie pani na nasz teren? - Dziewczynka patrzyła na Julie szeroko otwartymi oczami. - Coś w tym rodzaju.

- Ale jest już prawie ciemno.

- Wiem. Nie będę tam długo.

- Ale pani dopiero wyszła ze szpitala. I była pani tam naprawdę, nie grała pani.

- Czuję się dobrze. Nie martw się.

- A nie boi się pani?

Niepokój malujący się na twarzy Summer był wzruszający. Julie weszła na werandę i objęła dziewczynkę.

- Tak, trochę się boję - przyznała szczerze. - Ale nic mi się nie stanie. Będę ostrożna. A ty nie zapomnij dać

listu cioci Tine.

Dziewczynka kiwnęła głową, chociaż w jej oczach czaiły się wątpliwości. Wróciła do domu,

ciągnąc za

sobą poły szlafroka. Julie odprowadziła ją wzrokiem. Kiedy Summer zamknęła za sobą drzwi, podeszła szybko

do samochodu.

Przejeżdżając przez bramę, pomachała ręką wartownikowi.

Zaparkowała koło karawaningu, przekręciła kluczyk i zgasiła reflektory. Siedziała w ciemności, patrząc

na duży, ciężki pojazd stojący przed nią. Był ciemny i pusty, podobnie jak trzy pozostałe, zaparkowane tutaj

ponownie po przyciągnięciu ich z planu.

Nie było nikogo. Klub jachtowy był zamknięty na trzy spusty, oświetlało go tylko odstraszające owady

światło przy wejściu. Przyczepy mieszczące biura i garderoby stały puste. Przy moło kołysały się na cumach

dwie łodzie z kabinami, a skif obijał się o pał, do którego był przywiązany. Poza tym panował bezruch. Oprócz

Julie na terenie znajdował się jedynie wartownik, który, przepuściwszy ją przez bramę, wrócił natychmiast do

czytania książki.

Julie wysiadła z samochodu. Cicho zamknęła za sobą drzwiczki.

Idąc w stronę karawaningu, wybrała z całego pęku jeden klucz. Włożyła klucz do dziurki, obróciła gałkę

i otworzyła drzwi, a potem sięgnęła do drzwi z siatki. Zatrzymała się, zaglądając do ciemnego wnętrza, w

którym panowała cisza. Stojąc na żelaznym stopniu, wyciągnęła rękę i zapaliła światło.

W środku nie było nikogo.

Julie westchnęła i przeszła przez próg. Kiedy znalazła się w kuchni, położyła torebkę na stole. Potem

wróciła do drzwi i zamknęła je na klucz. Jak zwykle, w metalowym pomieszczeniu było upalnie. Julia włączyła

klimatyzację, a potem zaczęła odwiązywać sweter.

Kiedy schyliła głowę, włosy opadły jej na twarz. Odgarnęła je palcami. Pociągnęła przy tym delikatne

pasemka na skroni i poczuła przejmujący ból- włosy przykleiły się do plastra przytrzymującego bandaż na czole.

Przestała się na chwilę zajmować swetrem i poszła do małej łazienki, żeby poszukać gumki, którą mogłaby

związać włosy. Znalazłszy ją zaplotła sobie warkocz i związała go. Przyglądając kilka wymykających się

kosmyków, weszła z powrotem do kuchni.

Wino, pomyślała, i ser, i krakersy. Wyjęła to wszystko z lodówki, rozłożyła na stole, a potem postawiła

dwa kieliszki i położyła serwetki. Nalała sobie wina ze schłodzonej butelki i usiadła wygodnie na ławie.

Popijając powoli wino, cierpliwie czekała.

Gdy kieliszek był prawie pusty, parking omiotło światło reflektorów samochodowych, a po chwili trzasnęły drzwiczki. Zaraz potem rozległo się pukanie; drzwi karawangu zatrzęsły się, stucząc o framugę.

- Julie? Jesteś tam? Wstała i otworzyła drzwi. - Wejdz. Napij się.

- Boże, nie mogę uwierzyć, że siedzisz tu sama po tym wszystkim - powiedziała Ofelia wchodząc. - Życie ci

nie miłe?

- Pomyślałam, że tu będę miała spokój. - Julie wróciła na swoje miejsce.

Ofelia roześmiała się niezbyt wesoło.

- Jeżeli o to chodzi, to miałaś rację. A nad czym pracujesz?

- Usiądź i posiedź trochę. - Julie nalała wina do drugiego kieliszka. - Pomyślałam, że można by ustalić plan

pracy na najbliższe kilka dni. Trzeba wprowadzić pewne zmiany, bo zmieniliśmy z Bullem zakończenie.

- Ja nie mogę siedzieć tu długo. Jestem umówiona na karty — powiedziała Ofelia, sadwiąc się na krawędzi

ławę stojącej po przeciwnej stronie stołu. - A zresztą czy nie powinnaś o tym porozmawiać z Bullem? Bo teraz

to on przecież jest szefem, a ty pierwszą asystentką. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Pilnuję tylko, żeby

wszyscy słyszeli to, co wy mówicie.

Julie uniosła brew.

- Jakie znaczenie ma oficjalna funkcja? Bull i tak akceptuje moje pomysły. Właściwie to chciałam, żeby tu

był z nami, ale on się trochę boi tego miejsca. Mówił, że słyszał jakieś chrobotania w ścianach, schowkach i

przewodach wentylacyjnych. Wyobrażasz sobie? Nie mam pojęcia, co by to mogło być, może szczury?

- Mężczyźni są jak dzieci. - Ofelia wzruszyła ramionami. - Ale o jakich zmianach myślałaś?

- Może warto by się było zastanowić nad sceną porwania Summer, nad tą, w której następuje wybuch i ona

omal nie zostaje zabita. Mamy to na taśmie, bo kamery pracowały, kiedy Rey ją chwycił i wpadł do wody. Ten

materiał jest taki świetny, że szkoda by było go nie wykorzystać.

- Rozumiem, co masz na myśli - powiedziała Ofelia, kiwając głową. - A co poza tym?

- Myślałam o ponownym nakręceniu sceny pogoni, tuż przed wybuchem. Rey, zastępujący Vance'a, przeskoczyłby ze skifu do pędzącej motorówki, a potem walczyłby z dwoma opryszkami uciekającymi z

Summer i wyrzuciłby ich za burtę jak jakiś prowincjonalny James Bond. Następnie pokazalibyśmy scenę z

Reyem i Summer, która już jest gotowa. A potem ... - Julie przerwała. Uniosła podbródek, odwracając głowę. -

Słyszałaś to?

- Co? - Ofelia rozejrzała się po pomieszczeniu.

- Nie wiem. Jakieś syczenie.

- Nic nie słyszałam.

- Nie? To chyba przez to gadanie Bulla jestem taka nerwowa. O czym to ja mówiłam? Aha, o scenie z udziałem Summer. Możemy sfilmować Vance'a wychodzącego z wody z nieprzytomną Summer w ramionach.

Trochę ich trzeba ucharakteryzować i voila!

- Nie widzę powodu, dla którego to nie miałyby się udać - powiedziała Ofelia.

- Najlepsze jest to, że nakręciliśmy ten materiał nie łamiąc przepisów dotyczących pracy dzieci, gdyż był to

wypadek. Jestem zadowolona, że mamy ten materiał. I ciągle myślę, że nikt przy zdrowych zmysłach nie

wsadziłby Summer na łódź, która miała wylecieć w powietrze.

Ofelia zerknęła na Julie. Po chwili uśmiechnęła się.

- Tak, to święta prawda - przyznała. - A co do tej sceny, to nie wiem, co bym mogła dodać. Ty ją tak dobrze

obmyślaś.

- No nie wiem. Zastanawiałam się, czy nie miałybyś czegoś do dodania na temat reakcji Vance'a w chwili gdy

Summer znajduje się już, że tak powiem, na suchym lądzie. Widziałyśmy, jak ona wyglądała po tym wypadku,

kiedy omal nie utonąła. Czy on powinien być przerażony myśląc, że mała nie żyje, i czy potem powinien

dziękować Bogu za to, że jednak ocalała? Czy powinien być wściekły? Czy powinien chcieć się zemścić?

- Myślę - zaczęła Ofelia powoli - że najlepiej by było, gdyby zareagował tak jak Rey. - To znaczy jak?

Julie zmieniła pozycję, wyciągając jedną nogę pod stołem.

- Powinien być zaniepokojony, powinien się bać, że mała nie żyje, a wszystkie inne uczucia powinny być na

dalszym planie, dopóki nie przekona się, co z nią jest.

- Aha, no świetnie - powiedziała Julie, biorąc kieliszek; oparła się plecami o ścianę, wyciągnęła drugą nogę i

przesunęła stopę w stronę Ofelii. - Podoba mi się ten pomysł, na ...

Przerwała, cofając się ze stłumionym okrzykiem. Upuściła kieliszek i wskoczyła na ławę.

Ofelia aż podskoczyła. Rzuciła się w drugi koniec kuchni i uderzyła się o zlew.

- Zabij go! - krzyknęła. - Zabij go.

Julie znieruchomiała w półprzysiadzie. Przy wtórze odgłosów tłuczonego szkła i rozlewającego się wina

patrzyła na przyjaciółkę i asystentkę znajdującą się w drugim końcu kuchni i dostrzegła na jej okrągłej twarzy

strach, mściwość i chęć niszczenia.

- Co mam zabić, Ofelio? - spytała cichym głosem.

Ofelia nie była głupia. Zrozumiała, co zrobiła, zanim Julie skończyła mówić. Zamrugała szybko, a potem

jej drżące wargi ułożyły się w coś, co bardziej przypominało grymas niż uśmiech.

- Boże, Julie, jak ty mnie przestraszyłaś. Myślałam, że to co najmniej szczur wszedł ci na nogę.

- Mnie się wydaje, że było inaczej - powiedziała Julie, prostując się. - Myślę, że się spodziewałaś, że to

grzechotnik Myślę, że od jakiegoś czasu czekasz, aż się pojawi.

- Nie, ja naprawdę ...

- Tak, tak Problem jednak polega na tym, że ten wąż już został znaleziony. Dość dawno temu. Ja go znalazłam.

Ofelia usiłowała się roześmiać. Ale jej śmiech był jakiś nienaturalny.

- Boże, Julie, mówisz tak, jakbyś sądziła, że to ja go tu wpuściłam.

- Czy ja powiedziałam, że on tutaj był? - spytała łagodnie Julie.

- Musiałaś ... dawałaś do zrozumienia ...

- Nie. - To słowo zabrzmiało spokojnie, ale stanowczo. - Nikt inny o tym nie wiedział, nikt nie miał powodu

bać się przyjść tutaj, nikt poza osobą, która usiłowała mnie zabić. Nikt poza zabójczynią. Nikt poza tobą, Ofelio.

Ofelia wpatrywała się w Julie z nieruchomą twarzą. Zdała sobie bowiem sprawę, że się zdradziła. Żrenice jej

patrzących z nienawiścią oczu zwęziły się do granic możliwości. Blade, zeszywniałe usta otworzyły się.

- Dziwka - wyszeptała chrapliwie. - Dziwka, która ma szczęście.

- Tak, jeżeli o to chodzi, to zgadzam się: mam szczęście - powiedziała Julie z prostotą.

- Chciałam, żebyś umarła, naprawdę.

Pod Julie ugięły się kolana. Usiadła.

- Dlaczego? - zapytała szczerze zaintrygowana, marszcząc przy tym brwi. - Chociaż ... chwileczkę, zaczynam

coś rozumieć. Tu chodzi o Allena. Ty się w nim kochasz, prawda? Od lat?

- Kocham się w nim? - Ofelia powtórzyła te słowa tak, jakby mówiła je w obcym języku. A potem zaśmiała

się ochryple, histerycznie. - Ja go uwielbiam. To idiotyczne, co? Bo co on mógłby zobaczyć w kobiecie takiej

jak ja? On lubi kobiety subtelne, piękne, takie, które mogą wzbogacić jego image, na przykład mające sławnego

ojca. Więc dlatego przypochlebiałam mu się, informowałam go. Robiłam to, bo miałam nadzieję, że da mi

szansę, tak jak dał ją tobie. Ale to się na nic nie zdało. Nic na to nie mogę poradzić. Uwielbiam go.

- Tak bardzo, że myśl o tym, że go porzucę, doprowadziła cię do wściekłości. Tak bardzo, że usiłowałaś

przekonać mnie, żebym z nim została.

- Nie wiem, być może. Gdybyś się z nim rozstała, ja nie miałabym pretekstu, żeby być koło niego.
Dopóki z

nim byłaś, dopóki z tobą pracowałam, miałam przynajmniej powód, żeby go widywać. - Ale wystawiłaś to

wszystko na niebezpieczeństwo, mieszając się w handel narkotykami. To nie ma sensu.

Usta Ofelii wykrzywiły się w brzydkim grymasie.

- Powiem ci, co ma sens. Sens mają pieniądze! Nie wierzę, że przez cały czas nie zdawałaś sobie sprawy, jak

bardzo ich potrzebuję. Boże drogi, Julie, ja chciałam mieć twoją pracę i twoje pieniądze. Chciałam je mieć o

wiele bardziej, niż pragnęłam Allena. Rozpaczliwie chciałam mieć wszystko, co ty miałaś, a zwłaszcza robić

filmy.

- To dlaczego ich nie robiłaś?

- Dlatego, że nie mam sławnego ojca! A poza tym ja jestem kobietą. Może tego nie zauważyłaś, ale tak jest. A

w Los Angeles nie daje się pieniędzy kobietom reżyserom. Za kobietą reżyserem musi ktoś stać, musi ją

popierać jakiś mentor, kochanek. Spójrz na mnie. Komu przyjdzie do głowy, że sypianie ze mną jest warte sześć

milionów dolców? Potrzeba mi pieniędzy, mnóstwo pieniędzy, żebym mogła zrobić pierwsze dwa czy trzy filmy

i żebym mogła pokazać, co potrafię, żebym mogła zrobić coś, co da dochód pozwalający mi być niezależną.

- Ja zaczęłam od rzeczy małych. Ty też byś mogła - powiedziała Julie.

- Takie groszowe interesy? O nie, dziękuję.

- Z filmami jest jak ze wszystkim. Musisz zainwestować, zrobić kilka, zdobyć na nich szlify. Gdybym wiedziała, że to tak dużo dla ciebie znaczy, zrobiłabym, co bym mogła, żeby ci pomóc.

- Ale nie wiedziałaś. A mnie wkurzało, że tego nie widzisz. Uważałaś, że jesteś jedyną twardą babą,

która

potrafi robić filmy. Uważałaś, że ja jestem szczęśliwa, wykonując polecenia i od czasu do czasu mając okazję

sfilmować jakąś scenę uliczną. Rzygać się chce, naprawdę!

W jej głosie było tyle nienawiści i urazy, że Julie zdumiała się, że przez tak długi czas ich nie wyczuwała.

- Myślałam, że robisz to, co chcesz - powiedziała. W dzień pracujesz przy filmie, a w nocy włączysz się z

facetami po tutejszych spelunkach. Przypuszczam, że to w tych spelunkach zetknęłaś się z handlarzami narkotyków?

- Umierasz z ciekawości, co? Chcesz wszystko wiedzieć ze szczegółami? Założę się, że doładowujesz sobie

akumulatory słysząc, jak nisko upadłam. Ale masz tylko częściowo rację. Bo to w barach Los Angeles złapałam

kontakty. Po przyjeździe tutaj robiłam dalej to, co tam zaczęłam. Wszystko szło świetnie, dopóki Paul Lislet nie

zaczął węszyć.

- Więc go zabiłaś, a Stan zaczął coś podejrzewać ...

- Stan zrobił się pazerny. To dlatego, jeżeli chcesz wiedzieć, musiałam się go pozbyć. Wiedział, że ten

wypadek Paula był podejrzany. Zresztą ja nie miałam zamiaru pozbawiać Paula życia. Dopiero później

dowiedziałam się, że był agentem antynarkotykowym. Wtedy myślałam po prostu, że jest zbyt wścibski i że

trzeba go odstraszyć albo posłać do szpitala, gdzie pozostanie do chwili, kiedy będzie po wszystkim. Ale potem

pojawił się Bull i Stan postanowił, że nie będzie pracował z dawnym szefem. Postanowił w ogóle przestać

pracować w filmie i chciał zainkasować ile się da, tyle, żeby móc zamieszkać w Meksyku i dobrze

tam żyć.

Problem był w tym, że nie mógł strawić tej historii z Summer. Poza tym widział chyba, że ja nie żywię dla ciebie

siostrzanych uczuć, widział, że cię nienawidzę. Nie wiedziałaś o tym, prawda? A ja cię nienawidziałam, od czasu

gdy zrobiłaś ze mnie idiotkę w tym filmie o surfing. Stan zaczął się o ciebie bać. Groził mi, rozumiesz? Groził!

A ja miałam nóż. Nie wiem, dlaczego zaskoczyło go to, że jestem taka silna.

Julie pomyślała, że jej rozmówczyni oczekuje aprobaty, uznania za to, że jest taka zręczna. Nie mogła jednak wykrzesać z siebie tego uznania, chociaż miały ją różne uczucia. Pokręciła głową.

- Dla mnie w całej tej sprawie najgorsza jest ta historia z Summer. Nie rozumiem, jak mogłaś zrobić to

dziecku. Ten wybuch, ogień! Przecież, jak sama mówisz, jesteś kobietą.

- Myślisz, że ja chciałam to zrobić? Nie chciałam, ale ona widziała, jak wyjmuję węża ze swojej ciężarówki.

Podeszła do mnie z tyłu, zanim się zorientowałam, że jest w pobliżu. Powiedziałam, że to jest wąż oswojony,

taki, którego trzyma się w domu. Ona przecież pochodzi z Los Angeles, wie zatem o węzach tylko tyle, że

można je kupić w sklepach zoologicznych. Wiedziałałam jednak, że przypomni sobie o nim, kiedy usłyszy, że wąż

cię ukąsił. Ale ten wąż zniknął. Nic się nie stało.

- Zabiłam go.

Ofelia roześmiała się.

- Kto by się tego domyślił.

- Ty powinnaś była się tego domyślić, wiedząc, do czego zdolne są niektóre kobiety.

- Ale nic o tym nikomu nie powiedziałaś. Nigdy bym nie pomyślała, że to możliwe.

Julie przyszło do głowy, że Ofelii nie podoba się świadomość, że nie jest jedyną osobą zdolną do

ukrywania prawdy.

- Okazuje się, że tak - powiedziała. - Ja się zorientowałam, że to twoja sprawka, kiedy mi się przypomniało,

że od tamtej pory przestałaś tu wchodzić. Powiedziałaś mi, że to Bull cię wyrzucił. Ale to była nieprawda. Bull

poskarżył mi się, że zabrałaś jego importowane piwo do karawangu Vance'a i powiedział mi, że właściwie

mogłaś zostać i pomóc mu je wypić. Doszłam do wniosku, że skoro wiedziałaś o wężu, to byłaś też zamieszana

w całą resztę.

- To dowodzi, że jesteś bardzo inteligentna, ale to, że przyszłaś tu sama dzisiejszej nocy, temu przeczy.

Ofelia spojrzała na Julie surowym wzrokiem. Opierała się o zlew, stopy w brązowych skórzanych sandałach trzymała skrzyżowane. Dłonie położyła na krawędzi szafki. Wyglądała jak ktoś, kto w każdej chwili

może się odepchnąć i ruszyć do przodu.

- No tak - powiedziała Julie. - Ale myślałam, że może się mylę. Chciałam się mylić, naprawdę.

Nie przyszła tutaj całkiem nie przygotowana. Ale teraz czuła, że te przygotowania na nic się zdały.

- Naprawdę? - zapytała Ofelia drwiąco. - A jeżeliby się okazało, że się nie mylisz, to co? Czy uważałaś, że

cię posłucham, kiedy powiesz mi, żebym poszła z tobą na policję?

- Coś w tym rodzaju. Bo to, że tu jestem sama, nie dowodzi, że jestem jedyną osobą, która się w tym wszystkim orientuje. Rey też o tym wie. Czy wiesz, że on był kiedyś tajnym agentem DEA?

- Kiedyś! Droga Julie, on się zajmuje tym co ja. Bawił się w to przed śmiercią Paula. Jak inaczej mógłby żyć

na takim poziomie? Wziął pracę kaskadera po Paulu po to, żeby nie wziął jej nikt inny z biura szeryfa. To

wszystko.

Wesołość malująca się na twarzy Ofelii mogła przyprawić o mdłości. Julie postanowiła jednak być niewzruszona.

- O tak, masz rację - powiedziała. - To dlatego robił wszystko, żeby po wybuchu trzymać Summer z dala od

ciebie, prawda? Pilnował, żeby przez cały czas ktoś z nią był. Zabrał ją nawet do swojego domu, kiedy

przekonał się, że pracujesz nad Annette, że dajesz jej darmowe próbki narkotyków, takie jak ta, którą zosta

wiłaś tutaj, w karawaningu.

Julie domyśliła się tego w ciągu ostatnich paru godzin. Była prawie pewna, że się nie myli. Prawie.

- No tak, więc on współczuł Summer. I powstrzymywał ją od rozgadywania tego, co wiedziała, prawda? A

poza tym, jeżeli prowadził jakieś śledztwo, to mógł pobiec za mną po tym, jak cię postrzeliłam. A nie zrobił

tego.

- Bo bał się o mnie. Chciał mi zapewnić opiekę lekarską.

- Cholera, Julie, jesteś zbyt naiwna, żeby żyć. Zresztą to trwa już zbyt długo. Wstawaj. Idziemy.

Ofelia wyjęła pistolet z tylnej kieszeni dżinsów i przystawiła go Julie do mostka. Julie spojrzała na wlot

lufy, przypominający czarne gardło. Zadrżała. Poczowała pulsowanie w skroniach. Przez chwilę kręciło jej się w

głowie, ale zaraz potem wróciła jej jasność widzenia.

Wstała bardzo powoli.

- Dokąd idziemy?

- Nad rzekę, gdzie powinnam była zabrać cię już dawno. Czy ktoś ci mówił, że opryski z Nowego Orleanu

wrzucają do niej swoje ofiary? To z powodu aligatorów. Aligatory nie atakują żywych ludzi, ale zjadają

wszystko, co jest martwe.

- Słyszałam o tym.

- Tak myślałam. Wychodź za drzwi. Przez parking przejdziemy jak dwie najlepsze przyjaciółki. A kiedy

wartownik nie będzie nas już widział, wsiądziemy na łódkę i zrobimy sobie małą przejażdżkę.

Julie posłusznie wykonywała polecenia. Kiedy były w połowie parkingu, odezwała się:

- Będiesz ostatnią osobą, z którą mnie widziano. Jak masz zamiar to wyjaśnić?

- Nie będzie z tym problemu. Kiedy wrócę, zatoczę koło tak jak wtedy, kiedy do ciebie strzelałam. Dopilnuję,

żeby wartownik mnie nie zauważył, a może nawet wejdę z powrotem do karawangu. Po jakimś czasie wyjdę z

niego z ogromnym hałasem i zacznę się serdecznie żegnać. Może powiem wartownikowi, że ty jesteś strasznie

pracowita. Przy odrobinie szczęścia wszyscy zorientują się, że cię nie ma, dopiero przed południem.

- A jak wytłumaczysz to, że o północy wypłynęłyśmy na rzekę?

- Powiem, że szukałyśmy miejsca na zdjęcia. Że chciałyśmy zobaczyć rzekę w nocy. Przecież ty to już kiedyś

zrobiłaś.

W rozumowaniu Ofelii było tyle przebiegłości, że Julie wołała się nad tym nie zastanawiać.

- Mam lepszy pomysł - powiedziała. - Jeżeli pójdziesz ze mną na posterunek i przyznasz się do handlu

narkotykami, potraktują cię pobłażliwie.

- Nieźle to wymyśliłaś. Problem w tym, że w Luizjanie za morderstwo grozi kara śmierci. Wolę więc nie

ryzykować. A poza tym od tego przyznania się nie przybędzie mi ani jednego centa.

Kiedy przechodziły przez otwartą przestrzeń oświetloną bladym światłem lamp rtęciowych, wartownik

siedzący w budce podniósł głowę. Julie poczuła na żebrach dotknięcie pistoletu. Wolną ręką Ofelia

pomachała.

Mężczyzna poznał je obie i też podniósł rękę. Patrzył na nie przez chwilę, a potem wrócił do książki.

- Weźmiemy skif - oświadczyła Ofelia, kiedy podeszły do doku.

- Nie trzeba zwracać na siebie uwagi, prawda?

W tym, co robiły, było coś tak nieprawdopodobnego, że Julie ta scena wydała się nierealna. Miała wrażenie, że w każdej chwili ktoś może krzyknąć "Kamera stop" i ją zakończyć. Zatrzymała się, a Ofelia

popchnęła ją naprzód.

- To jest szaleństwo - powiedziała Julie.

- No tak, uważasz mnie za wariatkę. Ale ja jestem normalna. Zabijanie jest jak oszukiwanie w kartach. Za

pierwszym razem człowiek czuje się okropnie, za drugim już nie tak źle, a za trzecim i czwartym mówi sobie: to

nic takiego.

- Ty oszukiwałaś?

- Właściwie to nie, ale rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć. Nie będzie mi trudno cię zabić. Wsiadaj więc

do łodzi.

- Szkoda by było, gdybyś musiała zastrzelić mnie tutaj i gdyby twój plan poszedł na marne.

- Ale ty i tak straciłabyś życie.

Ta logika była żelazna. Julie ruszyła przed siebie, dźgana lufą pistoletu.

Ofelia zdecydowanym gestem nakazała jej usiąść z tyłu łodzi.

Odepchnęła skif, wsiadła i zajęła miejsce z przodu, tak że mogła sięgnąć do silnika. Siedziała twarzą do

swej ofiary. Obróciła łódź i po chwili płynęły z prądem rzeki.

Nocne niebo było pokryte chmurami, spoza których od czasu do czasu przebłyskiwały gwiazdy. Ich nikłe

światło odbijało się w wodzie, mimo to widoczność była żadna. Jednak Ofelia nie zapaliła świateł.
Płynęła cicho

wzdłuż prawego brzegu.

W ciemności śpiewały owady i chóry żab. Od czasu do czasu nad głowami kobiet przelatywały nietoperze i sowy. Nocne zwierzęta przypominały ruchome cienie, które wpadały do wody i znikaly albo

zamierały w bezruchu i czekały, aż skif się oddali. Mgła podnosząca się z wody pachniała błotem, zgnilizną i

rybami. Nad rzeką wisiał też zapach rozkładu, przypominający o śmierci.

Julie zastanawiała się, w jakim stanie jest akumulator - Rey eksploatował go nieźle podczas ich nocnych

przejażdżek po rzece. Pomyślała jednak, że z pewnością go naładowano, gdyż silnik pracował gładko. Płynęły

kanałami i odnogami, mijały obozowisko rybaków i myśliwych, w końcu minęły też sanktuarium Matki Boskiej

z Blind River.

Na widok sanktuarium Julie przypomniała sobie ciotkę Tine i historię, którą opowiadała. Wraz z tymi

wspomnieniami przyplnęły do niej wspomnienia chwil spędzonych na rzece. Był z nią wtedy Rey. Przelatywał

przez bagna, ciągnąc za sobą kłębiącą się pianę przypominającą srebrny ogon. Ciemny, silny i nieco tajemniczy,

gotowy był wyciągnąć ją z wody i zawieźć do domu, a potem śmiać się z całej przygody. Innym znowu razem

pedzili po wodzie, wiatr rozwiewał im włosy, a słońce zaglądało w twarze. Wszystko to przypominało sen.

Czyżby te obrazy były wytworem jej potrzeb i pragnień? Czyżby te pragnienia i potrzeby sprawiły, że czas

spędzony z Reym wydawał się przesycony ciepłymi uczuciami i głębokim sensem, których w istocie wtedy nie

dostrzegała?

Nie, nie będzie o tym myślała. Bo to nic nie pomoże.

Musi się skupić. Musi usunąć ze świadomości mgłę, wspomnienia i ból. Musi się zastanowić.

Rey i Paul. Dwaj chłopcy w pirodze na rzece. Nie na Blind River, ale na potężnej Missisipi. Tam, jeżeli

dobrze zrozumiała, zdarzyło się coś, co jest dla niej ważne. Tak.

Wilgoć wisząca nad rzeką przesycała bluzkę i dzinsy, które zrobiły się lepkie, więc Julie zaczęła szczerkać

zębami. W każdym razie tłumaczyła sobie, że taki jest powód tego szczerkania. Wokół talii wciąż miała

zawiązany sweter, gdyż w karawaniu w końcu go nie zdjęła. Teraz zaczęła majstrować przy węźle.

- Co robisz? - spytała ostro Ofelia siedząca naprzeciwko niej z pistoletem w jednej ręce i z drugą wyciągniętą

w tył do rumpla. - Zimno mi. Chciałam włożyć sweter.

Ofelia roześmiała się.

- Proszę bardzo. To mi nie sprawia różnicy.

Julie miała na końcu języka jakąś ciętą odpowiedź, ale powstrzymała się i nic nie powiedziała. Lepiej

będzie, jeżeli Ofelia będzie przekonana, że ona jest zastraszona, że się boi. Zresztą może powinna się bać. A

może boi się naprawdę.

Potrząsnęła swetrem i zarzuciła go sobie na ramiona, nie wsunęła jednak rąk w rękawy. Oparła się jedną

ręką o burtę i wspierając się na niej, spojrzała w stronę, z której przypląnęły.

- Co masz nadzieję zobaczyć? Nikt za nami nie płynie. Już ja tego dopilnowałam.

Julie poczuła mrowienie w czaszce i przyływ bólu.

- O czym ty mówisz? - spytała ostro.

- Jadąc tutaj, wpadłam do ciotki Tine. Nie chciałam iść do karawaniu i pomyślałam, że może złapię cię w

domu. Rozumiesz. Ciotka Tine dzisiaj gra w bingo. Założę się, że o tym zapomniałaś. W domu była Donna z

dwójką swoich maluchów. Jak zwykle pilnowała Summer, a Summer spała na kanapie. Na podłodze leżał ten

liścik. Od razu poznałam twoje pismo, poznałabym je wszędzie. Wzięłam go.

Ofelia poklepała się po kieszeni na piersi, a pod jej dłonią sucho zaszeleścił papier. Julie odetchnęła.

Przez chwilę myślała, że Summer i ciotka Tine mogą być ... ale nie, nic im nie groziło, były bezpieczne. Jak na

razie.

One przynajmniej były bezpieczne. W przeciwieństwie do niej.

Chłód przeniknął ją do szpiku kości. Zatrzęsła się, ogarnął ją nagły dreszcz przerażenia. Nikt nie pospieszy jej z pomocą, ani szeryf z zastępcami, ani Rey, nikt. Na rzece są tylko we dwie: ona i Ofelia. I nikogo

więcej nie będzie.

Zaczął padać drobny deszcz; wilgoć sączyła się z jesiennego nieba, jak gdyby przesycone nią powietrze

nie mogło dłużej powstrzymać kropel. Deszcz szeptał na powierzchni rzeki i wśród liści drzew. Julie czuła, że

włosy ma już mokre, podobnie jak zarzucony na ramiona sweter. Na jej twarzy osiadała wilgoć; Julie zrobiło się

zimno, ale pewnie dzięki temu rozjaśniało jej się w głowie. Zdawała sobie sprawę z tego, że Ofelia znosi deszcz

gorzej niż ona - padał jej prosto w twarz.

Ofelia stała się niewyraźną, zamazaną sylwetką majaczącą w ciemności. Julie wiedziała, że i ona musi

przedstawić podobny obraz. Sięgnęła wolną ręką ukrytą pod swetrem do drugiej burty, chcąc się jej chwycić.

Łódź zaczęła płynąć wolniej. Julie obejrzała się za siebie, patrząc na rzekę rozciągającą się przed dziobem. Znajdowały się wciąż w sporej odległości od otwartej przestrzeni wodnej, na której niedawno były

kręcone zdjęcia. Julie spodziewała się, że dotrą do tego miejsca albo nawet dalej. Okazało się jednak, że po

prawej stronie znajduje się wejście do jakiejś odnogi. Łódź zaczęła kierować się w tę stronę.

- Nie ma sensu płynąć dalej - powiedziała Ofelia. - Każda część rzeki jest tak samo dobra jak inne. A poza

tym śmieszne by było, gdybyśmy tak długo przebywały na deszczu.

- No tak, deszcz mógłby nas przemoczyć - skomentowała to lakonicznie Julie.

- To prawda. - Ofelia parsknęła śmiechem.

W tym momencie Julie rzuciła się w lewo, rozhuśtując łódź.

Użyła do tego całego ciężaru ciała i posłużyła się prawą ręką, którą trzymała się burty. Puszczając prawą

burte, chwyciła oburącz lewą i wpadając do wody pociągnęła za sobą łódź.

W tej samej chwili rozległ się strzał. Kula przeleciała w odległości stopy od głowy Julie.
Równocześnie

łódź przewróciła się do góry nogami, a Ofelia wydała z siebie przeraźliwy krzyk. Gdy wpadła do wody, rozległ się głośny plusk.

Mokra burta wysliznęła się z dłoni Julie. Uderzyła ją w ramię, zanim zdążyła zanurkować w ciemność.

Każdy oddech sprawiał jej ból, serce kołatało o żebra, bolały ją nos i gardło. Sportowe buty były jak z ołowiu.

Dzinsy przylgnęły do ciała, utrudniając poruszanie nogami. Woda wciągała ją w dół, stanowiła niezmierną

głębię, gęstą i zimną, w której Julie poruszała się jak mucha w smole.

Nadludzkim wysiłkiem odbiła się w górę. Trwało to nieskończenie długo, ale w końcu wypłynęła na powierzchnię, łapiąc gwałtownie powietrze. Oddychała ciężko, słyszała w uszach gwizd. W głowie jej

pulsowało, czuła mdłości i nic nie widziała. O Boże, ależ jestem słaba, pomyślała. Wydawało jej się, że

opuszczają ją resztki sił, że te siły wtapiają się w niewidzialny nurt rzeki.

Skif unosił się na wodzie dnem do góry jakieś dwadzieścia stóp od niej. Był ledwo dostrzegalny. Ofelia

znajdowała się między nią a skifem. Rzuciła się w wodzie, usiłując wypłynąć na powierzchnię.

Brzeg rzeki, jak zamglony cień, wisiał jakieś siedemdziesiąt stóp od Julie. W normalnych warunkach dostanie się tam byłoby bardzo łatwe, teraz jednak wydawało jej się niemożliwe. Należało zrobić jedną rzecz,

należało zrobić coś, co miała zamiar zrobić od chwili, gdy przypomniała sobie Reya i Paula, którzy w latach

chłopięcych celowo przewracali swoją pirogę ku przerażeniu turystów.

Deszcz nie ustawał. Krople spadały z pluskiem. Na wodzie wokół niej tworzyły się kółka. Z daleka dobiegł cichy warkot przypominający brzęczenie ogromnego lecącego owada. Czy ja to słyszę

naprawdę,

zastana wiła się, czy to krew tak mi szumi w uszach? Nie była w stanie odpowiedzieć sobie na to pytanie.

Ofelia płynęła w jej stronę. Wydała ochrypły okrzyk triumfu, a potem rzuciła się ku niej zdecydowanym

crawlem.

Julie dała nurka. Zanurzyła się głęboko, a w jej głowie pulsowała tylko jedna myśl. Słabła, musiała więc

zrealizować swój zamiar nie tyle wysiłkiem ciała, ile wysiłkiem woli.

Podpłynęła do skifu, wynurzyła się bezszelestnie na powierzchnię w odległości niecałych trzech stóp od

niego, zaczerpnęła powietrza i znowu dała nurka. Kiedy wypłynęła jeszcze raz, nad jej głową i wokół niej

panowała dusząca ciemność, w której wisiał zapach benzyny i starej przynęty na ryby. Walcząc o oddech,

uderzyła głową o coś stałego, co wydawało cichy, metaliczny dźwięk. Udało się. Znajdowała się pod łodzią,

oddychała uwięzionym pod nią powietrzem.

Trzymając się jedną ręką znajdującej się pod wodą burty, Julie odpoczęła przez chwilę. Deszcz wzmógł

się, bębnił teraz o aluminiowe dno nad jej głową. Pod łodzią było znacznie cieplej niż na otwartej przestrzeni.

Julie przez chwilę poczuła, że jest bezpieczna. Było to jednak złudne. Dźwięk dobrze niósł się w wodzie. Julie

słyszała, że Ofelia pływa tam i z powrotem, szukając jej i klnąc pod nosem.

Na jak długo wystarczy powietrza uwięzionego pod łodzią?

Julie nie wiedziała. Wiedziała jednak, że ukrywanie się w nieskończoność nie będzie możliwe: Ofelia w

każdej chwili może przestać szukać, mając nadzieję, że utonęła. Wtedy zechce odwrócić łódź i wrócić nią tam,

skąd przybyła.

Unoszący się na wodzie skif nie był ciężki. Julie zdjęła buty, najpierw jeden, a potem drugi. Ruszając powoli nogami, zaczęła posuwać się wrz z łodzią w dół rzeki; kierowała się przy tym w stronę brzegu.

Przynajmniej miała nadzieję, że kieruje się w tę stronę. W całkowitej ciemności panującej pod łodzią nie

była pewna kierunku.

Nie słyszała już Ofelii. Oddalała się od niej. Szum deszczu i własny ochrypy oddech były jedynymi dźwiękami, jakie słyszała.

Siły ją opuszczały. Czowała, że jest jej zimno. Była wyczerpana.

Niech ten brzeg będzie już blisko! Ruszaj nogami. Popychaj jedną ręką. Nie dawaj za wygraną. W zamkniętym powietrzu było niewiele tlenu. Łódź kołysała się lekko i dziura pod nią zdawała się przez to

zmniejszać. Łódź ciążyła Julie coraz bardziej, spychała ją w dół, za każdym ruchem głębiej. Jeszcze parę

oddechów i parę ruchów nogami i będzie musiała znowu dać nurka, żeby się wydostać spod łodzi. Jeżeli pójdzie

zbyt głęboko pod wodę, może nie wypłynąć.

Jej noga uderzyła o coś miękkiego i ustępującego. Raz i drugi raz. Błoto.

Brzeg! Chciało jej się śmiać, krzyżeć. Udało się. Przestała się ruszać, opuściła nogi i stanęła na błotnistym dnie. Trzymając się obiema rękami burty ugięła kolana i pochylona wyszła spod łodzi.

W tej samej chwili zza łodzi wyłonił się ciemny kształt. Ofelia, wykrzykując obelgi, rzuciła się na swą

ofiara. Julie, która znajdowała się w półprzysiadzie, została uderzona z góry. Opadła na kolana. Teraz opierała

się na rękach; woda sięgała pasa. Julie ogarnęła ciemność. Krztusiła się, dusiła pod powierzchnią wody;

przygniatał ją ciężar ciała Ofelii.

Równocześnie gdzieś głęboko w jej świadomości nastąpiła oślepiająca eksplozja wściekłości. Krew nabiegła jej do oczu i Julie jednym ruchem wyprostowała się. Wykonała skręt, zrzucając z siebie Ofelię i stanęła

na nogi. Kiedy Ofelia znowu rzuciła się w jej stronę, cofnęła się zataczając się. Woda była tu płytsza, błoto

zachlupotało. Ofelia schwyciła Julie za kolana, ciągnąc ją w dół. Julie zanurzyła zakrzywione jak szpony palce

we włosy przeciwniczki, szarpnęła jej głowę w tył i wepchnęła do wody. Kiedy Ofelia kaszłąc i plując puściła

ją, Julie wyprostowała się i zaczęła znowu brnąć do brzegu.

Ofelia wstała. Ociekały z niej woda i błoto, twarz wykrzywiał okropny grymas. Ruszyła z wyciągniętymi

rękami. Skoczyła, chwytając Julie z tyłu za dzinsy. Kiedy ta odwróciła się, uderzyła ją pięścią w twarz.

Julie cofnęła się przed ciosem, mimo to pięść wylądowała na jej czole. Poczowała, że spod mokrego

bandaża wypływa jej krew. W uszach miała okropny szum. Ból ją oślepił. Przed jej oczami nastąpiła erupcja

białego światła, które zalewało niebo. Na jego tle rysowała się jeszcze jaśniejsza niż światło sylwetka Ofelii,

która stała jak wyrzeźbiona w marmurze starożytna bogini śmierci.

Julie wydała z siebie gardłowy okrzyk, okrzyk bólu i wściekłości. Stanęła prosto i zacisnęła dłonie w

pięści. Rzucając się w stronę Ofelii, zamachnęła się od dołu. Kierowała się przy tym szaleńczą odwagą.

Ostatkiem sił zadała cios.

Pięść wylądowała na okrągłej twarzy Ofelii z odgłosem podobnym do tego, jaki wydaje młot spadający

na dojrzały melon. Ofelia jęknęła, obróciła się na pięcie i opadła na kolana. Podniosła głowę. Z jej nosa lała się

krew, a oczy zaszklily się bólem. Ofelia znieruchomiła, patrząc na Julie i na to, co działo się za jej

plecami.

Wydała ochryply krzyk rozpaczy i zakryła twarz rękami.

Julie widziała wyraźnie tę twarz, czerwoną krew i splątane długie włosy, widziała też zmaconą wodę

rozpościerającą się wokół Ofelii, widziała to wszystko jak w biały dzień.

Tak, było dość światła - widziała to wszystko wyraźnie. Odwróciła się powoli. Zobaczyła jasno świecące

reflektory dwóch ślizgaczy - jednego z czerwonym światłem na dziobie i drugiego, starszego i bardziej

odrapanego. Z drugiego ślizgacza wyskoczył i brnął przez światło, rozpryskując wodę tak, że fontanna sięgała

jego głowy, wysoki mężczyzna o szerokich ramionach.

Z Julie ociekała woda; stała ciężko dysząc i uśmiechając się.

Stała i czekała, aż Rey do niej dotrze.

Nigdy nie było podobnej fety na zakończenie zdjęć. Klub jachtowy został co prawda udekorowany

powiększonymi klatkami z filmu, a goście siedzieli wyłącznie na płóciennych krzesłach reżyserskich albo na

metalowych składanych krzeselkach ustawionych przy stołach z plastikowymi blatami, jednak na tym kończyły

się podobieństwa do zwykłej w takich razach imprezy.

Skif, który grał w Królestwie bagien, został napełniony tłuczonym lodem i ustawiony na krzyżakach na

samym środku. Wstawiono do niego naczynia do chłodzenia piwa i wina oraz ostrygi. Przyjemny zapach

owoców morza, wydzielany przez jambalayę i zupę ze strączkami okry, wisiał w powietrzu i mieszał się z

aromatem pieczonych na ruszcie kiełbasek i wędzonych indyjskich nóżek. Na długim stole piętrzyły się

półmiski, gorące dania sąsiadowały z innymi gorącymi daniami i wysoko spiętrzonymi gotowanymi

kwietkami,

smażonymi żabimi nóżkami, ogromnym serem i gorącym sosem z krabów, a także sałatką kartoflaną, górami

francuskiego pieczywa i wszelkich ciast i ciasteczek nadziewanych owocami.

Ustawiona na prowizorycznej estradzie orkiestra grała rock and rolla i zydeco, muzykę country i

charakterystyczne dla Cajunów fais do-ckj - wszystko z jednakowym polotem i werwą. Główny wokalista miał

dobry głos i robił co mógł, żeby urozmaicić występ dowcipami i ciętymi powiedzonkami.

Ale przede wszystkim feta ta różniła się od zwykłych fet filmowców z powodu jej uczestników. Przybyli

na nią bowiem licznie członkowie klubu jachtowego wraz z żonami, synami i córkami oraz ich przyjaciółmi.

Przyprowadzili też ciotki i cioteczne babki, wujów i stryjecznych dziadków, jak również siostrzenice i

siostrzeńców, teściów i kuzynów, i przyjaciół swoich przyjaciół. Każdy technik przyprowadził rodzinę,

podobnie jak dostawcy. Większość z nich przyniosła jakieś potrawy, a wszyscy wnieśli niezwykle wprost

apetyty. Napoje płynęły, a śmiech rozbrzmiewał wesoło. Odgłos przesuwających się po parkiecie stóp wtórował

rytmicznym melodiom orkiestry.

Serdeczność, tak, serdeczność była tym, co najbardziej różniło tę imprezę od innych. Na sali panowała

atmosfera serdeczności i życzliwości, wszyscy doskonale się bawili, doceniając proste przyjemności, których

wartość rosła jeszcze dzięki koleżeńskim gestom.

Ekipa filmowców zanurzyła się w tym wszystkim jak w kąpieli z szampana. Członkowie ekipy jedli i pili, i rozmawiali z ludźmi, których nie znali. Opowiadali o rzeczach zabawnych, jakie zdarzały się na planie,

rycząc ze śmiechu, przy czym niektóre z ich opowieści były prawdziwe. Usiłowali flirtować, pozując na

elegantów z Los Angeles, ale ukośne spojrzenia ciemnych oczu i ironiczne uśmiešky przywoływały ich do

porządku. Próbowali tańczyć i robili z siebie idiotów, gdyż nie byli w stanie dotrzymać kroku ruchliwym

Cajunom. To ich jednak nie zrażało.

Nostalgia - ten nieunikniony produkt uboczny wszelkich zakończeń - przyszła później. Ogarnęła ich

wszystkich w chwili, gdy wygłaszano mowy, w których filmowcy dziękowali za przyjęcie, jakie zgotowała im

miejscowa społeczność, i za jej współpracę przy filmie, a także kiedy Vance, Madelyn i Summer mówili, że

bardzo im było dobrze i że ogromnie żałują, że wyjeżdżają. Julie wygłosiła swoją mowę ze ściśniętym gardłem.

Oświadczyła szczerze i z przekonaniem, że nigdy nie zapomni pobytu tutaj. Powiedziawszy to, ustąpiła miejsca

Bulłowi.

- Nie jestem dobry w wygłaszaniu mów - zaczął Bull - ale muszę powiedzieć, że podobnie jak wszyscy

uważam, że ten film, to miejsce i czas spędzony tutaj były wyjątkowe. Przypadł mi też obowiązek uczczenia

pamięci tragedii, które się tu wydarzyły. Wzniosę w tym celu szlachetny toast, taki, który, mam nadzieję, mówi

dostatecznie dużo, a równocześnie nie mówi zbyt wiele. Panie i panowie, przyjaciele, proszę was, wzniescie

kielichy i wypijcie ze mną za nieobecnych przyjaciół.

- Za nieobecnych przyjaciół - powtórzyła szeptem Julie. Wypiła i przypomniała sobie Paula, takiego jakim

był, kiedy go widziała po raz ostatni, uśmiechniętego, zadowolonego, machającego ręką do żony. Pomyślała też

o Stanie, przypomniała sobie, jak z ożywionym wyrazem twarzy opowiadał o swych ryzykownych wyczynach

kaskaderskich. Żadnego z nich już nie było, odeszli, zabici przez ambicję jej, Julie. I przez ich własne ambicje.

Za duszę Stana odprawiono nabożeństwo żałobne, a później zwłoki wysłano do rodzinnej miejscowości

na Środkowym Zachodzie, gdzie mieszkała jego siostra. Odbyło się to wszystko bez fanfar, ale też nikt go o nic

nie oskarżał. Czy Stan rzeczywiście próbował włączyć się do gry Ofelii? Nie można było odpowiedzieć na to

pytanie - Ofelia nie była zbyt wiarygodnym świadkiem. W każdym razie, jak się wyraził Bull, nie było sensu

niepokoić tym wszystkim jego krewnych. Zgodzili się, że nie będą się tym zajmować. I życzyli Stanowi, żeby

spoczywał w pokoju.

Julie odwróciła się do Bulla z uśmiechem. Dobrze sobie poradził. Nie powinno jej to dziwić: był co prawda szorstki, ale i wrażliwy. Mawiał, że nie chce ujawniać tej wrażliwości ze względu na reputację.

Jak ów ojciec z jej snu przybył na ratunek. Słuchając wiadomości na temat problemów na planie jej filmu, krążących dzięki poczcie pantoflowej w światku filmowców, zorientował się, że powinien się rozejrzeć w

sytuacji. Nie był zachwycony tym, czego się dowiedział. Skontaktowawszy się z Allenem, wprosił się do filmu

Julie, co nie było takie trudne w porównaniu z zadaniem, jakie musiał wykonać, przekonując córkę, żeby

dopuszczała go do współpracy. Tak naprawdę to nigdy nie potrzebował jej pomocy. To, co opowiadał o braku

perspektyw i zaniku mocy twórczych, było kłamstwem obliczonym na to, że wzbudzi współczucie. Sam uważał,

że to się nie uda, chociaż Rey przekonywał go, że w ten sposób osiągnie swój cel.

Później, kiedy do akcji wkroczył Davies z firmy ubezpieczeniowej, Bull zgłosił gotowość przejęcia filmu. Nie zrobił tego jednak dla siebie. Zrobił to dla Julie, nie chcąc dopuścić do tego, żeby jakiś gryzpiórek zabrał jej film albo żeby sama ten film zepsuła, wprowadzając planowane zmiany. W rezultacie sceny końcowe zostały nakręcone zgodnie z pomysłami Julie, zarówno tymi, które miała od początku, jak i tymi zmodyfikowanymi.

W trakcie końcowych zdjęć Julie nauczyła się na nowo ufać Bullowi i go rozumieć. Przykro jej było, kiedy myślała, że ta nauka trwała tak długo. Nie mogła winić matki za to, że nauczyła ją widzieć ojca w takim, a

nie innym świetle - matka miała po temu swoje powody. Julie doszła do wniosku, że ojciec miał już nieraz

okazję, żeby wyprowadzić ją z błędu. Domyślała się, że nie zrobił . tego, bo nie chciał zbrukać obrazu kobiety,

która była jego żoną. Julie szanowała go za to. Mimo to ciężko jej było na duchu, gdy myślała, że gdyby nie to,

że znalazła się w Luizjanie, gdyby nie to, że kręciła tu swoje Królestwo bagien, mogłaby nigdy się nie

dowiedzieć, jaki on jest naprawdę.

Allena nie było wśród obecnych. Wyjechał na Zachodnie Wybrzeże przed kilkunastoma dniami, kiedy zorientował się, że budżet filmu zostanie tylko nieznacznie przekroczony, i kiedy zobaczył, że film znajduje się

w dobrych rękach - Julie i Bulla jako współreżyserów - oraz kiedy doszedł do wniosku, że w zasadzie to

wszystko jedno, czy zostanie czy wyjedzie, bo i tak nie będzie miał wpływu na decyzję Julie dotyczącą jej

powrotu do Los Angeles.

Allen, w przeciwieństwie do Bulla, był gotowy odebrać jej film z powodów nie mających nic wspólnego

z bezpieczeństwem czy życiowym powodzeniem Julie. Chodziło o pieniądze i własną reputację, bał się też, że

może stracić narzeczoną, w wypadku gdy ta odniesie sukces. Mówił, że ją kocha; być może była to prawda, ale

troszczył się przede wszystkim o własne potrzeby i uczucia i mało energii pozostawało mu na troskę o to, co

czuła i czego potrzebowała Julie. Ona natomiast życzyła mu dobrze, ale już go nie kochała. Zresztą nie była

pewna, czy w ogóle go kochała. Związała się z nim, bo buntowała się przeciwko wszystkiemu, kim był i co

reprezentował Bull - pod tak wieloma względami był przeciwieństwem Bulla. Problem polegał na tym, że w

sprawach uczuć też był jego przeciwieństwem.

Ofelii również nie było na sali. Siedziała w miejscowym więzieniu, czekając na proces. Była oskarżona o

podwójne morderstwo. Julie wciąż trudno było uwierzyć w to, co zrobiła. Ofelia nie zawsze była taka. To

gromadzące się przez lata urazy, gorycz i zazdrość uczyniły z niej złą kobietę.

Rey pojawił się niedawno. Siedział teraz z Donną i jej dziećmi przy stole, przy którym znalazły się też

Summer i jej matka. Ich grupka była bardzo ożywiona. Summer i dwaj chłopcy nie posiadali się z zachwyty.

Kilka minut wcześniej cała trójka pobiła się o jakąś potrawę, ale Rey uspokoił to towarzystwo.

W ciągu dwóch tygodni, które upłynęły od aresztowania Ofelii, Julie niezbyt często widywała się z

Reyem. Był zajęty współpracą z władzami, które w okręgu składającym się z trzech parafii zajmowały się

tropieniem szajki handlarzy narkotykami, mającej powiązania z szajkami w Nowym Orleanie, Baton Rouge i

Shreveport, a także znacznie dalej, w Houston i Atlancie oraz Nowym Jorku i Los Angeles. Ofelia sypała,

podawała nazwiska, daty i trasy przewozu, a także miejsca, w których towar był odbierany, i sposoby transportu.

W rezultacie wykonano całą serię nalotów i aresztowano tyle osób, że sądy miały zajęcie na długie miesiące.

Rey brał w tym wszystkim udział jako agent specjalny związany z DEA.

Zrezygnował z pracy w agencji jakiś czas temu, ale teraz wezwano go do współpracy, gdyż doskonale

znał bagna i ludzi na nich żyjących. On i Paul współpracowali zarówno jako przyjaciele, jak i członkowie dwóch

różnych zespołów zaangażowanych w tę samą operację. To z powodu śmierci Paula Rey przyjął oferowaną mu

przez Julie pracę - w tej sprawie Ofelia nie kłamała. Zrobił to, gdyż podejrzewał, że śmierć Paula nie była

przypadkowa, że przyjaciel zginął, bo zbyt się zbliżył do czegoś istotnego.

Rey obserwował Ofelię od dnia, kiedy postrzelono Julie. Podczas rozmowy Bulla, Reya i Julie Ofelia

była w drugim pomieszczeniu i podsłuchiwała. Siedziała cicho, ale on usłyszał nieznaczny hałas i zauważył, jak

wychodziła. Podsłuchana wiadomość o pozbawieniu jej funkcji asystentki wprawiła Ofelię w taką wściekłość, że

wkrótce znalazła okazję, by strzelić do Julie. Od tego czasu Rey zdobywał przeciwko Ofelii coraz więcej

dowodów, ale ludzie z agencji zwlekali ze zwinięciem jej, spodziewając się nakryć jakąś grubszą rybę.

Julie przypomniła sobie teraz tę noc, podczas której Ofelia usiłowała ją zabić, przypomniła sobie, jak

Rey podbiegł do niej w strumieniach światła, rozpryskując wodę. Przypomniła sobie kojące ciepło jego ciała,

przypomniła sobie, jak objął ją tam, na deszczu, w jaskrawym świetle. Była taka mokra, słaba i tak zboląta, że

rzuciła się ku niemu i przylgnęła do niego tak, jakby nie miała zamiaru nigdy go puścić. Wspomnienie

to było

upokarzające.

Rey otulił ją płaszczem nieprzemakalnym i trzymał w ramionach przez całą drogę powrotną, którą odbywali ślizgaczem. W domu ciotki Tine dał jej percodan, który za namową ciotki popiła gorącym grogiem z

bourbona osłodzonego miodem. Julie jak przez mgłę pamiętała, że starsza pani pomogła jej zmienić ubranie, a

Rey zawiózł ją do szpitala, gdzie zajęto się ranami i zrobiono nowe opatrunki. A powrotu do domu nie pamiętała

wcale. Nie pamiętała też, jak położono ją do łóżka.

Ciotka Tine opowiedziała o tym, jak Summer, obudziwszy się po wyjściu Ofelii i nie znalazłszy listu,

wpadła w histerię. Dziewczynka uparła się, żeby Donna zadzwoniła do ciotki i powiedziała jej, że Julie wyszła.

Miała jej też powiedzieć, dokąd Julie pojechała, oraz poinformować ją, że list zginął. Ciotka Tine, która

wiedziała co nieco, a może nawet wszystko o pracy Reya, zadzwoniła do szeryfa, a ten dopadł gdzieś jej

bratanka. Rey przyjechał do domu eskortowany przez policję. Kazał Summer opowiedzieć ze szczegółami, co

się działo przed wyjazdem Julie. Kazał sobie powtórzyć każde słowo. W chwili gdy usłyszał wyrażenie

"polować na węże", wyskoczył natychmiast z domu i ruszył w drogę. Nie znalazłszy nikogo w karawaniu,

przepytał wartownika, który skierował ich w stronę rzeki. Klucze do łodzi z kabinami były zamknięte w biurze,

ale oba ślizgacze znajdowały się w obozowisku, z którego ludzie z DEA korzystali podczas dochodzenia.

Szybko tam dojechali, ale i tak stracili zbyt dużo czasu.

Rey był zajęty, ale Julie uważała, że to nie jest jedyny powód, dla którego tak rzadko go widywała. Od

tego popołudnia, kiedy została postrzelona, Rey zachowywał dystans, przebywał w pobliżu niej tylko tak długo,

jak to było konieczne. W ciągu ostatnich kilku dni zaczęła powoli się domyślać, jaka jest tego przyczyna.

Wszystko wskazywało na to, że nadszedł czas, by to naprawić. Następna okazja mogła się nie nadarzyć.

Julie wstała i przeszła przez salę, kierując się do stolika, przy którym siedział Rey. Posuwała się powoli,

gdyż zatrzymywano ją, witano się, gratulowano i okazywano współczucie. Starła się jak mogła skracać te

rozmowy.

Czuła, że Rey ją obserwuje, że czeka na nią. Siedział rozparty na krześle, długie nogi wyciągnął przed

siebie, a rękę, w której trzymał piwo, położył na stole. I patrzył, jak Julie się zbliża. Miał świeżo obcięte włosy, a

niesforny kosmyk ujarzmiony. Od kremowej koszuli padał na jego twarz delikatny odblask. Widać było, że Rey

jest wysportowany, opalony i bardziej pociągający niż gwiazdor filmowy. Julie - ze swoją czerwoną blizną

biegnącą przez wygolone miejsce na głowie i z ręką na szynie - poczuła się nieswojo.

Kiedy się zbliżyła, Rey wstał. Powitanie było uprzejme, uśmiechali się do siebie, ale nic ponadto. Julie

zamieniła kilka słów z Donną, z Annette i dziećmi. A potem, kiedy Rey położył rękę na oparciu krzesła, jak

gdyby chciał je dla niej odsunąć, spojrzała na niego ciepło.

- Czy mogłabym przez chwilę z tobą porozmawiać? - zapytała.

- Nie zabiorę ci dużo czasu.

Zgodził się, pilnie jej się przyglądając. Zerknął na Donnę, unosząc jedną brew. Wdowa, przenosząc szybko wzrok z niego na Julie, kiwnęła głową, a na jej usta wypłynął powoli życzliwy uśmiech.

- My sobie damy radę - powiedziała. - Idźcie.

Rey odpowiedział Donnie uśmiechem, mrugnął do Summer i poszedł za Julie. Dogoniwszy ją, wskazał

ręką otwarte drzwi.

- Może na zewnątrz?

Julie kiwnęła głową i po chwili oddalali się powoli od gwaru i zapachów potraw, idąc w stronę tonącego

w mroku mola i ogromnego, górującego nad nim cyprysa.

- Przykro mi, że ci przeszkodziłam w zabawie - powiedziała, kiedy zatrzymali się nad wodą.

Cieszyła się, że dzieli ich odległość paru stóp. Bała się, że Rey mógłby usłyszeć, jak mocno bije jej serce.

To bicie serca utrudniało koncentrację.

Spojrzał na nią, a potem włożył ręce do kieszeni i odwrócił głowę.

- To nie ma znaczenia - rzekł.

- Chciałam tylko... - zaczęła i zaraz musiała przerwać, bo zachrypła. - Chciałam ci powiedzieć przed

wyjazdem, że wreszcie przypomniałam sobie, co mówiliśmy tego dnia, kiedy Ofelia do mnie strzelała, albo

raczej co ja mówiłam. I chciałam ci powiedzieć, że nie miałam tego na myśli, to znaczy tego, co powiedziałam o

twojej pracy, o Donnie, o twoich kobietach. Gotowałam się z wściekłości i tak się zdarzyło, że kiedy wybuchnęłam, ty byłeś akurat pod ręką.

- Nie, nie, miałaś rację, przynajmniej częściowo. Wiem, że umawiałem się z kobietami, które mnie potrzebowały. To się stało moim nawykiem. Te kobiety nie były właściwie kalekami, ale ja w miejsce miłości

podstawiałem litość czy może współczucie. W ten sposób czułem się mniej winny. Wydawało mi się, że daję im

coś w zamian za ich uczucie.

- Ale ja nie powinnam tego mówić. Bo to nie była moja sprawa.

- Nie sądzę, żeby to miało znaczenie. W każdym razie to nie odnosiło się do ciebie. Nie spotkałem kobiety,

która potrzebowałaby mniej litości czy współczucia niż ty.

Julie popatrzyła na niego przez chwilę, nie wiedząc, czy to, co powiedział, ma jakiegokolwiek znaczenie.

Nie wiedziała, czy nie są to puste słowa.

- Powiedziałam też - kontynuowała z uporem - czy też sugerowałam, że myślę, że jesteś zamieszany w

jakieś nieczyste sprawy z narkotykami.

- Zależało mi na tym, żebyś tak myślała - powiedział, kręcąc głową. - W tym celu zadałem sobie

trudu. Chciałem, żebyś ty tak myślała, podobnie jak inni, nie wyłączając Ofelii.

- To ci się nie udało. Wcale w to nie wierzyłam, bo tej pierwszej nocy widziałam, jak obserwujesz

hydroplan. Po rozmowie z Donną wiedziałam, że jesteś tajnym agentem, że podejrzewasz mnie i że się do mnie

zbliżyłeś, żeby ...

- Rzeczywiście tak było. Wykonywałem zadanie, z tym że nikt nie żądał ode mnie, bym posunął się tak

daleko. Ze względu na Paula musiałem mieć pewność, że jesteś czysta. To było przed wyjazdem do Los Angeles

i nocą w Bel Air. Tam byłem tylko ze względu na siebie.

- Tylko ze względu na siebie? A nie dlatego, że się o mnie bałeś?

Ja zdecydowanie odniosłam wrażenie, że jestem pilnowana.

- Jeżeli miałem choćby cień słuszności, przypuszczając to, co przypuszczałem, wyglądało na to, że ktoś nie

pozwole ci dożyć chwili, w której będą ci wręczać twoją nagrodę.

- I dlatego wzięłeś sobie swoją nagrodę.

Rey podniósł głowę.

- No ... można by tak powiedzieć.

- No to dobrze, bo nie wzięłaś jej sobie sam.

- Tak?

- Nie będę udawała, że nie chciałam ci dać tego, czego pragnąłeś. - Zanim Rey zdołał coś powiedzieć, Julie

pospiesznie kontynuowała: - Powiedz mi, czy pamiętasz tamtą noc, kiedy wzięłaś percodan, a Bull uraczył cię

Jackiem Daniel'sem?

Odwrócił lekko głowę, tak jakoś ostrożnie, i spojrzał na Julie.

- Mów dalej.

- Pamiętasz, co robiłeś i co mówiłeś tej nocy?

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

- Pamiętam, że obudziłem się w twoim łóżku. Ale przedtem? - zapytała szybko.

- Chciałem z tobą porozmawiać, ale światło w twoim pokoju było zgaszone i pomyślałem, że śpisz.

Siedziałem przez chwilę na barierce na galerii. Wydaje mi się nawet, że po niej chodziłem. - Chodziłeś.

Spojrzał w górę na gałęzie cyprysa nad głową i westchnął.

- Co jeszcze?

- Powiedziałeś, że nie potrafisz pływać na desce surfingowej i nie potrafisz grać tak jak aktorzy. - To prawda,

nie potrafię.

- I złożyłeś mi pewną propozycję, niekoniecznie nieprzyzwoitą. Nie zaproponowałeś mi na przykład, żebyśmy się namiętnie kochali pod gołym niebem.

- Widzę - powiedział cicho - że mszczą się na mnie moje własne grzechy.

- Chyba tak - odparła z bladym uśmiechem.

- Nie ma co się ze mną patyczkować, mów dalej.

- Mam taki zamiar - odpowiedziała, ale nie mogła mówić dalej, bo strach ścisnął ją za gardło.

- Julie?

Odwrócił się i zbliżył się do niej o krok, żeby dokładniej widzieć jej twarz.

Chciała się cofnąć, ale nie mogła. Na myśl o ryzyku, jakie podejmuje, poczuła rozpaczliwy strach, bo

nie wiedziała, co Rey odpowie. Jednak nie było odwrotu, nie mogła nic zrobić, musiała w to brnąć dalej.

Zwilżyła wargi, przełknęła z wysiłkiem ślinę.

- Powiedziałeś, że chcesz mnie zabrać na bagna jak Jean-Pierre. Ale dodałeś, że nie jesteś jednak nim, że nie

krępią cię stare obyczaje, że nie jesteś pyszny jak on. Powiedziałeś, że moglibyśmy się pobrać i mieszkać na

przemiał w Nowym Orleanie i w Los Angeles, czy też gdzie indziej, gdzie ja kręciłabym filmy, w każdym razie

moglibyśmy tak żyć, dopóki nie urodziłyby się dzieci. A potem żylibyśmy jak nowoczesne małżeństwo, bo ty

jesteś mężczyzną nowoczesnym, potrafisz w razie potrzeby gotować, opiekować się dziećmi i równocześnie

zarządzać firmą.

- Naprawdę powiedziałem to wszystko? - zapytał schrypniętym głosem i położył jej ręce na ramionach.

- Tak - odpowiedziała i mobilizując odwagę, podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

Patrzyła na niego długo, nie odwracając wzroku.

- A co ty na to odpowiedziałaś?

- Odpowiedziałam, że cieszy mnie to, że nie jesteś Jean-Pierre'em.

Pochylił głowę, jego usta były tuż przy twarzy Julie.

- I to wszystko?

- Powiedziałam, że ten plan nawet mi się podoba - odpowiedziała, z trudem łapiąc oddech. - Pod

warunkiem

że doprowadzisz do tego, że DEA znajdzie sobie innego bagiennego szczura.

- Powiedziałaś coś jeszcze? - zapytał szeptem.

- Powiedziałam, że cię kocham. Że bardzo, bardzo cię kocham, choć usiłowałam to ukryć, choć próbowałam

przekonać samą siebie, że mogę bez tego żyć, że mogę żyć bez ciebie. Próbowałam i przekonałam się, że się

mylę.

- A czy ja odpowiedziałem, że ty jesteś moim życiem, że jesteś piekielnie niezależną panią mojej duszy, że

mam zamiar cię kochać i ogrzewać ci stopy do końca życia... i że ... że pewnego dnia, już niedługo, będę się z

tobą kochał pod gołym niebem albo ... albo niech mnie trafi szlag?

- Była o tym mowa - odparła głosem ledwie dosłyszalnym i westchnęła. - Rey? Pamiętasz, jak ci powiedziałam kilka tygodni temu, że nie uprawiam gier?

- Pamiętam.

- Myliłam się. Uwielbiam je uprawiać z tobą.

- Dzięki Bogu - powiedział Rey. - A także Jezusowi, świętemu Michałowi i Matce Boskiej.

- Dziękujesz im wszystkim?

- Tak - odpowiedział tonem zdecydowanym.

Ich wargi spotkały się. W końcu Rey podniósł głowę, nie osłabiając jednak uścisku, trzymał Julie mocno

w ramionach, pocierając czołem o jej czoło.

- Myślę - odezwał się - że powinienem ci powiedzieć, że wiem doskonale, co wydarzyło się tamtej nocy, na

galerii i później, w twoim łóżku, że pamiętam wszystko, zwłaszcza każde wypowiedziane wtedy słowo.

- Naprawdę? - zamruczała, nie otwierając oczu. - I co, dobrze to wszystko powtórzyłam?

- Tak, dobrze - powiedział i po raz drugi odnalazł jej wargi. - Bardzo dobrze.